



WAR BOOK

PIOTR
LANGENFELD

OGIEŃ
SPRAWIEDLIWOŚCI



OGIEŃ SPRAWIEDLIWOŚCI

Wojna się skończyła. Działa umilkły, a mimo to cmentarze się rozrastały. Nadeszły bieda i niepewność, które jednak wielkim wysiłkiem udało się przetrwać.

Wielu miało problemy z nazwaniem wojny. Czy inwazja Sowiec była ciągle drugą światową? Czy raczej jakimś nowym, zupełnie innym konfliktem, zwanym często wojną wschodnią?

Mapa Starego Kontynentu wróciła nieomal do kształtów z lat 1918 i 1920. Nieomal, bo zaistniało kilka zasadniczych różnic. Obok pobitych, wykrwawionych Niemiec odrodziła się Rzeczpospolita w nowych granicach. Zwycięska jednak tylko połowicznie. Choć wolna, rozbudowana terytorialnie, jak wieki wcześniej znów musiała stawiać czoła zagrożeniom ze wschodu. Osamotnione w roku 1946 Wojsko Polskie, jedynie z niewielką pomocą sił generała Pattona, wyrwało z czerwonych szponów to, co można było odzyskać.

Przynajmniej świat, Europa w szczególności, nauczył się czegoś, i dawna ufność wobec „rosyjskiej duszy” uleciała w niebyt.

Wypadki powojennych lat dały kolejne dowody na to, że trzeba być gotowym. Że kiedyś, za czas jakiś, to wszystko może się powtórzyć.

Utworzono sojusz obronny zwany Północnoatlantyckim, a na jego wschodniej, najniebezpieczniejszej flance trwała Rzeczpospolita. Ona i jej rozbudowane jak chyba nigdy, bez przerwy wypatrujące nadchodzącego zagrożenia i gotowe na jego zażegnanie Wojsko Polskie.

PROLOG

Na wschód od Lwowa | 20 lutego 1946

Wszystko w tym miejscu emanowało czystym surrealizmem. Jakby nieduży skrawek ziemi oddzielono niewidzialną, ale nieprzekraczalną granicą od nieodległego chaosu. Tam gdzieś została wojna, front, orany gorącym metalem step. Dziesiątki zastygłych w upiornych pozach, zamarzniętych ciał i pokrytych bielą wraków.

Błyski, co rusz wykwitające na szarzejącym niebie, nie niepokoiły i wydawały się zupełnie nierealne.

Zresztą całe obejście, cała wieś była jak zapomniana od lat. Chyba nie spadł tu żaden pocisk. Nieprawdopodobne, ale chyba nawet i za Niemca było tu spokojnie. Nic nie spłonęło, nie zostało roztrzaskane.

Ukryci po budynkach ludzie snuli domysły, czy to cud, niedopatrzenie, a może jakaś cicha umowa między wojującymi stronami a miejscowymi.

Oficer z szyją opatuloną szalikiem, w czapce z długimi nausznikami, która krojem bardzo przypominała rosyjską papachę, odziany w gruby brązowy płaszcz, wyciągnął głowę, przyglądając się niebu przez zamarzniętą szybkę izby.

– Znów, cholera, zaczyna sypać – westchnął niezadowolony. Marzył w nieogrzej chatynce. Sięgnął do kieszeni i wydobył papierosa. – Do rana zawali wszystko...

Znów westchnął, śledząc kilka wielkich płatków leniwie opadających ku ziemi.

– Chcesz? – Odwrócił się z paczką wyciągniętą do swojego gościa.

Mężczyzna miał dobrze ponad trzydzieści lat. Wychudł, jak wielu jego kolegów, stracił dawną atletyczną sylwetkę, a jedyną pamiątką lepszych czasów w jego fizyczności były szerokie ramiona. Siedział za wiejskim stołem, w obszernym, grubym kozuchu, którego gospodarz po cichu mu zazdrościł.

– A, daj – rzucił. Zapalili obaj.

– No i jak? Podjąłeś decyzję? – Gospodarz przeszedł do konkretów. Teraz był moment, żeby wszystko sobie wyjaśnić.

– Nie. Dziękuję. – Gość zrozumiał, że nie ma co przeciągać.

Zastygł w bezruchu, z papierosem między palcami, wpatrzony uważnie, spokojnie w faceta w płaszczu. Zielone oczy świdrowały, zdawały się badać, szukać jakiegoś szczegółu.

Gospodarz spał się cały. Wiedział, że nie rozmawia z byle chłystkiem. Zachowanie spokoju, brak choćby jednego tiku, mrugnienia powieki, które zdradziłoby wzbierającą w nim irytację, wiele go kosztowało.

Zmarnował tyle dni... „Starzejesz się?” Myśl, która przemknęła przez umysł, zdawała się mu przytykiem od kogoś obcego.

Przecież jeszcze się nie starzał. Na pewno był przemęczony. Jeszcze może tego nie przyznawał przed sobą, ale taki był fakt. Miesiące walk, pracy i tylko krótki urlop, w samym wirze historii. Tyle co nic.

– Skoro tak uważasz. – Gospodarz wzruszył ramionami, udając obojętność.

Wdusił papierosa w brudny stół i postawił kołnierz płaszcza.

– Wielka szkoda – westchnął jeszcze i poprawił pas z kaburą.

– Tłumaczyłem... Nie mogę... tam... – Gość próbował jeszcze kilku frazesów, ale uniesiona dłoń wyzwoliła go od konieczności dalszych wyjaśnień. Gospodarz nie wysiłał się dłużej na udawanie miłego jegomościa.

– Wszystko jasne. – Uczucie klęski, cholernej klęski rozsadzało umysł, ale wytrzymał. – Zabierzemy cię stąd tak, żeby się nikt nie zorientował. Będzie mniej pytań, jak wrócisz. – Odwrócił głowę od okna i obrzucił gościa długim spojrzeniem, jakby chciał wyryć sobie ten widok w pamięci.

Doskonale wiedział, że kogoś takiego jak ten człowiek w kozuchu będą dociskali kilka tygodni. Tak czy inaczej, na wszystkie sposoby. Był świadom, że jego osoba będzie dokładnie opisana. Nie powiodło mu się i powinien tego wychudzonego posłać do stu diabłów. Gdyby wyszło jak należy, trzeba by się martwić o co innego. Podejrzliwe spojrzenia, jakieś pytania w transporcie.

Trzeba by się przygotować, przegadać. Teraz miał to głęboko w poważaniu. Zgubiła go pycha, a może i to cholerne zmęczenie? Nie przewidział porażki. Bardzo poważny błąd.

– Strażnik – rzucił mężczyzna w płaszczu.

Drewniane drzwi skrzypnęły i do środka wszedł istny klon gospodarza. Czapa, płaszcz. I tylko w rękach trzymał pistolet maszynowy.

– Jak? Przygotowane? – spytał gospodarz.

– Tak jest – odpowiedź była krótka.

– Zabierzcie go... – Mężczyzna w płaszczu wskazał gościa. Potem postąpił krok i wyciągnął dłoń. – Mimo wszystko... miło było poznać. Kolegę po fachu – dodał tak, by zabrzmiało szczerze. Uścisnęli sobie ręce.

Wnętrze nie było ogrzewane, ale na zewnątrz panowało mroźne pandemonium. Od progu owiał ich lodowaty wiatr, przenikający na wskroś każdą chyba warstwę ubrania. Policzki zaszczypały od mrozu. Pomruk odległych eksplozji mieszał się z wyciem wichru.

Jakaś wielka ołowiana chmura przywlokła się nad obejście, akurat kiedy wychodzili na podwórko. Jak na tajemny znak, z nieba sypnęło gęstą garścią jeszcze większych lodowych płatów.

Z ogromnej stodoły wytoczyło się auto i zaparkowało przed wejściem. Zmarznięty kierowca łupał to na swojego pasażera i jego obstawę, to na błyskające w obłokach odbicia eksplozji. Rozległ się głośniejszy pomruk.

Wszyscy spojrzeli tam, skąd doleciał odgłos.

– Za kilka godzin nas tu nie będzie – bąknął gospodarz.

Popatrzył na gościa. Może tylko mu się zdawało, może tylko chciał to widzieć, bo nie godził się z porażką, ale uznał, że dostrzegł wahanie.

– Więc jak? – spróbował ostatni raz.

Gość zastygł, wpatrzony w łuny na niebie. Chyba trawił pytanie, bił się w myślach sam ze sobą.

– Nie, nie mogę – wyszeptał ledwo słyszalnie po długiej chwili i spuścił wzrok na świeży śnieg pod nogami.

Po chwili znów spojrzał na gospodarza.

– Robią pokaz na koniec... – prędko zmienił temat, widząc zmieszanie i wyraz ostatecznej klęski rysujący się na twarzy drugiego mężczyzny.

– Tak... – ten tylko westchnął. Owładnęło nim totalne zmęczenie, nieomal fizycznie bolesne.

– Szkoda... – Gość zrobił krok do terenowej półciężarówki. – Szkoda ludzi... Na sam koniec.

Władował się na pakę razem z wartownikiem.

Zgrzytnął bieg i samochód ruszył do bramy, wypluwając chmurę spalin.

Gospodarz patrzył, póki auto nie zniknęło, i pozwalał smagać się wichrowi. Śnieg oprószył płaszcz, wzorzyście układał się na czapce. Ale mężczyzna przestał odczuwać mróz, klucie na skórze. Analizował ostatnie dni, godziny, cały ten wysiłek, grę, jaką podjął. Zaufanie, jakim go obdarzono.

Nie cieszył się na opinie o raporcie, jaki będzie musiał przedstawić, ani na następstwa. Pytania, wątpliwości, niepewność co do reakcji tych, co byli nad nim. Dopadło go to naraz jednym wielkim strumieniem. Gdzieś bliżej po szarym niebie rozlał się czerwony cień ognia. Mężczyzna otrzeźwiał.

To nie był czas na odpoczywanie.

Człowiek w płaszczu wyprostował się, przetarł twarz, nabrał głęboko powietrza.

Jeszcze wróciło do niego ostatnie słowo człowieka, którego gościł.

Koniec, wymówił bezgłośnie.

– Koniec? – powtórzył. „Może i tak. A może to znów... początek” – zatrwożył się i jeszcze bardziej opadł z sił. Powłócząc nogami, ruszył ku stodole, gdzie czekała reszta.

Powinni wiedzieć, czy są nowe wiadomości. Dobrze, a może, sądząc po feerii barw połyskujących po chmurach, źle?

Nie bardzo go to obchodziło i nie miał zamiaru się z tym kryć. Chciał stąd jechać. Zostawić to wszystko za sobą. Zapomnieć o tym, co dla niego i

wielu innych było porażką.

Może kiedyś ktoś inny będzie mógł naprawić wszystko, czego cholerny los nie pozwolił dokończyć.

ROZDZIAŁ 1

Placówka „Gwóźdź”, strefa zdemilitaryzowana, Korea | 6 maja 1963

Jedyne, co przychodziło na myśl, to mrówki. Stado mrówek, oszalałych, bezmyślnych stworzeń, pełzających na nieomal pewną śmierć. Ale to nie były zwierzęta, a żywi ludzie.

Gnali ku szczytowi, czołgali się, drobili na kolanach, raniąc się o ostre skały, mozolnie wspinając po głębokich kraterach. Widok – z gatunku tych, które wywracają wnętrze – nie dawał im do myślenia. Zdawali się robotami, zaprogramowanymi maszynami nieczującymi strachu.

Ci na górze kiedyś pewnie gotowi byli określić ich mianem odważnych, ale teraz nie mogli nazwać tej ludzkiej fali, która nie zamierzała się zatrzymać, inaczej jak szaloną. Tamci szli po zwycięstwo, gotowi zabijać, gdy dotrą na miejsce. Wierzyli, że sukces jest w zasięgu ręki.

Poprzednie krwawo odparte fale, z których zostały sterty trupów, nie uczyły niczego. Pewnie ta wojskowa tłuszcza sądziła, że wróg pięknie, odpuści przerażony tak potwornym poświęceniem, i odstąpi. Albo choć skończy mu się amunicja.

Ta jednak leciała po zboczach, kreśląc kolorowe wstęgi, wyrywając dziury w ludzkiej masie, krzesząc ogniki rozżarzonych odłamków.

Na tym skalistym pustkowiu, gdzie nawet chwasty nie chciały rosnąć, skupiał się ogień haubic, moździerzy i ukrytych pod skałami betonowych bunkrów.

Załogi pruły krótkimi seriami, modląc się, by nie przegrzać broni. Choć wróg był jeszcze daleko w dole, mocując się za linią zasieków, min, pod gradem szrapneli, wyobrażali sobie, że ruszy, gdy tylko wyczuje najmniejszą słabość.

Miarowy ostrzał przerzedzał szeregi, tnąc w brutalnym starciu każdego szaleńca, który podniósł się z ziemi. Padali dziesiątkami, poganiani przez

dowódców szukających szczęścia i wyrwy w zaporze.

Nad górami poszedł pomruk, głośniejszy niż wszystko inne. Przebił się przez muzykę bitwy jak ostrzeżenie z niebios. Powietrze się zagotowało i w linię atakującej piechoty wpadł istny grad pocisków. Dziesiątki luf bluznęły ołowiem w jednej chwili w jednym miejscu.

Gęsty jak noc obłok zakrył zbocze, leniwe pnąc się ku górze. Kolejna salwa. Wstrząs, smród i krwawe szczątki fruujące we wszystkich kierunkach.

Kilka grzmotów. W nieziemskim huku dopełniała się masakra. Ktoś się ulitował. Ci w dole zaczęli odchodzić pojedynczo albo grupkami, czasem tylko ciągnąc rannych. Ci, którzy nie mogli chodzić, zostawali, cicho jęcząc i gasnąc.

Zgiełk cichł, zanosilo się na antrakt. Ale krótki, jak zwykle w ostatnich godzinach. Zaraz tamci zaczęli łupać z ciężkich kalibrów, i to z niezwykłą zajadłością, jakby chcieli pomścić trzy ataki swojej piechoty.

Głuchy, bezlitosny pomruk rozchodził się pomiędzy górami, rozpływał w dolinach i drażnił postrzępione nerwy.

Echo eksplozji pomieszało się naraz z dzwonkiem telefonu, który zaczął uporczywie domagać się uwagi.

Porucznik Bartłomiej Karpacki, dwudziestotrzyletni, wysoki, żylasty brunet o pociągłej twarzy, dygotał, nie wierząc chyba własnym uszom. Ogłuszony wybuchami, czekał tego jednego, najgłośniejszego, ostrzegającego świstu, który miał oznaczać przeznaczony dla niego pocisk.

Popadł w otępienie, prawie paraliż, i nie potrafił tego przemóc. On, który uważał siebie za gotowego na wszystko. Sądził, że jest odważny, opanowany. Próbował nie myśleć o tym, co działo się wokoło. Uciec we wspomnienia kilku wolnych dni, uśmiechów pielęgniarek, barów w Seulu i Phenianie.

Na tym też się znał. Ludzie go lubili. Kobiety szczególnie... Bawiła go ta łatwość pozyskiwania uwagi. Dar po tatusiu.

Ale szpanowanie przy dzierlatkach, po raz pierwszy w życiu marnujących czas daleko od domu, było czym innym niż to. A i wytapianie potów z

własnych ludzi na treningach zdawało się wesołą zabawą.

Góra, doliny wokoło, ich mały świat pierwszy raz od roku zagotował się na poważnie.

Bartek wcisnął głębiej na głowę stalową „salamandrę”, okrytą maskującym pokrowcem, i dopiero odwrócił się do telefonu.

– Matylda. Drugi pluton. – Starał się mówić spokojnie, rzeczowo, ale już strach oplatał mu krtań. Udał, że kaszle. – Tak jest – rzucił rutynowo. – Wiem, tak, słyszę – to nie brzmiało już służbowo. – Rozumiem. Tak jest. – Odłożył słuchawkę.

Przełknął ślinę i popatrzył na chłopaka ślęczącego przy radiu w rogu ich bunkra.

– Mamy czekać.

Młody patrzył na szefa wielkimi oczami, gotów łapać każde słowo i polecenie, jakby mogło to dodać otuchy.

– Ładnie wyszło. Bądź gotów do powtórki. Potrzeba wszystkich. Wszystkie, jakie są w okolicy – nakazał Karpacki i ostrożnie, pochylony, podszedł do niewielkiego otworu obserwacyjnego osłoniętego workami z piaskiem.

Bunkier był usadowiony pośrodku pozycji, która dawno temu została nazwana „Gwoździem”. Otóż „Gwóźdź” ten wbijał się głęboko w pozycje Chińczyków i nie puszczał, co bardzo denerwowało tamtą stronę. Pod sam koniec wojny z czerwonymi Chinami uchwycenie tego wzgórza, tak daleko za rzeką Jalu, dało asumpt do przekonania tamtych, że czas kończyć.

Mimo iż minęło kilka ładnych lat, ludzie Mao próbowali odpychać kapitalistów od swoich granic. Albo przynajmniej udawali. Ten konflikt był jak paliwo, które propagandowo rozpalano co jakiś czas dla zamaskowania dziesiątków wewnętrznych problemów.

Siły, które działały na skrawku chińskiej ziemi pod auspicjami ONZ-etu, nie miały ochoty ani możliwości ustąpić pola. Gotowe były trzymać się, wgrzyzać w ziemię, pomne faktu, ile kosztowała niespodziewana wojna, która spadła na Azję zaledwie kilka lat po tym, jak ukonstytuowały się czerwone

Chiny. Rzecz dziwna i przerażająca, bo mało kto wierzył, że po tak ciężkim konflikcie, zakończonym w roku czterdziestym szóstym, Sowieci będą mieli chęć i możliwość wyhodować w dalekiej Azji kraj, swego satelitę, który ogarnie biedną, skorumpowaną tkankę Chin i wyrwie spory skrawek terytorium u granicy Mongolii i ZSRS, zajmując lukę po rozbrojonej japońskiej armii, której tu nikt nie pobił.

„Gwóźdź” atakowano do samego końca „oficjalnej wojny”, albo raczej interludium. Potem były podjazdy patroli, kilkadziesiąt mniejszych i większych ostrzałów, ataków i pozoracji.

Dopiero teraz nagrzane słońcem powietrze pachniało czymś poważniejszym.

Stanowiska były siecią bunkrów, z zewnątrz przypominających polowe umocnienia, albo raczej obsypane ziemią i kamieniami nory. Jednak tak naprawdę latami umacniano je betonem, tunelami albo choć krytymi transzejami. Małe Verdun, jak mówili o nim ci, którzy tu służyli. Stanowiska broni maszynowej, moździerze, bateria haubic, i to połączone szeroką, wykutą w skale drogą o stromych zboczach, chronionych posterunkami. A to wszystko opasane wielką wstęgą pola minowego, zasieków i potykaczy.

– Wszyscy na pozycjach. Aż dziw, ale mamy tylko dwóch zabitych... może dziesięciu rannych – w schronie rozległ się głos chorążego Jagiełły. Spokojny, opanowany i mocny. Jak zawsze. Jakby nic nie było. Człowiek ulepiony ze starego, lepszego materiału.

Karpacki obrzucił go zdziwionym spojrzeniem wystraszonych oczu, ale prędko się pohamował. Musiał coś udowodnić, pierwszy raz tak naprawdę, i nie miał zamiaru skrewić. Było mu ciężko, ale tłumaczył sobie gorączkowo, że to na takie sytuacje go szkolili. Musiał się wykazać. Dla ojca, dla Jagiełły, dla kariery.

– Bardzo dobrze, chorąży. – Karpacki skinął głową. Jakimś cudem mówił pewnym głosem, a na jego twarzy gościł spokój. – W brygadzie kazali czekać. Tłuką po nas i po Turkach. Może tamtym przejdzie.

Jagiełło, wielki drągal, z wyglądu zapaśnik na wczesnej emeryturze, zupełnie fizyczne przeciwieństwo dowódcy, skrzywił usta gotów na kpinę.

– Panie poruczniku. – Cmoknął, złapał lornetkę i podszedł do szczeliny obserwacyjnej. – Ja tych franców znam.

Ton wiarusa drażnił oficera. Chorąży był weteranem z ostatnich miesięcy tej wojny, kiedy była jeszcze prawdziwym konfliktem i nad głową dudniło co dzień.

– Za silnie tłuką, ludzi tracą. Nie odpuszczą. Jak pokaz siły, to pokaz siły. Do końca. – Spojrzał na obu wystraszonych młodzieńców.

– Pan sądzi, że to... przez to, że my mamy jutro... To oni... – Radiooperator łykał ślinę, coraz mocniej wybałuszając oczy.

– Kto wie, może i tak? – Jagiełło wydał usta, wzruszył ramionami i znów zaczął lustrować brunatnoszare wzgórza przed sobą.

Po chwili odezwał się znowu.

– Pewnie wiedzą, że nas luzują – ciągnął z wyższością. – Głupi nie są. Patrzą na nas, słuchają i liczą. Wiedzą, kiedyśmy przyjechali, kiedy mniej więcej nas zwiną. No i wiosna... – popisał się czarnym humorem – trzeba światu dać popis...

Szarpiący zmysły terkot przerwał mu w pół zdania. Odruchowo przyklęknęli, zaciskając zęby, napinając mięśnie. Najpierw był ułamek sekundy pauzy. Potem wstrząs, jakby we wzgórzu władował się pociąg. Później przyszedł jazgot wybuchu. Ciśnienie zwariowało, w uszach zakłuło i na moment zabrakło tchu. Padli na ziemię. Szumiało, dzwoniło, nie potrafili zebrać myśli. Jakby kto z pięści przyłożył w sam nos.

Kiedy Karpacki zdążył pomyśleć, że jest cały, okazało się, że to nie koniec. To nawet nie był początek. Znow wstrząs, jakby ziemia miała się zapaść. Kurz i tynk zaczęły sypać się z sufitu, wdzierać szczeliną i wejściem od korytarzy.

Nie liczyli eksplozji, nie było sensu. Było jasne, że tłuką po nich, i to wszystkim, co mają.

Radiowiec padł pod stół, zwinął się w kłębek z rękami na odzianej w słuchawki głowie i podskakiwał przy każdym ciosie zadawanym pociskiem tej górze.

Karpacki wcisnął się w kąt, zaciskał zęby i oczy, chyba nie chcąc w to wszystko wierzyć. Ścisnął i chronił od kurzu lufę KBS 62, czegoś na kształt połączenia karabinka Maroszka i M-16. Była to broń polskiej produkcji, lubiana i chwalona przez sojuszników.

Telefon zadzwonił, podskakując na polowym stoliku przytwierdzonym do ściany.

Jagiełło był bardziej opanowany. Zareagował szybciej.

– Co? Ilu? – sapał w mikrofon. – Ewakuować teraz przecież nie możemy... Głusi jesteście?! – Łomot wybuchu rozszedł się po całym „Gwoździu” i nad górą wyrosła wielka kula płomienia, zaraz przeistaczając się w majestatyczny obłok dymu. Smród wdarł się każdą szczeliną.

– Amunicja?! – Karpacki otworzył oczy, otrzeźwiony.

– Może, i...? – Jagiełło udał, że nie wie, o co chodzi.

– Muszę iść, sprawdzić.

Porucznik poderwał się na klęczki i zdawało się przez moment, że oczekuje, aż ktoś go powstrzyma, ale Jagiełło tylko przytaknął. Minę miał taką, jakby zaraz miał rzucić: „Co patrzysz? Sprawdź, co u ludzi”. Zamiast tego wykrzyczał w huk:

– Przypilnuję!

Bartłomiej Karpacki jeszcze się wahał, jeszcze patrzył na wiarusa, sądząc może, że żartuje, że powstrzyma od głupoty, na którą nie wie, czemu się wyrwał. Ale nic z tego. „Chciałeś wojowania... Masz jak ojciec” – dziwny, nieznan głos zadudnił pod czaszką niemal jak artyleria.

Wreszcie porucznik zebrał się na odwagę. Podskoczył, uniósł karabinek bliżej ciała. Poprawił hełm, parciany pas z kaburą Visa A1. Lekko skinął głową, jak na pożegnanie, i ruszył w ciemny korytarz.

Nad cienkim stropem z betonowych płyt co raz rozlegał się ogłuszający huk, który rzucał Karpackiego na ziemię. Serce zamarło porucznikowi, kiedy za którymś razem dzwigał się na nogi. Wyobraźnia podpowiedziała potworną wizję tego, co by się stało, gdyby ten strop się zawalił. Zaraz pocieszył się na siłę, że ktoś mądrzejszy to wymyślił, a przynajmniej odłamki nie lecą na

czerep.

Bunkry rozmieszczono w dwóch liniach wkoło zbocza wychodzącego na północ, tam gdzie nieprzyjacieli. Było ich tyle, by dało się wszystkie obsadzić drużynami wzmocnionego plutonu piechoty, choć aż tylu ludzi nie było potrzeba na pierwszej linii. W chwili spokoju, jak zawsze w takich sytuacjach, wszystkich dzielono na trzy zmiany, a w momentach takich jak ten instrukcja zakładała trzymanie minimalnych obsad na pozycjach. Resztę ludzi przewidziano jako odwód dla uzupełniania strat czy odgruzowywania i ewakuacji rannych. Zresztą ta kropka na mapie, ta grupa ludzi była tu nie po to, by odpędzać hordy, bo na to nie było szansy. Ich zadanie polegało na tym, by bronić obserwatorów artylerii i lotnictwa, którzy w wypadku wznowienia działań mieli wezwać wszystko to, co czyhało na tyłach, i wybić z głów czerwonych generałów myśl o korekcie linii.

Nawet gdyby miało być źle, mieli połączenie z resztą brygady, drogę, którą można było przerzucić posiłki. Istniało też lądowisko, gdzie dało się posadzić dwa, trzy śmigłowce z ludźmi albo zaopatrzeniem, więc generalnie nikt nie przejmował się zbytnio atakami wroga. Ale teraz...

Porucznik Karpacki wszedł do schronu, gdzie siedziała czwórka ludzi z jego pierwszej drużyny. Ciągłe unosił się tu smród prochu i nagrzanego metalu. Pod nogami chrzęściły gorące jeszcze łuski.

Żołnierze poderwali się na widok dowódcy. Ich niegdyś zielone bawełniane mundury zrobiły się szarozółte od kurzu. Na hełmach nie było widać wzoru maskowania, twarze zmieniły się w cieką maskę brudu. Karpacki pomyślał, że jeśli wygląda tak samo, nie jest dobrze.

Pozapinali przeciwodłamkowe kamizelki, jakby były najpewniejszą ochroną. Trzymali w dłoniach broń, gotowi strzelać do każdego, kto podejdzie, ale porucznikowi zadudniło w głowie pytanie, czy byli jeszcze w stanie. Tam, gdzieś w dole, kłębiły się dziesiątki zwłok, w ziemię wsiąkała krew. Wielu z tych ludzi sami zabili. To było widać, wyzierało z ich półdzikich, szklących się oczu.

Zadrzało. Potężny kawał betonu opadł na ziemię. Ludzie mimo to stali wyprostowani jak na paradzie, chyba zupełnie pogubieni, przerażeni.

– Panie poruczniku... Co to będzie? Idą znowu? Co się dzieje? –

poleciała naraz lawina pytań i zakamuflowanych błagań o jedno słowo pocieszenia.

Oficer nie dziwił się ludziom. Przecież, do cholery, byli tu już rok. Dostyc. Mieli wracać do domu. Nabrali doświadczenia, on sam wprawił się jako dowódca. Gdyby w kraju coś szło nie tak, wiedzieliby, jak się walczy. Taka była polityka. Jeśli istniała szansa, kadra Wojska Polskiego, jak i mniejszych armii regionu, miała być utrzymywana w zdolności bojowej i nabierać doświadczenia, oczywiście wtedy, kiedy łączyło się to jako tako z interesem państwa.

Wojsko. Silne jak chyba nigdy w dziejach. Kosztowne, nowoczesne i na wpół zawodowe. W permanentnej gotowości, wysysając soki witalne z państwa, stało nad granicą, jak tama przed mającą nadejść kiedyś powodzią. Potrzebowało wielu doświadczonych ludzi.

Tyle że teraz porucznik Karpacki nie był zupełnie pewien, jak to będzie z tym doświadczeniem. Jak walczyć, co ma robić i czy dotrwa do końca tego... czegoś?

Popatrzył po ludziach, zasypujących go pytaniami, i przez chwilę pożałował, że sam nie przyodział kamizelki, ale zaraz uznał, że to wyszło na dobre. Myśleli może, że wie więcej. Że twardy jest, opanowany.

– Cisza! – Nie spodziewał się, że potrafi przekrzyczeć taki harmider. W żołądku mu się przewalało, sam wcisnąłby się w jakąś dziurę, ale nie mógł. Musiał być ponad to. Wrzask poskutkował. Umilkli i tylko patrzyli z ciekawości. Tego im było trzeba.

Porucznik otaksował wybetonowane pomieszczenie. Zrobili jak należało. Worki z piaskiem w szczelinie strzeleckiej, dwa karabiny maszynowe i granatnik zakryte płachtą, żeby nie nabierały brudu i nie uszkodził ich gruz. Skrzynki amunicji gotowe do użycia i wielka sterta łusek zepchnięta w kąt.

– Dobrze jest. – Właściwie nie wiedział, co ma mówić. Kłamał. – Trzymać się ścian, pilnować, żeby broń była sprawna. Zaraz pewno ucichnie – wyrzucał z siebie szybko, żeby głos mu nie zadrżał.

Telefon w stalowej obudowie wiszący u wejścia zawibrował od cichego dzwonka.

Dowodzący placówką barczysty, wielkoręki sierżant Fedak Kamyłow dopadł aparatu. Odebrał, chrząknął.

– Dwójka. Tak, cali. Jest, jest. – Wyciągnął dłoń ze słuchawką ku dowódcy.

– Chorąży Jagiełło – rozległo się z drugiej strony.

– Co tam? – Porucznik musiał przykryć drugie ucho, bo znów zaczęli grzmocić, jakby wiedzieli, że przeszkadzają. – Mhm – stęknął, by nie powiedzieć czegoś, co pokazałoby, jak przeraziła go nowina. Spiał się, wstrzymał oddech. Na chwilę pomogło. – Spróbuję sprawdzić, co w trójce i dalej. Do haubic zdążę? – chciał wiedzieć. – Mocno? Ach tak... Psiamać! – Potrząsnął karabinkiem. – Dalmierz... Dobra. – Odłożył słuchawkę do pudełka.

Zanim zdołał rzucić kilka zdawkowych pocieszeń i ruszyć do wyjścia, aparat znowu zadzwonił. Oficer odebrał, nie czekając na Kamyłowa.

– Co? Jak?! – Źrenice zrobiły się wielkie, twarz pobladła tak, że było to widać nawet pod warstwą kurzu.

Reszta popatrzyła po sobie. Niespokojny nastrój jeszcze się pogłębił.

– Lecą – wystękał Karpacki, zanim odłożył słuchawkę.

– Co? – Szeregowy Ziomko jakby nie słyszał. Zagrzmiało, jak gdyby piorun przetoczył się nad górą, ale w pobliżu nic nie wybuchło. Poszło daleko, tam gdzie droga.

– Odcinają – wyszeptał Kamyłow i przeżegnał się trzy razy, jak nakazywała prawosławna wiara.

– Co? – porucznik nie zrozumiał – Lecą. Samoloty lecą! – wydarł się bliski już zupełnej paniki.

– Nasze? – któryś zapytał, ale nikt się nie odezwał. Nie zdążył. Odpowiedź przyszła prędko.

Walnął grzmot, potem drugi. Krótki trzask w uszach, aż zaboląło. Potem świst i znów rąbnięto, bliżej wierzchołka, gdzie rozłożyła się bateria stuściomilimetrowych haubic, teraz podziurawiona sterta gruzów.

Znowu to samo. Rzut kilku bomb. Kurz, gorący podmuch i powtórka. Umykający ryk silników. I nagle... niemal cisza. Spokój.

Tylko dym pomieszany z kurzem unosił się wszędzie, wdzierał każdym otworem. Gryzł w oczy i gardło. Nawet odległy ostrzał jedyne szlaku ustał, choć w uszach jeszcze grało odbijane od wzgórz echo.

– No, po wszystkim. – Karpacki wstał i otrzepał mundur. – Sukinsyny... Bombardują. – Wyraźnie mu ulżyło. Nawet zdobył się na krótki, nerwowy uśmiech. W ustach zaschło. Dopiero wtedy to poczuł. I przyszedł strach, co z innymi.

Pojął, że właśnie został obrzucony bombami, pierwszy raz w dorosłym życiu. Wojny w domu wszak nie pamiętał dobrze.

– Idę sprawdzić, co u reszty... Jakby dzwonili, to mówcie – rozkazał.

– Tak jest. – Sierżant wyprężył się.

Bartłomiej Karpacki ruszył wysokim, osłoniętym korytarzem prowadzącym w głąb pozycji. Nie miał na to ochoty i błagał Boga, żeby wytrzymać. Wiedział, że na stanowisku artylerii dostali najmocniej. Na samym końcu, a do tego jeszcze te samoloty. Coś, czego nikt nie widział tu chyba od zawieszenia broni.

Wdrapał się na szczyt betonowych schodów, do stalowego wjazdu, który zakrywał wejście do lichego systemu tuneli. Nozdrza natychmiast wypełnił przykry zapach, pomieszanie spalenizny, kordytu i jeszcze czegoś potworniejszego. Oczy długo musiały przywykać do jasności dnia.

Było bardzo ciepło, a może tylko mu się zdawało.

Może zadziałał tak widok, który ujrzał Bartek.

Nagie, szare wzgórze z kilkoma zaledwie kępami niskich badyli, teraz osnute leniwie wznoszącym się obłokiem.

Oficer poruszył nogami, jakby nie był pewien, czy chce iść dalej, albo jakby strach go powstrzymywał. Przemógł się.

Tam za wierzchołkiem, na kawałku płaskiej przestrzeni, gdzie było stanowisko obserwacyjne, gdzie w betonowych komorach ustawiono zamaskowane haubice, buchały płomienie.

Leje rozsypały się gęstą siecią, a ziemię zakryły kawałki skał i metalu.

Oficer przeszedł kilkadziesiąt metrów. Wieża dalmierza, cudu elektroniki, wygięła się ku ziemi. Działa rozniosło jak zabawki, łamiąc łoża i ogony. Wszystko było strzaskane i pomieszane. Dalej, tam gdzie wejście do składu amunicji, ział czarny smolisty otwór buchający językami płomieni. Ktoś krzyczał. Paru ludzi snuło się jak w transie. Jakiś sanitariusz ganiał od jednego do drugiego, sprawdzając, czy są w szoku, czy ranni.

Nie było widać wielu. Bartkowi przychodziło na myśl jedno. Straty. Duże straty. Zaczął się pocić. Miewali ostrzały, rannych, zabitych, ale teraz...

– Żołnierzu. – Złapał za ramię pierwszego, który się nawinął, kuczającego nieboraka bez hełmu, w podartym mundurze, o osmalonej twarzy i nieprzytomnym spojrzeniu. Krew sączyła mu się z uszu. Karpacki chciał pomóc, złapał za pokrowiec opatrunku przy pasie, ale kiedy przyjrzał się dokładnie, pojął, że człowiek raczej nie jest ranny.

– Dowódca gdzie? – Potrząsnął żołnierzem. – Rozumiesz? Porucznik Rymkowski?

– Rym... – chłopak przełknął ślinę – pan porucznik... – Skinął przez ramię, wytrzeszczył oczy. – Prosto w nas... Prosto... – Zakrył twarz dłońmi.

Karpacki wstał. Poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Popędził do wejścia, gdzie znajdował się schron artylerzystów, ale nic nie mógł poradzić. Spadło blisko. Kupa gruzów. Tych kilku jakoś wylazło albo byli gdzie indziej.

– Wygrzebać – powiedział do siebie. Zaczął kręcić się w koło, szukać pomocy i zrozumiał, że prócz rannych, medyków i jego samego nie ma nikogo. On dowodził. Nie dał rozkazu, żeby opuścić stanowiska. Wojsko miał zdyscyplinowane. To był fakt.

Rzucił się na powrót w stronę tunelu, do telefonu, ogłaszać, że trzeba odgruzować nieszczęśników za wierzchołkiem, kiedy od północy stęknęły głuche puknięcia.

Karpacki wiedział, co to. Znał ten dźwięk. Mniejsze kalibry włączały się do koncertu. Moździerze. Chińczycy lubili je podprowadzać za nieodległe szczyty i prac co jakiś czas, prawie na oślep, tak dla zabawy i poszarpania

nerwów.

– Jeszcze się wam nie znudziło – syknął z nienawiścią oficer. Parę granatów poleciało w niebo i po długiej ciszy poszybowało ku ziemi, tam gdzie pola minowe, z głośnym terkotem.

Rwały się jeden przy drugim. Potem doszły dźwięki eksplodujących min. Polak padł na ziemię. Znow górze otoczyła chmura nieprzeniknionego dymu. Na przedpiersiu zagotowało się od odłamków i hałasu. I jakimś cudem przez ten nieopisany harmider przedarł się odgłos zupełnie tutaj niepasujący.

Coś jakby... Tak, to była trąbka. Jagiełło i ludzie, którzy walczyli tu dziesięć lat temu i wcześniej, chwalili się, że słyszeli ten sygnał. Dziś już wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Sygnał, okropny, teraz wręcz surrealistyczny, jak odgłos z innych czasów. Sygnał do kolejnego ataku. Chwilę później wszystko zawirowało, zwariowało.

Dallas, Teksas, Stany Zjednoczone | 22 listopada 1963

Dzień był piękny, słoneczny. Dlatego też wzdłuż ulic zebrały się całkiem spore tłumy. Choć miasto było dominium republikańskim, ludzie chcieli zobaczyć swojego młodego prezydenta i jego małżonkę, która chyba po raz pierwszy w historii przyciągała taką samą uwagę jak głowa państwa.

Na odcinku pustawej Ross Avenue tłum był rzadszy. Zdawał się przypadkowy, jak gdyby przechodnie właśnie dowiedzieli się, że nadjeżdża prezydent, więc przystanęli na chwilę. Jednak wielu było gotowych i wiedziało, po co przyszli. Mieli szesnastomilimetrowe kamery, aparaty fotograficzne.

Około jedenastej czterdzieści sześć do zebranych doleciał odgłos syren policyjnych motocykli i radiowozów, które eskortowały czarnego lincolna i pozostałe auta.

Lekko opalony blondyn o wysportowanej sylwetce, którą maskował luźniejszym ubiorem, popatrzył na okolicę poprzez szkło celownika.

Przyjrzał się paru osobom po drugiej stronie. Kilku emerytów, jakiś mężczyzna w kowbojskim kapeluszu i spora grupa dzieciaków, szczerzących zęby w podnieceniu, że ujrzą prezydenta. Tłumek robił się gęstszy, jakby

narastający dźwięk syren przyciągał. Ludzie podbiegali do krawężników, wyciągając szyje, chyba bojąc się, że ciekawych widoków dla nich zabraknie.

Ulicą przemknął biało-czarny radiowóz. Nie jechał za szybko, a siedzący wewnątrz funkcjonariusze zdawali się strofować ludność. Znów na kilka chwil zrobiło się pusto i po kolejnej minucie zza rogu błysnęły w słońcu chromy pierwszych motocykli eskorty.

Tłum się zakołysał, ożył niespodzianie. Zaczął krzyczeć, machać. Każdy chciał być zauważony przez parę prezydencką. John i Jackie robili, co mogli, odwzajemniając pozdrowienia i uśmiechy, ale kolumna jechała dość szybko i to wiekopomne dla wielu spotkanie trwało ułamek sekundy.

Blondyn przycisnął oko do wizjera. Napiął mięśnie, celując tam, gdzie planował. Ustawiał odległość, obliczał czas opóźnienia bardzo precyzyjnie. Przygotowywał się.

Motocykle przemknęły. Wstrzymał oddech. Czarna, długa limuzyna. Krzyżyk, wycelowany idealnie w sam środek sylwetki. Kciuk się zacisnął.

Tak, blondyn był pewien, że wykonał wszystko idealnie.

Opuścił aparat i uśmiechnął się sam do siebie, wodząc wzrokiem za odjeżdżającą kolumną. Nie po to go wysłano, ale i tak z trudem opanował nerwy. Wziął kilka oddechów, schował aparat do futerału, próbując zapanować nad drżeniem rąk, i jak inni, nieśpiesznie ruszył w stronę centrum. Przedstawienie się skończyło.

Przystanął. Coś go tknęło. Uniósł wzrok na kwadratowy żółty budynek, składnicę książek. Tam też, według nieaktualnego planu, ktoś miał obserwować kolumnę.

Przeszedł go dreszcz. „Gdyby to wyszło?” – zapytał sam siebie, wgapiając się w wysokie okna, gdzie miał być ten drugi.

„Gdyby wyszło?” – powtórzył w myśli, nawet chyba zawiedzony, że wszystko odwołano. A przecież plan był dopięty wprost idealnie.

Kubinka, ZSRS | 25 lutego 1964

Trybunę honorową dla obserwatorów osłonięto od wiatru, który tam

dalej, na płaskim jak step poligonie, hulał do woli. Zmrożona już ziemia drżała pod gąsienicami dziesiątków czołgów, które z rykiem motorów, w obłokach spalin pędziły przed gośćmi.

Zgrupowane w robiącą najlepsze wrażenie formację w klin czołgi T-55 bluznęły salwą jak na jakiś rozkaz, kiedy tylko zrównały się z trybuną.

W górę trysnęły grudki ziemi i śniegu, wozy przyspieszyły i poszły dalej, zaraz znów dając ognia.

Zebrani pod zadaszeniem oficerowie, kilku wizytatorów z partii i dyplomaci z paru zaprzyjaźnionych krajów, choć zmarznięci, byli zadowoleni, kiwali głowami z uznaniem dla widowiska. Jednak każdy ukradkiem, niby przypadkiem, zerkał w miejsce, gdzie za drewnianym stołem obitym zielonym materiałem zasiadał wraz z dowódcami okręgów wojskowych marszałek.

Fiodor Kuzniecowa postarzał się wyraźnie ostatnimi czasy. Zupełnie już posiwiiał, twarz pokryły głębokie bruzdy zmarszczek, wychudł znacznie. Choć to akurat była zwykła przypadłość w tym kraju.

Coś wyraźnie trapiło go, i to nie od wczoraj. Kilka ostatnich lat przyniosło zmartwienia największe chyba od końca wojny. Zawieruchy w Azji, wiele innych spraw w świecie.

Teraz obserwował paradę bez specjalnego zainteresowania, wodząc zmęczonym wzrokiem za czołgami. Nagle twarz starego marszałka nabrała rumieńców i oficer wyprostował się na krześle. Przystawił do oczu lornetkę. Coś przykuło jego uwagę.

Reszta zebranych szybko powtórzyła ruch, szukając tego, co tak zaciekawiło weterana.

Tylko dowódcy poligonu i ci, którzy szykowali to przedstawienie, wiedzieli, co się wydarzy. Stepem, porośniętym tylko kępami krzaków, gdzieś z ukrytego parowu nadjeżdżała kompania czołgów.

Były inne, nowe. Najnowocześniejsze w całej armii. Pędziły z gracją, pokonując nierówności dzięki lepszej amortyzacji podwozi.

Kuzniecowa nie spuszczał oczu z tej kawalkady. Imponowały mu, były jak

jego dzieci. Nowe, potężniej uzbrojone... T-62. I nie miało znaczenia, że tych kilkanaście wozów nie stanowi żadnej przewagi, jest niczym na współczesnym polu walki, zwłaszcza kiedy idzie o siły i środki drugiej strony.

Huknął wystrzał, idealnie zgrany, potem drugi. Zaszumiały niesione w dal pociski. Marszałek uśmiechnął się szeroko. Odłożył lornetkę i nabrał głęboko powietrza. Może było ich niewiele, może teraz wszystko zależało od mocy atomu, ale to był oręż, który dawał najwięcej wrażeń. Ten łoskot, szybkość, strach u wrogów. Wiedział też, że polecenia poszły, fundusze się znalazły. Wyciskali na te pancerne kolosy wszystko, co mieli. Nie minie rok, a będzie ich więcej, znacznie więcej...

– Towarzyszu marszałku – Kuzniecowa z rozmyślań o wielkich planach wyrwał głos jego przybocznego, Aloszy Darijewa.

Niespełna czterdziestosiedmioletni generał, postawny, prosty jak struna, dawny dowódca pułku powietrznodesantowego, pochylał się nad uchem ministra obrony.

– Czeka. Mamy piętnaście minut – oznajmił szeptem, bacząc, czy nikt nie podsłuchuje.

Kuzniecowa tylko skinął nieznacznie.

Teraz liczył się każdy gest albo raczej ich brak. Absolutne opanowanie.

Marszałek odczekał, aż pokaz się skończy. Głos z głośnika oznajmił, że czas na poczęstunek w nieodległym kasynie. Kuzniecowa wstał, bijąc brawo. Potem zamienił kilka słów z generalicją, ale przede wszystkim z dyplomatami. Kuba, Syria czy inne dość egzotyczne państwa gotowe były jeszcze kupować ich broń i zasilić budżet tak potrzebnymi dewizami. Po to głównie był ten pokaz.

Rozmawiając i dowcipkując, wszyscy udali się do aut. Marszałek zasiadł w terenowym GAZ-ie i kazał się wieźć prędko, przed resztą kolumny.

Liczył, że w tym tłumie nikt nie będzie miał za złe pośpiechu. W końcu miał czynić honory gospodarza.

Kasyno, zwykły polowy barak w niedużym kompleksie podobnych

budowli zaplecza wizytacyjnego, stało na uboczu, w szarym zagajniku nagich drzew.

W pobliżu nie było innych wozów.

Kuzniecowa nakazał szoferowi zaparkować i czekać na wezwanie.

Wysiadł. Poprawił połowę kurtkę przepasaną oficerskim pasem i ruszył ku drzwiom prowadzącym na zaplecze.

Wartownik był jeden. Kuzniecowa go znał, ufał mu. Nikomu innemu nie pozwoliłby brać w tym udziału. Podał wspaniałomyślnie dłoń.

– Bez problemów? – zapytał z przyzwyczajenia.

– Tak jest – odparł młody, chudziutki porucznik. – Czeka w składziku...

– Wskazał drugie drzwi w ciemnym, pachnącym stęchlizną korytarzyku.

Marszałek przeszedł kilka metrów i z prawej doleciały go odgłosy krzątających się kucharzy, przygotowujących ten niewielki bankiet.

Nie był pewien, czy aby wszyscy zastosują się do poleceń wartownika, by pod żadnym pozorem nie wchodzić do tej części baraku, więc postanowił się pośpieszyć.

Zapukał, nacisnął klamkę. Gość, dobrze zbudowany, średniego wzrostu, poderwał się zza lichego wojskowego stolika. Poza tym meblem i dwoma krzesłami pomieszczenie było puste.

Uprzątnięto je chyba, by takie osoby nie musiały wycierać się o zakurzone skrzynie i gnijącą cebulę.

– Powitać, Leonidzie Iljiczu – oznajmił półgłosem minister, tak by nikt nie słyszał. Zaraz też wyszczerzył się w najserdeczniejszym z arsenału swych uśmiechów. Prędko zamknął drzwi.

Wyciągnął dłoń, którą gość złapał z namaszczeniem i potulnie się pokłonił.

– Usiądźmy. – Marszałek wskazał krzesło, rozpinając kołnierz kurtki. Teraz zrobiło mu się ciepło. Zastanawiał się, czy to dlatego, że barak był tak dobrze ogrzewany, czy z emocji.

W spotkaniu z człowiekiem, którego miał przed sobą, nie przewidywał

komplikacji. Miał wszystko pod kontrolą. Jak zawsze, od lat. Wiedziało tylko kilka osób, łącznikiem był Darijew... obaj Darijewowie. Ufał im wprost bezgranicznie, co rzadko się zdarzało.

Więc nie mogło pójść źle. No chyba że ten drugi coś sknocił. Gadał za wiele... Ale z tego, co było wiadome, co donosił aparat ukochanego przez Kuzniecowa Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego, nic na to nie wskazywało.

Z klęsk poprzednich lat dało się wyciągnąć wnioski. Kiedyś, kiedy próbowano obalić sekretarza, głównego lokatora Kremla, spiskowców gubiło gadulstwo i zbyt przerost armii „zaufanych”. Wiele plotek, teorii i brak rozeznania, kto swój, a kto nie.

Teraz, gdy samemu marszałkowi przyszło szykować rozszady, kiedy i on został oszukany, takich błędów być nie mogło. Zresztą siedzący naprzeciw prawie sześćdziesięcioletni, zaokrąglony mężczyzna o bujnych brwiach i czarnej, zaczesanej w tył czuprynie, przejmował się bardziej niż Kuzniecowa.

Co rusz to nerwowo się uśmiechał, to poważniał, nie bardzo wiedząc, co robić z rękami. Niby ukradkiem patrzył po ścianach, pewnie usiłując znaleźć mikrofony.

Kuzniecowa z wysiłkiem opanował grymas rozbawienia cisnący się na twarz. Wróciło kilka wspomnień. Historia zataczała koło. Znów tajne spotkania, postronne nory.

– Jak podróż? – odpędził dawne czasy kurtuazyjnym pytaniem.

– Dziękuję, towarzyszu marszałku. Wasi ludzie dobrze mnie ukryli, chyba nikt nie widział.

– Doskonale. – Kuzniecowa oparł przedramiona o stół i wpił spojrzenie w gościa. – Mamy niewiele czasu – mówił ze skupioną, wręcz marsową miną. – Jesteście przekonani? – Zbyteczne, acz uprzejme pytanie z jego strony. Nie musiał nic, miał tamtego w garści. Gdyby się opierał, można było zeznać, że to druga strona parła do spisku. Choć kogoś tak popularnego trudno byłoby znaleźć, a wywindować jeszcze trudniej.

– Tak jest, towarzyszu marszałku. – Leonid Iljicz spoważniał, nabrał pewności.

– Dobrze, dobrze, bardzo mnie to cieszy. – Kuzniecowa nie potrafił powstrzymać krótkiego uśmiechu. Westchnął głęboko, jakby potrzebował dużo sił na to, co chciał powiedzieć. – Zajmę się pozostałymi, ale ostatni ruch... Jak wam przekazywałem. Zastawienie sideł zależy od was. Rozumiecie? – Zmarszczył brwi.

– Rozumiem, towarzyszu marszałku. – Gość skinął głową, nie spuszczać oczu. – Proponowałbym... – odezwał się pierwszy raz niepytany – jeśli pozwolicie... – odpowiedział, naprawiając, jak sądził, afront.

Kuzniecowa zezwolił ruchem głowy.

– Proponowałbym marzec. Ma być podróż zagraniczna, potem kilka dni urlopu. Wcześniej jest ciągle w Moskwie. Nie ma manewru...

Kuzniecowa słuchał uważnie, analizował. Zgodnie ze swoją naturą szukał podstępów, choć cienia. W słowach, tonie, mimice, fizjonomii gościa. Zaniepokoił się, że jest za stary, że traci dawne umiejętności. Jednak wszystko zdawało się w porządku.

– Dobrze. Podoba mi się – powiedział wreszcie ze szczerym uczuciem ulgi.

Napięcie zeszło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przekroczyli Rubikon.

– Wiosna. Postanowione – było jak rozkaz. Marszałek wstał. – Informujcie mnie, gdyby coś ciekawego zaszło... Ale nie sądzę. Wszystko idzie po naszej myśli. Z ludźmi z biura nie będzie kłopotów. Zrozumieją potrzebę chwili, a jeśli nie... – wzruszył ramionami – cóż...

Znów skrzywił się w krótkim uśmiechu.

– Zostańcie tu. Każę przysłać po was auto, tak żeby nikt nie dojrzał. Potem ani słowa o tym spotkaniu... – Uniósł palec w ganiącym zawczasu geście. – No i przede wszystkim – rozpromienił się – bardzo, bardzo wam dziękuję.

Warszawa, Polska | 26 lutego 1964

Jan Węgliński poprawił krawat. Wszystko musiało być idealne. Munduru

nie nosił dawno, ale dbał o wygląd, jakby nic się nie zmieniło. Stare przyzwyczajenia, a może konieczność ciągłego udowadniania, że nie ma zamiaru w niczym więcej popełniać błędów.

Odruchowo powiódł palcem po starych bliznach na twarzy. Co rusz sprawdzał, czy ta szpetna pamiątka nie robi się większa. Taka niewielka fobia, nad którą był w stanie zapanować, zwłaszcza kiedy upewniał się, że ślady oparzeń i odłamków na policzkach i przy oczach z wiekiem są coraz trudniej dostrzegalne.

Wziął łyk herbaty. Rzucił okiem na włączony telewizor. O tej porze leciały jakieś powtórki seriali i kreskówki dla dzieci, które jeszcze nie chodziły do szkoły.

Jego Mikołaj chodził już do czwartej klasy, więc to nie był program dla niego. Ale sam Węgliński lubił oglądać te historyjki. To kino w domu... Za swoich czasów nie miał takich atrakcji. Poranny seans był jak przyzwyczajenie, odkąd kupili telewizor. Złodziej czasu, ale i prześwietny gadżet, któremu Jan Węgliński nie potrafił się nadziwić od prawie siedmiu lat.

Cały rok wstawał wcześnie, jeszcze przed Karoliną. Szedł po gazety, wszystkie najciekawsze i największe, i przeglądał. Miał w tym pewne zadanie, a może i zabawę.

Prócz informacji z życia politycznego – nieco zbyt spokojnego i stonowanego, jak na jego przedwojenne wspomnienia – lubił wyszukiwać „smaczki”. Wrzutki różnych nie do końca odpowiednich instytucji, ale i przecieki ze swojej pracy.

Co do instytucji, mimo szczelnego jak nigdy parasola ochrony i weryfikacji, istniały poważne podejrzenia, że wiele firm i agencji informacyjnych czerpie z niewłaściwych źródeł albo z nich jest kierowana.

Sowieci może ponieśli klęskę, z trudem odbudowywali komunistyczny kraj, pompując przy tym lichej blok sojuszy, ale wywiad, dezinformacja jak zawsze błyszczały.

Tego zimowego poranka nie było jednak wiele do czytania. Trochę komentarzy na temat zysków z mającego powstać gazoportu. No i sprawa

najważniejsza w tym roku – planowana wizyta prezydenta USA, który szykował się do, jak się wydawało, zwycięskich wyborów i teraz triumfalnie miał objeżdżać sojuszników. W Europie zaczynał w kwietniu od Warszawy. Reszta wieści była nudna.

Jan wyłączył telewizor, odstawił kubek do kuchni. Narzucił marynarkę i płaszcz. Założył kapelusz z modnym ostatnio wąskim rondem.

– No to cześć. – Wychylił głowę zza futryny sypialni. Karolina kończyła makijaż przy toaletce.

– Pa, pa! – Posłała mu zwyczajowy, codzienny uśmiech. – Odbiorę Mikołaja... – rzuciła jeszcze. Węglińskiemu ulżyło. Nie mógł wciąż wychodzić wcześniej, żeby odbierać syna ze szkoły. Nie w tej firmie.

Chłopak był na tyle duży, żeby samemu wracać po lekcjach, ale... Nie w tej firmie. Wewnętrzne przepisy regulowały i to.

Jan pożegnał syna, który dopakowywał książki do teczki, i wyszedł.

Dzień był piękny. Słońce świeciło raźnie, choć przez bezchmurne niebo zrobiło się zimno.

Ku wielkiej uldze Jana auto nie zamarzło. Widać producent polskiego Forda przygotował wozy na rodzimy klimat. Węgliński włączył radio i słysząc pierwsze takty któregoś ze szlagierów Szpilmana, przerzucił fale w poszukiwaniu czegoś bardziej młodzieżowego.

Radiostacji było kilka, więc mógł wybrać coś z tym big beatem czy, jak to zaczęto określać, rock'n'rollem, i to w polskim wykonaniu. Ta muzyka też podobała mu się tak samo jak filmy rysunkowe w domowym kinie.

Czarny metalik ruszył spod kamienicy w nowo powstałej dzielnicy pięciopiętrowych budynków, usytuowanej wzdłuż ulicy Sobieskiego na dolnym Mokotowie, i popędził szeroką aleją.

To był koniec miasta. Jeszcze widać było rusztowania kilku budów, gdzie zapełniano dziury po ostatnich wojennych zniszczeniach. Czerniaków, Mokotów, tutaj kończyło się powstanie, potem Niemcy dołożyli swoje, a na koniec... w czterdziestym piątym leciały tu amerykańskie bomby.

Auto przemknęło obok zatarasowanego wjazdu na powstający most,

który podobno miano przerzucić przez Wisłę następną wiosną. Jeszcze jeden punkt na liście odważnego planu rozbudowy stolicy.

Ruch w tę stronę nie był wielki. Co chwilę Węglińskiego dopadała wesoła konstatacja, że ludzie naprawdę zapomnieli o wojnie. Widział to po tych stadach aut, które kupowano już prawie tak często jak w Ameryce.

Tanie, solidne autka, produkowane przez fabryki Forda i polskie PZInż, zalały kraj, który po prawie dwudziestu latach, z pomocą planu Marshalla, wreszcie stawał na nogi.

I to jak nigdy przedtem.

Jan minął Wilanów i nieco zwolnił. Miał sporo czasu. Dojazd był dobry. Na wysokości Powsina skręcił w lewo w gęsty, niezbyt stary las.

Droga była dobra, równa, nowa i... pusta. Sznurek szarego asfaltu w samym środku lasu.

Jeden zakręt, potem drugi. Prócz tego nic.

Jan wiedział, że to „nic” wymaga dziesiątków patroli, punktów obserwacyjnych i najnowszej techniki telewizyjnej.

Przy końcu szosy pokazała się zwykła brama. Długa na trzy metry, szara jak asfalt i osadzona w murze z cegły, choć bliższym fragmentom nadano bardziej elegancki wygląd, pokrywając je piaskowcem.

Wartownik pokazał się jak co dzień, bezszelestnie. Budkę z kamerą miał ukrytą między drzewami i pomalowaną maskującym kolorem. Wiosną i latem nie sposób było jej dostrzec nawet z niewielkiej odległości.

Węgliński bez wezwania opuścił szybę i pokazał usztywnioną plastikiem przepustkę. Powtarzał to miesiącami, odkąd przeniesiono tu „fabrykę”, ale wiedział, że ta rutyna to obowiązek dla nich obu.

– Dzień dobry – rzucił grzecznie do strażnika.

– Dzień dobry. – Ten uważnie przyjrzał się zdjęciu, numerowi i nazwisku. Odszukał na liście. Zgadzało się.

Wartownik wrócił do budki, wcisnął przycisk i brama zaczęła wolno się przesuwac.

Teren za murem niczym nie różnił się od tego przed nim. Gęsto nasadzony las, szosa. Tylko w gąszczu ulokowano więcej płotów i zamaskowanych zasieków.

Kilometr dalej drzewa ustępowały placowi, na którego środku królował płaski, przeszklony „bunkier”. Nowoczesna na wskroś budowla, duma armii, symbol rosnącego znaczenia kraju – jak kiedyś, jak w dawnych czasach.

„Bunkier”, „fabryka” albo bardziej niemiło – „kancelaria” powstała w roku 1961. Była to, najzwyczajniej rzecz ujmując, siedziba Oddziału II Sztabu Generalnego, tak zwanej „Dwójki”.

Kiedy po latach trudów odbudowano wysadzony przez Niemców Pałac Saski, sadowiąc w nim zgodnie z tradycją Sztab Generalny, prędko okazało się, że mimo modernizacji i pewnych udogodnień budowla nie pasuje do warunków współczesnych konfliktów, tych zimnych i tych gorących.

Uznano, że trzymanie sztabu i wywiadu w jednej budowli stanowi ryzyko, zwłaszcza w czasach, kiedy naloty można prowadzić coraz precyzyjniej.

Polska jako kraj „frontowy”, zwany przez wielu lotniskowcem, musiała dbać o bezpieczeństwo i ciągłość działania służb i wojska, jak się dało najlepiej.

Stąd też idea przeniesienia jedynej organizacji wywiadowczej i kontrwywiadowczej poza obręb stolicy. Krótko pracowano w starej dobrej Cytadeli, ale i ona była już zbyt archaiczna.

I tak oto, na wzór sojuszniczej CIA, wzniesiono biały kawał betonu ukryty w specjalnie zasadzonym lesie, nieopodal Warszawy. Nie za daleko i nie za blisko. Gdyby przyszło ściągać sowieckie bomby i rakiety, nikt więcej nie miał ucierpieć. Choć przed bombami budowlę zabezpieczono nieco lepiej. W przypadku uderzenia rakiet z głowicami nuklearnymi... i tak nic by nie pomogło.

Jan zaparkował na swoim miejscu na podziemnym parkingu. Miał ten przywilej.

Udał się do windy i zaraz był w „tajnym hallu”, gdzie mógł okazać przepustkę, zawartość teczki i ruszyć na swoje piętro.

Mimo że zajmował stanowisko szefa analityków, nie odpuszczano procedur nawet wobec niego. Nie, nie chodziło tu o jego „błędy młodości”, kiedy zdarzyło mu się wyjawic nieopatrznie kilka ważkich spraw. Po wypadkach sojuszniczych wywiadów, problemach z kretami we własnych szeregach stawiano na ochronę w każdym aspekcie.

Jan Węgliński godził się posłusznie. Nie miał wyboru. Dobry Bóg był łaskawy. Pozwolił mu wydobrzeć po walce w zamku, który teraz nazywano Książ, walce tajnej i ukrytej w annałach wywiadu. Później pozwolił Węglińskiemu zachować wzrok i zesłał amerykańskich ekspertów, którzy dla specjalnych pacjentów mieli specjalne, nowatorskie metody leczenia. Jednak mozolny powrót do zdrowia, rehabilitacja połamanych i poparzonych nóg zostawiły ślad w osobowości Jana.

Karolina Ritt trwała przy nim, porzuciwszy służbę w armii, ale on wydawał się być półkaleką, niepotrzebnym, targanym wspomnieniem głupoty, którą pobudzała pewna blondwłosa Amerykanka.

A przecież nie był stary. Chciał coś robić, kiedy kraj wielkim nakładem pracy i funduszy, chroniony amerykańskim arsenałem, mógł się podnosić z ruin.

Być może nie wygrali, jak chcieli, ale pokój należał do Polski. Żadnych Lig Narodów, dziwnych traktatów. Wyrwali z wysiłkiem, ile mogli, powiększając terytorium, i na kilka lat odepchnęli groźbę nowego konfliktu. I choć daleko w świecie rozbłysnął płomień egzotycznej wojny, a Polska w ramach solidarności posłała swój kontyngent, tu sprawy toczyły się dobrze.

I wtedy nadszedł nowy cud. W roku pięćdziesiątym siódmym szefem „Dwójki” mianowano pewnego młodzika. Mówiono, że nowe, młodsze pokolenie bierze ster we własne dłonie. Byli to w większości weterani zaprawieni w bojach z Niemcami i przede wszystkim Sowietami, ale i tak ci starzy, jeszcze przedwojennej proveniencji, uważali, że ryzykują.

Ten młody, kompletując swoją ekipę, nie zapomniał o majorze Węglińskim, którego po latach pobytu na fikcyjnym etacie mianowano podpułkownikiem i odesłano na rentę. Długo wazono plusy i minusy bogatej biografii bądź co bądź dzielnego człowieka i po przesłuchaniu przed specjalną komisją uznano, że może on wrócić. Oczywiście nie w pole, nie do

spraw wywiadowczych, bo tu zaszły kolosalne zmiany, ale na inne, nie mniej istotne stanowisko. Do działu analizy. A nuż przyjdzie czas, że będzie można wykorzystać go do czegoś jeszcze ważniejszego.

– Witaj, Basiu. – Jan uśmiechnął się do sekretarki i zaczął zdejmować płaszcz. Kobieta miała rude włosy, tego dnia upięte w kok, była zgrabna, atrakcyjna. Niewiele starsza od Karoliny, dlatego też małżonka czasem w chwilach gniewu z przekąsem pytała, co u sekretarki. Nie miała podstaw do niepokoju. Tutaj nie było miejsca na romanse i sztubackie zachowania. Zresztą Węgliński pilnował się teraz we wszystkim.

– Kawy, panie pułkowniku? – Barbara odwzajemniła uśmiech, stając za biurkiem.

– O tak... poproszę. – Jan chwycił teczkę. – Piękny dzień... Jak wiosna. Jest coś? – zadał rutynowe pytanie, choć wiele się nie spodziewał.

Basia musiała czekać na zapytanie, bo uśmiech prędko jej zbladł.

– Szef – zabrzmiało jak gong. Kobieta uniosła na moment oczy ku górze, dając jasny znak, o którego szefa idzie. – Kazał przekazać, że chce pana widzieć... Jak tylko pan...

Jan westchnął. Coś ciekawego musiało wisieć w powietrzu, bo szef „Dwójki” prócz rutynowych narad i odpraw bardzo rzadko wzywał do siebie. Starczyły mu raporty i stopa towarzyska. No przecież znali się od lat... Nie raz powąchali prochu.

Biuro szefa Oddziału II było przestronne, odpowiednio do funkcji.

Ściana okien, wychodzących na patio poniżej oraz na zieloną połąć lasu poza budynkiem, dawała wiele naturalnego światła. Przy wejściu po prawej znajdował się długi stół konferencyjny, jednak nie używano go zbyt często. Oficjalne delegacje wpadały tu tylko na chwilę. Poważne sprawy dyskutowano w wyciszonych pomieszczeniach w głębokim podziemiu.

Tu rozmawiano o pogodzie i głupstwach na zestawie sof i foteli ze skóry, przy eleganckim barku i stoliku.

Jednak co miało robić wrażenie na sojusznikach, to zwieńczenie tej długiej, obitej boazerią sali.

Nad biurkiem wisały wszelakie trofea szefa placówki. Mundur, w którym wojował pod Poznaniem. Zdobywcze hełmy, bagnet i przede wszystkim dwa dyplomy oraz repliki krzyży Virtuti Militari, które otrzymał za bitwę i pojmanie całej wierchuszki komunistycznych kacyków.

Służba wywiadowcza w Polsce była strukturą wojskową, a jej szef był weteranem, tak więc taki obrazek za jego plecami robił spore wrażenie na gościach z Zachodu, gdzie szefowie byli już tylko urzędnikami.

– Panie generale... – Węgliński stanął na baczność u końca stołu i jak zwykle miał nieodparte wrażenie, że ten cały gabinet się wydłuża – podpułkownik Jan Węgliński melduje swoje przybycie. – Nie musiał, ale coś pozostało w nim z mundurowego żywota i chciał to co jakiś czas uzewnętrznić.

Generał brygady Paweł Przeszło-Stępniakowski, drugi po Bogu – jak szeptali jego rywale, głównie spadkobiercy obserwatorów politycznych podchodów na Zachodzie, owładnięci rodzącą się modą na ogólne rozbrownienie – ubrany w ciemny dopasowany garnitur stał na baczność niczym na paradzie i tylko twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Bawiła go ta służbowa przypadłość starego przyjaciela.

– Powitać, powitać pana pułkownika. – Podeszedł i uściśnął Janowi dłoń. – Siadaj. – Wskazał bez ceregieli skórzany fotel w rogu. – Kawę zdążyłeś wypić?

– No właściwie... – Jan pokręcił głową. – Spać nie możesz czy jak? Czemu tak wcześnie? Raport złożyłem...

– Daj spokój. – Generał rozparł się w fotelu, kładąc łokcie na wysokich miękkich oparciach. Patrzył chwilę w oczy Jana, mrużąc powieki, jakby odpływał myślami albo rozważał wątpliwości. – Ja też nie piłem... – Ocknął się. Zerwał się, pomaszerował do drzwi i otworzył. – Poproszę dwie kawy – polecił komuś w sekretariacie.

Wrócił do biurka, wziął kawałek papieru i pióro.

– Piękna pogoda, co? – Przeszło-Stępniakowski znów się uśmiechnął. Sztucznie, zawodowo. Węgliński zaczynał powoli rozumieć, po co to wszystko. Skrawki wspomnień ze szkoleń powracały z całą mocą. I podobało

mu się to. A może na razie wyobraźnia za dużo by chciała?

Rozmawiali o wszystkim i o niczym, póki ktoś nie zastukał do drzwi. Weszła sekretarka, pchająca wózek z kompletem kawowej porcelany. Była pod sześćdziesiątkę, nieco przy kości, bardzo miła i profesjonalna. Posłała obu uprzejmy uśmiech, zapytała, czy coś jeszcze potrzeba, ale generał podziękował i poprosił, żeby im nie przeszkadzać.

Gdy tylko za kobietą zamknęły się drzwi, od twarzy Przeszło-Stępniańskiego odkleił się sztuczny uśmiezek.

Złapał za dzbanek i nalał kawy najpierw Janowi, potem sobie.

– Raport otrzymałem, przedłożyłem panu prezydentowi. Wszystko w normie. Nie frasuj się – mówił cicho, jakby przejęty.

Jan upił gorącego płynu, czując się co najmniej nieswojo.

– Sprawa dotyczy czego innego. – Najważniejsze dopiero nadchodziło. – Nie, nie bój się – generał zmuszony był dodać, widząc błysk przestachu w oczach przyjaciela. – Tu nie chodzi o zastrzeżenia wobec ciebie. – Napił się kawy i chwilę delektował się smakiem, wpatrzony w filiżankę. – Wprost przeciwnie. – Podniósł oczy na Jana i przeszył go bystrym, spokojnym spojrzeniem. – Mam prośbę... – powiedział, jakby naprawdę prosił, nie rozkazywał, zrzucając przy tym spory ciężar z serca.

– Do usług. – Jan wykrzesał z siebie nerwowy uśmiech i pochylił głowę.

Stępniakowski pokręcił głową, odstawił spodek.

– Nie tu – polecił zwięźle.

Wziął do ręki pióro, napisał coś na kartce i podsunął Janowi.

Na południe od Warszawy, Polska | 26 lutego 1964

Krótki dzień skończył się parę godzin temu i teraz było naprawdę zimno.

To miejsce znali od kilku lat. Takie odludzie, dobre na spokojną rozmowę bez świadków.

Wiało od Wisły. Wiatr szumiał w nagich konarach drzew i czasem fala chlupnęła, omywając kamienie na brzegu.

Byli daleko od miasta, od wiosek, tam, gdzie życie jakby nie chciało wracać w okolice do cna wypalone kiedyś wojną.

Auta zaparkowali na przesiece idącej przez młody brzozowy las. Jan przyjechał pierwszy. Było mu łatwiej. Zgodnie z dawnymi przyzwyczajeniami dłuższy czas „gubił ogon”, a potem skierował się prosto na miejsce spotkania.

Generał był w gorszej sytuacji. Odwożony do domu w przebudowanym posowieckim ośrodku w Konstancinie, musiał wyrwać się rodzinie, a potem pilnującej go – nielicznej, ale zawsze – ochronie. Dał radę.

– Uważasz, że to naprawdę tak ważne... – Węgliński obracał w palcach kartkę pocztową, zwykłą widokówkę z Wiednia. Ciekawiło go to i intrygowało, całe to zafrasowanie kumpla.

Stępniakowski postawił kołnierz płaszcza i wpatrzony w szemrzącą wodę, przypalił papierosa. Już samo to wystarczyłoby Janowi za odpowiedź, że coś się zaczęło. Generał od dawna nie palił. On, sportowiec, który po wojnie zabrał się za ćwiczenia fizyczne, a gdyby nie firma, kto wie... Pojechałby może na olimpiadę w Tokio jako członek drużyny strzeleckiej. Tu na odludziu stracił maskę hardego szefa szpiegów i całą swoją służbową otoczkę.

– Tak. Wierz mi. – Stępniakowski powiedział to pewnie, głośno i z nieskrywaną przyjemnością zaciągnął się dymem.

Pułkownik skinął na znak, że rozumie. Słowo Stępniakowskiego znaczyło wiele.

– Jeszcze raz, proszę. – Starał się poukładać sobie informacje. – Kiedy przyszło? Co to właściwie znaczy? – Potrząsnął kartką, w mroku z trudem odcyfrowując odręczne pismo.

– Pierwsza dwa tygodnie temu. Wychyciłem w raporcie sprawozdawczym, bo nie wiedzieli, jak i skąd. Adres, pod który dostaliśmy tę kartkę, był w wykazie lokali kontaktowych, ale... – chrząknął – od lat go nie wykorzystywano. Zażądałem materiałów i dyskrecji. Rysuje się tu... ryzyko, wiesz...

Generał popatrzył na kolegę i mimo zmroku Jan dostrzegł, że oczy szukają zrozumienia.

– Dawne czasy... Nie mogę... Nie będę cię nudził.

Stępniakowski urwał wątek, choć Jan z przyjemnością dałby się zanudzić. Przecież ta cała konspiracja musiała czemuś służyć.

– Słuchaj, Jan – generał otrząsnął się z rozmyślań i wątpliwości – potrzebuję kogoś zaufanego... – z trudem wypluwał słowa. – Przejąłem sprawę. Wiesz ty i sekcja wywiadu. Ale to i tak bez szczegółów... i to na samej górze.

– Chcesz powiedzieć... – Jan zdębiał. – Prowadzisz to...?

– Tak. Osobiście – burknął generał, chyba niezadowolony, że mu przerwano.

– Ale czemu...? – Węgliński prędko uznał, że to dziecinne pytanie.

– Ponieważ to może być duża rzecz... Sygnał. – Stępniakowski z trudem panował nad irytacją. – Nie powiem ci, co i jak. Nie czas na to... Chodzi o to, że póki tego nie sprawdzę, nie przeprowadzę, musi być cicho. Dlatego zwracam się do ciebie. Nikomu innemu nie zaufam... – uciał zakłopotany osobistą deklaracją i patrzył, czekając protestów. – Na dole dzieciaki – mówił zaraz dalej. – Nie żeby nie było... Materiał ludzki jest świetny, szkolenie... raczej też. Ale tamci, wiesz, co potrafią, a to sprawa historyczna, stara, nie na młode głowy. – Obrócił się do Jana. – Po prostu, stary... – znów głęboki wdech – boję się. – Ostatni zwrot zawisł jak wystrzał. Rzadka chwila pokory mogła dziwić.

– Prowokacja – westchnął Jan.

– Być może... – zabrzmiało realnie i złowrogo. – Ale wiesz co? – Paweł zdusił butem papierosa. – Dawne czasy, ale przecucie... Będziesz się śmiał. To naprawdę przydatne... Bo czemu tak, a nie przez którąś z naszych placówek...? Bez oferenta, ot tak wprost? Czasy mamy niespokojne, choć na razie tamci ucichli. Sam widzisz to w raportach... Od Kuby i Meksyku niewiele narozrabiali. A może oni się czaili, lizali rany i coś obmyślali... Coś więcej niż kilka bomb wybuchających pod sklepami.

– Dobrze. – Węgliński znów przerwał, kręcąc znużoną głową. – Ale się robisz marudny na starość.

Lubili sobie wypominać wiek, co było objawem lekkiej przesady, bo wiekowi bardzo nie byli. Jan oddał pocztówkę i schował zziębnięte ręce do kieszeni. Nie lubił tyrad, nie był młokosem, któremu trzeba agitacji.

– Jak trzeba, to trzeba, nie ma się co rozczulać. Opowiesz, co mam z tym zrobić?

Kącik ust Stępniańskiego uniósł się w lekkim uśmiechu, jakby cieszył się, że kumpłowi nie trzeba więcej tłumaczyć.

– Prześlę informacje o spotkaniu, potem poczekam na potwierdzenie. Pojedziesz... – chwila pauzy dla efektu i ewentualny opór – pokręcisz się i, jeśli trzeba, nawiązesz kontakt.

Jan Węgliński wyprostował się. Przygryzł wargi i skinął głową, jak na oficera przystało. Jakby prąd przeszedł po kręgosłupie. Podobało mu się. Jak diabli. Przyszła wątpliwość, czy umie, czy da radę, ale odegnał precz. To przecież nie było nic takiego. Nie miał źle. Wprost przeciwnie, życie układało się doskonale, ale oderwać się od biurka... od przeglądania z ludźmi stert meldunków... To było coś.

– Rozruszam kości... – Uśmiechnął się.

– Właśnie, właśnie. – Stępniański, już zupełnie spokojny, wyciągnął dłoń do Jana. – Dziękuję. Teraz tylko musimy wymyślić ci dobrą legendę.

Województwo wileńskie, Polska | 28 lutego 1964

Słońce zniknęło za ołowiem chmur. Od gruntu ciągnęło lodem, ale mimo to oczy zalewał mu pot.

Biegł ostatnie dwa kilometry, łamał gałęzie, pokonywał jary i powalone drzewa, których w tych lasach, omalże puszczech było całe mrowie.

Wydawało się, że już się udało, i wtedy przecucie. Bartek Karpacki leżał pod zwalonym dębem, hamując świszczący oddech, przytulony do karabinka, i ocierał strugi potu na wymazanej farbą twarzy.

Przesieka wyrosła nagle, na skraju zalesionej skarpy. Była szersza niż na mapie. Kawał otwartego na przestrzał terenu, który jednak można byłoby pokonać, gdyby nie tamta dwójka.

Jak na złość musieli bawić się w blokady. Czaili się, ale nieporadnie. Szeptali porozumiewawczo i chyba bardziej udawali, niż robili swoje.

Wszystko było jak w opisach. Granica blisko, teren trudny do kontrolowania, więc takie historie mogły się zdarzać. Tamci przed nim nosili zielonkawe waciaki, futrzane czapki, a w dłoniach otulonych porządnyymi rękawicami wyraźnie dostrzegł karabinki AK.

Karpacki ostrożnie podniósł się na łokciach, tak by nie wydać żadnego odgłosu, nie złamać jakiegoś patyka. Wyciągnął głowę jak najwyżej, próbując dojrzeć, czy nie pojawiło się ich więcej. Zastanawiał się, czy to posterunek, forpoczta większej bandy, a może podstęp. Opadł nosem w zmrożoną ściółkę, biorąc głębokie wdechy, i myślał, z każdą sekundą coraz bardziej wściekły.

Właściwie nie wiedział, co go podkusiło pchać się w te szkolenia. Nie pierwszy raz od początku zeszłego lata doganiały go takie myśli. Przecież mógł poprosić o przydział gdziekolwiek indziej albo zostać na starych śmieciach i przerzucać papiery. Gotów był nawet w tej chwili przyznać, że właściwie nie lubi tych popisów, półmaratonów z plecakiem, jedzenia padliny i innych indiańskich wygibasów.

Niby nie, ale kiedy było za spokojnie, w jego wnętrzu coś się zmieniało. Pchało do rozróby, do działania... Staruszek wspominał kiedyś, i to przy wódeczce, że tak jest. Tak jest u tych, co im kule nad głową świszczą, choć nie u wszystkich. Jedni zamykają się, dają mimo woli ować się lękowi i wspomnieniom. Pozostałym rośnie potrzeba przypomnienia sobie tego uczucia. Strachu, podniecenia, radości...

„Potem takie głupoty przyłożą do głowy” – Bartek sam skwitował własne rozterki. „Weź się, kurwa, w garść” – uciał rozmyślania nad sensem swojej wojskowej egzystencji.

Znów się wychylił. Popatrzył w gęste konary. Ponad nimi chmurne niebo szarzało coraz bardziej. Osunął się na ziemię, ostrożnie cofnął za pień i sięgnął pod kurtkę, do kieszeni bluzy, po złożoną mapę.

Przygryzł wargi. Nie miał daleko. Na upartego mógł próbować nocą, czyli niedługo. Na spokojnie, bez stresu, ale... Bał się, że w tej gęstwinie nawet kompas na niewiele się zda, bo trudno było szukać azymutu, kiedy wokół zasadzki. A pewności nie miał, że jest tam tylko tych dwóch.

Jeśli potrzebował motywacji, to ta nadeszła bardzo szybko. Wzdłuż przesieki od wschodu rozlał się dźwięk pracującego silnika. Najpierw daleki, niewyraźny, zaraz głos był już ciężki, wibrujący. Oznaczał coś dużego. Ciężarówkę.

Bartek spał mięśnie, nawet dygotać przestał jak na zawołanie, ciekaw reakcji tamtych przed nim.

O dziwo, nie wydawali się przejęci. Nawet się nie chowali. Wprost przeciwnie... Musieli wiedzieć, spodziewać się zmiany albo czegoś podobnego.

Gang motoru nasilił się. Dwóch stójkowych, jakby uznając, że to koniec ich zadania, po prostu wstało. Zrzucili broń na ramiona i wyszli na środek ścieżki.

To było jak prezent. Porucznik poderwał się, podparł na ramionach i kolanach. Broń chwycił przepisowo w obie dłonie, ponad ziemią, i korzystając z zasłony powalonego drzewa, zaczął pełznąć jak najdalej, w przeciwną stronę niż nadjeżdżający pojazd.

Przebył tak kilkadziesiąt metrów i się zatrzymał. Las był nagi, ale gęsty. Nie było go widać, nikt go nie ścigał. Rumor auta maskował szelesty i trzaski. Było, jak chciał. Ruszył dalej, znów czując mokrą plamę na ubraniu, lepiącym się do pleców. Już nie wiedział, co było gorsze, biegi z tym całym żelastwem czy to czołganie na czas...

„Jak na unitarce, jak na unitarce...” – kołatało się pod czaszką, kiedy dowlóknął się do drogi. Ułożył się w rowie, musiał odetchnąć.

Podniósł głowę. Byli dalej, zajęci rozmową przy wozie. Czterech albo pięciu. Lekceważyli temat albo mieli dość, jak i on. Niby dobrze, ale...

Wypełznął tak płasko, że policzkiem szorował o ziemię ścieżki. Miarowo, powoli, jak wielki żółw pokonał przeszkodę. Przyśpieszył przy końcu, dopadł najbliższego krzaka. Serce waliło, oddech przyśpieszał,

Karpacki bał się, ale nic nie nastąpiło.

Bartkowi nawet przyszło na myśl, że tamci tak specjalnie, że to zasadzka i zaraz ruszą na niego z każdej strony, a on zmęczony nie da rady się bronić, ale nie. Zmiana wartowników rozeszła się na swoje miejsca. W wozie zapuszczono motor i ciężarówka ruszyła dróżką wprost w jego kierunku.

Porucznik znów wlepił się w grunt i przeczekał. Minęli go. Nie widzieli.

Poczuł się raźniej. Pełen napełniającej go nie wiadomo skąd werwy, odczołgał się w las, zaraz wstał pochylony i potruczał przed siebie.

Drewniany barak był lichy i zwyczajny, ale dla tych, którzy tu docierali, zdawał się pałacem, ostoją luksusu. Porządnie nagrзany, chronił od wiatru, deszczu czy śniegu. Nagroda, którą przebijało tylko łóżko i długi sen.

– Porucznik Bartłomiej Karpacki – siedzący za biurkiem, czy raczej zbitym z desek stołem kolos mamrotał tekst z pliku papierów.

Nie przeszkadzał Karpackiemu popadać w otępienie. Nie śpieszył się. Bawił się i wypróbowywał. Tu wszystko było testem.

– Siódma Dywizja Piechoty – głos kapitana Lipa Goldmana był spokojny, prawie kojący, jak wtedy, kiedy opowiada się dziecku bajkę na dobranoc. Znał się na tej robocie jak każdy z jego kolegów oficerów i doskonale się czuł w swojej roli.

Już samym wyglądem straszył kandydatów. Szeroki w ramionach, o mocarnym karku godnym drwala z tajgi, górujący o głowę nad innymi członkami oddziału.

Jego postura, teraz tak potężna, była kiedyś zupełnie inna. Wychudzony, długi jak patyk dzieciak, któremu chyba cudem udało się wyrwać z dalekiej sowieckiej Syberii, tylko dlatego, że ogłoszono tworzenie Wojska Polskiego. Poprzysiągł sobie, że kiedy wróci do kraju, już nigdy nie będzie głodował i nigdy nie będzie chuchrem.

Tamtej wojny nie znał, prócz strasznych wspomnień tych kilku zim na wschodzie. Za to jego ojciec walczył. Nie został jak kilku jego kolegów w Palestynie i poszedł za generałem Andersem. Wrócił do starego kraju. Młody Lip błąkał się po Afryce, gdzie przerzucano dzieci, głównie sieroty, które na

front iść nie mogły.

Nabrał krzepy i kiedy ojciec dał znać jemu i matce, że mogą wracać, powrócił i przejął pałeczkę. Staruszek był dwa razy ranny, podupadł, ale cała rodzina znalazła się w wyzwolonej Polsce.

Lip Goldman był zawzięty. Też poszedł w kamasze, bił się w Korei, został ranny, ale dał się poznać jako dobry dowódca. Skierowano go do szkoły oficerskiej w odzyskanym dla Polski Wrocławiu i kiedy odsłużył swoje w kilku jednostkach na ciągle niebezpiecznej granicy wschodniej oraz w Pierwszym Pułku Komandosów, stał się jednym z pierwszych kandydatów do tworzenia nowego oddziału.

– Pan porucznik... po powrocie z pięknej Azji – ironia była aż soczysta – z nudów przychodzi do nas? – Podważanie powziętej przez kandydatów decyzji też było w pakiecie dogadywanek i upokorzeń.

– Tak jest, panie kapitanie. – Karpacki zebrał się w sobie, żeby odpowiedzieć regulaminowo i nie ziewnąć przy okazji.

– Tak. – Goldman rozparł się na krześle, aż skrzypnęło. Wydał usta i splótł palce na brzuchu. Nie odzywał się dobrą minutę.

Dla Karpackiego była to istna tortura, nawet nie zauważył, jak ze zmęczenia zaczyna się chwiać. Powieki były coraz cięższe.

– No dobrze, panie poruczniku – kapitan wycedził określenie stopnia nieco niegrzecznie. W wieku trzydziestu czterech lat, po kilku latach służby, sam nosił dopiero rangę kapitana.

Dowodzący poderwał się niespodzianie, przestając odgrywać znudzonego. Oczy mu błysnęły. Stał obok biurka, założył ręce z tyłu.

– Przeszliście zadanie... Nikt was nie dostrzegł. – W głosie zabrzmiała nawet nuta podziwu. – Pogratulować. Ale... – podziw szybko ulatywał, kapitan wskazał kciukiem na zasłonięte okno – tutaj mieliśmy nowy narybek. Biali też mają lepszych i gorszych. Ci byli gorsi. A tu trzeba finezji, to nie obrona byle górki... To każdy potrafi. – Przytyk do udanej obrony „Gwoźdza” miał go sprowokować, ale Bartkowi było wszystko jedno.

Nawet podważanie jego prawie czterdziestu ośmiu godzin chwały,

ostrzałów i odpierania ataków piechoty nie mogło wyprowadzić go z równowagi. Ta, wyprzedzając inne elementy jego osobowości, pierwsza poszła spać.

– Zatem brniecie dalej – kapitan podniósł głos, widząc, że oficer jest bliski kresu. – Następne zadanie będzie znów grupowe. Kilku nowych, kilku naszych. Musicie się zgrywać. Może nie każdy brał udział w otwartej bitwie, ale swoje potrafią, więc prosiłbym bez zbędnych popisów. – To zakrawało na przykry żarcik. W tej sytuacji, w zupełnym umysłowym odrętwieniu, Karpackiemu nie chciało się nawet rozmawiać, a tym bardziej snuć frontowych opowieści.

To nie była liniowa jednostka, choć z większą ilością strzelania. Nawet te cholernie długie godziny ostrzałów i ataków piechoty, jakie zafundowali mu Chińczycy, były niczym w porównaniu z tym młynem. Biegi, ćwiczenia, walka wręcz, jakieś cholerne rebusy na sprawdzenie bystrości umysłu i odporności na zmęczenie. Marsze, potem obławy i tak od ponad miesiąca, odkąd, jak zakomunikowano, zakwalifikował się do dalszych sprawdzianów. Przetrwał uprzednio ganiecie grupami po całym kraju, miesiące spania w wilgoci i jedzenia świństw.

– ...kilkanaście godzin – dotarło do niego i wystraszył się, że usnął.

– Kilkanaście godzin? – zapytał nieprzytomnie.

– Z wami wszystko dobrze? – Goldman zmarszczył brwi.

– Tak jest – zreflektował się Bartek, wyciskając ze zmęczonego gardła nieco silniejszy głos.

– Za kilkanaście godzin... – kapitan dla pewności zaczął powtarzać – rozpoczniecie nowy cykl szkolenia. Tyle tylko, że teraz za przeciwnika będziecie mieli... – szyderstwo odmalowało się wyraźnie na wysuszonej twarzy – Białych z Pierwszej Brygady.

Bartłomiejowi nogi ugięły się w kolanach. Grdyka zafalowała. Może tydzień, dwa temu bardzo by się nie przejął, ale teraz po tym kieracie, a przede wszystkim opowieściach instruktorów o żołdatkach z Pierwszej Brygady zrobiło mu się jakoś nieswojo.

– Coś nie tak? – Goldman uśmiechnął się, dojrawszy nerwowe drżenie u

kandydata.

– Nie, wszystko w porządku. – Karpacki przełknął ślinę, mając nadzieję, że kłamstwo nie będzie aż tak ewidentne.

– Chcieliście do Kedywu, to macie. – Starszy stopniem zrobił krok. – Macie się sprawdzać... ciągle, bez wytchnienia. Tak tu u nas bywa.

Bartek nie odpowiedział. Gapił się zamglonym wzrokiem na oficera. Mimo fizycznego i psychicznego zmalretowania jakiś głos w środku wołał, że to teraz dopiero zaczyna się gra. Teraz, kiedy sądził, że pokonał tyle przeszkód. Oni zaś podwyższają poprzeczkę i każą skakać wyżej, dalej, częściej.

Na tym to polegało. Jak nic innego przedtem.

„Cholerni Jankesi. Jankesi i Angole” – nie wiadomo skąd przyszło mu to do głowy. Może zmęczony mózg przypomniał, kto wymyślił tę nową formę prowadzenia wojny.

– Działamy tutaj? – zdobył się na zadanie pytania.

– Nie. – Kapitan walczył z sobą, by nie uśmiechnąć się szerzej. – Odstawimy was nad środkowy Bug. Do sojuszników... Trenują sobie jeszcze bliżej granicy.

Kolejny cios dla psychiki. „Sprytne” – pomyślał Karpacki, który był pewien, że pozwoli mu pospać kilka godzin i dopiero znów wywałą do lasu.

Podkopywanie pewności i założeń kandydatów musiało być najlepszą metodą w tym całym szkoleniu.

– Zjecie coś, odpoczniecie – zabrzmiało jak marny dowcip – i za godzinę w drogę, panie poruczniku. – Kapitan podszedł do drzwi i złapał za klamkę. – Od rana... wszystko zaczynacie od początku.

Dom nr 42, 50 km na południe od Moskwy, ZSRS | 28 lutego 1964

Zaciemnioną główną ulicę wsi skuwało zamrożone błoto. W rynsztokach stała zlodowaciała woda i zimny wicher gwizdał w dziurach zapuszczonych domostw. Generałowi Aleksiejowi Darijewowi przypadł

wątpliwy zaszczyt i przyjemność reprezentowania przełożonego w tych obrzydliwych miejscach.

Staremu marszałkowi nie pozwalały na to ranga, funkcja i nimb tajemnicy, który otaczał nieomal wszystko, nad czym pracował.

Teraz sekret był głębszy, ostrożność większa i stąd to obskurne miejsce.

Generał wolałby posiedzieć w domu, przy żonie, dzieciach. Po ciężkim dniu rozprostować nogi, najeść się do syta. Podobno zaopatrzenie w resortowym sklepie znacznie się poprawiło. Pewnie chwilowo, bo okazji żadnej, albo stary grubas spostrzegł, że coś mu nie wychodzi i trzeba pogłaskać resorty.

Prócz tego Darijew nosił stopień, który powinien zwalniać go z takich robótek, ale za coś dostał epolety jako jeden z najmłodszych, i został obdarzony zaufaniem wielkich. Budował konsekwentnie drogę kariery i zaciskał zęby. Odpoczynek, dobra kolacja musiały poczekać do lepszych czasów.

Zamiast tego... Stał przy bramie w wysokim blaszanym ogrodzeniu, typowym dla tego kraju. Takie płoty osłaniały przed wzrokiem sąsiadów i złodziejami.

Było ciemno choć oko wykol. Pusto i cicho. Ludzie grzali się w domach, marząc o kolacji lepszej niż kilka ziemniaków, i jak miliony pogrążonych w apatii i strachu, nie wyściubiali nosów za próg. Żadnego ruchu aut, bo i skąd? Nawet psy nie ujadły... Jakby już ich tu zabrakło.

Darijew wzdrygnął się na samą myśl, co to może oznaczać. Poprawił cywilną jesionkę, zdjął kaszkiet. Jeszcze rzucił okiem na zaparkowany daleko w ciemnym załomie samochód, bojąc się, czy aby nie widzi go w całości po raz ostatni. Ale prędko przyszło uspokojenie. Blachy nie dało się jeść.

Wcisnął ukryty u dołu bramy dzwonek. Czekał długo, wreszcie usłyszał kroki. Na wysokości oczu otworzyła się mała klapka, w mroku błysnęła latarka.

Generał podał hasło. Padł odzew. Brama puściła i zaproszono go do środka.

Ten z latarką, ubrany jak prawdziwy miejscowy, w jakąś złachaną kufajkę, wyprostował się jak do meldunku, ale generał ukrócił popisy, podając dłoń do uścisku. Zawsze działało na podwładnych, zwłaszcza niższego stopnia. Przywykli do połajanek, czuli się wyróżnieni.

Darijew nie przyglądał się podwórzu, zauważył tylko, że jest ciasne, zawalone gruzem, stosami gałęzi, rupieciami.

Wnętrze też go nie interesowało. Ot, chałupa jak chałupa. Zresztą zaraz otworzono przed nim drzwi do głębokiej i dobrze wyciszonej piwnicy. Dopiero po otwarciu kolejnych usłyszał odgłosy rozmów i szybkich uderzeń.

Darijew minął jeszcze dwóch wartowników, też chwilowo cywilów. Z każdym się przywitał i dopiero wprowadzono go „na salony”. Pokój był zbudowany z betonu osłoniętego szarą gumą i tylko posadzka pozostała nieprzykryta.

Światło było mocne, nieomal jak dzienne, i generał musiał osłonić oczy, zanim przywykły.

W pomieszczeniu cuchnęło moczem, potem, unosił się odór strachu pomieszany z zapachem krwi. Wnętrze wyglądało jak siermiężny gabinet dentystyczny, chyba podobnych do tych, jakie widywało się w kołchozowych przychodniach. Z tą różnicą, że tu się nie wyrywało zębów. Tu się je wybijało.

– Towarzyszu generale... – Mężczyzna przy wejściu przejął rolę gospodarza. Silny, żyłasty, o rysujących się pod koszulą mięśniach, stał w postawie zasadniczej. Jego ubiór, podwinięte rękawy i brudne spodnie, kontrastował z wojskową postawą.

Wodził za wizytatorem dumnymi oczami, z wyrysowanym na spoconej, szczupłej twarzy zadowoleniem.

Darijew omiół go spojrzeniem i poczuł ukłucie jakby strachu. Takie nory miały to właśnie zadanie... wzbudzać lęk. Podobnie jak „specjaliści”, którzy tu urzędowali.

Generał opanował nerwy i obrzydzenie. Zrobił krok w przód, żeby lepiej dostrzec główny powód swojej podróży w to okropne miejsce.

W rogu, teraz nieco bardziej zacienionym, gdyż drażniące zmysły lampy skierowano gdzie indziej, siedział człowiek.

Około sześćdziesiątki, pulchny, choć zapewne mocno tu schudł. Włosy miał kręcone, czarne, zbyt długie. Był przywiązany do wielkiego fotela. Twarz pokrywała mieszanka krzepnącej krwi i śliny. Oczy miał zamknięte, dyszał, łapiąc powietrze. Był bosy. Zostawiono mu jedynie spodnie i brudny teraz, różowy od posoki podkoszulek. Trudno było stwierdzić, jak naprawdę wyglądał. Miejscowi bardzo się o to postarali.

Darijew podszedł jeszcze bliżej. Obrzucił nieszczęśnika długim spojrzeniem. Odwrócił głowę w stronę gospodarza, kłaniając się z wyrazem podziwu. Tamten przybrał minę ukontentowanego sadysty i jakoś nienaturalnie wyszczerzył zęby.

„Biedaku, wsiąkłeś w to gówno po uszy, co?” – pomyślał oficer, śląc dla zamaskowania spostrzeżeń błady uśmiech.

Zaraz znów zainteresował się tym na fotelu. Pochylił głowę przy jego uchu i wyszeptał:

– Buenos dias, compañero...

Na te słowa półprzytomny dotąd mężczyzna drgnął. Otworzył zlepione powieki i odruchowo szarpnął ramieniem, próbując się wyrwać. Zastygł po chwili, jak zahipnotyzowany spojrzeniem przybysza, który trwał wpatrzony z rosnącą lubością, ciesząc się atmosferą panicznego przerażenia, które wzbudził.

– Za długo było się w cieple, co? – usta Darijewa ledwo się poruszyły, szepcząc. – Przestaliście myśleć? Rozumieć cokolwiek? – mówił cicho, bardziej do siebie niż nieszczęśnika w fotelu. – Prawie narobiliście bałaganu, compañero, prawie narobiliście cholernego bałaganu – podniósł głos, poddając się wzbierającej furii. – Ale zapomnieliście...

Spiął się, schwycił nieszczęśnika za szyję. Ścisnął palce tak, że tamten wydobył z siebie cichy bulgot.

– ...że my mamy uszy wszędzie. Wiemy, słyszymy wszystko... prędzej czy później. Ale wasi myśleli, że są sprytniejsi? – warczał przez zaciśnięte zęby, pryskając śliną.

Puścił gardło więźnia, odepchnął go z prawdziwą pogardą i pokazał zakrwawioną dłoń reszcie.

Gospodarz prędko pośpieszył z czystą ścierką.

– Powiedział? – Darijew jeszcze buzował z wściekłości, zmieniając się w oficera na odprawie.

– Tak jest – gospodarz odparł zaraz z dumą, znów prężąc się, jak przystało na podwładnego zdającego raport.

– Będzie na papier? – pytanie generała było naiwne, ale trudno.

– Oczywiście. – Gospodarz uśmiechnął się lekko, pozwalając sobie na nutkę drwiny w głosie.

– Bardzo... – wizytator obrócił się do nieszczęśnika – bardzo dobrze... – Rzucił ścierkę w kąt i pokiwał z uznaniem głową. – Brawo...

Gospodarz wypiął dumnie pierś, jak gdyby już miano przypinać mu order.

– W porządku, pracujcie, ale nie przesadźcie – padł rozkaz gościa. – Będzie może potrzebny.

ROZDZIAŁ 2

Województwo lubelskie, na wschód od Bugu, strefa nadgraniczna | 1 marca 1964

„Wielką zaletą wywalczonych terenów Rzeczypospolitej jest ich różnorodność, co pozwala prowadzić szkolenia taktyczno-terenowe w zróżnicowanych warunkach” – ta formułka ze szkolenia oficerskiego powracała w pamięci Karpackiego coraz częściej. Kiedyś teoria, teraz objawiała się praktyką, i to ostrzejszą, niż kiedy jako ochotnik ganiał po poligonach, dopiero poznając zawiłości służby.

Niewidzialna, acz sprawna machina przerzucała go niczym ołowianego żołnierzyka, od gór i lasów Śląska i Podhala po nieprzeniknione puszcze Wileńszczyzny i dawnych Prus aż tu, w krajobraz zupełnie inny.

Spokojne z pozoru, płaskie jak stół, pokryte kępami odzyskujących przedwojenną wielkość lasów tereny nadbużańskie.

Prawie odludne, z resztkami osad, cieniem dawnych wsi, przez które front przetaczał się ze swoją potworną siłą tyle razy, że wielu straciło rachubę.

Ale nie tylko wojna zaważyła nad tym dziwnym rejonem. Kiedy działa umilkły, okazało się, że Polsce, po zawziętych pertraktacjach, dla odbudowy „tamy” przed zagrożeniem jednak wypada dać silne oparcie w terytorium.

Mimo to wschodnie, biedniejsze, zmasakrowane tereny pustoszały. Ludzie emigrowali, szukając pracy, a kiedy powojenna pożoga przeszła w prosperity odbudowy zasilanej inwestycjami sojuszników i funduszami ze złóż odkrytych na nowych terytoriach, nikomu nie chciało się wracać do starej biedy.

Zresztą w planach operacyjnych przed spodziewanym kiedyś atakiem sowieckim tereny te miały być polem pierwszej bitwy. Czymś, co zwiąże wroga na jakiś czas, wykrwawi jego pierwszorzutowe dywizje, co pozwoli obsadzić Bug, wyprowadzić kontrataki z rejonu polskiego Lwowa – zwanego

występem lwowskim lub galicyjskim – i zebrać sojusznicze dywizje Paktu Północnoatlantyckiego. Głównie amerykańskie, bo tych było najwięcej w tej części Europy.

Od tego terytorium dwa lata temu przeciwnik zaczął odgradzać się zasiekami, pasami pól minowych i murami. Z początku dla obrony swoich dywizji, które mimo wielkich kosztów ciągle ćwiczone do ataku, czyniąc z pasa ziemi po drugiej stronie granicy jeszcze większy konglomerat garnizonów, składów i tym podobnych. Przynajmniej tak sądzono w Warszawie, w Waszyngtonie... Tyle tylko, że skrawek płaskiej, lesistej granicy był oknem dla tysięcy uciekinierów z Kraju Rad, chcących ratować się od niedostatku. I głównie zatrzymaniu fali uchodźców służyły te kilometry drutów i tysiące min.

Inną kwestią było, że obydwie strony mocowały się tutaj, próbując dowiedzieć nieco więcej i skorzystać z przyrody jako najlepszego maskowania.

Sowieci podobno ślali tu swoje jaczejki, podchodzili nawet pod rzekę, jakimś sposobem pokonując te czterdzieści kilometrów z hakiem, wąski pas ziemi, jaki odwojowano między Lwowem a Grodnem. Porucznik Karpacki uważał jednak, że były to fantasmagorie, które mu sączono, by podkopać morale. Przecież tu była Europa, cywilizacja, a nie górzysty front Azji.

Kiedy pytał o podobne akcje z polskiej strony, nikt nie chciał wchodzić w szczegóły.

Mieli więc we dwóch „spacerować” po tej dziwnej krainie, jako jedna z kilku porzuconych tutaj dwójek.

Człowiekiem, którego przydzielono mu do pary w nowym zadaniu szkoleniowym, był Zenon Warten. Byli równolatkami, rocznik czterdziesty. Zenek nie odróżniał się niczym od rzeszy młodych oficerów. W budowie ciała przeciętny atleta, wybiegany, sprawny, o szczupłej twarzy.

Miał stopień podporucznika, jakimś sposobem musiał zaintrygować komisję werbunkową, bo trafił do jednego plutonu szkoleniowego razem z Bartkiem.

Większość kandydatów była podoficerami o większej wysłudze lat albo

młodymi oficerami, którzy mieli utrwać strukturę nowatorskiej jednostki, zanim wszystko zacznie działać jak należy.

Bartłomiej był starszy stopniem, więc wedle prawideł powinien przewodzić, ale tu nie było jak w regularnej armii. Zwłaszcza w zagajniku, na wschodnim, jak to mówili, ruskim brzegu. Gdzie trzeba było się wspomagać, jeśli marzyło się o dotrwanu do końca tej przygody.

– Jak będzie? Idziemy? – Bartek skinął na druha. Ten siedział w przydziałowym plamiastym mundurze pod drzewem i pocierał oczy.

Obydwaj lecieli na twarz. Spanie w trzęsącej się ciężarówce, którą na złość poprowadzono innymi niż wschodnia autostrada drogami, było czymś okropnym. Właściwie nie było mowy o śnie i odpoczynku.

Później podział na drużyny, inne niż ostatnio, tak by jeszcze bardziej utrudnić, a potem sekcje. Wyznaczanie zadań i w teren. A właściwie sam środek poligonu.

Długi pas pustkowi był idealnym miejscem do zgrywania pododdziałów, polskich i sojuszniczych, zapoznawania się z terenami ewentualnej obrony i, co ważniejsze, choć przemilczane, demonstrowania siły.

Gdzieś zza horyzontu przyniosło dźwięki wielkich, padających kręgów.

– Amerykańskie wyrzutnie... – oznajmił Zenek ze znawstwem, nadstawiając ucha. – Stopięćdziesiątki zapewne... – Uśmiechnął się sam do siebie, chyba dumny, że praktyka w toruńskiej szkole artylerii nie szła na marne.

– Dobra, panie wyrzutnia. – Bartek powstał, wolno, niechętnie, i poczuł, jak w stawach coś łupie. – Czas ucieka.

Przycisnął karabinek, który wydawał się ważyć coraz więcej.

– Zostało z sześć, siedem kilosów. Jak pójdziemy opłotkami, może mniej... – urwał, patrząc przez szczelinę w gałęziach na kolejny zagajnik przy starej wiosce. Nie podobało mu się tu. Nie czuł się dobrze. Nawet okolice rodzinnej Łodzi były bardziej górzyste niż tenomalże step.

W Sudetach czy pod Wilnem można było skryć się pod kamieniem, w gęstych zaroślach, tutaj było jak na patelni.

– No chodź, chodź – ponaglił Zenona. – Za godzinę będzie się zmierzchało i wtedy dupa blada... – Sięgnął po małą lornetkę, jaką wydano każdemu tego poranka. Nie dojrzał niczego podejrzanego. Ot, sielanka, maćcona dźwiękami salw, eksplozji i czasem gangiem czołgowych silników.

Upewnił się, że z drugiej strony też im nic nie grozi, i doznał dziwnego przeczucia, że to zasadzka. Takie przemyślenia dopadały go za każdym razem, kiedy robiło się za spokojnie. Stawał się ostrożny. Może i dobrze, ale przez to spowalniał działanie, zbyt długo analizował.

Dziś miał ku temu większe podstawy. Przeciwnik to nie był jakiś tam instruktor, który po uprzednim szkoleniu w Anglii czy na Florydzie wymyślał tortury swoim podopiecznym.

Byli na nieznanym zupełnie terenie, pośród zwykłych taktycznych zabaw prawie tysiąca ludzi z batalionów pancernych i piechoty zmechanizowanej, przy ostrym strzelaniu na poligonach.

Ale najgorsza okazywała się w tym wszystkim nagonka. Żołnierze z pierwszej kompanii zwiadowczej Pierwszej Brygady, białorusyjskiej. Nie wiadomo, ilu ich dziś było, pluton, trzydziestu, sześćdziesięciu, a może jednak cała kompania?

Bartłomiej Karpacki widywał ich, znał z poligonów, odpraw i zwykłego armijnego współdziałania. Ale nigdy nie miał ich przeciwko sobie.

Najbardziej zajadli i twardzi ludzie, o jakich słyszano w armiach sojuszniczych i wśród kandydatów do jednostki specjalnej.

Każdy z Rosjan, Ukraińców czy Białorusinów, którzy służyli w brygadzie i całym korpusie, wiedział, że służy w elitarnym związku taktycznym, i starał się to pokazać. Byli dobrzy, byli naprawdę świetni. Były ich tysiące. I od samego początku, od pierwszego strzału pokazali, na co ich stać.

Pod koniec czterdziestego piątego roku kleszcze ofensyw z północy i południa Polski odcięły ponad cztery miliony Sowieców w Niemczech i Francji. Naciskane od zachodu, dowództwa odciętych frontów próbowały rozpaczliwych, kosztownych kontrataków, ale prędko wyczerpały resztki zaopatrzenia i zapła. Daleko od domu, bez czujnego oka ludzi Stalina, rewolucyjny zapła gasł.

Gasło też życie tysięcy ludzi, którzy ginęli z głodu na obszarach ogołoconych wojną i, jakby było mało, nawiedzonych srogą zimą. Kiedy ruszyła lawina masowych kapitulacji, nawet bogaci alianci nie potrafili zapobiec fali zgonów. Po latach wykorzystywała to sowiecka propaganda, choć w Kraju Rad podobno było jeszcze gorzej.

W Niemczech, które decyzją aliantów zostały krajem na wpół rozbrojonym i neutralnym, oraz w granicach nowej odrodzonej Rzeczypospolitej pozostały miliony byłych żołdatów. Tylko czwarta część tych ocalałych z pożogi i głodu postanowiła wracać do siebie po podpisaniu pokoju w Sztokholmie. Reszta odmówiła, rozumiejąc, co ich czeka za oddanie się do niewoli. Może Stalin nie żył, ale metody pozostały te same.

Ale decydujące dla tych mas wojska było to, co ujrzały za granicą. Zniszczone, ale i tak przebogate tereny, miasta, dworce, fabryki – choć te ostatnie częściowo wywieziono do Sowietów – kanalizacja, asfaltowe ulice, krany w domach, latarnie na ulicach.

Jeńców z biegiem czasu zaczęto używać do odbudowy i prac porządkowych, odsiewając element najbardziej czerwony, czekistów, oficerów wyższych rang. Wielu z tych ostatnich skazano w głośnych procesach jako niewielkie zadośćuczynienie albo i zemstę za to, że nie dało się dopaść grubszych ryb.

Gdy osądzono zbrodniarzy z Sowietów i Niemiec, pozostała kwestia, co z resztą, tymi otumanianymi i hodowanymi od kołyski, którzy zachłysnęli się nowym światem, ale w których stare demony mogły ożyć.

Odpowiedź przyszła prędko. Młodszy żołnierze już w roku czterdziestym ósmym zgłosili dowództwu Wojska Polskiego chęć zaciągu. Odmówiono im.

Wtedy ktoś z żyjących jeszcze na Zachodzie członków starej białej emigracji zaproponował stworzenie legii cudzoziemskiej. Jednostki, która mogłaby być zalążkiem przyszłej armii wyzwoleniczej dla Rosji i Sowietów.

Z początku opór przeciw temu pomysłowi był spory. Nawet wśród Rosjan, ciągle pamiętających wbijane im do głów banialuki o zdradzie generała Własowa.

Jednak z biegiem lat określono ramy i tradycje, do jakich miałyby

odwoływać się taki oddział.

Wracano pamięcią do cara, choć i tu rząd polski musiał uważać, bo imperium Romanowów nie było przyjacielem, a okupantem. Ukuto więc zapis o budowie nowoczesnej Rosji na podwalinie demokracji, wolności. Ale były to tylko teoretyczne dysputy.

Przełom nadszedł, kiedy rozgorzała wojna chińsko-koreańska, która później przekształciła się w nowy, zastępczy konflikt, wojnę światową w soczewce.

Polska jako tama na drodze komunizmu, najbliższy po Wielkiej Brytanii sojusznik USA w Europie, zobowiązała się wyekspediować siły na ten konflikt.

Uznano, że zapas diaspory wschodniej można wykorzystać. Powołano najpierw kompanię, potem batalion i tak to się potoczyło... Po zaciętych walkach o Wzgórze Czarnego Konia, gdzie jeden z pododdziałów utracił połowę stanu, ale okrył się chwałą – dodatkowo rozdmuchaną przez propagandę – potok ruszył.

Alianci zgodzili się rozbudować formację, czerpiąc z nieskażonego pokolenia białych Rosjan, które chowało się w Polsce czy Niemczech. Były też rzesze uciekinierów zza wschodniej granicy. Oni wszyscy mieli stopniowo zastąpić starzejących się poprzedników. Był w tym i społeczny aspekt. Setki młodzińców w bogatszej niż Kraj Rad, ale i tak ciągle biednej w pierwszych powojennych latach Polsce wołały iść w kamasze niż zasilać gangi.

Tak utworzono stutysięczny korpus, ekwipowany i finansowany z funduszu NATO. Bitny i wierny jak niegdyś polscy Tatarzy, zbiór przywróconych światu neofitów, którzy wierzyli, że kiedyś wrócą do domu jako wyzwoliciele. Choć skrupulatnie sprawdzany i dyskretnie nadzorowany przez Oddział II.

Wielu pojmowało, że powrót do kraju może nigdy się nie wydarzyć, albo przynajmniej nie za ich życia, ale trwali w marzeniach, co rusz dowodząc swojej skuteczności. Choćby w takich sytuacjach jak ta, kiedy można było popsuć krwi „nowym”, którym przyszło się z nimi mierzyć.

Kiedy tylko dwaj oficerowie wyszli z kryjówki, jak na złość niebo zakryła ciężka ołowiana chmura. Nie minął kwadrans i zaczęło padać. Ziębnięci, teraz moczeni ulewą, dygotali coraz mocniej przy każdym kolejnym kilometrze.

Żołądki przykleiły się im do kręgosłupów, bo ostatnią rację zjedli wiele godzin temu. A mimo to mieli zachować czujność i w miarę zdrową ocenę sytuacji. Na tym polegała służba w nowym oddziale. Na znoszeniu trudów i wielkiej odporności na niesprzyjające okoliczności.

Przecież nadejść miała nowa era. Wojny cichszej, prowadzonej mniejszymi oddziałami, które torowałyby drogę wielkim formacjom.

Ten nowy trend zapanował na Zachodzie po cichych wyprawach za linie czerwonych Chińczyków i wypadach tamtych za oenzetowskie szanse. Wtedy dopracowano taktykę wojny światowej, dodając najnowocześniejszą technikę i stawiając na żmudne szkolenie.

Oddziały specjalne, nowe czołgi, rakiety, granaty. Świat, który uspokoił się po wojnie, znów się zbroił, zaniepokojony żywotnością czerwonych.

Polska, zaraz po Wielkiej Brytanii, miała najsilniejszy oddział wyspecjalizowany w działaniu dywersyjnym, podchodach za liniami wroga i szybkich akcjach. Ale wymóg chwili nakazywał stworzyć coś jeszcze. Zespół mniejszy, specjalistyczny i ulotny w działaniach niczym cienie. Więc powołano coś takiego. Nawet Amerykanie nie mieli niczego podobnego w strukturze Zielonych Beretów. Brytyjczycy również nie. Ale oni nie graniczyli z dyszącym żądzą odwetu, odbudowującym swój potencjał potworem, którego ideologia nakazywała podbój.

Pozostała kwestia nazwy. Choć oddział miał być tajny, skryty w strukturze Pierwszego Pułku Komandosów, to potrzeba było dobrej tradycji.

Sztabowi teoretycy uznali, że najlepszym nawiązaniem do tradycji, które wykrzesze dumę i esprit de corps, będzie „Kedyw”. Ale droga do jednostki okazała się daleka, trudna i właściwie nie wiadomo było, jaki ma być jej kres.

Bug, który Karpackiemu wyznaczono jako miejsce meldunku, kolejne marszobiegi czy bitka na gołe pięści z białymi Ruskami? Jakby to, czego dokonał na pewnej górze w Azji, przestało się liczyć.

Szli ostrożnie, ale prędko, człapiąc w brei pod stopami. Deszcz i powiewy wiatru głużyły kroki i maskowały ich ruchy.

Przy najbliższej asfaltowej drodze odczekali chwilę, przepuszczając kolumnę amerykańskich ciężarówek. Bartek zapamiętał, że należały do amerykańskiej brygady pancerniej stacjonującej pod Lublinem. Każdy szczególnie mógł się przydać na odprawie, może pozwoli zdobyć kilka plusów.

Ruszyli dalej, klucząc między młodnikami, po polach, wpadając w doły, zamierając i nasłuchując. Czas naglił. Zbliżali się do celu, ale napięcie i okrutne zmęczenie brały górę. Bartek miał nadzieję, że jeśli natkną się na jakiś oddział, nie dojdzie do strzelaniny.

W tym samym momencie, za ścianą sosen po prawej, rozległ się furkot serii z broni maszynowej. Echo rozniosło się w deszczu i zaraz przycichło.

– Co... co to? – Zenek przypadł do krawędzi parowu.

– Straszą – oznajmił Bartek z pewnością, której nie miał. Przeszły go ciarki. Nie wiedział, co myśleć i robić. Zaskoczyło go to wszystko.

– A może nas dostrzegli i teraz kołują? – Zenek mógł mieć słuszność.

Druga seria, urywana. Potem jeszcze jedna i cicho. Byli przekonani, że ćwiczący mieli nosić ślepą amunicję, ale to nie brzmiało jak serie ślepakami. Już oni dwaj to wiedzieli.

– Spadamy – zakomenderował Bartek, bo właściwie nie miał lepszego pomysłu. Nie zamierzał sprawdzać, co się wyrabia. – Pewnie chcą nas tam... – rzucił przez ramię i wygramolił się ukrycia wprost na pole chwastów.

Zenek poszedł jego śladem, jak porucznik schylony, z nosem prawie przy ziemi.

Już nie przystawali, nie patrzyli za plecy, tylko słuchali, czy przez szum deszczu znów dojdą ich odgłosy strzałów.

Ale obydwaj nie mieli zamiaru reagować i wplątać się w jakąś kabałę.

Karpacki wskazał dłonią na najbliższą osłonę, kępę choinek.

Mokre gałęzie tłukły po twarzy. Weszli głębiej, aż choć trochę ich zakryło. Oddalali się od lasu, ale co gorsza, kryjówek nie było wiele. Zwykle

pole, kępki drzew, dalej światła: domy albo jakieś wojskowe zabudowania. W głowie się mieszało, już nie wiedzieli, gdzie zawędrowali, czy to poligon, czy normalna okolica.

Karpacki zrobił krok i zachwiał się, prawie lecąc nosem w ziemię. Zamarł, rozdziawiając usta.

Zamknął oczy, otworzył, znowu zamknął. Nie pomogło. Przez ułamek sekundy był pewien, że to majaki, wymysł przemęczonego mózgu. Podszedł ostrożnie i butem dotknął kształtu. Było prawdziwe. Nieruchome. Postarał się wyostrzyć spojrzenie, przypadł do ziemi i wyciągnął rękę.

– Powariowali. – Szarpnął za nogę. Mieli przed sobą ciało. Nieruchome, zimne ciało kobiety.

– Ja pierdolę... – Kompan też był jak porażony.

Patrzyli na siebie długą chwilę, bladzi, wystraszeni, deszcz i chłód jakby przestały im przeszkadzać.

– No nie – bąknął Zenek, czując, jak rośnie w nim wściekłość. – Tak będą szkolić? Gnoje. – Pokręcił głową, wbijając wzrok w ubłoconą chudą twarz.

Kobieta, właściwie dziewczyna. Młoda, szczupła i drobna. Ubrana w grubą kurtkę, ciemną spódnicę i ubłocone, mocno zniszczone buty.

– Nie, nie! – Bartek nie zdzierzył, wybuchł z mocą nieoczekiwaną u kogoś tak zmęczonego. – W dupie... – Podskoczył. – Tak się nie będę... A może... to nie oni? – zmienił nagle zdanie. Galopada myśli. – Trzeba kogoś...

Głowa go rozboleła, nie miał pojęcia, co robić.

– Chodź... – Szarpnął Zenka. Wydobył mapę, usiłując się zorientować, gdzie są. Ręce mu drżały, nie potrafił się skupić.

– Bartek – Zenek syknął wystraszony. Złapał porucznika za szelki oporządzenia.

– Muszę... – Karpacki wzdrygnął się, odganiając mapę. – Gdzie ona leży... Trzeba zameldować...

– Bart... – Kompan stuknął go pięścią w ramię. Karpacki podniósł głowę,

gotów kłąć.

Między drzewami mignęła postać. Ciemny kontur człowieka z bronią. Znów zastygli, ale niewiele to pomogło. Cień obrócił głowę i błysnęły oczy.

Karpacki nie widział nic, tylko tę ciemną sylwetkę i oczy, które jego wyobraźnia kazała postrzegać jako białe ogniki.

Teraz przez szum deszczu dolatywały dźwięki prędkich kroków. Nadchodzili następni.

Setka myśli, potwornych wizji wlała się w głowę Karpackiego. Strzały, echo, trup, ludzie. Wszystko zmieszało się w jedno i wykwitło objawieniem własnego unicestwienia.

Nie miał zamiaru się poddać. Instynkt kazał próbować. Z jego gardła wyrwał się dziki ryk, oczy naszły krwią i porucznik Karpacki skoczył jak zwierz na ofiarę, machając karabinkiem. Wypadł na pole, łamiąc drzewka, i zamachnął się tak szybko i tak gwałtownie, że cień nie zdołał zareagować.

Stalowa kolba natrafiła na opór. Cień zgarbił się, osunął na kolano. Zenek atakował kolejnego nieprzyjaciela, próbując dobyć noża.

Bartek tłukł swojego z taką pasją, że nie słyszał jego prośb, nie widział rozpaczliwych gestów. Wreszcie tamten przestał się opierać.

– Wiejemy – rzucił Karpacki gdzieś w zapadający zmrok.

Podrzucił broń i odbezpieczył. Nie wiedział, po co i dlaczego. Ślepa amunicją mógł jedynie poparzyć, i to gdyby strzelał z bliska.

– Zenek, wiej! – wydarł się i puścił biegiem, spodziewając się wystrzałów. Napiął grzbiet w oczekiwaniu na uderzenie kuli. Nie wiedział, gdzie uciekać, nie wiedział, ilu wrogów jest w okolicy i jak się przemieszczają.

Szybko oddech się skrócił, rezerwa ostatnich mocy wyczerpała. Potknął się i prawie poszybował w wilgotną trawę, godząc się z losem.

– Bartek...! – doleciało z szarości wieczora, ale to nie był głos Zenka. Nie chciał sprawdzać. – Poruczniku! – teraz na pewno wołał ktoś obcy.

Nie, nie obcy. Karpacki znał ten głos.

– Stój! – głos bardziej prosił, niż rozkazywał. Bartek był półprzytomny, ale instynkt... ostatni, przedśmiertny przebłysk woli...

Odwrócił się, podniósł broń w szaleńczym geście. Nie potrafił wymierzyć. Dygotał. Oddech mu świszczął.

Poczuł, jak coś albo ktoś szarpie za lufę. Poddał się, prawie upuścił broń i wtedy jak w zamglonym śnie ujrzał wystraszoną twarz kapitana Goldmana.

Stali w dwudziestu, oświetleni reflektorami kilku aut. Mokli. Ale chyba nawet to było lepsze od gonitwy i strachu.

Bartka i Zenka ustawiono osobno, z boku, jak skazańców albo winowajców. Choć nikt niczego im nie zarzucał. No, prawie nikt.

Rosły niemal jak kapitan Goldman oficer, okryty gumowaną pałatką z kapturem, co rusz słał dwóm delikwentom spojrzenia pełne wściekłości, ale i zainteresowania.

Nie obchodziło ich to. Już nic ich nie obchodziło. Dotarli do granicy i ją przekroczyli. Pewnie tak chciała góra. Pod czaszką Bartka najpierw wszystko się mieszało, kotłowało od domysłów i pytań, potem nastąpiła ciemność. Chyba tylko dzięki lekarzowi i jakiemuś zastrzykowi jeszcze trzymał się na nogach, choć nie wiedział, jak długo to potrwa. Zapaść. U Zenka chyba było podobnie.

Reszta plutonu też musiała dostać w kość, ale Karpackiego niewiele to interesowało. Widział ciemne, przygarbione sylwetki bez twarzy, jakby ciągle wpatrzone w kształty na ziemi.

Zza snopu światła terenowego łazika doszły odgłosy kroków.

– Zmuszeni jesteście przerwać... – kapitan Goldman miał głos człowieka, któremu nie szło, jak zaplanował. Umilkł, układając myśli. – Więc raz jeszcze, witam nad granicą – rzucił. – Nikt z was tu nie służył... Jeśli nie wiedzieliście, jakie panują tu warunki, to właśnie się dowiedzieliście. Dlatego przywieźliśmy was tutaj – zabrzmiało jak tłumaczenie i obrona. – By was przyzwyczajać. Naszym głównym zadaniem jest działać tu... na pograniczu. – Rzucił spojrzenie facetowi w pałatce. – Warunki są inne, bardziej niebezpieczne. Są dwie gorące granice na tym

globie. Korea – popatrzył na otumanionego Karpackiego – i ta – wskazał za siebie palcem. – Ale o tej mało kto wie... Poruczniku. – Skinął na gościa w kapturze.

Ten odchrząknął.

– Panowie. Mieliście za zadanie uniknąć obławy, przedzierając się do wyznaczonego rejonu – głos oficera zadźwięczał ciężkim wschodnim akcentem. – Ale życie prześcignęło plany... W nocy patrol Korpusu Ochrony Pogranicza zameldował o prawdopodobnym przekroczeniu granicy na odcinku Charsy–Przyborowo. Dowództwo odcinka poinformowało nas nad ranem, że to prawdopodobnie grupa uciekinierów. Kilkoro zatrzymali, reszta musiała zgubić się w ciemności. Nie wiadomo, zamarzli czy padli z wycieńczenia. Ci, co ocaleli, nie wyglądali dobrze. Reszta tej awantury... To był... panowie... – przerywał, jakby robił popis albo trudno było mu wyznać tajemnicę – sowiecki oddział zbrojny. – Wskazał palcem w rękawiczce na przykryte pałatkami zwłoki kilku ludzi. – Bez mundurów, za to z bronią. Przypadek? Dywersanci czy pogoń za cywilami? Nie dowiemy się. Nie dowiemy... – zasępił się niespodzianie.

– Ważne, że nikomu z nas nic się nie stało – przejął pałeczkę Goldman.

Porucznik drgnął i spojrzał na Lipa, zdziwiony.

– Prawie nikomu – kapitan zreflektował się i kiwnął w przepraszającym geście.

Duży nie był usatysfakcjonowany, bo głowa zwróciła się na dwóch ludzi plutonu.

– Jak tylko dostaliśmy wiadomość o zbrojnym zagonie, ostrzeżono dowództwo amerykańskie, ponieważ ich jednostki operowały na poligonie – tłumaczył dalej kapitan. – Otoczono grupę wroga i postanowiliśmy kończyć i zabrać was z terenu, na wypadek gdyby było coś jeszcze. Większość udało się wyłowić, ale niektórzy... – Wyciągnął szyję, wypiął pierś, jakby rozpierała go duma. – Nie chcieli się poddać. Niestety, w tym zamieszaniu doszło do incydentu... Dwóch ludzi porucznika Borysa Zarwiegina zostało poturbowanych.

Zapadła cisza i tylko ostatnie zdanie chwilę kłuło jeszcze w uszy.

Karpacki podniósł ciężką głowę, z niepewnością łypiąc na dowódcę.

– Spokojnie... – Goldman wyczuł wątpliwość Bartka. – Będą żyli, choć... – znów popatrzył na białego Rosjanina – muszą trochę poleżeć.

Borys mimowolnie zacisnął pięści, ale nie odezwał się słowem. Wściekał się. Grupa czerwonych mało nie weszła na jego pododdział, a to skończyć by się musiało masakrą.

Nie dane było pokazać tym mądralom z nowej jednostki, jak jego chłopcy walczą, a do tego dwa chuchra położyły jego bojców.

– Na dziś koniec. Dzień był długi, panowie, ale to jest właśnie nasza specyfika. Nigdy nie będziecie wiedzieli, co i kiedy was uderzy. Bo to nie służba koszarowa czy garnizon. To niezakończona wojna, która tutaj ciągle się tli, a wy... – wskazał palcem po szeregu – jeśli się nie wystraszyliście, będziecie na jej pierwszej linii.

Nikt nie odezwał się słowem. Bali się, wstydzili przyznać? To nie było ważne. Zostawali tu, gdzie dotarli.

– Skoro tak... – Kapitan złapał się pod boki. Zdobył się nawet na uśmiech. – Bardzo dobrze. Chyba wszystko – zwrócił się do Borysa, a ten tylko przytaknął. – Panowie! Do wozów. Idzicie dalej – zabrzmiało jak werdykt.

Bartłomiej podniósł oczy, kiedy iskra niedowierzania albo raczej energii rozeszła się po ciele.

Lip Goldman uniósł brodę i mrużąc na deszczu oczy, posłał porucznikowi Karpackiemu nieznaczny, prawie niewidoczny ukłon. Był zadowolony.

Wiedeń, Austria | 5 marca 1964

Mimo bliskiej teoretycznie wiosny w stolicy Austrii zaczynał prószyć śnieg. Białe drobinki, leniwie opadające na ulice i skwery, powinny dodać nieco uroku staremu miastu. Ku wielkiemu rozczarowaniu Jana Węglińskiego nie istniał sposób, by mógł polubić stolicę dawnego imperium Habsburgów.

Neony czy połyskujące dekoracje sklepów nie potrafiły przesłonić

bylejakości miasta.

W porównaniu z Paryżem, nawet Londynem, Wiedeń nie był niczym powalającym. Może przez to, że jako jedno z wielu miast miał pecha być zajmowanym przez Armię Czerwoną.

Najpierw został zdobyty i zrujnowany wiosną czterdziestego piątego. Później ofensywa amerykańsko-brytyjska od zachodu i manewr Wojska Polskiego w kierunku Lwowa zagroziły odcięciem lub wyjściem na tyły sowieckich dywizji na południe od Karpat.

Sztab generała Andersa nie planował nic podobnego, gdyż Polacy mieli za mało sił, ale sowiecka Stawka, pomna klęsk w Niemczech i Polsce, wołała zwinąć front, by zachować cokolwiek do obrony granic.

W ten sposób, bardziej z obawy niż z powodu szturmów i bitew, Sowieci sami oddali Słowację, Austrię, a po wystąpieniach ludności i silnych nalotach Węgry. Które i tak były terenem prawie niemożliwym do obrony.

Tak ukształtowały się dwa bloki. Sowiety z Bałkanami – niepewnymi i stawiającymi żądania – oraz Wspólnota Gospodarcza Europy i Pakt Północnoatlantycki, powstały w chwili wybuchu wojny na Dalekim Wschodzie.

Pierwszy twór działał siłą rozpędu, choć nikt nie wiedział dokładnie, jakim cudem. Państwa satelickie Moskwa równała w szeregu metodą kija i marchewki, kredytami i ingerencją wojskową. Obydwie sprawy były bardzo kosztowne, ale pozwalały utrzymać nimb mocarstwowości.

Zachód stawiał na rynek, gospodarkę, choć na Starym Kontynencie ucierpiała ogromnie, niszczone wojną, a potem zwyczajnie rozgrabiona.

Po latach niepewności i konfliktu dopiero uczono się na nowo współdzystować, nie szcędząc utarczek. Zachód już nie mówił o „rosyjskiej duszy”. Nauczył się wiele przez wojnę i prawie dwadzieścia lat nerwowej koegzystencji. Pojmował, jak groźny jest „niedźwiedź”. Trzeba było wielkiej inwazji, by mądre głowy z zachodnich stolic zagłębiły się w historię Wschodu, Polski, Rzeczypospolitej Obojga Narodów czy intryg na Bałkanach.

Węgliński nazywał to powtórką z wieku szesnastego. Podobne określenia

pojawiły się w literaturze i publicystyce. Polska znów była zaporą, tyle tylko, że nie przed islamem, a czymś o wiele groźniejszym – sowieckim wojowniczym komunizmem.

Teraz jednak sytuacja była inna niż trzysta lat temu. Warszawa miała u swego boku potężne wsparcie, a rozwój gospodarczy koł społeczne protesty, pożywkę dla agitatorów i agentów sowieckich, którzy tak doskonale poczynali sobie przed wojną.

Tak oto blisko dwadzieścia lat po wojnie status quo okrzepł. Wszyscy udawali, że się lubią, że potrafią żyć normalnie, jednak mieli świadomość czegoś, co Winston Churchill nazwał po pokoju w Sztokholmie „zimną wojną”, która gorące konflikty wynosiła daleko w świat, jako starcia zastępcze. Tak, by nie rozpalić nie daj Bóg wojny prawdziwej, gorętszej niż wszystko inne wcześniej. Wojny z użyciem arsenałów, które posiadały obydwa mocarstwa. Wojny nuklearnej.

Punktów spotkań między dwoma światami było kilka. Berlin. Teraz, po odbudowie, nowoczesny, znów pełen życia i pozbawiony tej wstrętnej prusko-militarnej toporności. Jednak zdawał się straszyć i drażnić gości ze wschodu, ciągle nieprzywykłych do myśli, że utracili swoją największą zdobycz i nagrodę.

Innym był Budapeszt. Piękny gród nad Dunajem budził obawy wśród przedstawicieli wolnego świata. Może był zbyt egzotyczny albo zbyt bliski granic Paktu Sofijskiego? Albo zbyt długo był pod okupacją, w czym doszukiwano się możliwości ulokowania większej liczby kretów. Problem był tu bardziej palący niż w oswobodzonej Polsce.

Pozostał trzeci punkt na mapie podzielonej Europy, Wiedeń właśnie. Osnuty legendą miasta szpiegów, jeszcze sprzed najazdu hitlerowskich Niemiec, nieco na uboczu, ale jednak blisko „zimnego frontu”.

Jan Węgliński miał zakosztować tego szpiegowskiego klimatu. Gdy tylko ruszył z Polski, początkowa euforia ulotniła się prędko. Starzał się i za wiele myślał.

Nie bał się austriackich służb. Te nie przeszkadzały w kontaktach, przymykając oko na potajemne rozmowy i spotkania. Oczywiście dopóki sprawy nie zaczynały zagrażać austriackiej państwowości.

W kwestii powierzonej podpułkownikowi było coś większego kalibru. Wielka tajemnica, której generał Stępniakowski nie uchylił nawet rąbka, chowając się za maską profesjonalisty, który wraca do działania operacyjnego i musi przygotować spotkanie.

Węgliński nie podejrzewał, że wystawia się go na strzał. Za długo znał Pawła, zbyt mu ufał. Ponadto oddanie na tacy szefa analiz Oddziału II byłoby niepoważne. Funkcja nie była być może wielce nobilitująca, ale ryzyko skandalu ogromne.

Skandali, zwłaszcza u sojuszników, nikt nie lubił. Pamiętne wykrycie Kima Philby'ego przez wywiad USA we współpracy z Polakami starczyło na długo.

Tym, co niepokoiło Jana, była obawa przed jakąś burzą, która mogła nadejść. Podenerwowanie Stępniaковского mówiło wiele. Im Jan bliżej był granicy Austrii, tym paskudniejsze miał myśli. „Może coś na niego mają?” – pomyślał, ale zaraz obruszył się sam na siebie za wymyślanie takich historii. Jednak nie mógł niczego wykluczyć. W służbie liczył się każdy wątek, motyw i ewentualność.

Jeśli Stępniakowski ufał tylko jemu, jak mówił, to być może miał nadzieję, że kompan go nie wystawi od razu. Upřednio przekaże materiały i da przygotować sobie obronę albo... palnąć w łeb.

Jan grzebał w pamięci, szukając we wspomnieniach rozmów i życiorysach choćby cienia powodu, by zagiąć parol na generała. Nic. Pustka. Nie potrafił.

Odrzucił więc wątpliwości, postarał się uspokoić i obiecał sobie, że będzie uważał. Życie miało pokazać, o co w tym całym zamieszaniu naprawdę chodzi.

Przyjechał pociągiem jako Stefan Skowron, właściciel niedużej fabryki zajmującej się produkcją urządzeń elektrycznych i elektrotechnicznych, podróżujący w celach handlowych.

W firmie – tej prawdziwej – wziął urlop. Ani on, ani szef nie zdradzili się słowem o prawdziwych powodach nagłej potrzeby wypoczynku. W domu też nie było problemów. Karolina wiedziała, gdzie pracował mąż, i zdawała

sobie sprawę, że nowy przydział jest podobny. Sama nosiła kiedyś mundur, rozumiała, co to obowiązek. Nie zadawała pytań.

Jan Węgliński, chcąc rozeznać się w sytuacji, sprawdzić siebie i otoczenie, kilka dni przemieszkał w Krakowie. Nie rzucał się w oczy, na wypadek gdyby lokalna ekspozytura miała go rozpoznać. Potem krótki pobyt w Pradze i dopiero Wiedeń.

Zresztą i tak musiał czekać na zielone światło. Anonsowanie przybycia zajęło nieco czasu. Generał zlecił to zgodnie z prawidłami sztuki, acz po cichu, wydziałowi wywiadowczemu, bez konsultacji z ambasadą i bez szczegółów.

System był prosty. Generał sam odpowiedział na widokówkę, szyfrując ją chyba tylko sobie znanym sposobem. Następnie posłał kolejną, a ludziom kazał wystawić w „Wiener Zeitung” ogłoszenie. Po dwóch dniach pojawiło się kolejne, wykupione przez drugą stronę.

Węgliński zapoznał się z treścią. Jakieś bzdury o spotkaniu w sprawie zaginionego psa. Od tej pory był sam, działał bez osłony i immunitetu.

Siedział w modnej wśród przyjezdnych kawiarni, sącząc gorącą czekoladę, ukryty w kącie, jak nakazywała sztuka. Wieczór był gwarny, lokal pełen. Wśród gości Jan nie dostrzegł nic podejrzanego. Przesiadali tu głównie ludzie w średnim wieku, biznesmeni w podróży, szukający przygód z pracownikami swoich kontrahentów lub droższymi, bardziej dyskretnymi prostytutkami, albo – w mniejszości – romantyczni randkowicze.

Młodzież, jak wszędzie, chyba wolała mniej sztampowe lokale. Kluby muzyczne i swobodniejsze bary.

Kiedy pojawił się tamten, Węgliński nie od razu go dostrzegł. Gość był o jakieś dziesięć lat starszy od Jana, lekko już siwiał. Garbił się, wyglądał na łajzę. Nosił długi płaszcz, kryjący jasnoszary dwurzędowy garnitur. Twarz miał pełną, o czerwonym odcieniu skóry.

Powiesił kapelusz na wieszaku przy wejściu. Też potrafił patrzeć i sprawdzać. Ostrożnie, bez ostentacji. Zamówił przy barze kawę i udając, że podziwia trunki i stare bibeloty na ścianach, obserwował odbicie w lustrze nad kontuarem.

Stał tak pięć minut, sącząc wolno małą czarną, co rusz rzucając aktorsko, perfekcyjnie odegrane żarty dziewczynie, która go obsługiwała.

Upewniał się, że jest sam, ale i dawał znak, że jest bezpieczny. Nikt za nim nie szedł, nie interesował się. Odczekał swoje i odszukał spojrzenie Węglińskiego.

Sekunda wystarczyła. Przybysz zapłacił, poprawił płaszcz. Zabrał kapelusz i wyszedł.

Jan się nie śpieszył. Uregulował rachunek. Ubrał się spokojnie i wyszedł na mróz.

Przybysz nie odszedł daleko. Przystanął przy witrynie sklepu z zabawkami i udawał, że podziwia wystawę. Musiał dostrzec odbicie Węglińskiego, bo zaraz ruszył dalej po świeżym śniegu. Węgliński był ostrożny, napięcie pomieszało się z przyjemną ekscytacją.

Bawili się w takie podchody około pół godziny, robiąc dyskretny slalom wśród ludzi na ulicach, między autami, kiedy zmieniali strony. Potem przerwa i znów spacer oraz wzajemna obserwacja.

Przybysz uznał wreszcie, że czas kończyć. Obydwaj zmarzli. Jana rozboleły nogi. Stare kontuzje nie dawały o sobie zapomnieć. Już nie był dwudziestokilkuletnim żołnierzkiem.

Kolejna ulica była w porównaniu z głównymi arteriami ciemna i zupełnie cicha. Stało przy niej kilka jeszcze nieodbudowanych, otoczonych drewnianym rusztowaniem kamienic.

Przybysz zniknął pod jednym z nich. Jan się zatrzymał, zaniepokoił. Lepszego miejsca na napad nie mógłby sobie wymyślić.

Przeszedł na drugą stronę, okrążył ostrożnie ruinę i zajrzał w ciemną szparę w zasłoniętych dechami wieżach.

Nie było wyboru ani czasu, by rozważać dłużej za i przeciw. W każdej chwili ktoś mógł się pojawić.

Jan zebrał się w sobie, zacisnął pięści, przypominając wszystkie sztuczki i chwyt, jakich nauczył się w batalionie komandosów. I tylko ponura świadomość niedoskonałości fizycznych pozbawiała go absolutnej pewności

własnych mocy.

Przeszedł przez ulicę, odsunął brudne, liche drzwi. Cuchnęło stęchlizną i kocim moczem, pod nogami chrząścił gruz. Trzeba było trochę czasu, zanim oczy jako tako przywykły do mroku.

Był w tunelu bramy, zakrytej u wylotu na podwórko drewnianą przeszkodą.

We wnęce, gdzie kiedyś musiało być wejście do mieszkania dozorca, błysnął płomień zapalniczki. Jan opanował dreszcz lęku.

– Powitać – spokojny, chrapliwy głos Rosjanina doleciał z zakamarka. Zaświecił się ognik papierosa.

Postać stanęła na schodku, chyba obserwując Polaka.

– Dobry wieczór. – Węgliński w emocji prawie zapomniał, jak się mówi po rosyjsku. – Roman – przedstawił się kolejnym nieprawdziwym imieniem, dobranym na takie rozmowy.

– Cieszę się z tego spotkania... – Przybysz zaciągnął się dymem. – Naprawdę – zabrzmiało nawet szczerze. – Przepraszam... Zapali pan? – Wyciągnął paczkę papierosów.

– Dziękuję. – Jan zrobił ruch. Żadnych wstępów, wielkich słów. Szybko i sprawnie.

Dotarło doń, że właściwie nie wiedział, co ma robić i o czym rozmawiać. Jak młokos nieprzygotowany do lekcji.

– Skoro pan się pojawił – przybysz mówił niezwykle uprzejmym tonem – oznacza to, że tam gdzieś ktoś mi zaufał. – Przez mrok przebił się nieśmiały uśmiech. – Przypomnił sobie o mnie.

Ostatnie zdanie wydało się Janowi bardzo interesujące, ale nie było czasu, żeby prosić o szczegóły.

– Nie mam sposobu, by sprawdzić pana funkcję ani narodowość... Trudno. – Rosjanin wzruszył ramionami. – Ryzyko. Dobrze. Nie powiem, kim jestem i jak się nazywam. Proszę mówić mi Iwan, Igor... jak pan sobie życzy. Pseudonim mnie nie interesuje. Skoro się spotykamy, to ten, kto pana przysłał, wie o mnie. Zaufał mi... a ja mogę się przydać. Proszę to

zapamiętać i przekazać. Przydam się wam, bardzo się przydam. Nie powinniście się mną chwalić. Przynajmniej na razie. Ale nie jestem dziecko i wiem, że zrobicie, jak będziecie uważali za stosowne. Jeśli jednak posłuchacie, nie pożałujecie...

Jan Węgliński nie zdzierzył. Drgnął, przekręcił głowę, dając owoładnąć się podświadomemu przeczuciu, że ma przed sobą mitomana. Albo gorzej, człowieka niespełna rozumu.

– Proszę poczekać. – Przybysz wyraźnie potrafił odczytywać mowę ciała.

Brak zaufania widocznie nim wstrząsnął. Podszedł bliżej, nastroszył się.

– Nie będziecie żalowali... Rozumie pan. Wiem, że to może zbyt szybkie, dziwne, ale skoro pan tu jest...

Pochylił głowę, patrząc głęboko w oczy Polaka. Mocowali się chwilę na spojrzenia. Żaden nie odpuścił.

– No. – Rosjanin nerwowo ukazał zęby w parodii uśmiechu. – Ale nic za darmo. – Uniósł palec.

Węgliński fuknął i pokręcił głową.

– Żart?

– Żaden żart, proszę wierzyć. – Rosjanin złożył dłonie niczym do modlitwy.

Odwrócił się na pięcie, sięgnął do kieszeni. Jan cofnął się o krok, niepewny, co zaraz się wydarzy.

Ale przybysz wyjął zapalniczkę i przyświecając przy murze, pochylony zaczął czegoś szukać.

Minął wejście do mieszkania, kilka kup cegieł i kiedy doszedł do drewnianej przegrody, gdzie wałała się sterta desek i obłupanego tynku, wygrzebał swój łup.

– Proszę. – Zamachał triumfalnie czymś, co przypominało kopertę.

Podszedł bliżej do Jana i z wielkim namaszczeniem wręczył mu znalezisko.

– To oczywiście tylko próbka. Niewielka próbka mojej wiedzy, którą gotów jestem przekazać. A dokładniej: sprzedać...

Teraz Węgliński skupił na nieznanym całą uwagę.

– A tak, tak – uśmiechnął się Rosjanin. – Różnie może być, a żyć trzeba.
– W środku... – spoważniał, jak na profesjonalistę przystało – są moje wymagania. Namiar na konto w Szwajcarii i kwota, jaka mnie interesuje. Co by tu jeszcze... Ja wiem... wszystko wygląda dziwnie, zbyt pośpiesznie. Bo czas nagli, szanowny kolego. Mogę się tak zwracać? – Nie czekał na odpowiedź. – Rozumiem, że potrzeba ci konsultacji, porozumienia, to potrwa. Jeśli wyrazicie chęć rozmawiać dalej, to zamieśćcie ogłoszenie. Treść w kopercie. Ale nie później niż w ciągu dwóch tygodni. Potem może być różnie... – Zasepił się, opuścił głowę, wpatrzył w czarną posadzkę.

– Różnie? – Węgliński nic więcej nie potrafił wymyślić. Praktycznie zaprzęgnięto go do roli kuriera, no chyba że zaraz aresztuje go austriacka policja. Wiedział, że jako zawodowy analityk będzie musiał ocenić otrzymany materiał, zdać raport ze spotkania i przekazać swoją ocenę przybysza, ale nie było to nic wielkiego.

Facet wyglądał na nienormalnego albo w najlepszym razie jednego z dziesiątków czerwonych, którzy co rusz przechodzili na drugą stronę. Więc po co było tyle zachodu i nerwów?

– Różnie, kolego, różnie. – Westchnienie Rosjanina wyrwało Jana z rozważań.

– Coś więcej? – Polak zamachał kopertą jak targujący się straganiarz.

Rosjanin wyprostował się. Oczy zrobiły się duże, okrągłe, wargi drżały, jakby walczył ze sobą. Przemógł się jednak w końcu.

– Za kilka dni, kilka tygodni... – Przełknął głośno ślinę. – Nic już nie będzie takie samo, kolego. Zacznie wrzeć... u nas i u was.

Wrocław, Polska | 6 marca 1964

Z pociągu na pięknym wrocławskim dworcu wysiadło sporo pasażerów. Wśród nich Stefan Skowron vel Jan Węgliński. Niosąc niedużą walizkę,

spokojnym krokiem udał się do najbliższego automatu telefonicznego.

Wiedział dobrze, że w sakwojażu z podwójnym dnem niesie być może bombę. Uchwyt walizki dosłownie parzył i trudno było zachować opanowanie.

Węgliński właściwie nie miał pojęcia, w czym wziął udział. Wewnętrzny głos mówił, że to duża sprawa, że rozmawiał z kimś z pozoru obłąkanym, ale jednocześnie wystraszonym desperatem, który krył własne lęki. Istniała też równie prawdopodobna możliwość: prowokacja.

Czyli tak naprawdę nie wiedział nic. Był kurierem, nie miał prawa otworzyć pakietu. Miał dostarczyć go górze, Pawłowi Przeszło-Stępniakowskiemu.

Stąd brał się ten pośpiech. Żadnego kluczenia, zbędnych przesiadek i przerw w podróży. Najszybszy pociąg do Warszawy. Musiał jeszcze potwierdzić, że wrócił.

Wszedł do budki telefonicznej. Walizkę postawił na sztorc, blokując nogami. Wrzucił drobne, zaraz ktoś odebrał po drugiej stronie.

– Dzień dobry. To ja. Już w kraju – mówił spokojnie, półgłosem. – Tam gdzie ostatnio. Dam jeszcze znać kiedy. – Odłożył słuchawkę. Nieco mu ulżyło. Złapał za uchwyt kuferka i ruszył powrotem do wagonu.

Granica wschodnia, 40 km na północ od Lwowa | 7 marca 1964

Łazik PZInż 55, zwany „pięć-pięć”, był dobrą konstrukcją. Zastępował z wolna amerykańskie Willysy i późniejsze M38, auta dobre, ale produkowane już na nieco starszej licencji.

Pięć-pięć był nieco większy, bardziej pakowny i miał mocny, górnoszaworowy silnik. Poprawiono trakcję, dodając szersze, większe koła. Przypominał czterodrzwiowego Dodge’a 3/4 w mniejszej skali, skrzyżowanego z przedwojennym PZInż 303.

Auto można było uzbroić w broń maszynową, mocowaną na przedzie, na statywie czy obrotnicy w najnowszej zabudowanej wersji.

Wóz był zwinny, lekki, przy tym ładowny, a co najważniejsze, radził

sobie doskonale na bezdrożach wschodniej Rzeczypospolitej.

Kapral Józef Romańczuk to właśnie w tym aucie lubił najbardziej, jego zwrotność i łatwość przedzierania się przez piaszczyste tereny czy płytkie mokradła. Romańczuk żałował jedynie, że to cudencko nie potrafi pływać, bo już w ogóle nie musiałby wysiadać.

W pięć-pięć siedział cały pięcioosobowy patrol KOP. Długo przed świtem wyruszyli ze strażnicy numer pięć, na odcinku środkowym. Zgodnie z zadaniem kapral gapił się przez parujące okna. Mówili mało. Zmęczenie dopadało mocniej, zwłaszcza tuż przed zjazdem do strażnicy.

Nie było jednak mowy o folgowaniu sobie. Tak ich wyszkolono, tak wpajano do głów wszystkim rekrutom powołanego w roku 1950 po raz wtóry do życia Korpusu Ochrony Pogranicza.

Ich zadaniem było zabezpieczenie granicy i wykrywanie zagrożeń u samej linii dzielącej dwa bloki, zanim przeniosą się dalej.

Nie było w tym nic porywającego. Niewiele prawdy mówiły plakaty werbunkowe.

Jeszcze na początku zdarzały się zbrojne patrole wroga, ale od lat nie działo się wiele. Służbę na tym odludziu urozmaicały jedynie grupy uciekinierów z Kraju Rad. I tak było aż do tego roku.

Okólnik z dowództwa kazał zwiększyć liczbę patroli, mieć się na baczności i uważać na prowokacje. Wszak tylko do jesieni za granicę, prócz kilkunastu grupek wygłodniałych cywilów, zapuściły się aż cztery bandy.

Dwie wykryto i zmuszone były się wycofać. Jedną ostrzelano, jedną zlikwidowano. Prócz tego mnożyły się meldunki o pojedynczych przypadkach przekroczenia granicy. Ogłaszano alarmy, ale niewiele udawało się wskórać.

Ten patrol był rutynowy. Czyli prościej rzecz ujmując, nużący. Mróz łapał solidny. Ścieżki zawiąło, wszystko wokół zrobiło się jednolicie białe. Gdyby nie morząca ludzi senność i przyzwyczajenie, można by uznać krajobrazy za isticie bajkowe.

Ale cała piątka tkwiła tu już dwa lata. Sami ochotnicy. Zawodowcy.

Korpus był jak w dawnych czasach formacją elitarną, ważną, dobrze wyekwipowaną, tutaj na wschodzie można było się sprawdzić i być z siebie dumnym. Przynajmniej tak wpajała cicha, choć skuteczna propaganda, która tłumaczyła młodym chłopakom, czemu mają odmrażać nogi w lasach Wileńszczyzny lub na płaskich równinach koło twierdzy Lwów.

Dowódca patrolu, kapral Romańczuk, potrząsnął głową, jakby zrzucił okruchy cisnącego się na powieki snu. Wjechali do lichej wsi. Drewniane domy, tylko w połowie zamieszkałe, wyrastały wzdłuż asfaltowej, krętej drogi.

I to właśnie korpusowi najbliższa okolica zawdzięczała nieco inwestycji. Kilka dróg, prąd, który przy okazji oświetlania strażnicy i dojazdów przeciągnięto i do domostw.

Mieszkańcy wioski jeszcze spali lub może zajmowali się skromnym inwentarzem. Dzień jak dzień.

Kapral złapał za słuchawkę radia zamontowanego w wozie, kiedy minęli dom sołtysa, nieformalny punkt, w którym informował bramę, że jest już blisko.

– Tama Pięc, tu Wyżeł... dwie minuty.

Auto minęło ostatnią we wsi stodołę, wjechało na łuk drogi i za niskim lasem pojawił się oświetlony budynek jednostki, zaśnieżony brązowo-zielony klocek. Parter zajmowały pomieszczenia mieszkalne załogi: niepełnej kompanii piechoty. Obok, wkopane częściowo w grunt, znajdowały się garaże i punkt dowodzenia, osłonięty budowlą bunkier o grubym stropie. Na terenie była jeszcze stołówka i niewielka sala gimnastyczna z siłownią, pełniąca też rolę kaplicy.

Pośrodku ponad budowlę wyrastała metalowa wieża z drabiną, punkt najważniejszy. Oczy i uszy na granicę i tamtą stronę.

Garnizon jakich wiele, budowany od jednej sztancy na całej linii podziału. Broniony płotem i drutem kolczastym oraz polowymi schronami w narożnikach, które dodatkowo osłaniały nowoczesne, amerykańskie czujniki ruchu, rozsiane daleko wokół bazy.

W eterze zachrzęściło.

– Wyżeł, tu Tama Pięc... – doleciało od strażnicy. – Wstrzymaj się.

Kapral popatrzył na kierowcę i, wykręcając szyję, na resztę załogi.

– Tama Pięc, nie rozumiem... – odparł Romańczuk, dając szoferowi znak, żeby zwolnił.

– Wyżeł... – głos zrobił się bardziej nerwowy. – Tama Pięc, stój – padł rozkaz.

Kierowca nie czekał na polecenie kaprała i zahamował.

– Wyżeł, mamy jakiś ruch kilometr na południowy wschód...

– Psia nędza – warknął pod nosem Romańczuk, z wielkim trudem hamując gorsze przekleństwa. Przecież mieli kończyć szychtę. Otworzył mapnik. – Tama Pięc, czy chodzi o kwadrat... – Wodził palcem po karcie, kiedy ponad lasem rozszedł się głuchy trzask.

Poniosło nad drzewami. Wszyscy w aucie zamarli skuleni. Sekunda, dwie i strażnicę osnuł ciemny obłok. Trzasnęło. W uszach poczuli ból.

– Boże – sapnął szeregowy tkwiący w obrotnicy z karabinem maszynowym ulokowanej na środku dachu.

– Tama Pięc! Co z wami?! – kapral wydarł się do słuchawki, ale kolejne wybuchy zagłuszyły wołania. Gejzery ziemi pomieszanej ze śniegiem pokryły budowlę. Ulotny błysk, ogień.

Trafili idealnie. Wieża na środku najpierw się zachwiała, potem zabrzmiał głośny jęk metalu. Trzasnęło i konstrukcja poleciała z łoskotem na ziemię.

Ucichło tak nagle, jak się zagotowało.

Romańczuk siedział jak zahipnotyzowany, z rozdziawionymi ustami patrząc na unoszącą się wolno chmurę dymu.

– Co robimy? – Szofer przełknął ślinę. – Panie kapralu... – Szturchnął dowódcę łokciem.

– Co? A tak... Tama Pięc, Tama Pięc – zaczął wywoływać Romańczuk. – Żyjecie?

– Wyżeł – głos w radiu drżał – żyjemy... Szóstka też pod ogniem. Powtarzam: Szóstka też pod ogniem. Tu u nas wysyłam drużynę alarmową. Ale jesteś bliżej, w polu... może ci się uda...

– Jasne, rozumiem – przytaknął Romańczuk, czując, jak adrenalina wlewa się w żyły.

Rzucił okiem na mapę, łypnął na szofera z pełną powagą i przestraczem na twarzy.

– Mieciu! W prawo w las – rozkazał.

Chłopak skinął głową. Wrzucił bieg i dodał gazu.

Pałac Prezydencki, Warszawa, Polska | 7 marca 1964

– Coś interesującego? – zapytał szczupły, prosty jak tyka Romuald Chrzanowski, czterdziestoletni, zadbany mężczyzna, ubrany w lśniącą nowośćią, szyty na miarę garnitur.

Stał w drzwiach sekretariatu. Późna pora nie sprzyjała wizytom kurierów. Chyba że działo się coś naprawdę niedobrego lub wymagającego decyzji najwyższego czynnika: prezydenta Rzeczypospolitej, który na mocy Ustawy Zasadniczej z maja roku czterdziestego dziewiątego pełnił najwyższą funkcję w państwie.

Szef sekretariatu, łysiejący brunet o sporych zakolach, dwa lata młodszy od Chrzanowskiego, podał mu sporą zapieczętowaną kopertę. Ukłonił się przy tym usłużnie, jak miał w zwyczaju.

Zastygł zaraz, czekając na polecenia.

Minister Chrzanowski obrzucił go prędkim spojrzeniem, przygryzając policzki, by się nie uśmiechnąć.

Nie po raz pierwszy zmuszony był przyznać, że główny sekretarz pierwszego obywatela idealnie pasuje wyglądem na urzędnika. I to takiego przedwojennej proveniencji. Jak nauczyciel z muzycznej komedii z lat trzydziestych. Za duża marynarka, zakola, niedopasowane okulary.

Prócz tego posłuszny, dokładny, diabelnie pracowity i sympatyczny w

swej nieporadności, jeśli szło o wszelakie pozasłużbowe działania.

– Dziękuję panu. – Szef kancelarii również pochylił głowę w teatralnym geście. – Przekażę osobiście. Wolałbym, aby na dziś pan kończył, chyba że – postukał w kopertę – sytuacja będzie nieprzyjemna.

Poszedł wolno korytarzem do swego obszernego gabinetu, pełnego wiekowych, ciemnobrązowych mebli. Zgasił główny żyrandol, zapalił lampę na biurku. Zerknął na zegar u ściany. Minęła piąta, dzień był długi, pełen wrażeń i spotkań. Kalendarz spraw został wyczerpany, ale niepokojące wieści znad granicy zatrzymały prezydenta w pomieszczeniach służbowych. Zwierzchnik państwa odbył kilka rozmów z wyższymi oficerami oraz przedstawicielami rządu i nakazał dostarczyć sobie pełne spektrum informacji. Później udał się na kwadrans drzemki, przewidując, że dzień jednak prędko się nie skończy.

Minister Chrzanowski uznał zgodnie ze zwyczajem, że szybciej i sprawniej będzie, jeśli sam przedstawi prezydentowi nowe wieści. Otworzył kopertę, wydobył dwie kartki.

Prześledził pobieżnie tekst, kilka opinii i ogólnych przypuszczeń, i przeszedł do konkluzji. Zaskoczyła go równie mocno, jak wielkość pilnej przesyłki.

– Spodziewać się należy wzrostu ogólnie pojętych niepokojów, manifestacji, jak również wystąpień o charakterze terrorystycznym – minister przeczytał półgłosem najważniejsze zdanie. – Doprawdy? – rzucił pytanie w pusty pokój i pokręcił niezadowolony głową.

Łódź, Polska | 9 marca 1964

Jeżeli w niebotycznie ciężkim szkoleniu, jakie przechodził porucznik Bartłomiej Karpacki, były jaśniejsze momenty, to właśnie takie jak ten.

Po prawie roku poza domem, rodziną, wbijania do przemęczonej głowy nowych zasad prowadzenia walki i rozpoznania, obsługi broni i pojazdów adeptom nowych pododdziałów liniowych zezwolono na przerwę.

Poinstruowano, że zakończyli pewien etap i mogą poświętować.

Koleżeński jubel odbył się zwyczajnie. Najpierw długi sen, potem piwo gdzieś w mieście. Tyle że to piwo zamieniło się w rozróbę zakończoną ucieczką przed policją w myśl zasady „nam mogą skoczyć”.

Goldman ani nikt ponad nim nie robił awantur, nie wyciągał konsekwencji. Uznano, że ludziom należało się odreagowanie. Najważniejsze było, że nikt nie dał się pojmać, co świadczyło o słuszności metod szkolenia i dobrym wytrenowaniu żołnierzy.

Druga część odpoczynku miała być spokojniejsza. Wyjazd do domów i rodzin. Tu już grzecznie, jak na wzorowego syna przystało.

Wcześniej poinstruowano kursantów, wymuszając podpisanie deklaracji zachowania tajemnicy, że nie wolno im opowiadać niczego o szkoleniu i jego okolicznościach. Zasygnalizowano też, że istnieją sposoby, by sprawdzić, czy dotrzymają zobowiązania. Zrobiono to w taki sposób, że nikt nie miał zamiaru rzucać wyzwania aparatowi wojskowemu.

Bartek Karpacki nie przejmował się zawołowanymi pogroźkami. Nie żeby było mu wszystko jedno. Znał swoje miejsce w szeregu i mimo ostatnich, dość spektakularnych i dramatycznych wydarzeń czuł dumę, że znów dał radę.

Uwierzył, że podjął słuszną decyzję wtedy wczesnym latem. Pozbył się tej niepewności, lęków, jakie łapały za gardło tam na „Gwoździu”, i nabrał werwy. Zwłaszcza po ogłoszeniu, że zdał i zostaje.

Chodził wyprostowany, z wysoko podniesioną głową. Schudł jeszcze bardziej, ale przybyło mu mięśni, i był dumny jak paw. Nawet jeżeli mógł chodzić tylko po cywilu, a rodzina nie miała prawa wiedzieć, co i gdzie robi.

Jedynie matka żaliła się, że nie wygląda dobrze, że mało dba o siebie i, co bolało ją najmocniej, nie szuka żony, a przecież kilka koleżanek z dawnych czasów dopytywało o niego. Obiecał matce, że zajmie się tym niebawem, ale musi odespać parę spraw.

Ojciec nie sarkał. Był dumny, bo wierzył, że syn podoła. Sam go namawiał. W wielkiej tajemnicy posłał kilka listów, prosząc o życzliwsze przyjrzenie się latorośli. Jako weteran, jeden z grupy Wójcika, która podniosła bunt w czerwcu czterdziestego piątego, miał pewne przywileje.

Chciał, żeby syn trwał w wojsku, piał się wysoko i mimo że szczerze się o niego bał, widział dla Bartka sam szczyt.

Wyszli z restauracji całą czwórką. Bartek, rodzice i jego nastoletnia siostra Alina. Bartłomiej nie nawykł do sutoch posiłków u mamy ani na mieście. Choć czuł ciężar w żołądku, jego wyjściowy cywilny płaszcz wisiał jak chorągiew.

Śnieżycą, która szalała nad miastem, też chyba na moment zrobiła sobie przerwę obiadową. Piotrkowska została zasypana i dozorczy mimo niedzieli uwijali się przy szuflach, przebijając ścieżki ku swoim bramom.

– Kawusia, jakieś ciastko? – Starszemu Karpackiemu nie było widać dość. Poglądził się po brzuchu. – No a może piwko, synek? – Grzegorz trącił syna łokciem i mrugnął. Żona nie oponowała. Było święto, ich wspólne święto.

– No i namówiłeś – westchnął porucznik z udawaną rezygnacją.

– No to może do Delicji? – wtrąciła rozochociona Alina, łapiąc obu panów pod ramiona. – Co? Tam takie fajne torty – domagała się jak małe dziecko, robiąc proszącą minkę.

Grzegorz Karpacki chciał odpowiedzieć, ale jakiś huk zagłuszył wszystko. Ziemia zadrżała. Mimo mrozu uniósł się kurz. Przed nimi w dali, w stronę placu Wolności, wystrzeliła postrzępiona chmura dymu, niczym brązowe drzewo o wielu gałęziach. Po trotuarach prześlizgnął się gorący podmuch.

– Na ziemię! – zdążył krzyknąć młody Karpacki i szarpiąc za poły, pociągnął matkę i siostrę na świeży śnieg. Wszyscy prócz Aliny pamiętali wojnę albo na niej walczyli, więc wiedzieli, co robić. Nakryli głowy rękoma w chwili, gdy posypało się szkło z szyb popękanych wstrząsem.

– Jezusie, Maryjo – mama sapnęła, ale odruchowo, jak przeszkolona zaczęła pełznąć pod ścianę kamienicy. Wpojona dawniej nauka, by nie być na otwartej przestrzeni, dawała o sobie znać.

– Cała jesteś? – Bartek złapał siostrę za ramiona i patrzył w bladą twarz. Alina dygotała, chyba w szoku, ale reagowała.

Grzegorz podniósł się na klęczki, pochwycił obie kobiety i przytulił, nie na żarty wystraszony. Wzrok mu zmętniał, jakby obrazy z frontu wróciły.

– Zostańcie. – Młody zerwał się na równe nogi. – Zobaczę. – Nie wiedział, czemu to powiedział.

Ruszył biegiem w dym, który sunął ulicą jak wielkim szybem.

Oczy zapiekły. Do uszu dolatywało coraz więcej jęków, próśb o ratunek. W tej brązowoczarnej mgłę ujrzał język płomieni bijący z otworu, który kiedyś musiał być wejściem do jakiejś knajpy.

Zapatrzony w czeluść potknął się, spojrzął w dół i poczuł ogarniające go przerażenie. U stóp miał nieruchome ciało. Wrócił naraz obraz mokrych zwłok dziewczyny, tam na łące. Pewność siebie i duma z osiągnięć na moment uleciały. Nigdy nie spodziewałby się czegoś takiego u siebie, nieomal pod domem. To znów było coś innego niż szkolenie. Nie chciał tego i wściekał się.

Zebrał się w sobie, ale dał złości działać. Klęknął i zaczął odrzucać resztki mebli i szpargałów z ciała kobiety. Z ulgą pojął, że jeszcze żyje. Mamrotała coś pod nosem.

Bartłomiej wziął ją na rękę i pobiegł na drugą stronę, jak najdalej od tego miejsca.

Warszawa, Polska | 10 marca 1964

Prezydent Rzeczypospolitej Ernest Dobrowolski, głowa państwa, człowiek, który jako drugi w historii Polski wybrany został w bezpośrednich wyborach, słuchał długo i uważnie.

Znany był z tego, że potrafi okazać niezwykle szacunek słuchaczowi, skupiając jakimś cudem całą swą uwagę na rozmówcy. Powstrzymywał wszelkie odruchowe gesty i słuchał w niemal kompletnym bezruchu.

– Dziękuję – powiedział, kiedy swą wypowiedź zakończył minister spraw wewnętrznych Zbigniew Skórowski.

Prezydent nagroził go wypróbowanym uśmiechem, oznaką wdzięczności i pochwały, jednym z arsenału, jaki posiadał na różne okazje.

– Panie generale – nie tracąc ani chwili, wykonał nieznaczny gest głową, wskazując oczami na dossier leżące przed Przeszło-Stępniakowskim. – Teraz prosimy o pana meldunek. Nie ukrywam, zapewne najbardziej miarodajny, wyczerpujący i ciekawy. – Znów kącki ust uniosły się, uśmiech podkreślił nutę uszczypliwości.

Prezydent jakoś nie potrafił przekonać się do formacji generała, zresztą podobnie rzecz miała się z policją czy biurem wewnętrznym. Mierziło go obcowanie z przedstawicielami wszelakiej władzy policyjnej. Może było to sprawą wieku i doświadczenia, może wspomnień z czasów przed wojną, kiedy ugrupowania szeroko pojętej endecji rozpracowywano po linii państwowej. I mimo wielokrotnie zgłaszanych zastrzeżeń, a nawet dąsów przedstawicieli służb, że kraj jest państwem demokratycznym i przepisy prawa zniosły dawne, nie zawsze godne zachowania, prezydent trwał w swoich podejrzliwościach.

– Dziękuję. – Paweł Przeszło-Stępniakowski, w zielonym mundurze garnizonowym, z pełną wystawą baretek na piersi, prosty jak struna, odchylił okładkę teczki na stole.

Zanim zaczął raportować, powiódł wzrokiem po zebranych. Premier, dwaj ministrowie: obrony i spraw wewnętrznych, a także jego bezpośredni przełożony, szef Sztabu Generalnego, czekali z wyraźnym, trudno ukrywanym napięciem.

Jak i prezydent, doskonale wiedzieli, że to Oddział II jest uszami i oczami polskiego państwa. Jeśli jakakolwiek instytucja miałaby dotrzeć do prawdy o ostatnich wypadkach jako pierwsza, to tylko „Dwójka”.

Prezydent przeszedł w tryb odbioru, podobnie jak nieodstępujący go na dłużej niż kwadrans szef gabinetu, Romuald Chrzanowski.

Generałowi przyplątała się obserwacja, bardzo nie na miejscu, że głowa państwa wygląda staro, jak na sześćdziesiąt dwa lata. Pomarszczona twarz, głowa z resztkami siwych włosów, osadzona na długiej, chudej szyi jak u indora, to wszystko pasowało do osoby o wiele bardziej wiekowej.

Tak, mężczyzna ten nie był amantem, nie zrobiłby kariery w stylu amerykańskim, gdzie liczy się wygląd.

Prezydent był inteligentnym człowiekiem, doskonałym oratorem i udało mu się wybić na stanowisko głowy państwa. Choć przyznać należy, że poprzednia ekipa, ku zaskoczeniu wielu, w tym generała Andersa, wywodziła się ze środowisk bliskich przedwojennej sanacji. Jakby naród chciał ukarać dawną ekipę londyńską za konszachty z Sowietami, zapominając o ich braku pola manewru w wielkiej polityce.

Jednak spór polityczny był o wiele spokojniejszy niż chociażby przed wojną i kiedy poprzednia administracja nie znalazła odpowiednio mocnego kandydata, prezydentem został Dobrowolski.

Dużą zasługę miał tu minister Chrzanowski. Postać rzutka, doskonała w politycznych intrygach i sposobach opanowywania przychylności ludzi, ale i tajemnicza. Przybysz z emigracji, dobrze sytuowany polityk o zdolnościach organizacyjnych.

Teraz oni wszyscy, tak zwany ścisły skład Biura Bezpieczeństwa Narodowego, nadstawiali uszu na głos generała Stępniańskiego.

Nie chciał dłużej trzymać zebranych w napięciu.

– Panie prezydencie – rozpoczął poważnie, wykonując ruch głową, który w jego mniemaniu był oznaką szacunku – panie premierze, panowie ministrowie, generale. Jak mogliśmy dowiedzieć się od pana ministra Skórowskiego – ukłon w stronę szefa MSW – w ciągu dwóch dób doszło do siedmiu incydentów... Ataków, ostrzałów i, co najbardziej przerażające, zamachów. Jeśli chodzi o te ostatnie wydarzenia, są to najpoważniejsze incydenty w czasie pokoju od lat trzydziestych...

– Panie generale... – Prezydent przemówił, po raz pierwszy tego dnia przerywając referującemu.

Stępniański umilkł, wytrzymał spojrzenie z zaciśniętymi wargami.

– Panie generale, czy może pan dziś naświetlić, kto odpowiada za taki wzrost terroru? – Prezydent mówił z pozoru grzecznie, ale wyraźnie domagał się efektów, a nie powtórki z ogólnych raportów. Generał czuł to doskonale.

Nabrał nosem powietrza, dając sobie kilka sekund na zebranie myśli. Wiedział, że nie da rady zaspokoić ciekawości prezydenta ani jego wyśrubowanych wymagań wobec wywiadu.

– Według opinii Oddziału II mamy do czynienia z inspiracją naszego wschodniego sąsiada – zdanie wybrzmiewało chwilę, a potem dało się słyszeć ciche sapnięcie zebranych.

Prezydent drgnął.

– Dowody – rzucił oschle i podparł głowę dłonią.

Przeszło-Stępniakowski znów zastygł, bojąc się, że wymsknie się mu coś nie na miejscu.

– Uważam, że innej możliwości nie ma...

– Pan żartuje. – Chrzanowski zakołysał się w miejscu, robiąc wielkie oczy.

– Prosimy o dowody... Pańskie przypuszczenia to iluzja. Pan chyba rozumie, że w tym przypadku wskazanie Związku Sowieckiego jako odpowiedzialnego pociągnie za sobą co najmniej bardzo niepokojące konsekwencje. Zresztą tu nie ma dobrego rozwiązania. – Prezydent lekceważąco machnął dłonią. – Pomówienie to kpina, twarde dowody nie poprawiają niczego, ale dają podstawę działania. – Nabrał powietrza. – Dlatego jeśli pan generał posiada jakiegokolwiek poszlaki...

W pomieszczeniu rozległy się szepty, uciszone zaraz wyciągniętym palcem głowy państwa.

– Generale? – Prezydent zawiesił głos, oczekując jasnej odpowiedzi.

– Nie mogę w tej chwili przedstawić namacalnych dowodów – Stępniakowski wyrzucił zdanie na jednym oddechu. – Jest być może za wcześnie... Za kilka dni, prawdopodobnie. – Nie lubił takiego gdybania. – W chwili obecnej posiadamy informacje o użyciu broni produkcji krajowej i tylko jednego sowieckiego moździerza... – Z każdym słowem prawie fizycznie czuł palące spojrzenia prezydenta i reszty zebranych. – Co do zamachów w Łodzi i Lwowie... Cóż... zapalniki, ładunki... Nic szczególnego i jednoznacznego. Żadnych śladów przygotowań.

– Widzi pan... – Prezydent wstał, zaraz dając sygnał, by nikt inny się nie podnosił. Oparł palce o blat, pochylając się ku szefowi wywiadu. – Pan minister Skórowski właściwie wykluczył wątek kryminalny lub terror

kryminalny. Choć grupy przestępcze wywodzące się z diaspory rosyjskiej mają swoje porachunki. Ale skoro to nie to... pozostaje terror, tylko czyj...

Prezydent, trzymając się prosto, zaczął przechadzać się po skromnym, szarym pokoju w podziemiach Biura Bezpieczeństwa.

– Banderowcy? Inne grupy? – Odwrócił się, unosząc dłonie ku sufitowi.

Stępniakowski wpił wzrok w notatki, tylko ukradkiem szukając zrozumienia u szefa MSW i generała Antoniego Walczuka, szefa sztabu, barczystego oficera w typie sportowca, weterana akcji i walk toczonych wspólnie z Pawłem. Indolencja była na tym urzędzie rzeczą potworną. A taki tryb prowadzenia śledztwa stanowił doskonały przykład.

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie. – Skórowski, bystry, zaczesany w tył, pulchny, przygarbiony mężczyzna, uznał, że należy bronić podstaw realizmu. – Banderowcy zostali wymazani przez akcje sowieckie w roku czterdziestym piątym, podczas przygotowań do wojny na zachodzie i oczyszczania zaplecza. Ich resztki wybito później albo przeszły one pod opiekę Amerykanów. Ci, którzy pozostali, są kontrolowani albo otwarcie poparli wszystkie siły walczące z Sowietami, więc...

– Starczy... Wiem – burknął prezydent i ruszył dalej w marsz po pokoju.

– Broń. – Twarz Chrzanowskiego rozjaśniła się nowym pomysłem. – Co z bronią? Jeśli jest nasza...

– Panowie – Stępniakowski z wolna tracił miłe obycie – panowie naprawdę myślą, że tamci przyjdą w budionówkach z czerwonymi gwiazdami i pepeszami w dłoniach?

Długo patrzył na prezydenta i zaskoczonego Chrzanowskiego. Miał gdzieś ich zmieszanie. Musiał się bronić, choć jego najcięższa armata ukryta była pod całunem tajemnicy, której nie miał zamiaru prędko odsłaniać.

– Wszelkie ruchy w handlu bronią, w każdym przypadku, powtarzam, w każdym... – upewnił się, że wszyscy na niego patrzą – są kontrolowane przez państwo. Wszystkie.

Umacnianie podejrzeń o wszechmocny wywiad mogło być niebezpieczne. Skórowski podrapał się nerwowo po twarzy, jakby dawał

sygnał, by generał nie mówił za wiele. Pałac Prezydencki nie musiał znać szczegółów. Kontrola wewnętrzna była sprawą śliską i utajnioną tak, że jedynie sąd mógł zwolnić wtajemniczonych z zakazów.

– Dobrze, panowie, widzę, że nie mam wyboru... – Stępnickowski wyprostował się, spiał mięśnie gotów na ostatnią szarżę, choć nie potrafił przewidzieć wyniku. – Jak panowie wiedzą, okólnik z ostrzeżeniem, który dostarczono najważniejszym osobom w państwie, przewidywał pewne zaognienie... Choć przyznam, nasilenie ataków było rzeczą zaskakującą. To całe głośne domaganie się ulicy o pomstę szybko się zakończy... Chyba że...

– Chyba że będzie gorzej – sapnął generał Walczuk.

– Dokładnie. – Stępnickowski był tego pewien. – Jestem w posiadaniu informacji właśnie ze wschodu, panowie. Ze wschodu. Informacje są... mocne – kłamał i grał na zwłokę. Do ostatniego momentu podejrzewał, że to, co przywiózł Węgliński, jest prowokacją, w najgorszym razie, lub w najlepszym dezinformacją i gierką.

Ale żadna dezinformacja albo gra operacyjna nie kosztowałyby tak wiele trudów i niebezpieczeństw, nawet Sowietów. Przecież rzucenie cienia na Moskwę to parcie na krawędź wojny. Skoro ataki na strażnicę KOP, naruszenia granicy, podpalenia i zamachy były perfekcyjnie bezimienne, to po cóż było denuncjować własnych ludzi.

Na razie on sam i Węgliński poznawali swoje źródło, choć Stępnickowski przypuszczał, z kim może mieć do czynienia. Tamten dał okruczności, ale na tyle duże, że można było się nimi najeść. Ale nie można było zaryzykować dalszych szczegółów, bo źródło, choć ciekawe, wciąż było niepewne, a co ważniejsze, uplasowane najpewniej gdzieś wyżej. Reszta materiału wskazywała na to doskonale, ale połączenie wszystkich nowych informacji musiało potrwać, a potem... Mogło narobić bałaganu.

– Uważam, że zamieszanie, jakkolwiek brzydoko to zabrzmiało, to efekt przejściowy, to maskowanie dla procesów, które... Właśnie. Zapewne dopiero się rozpoczną – zakończył. W pokoju słychać było tylko szumiący wentylator.

Prezydent wrócił na miejsce. Splótł palce i co rusz nadymając usta, zaczął kręcić głową.

– Zapewne?

– Tak przypuszczamy.

– Co przypuszczacie? Więcej zamachów? A może wojnę? Czemu, z jakiej przyczyny? Polska rozpoczyna starania o kontrakt gazowy. Nasze zasoby i źródło bałkańskie z wolna przestają wystarczać. Za dekadę przy tym tempie rozwoju będzie źle...

– Tak, negocjacje – wycedził Stępiakowski, kiwając ostentacyjnie głową. – Więc rozpoczynamy rozmowy z Sowietami, zapominając o propozycji Waszyngtonu – dorzucił szorstko, ale prezydent puścił uwagę mimo uszu.

– Pan generał twierdzi, że to działania wschodnie. A jeśli to... – Chrzanowski był wystraszony, ale i wyraźnie podekscytowany. – Pochylił się i ściszył głos. – Kierunek zupełnie odmienny, panowie?

Nie odpowiedzieli. Nie byli gotowi na taką sugestię.

– Po co? W jakim celu? – Premier Burzyński postanowił twardo oponować.

– Właśnie – prędko podchwycił Stępiakowski.

Ukłuło go coś, jak ostrzegawczy tik, kiedy lustrował podnieconą twarz ministra. Pewne historyczne upodobania jego formacji były znane, ale przecież w nowych okolicznościach nie mogły przesłaniać realiów.

– Jeśli przypuszcza pan... – generał zacisnął zęby – i mam nadzieję, że jest to wersja teoretyczna, że za terrorem w kraju stoi nasz główny sojusznik... – na te słowa zebrani zakołysali się nerwowo, sapiąc i kasłając – to ja się pytam, w jakim to celu? Oświadczam po raz wtóry: istnieją przesłanki, by sądzić, że jest to działanie Sowietów. Amerykanie nie mają powodów robić bałaganu. Za Renem nie mają bliższego sojusznika i partnera gospodarczego. Zresztą o ile mnie pamięć nie myli – znów nie potrafił powstrzymać się od zgryźliwości – w kwietniu planowana jest wizyta pana prezydenta Kennedy’ego? I rząd USA jest entuzjastycznie do niej nastawiony. Mają tu swoje garnizony. Jest kwestia umów gazowych i budowy portu... No chyba że jestem nie w temacie...

– Starczy, panie generale – krótki, spokojny rozkaz Walczuka ukrócił galopadę szefa „Dwójki”.

– Tak jest – odparł przywołany do porządku.

– Panowie. – Prezydent uczynił gest, rozkładając ramiona, jakby próbował wszystkich objąć. Znow błysnął uśmiech ukryty w zanadrzu na chwile takie jak pojednanie zwaśnionych. – Spokojnie. Pan generał ma swoje racje, choć to gorąca głowa, a pan minister wysuwa zbyt daleko idące wnioski, choć nie przeczę, ciekawe. – Prezydent godził ich w prawdziwie polityczny sposób.

Oparł się wygodnie na krześle.

– No dobrze, uznajmy, że ma pan rację, generale. Motyw sowiecki. Jaki?

– Jak wspomniałem, panie prezydencie – Stępniakowski zdążył się opanować – motywy są nam jeszcze nieznane. Ale to element procesu, który dopiero się rozpocznie.

– Rozpocznie. – Prezydent pochylił się nad biurkiem, podparł głowę o dłoń i zawiesił wzrok na przeciwległej ścianie. – Ma pan do tego solidne podstawy? – Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu Stępniakowski usłyszał w tym pytaniu szacunek. Znow czuł, jak reszta patrzy na niego, wybałuszając oczy.

– Tak – padła pewna, choć kłamliwa odpowiedź. – Posiadam podstawy, by tak sądzić, ale zgodnie z przepisami ustawy o wywiadzie nie jestem zobowiązany podawać szczegółów – szybko uprzedził dalszą interrogację. Miał prawo.

Chrzanowski zrobił jakiś przedziwny gest, jakby kichał i ziewał jednocześnie, wyraźnie niewesoły, że nie dowie się więcej.

– Podjęte zostały kroki celem uzyskania nowych informacji. – Zabrzmiało to oficjalnie i mogło znaczyć wszystko. Specjalny rachunek dla nowego źródła też tu się krył. Stępniakowski mógł wydać taką decyzję. Brał wszystko na siebie. Te kilka kartek zapisanych rzędami cyfr, zestawieniami, ale i ostrzeżeniem, było tak intrygujące, że opłacało się w to wchodzić.

Nie były to na razie twarde dowody, Bóg wie jakie nowiny, ale starczyło,

by grać w wielkiej polityce niczym szuler, zbrojny w znaczone karty.

– Wkrótce, kiedy sprawdzimy pewne rzeczy, będę mógł powiedzieć więcej. – Zdanie było jak clou spotkania, coś, na co wszyscy czekali. Wyrażnie się rozpromienili, pełni optymizmu, że jednak łysy generał, władca „kancelarii”, coś wie.

– Czy sytuacja może być gorsza? – Burzyński pierwszy wrócił na ziemię. Wąskie oczy na gładkiej twarzy świdrowały generała.

– Prawdopodobnie – westchnął Stępniakowski, gładząc się po głowie.

Chwilę dobrego nastroju diabli wzięli. Prezydent opadł na oparcie, ciągle wpatrzony w ścianę, jakby wszystkiego mu się odechciało.

– Jak już było omawiane, służby wzmagają działania, zwiększają liczbę patroli i tak dalej... Nie powinniśmy jednak iść za daleko – uspokajał generał. – Nie możemy dać terrorystom satysfakcji. Bardziej stawiałbym na odnośnienie się do uczuć patriotycznych obywateli i zwiększenie uwagi... – Zawiesił głos. – A jeżeli sytuacja pogorszyłaby się szczególnie... Posiadamy siły, które potrafią dokonać szybkiego, spektakularnego odwetu. – Odwrócił się ku generałowi Walczukowi, który pewnie i dumnie pokiwał głową.

ROZDZIAŁ 3

„Park”, Warszawa, Polska | 11 marca 1964

„Park” zyskał nazwę od wyglądu zewnętrznego kompleksu przekazanego Kedywowi. Ulokowany został daleko od centrum, na wschodnim brzegu Wisły, u rozwidlenia dróg na Lublin i Brześć. Otaczał go podwójny płot rozciągnięty wzdłuż gęstego lasu, który zwłaszcza wiosną przypominał park w pobliżu jakiejś posiadłości.

O tej porze roku drzewa były ciągle nagie, a gdzieś tam zalegały plamy topniejącego śniegu. Gęsta platanina gałęzi i pni nie pozwalała dojrzeć, co jest dalej.

W samym środku lasu znajdował się kompleks kilku budynków, dawnych koszar administracyjnych. Wzniesiono krytą i odkrytą strzelnicę, pas taktyczny i minipoligon miejski, rzecz nowatorską i nowoczesną, na światowym poziomie.

Ale największy był aerodrom: dwa hangary wybudowane z blachy falistej na żelaznej konstrukcji i betonowe lądowisko.

To na tym smaganym wiatrem placu dowódca jednostki zebrał ludzi. Stali w dwuszeregu, choć dla tej jednostki oficjalne musztrowanie nie było rzeczą codzienną.

Ale okoliczności zaistniały doniosłe.

Porucznik Bartłomiej Karpacki stał na spocznij ramię w ramię z Zenonem Wartenem. Mimo że minął już jakiś czas, w głowie huczało od niedawnych przeżyć i domniemań. Wystraszył się. Nie chodziło o niego. Radził sobie, nie raz to udowodnił. Teraz jednak to, co chciał zostawić daleko w Azji, przed czym miał bronić kraju i swoich bliskich, wdarło się bezczelnie w jego życie, w świat matki i siostry. Przerazała go myśl, że gdyby szli nieco prędzej, coś mogłoby się im stać. Mogliby dołączyć do tłumu rannych, których widział na chodnikach, gdy czekali na przyjazd karetki. Czym innym było widzieć poranionych ludzi na polu walki, czym innym własnych rodaków, cywilów w

kraju, który wypalił ogień niezliczonych wojen, kiedy znów cierpieli. I to gdzie? Na trotuarze miasta w samym centrum Polski.

Z tego całego ambarasu, męczących ciągle wizji i pytań Bartek nie mógł spać. Ale nie czuł zmęczenia. Wręcz przeciwnie, gorzał w nim jakiś ogień. Chęć wykazania się. I była jeszcze ona. Ta pokiereszowana, osmalona dziewczyna.

Obmył jej twarz. Zapamiętał te wielkie zielone oczy. Wystraszone, niespokojnie rozbiegane. Uspokoił ją, opatrzył rany na nogach i głowie. Na imię miała Anna. Zapamiętał. Tak samo jak to, jak bardzo mu dziękowała nazajutrz, kiedy przed wyjazdem odwiedził ją w szpitalu, poddając się licznym uściskom wdzięcznych rodziców.

Anna już się nie bała. Wyglądała wręcz kwitnąco. Odświeżona, z uśmiechem na jasnej twarzy. Gawędzili chwilę, całkiem przyjemnie, i wymienili się adresami. Bartek zdradził, że służy w wojsku, nic więcej nie mógł powiedzieć. Poprosił o list, udał, że chodzi tylko o kilka słów o zdrowiu, ale wiedział, że na tym jednym nie musi się kończyć.

Przedziwne spotkanie złagodziło nieco wściekłość na zamachowców i doskwierającą niepewność. Lżej było wracać do jednostki, do reszty oddziału, bo wiedział, że gdzieś tam ma kogoś, choć ten ktoś był na razie ulotną wizją.

Wiele się działo, wiele się zmieniało. Ani Bartek, ani Zenek nie przyznawali się do tego, podobnie jak inni, ale było w tym zimnym poranku coś wyjątkowego.

Kedyw stawił się nieomal w całości. O ile jeszcze rok temu liczył niecały pluton ludzi, teraz, po wcieleniu grupy szkolnej, rozrósł się prawie dwukrotnie.

Nie było podziału na starych i nowych. To nie był zwykły garnizon. Jeśli ktoś się tu dostał, przeszedł miesiące udręki, już zyskiwał plusy u reszty. Zresztą szli do tej nowatorskiej jednostki zawodowcy, nie byle chłystki.

Tajna, nieduża, potężnie uzbrojona jednostka, z zadaniem głównym przenikania na tyły wroga celem dywersji strategicznej i rozpoznania, podlegała szefom wywiadu i sztabowi generalnemu, w odróżnieniu od

kompanii zwiadowczych tak zwanych dragonów.

Nikt tu jeszcze nie walczył, przynajmniej nie działał pod nowym godłem, nie sprawdził, jak to wszystko zadziała.

Przed frontem oddziału paradował kapitan Goldman. Krok miał sprężysty, wyglądał na przejętego i skupionego.

Ktoś dał „baczność” i szereg wyrównał się z tupnięciem. Dowódca ubrany był w specjalnie dla tej formacji przygotowany mundur w nakrapiane plamy, wzorowane na dawnych niemieckich wynalazkach.

Na głowie nosił szary beret z godłem, przyozdobiony symbolem legendarnych cichociemnych – kotwicą państwa podziemnego, wpisaną w orła w koronie.

Goldman patrzył długo po ludziach. Nie sposób było rozpoznać, czy szuka kogoś konkretnego, nabiera odwagi, czy po prostu buduje napięcie.

– Spocznij – rozkazał. – Panowie – rzucił gromko – dziękuję, że wróciliście tak prędko. Wiem, że wielu przerwało upragniony urlop, ale wymogi naszej służby na tym polegają. Wiecie, że łatwo tu nie jest i nie będzie. – Chrząknął, robiąc pauzę. – Z rozkazów, które otrzymałem, wynika, że to, co dzieje się w kraju, to prawdopodobnie preludium i może być gorzej. I tu zaczyna się nasza rola. Panowie, nas żałoba narodowa nie obowiązuje. My jesteśmy od czynienia pomsty! – Machnął pięścią.

Karpackiego ukłuło coś w żołądku. Poczłł dreszcz, bardziej ekscytacji niż strachu.

– Grupa dyżurna będzie działała rotacyjnie – mówił dalej kapitan. – Jednak, jak wiecie, spora grupa wciąż nie dokończyła szkolenia. Więc, panowie, to będzie szkolenie w zgrywaniu się. Najlepsze! Warunki quasi-wojenne. Nas i pułk komandosów postawiono w stan alarmu. Inne regularne jednostki mają tylko podniesiony stan gotowości. Więc my mamy być ostrzem. Zakazane jest opuszczanie jednostki aż do odwołania. Za to obiecuję pot, dużo potu i ćwiczeń. No i niestety... – potarł brodę, szczerząc złośliwie zęby – nie pogwiazdorzymy. Wiem, wielu na to liczyło. Planowany pokaz przed zagranicznym gościem pewnie nie wypali. Szkoda. Popisać się, że nie jesteśmy gorsi od amerykańskiej Piątej Grupy z Wrocławia... Ciekawa

sprawa. A tak... Polatamy sobie sami. – Kapitan wyprostował się i zrobił kilka kroków w tył. – A jeśli chodzi o to... Wielu z was będzie musiało nauczyć się, jak wojować nowocześnie i jak dostać się na pole bitwy. Szybko, sprawnie i niepostrzeżenie. Powietrzem, choć inaczej niż na waszych ulubionych spadochronach. Wielu z was miało do czynienia z tymi maszynami. Widzieliście je u Jankesów i muszę powiedzieć... Ciągłe nie mogę się napatrzeć na te cuda... Proszę! – rzucił gdzieś w przestrzeń, aż echo poniosło.

Wielkie wrota zaczęły się otwierać ze skrzypieniem.

Światło dnia wlało się do półcienia budowli i w jego blasku objawiły się długie, smukłe śmigłowce Bell UH-1.

Na południe od Warszawy, Polska | 12 marca 1964

Generał Stępniakowski znów ubrany był w codzienny, nawet niechlujny, jak na kamuflaż przystało, strój. Wełniana czapka, wytarty marynarski płaszcz, odpowiedni na wietrzną pogodę przedwiośnia. Mówił prędko, nerwowo.

– Wszystko jest gotowe, umówione. Tu masz pieniądze. – Podał Janowi kopertę. – Nasz koleżka odpowiedział na ogłoszenie. Sprawę konta... – nabrał głośno nosem powietrza, jakby wykonywał wielki wysiłek – wierz mi, zachować konspirację jest niemożliwe. Zarząd pyta o wiele spraw, ale przekonałem ich. – Odwrócił się ku rzece, wpatrując w coraz większe fale. – Ale będą pytać dalej i szukać śladów. Niejeden skręci bat na moje plecy, jeśli pojawi się podejrzenie, że to niepewne. Niepewne i bez przyszłości. Pachnie komisją. – Podniósł na Jana spojrzenie oczu szukających wsparcia. Na próżno.

– Czyli ryzyko. – Węgliński huknął kpiarsko i podmuchał w zmarznięte dłonie. – Zbyt dużo mówisz... Naprawdę się starzejesz – nie silił się na uprzejmość.

Stępniakowski patrzył na kolegę jak uderzony obuchem. Szukał przyczyn tej impertynenckiej zmiany. Może Węgliński przypomniał sobie dawne dzieje, a może powiew wolności i wielki świat nastrojały go w ten sposób,

zmieniając z potulnego, cichego wyrobnika w drapieżnego zwierza. Oficera, jakim był lata temu.

– Żeby nie było. – Jan podniósł palec w brązowej rękawiczce i gwałtownie pomachał. – Jestem ci wdzięczny za wszystko – zabrzmiało prawdziwie, jakby wyczytał z twarzy generała wątpliwości. – Ale skoro trapi cię cała ta heca z tym „Igorem”, to po co iść w to dalej? Po co zaczynałeś? I martwi cię rachunek w banku? – Zmarszczył czoło pod kapeluszem w dziwnie agresywnej minie. – A ja? Pamiętasz o starym półkalece? Spotkałem tego ancymona, opisałem go, on zapewne opisał mnie albo przynajmniej zapamiętał. Kto ma bardziej pod górę?

Milczeli obaj, Węgliński stał nastroszony z zaciętością na twarzy.

Generał oparł się o maskę wozu, gryząc wargę, w jednej sekundzie obłany wstydem. Naprawdę się starzał albo stanowisko zabiło w nim empatię.

– Przepraszam – wydukał cicho, z wysiłkiem. – Nie miałem zamiaru traktować cię...

– Jak każdego innego oficera – dokończył Węgliński, cmokając przy tym po łobuzersku z wyraźną wyższością. – No mam nadzieję.

Wyprostował się i poprawił płaszcz. Naprawdę znów był jak kiedyś.

– Skoro to ustaliliśmy... – Podpułkownik podszedł na skraj wody i prawie zamoczył czubki butów, nagle zaintrygowany suchymi badyłami trzciny. – Czy mogę dowiedzieć się... – głos raptownie mu złagodniał, jakby pozbył się tłęcej się od powrotu złości – po starej przyjaźni, co to właściwie za człowiek? Co ja właściwie przywiozłem? – Obrócił się.

– Nie. – Paweł zaprotestował. – Nie powiem kto... To moje ryzyko. Wybacz... Masz rację, jesteś na pierwszej linii... Sprawa świeża, gdyby coś poszło nie tak... – Machnął rękami i złapał się za głowę, jakby wystraszony wizją.

– Nie to nie. – Jan napuszył się znów zirytowany. Nie miał wyjścia, był instrumentem, pionkiem. Lubił tę pracę, tu układ miał być partnerski.

– Nie obruszaj się – Stępniakowski próbował ratować sytuację.

Węgliński popatrzył na niego. Znow czuł się traktowany jak smarkacz.

– Z czasem, z czasem dowiesz się wszystkiego, ale nie teraz. – Generał podszedł do kolegi i dobrotliwie poklepał go po ramieniu.

Zaraz zabrał rękę, słusznie uznając, że zachowuje się zbyt protekcyjnie. Cofnął się, spoważniał, jak na profesjonalistę przystało.

– Chcesz wiedzieć, co wiozłeś?

Zaciekawiony Jan podszedł bliżej.

– Liczby – oznajmił z pełną powagą Stępniakowski. – Kolumny liczb – uściślił, widząc zakłopotanie na twarzy Jana. – Są to zestawienia zeszłorocznych zbiorów z całego Związku Sowieckiego.

– Tylko? – Węgliński sprawiał wrażenie niemile zaskoczonego.

– Tylko? – syknął generał. – To jest bomba... Nie mniejsza niż atomowe. Nie rozumiesz? Nikt nie rozumie. Drogi Janku, to są dane, które świadczą o tym, że Związek Sowiecki głoduje albo... – głęboki wdech – zacznie głodować. Wyniki były podobne jak w roku czterdziestym szóstym i siódmym. Kiedy musieli tłumić bunty. Widziałeś pomstowanie Chruszczowa w ONZ-ecie? Ten człowiek od wódki nie wie, co gada. Chełpił się, że pomocy żywnościowej mu nie trzeba. Mówił, że zawojuje świat, że rakiety produkuje jak parówki, a tymczasem... – Palec wskazał gdzieś za las. – Tam brakuje chleba. Przeliczyli się.

Węgliński stał zmieszany, wydymając wargi.

– Sowiet na kłopoty idzie we wojnę? – ledwo przeszło mu przez gardło.

Stępniakowski pokiwał niemo głową.

– Prawdopodobnie... Albo zmieni się u nich pierwszy, tylko nie wiemy, na kogo i co to przyniesie. Dlatego jeśli to prawda, jeśli połączyć to wszystko w jedno, to stoimy u progu wielkich, ale i niepokojących wydarzeń. Dlatego ta cała sprawa jest tak istotna. Musimy złapać się tego „Igora” i trzymać jak najdłużej. Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze nam przyniesie. I co tam, do cholery, się dzieje.

Fiodor Kuzniecowa zapadł się w swój głęboki fotel naprzeciw kominka. Lubił to miejsce, było jego azylem, najlepszym na świecie, przytulnym, ciepłym. Pomarańczowy blask płomieni rozchodził się po boazerii, starych bagnetach, fuzjach. Rozjaśniał ponemieckie i poangielskie meble, ogromne biurko dostarczone w dobrych czasach z Francji i kanapę.

Na kanapie zasiadali zwykle goście marszałka. Ci, którzy wdzierali się w ten jego świat, zaburzali go i przypominali o rzeczywistości.

– To co? – Marszałek łyknął herbaty i spod siwych brwi popatrzył na starszego z Darijewów. – Idzie sprawnie, mówisz?

– Tak jest, towarzyszu marszałku – gość przytaknął ze spokojem.

– Tak. – Szef obrony zasępił się i nasunął wyżej koc. – Mówicie, że nasi nowi przyjaciele nie robią kłopotów?

– Absolutnie żadnych. – Jurij Darijew pogładził się po siwawej, prawie sześćdziesięcioletniej głowie. – Jak mówiłem. W sygnale, jaki przekazali, przystają na warunki i stuprocentowo je popierają. Czekają na wydarzenia, choć wiele nie wiedzą, zgodnie z założeniami. Ale to inteligentni ludzie i wyciągają, ma się rozumieć, wnioski. Wyjadę, porozmawiam, coś im rzucę i kiedy wejdziemy w fazę zasadniczą, będą gotowi.

– Pięknie, pięknie. – Marszałek ziewnął przeciągle. – Alosza, a u ciebie, chłopie?

– Zgodnie z planem... – Oficer był równie pewny swego co brat.

– Nasi się nie stawiają? – Marszałek mówił coraz ciszej, wpatrując się półprzymkniętymi oczami w płomienie.

– Są za. – Aleksiej nie opanował wyrazu triumfu. – Nawet bardzo, a jeśli nie... towarzysz wie, jakie mamy argumenty. Zresztą im obojętne, kto wydaje rozkazy. Nie chcą, nie chcemy gnić...

– Gnić, gnić – marszałek ledwo poruszył ustami. – Niebieskie czapki?

– Tu pójdziemy na ostro, jeśli się nie opamiętają. – Darijew spoważniał. – Wiele nie tłumaczymy. Zgodnie z rozkazem... Mamy zaskoczyć.

– Tak, zaskoczyć... – wyszeptał marszałek i zupełnie zamknął oczy. – Grupy terenowe – zmienił temat, mówił z wyraźnym szacunkiem – doskonale zadziałały... Świetna robota. Szkoda ich na teraz. Ryzykują nieboraki... ale co zrobić? – mlasnął.

Młodszy Darijew popatrzył na brata z zakłopotaniem. Nie meldował wszystkiego, nie chciał drażnić starca. Z grup terenowych, które grzecznie miały czekać na polecenia, tylko niecała połowa zadziałała. Nie zawsze szło jak należy.

– Kiedy się nam uda... wielka rzecz, pójdziemy dalej. – Wiekowy żołdat pozwolił sobie głośno marzyć. – Odwołamy nieprzychylnych – perorował bez energii. – Jeszcze podniesiemy to wszystko z kolan, jeszcze będą się z nami liczyć... – mamrotał w półśnie. – Bo my rozdajemy karty... Mamy atuty, wielkie atuty, a ci, którzy nie rozumieją i marzą o karierze... – Umilkł. Za chwilę z gardła marszałka wydobyło się przeciągłe chrapnięcie.

Aleksiej szturchnął lekko starszego brata. Wstali obaj. Jurij podszedł do drzemiącego wodza, zabrał wiszącą na palcu szklankę w posrebrzonym koszyczku i odstawił na stolik.

Myślał, czy nie poprawić koca, ale bał się zbudzić marszałka. Stał nad nim, nieco z boku i patrzył.

Miał przed sobą siwego dziadziusia, emeryta. Spokojnego, nieszkodliwego. Ale tylko z pozoru. W tej lichej fizyczności pulsował wielki umysł, którego pracę podsycalo niepojęte wśród współczesnych poczucie obowiązku.

To właśnie poczucie obowiązku i wizja sprawiały, że ten starzec niczym szara eminencja oplatał swoją pajęczyną Kreml i cały kraj. Utrzymał go w ryzach po klęskach, które przekuł w zwycięstwo, jak wierzyły oszukiwane miliony. Ukrócił samowolę i niepokoje i namaszczał przywódców, cisnąc butem niepokornych młodych wilków na dole, by czekali swego czasu.

Każdy sądził, że go przechytrzy, że wybije się na samodzielność i okiełzna armię. Błąd, duży błąd.

Ale to należało do przeszłości. Teraz marszałek Kuzniecowa gasł. Intelkt działał, ale fizyczność była u kresu.

Każdy, kto znał Kuzniecowa, widział to doskonale i tylko niepojęte oddanie grupy starszych oficerów i jego wychowanków, takich jak Darijewowie, trzymało go w fotelu ministra. Ale na jak długo jeszcze? Do końca ambitnych planów? Nierealne. Rok, dwa? Czy do najbliższego przetasowania? Ale potem co? Wsparcie pretorianów wystarczy? A jeżeli czas wymiany pokoleń już się zbliżał? Jeśli ciśnienie pod pokrywką rosło i groziło rozsądzeniem systemu?

„Co potem?” – Jurij Darijew przeraził się własnej myśli. Ostrożnie, na palcach począł cofać się z pokoju, tak by nie zbudzić marszałka. Sam musiał odpocząć. Okrężna podróż miała być długa, a jeszcze musiał przygotować kilka rzeczy. Później znów czekał go Wiedeń.

Mazury, Polska | 15 marca 1964

Szybkie dudnienie dochodzące z góry wypełniło wnętrze maszyny. Nie przeszkadzało jednak. Tu ciągle wszystko było nowe, fascynujące i dawało wiele frajdy. Żaden hałas nie stanowił problemu.

Porucznik Karpacki widział te maszyny, nawet dane było mu się przelecieć za zgodą sojuszników. Krótko, wolno i wysoko, ale i tak podzielał zdanie pilotów i kapitana Goldmana. To był narowisty koń, król przestworzy.

Smuklejszy i zwinniejszy niż nieco starsze przysadziste konstrukcje Bella czy Sikorskiego, a tym bardziej polskie wiropłaty, powolne i ciasne.

Do tego Iroquois albo Huey – nazywany czasem w Polsce latającym Indianinem albo bardziej fonetycznie, ze względu na nazwę fabryczną: „chujkiem” – nie potrzebował wiele miejsca, by lądować.

Pierwszy klucz czterech maszyn, jakie były na wyposażeniu Piętnastej Eskadry Specjalnej wojsk lądowych, ciął niebo nad zielonymi połaciami lasów dawnych Prus.

W każdej maszynie prócz załogi rozsiadło się czterech ludzi oddziału Kedyw. Wysmarowani farbami kamuflującymi, w maskujących mundurach, objuczeni amunicją do swoich karabinków i pistoletów maszynowych, z połową radiostacją i zapasem baterii, lecieli na miejsce akcji.

Karpackiemu po kilku dniach nieomal pełnoprawnego uczestnictwa w

oddziale i zabawy zwanej szkoleniem areomobilnym uczyniono zaszczyt, oddając w dowodzenie sekcję bojową.

Z pozoru nic wielkiego. On, Zenek Warten, Sławek Chodzik i Wincenty Rogacki. Czteroosobowa grupa zwiadowcza. Na tym to polegało. Nieduże grupy, uzbrojone i zaopatrzone w żywność i łączność, których celem było przenikanie daleko na tyły wroga.

Alarmu w jednostce nie odwołano, co po pierwszej fazie entuzjazmu i wyczekiwaniu w napięciu na ten jeden najważniejszy rozkaz przeszło w znużenie i zmęczenie, sprawy dla Bartka w nowym przydziale zupełnie zwyczajne.

Zamachy i niepokoje skończyły się tak prędko, jak się zaczęły, co dziwiło wiele osób, ale napięcie nie opadało. Kiedy w trzymany był na biegu, szykując się na różne warianty, co dało asumpt do docierania drużyn w szalonym tempie.

Bartek Karpacki zerkał przez okno w dół, ku ziemi, i żałował, że na tej wysokości, przy tej pogodzie nie można latać z otwartymi drzwiami. Tak jak spróbował w Korei. Wtedy frajda była największa, choć i teraz bawił się jak w lunaparku. Ilu ludzi miało szansę korzystać z takich maszyn, tak naprawdę ciągle nowych, o niedookreślonych możliwościach?

Czuł się szczęściarzem i nawet zapomniał, że produkt Bella miał zadanie główne, dostarczyć go jak najbliżej nieprzyjaciela, wspierać ogniem i zabierać pokaleczonych żołnierzy. W tej szczególnej chwili, lotu z Warszawy na północ, zapomniał, że czeka go wielokilometrowy patrol, wykonanie zadania, zameldowanie dowództwu i odbój, znów po cichu i niezauważenie.

Technik siedzący w swojej wnęce poprawił sterczący z hełmofonu mikrofon.

– Rozumiem – powiedział. – Małe smyki idą narozrabiać. – Złapał porucznika za łokieć i wskazał wszystkim w przeciwległe okno.

Przysunąwszy się do pleksi, Bartłomiej dojrzał trzy nadlatujące punkty. Mniejsi bracia ich helikoptera pędzili ku ziemi, kolejno opadając.

Po bokach lśniły nowością sprzężone karabiny maszynowe, z taśmami w osłonach wychodzącymi z kadłuba. Pod nimi na pylonach zawisły długie

tuby wyrzutni rakiet. Jakby tego było mało, załoga miała dwa karabiny maszynowe, a na dziobie dziwną kulkę ze sterzącą lufą, kopułkę granatnika automatycznego kalibru czterdzieści milimetrów. Szybkostrzelne, zabójczo skuteczne urządzenie.

– Nieźle, cholera, nieźle. – Karpacki uśmiechnął się i pokiwał głową z uznaniem.

Mechanik pokazał uniesiony kciuk i też się uśmiechnął, dumny, jakby maszyna wsparcia ogniowego była jego własnością.

Śmigłowce osłony spadły nad las, przekręcając się z prawej na lewą, jakby piloci szukali zagrożeń. Przeleciały nisko ponad wierzchołkami i otoczyły szerokim łukiem długą, wąską polanę.

– Pół minuty! – wykrzyczał pilot, obracając głowę do ładowni. Dał znak strzelcowi i zaraz rozsunęto drzwi. Zrobiło się głośniejsze i o wiele zimniej, kiedy lodowaty wicher omiół wnętrze.

Bartek pokiwał na każdego ze swoich, upewniając się, że są gotowi, odpiął pas, przycisnął mocniej broń.

Maszyna schodziła po skosie, odłączając się od reszty klucza, który miał inne zadania i lądowiska. Taka metoda lądowania była według pilotów i metod szkolenia szybsza i bezpieczniejsza. Załoganci przytulili się do karabinów maszynowych KPL FN i zaczęli, jak ich szkolono, szukać celów.

Bartek patrzył tylko, jak widok ziemi nabiera szczegółów, i modlił się w duchu, żeby pilot nie przeszarżował i zdołał wyhamować, bo lotnicy lubili straszyć załogi. I żeby prędko wyskoczyć, bo pobyt śmigłowca na ziemi był ograniczony do sekund.

Wstrząsnęło konstrukcją i łoskot łopat zrobił się wyraźniejszy.

– Naprzód! – krzyknął porucznik, choć głos ledwo przebił się przez hałas.

Daleki sus i zaraz był na wilgotnej ziemi. Padł, przyciskając kolbę do ramienia. Zenek był obok. Kątem oka dostrzegł, jak dwa śmigłowce przewalają się pędem nad polaną, prawie idealnie nad jego maszyną, i znikają za drzewami.

Dmuchało, kiedy wirnik nabrał obrotów, unosząc gałęzie i drobne

kamyki.

Silnik zadudnił, wydając coś na kształt pisku, i Huey poderwał płozy z ziemi. Sunął do przodu z lekko pochylonym dziobem, aż wreszcie pilot podciągnął i maszyna wzbiła się wyżej przed samą ścianą drzew.

Bartek spojrzął za siebie. Pozostała dwójka leżała tam, gdzie powinna. Łoskot śmigłowców oddalał się gdzieś w górze, a tu wszystko cichło.

Karpacki omiótł wyrobionym spojrzeniem zwiadowcy krzaki i lizjerę lasu. Doskonale wiedział, że nie wolno mu zwlekać i myśleć zbyt długo. Śmigłowce robiły hałas i przyciągały uwagę, a jego zadaniem było zniknąć, tak jak parę miesięcy temu pokazywali mu nauczyciele. Zapamiętał te godziny w lasach i odległości pokonywane nocą, mierzone tylko w setkach metrów, za to zupełnie bezszelestnie.

Uniosł rękę i machnął, dając reszcie znak, by odskakiwała w las przed dowódcą.

Oddział II Sztabu Generalnego, na południe od Warszawy, Polska | 16 marca 1964

– Panie prezydencie, uważam to za niebezpieczny pomysł. – Generał Paweł Przeszło-Stępniakowski żałował, że obiecał składać głowie państwa codzienne meldunki o sytuacji w kraju. Irytacji, jakiej doświadczał, nie życzyłby najgorszemu wrogowi.

Tych ukrytych pod okrągłymi słowami oskarżeń o brak efektów i coraz częściej powtarzających się pytań i teorii miał po dziurki w nosie.

– Nie. Sytuacja moim zdaniem jest daleka od normalnej. – Przy całym zdenerwowaniu obiecał sobie pozostać opanowanym i uprzejmym. – Stan gotowości w służbach i niektórych jednostkach należy utrzymać aż do zakończenia wizyty prezydenta USA. Taką opinię wystosowali szef Sztabu Generalnego i minister obrony. W stu procentach się z nimi zgadzam. Obywatele muszą czuć się bezpieczni. Zwłaszcza że nie mamy czego pokazać jako efektów naszych działań... – Zacisnął zęby, słuchając potulnie reprimendy. – Tak jest, to mój problem i niedociągnięcie. – Krótka formułka, bez kolejnej próby tłumaczenia, że to sprawa niezwykła, zapewne gra którejś z wrogich służb, a te nie pozostawiają śladów. Doskonale też wiedział, że to

strzał w jego stronę, idealny powód, by posłać go na spokojną emeryturę. – Panie prezydencie – generał zdobył się na odwagę – strona amerykańska nie zamierza odwoływać wizyty. Zbyt im zależy na rozmowach bezpośrednich, prezentowaniu korzyści sojuszniczych. I jest jeszcze sprawa wyborów. Mimo to służby amerykańskie gotowe są plan wystąpień ograniczyć do minimum. Prawdopodobnie w ciągu kilku dni będę w posiadaniu nowych informacji... z wiadomego panu źródła. Tak jest, niezwłocznie. Do widzenia, panie prezydencie.

Odłożył słuchawkę. Z trudem opanował cisnące się na usta przekleństwa.

– Cudów chcą – sapnął zamiast tego, spozierając na okno. – Czemu się dziwić? – szeptał sam do siebie.

Protesty na ulicach wymuszały efekty, ale tych nie było. Ludzie chcieli widzieć sprawców, odpowiedzialnych za śmierć prawie dwudziestu i zranienie pięćdziesięciu ludzi. Obrywało się wszystkim, z każdej strony. Opozycja parlamentarna z wyczuciem studziła emocje, dobrze wiedząc, że tu chodzi o coś więcej niż interes partyjny. A i jej liderzy nie mieli do czynienia z niczym takim w powojennej Polsce.

Tymczasem wyglądało na to, że Rzeczpospolita jest podpalana. Jak otoczony wrogami młody Izrael, jak Korea, którą szturmują grupy dywersantów. Jak każdy inny kraj frontowy.

„Tylko po co?” – dręczyło generała. „Po co? I co wymyślicie dalej? A jeśli to... – prawie zrobiło mu się słabo – cisza przed burzą?” Tego pytania nie lubił najbardziej, ale powracało. Próbował się pocieszać, że każdą burzę można przeżyć, jeśli tylko wcześniej się ją przewidzi.

I chyba podświadomie wzrok Stępniańskiego powędrował ku mapie Europy na ścianie. Na jedną europejską stolicę.

Musiał zyskać trochę cennego czasu, tak by zdołał doprowadzić sprawę do końca, zanim zmuszony będzie potulnie odsunąć się w cień.

Było kilka sposobów i pomysłów. Mógł rzucić ochłap ludziom, dać mgiełkę nadziei, choćby fałszywej. Bo prawda była zbyt wąta i zbyt groźna na razie. Innego wyjścia nie miał.

Generał podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

Marzec nie był początkiem sezonu w tym urokliwym miasteczku nad Morzem Śródziemnym. Nawet nie zapowiadał przyszłego lata. Nieprzyjemny szary kolor dominował nad miejsciną, w sezonie kolorową i głośną. Ciągłe było pusto, bez tłumów turystów, którzy wypełniali plaże, kawiarnie i hoteliki albo cumowali swoje drogie łodzie przy promenadzie w porcie.

Prócz miejscowych, którzy spacerowali lub robili zakupy, miasto zwiedzała grupa filmowców szukających plenerów. W miasteczku już rozniosły się wieści o filmie, który miano kręcić wiosną albo latem.

Trzydziestopięcioletni smukły blondyn w jasnej wiatrówce i czapce z daszkiem, takiej jakie nosili tutejsi rybacy, pedałowal na swym rowerze. Wyminął artystów, ku jego zaskoczeniu oprowadzanych przez kilku żandarmów, którzy z wielką atencją opisywali miasto.

Nie rzucał się w oczy, nigdy nie miał żadnego zatargu z miejscową władzą i chciał, by tak zostało jak najdłużej. Mieszkało się tu spokojnie. Klimat i dziewczęta, zwłaszcza latem, pasowały mu idealnie. Gdyby kiedyś przyszedł czas na emeryturę, to nie było chyba lepszego miejsca.

Blondyn przemknął dopiero budzącą się do życia ulicą Jeana Mermoza. Wjechał w Rue de la Poste i odstawił rower pod wejściem budynku, od którego ulica wzięła nazwę.

– Dzień dobry panu – rzuciła uśmiechnięta szatynka o zielonych oczach, zasiadająca w białej służbowej bluzce za szybą. Blondyn odpowiedział i obrzucił ją krótkim, ale bardzo dokładnym spojrzeniem.

Dziewczyna była najwyraźniej nowa. Ucieszyło to klienta poczty. Istniała szansa, że i reszta sympatycznych, acz już bardzo wiekowych pań zostanie wymieniona. Szykowała się nowa rozrywka, ale i przyjemny sposób trenowania osobistych umiejętności. Małomiasteczkowy personel urzędów był wdzięcznym obiektem i ulegał światowcowi, za jakiego starał się uchodzić blondyn: obytemu, bogatemu, ale skromnemu i szarmanckiemu.

Blondyn udał się do wnęki na lewo od wejścia. Jeszcze upewnił się zwyczajowo, czy nikt go nie śledzi. Choć sprawdzał chyba tuzin razy,

zmieniając trasę na pocztę.

Otworzył swoją skrytkę. Było kilka kopert. Prowadził bogatą korespondencję, nie tylko na ten adres. Przejrzał pobieżnie nadawców. Żadnych nazwisk. Ci, którzy do niego pisali, również znali zasady. Zmyślone adresy albo nazwy nieprawdziwych firm, spółek czy fundacji.

Dopiero ostatnia z kopert była naprawdę ciekawa. Adres i papier opakowania były inne niż ostatnio, jednak blondyn nauczył się wyczuwać najlepszego klienta.

Wykonał dla niego kilka zleceń, więcej niż dla innych pojedynczych kontrahentów. Zawsze z rewelacyjnym wynikiem. Choć zeszłej jesieni odwołano zadanie, wypłacono sowitą premię. Bardzo słusznie, ponieważ skala komplikacji była olbrzymia, a o niego trzeba było dbać.

Dbali. Mimo że milczeli prawie cztery miesiące, znów wrócili. Znow się odzywali.

Blondyn schował korespondencję do skórzanej aktówki z uchwytem, wcisnął ją pod pachę i ruszył do wyjścia. W hallu ustawiała się kolejka.

Jeszcze rzucił spojrzenie na dziewczynę za kontuarem. Ich oczy się spotkały i młódka speszona opuściła wzrok. Uśmiechnęła się nerwowo, z zapalem wypełniając powierzony jej druk.

Blondyna oświadczyła niewesołą myśl, że nieprędko będzie dane mu ją poznać.

Wiedeń, Austria | 19 marca 1964

Pokój w hoteliku w odległym od centrum Floridsdorfie, na wschodnim brzegu Dunaju, nie był szczególnie przyjemnym miejscem. Nie pasował do rangi zamieszkującego go gościa. Przypominał zwykłe, nieco zapuszczone mieszkanko emeryta.

Tapety były szare, umeblowanie skromne. Stolik, łóżko, skrzypiąca wiekowa szafa, wytarty fotel i lampka. Na szczęście była łazienka, co dawało luksus pozostawania niewidocznym dla reszty nielicznych gości i starszego małżeństwa właścicieli.

Jurij Darijew nie narzekał. Szybko przywykł, zaprawiony w podróżach i zmianach apartamentów z lepszych na te obskurniejsze i na odwrót. Problem wygod był trzeciorzędny. O wiele bardziej liczyło się bezpieczeństwo i możliwość prędkiej ucieczki.

Tutaj nie nastęczało to większych kłopotów. Drugie drzwi na podwórze. Potem bramą, na przeciwległą ulicę, i prosto na plac obok stacji kolejowej. Dwa kroki dalej metro.

Platanina ulic i zakamarków, niektórych ciągle w odbudowie, dawała też doskonałą okazję, by kluczyć godzinami, upewniając się, że nie ciągnie się ogona. Albo po prostu by się ukryć.

Zaś spora ilość ruder pozwalała nieomal do woli wybierać martwe skrytki, dobrze je sprawdzać i wypróbować.

Jurij tak też czynił. Ostatnimi czasy zadanie, na jakie go tu skierowano w styczniu, nie zabierało mu wiele czasu. Mógł odpoczywać. Odpoczywać, myśleć i działać.

Nie trzymał przy sobie nic trefnego. Wszystko, co ważniejsze, zawsze upychał w zakamarkach i czekał. Jak zawsze. Teraz i przedtem. W każdym innym mieście w karierze.

Zazwyczaj przychodziło mu działać bez parasola immunitetu dyplomatycznego, jako nielegał. Postać z obcym nazwiskiem i życiorysem. Trudna do wykrycia niczym duch.

Darijew ostrożnie odsunął skraj firanki. Bardziej sprawdzał pogodę, niż szukał obserwatora. Tego popołudnia nareszcie zza chmur wyszło słońce i Wiedeń nawiedzała wiosna.

Rosjanin uznał, że może założyć lżejszy płaszcz, o szarzielonkawym odcieniu. Kremowe prochowce w jego zawodzie były jak wielki celownik wyrysowany na plecach. Pamiętał to ze szkoleń, znał z doświadczenia.

Miał wyglądać jak zwykły śmiertelnik, przeciętny pracownik zbliżający się do emerytury. Bez ekstrawagancji, zachcianek. Zwykły szaraczek.

Jeszcze „ubezpieczył” pokój. Dwie pastylki aspiryny pod dywanem, włos na walizce pod łóżkiem i na szafie. Przygotowywał zgniecioną karteczkę, by

przed zamknięciem wepchnąć ją między drzwi a futrynę, kiedy od wejścia doleciało stukanie.

Zastygł w bezruchu, ale wiedział, że ten z drugiej strony musiał słyszeć jego krzątanie. Jeszcze raz rzucił okiem za okno. Na ulicy nic szczególnego się nie działo. Ruch jak zwykle.

Spojrzał na zegarek. Plan podróży na miejsce miał wyliczony z lekkim naddatkiem, więc mógł zaryzykować. Choć to było już drugie spotkanie alarmowe, jakie wyznaczył.

Podszedł do wyjścia, nacisnął klamkę i kiedy drzwi rozwarły się ze skrzypnięciem, omal nie odskoczył przestraszony.

– Cześć. – Alosza stał w progu z szerokim uśmiechem. – Wychodzisz, brat? – Wskazał palcem na płaszcz Jurija. – Mogę? – Oczy błysnęły radością. Nie czekając na odpowiedź, zrobił krok i wtedy Jurij spostrzegł, że braciszek lekko się chwieje. Buchało od niego odorem alkoholu.

– Co ty tu...? – Starszy łykał prędko ślinę, z trudem panując nad strachem. Wiele go kosztowało, by ręce nie zaczęły drżeć. Kiedyś przechodził coś podobnego, dawno, kiedy był pewny, że obława zaraz go dopadnie.

Alosza omiótł wzrokiem pokój, tak jak miał w zwyczaju każdy rasowy oficer wywiadu, i nie zdejmując wierzchniego odzienia, padł na łóżko.

Głowę oparł o ścianę, splótł palce na brzuchu i patrzył, wciąż się uśmiechając.

– Wychodziłeś? Wybacz. – Pokręcił głową, ale można było dostrzec, że jest mu to obojętne.

– Skoro jesteś... Zapraszam. – Jurij machnął rękami niezadowolony, prychając jak parowóz.

Zamknął prędko drzwi, zdjął płaszcz. Kręciło mu się w głowie i nie potrafił zmusić się do racjonalnego myślenia, z trudem trzymał nerwy na wodzy.

– Skąd ty się tu, do cholery, wzięłeś? – prawie krzyknął i padł na fotel. Ukłuło go pytanie, czy braciszek widzi to zmieszanie, czy to całe

„zmęczenie” przeszkadza w ocenie?

– A co, ja cię nie znam? – zabelkotał Alosza z brodą opartą o pierś. – Mamy listę hoteli i pensjonatów. Ja jeszcze pamiętam, co mi mówiłeś, jak szkoliłeś... – Pokiwał palcem. – Nie zapomniałem. Wiedziałem, gdzie cię szukać. Nie od razu znalazłem, dopiero w trzecim hotelu. – Zgrzytnął zębami, z niesmakiem wpatrując się zmęczonymi oczami w sufit.

Jurij oparł głowę o dłoń, wyciągnął nogi, ciągle próbując wymyślić, co to wszystko oznacza. Śledzili go i wiedzą, a brata przysłali, żeby nie robić zamieszania.

Nie, to byłoby bez sensu. Mogli go zdjąć po powrocie... „Chyba że – myśl spadła jak piorun, olśniła i przeraziła zarazem – nie chcą przekazania materiałów”. Serce złapał skurcz. Pojawiła się wizja tych wszystkich metod, nieopisanych tortur, na jakie on sam słał ludzi, by zdradzili największe sekrety. Kiedyś pytał sam siebie, czy wytrzyma, kiedy się o nim dowiedzą? Albo przynajmniej jak długo wytrzyma?

Opanował się z największym trudem. Prawie spanikował, gotów przyznać się do wszystkiego, ale to był tylko impuls. Sekunda. Zmusił się, żeby wytrwać.

– Po co tu jesteś? W Austrii? – zapytał zupełnie poważnie i naturalnie, jak zaskoczony widokiem brata człowiek. Nic więcej, nic nietypowego. Lata praktyki.

Alosza wstał ociężale, pochylił się, ściągnął brwi. Źrenice wypełnił jakiś blask, zły chochlik.

– Misja specjalna. – Nie zniósł tej powagi i zarechotał, klepiąc brata po kolanie. Obaj się zaśmiali. Nazwa jak z marnego filmu.

– Misja? – spytał rozbawiony Jurij. – Ty? Który z kraju rusza się od wielkiego dzwonu...

– Od wielkiego dzwonu, Jura, właśnie że od wielkiego dzwonu. – Zły chochlik w oczach zmienił wyraz. Zrobił się radośniejszy, a czerwonawa twarz oficera rozpromieniła się. – Stary marszałek nie ufa nikomu – trącił palcem nos – tylko nam dwóm. Podobno Polaczki coś węższą i mają jakieś podejrzenia, informacje. – Wstał i podszedł do okna.

Milczeli dłuższą chwilę.

– No ale może... – Młodszy odwrócił się, prezentując w niespodziewanym uśmiechu garnitur zębów. Humor mu wracał. – ...o przypuszczenia, analizy. Głupi nie są. Wiedzą coś o nas. Nie? – Wrócił na łóżko, spoważniał.

Jurij czuł, jak puls przyśpiesza mu do niebezpiecznej prędkości. Nabierał powietrza nosem, tak żeby nie było słychać dyszącego, nerwowego oddechu.

Zacisnął palce na oparciu fotela, żeby nie dać się pokusie otarcia czoła, zroszonego kropelkami potu. Znał brata, przecież Aleksiej zawsze go słuchał i wspierał, nie podejrzewał go o takie wyrachowanie. No ale wszystko możliwe, jeśli ma się do czynienia ze zdrajcą.

– Faszysty jak? – padło nieoczekiwane pytanie gościa. – Słuchają się?

Jurij zdębiał najpierw, potem zaraz wyczuł przebłysk nadziei.

– Niemcy? Tak, w porządku. Wszystko prawie dogadane. – Starał się zyskać na czasie. – Szczegóły. Czekają na sygnał. Tyle to trwa, bo i oni muszą jeździć do siebie na konsultacje. Wiesz, że ich też mają na widelcu. I bardzo ich boli... ale coś przebakują, że inny układ za oceanem nieźle by im się przydał. – Zaryzykował, widząc, że znużony rozmówca opuszcza wzrok, otarł czoło.

– Za oceanem... – Młodszy wydał jakoś dziwnie dolną wargę. Uniósł wysoko głowę i wyprostował się jak na paradzie. – Ja tu właśnie w tej sprawie. Wiem, nie powinienem, ale, braciszku... tobie bym nie powiedział? Siedzimy w tym obydwaj. W największych sekretach sowieckiego kraju. – Puścił oko. – Staruszek nie ufa nikomu. Ciągłe się boi, że Chruszczow coś wyczuje. Ale ten chyba wie, że idzie na bok... Gównu go słuchają i może sobie porządzić na Kremlu. Znow więcej pije. No ale ja tu nie o nim mam gadać. Jeśli mamy zmieniać to wszystko, z sensem, żeby korzyść była, żeby dźwignąć ten cały chłam i znow myśleć o wielkich sprawach...

Jurij uśmiechnął się bardziej do siebie, podparł łokcie o uda i pokiwał głową. Napięcie go opuszczało. Jeszcze po niego nie szli.

– I po to ty tu? – nie dowierzał.

– Ja – Aleksiej się ocknął – tak. Mam czekać na jednego faceta... Dobry zawodnik, dobry... – Dłoń generała, na znak, że mówi prawdę, spoczęła na sercu. – Zabraliśmy go niebieskim czapkom, jeszcze w zeszłym roku. Miał narozrabiać, bo Chruszczowowi chciało się mścić za Kubę.

– Zaraz, zaraz. – Jurij zamknął oczy. – Cyngiel? Spotykasz się z cynglem?

– Cynglem – prychnął generał i sięgnął do kieszeni.

Wyjął paczkę papierosów, bez pytania zapalił i dopiero podał bratu. Starszy podziękował, kręcąc głową.

– Żaden zbój. – Alosza zdawał się poruszony brakiem szacunku. – Artysta, normalnie artysta. A takich trzeba używać z głową... – Popukał się w czoło. – Żeby był pożytek. To na tym, braciszku, obaj skorzystamy. Mówię ci: obaj. – Zaciągnął się dymem.

– Co wy, do cholery, wymyśliliście? – Niedawne przerażenie ustąpiło u Jurija miejsca gorącej ciekawości. – Karła wykopiemy. Ale kiedy? Wiesz? I czemu więcej mi nie mówicie? – obruszył się, szczerze dotknięty.

– Spokojnie, spokojnie. – Alosza próbował łagodzić. Machał rękami, sypiąc po dywanie popiołem. – Marszałek dzieli zadania. Każdy swoje. Nawet Lonia, król GRU, dowiaduje się, kiedy musi, i to swój wycinek. Ja jestem tu dopiąć ważną rzecz. Zatopić amerykański okręt w Europie i jego kapitana.

Jurij rozwarł szeroko usta, zupełnie porażony.

– Tak, tak – zarechotał młodszy brat. – Są na to sposoby i decyzje. To miała być kulminacja. Prawda, nie poszło, jak zaplanowano. Za mało tego zamieszania narobiliśmy... Naszych połapali albo olali sprawę, bo im za dobrze. Nieważne. Finał będzie piękny. Pracujemy nad tym. Będzie jeden, jak to mówisz, cyngiel, a potem kto wie, może druga linia, ale to niepewne. Tamci nie będą nam bruździć... I twoja robota tu ważna. – Skierował palec z papierosem w pierś brata. – Bardzo ważna. Teraz rozumiesz?

Jurij siedział jak sparaliżowany, układając sobie ten przydługi bełkot w głowie. Do tego dnia sądził, że bije na alarm, ostrzega i prosi. Ale teraz wszystko wywracało się do góry nogami.

– Alosza – przerwał twardo, autorytatywnie, jak na starszego brata przystało. – Opowiedz, bo to cholernie ciekawe. – Pochylił się, zapominając o spotkaniu. Miał przecież jeszcze jeden termin zapasowy.

Wiedeń, Austria | 20 marca 1964

Krótki przeblysk wiosny, jaki zawitał nad Dunaj, zdawał się kończyć ku rozczarowaniu mieszkańców Wiednia. Czarne chmury, gnane podejrzanie ciepłym wiatrem, nadchodziły od wschodu, najpierw niedużymi strzępami, by po kilkunastu minutach zbić się w jedną ciemną plamę.

Jan Węgliński rozsiadł się na reszcie betonowego bloku obok sterty gruzów, w magazynie nad rzeką, daleko od centrum.

Co raz wznosił wzrok na ciemniejące niebo przez prawie nieistniejący dach rudery. W pustej hali nie było gdzie skryć się przed deszczem. Pocieszał siebie, że przynajmniej wziął ortalionową kurtkę, jaką taką ochronę przed nadchodzącą ulewą.

Od alei fabrycznych ruin coś zachrobotało. Polak poderwał się z miejsca, pochylił i ukrył za pobliską hałdą gruzów. Nasłuchiwał, czy z pozostałych kierunków nie dochodzą inne odgłosy. Zdawało się, że nie.

Wysilił oczy. W szerokim jasnym wejściu, teraz nieosłoniętym drzwiami, pojawiła się sylwetka. Nie poznał. „Igora”, jak nazywał swoje źródło, widział tylko raz.

Postać weszła ostrożnie, cicho stawiając kroki. Nie czuła się pewnie. Zresztą tak samo jak Węgliński. Ciężar gatunkowy ich rozmów był ogromny.

Mężczyzna podszedł bliżej, zatrzymał się i zaczął obracać, chyba świadom, że jest obserwowany.

Janowi ulżyło. Wyszedł z kryjówki, pomachał.

– Dzień dobry. – Zmusił się i uśmiechnął prawie w naturalny sposób. Przecież miał dość czekania. Napięcia i lęku.

– Witam. – Na twarzy „Igora” też dało się zauważyć ulgę. – Co za pogoda... Będzie lać – zagaił, podając dłoń.

– Nawet może grzmieć – Węgliński podtrzymywał konwenanse.

– Jak sprawy? W porządku? – „Igor” przeszedł prędko do rzeczy.

– Chodzi ci o fundusz? – Jan schował dłonie za siebie. – Potwierdzone, mam zaświadczenie. Pieniądze idą. Szefostwo zadowolone. – Znów uśmiech, bardziej handlowy, jak po udanej transakcji. – Liczymy na więcej... Tymczasem kazałeś na siebie czekać.

– Wybacz... Moje sprawy tu... – Nerwowy grymas wykrzywił twarz Rosjanina. – No ale jestem. – Klasnął w dłonie, usiłując wykrzesać nieco wigoru, jednak bez przekonania. Wyraźnie był przejęty.

Sięgnął do kieszeni po złożoną karteczkę.

– Nie mogłem wcześniej, wybacz... Może ta atmosfera... Może wiek, ale bałem się, że ktoś chodzi. – Skłamał i patrzył, jak zareaguje Węgliński, to był przecież niezwykle brak profesjonalizmu.

Jan sapnął, uniósł brwi, czytając adres, i pokręcił głową.

– My ci tu, kolego, sto tysięcy, a ty tak...? Nieładnie, nieładnie. – Przyjrzał się rozmówcy, szukając śladu podstępów. – Tak dobrze zaczęliśmy, a teraz co?

Zapamiętał nazwę ulicy i numer domu. Sięgnął po zapalniczkę i spalił karteluszek.

– I co? – burknął. – Po co to spotkanie? Następnym razem powiedz, gdzie mam iść – nakręcał się, doskonale wiedząc, że martwe skrzynki to idealne miejsca zasadzek. Nawet był w tej chwili gotów uznać, że trzeba kończyć i ten facet robi się trefny.

– Wybacz, naprawdę. – Rosjanin, przygarbiony jak pokutnik, zaczął bić się w pierś. – Nie mogłem, naprawdę nie mogłem... Ale wierz mi... – Podszedł i złapał Polaka za ramiona. Wbił w Jana spojrzenie wielkich, wilgotnych chyba z emocji oczu, aż Węglińskiego przeszedł dziwny dreszcz. – Będziecie zadowoleni, zadowoleni jak cholera. Mam coś takiego...

Jan wzdrygnął się wystraszony, kiedy ślina obryzgała mu twarz. Nie miał wątpliwości, że ma przed sobą szaleńca, prawdziwego szaleńca.

Wyrwał się z uścisku, odepchnął „Igora”, nabrał powietrza i poprawił

ubranie.

Szukał odpowiedniego słowa, żeby to zakończyć, ale oferent odezwał się pierwszy.

– Nie wierzysz? – zabrzmiało jak skowyt paniki. – Zanim mnie skreślisz... – wymamrotał, nie odwracając głowy – zajrzyj do skrytki. Jesteś doświadczonym oficerem, dasz radę sprawdzić, że nic ci nie grozi. Mnie możesz nie ufać, ale zaufaj doświadczeniu – mówił jak zawodowiec do zawodowca.

Podpułkownikiem Węglińskim ovladnął nagle dziwny spokój. Tamten umiał czarować, przekonywać albo po prostu mówił prawdę.

– Wszystko będzie warte swojej ceny. – „Igor” wolno się obrócił. – A nawet więcej. – Wyprostował się z powagą.

– Słucham? – Jan zrozumiał, ale wołał być zupełnie pewien.

– Mam coś większego, o wiele większego. Coś, co jeśli wyjawię, nie pozwoli doprowadzić tego świata do szaleństwa. Rozumiesz? Szaleństwa i powrotu tego, co było kiedyś. – Wskazał wyciągniętą ręką na Polaka. – Wy, Amerykanie, Anglicy i cały Zachód przetrzymacie to i jeśli pójdzie źle, być może wygracie. Ze stratami. Ale moi... – Broda zaczęła mu drżeć. Przetarł twarz dłonią, pokręcił głową. – Powinienem wcześniej, wcześniej...

Węgliński stał wstrząśnięty tymi wyznaniem i nawet chciał Rosjanina jakoś pocieszyć, ale zaraz uznał, że to zbyt duża poufałość. Pułapka skracania dystansu, w którą nie chciał się zapędzić.

– Kiedy się spotkamy? – zebrał się na odwagę, grając nieporuszonego. – Muszę przesłać dzisiejszy pakiet... Potem mogę wrócić.

– Masz wrócić! – przerwał „Igor”. – Proszę... – poprawił się, ciągle rozedrgany. – To bardzo ważne. Wybacz, niczego ci więcej nie zdradzę. To, co wiem... – oddychał szybciej – to, co wiem, mogę powiedzieć osobiście tylko twojemu szefowi. Komuś ważnemu. Rozumiesz, tylko jemu. Bez pośredników. To skomplikowane, trudne, wiem. Dlatego masz zagwarantować mi ochronę i transport. Wiem, macie pewnie swoje procedury.

- Kiedy? – Tylko to przyszło do głowy zaszokowanemu Janowi.
- Szybko, kolego. Szybko. Najlepiej przed piątym kwietnia.

Dowództwo Czwartej Dywizji Pancernej Armii Stanów Zjednoczonych, Lublin, Polska | 21 marca 1964

Widok, jaki rozciągał się przed jego oczami, kapitan Richard Ferguson w normalnych okolicznościach mógłby uznać za piękny.

Lazur wiosennego nieba, lekki wicherek poruszający ciągle nagimi drzewami, a pośrodku tego, na szerokim betonowym placu, jego maszyny.

Nie tylko jego. Cały batalion przeznaczony do ochrony sztabu Czwartej Pancernej stał tutaj, przy pomruku pracujących silników.

Pięćdziesiąt czołgów M-60 Patton lśniło, jakby wyprowadzono je prosto z fabryki. Załogi nosiły jeszcze codzienne, ubrudzone kombinezony, co psuło efekt, ale Ferguson zbytnio się tym nie przejmował.

Za dwa tygodnie wszystko miało być dopięte na ostatni guzik. Elegancko i z przytupem.

To martwiło najbardziej tego niskiego szatyna z Nowego Jorku. Całe zadęcie, dbałość o najmniejszy szczegół i treningi, jakimi raczył ich ciągle podenerwowany major Jebediah Collins.

Miał powody do niepokoju. Wszyscy oficerowie zarywali z przejścia noce, ponieważ batalion pancerny wyznaczono do przedefilowania przed prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Czemu wybrał tę jednostkę? Przecież w Polsce było ich jeszcze kilka. Piąta Grupa Sił Specjalnych we Wrocławiu. Trzecia Dywizja Pancerna i Piąta Dywizja Piechoty, i kilka jednostek lotnictwa.

Odpowiedź musiała być jedna i prosta. Czwarta Dywizja Pancerna, ulubiona niegdyś jednostka świętej pamięci generała Pattona, na którego cześć nazwano serię nowych czołgów, stała najbliżej sowieckiej granicy. Miała być ostrzeżeniem i zaporą jednocześnie. Gdyby tam na Kremlu znów komuś przyszło do głowy narozrabiać, jak w pamiętnym czterdziestym piątym.

Ferguson skończył pogaduszki o niczym z dowódcami plutonów i wozów i uznał, że zdoła wypalić jeszcze jednego papierosa, zanim major Collins zakończy przerwę.

Ten postawny czarnoskóry, noszący się prosto i chodzący olbrzymimi krokami, nie potrafił odpoczywać. Z jakimś skoroszytem pod pachą, z obłądem w oczach obchodził kolumnę wozów, jakby miał odmierzać linijką odległości.

– Pan major się nie przejmuję tak mocno. – Ferguson naprawdę chciał, żeby to brzmiało poważnie.

Mijający go dowódca musiał chyba zrozumieć to opacznie, bo lekko zwolnił, schował głowę w ramiona i zrobił minę, jakby miał wydrzeć się na całe gardło. Poruszył tylko niemo ustami i pomaszerował dalej, raz jeszcze rzucając spojrzenie przez ramię.

Naprawdę się przejął. I nie chodziło tylko o samego prezydenta, o bliskość Rosjan i niepokój w tym dalekim kraju. W Stanach Zjednoczonych też wiele się działo. Nadciągały zmiany.

Armia USA okazała się bardziej liberalna niż niektóre stany i dała szansę takim jak Collins, a on z niej skorzystał, i teraz chciał się sprawdzić. Popisać się. Dorzucić swój kamyczek do ogródka wielkiej, niekiedy krwawej walki o prawa czarnoskórych braci. Nie mówił tego, nie wolno mu było, ale starał się mocno.

– Do wozów! – doleciał ryk ze zdzieranego gardła. Major stał przed kolumną i wył: – Do wozów! Zaczynamy jeszcze raz!!!

„Park”, Warszawa, Polska | 22 marca 1964

Pokoje były nawet przestronne, dwuosobowe. Umeblowane prosto: łóżko, wspólna szafa. Nic jak w zwykłych koszarach, a i członkom oddziału dano pewną swobodę, jeśli idzie o mieszkanie i wystrój.

Bartłomiej Karpacki, okutany kołdrą, leżał w łóżku, robiąc to, co ostatnimi czasy najbardziej mu odpowiadało. Spał. Loty nowymi śmigłowcami były rewelacyjną sprawą, ale ganiecie po lasach i mokradłach już mniej. I do tego to napięcie, że zaraz, lada chwila coś się wydarzy i to ich

oddział pójdzie w ogień jako pierwszy.

Wystarczyło, by zmęczyć każdego.

Przez błogostan do świadomości Bartka przebijało się najpierw ciche, potem coraz głośniejsze pukanie. Wreszcie jakiś natręt wyrwał go ze snu, skazując się na wysłuchanie potoku bełkotliwych przekleństw.

– Wstawaj, księżniczko. – Zenek Warten stał w drzwiach ich wspólnego pokoju odziany w mundur, z beretem w garści. Wyglądał świeżo i kwitnąco, jakby wrócił z urlopu, a nie przebieżki po lasach.

– Ty co? – Bartek popatrzył jednym okiem i zaraz nakrył się kołdrą. – Zdurniałeś? Spać nie możesz, to twój problem.

– No już, raz-dwa. – Zenek podszedł bliżej i ściągnął okrycie z kolegi.

– Jasna cholera! – Karpacki podskoczył święcie oburzony. – Daj mi spokój, co?! – Zażarcie próbował odebrać swoją własność.

– Ubieraj się. Prędko. – Warten cisnął piernat na swoje posłanie. – Stary chce nas widzieć.

– Co? – Bartek zastygł w bezruchu. – Mamy zmianę odpoczywającą – wybełkotał niemądrze, trąc zaspaną twarz.

– Bartek, nie dyskutuj. – Zenek wzruszył ramionami. – Czekam przed wejściem.

Stawili się w sekretariacie, gdzie starszy sierżant wskazał im drzwi gabinetu. Zameldowali się przepisowo, prężąc w mundurach polowych.

Biuro kapitana było spore. Wszystkie ściany zdobiły zdjęcia, pamiątki z wojny, z dawnych czasów w Afryce, dyplomy i podziękowania od jednostek sojusznicznych. Do tego za biurkiem wisiała pięknie połyskująca szabla i kilka pistoletów.

Po lewej, przy dużym oknie z widokiem na plac, wisiały mapy kontynentu w różnych skalach. W rogu zaś usytuowano kącik gościnny: narożną kanapę, stół i fotele.

Kapitan Goldman wstał od papierów.

– Spocznij – uśmiechnął się. – Tu nie unitarka, panowie. Zapominacie? – Oczy błysnęły wyższością i rozbawieniem.

Wyszedł zza biurka i uściśnął im dłonie.

– Życie? – Pytał już o to, kiedy wrócili, cali w błocie, w porwanych mundurach, ale wolał się upewnić co do ich kondycji.

– Tak jest, panie kapitanie – Karpacki wyrwał się energicznie, jakby sen był dalekim wspomnieniem.

Lip prawie prychnął śmiechem.

– Bardzo dobrze. – Pokręcił głową.

Wskazał na kanapę. Usiedli. Kapitan po kilku kurtuazyjnych pochwałach spoważniał raptownie. Opadł na oparcie i przekrzywił głowę.

– Radzicie sobie całkiem nieźle. Dlatego wyznaczam was do zadania. – Milczał dwie sekundy, czekając na reakcję. Była taka, jakiej się spodziewał.

Obaj młodzi oficerowie zaniemówili, zdawało się, że i pobledli. Karpacki próbował zerknąć pytająco na kolegę, ale Warten siedział nieruchomy jak słup soli.

– Spokojnie – Goldman łagodził strachy – bez obawy, nie każę wam zastrzelić Chruszczowa. Coś łżejszego na początek. Dużo łżejszego. – Chyba uwierzyli, bo wyraźnie się rozluźnili. – Pojedziecie gdzieś – kontynuował dowódca. – Bardzo blisko, bardziej wycieczka. Macie być obstawą. Jesteście ciągle na ostatnim „dotarciu” i zgrywaniu, więc trzeba was wypuszczać w teren, do ludzi. W związku z tym – pochylił się, splatając palce dłoni – oddaję was pod rozkazy Oddziału II.

– Wywiad – powiedział bezwiednie zasłuchany Karpacki.

– A tak, tak, panie poruczniku, punkt za znawstwo – kapitan przytaknął z ironią. – Zbierajcie się. Podstawiam samochód, mają was zabrać, najpierw do „bunkra”, potem na lotnisko. Opowiedzą wam, co i jak. Ja nad wami nie mam władzy...

– A coś więcej, panie kapitanie? – wtrącił z przejęciem Warten.

Goldman wciągnął nosem powietrze, zawieszając spojrzenie na

podwładnym, jakby chciał powiedzieć coś w stylu: „Pękasz, młody? W tej firmie?”.

– Spokojnie. Żadnych rozrób nie będzie – mówił kojącym głosem człowieka, który rozwiewa wątpliwości. – Może być ciekawie. „Dwójka” zrobi wam odprawę. Lecicie i zaraz wracacie. Zbrojmistrz wyda wam broń. Wie jaką. Zna specyfikę takich misji. Tak że... – kapitan wstał i wyciągnął dłoń – powodzenia.

Lotnisko Wojskowe Okęcie, Warszawa, Polska | 22 marca 1964

Pokój przy poczekalni VIP był nieduży. Nie przypominał reszty nieco topornie wzniesionego budynku, typowej ciągle dla wielu miejsc w kraju prowizorki czekającej na solidne odbudowanie.

Było kilka foteli, barek, stół z lakierowanymi krzesłami. Całkiem domowo i być może przytulnie, ale prosto. Tylko człowiek, którego mieli osłaniać Warten i Karpacki, nie pasował do entourage’u tego nieco prząsnego pomieszczenia, do aury wojskowego lotniska, całej tej misji i nimbu jej towarzyszącego.

Mężczyzna w garniturze, z płaszczem, który teraz spoczywał na sofie, był ze dwadzieścia kilka lat starszy od obu oficerów. Łysy, wysportowany, jakoś szczególnie nie pałał chęcią, by zaskarbić sobie sympatię swoich goryli.

W ogóle otoczenie niezbyt go zajmowało. Od początku nie odzywał się wiele. Kazał założyć gustowne garnitury, tak by obydwaj wojskowi wyglądali jak pracownicy ochrony rządu, albo nawet dyplomaci.

Później całą trójkę odstawiono wozem terenowym z zaciemnionymi szybami na Okęcie i zamknięto w tym pokoiku. Samolot miał być gotów za jakąś godzinę, po zmroku.

Karpacki siedział na fotelu najbliżej drzwi, ciągle spięty z powodu obecności łysego, którego wszyscy w „bunkrze” słuchali jak jakiegoś księcia. I dopiero jakiś szeregowy pracownik zasugerował mu, z kim mają do czynienia. Sam generał w czasie podróży kazał się tytułować kryptonimem „Tantal” i zamilkł.

Odkąd rozsiedli się tu, wprowadzeni przez kapitana sił powietrznych,

facet nie odzywał się słowem. Palił za to dużo, chodził od ściany do ściany, wpatrzony w dywan albo w zasłonięte okno.

Grał twardego. Nie, on był twardy, ale w połyskujących źrenicach przebijał się niepokój i wielka niepewność. A może była to trema.

Zapukano do drzwi.

– Wejść – Tantal momentalnie rzucił polecenie.

Ochrona wstała. W drzwiach pojawił się ten sam kapitan.

– Jesteśmy gotowi – mówił cicho, jakby też przejmował się tym „najazdem”.

– Dziękuję. – Tantal poprawił marynarkę. – Idziemy. – Złapał płaszcz, założył go i postawił kołnierz. Zdjął z wieszaka przy wyjściu kapelusz i nasunął na oczy.

Bartkowi wydawało się, że kilka razy odetchnął głęboko. Był już w progu, kiedy stanął i odwrócił się.

– Panowie – zabrzmiało surowo – zostaliście pouczeni. Żadnych rozmów czy pytań. Nie oddalacie się od maszyny i, jeśli to możliwe, unikacie przypadkowych spotkań. – Posłał każdemu długie porozumiewawcze spojrzenie spod ronda kapelusza.

– Tak jest. – Bartek kiwnął głową. Tantal odpowiedział nerwowym grymasem i dał znak, by szli za nim.

Port lotniczy Wiedeń, Austria | 23 marca 1964

Było ciemno, trzęsło. Zza cienkiej ściany, którą miał za plecami, dolatywał rwetes ulicznego ruchu, nawet o tej porze nocy.

Jan Węgliński czuł się jak aktor w komedii. I to bardzo marnej komedii.

Kiedy uruchamiał procedurę czegoś, co nazwano łącznością alarmową, mającą zadziałać w ekstremalnych wypadkach, liczył na coś ciekawszego.

Delegatura w ambasadzie była nieco zaskoczona, kiedy na podany numer przesłano hasło wywoławcze, i to z ich terenu, ale centrala szybko potwierdziła, że prowadzi tu swoją operację. Weryfikacja i wybranie sposobu

ewakuacji trwały kilkanaście godzin, ale powiodły się.

Jana Węglińskiego odstawiono do bezpiecznego lokalu. Nie zdradził się z niczym, nie chwalił pakietem materiałów i mikrofilmów. Podlegał przecież wyłącznie generałowi. I jemu, przez bezpieczną łączność, zameldował o rozmowie z „Igorem” i jego pilnej prośbie.

Odpowiedź nie przyszła od razu. Jan spodziewał się strofowania i ostrzeżeń przed prowokacją. Tymczasem przeżył spore zaskoczenie.

Szef ekspozytury dostał polecenie przygotowania lądowiska na przyłot samolotu specjalnego i przerzutu dwóch osób na lotnisko. Całość działań z zachowaniem daleko posuniętej dyskrecji. Operacja była pilna. Ekspozytura miała rzucić wszystko i zająć się transportem jakiegoś tajemniczego człowieka na wiedeńskie lotnisko.

Drugą osobą był Węgliński. Aura cichej zimnej wojny wywiadów, niebezpieczeństwa i ciągłego zagrożenia z drugiej strony wymuszała ostrożność. Grali na neutralnym, czyli tak naprawdę otwartym terenie, gdzie pełno było niebezpieczeństw, nieprzychylnych spojrzeń i informatorów.

Plan, który wymyślono, w każdej innej instytucji nie pasowałby do człowieka z taką pozycją jak Jan. Uznano, że sprawa jest duża i bardzo delikatna. Nikt nie mógł zobaczyć ani Węglińskiego, ani jego „kolegi”. Żadne charakteryzacje, paszporty dyplomatyczne na fikcyjne nazwiska nie wchodziły w grę. Zbyt wiele wścibskich oczu, tu i w kraju, a za mało czasu.

Ten też miał znaczenie. „Igor” dysponował niewielką luką, którą można było wykorzystać, ale nic ponadto, by nie budzić podejrzeń.

Ktoś wreszcie zdecydował, że optymalnym rozwiązaniem będzie przesyłka dyplomatyczna. Spora, pilna, którą należało przesłać samolotem, nie ciężarówką czy pociągiem. Budziło to pewne podejrzania zwłaszcza wśród służb celnych, ale nic lepszego nie wchodziło w grę.

Lotnisko pulsowało nocnym życiem, rozświetlone setkami lamp i latarni. Samochód wpuszczono na płytę bez kontroli. Zielona furgonetka, prowadzona przez pilota, ruszyła na miejsce postoju niewielkiego dwusilnikowego samolotu.

Odrzutowy PZL-201 Albatros, duma cywilnego lotnictwa polskiego,

zarejestrowany był oficjalnie jako samolot dyspozycyjny, czarter MSZ. Wszystko na cywilnych znakach rejestracyjnych, żadnych powiązań z wojskiem.

Tak naprawdę maszyna podlegała eskadrze specjalnej rządu RP, z której wypożyczono ją Oddziałowi II.

Samochód minął kilka zaparkowanych turbotłokowych maszyn rejsowych, które dopiero co wylądowały albo szykowały się do kołowania.

Pilot dał znak, że będzie czekał, aż pasażerowie furgonetki zrobią swoje.

Pomocnik szofera odsunął szybkę dzielącą go od ładowni.

– Panowie, kryjemy się – rzucił, nie patrząc.

Węgliński nabrał powietrza i skinął na przejętego „Igora”. Rosjanin trząsał się cały i chyba żałował swojej decyzji, ale było za późno.

Skrzynie były wąskie i ciasne. Pasażerowie musieli się kulić, jedyne, co ich pocieszało, to że nie mieli daleko.

Dwaj mężczyźni wyszli z szoferki. Jeden poprosił o pomoc ludzi z samolotu.

Karpacki i Warten nie spodziewali się takich zadań, zwłaszcza kiedy wbito ich w eleganckie garnitury. Odłożyli na moment pistolety maszynowe PM-1, tak zwane polskie Uzi, i zabrali się do dźwigania.

Auto stało blisko, tyłem i pod skosem, tak żeby utrudnić robienie zdjęć zarówno z pojazdów na płycie, jak i z terminalu. Poszło całkiem gładko. „Opakowania” były dobrze wymierzone, mieściły się w drzwiach przecież nie transportowej maszyny idealnie.

Pomocnik szofera, w rzeczywistości zastępca ekspozytury wiedeńskiej polskiego wywiadu, tylko przekazał „paczki” głównemu pasażerowi maszyny i, nie do końca ciągle rozumiejąc, w co się gra, opuścił samolot. Wyraźnie mu ulżyło, kiedy skierował się do bramy lotniska.

– Dziękuję, panowie – powiedział Tantal do zziających oficerów. Siedział w swoim fotelu w salonce, wpatrzony w dwie zbite z desek skrzynki.
– Wiecie, co teraz?

– Tak jest – odparł Karpacki, zarzucił pistolet na ramię i machnął na kolegę. Mieli przejść do drugiej kabiny i siedzieć tam, póki Tantal ich nie poprosi.

Prócz pilotów i technika nie było nikogo więcej. Żadnej stewardesy, nikogo.

Ryzyko, ale generał Przeszło-Stępniakowski podjął je dawno temu. Kiedy zdecydował się na tę służbę.

Wziął w dłoń słuchawkę interkomu, wbudowaną w biały telefon.

– Wszystko w porządku – powiedział spokojnie. – Panie kapitanie, jeśli jest pan gotów, prosiłbym startować – zwrócił się grzecznie, jak miał w zwyczaju do podwładnych, zwłaszcza tych, od których wiele zależało. – Panowie – odłożył słuchawkę i trącił skrzynię – wychodzimy.

Wiekowo wolno się podniosło i z kufra wygramolił się Węgliński.

– Jasna cholera. – Przeciągnął się i wyraźnie niekontent, zaczął masować kark. – Cyrk, pieprzony cyrk – syczał.

Pomógł „Igorowi” odrzucić wieko i wyjść. Przepchnął „paczki” dalej w kąt, żeby nie narobiły bałaganu przy starcie.

Popatrzył na dwóch ludzi, którzy chwilę mierzyli się wzrokiem, jak znajomi odgrzebuający w myśli dawne wspomnienia.

– Powitać – Stępniakowski odezwał się pierwszy i nieśmiało podał rękę.

„Igor” uściśnął ją mocno, ciągle uważnie taksując rozmówcę. Naraz był ostrożny, a może raczej przejęty. Obydwaj byli. Samolot zaczął cofać na drogę kołowania.

Stępniakowski wskazał fotele. Sam usiadł i zapiął pas.

– Proszę wybaczyć... – mówił do gościa, jakby Węgliński wyparował – taką formę, ale rozumiesz... To musiały być pakunki. Gdyby wykryto, że przemycamy ludzi, ktoś mógłby coś wywęszyć, a i Austriacy zaczęliby się burzyć. Nam zależy na czasie i spokoju. Sam zresztą wiesz...

„Igor” pokiwał głową i ostrożnie zerknął w okno, patrząc na oddalający się terminal.

– Tu jesteśmy bezpieczni. – Nie wiadomo, czy stwierdzał fakt, czy dopytywał.

– Tak, tu jesteś bezpieczny – oświadczył pewnym głosem Tantal.

– Zaraz... panie generale – wtrącił Jan. Huk silników musiał sprawić, że ocknął się z zaskoczenia i zakłopotania i uznał, że należy mu się nieco wyjaśnień. – Wy się znacie? – zapytał zdziwiony.

„Igor” popatrzył na generała, szukając poparcia czy zezwolenia.

– Tak – Stępniakowski wziął na siebie odpowiedzialność. – Znamy, ale to długa historia. W tej chwili, o ile wiem, mamy ciekawsze rzeczy do omówienia. – W oczach pojawił się błysk.

Maszyna dokołowała spokojnie na skraj pasa. Załoga czekała chwilę na potwierdzenie pozwolenia i kiedy to nastąpiło, silniki zawyły, zwiększając ciąg. Nieduży odrzutowiec wyrwał po betonie w przód i zaraz oderwał się od ziemi.

„Igor” ciągle patrzył przez okno, ale im bardziej oddalały się pomarańczowe punkciki miasta, tym wyraźniej polepszał mu się nastrój. Wreszcie kiedy maszyna nieco wyrównała lot, rozpiął pas, wyciągnął nogi i głęboko westchnął.

Paweł Przeszło-Stępniakowski pozwolił Rosjaninowi delektować się tym ulotnym momentem spokoju.

Wpatrywał się w jego twarz, szukając śladu fałszu i podstępu. Upewniał się. Szukał w pamięci obrazów sprzed prawie dwudziestu lat, spraw i kłęski, o której już dawno zapomniał. Czas mijał szybko, rozumiał to. Rozumiał też, że ma przed sobą kogoś ważnego, kogoś, kto ujawnia informacje tak szokujące, że aż dla wielu nierealne.

Już tylko kilka akapitów pierwszego raportu, przekazanych bez podania źródła przedstawicielom amerykańskich i brytyjskich służb w Polsce, spotkało się z dość chłodną reakcją. Nie wierzyli.

Jednak generał ufał, że to coś wielkiego. Widział to w wyzierającym lęku, w ciężarce, jaki gniótł niemłodego już Rosjanina. I tylko nie było już wahania przed krokiem w przód. Rosjanin wykonał przeciw ruch, robiąc

pierwszy poważny wyłom w wielkim murze.

Generał wstał, otworzył niewielki barek, będący do dyspozycji głównych pasażerów salonki, i nalał całej trójce polskiej wódki. Nikt nie oponował.

– Za spotkanie – Paweł wzniosł toast.

Wypili duszkiem. Rozluźniło ich to i przegnało stres.

– No dobrze. – Paweł chuchnął i wrócił na miejsce. Pochylił się i udając, że patrzy w pusty kieliszek, zaczął: – Cieszę się, że nie zapomniałeś o martwej skrzynce. – Spod brwi wyzierały skupione, uważne oczy.

– Mogę powiedzieć to samo. – Igor zatrzęsł się od śmiechu. Udzieliło się obu. Z obu stron ryzyko wydawało się podobne.

Tylko Węgliński siedział cicho, niewiele pojmując z tych weterańskich pogaduszek. Końcówkę wojny przeleżał w szpitalach, półprzytomny, ociemniały i niepotrzebny.

– To, co nam dałeś... – generał skłonił głowę – sporo waży. Brawo. Dziękuję ci. – Kokietował, choć druga strona nie była łasa na komplementy. Znała te zagrania.

– To, co dałem teraz, to dopiero przebój. – „Igor” wzruszył ramionami, jakby tematem rozmowy była pogoda.

– To prawda – wtrącił Węgliński i sięgnął za siebie po zapieczętowaną kopertę.

– Nie mam teraz czasu. – Stępniakowski uniósł dłoń. – Zreferuj – rozkazał.

Zanim Węgliński zdołał otworzyć usta, „Igor” go ubiegł:

– Pozwól, że ja...

Generał skinął na znak, że się zgadza.

– Będzie szybciej. – Sowiec zdjął płaszcz i rzucił na pustą kanapę obok. Maszyna zrobiła zwrot, przechylając się na skrzydło.

„Igor” wyprężył się, oparł wygodnie w fotelu, ściskając podłokietniki. Spoważniał. Jego twarz wydawała się spokojna i profesjonalna, przypominał

nauczyciela przekazującego niezmiernie istotną formułkę.

– Muszę uściślić kilka kwestii – zaczął. – Nazywam się Jurij Darijew. Generał Armii Czerwonej. – Skłonił się Węglińskiemu, jakby widział go po raz pierwszy – Kiedyś, dawno temu byłem szarym, nic nieznającym oficerem. Dziś jestem szefem tak zwanej komórki specjalnej Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego. Nie, nie ma sensu szukać w pamięci numerów wydziałów albo jakichś wspominek z waszych raportów. Nic z tego. Nie istniejemy. Jest nas czterech. Ja i trójka oficerów. Nie ma nas na rozkładach, oficjalnie działamy jako przybudówka do komórki partyjnej. – Zaniósł się śmiechem, chyba rozumiejąc, jak dziwacznie to brzmi. – No ale do rzeczy. – Otarł łzę rozbawienia. – Oficjalnie podlegamy szefowi zarządu, czyli GRU. Ale to mit. Naprawdę rozkazy wydaje nam jedna jedyna osoba. Nasz prawdziwy szef. Nasz, to znaczy Armii Czerwonej i tak naprawdę państwa. Ale o tym wiecie. Niejeden nam nawiał i gadał, jak to wygląda. Że cichym panem wszystkiego jest marszałek Fiodor Kuzniecowa.

Paweł przytaknął niemo, z najbardziej profesjonalną miną. Większość wywiadów NATO wiedziała o tym co najmniej od połowy lat pięćdziesiątych, ale nie wpływało to jakoś znacząco na politykę rządów. Czy w Moskwie rządził prawdziwy, czy udawany gensek, było sprawą drugorzędną i nie oddziaływało na stosunki gospodarcze i handlowe.

– Jak wiecie – „Igor” kontynuował – naszym nominalnym przewodnikiem, wielkim sternikiem jest towarzysz Chruszczow. Postać barwna. Wszyscy to wiemy. Ja chyba najlepiej. Nie dość, że Nikita ma swój temperament, to również coraz większe kłopoty zdrowotne. Co tu dużo mówić... Pije. Zresztą jak wszyscy.

Sowiec wskazał na kieliszek, dopominając się powtórki. Paweł nalał wszystkim i prędko wychylili.

– Otóż... – Jurij skrzywił się od palącego smaku – nasz kochany przywódca zaczął zdradzać znamiona obłądu. – Słyszając to określenie, Stępniakowski mimowolnie chrząknął, chyba upatrując jakiegoś żartu. – O co nietrudno w takim kraju jak nasz, gdzie nic nie idzie jak należy. Szarą i popękaną fasadę kryje się za barwną dekoracją propagandy. I stąd macie zawirowania na Kubie, podżeganie do buntów w Meksyku i paru innych

miejskach. Na dokładkę paplanie o milionach rakiet. Ale to pewno wasi amerykańscy kumple wiedzą? KGB nie wytrzymało pierwsze, dawno temu ktoś im przekazał nieco z tego, co ja przynoszę wam... Ale go wykryli i załatwili. Poszedł kominem. – Puścił oko w naprawdę przerażający sposób.

Stępniakowski siedział prosto, z twarzą pokerzysty, nie chcąc pokazać, że żadne informacje od sojuszników do niego nie dotarły.

– Ta propaganda, to prężenie mięśni. – Darijew mówił dalej. – Te rewolucje od Ameryki poprzez Afrykę, Wietnam, a na czerwonych Chinach kończąc, kosztują bardzo dużo, bardzo. Tymczasem i na polu tak zwanej nauki jesteśmy daleko w tyle za Zachodem. Produkcja nawozów spadła, jak to się mówi, na łeb i w zeszłym roku zbiory były... Fatalne? Nie, to za łagodne słowo. Katastrofalne. Poza wielkimi miastami wybuchł głód i trwał przez całą zimę. Pewnie to odczuliście na granicy. Wielu chciało przebijać się przez kordon. Meldunki, które zaraz utajniano, były alarmujące. Rok i dwa lata wcześniej nie było wiele lepiej. Produkcja gospodarcza, rolnicza to wielka fikcja. Wszystko trzyma się na kredytach zbożowych z paru większych banków, pożyczce Eisenhowera, którego sumienie ruszyło. Albo strach przed oskarżeniem o doprowadzenie do klęski głodu. Choć liczby zgonów z tego powodu nikt nigdy nie pozna. Bankierzy na Zachodzie w zamian za zboże albo dewizy na jego finansowanie z wielką lubością przyjmują od nas – kiedy nie można kredytów spłacić – złoto, diamenty albo ropę po skandalicznych cenach. Wszystko cicho, bardzo określnymi drogami, i pewnie jakieś głosy o tym już macie. Musicie, ale nie ma politycznej decyzji, by to przerywać. Tylko ten dryg do robienia biznesu utrzymuje przy życiu ojczyznę proletariatu i prawdziwego socjalizmu. Paradoks, nieprawdaż? – Skrzywił usta w niewyraźnym grymasie. – Ale tak długo nie wytrzymamy. Można uciec do przodu, można prowokować wojny, które dadzą zwyczajki cen ropy, ale tak naprawdę to kropla. Coś, co pozwoli utrzymać wielką maszynę armii i bezpieczeństwa. Specjalnie armię wymieniłem jako pierwszą, bo to ona w postaci Kuzniecowa zawiaduje tym państwem. Weterani, ten cały beton pospołu z młodym narybkiem, który chce chwały i pomsty, nie odpuści, nie da ciąć kosztów, nawet jeśli trzeba by było tłumić bunty po kołchozach jak w czterdziestym szóstym i siódmym. Ale Kuzniecowa potrafi myśleć. – Darijew postukał się palcem w skroń. – Można mówić o nim różne rzeczy, ale człowiek ma wizję i chce to ciągnąć

dalej. Ale rozważnie. Wie, że fasada jest istotna. Bo odstrasza Zachód. Wie, że technicznie armia nie dorównuje Amerykanom i ich sojusznikom, choć straszy rakietami w silosach. Wie, że trzeba głaskać generałów, zanim sami zaczną prokurować dziwne zajścia. I tu zaczyna się moja rola. Około roku temu rząd federalny w Berlinie wystosował do rezydentury KGB w Wiedniu osobliwy apel, prośbę. Mówiąc krótko. Wasz sąsiad, z pozoru rozbrojone Niemcy, których w wielkiej łasce nie rozczłonkowano na kilka krajów, zaproponował podjęcie rozmów gospodarczych. Choć w tym nie byłoby nic niepokojącego. Oni zaproponowali nam współpracę na polu technologii, techniki, panowie. I co dla was groźniejsze, polityki. – Napuszył się jak paw, wiedząc doskonale, że to pierwszy duży strzał na tym spotkaniu.

– Cholera – stęknął Węgliński, opadając na oparcie, i zwrócił głowę ku swemu dowódcy.

Ten nie krył zaskoczenia. Podparł głowę na dłoni, przygryzając wargę.

– Ciekawe, ciekawe – powtarzał pod nosem.

– Wszystko miało być – Darijew tłumaczył dalej – omówione po cichu, bez świadków. Wiecie doskonale, co by to oznaczało dla Niemców. Dogadywać się z największym wrogiem, obchodzić embargo na technologie, i to na taką skalę?! No a my? My udaliśmy, że nie jesteśmy zainteresowani. Jak baba, co chciałyby, ale nie chce wyjść na łatwą. To było jak dar... Jak się u was mówi? Niebios? Ratunek w potrzebie. Niemieckie systemy elektroniczne, chemia, technika do naszych fabryk. Przecież ogołociliśmy prawie całe Niemcy, Polskę, skrawek Belgii ze wszystkiego, co mogło się przydać. Ale minęły lata, ten cały skarb bez pieniędzy, bez inwestycji i, co tu dużo mówić, bez konserwacji niszczał. Całe fabryki bez części zamiennych i modernizacji, eksploatowane ponad normę, zaczęły stawać. Co postawił Stalin kosztem milionów, co myśmy nakradli, stało się, moi drodzy, skansenem. Ale pomoc nadchodziła. Do tego Berlin zaproponował bycie cichym adwokatem na arenie międzynarodowej w zamian za pierwszeństwo ich inwestycji. Tyle tylko, że Chruszczow poczuł wiatr w żaglach, zanim cokolwiek zostało ustalone. Zaczął mieszać się do negocjacji. Działania na Kubie czy w Afryce są zgodne z naszymi zamiarami stworzenia wielu frontów, ale nasz Nikita zaczął mieć jęzorem. Świat się dowiedział. Ten szczawik w Białym Domu przecież nigdy nas nie kochał, dał mu popalić i

nasi doradcy musieli wracać z pociskami z ciepłutkiej wysepki. Udupił naszych w Meksyku, jak w czterdziestym piątym. Niemcy się wystraszyli, ucięli temat, a Nikita szalał dalej. Wymyślił coś jeszcze. Osobistą zemstę. Czekiści to panienki, trzymamy ich krótko, więc nie było trudno wykryć, co się szykuje. Bo Kuzniecowa nigdy by się nie zgodził. Czekiści i paru starych „Hiszpanów” miało osobiste polecenie od Nikity usunąć Kennedy’ego – zabrzmiało jak gong, salwa katusz i dudniło w uszach nie gorzej niż silniki samolotu.

Stępniakowski pochylił się, oparł łokcie o uda i splatając palce, wskazał na dawnego kolegę.

– Czy jesteś pewny tego, co mówisz? Rozumiesz, co to może...

– Rozumiem. Przysięgam. – Sowiecki generał przyłożył dłoń do serca. – Ale to nie koniec, panowie. To dopiero początek. – Znów mrugnął, dumny z siebie. – Staruszek marszałek uznał, że to kres. Że należy coś zmienić, zanim cholerny Ukrainiec narobi bałaganu. Szukał długo rozwiązania problemu, tej całej zapaści, ale i następcy. Wbrew pozorom to nie było takie proste. Trudno szukać odpowiedniego kandydata wśród stetryczalnych dziadków – sam siebie rozbawił neofickim dowcipem. – Jak wspominałem, staruszek ma łeb na karku. Udało się mu z Bериą obronić granice przed wami. – Skinął na Stępniakowskiego z wyraźną wyższością. – Opanował niepokoje. Potrafi myśleć. Wynałazł kandydata. Tak, dobrze usłyszałeś. – Klasnął w dłonie, widząc rysujące się u Polaków zaskoczenie. – Będziemy wymieniać pierwszego. Pisałem w pierwszych materiałach. Określiłem to jako „wkrótce”, ale teraz wiem dużo więcej. Stąd moje wizyty w Wiedniu. Zrobiono ze mnie głównego negocjatora z naszej strony. Miałem uspokoić Szwabów i zagwarantować im zmianę, spokój, a ostatnio, jak kazał Kuzniecowa... większe zrozumienie ze strony Waszyngtonu. Już jakiś czas temu panowie od Brandta wspominali, że ktoś inny w Gabinetcie Ovalnym mógłby przewartościować stosunki między blokami. Dali nam sygnał, może nie sygnał, a informację, że w establishmencie partii demokratycznej są osoby mogące odejść od twardej polityki nacisku. O republikanach nie wspominali, ani oni, ani my. Ci akurat nie mają szans na zwycięstwo. Ludzie wolą młodego blondyna. Bardzo się ucieszyłem, że ekipa Brandta pierwsza wysuwa takie wnioski. Wiedzieliśmy o różnych napięciach i naciskach na

Kennedy'ego, który jednak trwał, pewien poparcia dołów partyjnych i społeczeństwa. O ironio. Jest też prawdopodobne, że to dzięki marszałkowi był ciągle prezydentem, żył i planował tegoroczny bój o reelekcję. Czyli nic się nie zmienia. Z tą różnicą, że nam grunt zaczynał usuwać się spod nóg. Związek Sowiecki, panowie, zatrzęsł się i ruina zaczynała się osypywać. Miałem wyrazić zgodę na niemieckie oferty, przedstawiony podział zysków, procent dla kierownictwa czy opodatkowanie, byle tylko ich nie zrazić. Nowy NEP, panowie. Nowy NEP. Jak za Lenina¹. Kiedy już byli ugłaskani, zadowoleni, mogłem zacząć część drugą. Skomlenie o kredyt, a przynajmniej wstawiennictwo. I wiecie co? Udało się. W grudniu przetransportowano kilkanaście statków zboża, kukurydzy i tak trwamy. Rozumiecie mnie? System się chwieje, wojna, zniszczenia, ale teraz, w tej chwili, to nasze mocarstwo jest wydmuszką. Nie mamy czym karmić kur.

Darijew zamilkł wystraszony albo przejęty własnymi słowami, niczym człowiek, który pierwszy raz na głos wyznał prawdę.

– Ale to początek wieści. – Po jego twarzy przeszedł tik. – W liczbie międzykontynentalnych pocisków balistycznych przegrywamy ze Stanami Zjednoczonymi dwunastokrotnie. Nieduże pocieszenie, bo na atak albo jakiś tam odwet wystarczy. Tak czy inaczej, niewiele pozostanie na ziemi. Ustępujemy ilością okrętów podwodnych, nawodnych, a ich jakość techniczna to dosłownie zgroza. Panowie, mamy najwięcej na świecie czołgów, ale trzy czwarte stoi jako rezerwa albo magazyn części. Tylko artyleria dorównuje albo przewyższa swoją odpowiedniczkę na Zachodzie. Co z tego, jak wojsko ma racje żywnościowe godne jakichś afrykańskich satrapii. Reasumując nasz stan, to przy tych rozmiarach, zasługach i pompowanej propagandzie jesteśmy średniakiem, który wydaje ogromne ilości pieniędzy na utrzymanie tego średniego stanu. Nie rozwija się i może tylko robić groźne miny albo kopać w tyłek Rumunów czy Bułgarów. – Darijew znów zrobił pauzę, lekko zasapany od tej długiej tyrazy.

Obrócił się, chwilę patrząc w czarnoszarą plamę okna i zbierając myśli. Stępniakowski ani Węgliński nie ponaglali gościa. Zwłaszcza generał, gospodarz całej tej eskapady, chciał dać swobodę, tak żeby oficer GRU rozluźnił się i w tej pierwszej od lat chwili szczerości wyrzucił wszystko z siebie. Póki mógł, póki nie popadł w tryby służbowych procedur,

przygotowanych dla oferentów. Które czasem temperowały zapał, dawały do myślenia i powodowały ciche uczucie popełnionego błędu.

– Mogę wody? – Jurij ocknął się niespodziewanie.

– Tak, natychmiast. – Paweł poderwał się z fotela i nalał do szklanki z syfonu.

Rosjanin pił łapczywie, potem westchnął z ulgą.

– Dziękuję.

– Może coś zjesz? Kanapkę? – Stępniakowski wskazał na zamkniętą część barku, gdzie mieściła się nieduża lodówka. Rosjanin machnął dłońmi na znak, że nie ma na to na razie ochoty.

– Mówisz, że jesteście głodującym, słabym olbrzymem. – Ciekawość wzięła górę i polski generał zaryzykował. – To istotne, bardzo istotne wiadomości. – Usiadł tym razem na kanapie, bliżej rozmówcy, rozpierając się w pozie, która miała sugerować zupełny spokój i opanowanie. – Jesteśmy ci wdzięczni, ale powiedz, co cię tak wystraszyło, że musiałeś... zobaczyć się ze mną? – Spojrzeniem starał się przeniknąć Darijewa, jakby w oczodołach zainstalowano mu wykrywacz kłamstw.

– Co mnie wystraszyło? – Nagły spazm wstrząsnął gościem. – Ano ta wizja towarzysza marszałka. Ta, którą tak zawsze mi imponował. To wszystko, co ma się wkrótce wydarzyć. Stary ramol umie łączyć sprawy ważne teraz i te, które będą istotne za kilka ładnych lat. Kiedy jego nie będzie. Już precyzuję. Mamy oto wybranego następcę szanownego Nikity. On podobno sam już czuje pismo nosem, rzadko zabiera głos i kręci się po Kremlu, pytając o zapasy kukurydzy. Wojsko zrobi wszystko, by się podreperować i zakończyć tę całą smutę. Czekiści, jak to ich nazywamy: niebieskie czapki, podporządkują się. Są za słabi. Reszta ludzi... będzie miała to w dupie. Dlatego, żeby dać im promyk nadziei, trzeba nowego otwarcia. Pomysł Chruszczowa, ta cała akcja z odstrzeleniem Amerykanina, był dobry, choć planowany w próżni, a wielkie czyny muszą czemuś służyć. Inaczej nie ma z nich pożytku. Nowy pierwszy sekretarz, nieco młodszy niż poprzednicy, ma robić za gołąbka pokoju. Taki nowszy model, prawie jak u Amerykanów – zarechotał. – Ostateczne zerwanie z epoką Stalina, otwarcie na nowe, jakieś kroki w przyszłość, pozorna demilitaryzacja. Wszystko po to,

by ściągnąć do nas dwudziesty wiek i jego technologie. Ruszyć z miejsca, dać ludziom kilka paciorków, a resztę tego bogactwa wcisnąć w armię. W rakiety, radary, samoloty. Nie cofać się i nie poddawać. A za pięć, dziesięć lat powstanie nowa, lepsza Armia Czerwona. Silna jak nigdy, nowoczesna i liczna. Taka, która będzie gotowa podbić świat, a przynajmniej Europę, kiedy Zachód da się rozmiękczyć dziesiątkami lokalnych konfliktów, zamachów i rewolt. Wiecie, że tworzymy i wspieramy partie, grupki zapaleńców wszelkiej maści, gazety? Na tyle nas jeszcze stać. Ludzie u nas może odsapną, poprawi im się, ale nigdy tak, by przestali potulnie słuchać czerwonych carów. Jak zawsze.

– I to tak cię porusza? – Węgliński nie zdzierzył. To całe wielkie gadanie coraz bardziej nastrajało go do podejrzeń. – Nie cieszy cię, że twój kraj, któremu, jak słyszę, służysz od dawna, urośnie w siłę? A może nie chcesz czekać, aż to prosperity przyjdzie? Choć ty i tak masz fajnie – nakręcał się – teraz wpłynie kilka dolarów...

Stępniakowski zmarszczył czoło i jedno słowo ledwo przedostało się przez zaciśniętą szczękę:

– Spokojnie.

– Nie, ja rozumiem. – Darijew nawet się nie zmieszał. – Po pierwsze musiałem dać wam coś na przynętę. Zbyt duży kaliber mógł wystraszyć, włączyć w główkach czerwone lampki. Wiem coś o tym. Jak mówisz, robie kilka lat. Dałem wam atut do negocjacji, przyciśnięcia Kremla, gdyby coś. A jeśli idzie o drugą kwestię? Co mnie pchnęło, żeby odnowić dawną znajomość? – Wskazał Stępniakowskiego. – Pewnie to wina dawnych błędów, które ciągle mnie męczyły. Na początku próbowałem je odsunąć w niepamięć, rzucałem się w wir zajęć, jakkolwiek przerażające by były. Jak mój brat. Zawsze wierny i oddany. Zajadły i skuteczny. Założyłem rodzinę. Dzieci, żona. Trudno było, choć pan Skowron, czy jak wam tam, ma rację. Mieliliśmy lepiej niż inni. Po kilku latach służby dane mi było wyjechać. Popatrzeć, jak mają inni. Nawet mimo powojennej biedy tam, na Zachodzie, zdawało mi się, że trafiłem do bajki. I tak miałem za każdym razem, za każdą cholerną obietnicą Berii, Chruszczowa... Ale nic się nie zmieniało. Rozumiecie? Może auta są inne, radia mniejsze, ale tak naprawdę my stoimy w miejscu, a świat pędzi. A teraz do tego ludziom brakuje zwykłego jedzenia.

Jeszcze coś. – Darijew potarł skronie, jakby zaczynała go boleć głowa. – Przetrwalem wszystkie ostatnie zmiany na szczytach albo próby zmian. Spiski, nieudane pucze. Kiedyś każda rozszada tam u góry była jak miotła. Każdy do pewnego stanowiska był usuwany i kończył różnie. Za nim pędzono współpracowników i tak dalej. Kuzniecowa to wszystko przyhamował. Zresztą sam obalił Berię i jego świętę, choć czystki nie robił. Przecież wszystko kontrolował. Z Chruszczowem będzie podobnie, tyle tylko, że marszałek jest stary. Uświadomiłem sobie, że kiedy go zabraknie, wszystko wróci. Stracę patrona. Ja i brat. Może być różnie. Czekiści tylko czekają na rozluźnienie, na okazję do zemsty i ruszenie po palmę pierwszeństwa w tej naszej cichej bijatyce. Młodzi oficerowie, tysiące tych, którzy nie wiedzą, po co to całe zbrojenie. Partyjni też chcieliby wziąć wszystkich za kark i kontrolować. Rozumiecie, zacznie się krwawy bój buldogów. I trudno przewidzieć, kto ocaleje. Na początku ma być ładnie, grzecznie. Nowy pierwszy ma obnosić się z poparciem Kuzniecowa, czyli armii. Wizytować wielkie manewry, nowe jednostki, a potem, piątego kwietnia otwierać jakiś nowy wojskowy kołchoz na Ukrainie. Ot, przemiany. Kilka przemówień, obietnic i wielka jak na Zachodzie akcja propagandy. Bez łysego opoja, a za to z kulturalnym menadżerem.

– Piątego kwietnia. – Stępniakowski drgnął i prawie zerwał się z miejsca.

– Dobry jesteś – uśmiechnął się łobuzersko Darijew. – Słuchasz. Tak, piątego, piątego. Ty wiesz, kto u was będzie. My też wiemy. Dokładnie wiemy. Mamy swoich ludzi. Wysoko, w pewnym pałacu. – Znów puścił oko. – Ty werbowaleś mnie, my werbowaliśmy waszych. – Zaniósł się donośnym rechem. – Wszystko opisałem. Wiem, że wiecie o źródle, czyli o mnie. Na szczęście nic nie zdradziliście waszemu gabinetowi. Ale wracając do daty, rozumiesz, jak ma to wyglądać? Pierwszy tam gdzieś karmi świnki, a tu w Polsce... Bo to jest plan! – Podniósł palec. – My nowi, spokojni, a tam w Polsce nie dość, że niepokoję, jakieś bomby, to jakiś fanatyk strzela do prezydenta USA. Jeśli mu się uda, przyjdzie nowy. Wiceprezydent albo jeszcze ktoś. Bardziej nam przychylny i wszystko się zmieni, a na was będą patrzyli...

– Piąty kwietnia. – Stępniakowski powtarzał jak mantrę. Jan siedział jak porażony, próbując poukładać sobie wszystko w głowie.

– Tak, panowie oficerowie. Piątego kwietnia jeden pan ma strzelać do Kennedy’ego. Głośno, ostentacyjnie, żeby świat widział, jak przyjmuje się prezydenta USA w Warszawie. Ryzyko, panowie, to wszystko to cholerne ryzyko. Dlatego chcę pieniędzy, chcę spokoju i chcę uciekać. Nie, nie teraz, bo moje zniknięcie zaalarmuje Moskwę. Wymyślą coś innego. Ale jeszcze można coś zrobić, ostrzec, kogo trzeba, a potem ukryć mnie... to znaczy jak tylko uda mi się wyrwać rodzinę...

– Boże – stęknął Stępniakowski. Wstał i pochylony począł chodzić wzdłuż kabiny, gorączkowo myśląc, co właściwie należy robić.

– A pierwszy? – zapytał Węgliński – Jak się nazywa wasz nowy pierwszy?

Darijew popatrzył na niego.

– Breżniew. Leonid Breżniew.

1 Nowa Polityka Ekonomiczna. Określenie doktryny sowieckiej polityki gospodarczej, zezwalającej w latach 20. na wprowadzenie mechanizmów wolnorynkowych i kapitalistycznych m.in. w rolnictwie i usługach. Powodem wprowadzenia NEP-u przez Lenina była tragiczna sytuacja gospodarcza, głód i liczne bunty wybuchające w ZSRS. (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 4

3 Baza Lotnicza, Kraków, Polska | 23 marca 1964

Kiedy Albatros przyziemiał, było jeszcze daleko do świtu. Lotnisko wojskowe, jak i ciągle niedokończony port lotniczy zdawały się drzemać, czekając nowego dnia.

Samolot podkołował w najodleglejszy punkt pasa, za wielki betonowy hangar.

Stępniakowski zabronił wychodzić komukolwiek, póki pod samolot nie zajechały dwa czarne samochody. Wszystko zgrane.

– Jurij – zwrócił się do Rosjanina – wybaczone, ale tak należy. – Sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobyl złożoną czarną kominiarkę. – Dla ciebie też mam. – Popatrzył na Jana. – Rozumiecie, że to trudna sytuacja i trzeba...

– Nie ma sprawy – Darijew wzruszył ramionami i zaraz osłonił twarz. Węgliński zrobił to samo.

– Jurij, albo raczej „Igor”. – Generał usilnie starał się stłumić buzujący w nim niepokój, robiąc pogodną minę. – Ukryjemy cię na dwie doby. W meldunku było powiedziane, że twój czas masz ograniczony. Wracasz okrężną drogą wedle instrukcji. Zabunkrujemy cię. Moi ludzie są poinformowani, przebadają cię. – Mrugnął nerwowo, zadając pytanie retoryczne: – Nie obrazisz się? Potem dostaniesz eskortę na wylot do Paryża i lipne bilety na podróż na trasie Wiedeń–Paryż, trochę pamiątek i zakupów dla uwiarygodnienia. Twoi nie powinni robić problemów. Na razie to wszystko, jak rozumiesz, trzeba uporządkować, nadać bieg i wtedy zacznę myśleć o twojej ewakuacji. Twojej i rodziny. Rozumiesz? Musisz wytrzymać te trzy tygodnie. Dasz na papier, co wiesz i ile wiesz o waszych planach, a my postaramy się im zapobiec. Wymieniacie sobie pierwszych, ale to, co planowane jest dalej... – Nabral powietrza i wyprostował się. – Potem będziesz bezpieczny, obiecuję. Pytania?

Darijew łypał oczami z otworów czarnej kominiarki, wreszcie tylko

kiwnął głową.

– Ufam ci – stęknął.

– Dobrze, dobrze. – Generał się rozpromienił. Wcisnął jakiś guzik i drzwi do kolejnego przedziału zaraz się otworzyły.

Karpacki i Warten przystanęli, zaskoczeni cudownym rozmnożeniem się pasażerów. Znali jednego, pozostała, zamaskowana dwójka robiła dziwne, niemiłe wrażenie.

– Panowie – odezwał się służbowo Tantal – zabierzecie pana. – Wskazał na Darijewa. – Macie go eskortować do tymczasowego miejsca odosobnienia. Nie wolno wam z nim rozmawiać. Podlegacie oficerowi, który będzie dowodził konwojem. My wracamy do Warszawy. Was czeka to za jakieś dwie doby. Jasne?

– Tak jest – rzucił Karpacki, choć nic a nic nie rozumiał i nic nie było jasne. Jak w dzikim, niezrozumiałym śnie. Znów wszystko było za szybkie i niepojęte, a on nie miał co liczyć na wyjaśnienia. „Widać tak tu mają” – pomyślał smutno.

– Dziękuję. – Darijew wstał i podał dłoń obu oficerom wywiadu. – Bardzo wam dziękuję. – Zdawał się wzruszony.

Stępniakowski zamienił kilka słów z dowodzącym kolumną aut majorem i chwilę patrzył, jak samochody mkną ku bramie. Wreszcie wsiadł na pokład.

– Warszawa – polecił kapitanowi i wrócił do salonki. Jan chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał go gest generała. Ten otworzył barek, coś w środku przesunął i lustrzana ścianka odskoczyła, ujawniając skryty magnetofon.

– Wkopałeś mnie w niezłą aferę – Węgliński mówił cicho, bardziej przejęty niż z wyrzutem.

– Fakt, wkopałem. – Paweł wyciągnął szpulę i schował ją do leżącej za kanapą teczki. – Ale to jest bomba – stuknął w walizeczkę – a ty masz o niej zapomnieć, rozumiesz? Niczego nie widziałeś i nie słyszałeś.

– No wiesz – obruszył się Jan. – Nie jestem gówniarz.

Samolot ruszył i do wnętrza wpadł szum rozpędzających się silników.

– Przepraszam – generał jakby się zmuszał do pokornych słów. – Nie, nie jesteś gówniarz. Muszę ci podziękować. Dałeś radę i nie potraktowałeś go jak prowokatora.

– A ty myślisz, że to nie bajka, nie jakaś gra? – Węgliński wyraźnie chciał podzielić się wątpliwościami, pokazać, że naprawdę nie jest naiwny.

Stępniakowski zasepił się. Poglądził teczkę dłonią.

– Nie wiem. Nie wiem, Janek. To się wszystko okaże.

Waszyngton, Stany Zjednoczone | 25 marca 1964

Prezydent John Kennedy siedział na miękkiej kanapie z wyciągniętymi pod stół nogami. Ta z pozoru swobodna pozycja i miejsce pasowały mu bardziej niż fotel przy biurku, nawet podczas oficjalnych spotkań i narad. Bóle kręgosłupa dokuczały mocno ostatnimi czasy, dlatego prezydent wolał nieco wygody.

Cierpienia głowy państwa nie były jakąś tam jękliwą wymówką, a pamiątką po morskiej potyczce na Pacyfiku. Uciążliwa przypadłość, która czasem nie pozwalała normalnie funkcjonować niestaremu przecież mężczyźnie. Wszyscy zebrani wybacжали i rozumieli.

Wiceprezydent Lyndon Johnson, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów generał Maxwell Taylor, sekretarz obrony Robert McNamara, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego McGeorge Bundy, sekretarz stanu Dean Rusk, wszyscy przeglądali swoje wersje najnowszego raportu. Ciepłego i cholernie interesującego, jak określił to szef CIA John McCone, kiedy dostarczył pierwszy egzemplarz osobiście tego ranka.

– Naprawdę dobre – cmoknął prezydent i cisnął skoroszytem na stół. Czytał raport kilka razy, prawie nauczył się na pamięć. – Skurczybyki się wyrobili. Powinszować. – Przytyk był przeznaczony dla wszystkich, ale uderzył głównie w McCone’a. Wiekowy, siwy jak gołąb, kościsty weteran biznesu i politycznych bojów drgnął na krześle i poprawił druciane okulary.

– To dane, jakie po części uzyskaliśmy dwa lata temu... – nieśmiało

próbował bronić swojej działki – znacznie rozszerzone i dokładniejsze, ale nie wiemy, na ile są potwierdzone.

– Znacznie rozszerzone – powtórzył półgłosem Kennedy i uśmiechnął się drwiąco. – Dobrze powiedziane. – Nie zamierzał kryć wzbierającej irytacji. – Okazuje się, że staruszek Nikita cały czas robi nas w konia, a my dajemy wodzić się za nos. – Obdarzył zebranych pełnym nagany spojrzeniem.

– Jeśli to prawda. – McNamara poprawił kołnierzyk. Kennedy zatrzymał wzrok na sekretarzu obrony, zastanawiając się, czy ten cały sztab ludzi nie ustalił jednej wersji.

– Bob – skrzywił się prezydent – wiem, że to boli... Ale uznajmy na chwilę, że to prawda. Zresztą wiemy, że podobne dane już otrzymywaliśmy. Te są lepsze... Dla nas lepsze. Dokładne jak diabli. Wiem, że już widzisz ograniczenie budżetu, ale tak właśnie może być. Górujemy. Wydajemy morze pieniędzy i teraz przychodzi pytanie... Po co? – Potrząsnął skoroszytem. Dźwignął się z kanapy i powędrował do okna.

Przystanął. Położył ręce na plecach i naprężył je, czując, jak ból ustępuje.

– Mamy ich na widelcu – rzucił zadowolony. – Jeśli Sowieci są tak słabi, wystarczy ich postraszyć. Ba, przycisnąć jedną solidną inwestycją. Bez wielkich rewolucji, Bob. – Popatrzył przez ramię. – Uszczkniemy tylko część funduszy i przekażemy, choćby... NASA. Widzicie to, panowie? Wielki symbol. USA przyśpiesza podbój kosmosu. Coś trzeba będzie rzucić na ustawy antydyskryminacyjne, na prawa obywatelskie, żeby prasa nie wariowała. To nawet lepsze, tak, w moim przekonaniu o wiele lepsze, zwłaszcza w naszej sytuacji.

Nawiązanie do zbliżających się wyborów było dla wszystkich jasne i zrozumiałe.

– Jednak w ogólnym zamierzeniu – ciągnął prezydent – mamy pokazać, że nasze możliwości są nieograniczone. – Kennedy podszedł do biurka i oparł się na pięściach. – Skoro przewyższamy ich tak bardzo, nie musimy się martwić. Przydusimy ich, zmusimy do szukania oszczędności, a potem sami poproszą o litość. I nawet cholerni Niemcy im nie pomogą. – Na wspomnienie informacji o rozmowach Brandta z Sowietami prawie zazgrzytał zębami. – Żaden Breżniew, czy jak on się tam nazywa, nic nie

wskóra.

Przerwał na chwilę, patrząc po zafrasowanych twarzach.

– Bez obawy – machnął dłonią lekko rozbawiony tym widokiem – nie chcę rewolucji. Wiem, co to oznacza. Nie ograniczymy produkcji przemysłowej z dnia na dzień, nie zawiesimy projektów wartych miliardy. Przecież mamy przodować. Po to, żeby kiedy tamci klękną, wiedzieli, że najlepszy biznes można robić z nami. Nie będzie innej drogi. Zresztą Kongres, lobbyści... pożarliby mnie i was wszystkich.

Kennedy ruszył w wolny obchód pokoju, podpierając dłońmi dolny odcinek kręgosłupa.

– Pozwolę sobie zauważyć – Lyndon Johnson wtrącił niemalże nieśmiało – że pewne moje teorie nabierają rumieńców. – Zebrani skierowali na niego oczy. Spodziewali się kolejnej utarczki z szefem.

– A ja przyznam ci rację – uciął Kennedy. Nie pozwolił przejąć inicjatywy swojemu zastępcy. – Nie oznacza to, że mamy odpuścić i ich głąskać, Lyndon. Przynajmniej nie teraz. To wszystko jest u nich płynne i nie wiadomo, jak się zakończy. – Wskazał na trzymane przez zebranych arkusze. – Droga do normalnych stosunków jest dość odległa. – Kennedy puścił oko do zafrasowanego wiceprezydenta, doskonale wyczuwając przygotowaną do dyskusji argumentację. Nie chciał paplania Johnsona o próbach cywilizowania Moskwy i szansie dla handlu. Czasem zastanawiał się, skąd, u diaska, brała się taka naiwność. Być może stary dobry Lyndon rzeczywiście za wiele czasu poświęcał na rozmowy przy kolacjach u Rockefellerów. Oni gotowi byli prowadzić biznes nawet z samym czartem.

– To wszystko – zwrócił się znowu do całej grupy – wymaga ustaleń międzyresortowych, ale sądzę, że pierwszy sygnał, zapowiedź nowego kierunku naszych priorytetów, trzeba przekazać jak najszybciej. Może to wystraszy spiskowców na Kremlu i wstrząsy wtórne, jak to opisują Polacy, nie będą aż tak duże. Okazja wydaje się oczywista. Warszawa. Nadmienię o NASA, Księżycu i tak dalej w Warszawie.

– A ostrzeżenia, panie prezydencie? – zapytał wyraźnie przejęty generał Taylor. – Nowe są dość niepokojące, choć niedoprecyzowane.

Kennedy skwitował to jakimś niedbałym gestem.

– Bez przesady. Sytuacja się normuje. Zagrożenie jest iluzoryczne. Albo raczej takie jak wszędzie w tej cholerniej Europie.

– Nie udało się odnaleźć sprawców ataków z zeszłego miesiąca – wtrącił wystraszony McCone. – To jakaś awantura, wyjście wewnętrznej wojny poza granice Sowietów. Do tego to zdanie „o przesłankach mogących świadczyć o przygotowywaniu poważniejszych akcji” – odczytał z kartki – wiele mówi, panie prezydencie.

– Wiem, panie dyrektorze – przerwał Kennedy. – Czytam pańskie raporty. I to ze zrozumieniem. – Lubił robić takie przytyki. – I tak ograniczyliśmy liczbę spotkań, czyż nie? Tu chodzi o symbol, o pokazanie, że zagrożenie nam niestraszne. Proszę pamiętać, że przede mną jest konwencja. Trzeba mi takich momentów. Pokazów siły i wspólnoty sojuszników. W obliczu nowych faktów... przyspieszenie. Wielkie przyspieszenie. Zostawimy w tyle Sowietów, Mao i całą resztę.

– A Niemcy? – Rusk niespodziewanie przerwał wywód, dość impertynencko zmieniając temat. Zebrani popatrzyli na niego, a zaraz potem na głowę państwa, spodziewając się jakiejś reakcji.

Ale Kennedy zamyślił się tylko, obszedł w milczeniu gabinet jeszcze raz i wrócił za biurko.

– Ostrzeżemy ich... Prztyczek w nos. Może sami się otrząsną? Nie, nie tylko. Muszą ponieść konsekwencje. Obcięcie funduszy pomocowych? Coś, na co zgodę wyrazi Kongres. Ale jeszcze nie teraz, nie teraz. Jak skończy się ten cały cyrk, ten teatrzyk w Moskwie. Poczekamy, jak wypadnie. Niech tamci myślą, że my znów nic nie wiemy. – Prezydent zastygł w zamyśleniu, po czym włączył interkom. – Proszę zanotować – zwrócił się do sekretariatu. – W przyszłym miesiącu należy odwołać wizytę w Berlinie w drodze z Polski. Powód...? Coś wymyślę. A może w ogóle bez powodu. – Prezydent mrugnął do zebranych.

„Park”, Warszawa, Polska | 26 marca 1964

Bartłomiej Karpacki otworzył drzwi swojego pokoju. Było duszno, więc

uchylił okno. Siadł na łóżku, poluzował krawat, właściwie nie wiedząc, w czym brał udział.

Kiedy opuścili z Zenkiem strasznie obskurną chatę gdzieś pod Kielcami, zabroniono im mówić czy pisać o tym, co widzieli.

Żadnych raportów, pogaduszek z kolegami i dowództwem. Ani słowa o małej armii ludzi, jaka najeżdżała tę chatynkę dwie doby, montując dziwny sprzęt w pokoju w piwnicy. Skupionych, wiecznie przy nich milczących ludzi w garniturach, taszczących skrzynie, a potem układających papiery.

Nie mógł pisać słowem o człowieku w kominiarce, którego widział ostatni raz, kiedy wprowadzono go do kwatery. Potem gość zniknął, zabrany przez ludzi z „Dwójki”. Przedziwne to było, przedziwne, tajemnicze i... ciekawe. Podobało się porucznikowi znacznie bardziej niż lasy i kilometrowe marsze.

Położył się w ubraniu i wpatrzony w sufit, rozpamiętywał wszystko, czego był świadkiem, zastanawiając się, do czego to doprowadzi. Cały ten rwetes, to zamieszanie i zacięte twarze ludzi, którzy go mijali, jakby był przezroczysty.

Chciałby wiedzieć jeszcze coś. Czy kiedykolwiek pozwolą mu o tym wspomnieć? Rodzicom, siostrze czy Annie... Wspomnienie dziewczyny z Łodzi wróciło, przepełniając go lękiem i wstydem.

Podniósł głowę, szukając daty w kalendarzu. Wystraszył się. Wiele wody upłynęło w Wiśle, odkąd dostał odpowiedź na swój pierwszy do niej list.

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 27 marca 1964

Wasilij Goryże marzył jak sto diabłów, siedząc na pace ciężarówki miotanej po wybojach dawno nieremontowanej szosy. Nie udawało się spać jemu ani reszcie kumpli z załóg Dwieście Trzydziestego Pułku Przeciwlotniczego.

Wlekli się w konwoju, marznąc, bo przez dziury w plandece hulał wiatr i wpadały drobinki siąpiącego deszczu.

„Jak za kota” – powtarzał co rusz w myśli, kiedy mocniejszy wstrząs

wyrywał go z drzemki. Nawet szum powietrza i drżenie motoru nie przeszkadzały tak jak wyboje, wyzywane najgorszymi obelgami.

Wasilij naprawdę tęsknił za swoim wozem. Nowiutka Szyłka, cudo techniki, była jego domem od wielu miesięcy. Wojsko miało nakarmić, wyuczyć... Z dwojga raczej tylko wyuczyło, więc do tego się przyłożył. Nauczył się maszyny, stanowiska ogniowego, jakie mu powierzono, sądząc, że dotrwa pod pancierzem do końca służby. Potem wróci do kołchozu i znów będzie marnował dni na traktorze za kilka rubli, orząc pola, na których mało co urośnie.

Teraz miał mieć jak w tym prawdziwym domu. I właśnie tego nie pojmował. Ich, ludzi z pułku przeciwlotniczego, zapakowano w wielkie ZIL-y i powieziono do nowych zadań. Do pracy w jakimś kołchozie, jak mówiono. Obiecali nakarmić, dać dobre miejsce do spania, nowy mundur. A po robocie po sto gramów albo i więcej.

Kapral ważył długo te wszystkie obietnice. Przy każdym wstrząsie, kiedy zmęczona po tygodniu zajęć głowa opadała coraz niżej, z rosnącą wściekłością zmuszony był przyznać, że w żadną z nich nie wierzy.

Trzeba było mu zacisnąć zęby, czekać, kiedy skończą teatr i znów powrócą na poligon.

Oddział II Sztabu Generalnego, Polska | 27 marca 1964

Izbę ciszy, wewnętrzny pokój w podziemiu „bunkra”, rozświetlały małe lampki na stole. Ludzie tkwili nad stertami papierów, grubymi tomami archiwalnych akt. W surowym, ulokowanym głęboko pod ziemią pomieszczeniu, budzącym nieokreślony niepokój jak każde miejsce nasiąkające tajemnicami, tylko pomarańczowe światło dawało iluzję spokoju i przytulności.

Wentylator szumiał cicho, skryty gdzieś pod sufitem, i prócz szelestu papieru był to w tej chwili jedyny dźwięk.

Mężczyźni w koszulach, z poluzowanymi krawatami i podwiniętymi rękawami, zamarli, czekając posłusznie, aż dowódca oceni ich wysiłki.

Generał Przeszło-Stępniakowski siedział w końcu stołu, wodząc

wzrokiem po linijkach tekstu i dołączonych do niego zdjęciach. Było późno, czuł obezwładniające zmęczenie, jak głaz dociskające do ziemi. Nieopisaną odpowiedzialność. Nie spał, prawie nie jadł. Nie potrafił wysiedzieć w domu, gdzie zaglądał dla zasady, żeby żona nie wściekła się do reszty, a dzieciaki nie zapomniały, jak wygląda. Wiedzieli, że praca jest ważna, że to służba, ale mieli swoją wytrzymałość.

Szef Oddziału II przyjechał wezwany telefonem, gotów wierzyć, że następuje wreszcie przełom. Przeglądał teraz to, co przygotowała grupa specjalna. Bardzo ważna grupa, najważniejsza, jaką przyszło mu stworzyć w całej karierze na tym stanowisku.

Nie chodziło tylko o wagę spraw, jakimi się zajmowali, ale też o to, kto wszedł w jej skład.

Cała czwórka, szefowie wydziałów: wywiadowczego, kontrwywiadowczego, operacyjnego i współpracy z sojusznikami, wszyscy stosunkowo młodzi i może dlatego przerażeni tą całą pośpieszną akcją, jaką wywołały rewelacje niespodziewanego oferenta, czekała na decyzję.

– Dobrze – spokojny, cichy głos generała wyrwał ich z zamyślenia.

Paweł podniósł głowę, choć jego twarz nie wyrażała właściwie nic. Przy całej sympatii dla zespołu w tak poważnych kwestiach bił z niego zimny profesjonalizm, bez cienia pogrywania czy błazenady.

– Brawo. – Lekki ukłon świadczył, że generał jest naprawdę zadowolony.
– To jedno. Co z drugą sprawą?

Szef wydziału wywiadowczego, przysadzisty szatyn, major Kopacki, mimowolnie zerknął na kolegów, szukając poparcia.

– Mamy pewne spostrzeżenia. – Ogólna formułka mogła się nie podobać.
– Czekamy na uzupełnienie materiałów... – Stukanie do drzwi przerwało wywód i pewnie powstrzymało grad pytań, jakie cisnęły się na usta generałowi.

Szef wdusił przycisk pod stołem, nad drzwiami zapaliła się zielona lampka. W wejściu stanął podpułkownik Węgliński. Ciemnoszary garnitur wyglądał nieco nieświeżo, podobnie jak fizjonomia oficera. Ciężar spraw w tej firmie odciskał piętno na każdym.

– Dobry wieczór – powiedział zaskoczony Węgliński.

Oficerowie odpowiedzieli na powitanie.

– Dziękuję, panowie. – Stępniakowski wstał. – Zróbcie sobie kilka godzin przerwy. To zostawcie. Jeszcze przestudiuję. – Wskazał na skoroszyty przed sobą. – Ponadto przypominam o zachowaniu absolutnej tajemnicy. – W ustach tego człowieka, w tym miejscu zabrzmiało to jak pouczanie bandy dzieciaków.

Zespół prędko pozbiierał swoje materiały, zabrał marynarki i sprawnie opuścił pokój, zapewne spodziewając się, że zanoszą się na burzę.

Węgliński cierpliwie odczekał, aż drzwi się zamkną, i dopiero postanowił uderzyć.

– To jest jakiś żart, Paweł? – prawie krzyknął, wściekle zaciskając zęby. – Mamy przed sobą aferę dekady, pieprzony kryzys puka do drzwi, a... ty odcinasz mnie od śledztwa? – Podszedł do długiego stołu i uderzył pięścią w blat. – Czemu, do cholery... – zanim Stępniakowski zdołał otworzyć usta, rzucał kolejne obiekcje – ...w raporcie dla Amerykanów nie ma nic o zamachu? Nasz prezydent też dostał jakieś ogólniki! Po co to wszystko było? No powiedz mi, bo nie rozumiem...

Generał odczekał, aż przyjacielowi trochę przejdzie, i zwyczajnie poprosił:

– Usiądź.

Węgliński drgnął, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, i posłusznie wykonał polecenie. Palec podniesiony do ust generała nakazał milczenie.

– Po co te nerwy? – Stępniakowski był niewzruszony jak głaz. Zabrał teczki i przysiadł się bliżej. – Uważasz mnie za amatora? – Podsunął skoroszyty uprzejmym ruchem pod sam nos Węglińskiego. – Amerykanie i my lubimy dokładność, nie plotki. A sprawa planowanego zamachu to plotka, Janku. A tak. – Pokiwał głową, widząc zaskoczenie w oczach kolegi. – Raporty o raketach, dokładnym rozmieszczeniu sił przy naszej granicy to jakiś konkret. Już potwierdzamy go na podstawie obrazków z nieba. – Wskazał na sufit. – Miejsce ustawki tego całego Breźniewa z Kuzniecowerem też istnieje. Obserwujemy je dzięki pomocy Jankesów, ale nie mówimy im,

po co. Bo nie mamy dostatecznych dowodów. Na to trzeba czasu. Coś się szykuje. Tłum lekki się zbiera, jak na jakiejś imprezie. Janek, wiesz przecież, jak to działa. Dowody i analiza. Tymczasem jeśli idzie o inne rewelacje, mój dawny druh spisał nam tylko naprędce to, czego się dowiedział. Wiem, to ciekawe i ważne. Brat bratu raczej nie kłamie. Zwłaszcza kiedy siedzi tak wysoko, ale muszę mieć pewność. Szczególnie skoro gdzieś tu mamy kreta.

– A mamy? – Jan był spokojniejszy, jakby generałowi udało się ukoić jego nerwy. Choć pytanie, które zadał, przerażało go.

Paweł potarł kciukiem brew i rozłożył dłonie.

– Może tak, może nie? Gdyby przyjrzeć się paru osobom, okazuje się, że coś się nie zgadza. Sam widzisz, że nie mogę trąbić o rewelacjach, jeśli nie mam pewności, kto słucha. Ale dojdziemy do tego, dojdziemy, choćby nie było w tym dla nas nic przyjemnego. Będzie się trzęsło, trudno. – Oparł się o stół i założył nogę na nogę – Wolno idziemy do przodu i w tej najważniejszej kwestii. To, co zebrano, masz przed sobą. Opis był lakoniczny, ogólny, ale mamy pewne tropy, poszlaki. Zasoby aliantów to jednak przydatna rzecz. Poza tym musisz wiedzieć, że mamy coś na kształt podwyższonej gotowości. Mamy w związku z tym swoje metody, żeby wiedzieć więcej. Jeśli wykrystalizuje się nam... nazwijmy to, kandydat na naszego snajpera, położymy na nim łapę... – Zamilkł. Przygryzł wargę. Żrenice wypełniła dziwna obawa.

– Paweł? – Węgliński się zaniepokoił.

– Myślę, po prostu myślę. – Generał wstał ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko. – Gdyby to wszystko, cała ta historia, Jurij...

Ruszył w spacer po pomieszczeniu, stawiając niezgrabne kroki, jak człowiek w transie albo lunatyk.

– Nie daje mi to spokoju... – wymamrotał. Jan Węgliński też wstał, poprawił nerwowo kołnierzyk, głowiąc się, gdzie ewentualnie wzywać pomocy.

Generał przystanął przy jakimś landszafcie, którym ozdobiono salkę, i patrzył weń długo, jak na prawdziwy świat.

Obrócił się. Na pokrytej kroplami potu twarzy pojawił się szeroki

uśmiech. Z oczu bił płomień, który Jan pamiętał z dawnych czasów. Kiedy razem szli do walki.

– Mówisz, że cię nie informuję? Ty, kolego, zrobiłeś swoje. Zrobiłeś bardzo dużo. Musisz ochłonąć, ale... gdybym miał dla ciebie zadanie, przyjmiesz?

Jan skinął głową, zupełnie nieprzekonany, czy dobrze robi.

– Bardzo dobrze. – Generał klasnął, kiedy znów zmienił mu się nastrój. Twarz pojaśniała optymizmem. – Usiądź. – Pokazał krzesło. – Musimy porozmawiać poważnie o poważnych sprawach.

Beeskow, Niemcy | 28 marca 1964

Hotelik wybrany przez blondyna był tak niepozorny i mały, że przypominał bardziej zwykły dom. Kwadratowy klocek, szara szpetna plomba, wciśnięta między zachowane kamienice miasteczka, które front nawiedzał aż dwukrotnie w pamiętnym czterdziestym piątym roku.

Właściciele musieli być świadomi, że koszmarna bryła, przypominająca bunkier z oknami, bardziej straszy, niż przyciąga, i zapobiegawczo pokryli ją pnączem winorośli. Niewiele jednak to pomogło.

Blondyn przekazał starszej, starannie uczesanej recepcjonistce swój paszport, wystawiony na nazwisko Elegson. Podróżował jako duński nauczyciel. Kobieta z iście pruską dokładnością spisała dane i poprosiła o podpis. Niczego nie zauważyła, o nic nie zapytała. Nawet nie pokazała po sobie, że zastanawia się, czego Duńczyk szuka w takiej dziurze.

Mężczyzna legitymujący się dokumentami na nazwisko Elegson zabrał jedyną, niedużą walizkę i ruszył do pokoju.

Nie spodziewał się fajerwerków. Wybrał ciasną klitkę z prostym łóżkiem i szafą, za to, co było ważne, z widokiem na uliczkę tego sennego miasteczka.

Właściwie zakończył dzień. Nie musiał nic więcej robić. Zaświtała mu myśl, czy nie wybrać się na dłuższy, odprężający spacer. Obejrzeć pozostałości niedawnych bitew, gdzie ważyły się losy Berlina.

Zanim jednak zdecydował się korzystać ze słonecznego dnia, opadł na łóżko. Otworzył walizkę, wyciągnął mapę i patrzył. Lubił patrzeć na mapy. Uczyć się miast i wsi, planować kolejne przystanki przed pracą. Miał kilka dni spokoju. Później, pod sam koniec, pozostawał ostatni punkt programu. Warszawa.

Paryż, Francja | 28 marca 1964

Jurij Darijew korzystał z kilku dni swobody, jak potrafił najlepiej. To ze względu na tego typu sytuacje lubił swoją pracę najbardziej. Dawała mu możliwości, o jakich miliony jego rodaków mogły tylko śnić.

Podróże, wielki świat i oddychanie pełną piersią. Choć chwilę bez przeszłości i potwornych tajemnic teraźniejszości.

Postój w Paryżu, wymuszony dla zmylenia ewentualnego pościgu, zakupy dla rodziny pozwoliły ułagodzić napięcie, zapomnieć o strachu. Można było na chłodno przeanalizować wszystko, co się wydarzyło, i planować dalej.

Generał wyszedł z wielkiego, oszałamiającego go przy każdej wizycie Galeries Lafayette. Dom towarowy przypominał mu ogromną gotycką katedrę, przystrojoną z gustownym przepychem. Wielki gmach, pełen stoisk i sklepów wypełnionych bogactwami, które kłuły w oczy, czasem przyprawiały o przyspieszony oddech, ale i łzy. Nic z tych perfum, ubrań, delikatesów nigdy nie miało trafić do Moskwy czy Leningradu. A nawet gdyby, jakimś zrzędzeniem losu, cudem, to i tak prawie nikogo nie byłoby na nie stać.

Darijew mógł godzinami krążyć po piętrach osłoniętych piękną szklano-żelazną kopułą. Napawał się tym wszystkim, chłonał zapach i atmosferę. Czasem łapał się na tym, że być może przez takie miejsca zdecydował to, co zdecydował. Ale nawet jeśli? Nie miał problemu, by sobie to wytłumaczyć.

Zachód miał swoje mankamenty, biedę, nierówności, ale wszystko niknęło, kiedy podziwiał to bogactwo. Nieważni byli kloszardzi, bandyci, brud w dalekich dzielnicach. Nic nie było ważne. Każdy żebrak miał przecież więcej niż szary sowiecki robotnik, a każde, nawet zapuszczone, nowatorskie

osiedle kanciastych brył byłoby marzeniem w niejednym mieście na wschodzie.

Generał zapłacił za ostatnie podarki i dzierżąc dwie papierowe torby, zjechał windą do wyjścia. Wyszedł na bulwar Haussmanna. Pogoda była cudowna. Lekki wietrzyk, słońce i błękitne niebo nad wysokimi, cudownymi kamienicami.

Ruch na jezdniach i chodnikach gasł z każdą godziną. Francuzi od ponad stu lat nie należeli do specjalnie religijnych, ale jutrzejsza Wielkanoc widocznie absorbowwała ich, choć bardziej jako dzień wolny.

Stacja metra była o kilka kroków. Rosjanin zastanawiał się przez moment, czy nie iść dalej, do Sacré-Cœur, pooddychać jeszcze powietrzem wielkiego miasta, zanim jutro trzeba będzie ruszać na wschód. Nie paliło mu się, by wracać do cichego, schludnego hoteliku w Saint-Denis.

Darijew uważał, że tu pasuje. Wtapia się w tłum ubiorem, obyciem, efektami szkolenia i doświadczeniem. Pozbył się bagażu tej śmieszającej go teraz zaściankowości, braku kultury, zwykłego chamstwa i lęku przed normalnością. Tak, normalnością. On był z innego świata, stamtąd gdzie wszystko stało na głowie, a ludzi tłamszono lękiem w każdej minucie.

Przejechał kilka stacji i ruszył w kręte, wąskie uliczki Montmartre. Tutaj ludzi było nieco więcej, głównie turystów zakochanych w artystycznej atmosferze mekki malarzy. Rozsiedli się w kawiarniach, oglądali dziesiątki wystawionych na chodnikach obrazów. Wśród nich Darijew, oficjalnie Rosjanin z Kanady, uchodźca i ofiara wojny domowej.

Uliczka, którą spacerował, opadała w dół. Kończyła się niedużym, ciasnym rondem, za którym stał mur. Granica między żywymi a martwymi, ogrodzenie miejscowego cmentarza.

Tłum przerzedził się, zaraz zupełnie rozmył. Tu już nie było nic ciekawego do podziwiania, więc Jurij postanowił zawrócić.

Pośród sunących wolno aut nie dostrzegł szarej, jakby skonstruowanej z blachy falistej furgonetki citroën 2CV. Auto nie rzucało się w oczy. Miało dobre dziesięć lat, ledwo trzymało się w całości. Farbę pokrywały rdzawe plamy, a silnik pracował nierówno. Ten, kto prowadził auto, bardzo się

postarał przy wyborze. Nikt nie interesował się rzędem.

Ten prawie że wrak najpierw skierował się na chodnik, przepuszczając inne wozy. Zaraz wyrwał, jakby motorowi przybyło niespodzianie kilkadziesiąt dodatkowych koni mocy.

Wszystko zaczęło się i skończyło błyskawicznie. Szary citroën dopędził Darijewa, i zajechał mu drogę. Zamyślony Rosjanin początkowo sądził naiwnie, że to jakiś dostawca.

Zaraz przyszło opamiętanie. Gdyby zdążył, wściekłby się na siebie, że pozwolił się podejść.

Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i z ciemnej czeluści wyskoczyło dwóch dryblasów. Darijew nie miał szans przyrzeć się im dokładniej. Ot, zwyczajne osiłki w codziennych ubraniach.

Chciał uciekać, ale byli szybsi i przygotowani. Jeden zaszedł go od tyłu. Silny cios Rosjanina powstrzymał go tylko na ułamek sekundy, ale nie zrobił krzywdy.

Jurij chciał krzyknąć, lecz silna dłoń zakryła mu usta. Nogi oderwały się od chodnika. Wlekli go. Jeszcze się szarpał. Ostatnią trzeźwą myślą było, że wiatr historii musiał zacząć wiać. Szły zmiany, bo zaczynają się ofiary.

Potem było ukłucie w kark. Ciało odrętwiało i Jurij Darijew zapadł w głęboki sen.

Kreml, Moskwa, Rosja | 29 marca 1964

Nikita Siergiejewicz Chruszczow nie wierzył rzecz jasna w żadnych bogów czy inne wyższe byty albo z góry ułożone plany. Jak komunista, ufał umysłowi i instyktowi.

Od kilku tygodni nie opuszczało go dziwne przeczucie, że coś się zmienia. Już się zmieniło. Nie przekazywano mu wymaganych raportów i sprawozdań w terminie albo nawet w ogóle. Na ponaglenia i groźby wykpiwano się zdawkowymi tłumaczeniami.

Ale stary Nikita zbyt dobrze wiedział, co to oznacza. Widział to dawno temu... A nawet sam praktykował, odcinając od zadań ludzi, na których

spadł uważny, przerażający wzrok towarzysza Stalina. Później było tak z Berią. Ale i w dole pomniejsi sekretarze, dyrektorzy i kierownicy wiedzieli, że kiedy ogranicza się pole manewru, koniec jest bliski. Pytanie brzmiało, jaki ten koniec miałby być.

I właściwie gdzie uczynił błąd? Za dużo miał na głowie. Zbyt wiele spraw i problemów, wdawania się w niuanse. Ręcznego sterowania. Zawsze go przed tym ostrzegano.

Kołchozy, stany upraw i produkcji surówki w hutach. Do tego Zachód i jego wojownicze zapędy, które choć na krótko, dla przykładu chciał ukrócić. Masa planów, masa klęsk. Teraz waliło się mu na głowę. Nawet najbliżsi współpracownicy musieli coś przeczuwać albo wiedzieć, bo odwracali się, znikali, jakby dogadani z tamtymi. I kolejne ważne pytanie: kim byli tamci?

Chruszczow szedł skąpanym w półmroku korytarzem ciągle w płaszczu, z czapką w ręce, wpatrując się w puszysty dywan. Nie zauważył kilku wartowników, którzy prężyli się na jego widok, jakby nic się nie działo. Zresztą dla nich wszystko pozostawało bez zmian.

Z mozołem wdrapując się na schody, Nikita przeglądał w głowie ludzi, którzy mogliby nastać po nim. Zastanawiał się, kogo namaścił na delfina główny gracz, starzec Kuzniecowa.

Chruszczow jeszcze pół roku temu miał nadzieję, że stary wiarus odpuści, nie znajdzie sił i chęci, by ustawiać pionki, i to jemu, pierwszemu sekretarzowi, przyjdzie za czas jakiś naznaczyć następcę. I kto wie, może ktoś by go posłuchał. Ale los i zdrowie marszałka były okrutne. Posunął się, ale trzymał się dobrze. Przynajmniej tak wyglądał. Obserwował i analizował poczynania góry.

Najwyraźniej rozhuśtanie emocji, błędy niedalekiej przeszłości dotknęły ministra obrony i powiedział dość. A może chodziło o ilość ziarna w elewatorach? „Wszystko, Nikita, wszystko” – pomyślał pierwszy sekretarz i premier, pokonując ostatni schodek.

Przeszedł do drzwi sekretariatu. Był pusty, jak nieomal cały gmach. Pierwszy nie zdjął okrycia, tylko bezceremonialnie wparował do swojego gabinetu. W końcu ciągle był u siebie. Chciał to prędko mieć z głowy.

Stanął w progu i pod czaszką wyświetliła się niewesoła konstatacja. „Smutnie kończysz” – uśmiechnął się do siebie nerwowo.

Pokój, obity do połowy lakierowaną boazerią, umeblowany dość skromnie, oświetlały dwie lampki: na biurku i w kącie gabinetu. Nadawały gościom i całej sytuacji mroczną atmosferę jak z filmu noir.

– Witajcie, towarzyszu pierwszy sekretarzu. – Stary marszałek, odziany w mundur garnizonowy z baretkami zamiast medali, w tym świetle wyglądał na jeszcze bardziej wiekowego. Wydawał się blady i zmęczony, a jego zmarszczki zmieniły się w ciemne grube linie.

Chruszczow zignorował obłudnie miłe przywitanie. Jego uwaga skupiła się na tym drugim. Nieco młodszym, wysokim, barczystym brunecie, który nabawił się nadwagi. Patrzył dumnie, nawet bezczelnie, choć odwagi wyraźnie nie stało na samodzielne tyrady. Co rusz chyba podświadomie zerkał na swojego patrona, czekając zezwolenia albo rozkazu.

– Towarzysz sekretarz KC – Chruszczowowi szept ledwo przeszedł przez usta.

Wiedział, że jest grupa niezadowolonych, i to w kręgu komitetu. Breżniew, zastępca członka Biura Politycznego KC i sekretarz tego gremium, zabierał głos w rozwlekłych referatach, wzywając ostrożnie do reform i zmian. Ale nie było w tym siły godnej wodza.

– Ziarno gnije? – syknął Chruszczow z kwaśnym uśmiechem.

Przybysze nie wiedzieli, czy odnosi się do zmyślonych powodów jego pilnego wezwania, czy robi przytyk wobec wyboru nowego władcy.

– Kończmy to – sapnął Chruszczow.

Złapał za krzesło i zasiadł za stołem konferencyjnym. Zastukał palcami o lakierowany blat i wyciągnął krótką szyję, jakby kołnierzyk zaczął go uwierać. Nie bał się, przynajmniej nie okazywał tego.

– Żonie darujcie, dzieciom... – Nastroszył się w ostatnim wojowniczym zapędzie.

– Ależ Nikito Siergiejewiczu! – Kuzniecowa postąpił krok i siadł na krześle, jakby mu sił nie stało. Minę miał mocno i prawdziwie zdziwioną. –

Wy naprawdę myślicie... – Pochylił się, wskazując Chruszczowa drżącym palcem. – Nie te czasy – powiedział chyba nawet obrażony. Chciał coś dodać, że tak jak sobie wyobrażał Ukrainiec, można było robić z Berią, ale nie chciało mu się tracić czasu.

– Dostaniecie rentę – wtrącił Breżniew z wymuszoną wyższością, wstrętnie cukierkowym tonem, jakby mówił do staruszka z demencją. – Powiedzmy: tysiąc rubli miesięcznie – zrobił pauzę dla podkreślenia tej bądź co bądź znaczącej kwoty. – Damy wam daczę. Nieopodal Moskwy, a i gdzieś, gdzie cieplej. – Ciągłe krzywił usta w uśmiechu z tym odpychającym błyskiem triumfu w oczach.

– Węgiel, ziemniaki... Nie będzie źle. Głodować i biedować nie będziecie – na powrót odezwał się Kuzniecowa. – Nie te czasy... Chcemy wam podziękować. Za wasz wkład, zaangażowanie i lata służby... Ale czas odpocząć. – Nabrał powietrza i złożył ręce na brzuchu. – Po prostu czas na nowe, świeże spojrzenie. – Marszałek patrzył Chruszczowowi w oczy. – Wasze metody były dobre, ale wizja i sposób realizacji nie przystają do dzisiejszego świata... – Tyrada zaczęła przypominać partyjny bełkot. – Krajowi potrzeba większego przyśpieszenia. Wysiłku i spojrzenia przez nową optykę. Wy swoje, towarzyszu Chruszczow, zrobiliście. Dokonaliście wielkiego dzieła i macie swoje miejsce w historii...

Chruszczow słuchał, lekko kiwając głową, i zdawał się nawet wierzyć. Zwłaszcza po tym ostatnim zwrocie.

Przecież była to prawda. Z kart historii raczej nie można było go wymazać, a on rzeczywiście czuł się coraz bardziej zmęczony, przygnieciony setkami problemów, których bez skomlenia o pomoc z zewnątrz nie dawało się rozwiązać.

– Skoro tak twierdzicie. – Uśmiechnął się nawet z lekką ulgą. Położył czapkę na stole i splótł palce. Milczał chwilę z tą swoją rubaszną miną chłopca, spozierając raz na jednego, raz na drugiego. – Macie swoją szansę... Macie pomysł? Róbcie to przyśpieszenie. – Zabułgotał krótkim śmiechem. – Mnie pokonaliście... Co ja wam mogę...? – Wstał i pochylił głowę w ukłonie jak podsądny z wyrokiem. – Szpargałów tu trochę. – Zatoczył dłonią po pokoju. – Pozwólcie się spakować.

– Ależ oczywiście. – Breżniew wyrwał się do przodu z troską malującą się pod krzaczastymi brwiami. – Nie obawiajcie się. – Objął dobrotliwie sporo niższego od siebie ciągle pierwszego sekretarza. – Wszystko będzie zabrane, jak sobie życzycie. Ale nie dziś, nie teraz. Za kilka dni. Musimy poukładać parę spraw, musicie przekazać obowiązki. Są i inne czynniki, ale to...

– To już nasza rzecz – uciął temat Kuzniecow. – Inne czynniki mają wpływ...

Chruszczow, wbrew zamierzeniom, zainteresował się.

– Co wy chcecie...? – Nagłe przerażenie sprawiło, że krew uderzyła mu do twarzy. Na Kremlu siedział parę ładnych lat i całkiem sprawnie nauczył się wyławiać niuanse między słowami.

– Jeszcze raz dziękuję. – Kuzniecow poderwał się, wyciągając prawicę w próbie zamazania własnej niefrasobliwości. – Dziękuję za dzielną służbę dla Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich! – Podniósł patetycznie głos i począł ścisnąć dłoń Chruszczowa.

Breżniew uczynił to samo, dodając siarczyste pocałunki i kilka pochwał. Chruszczow stał jak kukła i nawet nie poczuł, że delikatnie wypycha się go do wyjścia. Teraz dopiero docierała doń pełna świadomość, że jego czas się kończył, nadchodził odpoczynek i jak to określił marszałek, „wielkie przyśpieszenie” – cokolwiek miało to znaczyć.

Sochaczew, Polska | 30 marca 1964

Koszary i budowle dowództwa Korpusu Białorusyjskiego rozświetlały równo rozmieszczone latarnie na płotach i rogach budynków. Prócz tego wszystko zakrywała zasłona nocy, spokojnej, cichej, bez ruchu, hałasów.

Czarna limuzyna szefa Sztabu Generalnego – lśniący lincoln bez żadnych oznaczeń ani nawet zwyczajowego proporczyka przy masce – sunęła ulicą wprost do głównej bramy.

Siedzącym wewnątrz pasażerom zdawało się nawet, że człowiek, którego mają odwiedzić, wydał jakiś tajemny rozkaz i okolice jednostki opróżniono z ludzi. Być może to wszystko podpowiadała im wybujała wyobraźnia,

poddająca się atmosferze konspiracji i spisków. Przecież trwała wielkanocna przerwa i wszystkie miasta spały w spokoju.

Auto zatrzymało się przy szlabanie. Dowódca warty wraz z kilkoma żołnierzami stali przy dyżurce wyprężeni jak na przeglądzie wojsk. Tajemnica była zupełna. Dopiero kilkanaście minut temu poinformowano ich, kto nadciąga, co przyprawiło całą grupę o niemały ból głowy. Nie dość, że przypadła im świąteczna służba, to jeszcze mieli witać takie osobistości.

Na szczęście poszło sprawnie. Generał Walczuk nie był gadatliwy, a i nie chciał zbyt długo się pokazywać. Miał zadanie i chciał je wykonać. On i jego kompan z dawnych dni, Paweł Przeszło-Stępniakowski. Weterani, których los wrzucił na szczyty Wojska Polskiego w wolnej Polsce.

Sprawy dokumentów załatwił szofer. Warta oddała honory i otworzyła bramę.

Samochód wtoczył się na teren jednostki. Minął kilka budynków i obsadzoną lipami aleją przejechał pod willę dowódcy: dawną carską siedzibę, piętrowy, dostojny dom za płotem osłaniającym spory ogród.

Obydwaj oficerowie wysiedli z auta. Była wiosna, ale powietrze wciąż ciągnęło zimnem i wilgocią. Już obudzone ptaki urządzały piękny koncert, wypełniając śpiewem korony nagich drzew.

Oficerowie chwilę stali w milczeli, jakby zasłuchani, patrząc na hasło wymalowane nad wejściem domu, za szerokim ogrodem. „Zrodzeni z głodu i krwi” – hasło korpusu. Pamiątka strasznego czasu bez jedzenia, straceńczych szturmów topionych we krwi, i obaw o przyszłość.

– Jeszcze raz. – Walczuk poprawił pas przy płaszczu, nie patrząc na szefa wywiadu. – Uważasz, że to wszystko jest możliwe?

Stępniakowski kiwnął ledwo zauważalnie głową.

– A ty sądzisz, że on się zgodzi?

Szef sztabu uniósł wąsy w lekkim uśmiechu.

– Jeśli opowiesz mu to samo co mnie... Na pewno będzie zainteresowany. Ale rozkazu może... wiesz przecież. – Dopiero teraz spod daszka rogatywki błysnęły oczy.

Paweł nic nie odpowiedział. Strach zacisnął palce na grdyce i nie dał wykrztusić słowa. To już nie były jakieś mrzonki. To wszystko działo się w rzeczywistości. Wiedział, że na szali są wielkie rzeczy.

Ruszył pierwszy, nie czekając. Chciał mieć za sobą tę potworną niepewność.

Poznań, Polska | 30 marca 1964

Koszary ożyły jak na rozkaz z samego rana. Najpierw rozległ się ryk syreny alarmowej, a potem ciężarówki zapuściły silniki.

Wojsko rzuciło się do swoich maszyn. Wiedzieli, co robić. W tym kraju każdy taki alarm mógł oznaczać wojnę. Tak ich ćwiczą tu, w elitarnej jednostce, Drugim Pułku Pancernym z Pierwszej Dywizji.

Sierżant Wnuk, tak jak inni oficerowie i podoficerowie, którzy dotarli do jednostki, stawiał się na odprawę w sporej sali. Wszyscy podnieśli się z krzeseł na widok swojego majora. Był to człowiek dość młody, szczupły, ubrany już w czołgowy kombinezon, z pasem i kaburą, którą co rusz nerwowo trzącał. Przejmował się czymś i nawet tego nie krył.

– Proszę siadać – oznajmił cicho. – Panowie, jak wiecie, mamy alarm. Zarządzono manewry kilku związków taktycznych... – Przez chwilę spodziewał się jęków albo westchnień, bo sam wiedział, jaki ścisk i robotę to oznacza. – Ma to związek z sytuacją w kraju i planowaną wizytą prezydenta USA. Mamy pokazać pazur, gdyby bolszewicy coś planowali... No ale do konkretów. Transport czeka. Maszyny we wschodnich magazynach są szykowane, więc mam nadzieję, że można siadać i jechać. Inne pułki pakują się na lory i powinny być na miejscu koncentracji w ciągu pięćdziesięciu godzin, ale wiecie, jak z tym bywa.

Major podszedł do mapy na ścianie i zaczął opisywać sytuację i zadania, choć to też każdy znał na pamięć. Sierżant Wnuk do znudzenia powtarzał, co i gdzie mają robić na wypadek takich sytuacji. Każda duża jednostka, która bazowała na zachodzie kraju, miała dawno przyszykowane miejsca koncentracji na granicy z Sowiecami, do tego magazyny zakonserwowanego uzbrojenia i amunicji. Pomysł sprzed lat, mający ograniczyć czas przerzutu.

Ćwiczone to już, więc nie martwił się o rezultaty.

Bardziej niepokoił go ten cały pośpiech. Rzucać ich na drugi kraniec Polski, zaraz po świętach, ot tak?

Siedlce, Polska | 30 marca 1964

Porucznik Borys Zarwiegin wparował do budynku sztabu, dysząc, jakby zamiast użyć auta, biegł całą drogę. Minał kancelarię, gdzie już trwała nerwowa krzątanina i huczało od rozmów telefonicznych. Wszedł do pokoju dowódcy.

Kapitan Kunijew, rosły jegomość o bujnej czarnej czuprynie, też z kimś dyskutował, przyciskając do ucha słuchawkę. Skinął na porucznika, wskazując głową jedno z dwóch krzeseł przed biurkiem. Przytaknął kilka razy komuś po drugiej stronie kabla i gryząc wargi, zawiesił wzrok na mapie pogranicza.

Trwało to jeszcze chwilę, wreszcie skończył połączenie. Podparł się pięściami o blat, kręcąc opuszczoną głową. Borysowi przez sekundę zdawało się, że „wódz” będzie mdleć i polecą czołem na biurko.

– Co jest? Co to za alarmy? – zapytał, chyląc się w przód, gotów skoczyć i udzielać ratunku.

Kapitan zebrał się w sobie, wyprostował.

– Dzięki, że wyrobiłeś się tak szybko. – Zdawało się, że nie usłyszał pytania. – Jesteś pierwszy. Widziałeś... – Wskazał kciukiem za okno. – Ludzie się złączą dopiero... – Urwał.

Twarz oblał mu rumieniec ekscytacji, a źrenice zapłonęły. On się już nie bał. Przeciwnie. Napęniała go trudna do ukrycia radość.

– Rozkaz z samej góry. – Wziął jakiś świstek i podał Borysowi.

W nagłówku widniał kryptonim „czerwony”. Borys gwizdnął.

– Ja pierdołę – wyrwało mu się. – Przecież to oznacza... – Wybałuszył oczy i w przyływie wzbierającej energii poderwał się z miejsca.

– Ciekawe, nie? – Dowódca uśmiechnął się, już nie tając swoich uczuć.

Milczeli przez krótki czas, jakby chcąc zapamiętać tę chwilę, którą wielokrotnie sobie wyobrażali, choć prawdopodobnie jako bardziej podniosłą, nieomal romantyczną.

Borys Zarwiegin uleciał myślą daleko w przeszłość. Stanęły przed nim potworne widoki, wspomnienia, które skrywał w najgłębszym zakamarku duszy. On, człowiek, który właściwie nie znał swojej ojczyzny, miał wracać?

Wyrwał się wraz z rodzicami. Ojciec dezertier, który uciekł z wojska, kiedy zawisło nad nim widmo gułagu jako kara za to, że widział Zachód i wrócił, zamiast polec, broniąc granic. Wielu nieroztropnych, którzy postanowili wrócić do domów, czekał podobny los.

Potem w Związku Sowieckim był nieopisany głód, a za nim przyszły bunt chłopów w kołchozach i mniejszych miastach.

Niepokoje zduszono, używając nowego zaciągu, ludźmi, którzy nie trafili na fronty we Francji czy Niemczech. Cały ten rokosz na zachodzie kraju łatwo określono jako przygotowaną dywersję, wstęp do inwazji niepokodzonych z rzekomą klęską faszystów. Łatwiej było zabijać, palić wsie. Nagrodą dla wiernych żołdatów było przyzwolenie na rabowanie wszystkiego.

Zachód nic by nie wiedział, gdyby przez granicę, ciągle słabo pilnowaną, nie przelał się potok uciekinierów. Ale i tak nie miał siły ani chęci interweniować. Europa sama dźwigała się z gruzów i szoku.

Borys, mały brat, matka i ojciec też tam byli. Ten kraj, ten za granicą kazano mu w nowym domu pamiętać i kochać, choć kojarzył się tylko ze śmiercią i biedą. Miał być kiedyś dzień, kiedy wróca, odbiją i wprowadzą po prostu normalność. Pokonają szatański ustrój i nauczą ludzi, jak żyć.

Ale ta kruczata była propagandowym frazesem, odległą, mglistą fatamorganą. Do dziś.

– Będzie się działo, Borys. Idziemy wreszcie. – Kapitan pierwszy otrząsnął się z przemyśleń.

Zarwieginowi oczy zwilgotniały z emocji.

– Rozkazy poszły. – Kapitan mówił na wydechu, szybko, tak żeby nie

było słycać, że głos mu drży. – Komunikat leci w radiu. Ludzie powinni lada chwila wracać z przepustek, rezerwiści też już pewnie jadą... Kiedy zbierzesz pluton – wyprostował się – pakujecie sprzęt, racje, amunicję i w rejon koncentracji. Potem czekamy.

Krośniewice, Polska | 1 kwietnia 1964

Dziwne i przewrotne bywają losy ludzi, zwłaszcza wielkich i zasłużonych. Neobarokowy pałac na planie kwadratu z mansardowym dachem stał się domem człowieka, który urodził się kilka kroków stąd, w służbówce, jako syn zarządcy majątku.

Lata później, kiedy dysponujący tymi włościami ród nieomal wyginął, odrestaurowany dwór oddano w podarunku nowemu właścicielowi. Tutaj po powrocie z dalekiej drogi czuł się najlepiej, pośród drzew wielkiego parku, nieodległych pól i stawów.

Nie chciał przyjmować tak zacnego podarunku, zwłaszcza że w życiu nie zrobił nic dla zysku. Jednak pragnienie spokoju sprawiło, że uległ namowom.

Teraz wielki dom, otoczony rozlewającym się cieniem zapadającego zmierzchu, stał, jakby nikt w środku nie mieszkał. Okna zasłonięto szczelnie grubymi kotarami.

Gdyby nie rozlegający się czasem warkot potężnych silników helikoptera H-1 – dłuższego odpowiednika amerykańskiego S-58, tyle że bez „piętra” z kabiną pilotów – który parkował na specjalnie przygotowanej polanie, nikt nie zwracałby uwagi na pałac i otoczenie.

Ale w środku, na parterze, gdzie ulokowano bibliotekę pełną dębowych regałów i gustownych mebli godnych królów, atmosfera daleka była od spokojnej.

– To jest rzecz karygodna!

Prezydent Rzeczypospolitej utracił swój sławetny spokój i opanowanie. To, o czym wiedział od kilkunastu godzin, cała otoczka ostatnich wydarzeń, wstrząsnęło nim do głębi i nie zamierzał tego ukrywać. Czuł się oburzony i najzwyczajniej w świecie zdradzony. On sam, jak i cały jego gabinet. Przybył czym prędzej na to tajne spotkanie, używając przysługującego mu

śmigłowca. Ubrał się mniej oficjalnie – co jemu zdarzało się rzadko – w gruby czarny golf i pospolite spodnie.

– Panowie, to pachnie trybunałem! – Echo niemal histerycznego wrzasku rozległo się pod zdobionym sklepieniem. Prezydent potrząsał palcem, wyrzucając z siebie wciąż nowe groźby w coraz gwałtowniejszy sposób.

Generałowie Walczuk i Stępniakowski stali prawie że na baczność, potulnie znosząc reprimendę. Byli przygotowani. Prezydent musiał wyrzucić z siebie wszystko, innej możliwości nie było.

Zastanawiali się krótko, czy w ogóle go informować, wtajemniczać. Woleliby nie. Zmniejszało to pole manewru i legalności, ale też zwiększało bezpieczeństwo. Uznali jednak po burzy mózgów, że uczciwa droga będzie odpowiednia.

Gospodarz zaś siedział w kącie, przy humidorze w kształcie eleganckiego globusa, i jakby głuchy na wrzask i kłótnię, tonął w lekturze przyniesionej przez gości.

Było w tym nieco asekurantwa, ostrożności starego oficera, pozbawionego dawnego ułańskiego spojrzenia. Nie miał zamiaru skreślać życiorysu i, bądź co bądź, legendy jednym wielkim błędem. Sam pomysł, do tej pory ledwie naszkicowany, podobał mu się, może głównie dlatego, że teraz młodszy będą brać ryzyko na swoje plecy. Ale do rozstrzygnięcia było daleko, a dopiero w finale można było wskazać zwycięską stronę i obstawić.

– Postawienie korpusu rosyjskiego w stan alarmu... – prezydent wykrzykiwał przewiny oficerów, licząc na palcach – alarm w dwóch pułkach lotniczych, pułki raketowe... – Szczupła twarz robiła się szkarłatna. – Tymczasem ja dowiaduję się z takim opóźnieniem! Zaraz wizyta prezydenta USA...

– Prosimy o wybaczenie... – Walczuk jako pełniący tu najwyższe wojskowe funkcje poczuł się zobowiązany bronić racji. Wyprężył się, prawie stuknął obcasami. – Ale informacje, jakie posiadaliśmy, były... gorące – chrząknął – i bardzo pilne. Potrzebowaliśmy maksymalnej ostrożności. Co do alarmów przygotowanie armii wymaga szybkości. A jeżeli brać pod uwagę wiadomości, jakie do nas dotarły, musimy być gotowi...

– Gotowi do czego? – Prezydent nie wytrzymał i huknął pięścią w regał.

Gospodarz uniósł wzrok, przez chwilę chcąc się odezwać, ale zaraz wrócił na pozycję nieangażowanego słuchacza.

– Żarty! Potworne żarty! – Puls głowy państwa przyśpieszał niebezpiecznie. – Panowie przejęli władzę nad armią bez zgody zwierzchników cywilnych. To łamanie konstytucji... To samowola i...

– Panie prezydencie! – Skronie Stępniańskiego przeszył bolesny impuls gniewu.

Od wielu dni z emocji i ogromu pracy prawie nie spał. Miał dość tyrad i kalumnii. Nabrał odwagi, bo przecież miał w rękawie asa, przewagę nad prezydentem. Czekał tylko chwili, by uderzyć, zemścić się za kilka lat docinków.

Dobrowolski raptownie zamilkł, ruszając jeszcze tylko wargami. Wszystkie oczy powędrowały ku Stępniańskiemu.

– Proszę to przekartkować.

Sięgnął do teczki i wydobyl kilka kartek w zasznurowanej oprawie. Podał energicznie i sam zaczął krążyć po pokoju, upewniając się, że szef sztabu daje mu pozwolenie. Walczuk drgnął w niezgrabnym geście, chyba raczej zadowolony, że podkłada się kolega, nie on.

– Być może jakimś cudem już pan wie... – Paweł nie potrafił powstrzymać przytyku – że nasze informacje są epokowe. Nie, nie przekazywaliśmy ich dalej. Z dossier dowie się pan czemu. – Wskazał na teczkę, której treść pochłaniał prezydent. – Proszę wierzyć – zrobił ukłon w stronę dawnego dowódcy, słuchającego z zaciekawieniem w swoim fotelu – to efekt mrówczej i mozolnej pracy ostatnich dni, wykonanej przez dziesiątki ludzi w kilku archiwach. Ich rezultat wymusił nie tylko ogłoszenie alarmu, ale też dyslokację niektórych newralgicznych jednostek. Tak, tak, panowie. Sowietci dowiedzieli się zapewne wiele ciekawego o naszym życiu politycznym, ale i wojsku. – Zafrasował się szczerze i pochylił głowę. – Jeszcze trwają analizy, ale straty są spore. Nie ogromne, nie dewastujące, ale spore.

Prezydent opuścił skoroszyt i też słuchał, kuląc się jakby pod pręgierzem.

– Ale to dziś sprawa drugorzędna – kontynuował Stępniakowski.

Prezydent wzdrygnął się na takie określenie, bo cóż mogło być ważniejszego niż ulokowany tak wysoko szpieg.

– My też odnosimy sukcesy. Otrzymaliśmy informacje, bardzo szczegółowe informacje o dokładnym rozlokowaniu stanowisk sowieckich wzdłuż całej naszej granicy. Podkreślam, informacje są bardzo dokładne. Otwiera nam się okienko możliwości. Możemy wykonać uprzedzający cios. – Zabrzmiało jak salwa stu armat, aż prezydenta przeszedł widoczny dreszcz. Pawła nic nie zrażało. – Wróg sądzi, że czyta w nas jak w otwartej księdze. Dobrze. Niech tak sądzi. Tu pojawia się nasz pierwszy atut. Zaskoczenie. Sprawa kolejna, ich księga jest nam lepiej znana.

– Zaraz, zaraz.

Głowa państwa cisnęła teczką na stolik, ale skoroszyt spadł na dywan. Nikt się nie przejął. Dobrowolski zaczął masować czoło, trapione narastającą migreną.

– Panowie oszaleli? – stęknął. – Szaleństwo... Wojna?

– Wojna przewencyjna – uzupełnił Walczuk. – Lub raczej kontynuacyjna.

– Boże... – Nogi ugięły się pod prezydentem, aż się zatoczył. Stępniakowski zdołał podsunąć fotel w ostatniej chwili.

– Spodziewaliśmy się reakcji... – Podniósł papiery i podał pierwszemu obywatelowi. – Wie pan, że istnieje pewien stary, zakurzony i zapomniany plan pod tytułem „Ogień sprawiedliwości”. Uderzenie przewencyjne w przypadku zakusów sowieckich do ataku frontального.

– Ale jakich... zakusów... Oni nic nie szykują – bełkotał wystraszony coraz bardziej Dobrowolski. – Prowadzimy wymianę handlową. Negocjacje... – dukał jak na politycznym zebraniu. Zresztą ta wymiana zakrawała na dowcip.

– Oni cały czas coś szykują. – Główny lokator uznał, że należy wesprzeć wojskowych.

– Dokładnie. – Stępniakowski uklonił się z wdzięcznością. Prezydent postawił oczy w słupek, cios od autorytetu był jeszcze boleśniejszy.

– Zapominamy o niedawnych „atrakcjach”. – Paweł obszedł fotel prezydenta i stanął naprzeciw.

Założył ręce na plecach i długo świdrował Dobrowolskiego zwycięskim spojrzeniem.

– Mamy zeznania pewnego wysoko postawionego oficera sowieckiego, który przyznaje, że to oni dokonali zamachów i ataków wzdłuż granicy. Co więcej, przygotowują kolejne, nazwijmy to, wystąpienia. – Stępniakowski wysunął szczękę w czymś, co według niego miało być grymasem zwycięzcy. Niemal jak na starych fotografiach Mussoliniego.

– To są powody, panie prezydencie, poważne powody, by rozpocząć działania. – Walczuk mówił łagodniejszym tonem.

– To... – prezydent kręcił się w miejscu – niemożliwe. To spisek, zdrada – powtarzał jak mantrę. Wyobrażenie świata rozsypywało mu się, upiorne wizje gromadziły w głowie. – Żadnej wojny nie będzie... Nie będzie. – Wstał i podskoczył do Stępniaковского, wpatrując się w niego gniewnie, z mocą. – Nie będziemy wszczynali wojny! – Prawie opluł szefa wywiadu. – Mało wam hekatomb... Oni są potężni, a my...

Uspokoił się nagle. Poprawił sweter i uśmiechnął lekko.

– Amerykanie się nie zgodzą. – Argument był istotny i zdawał się niepodważalny. – Chcą spokoju. Bez ich wsparcia... – Zawiesił głos, myśląc, że tym zakończy sprawę.

Generałowie wymienili długie spojrzenia, jakby mocowali się, kto ma podjąć rękawicę. Na szali była historyczna szansa i poparcie gospodarza.

– A jeśli powiem, że istnieje sposób? – odezwał się Stępniakowski. – Tak, tak. Mamy możliwości nakłonienia aliantów. Ba, nie będą mieli wyboru...

– Pewnie pan nie zdradzi jakie? – Gospodarz robił się coraz bardziej ciekaw.

– Pan wybaczy, generale. – Stępniakowski znów pochylił głowę. – Nie mogę. Pan rozumie.

– Oczywiście – generał Władysław Anders przytaknął.

Wstał, poprawił marynarkę i trącił palcem drewniany globus.

– Nasze lotnictwo jest jednym z najlepiej wyszkolonych na świecie – zdawało się, że mówi tylko do siebie, głośno myśląc. Są eskadry gotowe słać w niebo swoje samoloty w dwanaście, a nawet dziesięć minut od ogłoszenia alarmu. Gdyby wykorzystać tę zdolność, przy wielkim nasileniu nalotów w pierwszych godzinach... Przy takiej znajomości rozmieszczenia celów... Prócz tego jesteśmy silni jak nigdy. – Przeszedł na środek biblioteki. – Zaskoczenie może być zupełne. Tak, to jest możliwe – obwieścił oficjalnie swoją konstatację.

Wybrał stronę. Przekonała go nie tyle tyrada oficera wywiadu, co lękliwy dygot prezydenta, człowieka, którego przecież kiedyś popierał.

– Stawiam warunki, panowie – oświadczył Anders, ostentacyjnie pomijając spojrzeniem prezydenta. – Musi być poparcie i pomoc, jakakolwiek pomoc Amerykanów. To po pierwsze. Po drugie cel ataku musi być wyraźnie nakreślony. Nie chcę powtórki z „Barbarossy” i miotania się Hitlera od Charkowa po Moskwę.

Oficerowie popatrzyli po sobie, z trudem maskując satysfakcję.

– Tak jest, panie generale. – Walczuk energicznie uderzył obcasami.

– Przewrót – sapnął Dobrowolski. – Przewrót jak w dwudziestym szóstym. Pan się zgadza... pan to firmuje? – Spod zmarszczonych brwi na generała Andersa spozierała para wystraszonych oczu.

– Żaden przewrót. – Stępniakowski wybawił Andersa od konieczności tłumaczeń. – To nie u nas – zaśmiał się, ale ten wybuch radości pojał jedynie Antoni Walczuk. – Pan, panie prezydencie, będzie twarzą tej operacji.

Dobrowolskiego jakby prąd przeszedł. Zacisnął palce na podłokietnikach, gotów zerwać się na równe nogi.

– Musi pan. To wymóg chwili. – Paweł nie wydawał się przejęty. – To scali naród, pokaże naszą jedność wobec sojuszników. Nic nie zmienimy, nikogo do końca nie aresztujemy, tak żeby i wrogowie myśleli, że u nas wszystko w porządku. – Pochylił się niemal do ucha prezydenta. – Damy panu szansę na dokonanie wielkich czynów. Zmazanie błędu. Jeśli nie, to ten błąd – spojrzał wymownie na raport sporządzony dla głowy państwa – utopi

pana i całą administrację. To pański współpracownik, nieprawdaż? No a kiedy to wszystko wyjdzie, wtedy naprawdę będzie trzeba przejąć ster. – Wyprostował się – Przecież to wojna.

– Nie mamy szans, nie mamy – mamrotał Dobrowolski drętwiejącymi ustami, jakby żaden argument do niego nie trafiał. – Zareagują... Mają bombę atomową, to nie jest wyprawa na Kijów, na Boga... – Niemłoda fizjonomia prezydenta zrobiła się wręcz nieznośnie żałosna i wydawało się, że Dobrowolski padnie zaraz na kolana.

– Boga proszę w to nie mieszać – Walczuk zaprotestował delikatnie. – On z wojnami nie ma nic wspólnego... Ale jeśli idzie o szanse na pokonanie szatana, to już chyba dał nam znać.

Dobrowolski skrzywił twarz, nie rozumiejąc.

– Panie prezydencie, panie generale – Walczuk nadał się, jak przystało na wodza – istnieje okoliczność, która pozwoli nam wprowadzić zamęt i niepewność w szeregach nieprzyjaciela. Zyskać kilka, może kilkanaście bezcennych godzin na działanie. Proszę wierzyć, Amerykanie nie odpuszczą takiego argumentu. Jeśli idzie o broń atomową... Rakiety... – Wciągnął głęboko powietrze. – Tak, istnieje pewne ryzyko, ale to musimy wkalkulować. Nie uważam, żeby ktokolwiek był tak szalony, by niszczyć kontynent. Własną zwłaszcza ziemię. Plusów w tej całej sytuacji jest więcej. Naprawdę. Raz na zawsze możemy odepchnąć wroga dalej od stolicy, odebrać terytorium i wykrwawić, osłabiając go na kolejne kilkadziesiąt lat, i nie obchodzi mnie, co powie Europa czy świat. Mamy szansę, jedną na wiele dziesięcioleci. Jak powiedział generał Stępniakowski, okienko możliwości. A dzięki pracy wywiadu i łutowi szczęścia otworzymy je szerzej.

Na wschód od Poznania, Polska | 2 kwietnia 1964

Deszcz lał z ogłuszającym niemal szumem, młóćąc gałęzie wielkich iglastych drzew. Ziemia prędko namakała, zmieniając się w grzęzawisko, w którym można było zapaść się do kostek.

W tak paskudnych warunkach istniała niewielka szansa, że przybłąka się ktoś obcy. Ukrytej w gęstwinie trójce mężczyzn chodziło właśnie o to, o jak

najgłębszą tajemnicę.

Wyglądali jak grupka biwakowiczów, która kryła się przed ulewą, nie zdążywszy rozbić namiotów. Albo raczej pogubiła się, schodząc ze szlaku. Tyle tylko, że nikt się nie pomylił. Wszystko było ustalone.

Blondyn stał w szarawej parce z kapturem na głowie i osłaniając się połą namiotowej pałatki, świecił latarką na dokument.

– Wszystko w porządku? – Jeden z dwójki przed nim, ważniejszy, ten, który podał hasło, wysportowany smukły szatyn w przeciwdeszczowym płaszczu, zdawał się zaniepokojony. Ten drugi, niższy nieco i młodszy chuderlak, też przestępował z nogi na nogę, wbijając wzrok w ciemność kniei.

– Tak, w porządku – blondyn potwierdził nieomal perfekcyjnym polskim. Przecież teraz miał taką narodowość.

Schował paszport do plastikowego woreczka i ukrył w plecaku.

– Klucze do auta... – Rozmówca podał mu pęk. – Peugeot 403. Stoi na przesiece dwa kilometry dalej. Co do broni... – Sięgnął za pazuchę i wydobyl złożoną mapę w plastikowym okryciu. – Skrytka zaznaczona. Miejsce spokojne, odludne. Bagna. Sprawdzisz, przestrzelasz. Wszystko powinno być jak należy. Sprzęt dostarczony niedawno. Nasi specjaliści upewnili się, że jest najwyższej jakości. Mauzer 24/59. Luneta, dwadzieścia sztuk amunicji. Jest jeszcze pistolet Browninga i tłumik, tak na wszelki wypadek. Instrukcje znasz?

– Głośno i ostentacyjnie. – Blondyn puścił oko. – Znam się, wierz mi. Bylebyście wy nie skrewili – w głosie zabrzmiała wątpliwość. – Wydostać się będzie problem...

– Spokojnie, spokojnie. – Ten w płaszczu uciszył go uniesioną dłonią. – Wiemy, co mamy robić – Nie podobało mu się, że obcokrajowiec podważa ich kompetencje. – Wyciągniemy cię, nie bój się. Wszystko przygotowane. – Zerknął na zegarek, potem na kompana. – Czas. Za dwie godziny będzie świtać. A droga daleka.

Bartłomiej maszerował korytarzem swego koszarowca. Nastrój mu dopisywał. Był wypoczęty, mimo że znów przyszło mu czuwać na służbie, jakby lada chwila miała wybuchnąć wojna.

Ludzie krzatali się przy pokojach, szli ćwiczyć albo pisali listy.

Karpackiemu udało się wysłać dwa. Do domu i do Anny. Ale uznał, że to nie wystarczy, że przez tę rzadką korespondencję dziewczyna może pomyśleć, że zainteresowanie wygasa.

Należało nadrobić stracony czas. Przejść do ofensywy. Dlatego też nieśmiało zapytał, czy nie podesłałaby mu swojego zdjęcia. Obiecał zadzwonić do szpitala albo do domu, jeśli ją wypuszczą.

Potem przyszedł pomysł odważniejszy, by zrobić dziewczynie niespodziankę. Wpaść w odwiedziny. Tak na szybko, bez zapowiedzi, nawet rodzicom i siostrze nic nie mówić.

Bartek złapał za klamkę drzwi wyjściowych, kiedy w korytarzu zaczął brzęczeć głośno dzwonek, przerywając co sekundę.

Dreszcz przeszedł Karpackiemu wzdłuż kręgosłupa, a potem rozpląnął się po całym ciele. Strach.

Ludzie wybiegali z pokojów z tym samym uczuciem wyrysowanym na twarzach. Gnali wszyscy na miejsce zbiórki, pytając siebie, czy to już, czy może kolejny test.

Lip Goldman starał się zachować spokój. Ruszał się i mówił normalnie, ale kosztowało go to wiele wysiłku.

Stał jak zwykle na placu w słońcu kwietniowego poranka, wraz z dowódcami plutonów, i czekał cierpliwie, aż kompania ustawi się i będzie gotowa słuchać.

Starał się obserwować twarze swoich ludzi. Wyczytać, czy coś wiedzą, orientują się w sytuacji. I zapamiętać ich jak najwięcej, bo za kilka dni mogło ich ubywać.

– Bacność – rzucił porucznik Wilamowski i szereg stuknął butami o beton. – Spocznij – poszło w pododdział.

Goldman stanął w rozkroku, chowając ręce za siebie.

– Panowie – powiedział to w taki sposób, tak poważnie, iż najmniej rozgarnięty człowiek zrozumiałby, że święci się duża rzecz. – Otrzymałem rozkazy... – ucichł na chwilę. – Panowie. Idziemy w bój! – krótko i zwięźle.

Bartek o mało się nie zachwiał.

– Jesteście gotowi – prawil dalej kapitan. – Wierzę, że podolacie... podolamy zadaniom – poprawil się zaraz. – W ciągu dwóch godzin mamy być gotowi do opuszczenia „Parku” i dyslokacji. Gdzie, dowiecie się z rozkazów. Potem dzielimy się na sekcje i według tego otrzymujemy zadania. – Powiódl wzrokiem po twarzach chłopaków. – Nie będzie łatwo. Ale pokażemy, co potrafi Kedyw! – Uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Wraz z nami idzie pułk komandosów, dywizja spadochronowa i jeszcze kilka pierwszorzutowych jednostek. Będziecie pytać, więc powiem od razu. Tak, zanosi się na wojnę. – Drugie ciężkie słowo tego poranka. Karpacki przełknął ślinę i ściągnął plecy, szykując się na więcej.

Naszła go nagła złość. Uświadomił sobie, że nigdzie już nie zadzwoni, nikogo nie odwiedzi. Anna zaraz o nim zapomni. Teraz to było gorsze od wojny.

Moskwa, ZSRS | 3 kwietnia 1964

Marszałek Kuzniecowa nie żałował sobie w żadnym aspekcie państwowej wygody. Przebywał w cieniu, nie ujawniał się i nie obnosił ze swoją władzą, ale ten cień był bardzo przestronny i komfortowy.

Jego gabinet był chyba ze trzy razy większy niż biuro pierwszego sekretarza. Zwyczajowy wystrój, składający się z drewnianych boazerii i państwowych mebli, wzbogacały dziesiątki „pamiątek”, przysłanych z podbitych w lepszych czasach europejskich zamków i pałaców. Znajdowały się tam rogi jeleni, patery, obrazy, w rozmaitych stylach i z różnych epok, za to cudownie piękne, inne niż tutejsze „antyki” i bardzo cenne.

Stukanie do drzwi wyrwało marszałka z nużącej lektury sprawozdań. Gdyby nie nadejście gościa, zapewne zapadłby w jedną z coraz częstszych drzemek, z którymi już nie potrafił sobie radzić.

– Towarzyszu marszałku – rzucił od wejścia Aleksiej Darijew,

przybierając postawę zasadniczą. Sam już niemłody, swoje widział, wojował jeszcze pod koniec wielkiej wojny, kiedy osłaniał przebijanie się korpusów z Polski. Potem skazał na śmierć niejednego kołchoz, który podniósł rękę na władzę sowiecką, a mimo to, a może przez to raczej ten starszek w mundurze wzbudzał w nim szacunek.

Sprawiał, że czuł się jak kapral, nie generał. Nie zastanawiał się za wiele, czemu tak się dzieje. Kuzniecowa mu zaufała, wyciągnął gdzieś z Białorusi, z granicznego okręgu. Dał mu posmakować wielkiej władzy, jaka przypadła każdemu zausznikowi. I choć czasem przychodziły do głowy niewdzięczne rozważania, czemu po tylu latach generał Darijew nie miał jeszcze poważnego stanowiska w partii albo rządzie, czemu nie dowodził okręgiem, uwielbienie nie gasło. Aleksiej Darijew nie zauważył, kiedy z oddanego żołnierza stał się ślepo posłusznym niewolnikiem, który poza służbą nie ma nic.

– Co słyhać, Alosza? – Kuzniecowa ocknął się, rozejrzał po pokoju, chyba sprawdzając, czy ktoś jeszcze przyłapał go na słabości, i zaraz przyozdobił twarz w szeroki uśmiech.

– Towarzyszu marszałku, meldują ze Swobody, że wszystko gotowe. Teren i budynki przygotowane, wojsko uświadomione. Telewizja i kronika mają zabezpieczyć przekaz. Nasi z wydziału politycznego potem przerobią do posłania w świat. Nowego sprzętu użyją, prezentu od Niemców z Siemensa. Powinno być wzorowo. Kolorowa taśma też nagromadzona. Na otwarcie kołchozu i potem na manewry Korpusu Szybkiego. Oczywiście materiał przemontują w odpowiedniej proporcji, zgodnie z wytycznymi. Osiemdziesiąt procent rolnictwa do dwudziestu czołgów i straszenia. Niemcy obiecali puścić u siebie i propagować, że zaczyna się nowe.

– Tak – westchnął marszałek i spojrzał za okno. – Czołgów na obrazkach więcej dajcie Arabom i do Afryki. Oni lubią siłę, a nie wyznają się na dobrej propagandzie. Niech się nas boją... Ktoś musi robić porządek. Kij i marchewka. – Ramiona zafalowały mu od cichego śmiechu. – Coś jeszcze?

– Polacy ruszyli kilka jednostek bliżej granicy. – Darijew mówił prędko, podekscytowany, poddając się wątpliwościom. – Alarmy, pogotowia, coś mogą szykować? Amerykanie też się wiercą... „Zefir” milczy.

Kuzniecowa zasępił się na dłuższą chwilę i zaczął intensywnie myśleć, marszcząc przy tym brwi. Naraz przyszło olśnienie.

– Spokojnie – marszałek pokręcił głową nieomal zażenowany – znam raporty, wiem co się dzieje. Główny kowboj przylatuje, a my im robimy fajerwerki, więc muszą się pokazać, zabezpieczyć. Przygotować. A „Zefir” dobrze, że siedzi cicho. Dobry jest. Widzi, że się robi gorąco, przysiadł i przeczeka. Teraz pewnie wszystko tam kontrolują, podsłuchują. Nie przejmuj się tak bardzo... My robimy pokazówkę, to i oni mogą. No ale do ważniejszych spraw. Leonid jak?

– Już gotów... To znaczy prawie – zmieszał się Darijew. – Uczy się roli. Do tego czyści struktury. Daje swoich i przejmuje sprawy... Nie do końca zadowolony. Wiedział, że miło nie będzie, ale chyba się wystraszył...

– Niech nie marudzi. – Marszałek wstał, wyraźnie poirytowany. Przeszedł bliżej okna, poruszając bezgłośnie ustami. – Żebym ja go nie wystraszył – fuknął. – Zna swoje zadanie. Epokowe zadanie. Skrewi, zniszczy to, co planujemy, to ktoś mu przypomni, dzięki komu dostał stołek. – Odwrócił się w stronę Darijewa i zrobił kilka kroków. – Jeśli nie ja... – zabrzmiało poważnie i bardzo trzeźwo, jak słowa człowieka, który nagle przypomniał sobie o swojej ułomności – ty to będziesz musiał zrobić.

Dłoń staruszka spoczęła na ramieniu Aleksieja, kiedy marszałek uśmiechnął się dobrotliwie, niczym własny dziadek Darijewa.

Generał wyprężył pierś, godnie znosząc to namaszczenie, zapowiedź przyszłych, jak sądził, zaszczytów. Starzec nie zapomniał o nim. Zaplanował wszystko. Zaświtała jedna wielka myśl: „Następca”. Darijew nie potrafił opanować rosnącego wzruszenia. Zaraz jednak posmutniał, co nie uszło uwagi Kuzniecowa.

– Wiem, wiem... – Marszałek opuścił wzrok, chyba lekko speszony. Nie był dobry w pocieszaniu. – Brat. Chciałbyś, żeby i brat wiedział... Dobry towarzysz. Też wiele pomógł. – Zrobiło się cicho.

Darijew rozważał, czy kiedy to wszystko się skończy, nie ruszyć do Francji. Samemu działać albo przygotować zespół, śledztwo, ale zaraz stało się dla niego jasne, że to bzdura. Nikt nie pozwoli mu wyjechać ani nie da ludzi, żeby szukać brata. Trzeba było pilnować wszystkiego tutaj, patrzeć

nowym na ręce i dawać do zrozumienia, że ich swoboda ma granice. Niczym kojec z drutu kolczastego.

Prócz tego nadchodził wstrząs, wielki, przemyślany, choć niepewny. Dlatego postanowił odesłać rodzinę daleko od Moskwy, w cieplejsze miejsce, gdzie łatwo ich nie znajdą. Ktokolwiek, kto nie byłby zadowolony z jego awansu.

– Nasz człowiek już w Polsce. – Darijew przerwał krępującą ciszę, odsuwając wspomnienie brata. Jurij był nieważny w obliczu historii, którą teraz on sam współtworzył. – Był meldunek – wrócił do spraw służbowych.

Kuzniecowa uniósł szelmowsko kącik ust i wybuchnął głuchym śmiechem.

– Trzymaj kciuki, Aleksiej, trzymaj mocno kciuki!

Warszawa, Polska | 3 kwietnia 1964

Ciągle jeszcze rekonstruowany i dopieszczany Pałac Saski od kilku dni chroniło więcej ludzi niż ostatnio. Udawało się to robić bez ostentacji, bez zamętu i wzbudzania strachu wśród warszawiaków. Kilka dodatkowych patroli, podwójne warty wewnątrz i specjalnie wydawane w tym cichym stanie zagrożenia przepustki.

Przechodnie i postronni obserwatorzy nie czuli większego dyskomfortu. Życie biegło swoim torem, nic specjalnego już się nie działo, żadnych ataków ani zamachów. Kilka zmyślonych prasowych artykułów o schwytaniu wykonawców zajęć nieco ostudziło wojownicze zapędy w społeczeństwie.

Wydawało się, że sytuację opanowano, ale trzeba było ją monitorować. To nie było najbezpieczniejsze miejsce w Europie. Miliony Polaków i sojuszników żyły w cieniu wiszącej gdzieś nad nimi kolejnej wojny. Teraz na to wszystko miał przylecieć prezydent USA, sprzymierzonego kraju.

Przez ten cały galimatias kilku więcej ludzi w polowych mundurach i z bronią wokół Sztabu Generalnego nie robiło wrażenia.

Za to wewnątrz, niżej w podziemiach, spokój był odległym wspomnieniem.

Z zewnątrz nie było widać tej szaleńczej krzątaniny. Setek rozmów, rozsyłanych kodowanych instrukcji, telefonowania i narad poszczególnych pionów. Jednak nie było paniki, bo i nikt prócz chyba samej góry nie rozumiał, po co to wszystko, skoro żadnej wojny nikt nie wypowiedział.

Całość przygotowań zrzucono na karb planowanej wizyty i „przesłanek mówiących o możliwych zajściach”, jak głosił wewnętrzny okólnik.

Prócz tego sztab nie był zbiorem amatorów ani głową siły zbrojnej, którego otoczenie geograficzne oszczędzało wymagań. To nie była Hiszpania albo Włochy, choć tam Jugosławia dawała wiele do myślenia.

Polska była krajem frontowym, wielkim lotniskowcem, który wyrwał się z opresji, ale jego los ani przyszłość nie zostały uregulowane. Wszystko było w zawieszeniu. Granice, bezpieczeństwo zależały od wahań nastrojów władców Kremla, którzy mimo że bali się otwartej konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi, mogli połasić się na zajęcie głównego „mostu” łączącego ich z Niemcami i Europą.

Ich plany, nie raz dostarczone przez rzesze uciekinierów różnych stopni i funkcji, zdradzały taki zamiar, choć ciągle uznawano, że sił nie stanie. Ale mogła to być zwykła dezinformacja. Toteż Wojsko Polskie latami tkwiło w permanentnej gotowości. W wielkim, uciążliwym wysiłku samodoskonalenia się i ćwiczeń, jakby wojna miała spaść za kilka dni. I tylko zrozumienie patriotycznego obowiązku i prosperująca gospodarka pozwalały zachować zdolności na poziomie choć trochę zbliżającym się do potęgi wschodniego sąsiada.

Wśród pułkowników i majorów z oddziałów sztabu nikt nie wiedział jeszcze, że ten moment, na który wszyscy czekali, właśnie się zbliża. Nikt też nie mógł być świadom, że założenia konfliktu będą inne niż planowane w najczęściej stosowanej doktrynie. Jednak ścisłe kierownictwo wiedziało wszystko.

Pokój operacyjny był cudem techniki. Telewizory, łączność specjalna, rzutniki i najdokładniejsze, podświetlane mapy rozwieszono za szkłem po obu stronach stołu konferencyjnego.

Wszystko w delikatnym szumie zagłuszonek, wśród wyciszonych, obitych ciemnym pluszem ścian.

– Reasumując nasze zabiegi z ostatnich dni... – Generał broni Antoni Walczuk stał w dumnej pozie naprzeciw mapy pogranicza. Roilo się na niej od niedużych symboli własnych i wrogich wojsk. Linia czerwona ciągnęła się od samego Leningradu, wzdłuż Konfederacji Pribałtyki aż do Lwowa i jeszcze dalej i głębiej.

W pomieszczeniu zebrał się kolektyw dawnych druhów, wypróbowanych na frontach żołnierzy, choć nie tylko.

Generał dywizji Piotr Kozikowski, dowódca wojsk lądowych; Walczuk, weteran walk z Niemcami, a do tego „buntownik” z czterdziestego piątego roku; admirał Bogusław Wardak, dawny oficer na polskich okrętach bazujących w Wielkiej Brytanii; generał dywizji Stanisław Skalski, as, legenda, autorytet; prócz tego generał brygady Fiszer, siwy dowódca operacyjny, również dawny „buntownik”. W połowie stołu zasiadał wyraźnie podniecony, wiercący się generał Oleg Wałaganin, dumny, szczupły, noszący się prosto szpakowaty oficer, kamandir Korpusu Białorusyjskiego. Trzecia osoba poinformowana o tym, co planowano dopiero omawiać.

Prócz tego obecni byli: szef intendenty, pułkownik Kowalewski, reprezentant młodszego pokolenia; pułkownik Ryszel, szef wydziału planowania; oraz ten, od którego wszystko się zaczęło. Szef Oddziału II, generał Przeszło-Stępniakowski.

Ten ostatni co raz popijał mocną kawę, która chyba jako jedyna trzymała go przy życiu i w świadomości. Wielu myślało, że szef „Dwójki”, z twarzą jak z kamienia, nie traci opanowania i trzyma nerwy na wodzy. Lubił, gdy tak myśleli, pasowało mu to. Rósł w oczach otoczenia.

On jednak walczył z obezwładniającym znużeniem i spod coraz cięższych powiek obserwował, czekając reakcji. Sądził, że to, co przedstawił szefowi sztabu, wyliczenia wojskowych instalacji Sowietów za granicą, ale i dowody na wywoływanie niepokojów w kraju przez sowiecki wywiad wzburzą oficerów. Wzburzą, lecz również obudzą opór i wątpliwość, tak jak u nieszczęsnego Dobrowolskiego.

Tymczasem Przeszło-Stępniakowski spotkał się z czymś zupełnie przeciwnym. Stara gwardia, dawni wojownicy wielkiej wojny, nie oponowali. Młodszy oficerowie, powojenny narybek, też trzymali się dzielnie,

nie wyłamując z szeregu.

Nie było rzecz jasna entuzjazmu, zbyt wiele wspomnień i gorzkich doświadczeń, ale wygrywało wpojone poczucie obowiązku. Jeśli „Dwójka” dostarczała jeszcze podpowiedzi, jak i kiedy wykorzystać sytuację, by odzyskać to, co przepadło ku wielkiemu żalowi prawie dwadzieścia lat temu, sytuacja zdawała się całkiem dobra.

Nie bez obaw i ryzyka, ale mieli przewagę.

– W obecnej chwili uważam – chrząknięcie Walczuka wyrwało Pawła z zamyślenia – że zbliżamy się ilościowo do stanów nieprzyjaciela, jeśli porównać nasze oddziały i jednostki wrogie w pasie kresowym. – Generał użył nieco sentymentalnej nazwy, stosowanej w sztabie do określenia utraconych przedwojennych ziem. – Dołączając do tego siły sojusznicze... mam na myśli jednostki USA, uzyskujemy równowagę – łągał sprawnie, jako że angażowanie sił sojuszniczych było kwestią dopiero nadchodzących ustaleń, które obiecał przygotować Stępniakowski.

Bez nich, bez wsparcia – choćby minimalnego – ze strony Ameryki cała sprawa mogła spalić na panewce. Była hucpą i awanturnictwem, a nie obroną własnej państwowości.

Bezpodstawnej napaści nie wsparłoby rozdiskutowane NATO, potępiłby ją świat i całe to zebrane w podziemnym pokoju towarzystwo zmuszone by było co najmniej udać się na emerytury.

– Dzięki posiadanym od niedawna wiadomościom – Walczuk powiódł stalowym wskaźnikiem wzdłuż linii Bugu, robiąc ukłon w stronę Przeszło-Stępniakowskiego – możemy potwierdzić, że wróg permanentnie szykuje się do działań zaczepnych. Lub silnego kontrataku po krótkiej obronie. Planuje wyjść na tyły atakujących wojsk i okrążyć je długimi manewrami. Obrona i kontrnatarcia są to jednak warianty drugorzędne. Czyli przeciwnie niż w naszym wypadku – próbował wysilić się na żart, ale nie udało się.

Miny zebranych wyraźnie wskazywały, że atmosfera jest ciężka. Znali to wszystko, ale słuchali cierpliwie, chcąc zobaczyć szerszy obraz, jakby dało się wypatrzeć większe szanse.

– Nieprzyjaciel – Walczuk niezrażony perorował dalej – jak wiadomo też

z wcześniejszych ustaleń, posiada od brzegu Morza Bałtyckiego po Karpaty dwadzieścia jeden dywizji. W tym dwanaście pancernych.

Po sali przeszło ciche westchnienie, jakby ta liczba za każdym razem robiła piorunujące wrażenie.

– Drugi rzut – kontynuował szef – rozlokowany bliżej Leningradu, Smoleńska i na wschód od Kijowa, dysponuje również dwunastoma dywizjami pancernymi. Liczbę dywizji zmechanizowanych określa się na czterdzieści do pięćdziesięciu, plus pięć dywizji kadrowych w rezerwie. Do tego cztery dywizje pancerne i drugie tyle zmechanizowanych stacjonuje na Bałkanach. Liczby dotyczące Dalekiego Wschodu czy Kaukazu są niewielkie, ale teraz nas nie interesują. Jak widać, największy komponent swoich sił Moskwa wystawia w europejskiej części kraju. Widzimy dobrze, że teoretycznie naziemne siły konwencjonalne są ogromne. Wiemy też jednak, że ostatnimi czasy podupada morale nie tylko wojska z poboru, które cierpi na niedostatki w wyżywieniu. Nawet kadra oficerska boryka się z pewnymi rozterkami, ale tu wróg trzyma rękę na pulsie. Dzięki wywiadowi wiemy, że utrzymanie arsenału strategicznego wysysa z budżetu ogromne kwoty, przez co w ostatnim czasie w ramach oszczędności uznano za stosowne podtrzymanie ciągłej operacyjności korpusów i armii w okręgu granicznym. Reszta czołgów i wozów bojowych ma czekać na czas „W”. Pozostałe okręgi składają się z jednostek o połowicznych albo jeszcze mniejszych stanach ludzi i wyposażenia.

Oficerowie chłonęli każde słowo. Robiło się naprawdę ciekawie.

– To samo dotyczy sił powietrznych.

Generał wskazał na Skalskiego, chyba dając mu znak, żeby tak mocno się nie frasował danymi o potęgze czerwonej awiacji. Choć na jego barkach spoczywało pierwsze uderzenie, a co za tym idzie powodzenie reszty sił.

– I tu właśnie, panowie, sytuacja robi się ciekawa. – Walczuk otarł brew kciukiem. – Skory jestem rzec, że nawet optymistyczna dla nas. Otóż w pasie granicy Rzeczypospolitej wróg utrzymuje sześć dywizji pancernych i dziewięć dywizji zmechanizowanych. Krótko mówiąc, panuje tam potworny ścisk. – Ten żart udał się lepiej i co poniektórzy nawet się uśmiechnęli. – Dodać należy, że tak duże zgrupowanie uderzeniowe nie może pozostawać

bez osłony. Byłoby to wbrew wszelakim zasadom. Tak więc nasze drogocenne źródła podają, że za strefą graniczną Sowietów do działań przesłonowych, czyli obronnych, wykorzystują trzy dywizje zmechanizowane i kilka pułków wojsk granicznych. Wszystko rozciągnięte na długim obszarze. Prócz tego w obronie zgrupowania udział bierze jedna dywizja pancerna, Piąta Gwardyjska, oraz dwa pułki oddelegowane z innych związków taktycznych. Działają na ciasnym odcinku Kowel–Małoryta. Jak już wspomniałem, Sowietów uznają za najlepszą formę obrony szybki manewr kontrnatarcia, głównie na skrzydłach, i wyprowadzenie głębokiego uderzenia. Jeśli mają się obawiać napaści NATO, to w dwóch punktach najbardziej. – Wskaźnik powędrował w górę mapy. – Z krajów bałtyckich na kierunek leningradzki lub wschodni i południowo-wschodni. W ich mniemaniu, górne kleszcze. Tu też, w przypadku napaści z ich strony, ma wyjść jedno z głównych natarć z wybrzeżem Bałtyku, a potem Królewcem jako celem głównym. Drugi najsilniejszy punkt obrony znajduje się na południu, naprzeciw rejonu umocnionego Lwowa. Tam zgrupowano gros sił osłonowych, za nimi stoją dywizje, które w przypadku wojny zaczepnej mają obejść miasto wzdłuż pasa gór i od południa uderzać na Warszawę, odcinając drogę zaopatrzenia do Lwowa. Tak oto w centrum, między linią Bugu a południowym skrawkiem mokradeł Polesia, pozostaje luka. Tu wróg sił ma najmniej i są bardzo rozciągnięte albo to zwykła pozoracja. Dodatkowo pocieszę panów, że analizując raporty KOP z ostatnich kilku miesięcy w tym rejonie, muszę przyznać, że działania Sowietów są jakieś niewyraźne. Bo jak tłumaczyć masy uciekinierów przebijające się przez pas graniczny przy takim nasyceniu wojskiem? Dodać należy, że mamy rozpisane stanowiska stacji radiolokacyjnych. Tych stałych w stu i tych ruchomych w sześćdziesięciu procentach. Podobnie jest z lotniskami i bateriami pocisków ziemia–powietrze. Tak więc wygląda na to, że wielka potęga naszego sąsiada może okazać się mitem, kłamstwem, którym straszą. Wróg zmusza nas od lat do utrzymywania wielkich sił na granicach, wydatków i wysiłku całego społeczeństwa, ciągłej gotowości. Straszy nas tym, co w rzeczywistości jest parawanem, potiomkinowską wsią.

Generał oparł wskaźnik o podłogę niczym karabin, zmarkotniał.

– Niestety, panowie, jak wiecie doskonale, będzie nam dane sprawdzić to na własnej skórze. Zostaliśmy podstępnie zaatakowani. Nie padają na nas

bomby, dywizje nie przechodzą granicy. Bo to nowy atak, nowa wojna, ale giną w niej nasi rodacy. Otrzymaliście rezultaty gorączkowych prac wywiadu, który ponad wszelaką wątpliwość wykazał, kto stoi za zamachami sprzed kilku tygodni. I najprawdopodobniej nie koniec tego. – Ostatnie brzmiało tajemniczo, ale Walczuk nie miał zamiaru rozwijać. – Czas to trudny, ryzykujemy wiele, ale mamy spore środki i siły. Jesteśmy przygotowani, zdeterminowani i posiadamy wsparcie potężnego sojusznika. Znają panowie założenia koncepcji sprzed kilku ładnych lat. „Ogień sprawiedliwości” naszkicowany został zawczasu przez poprzedników na takie właśnie sytuacje. Koncept nie postarzał się mocno, jednak wymagał naniesienia pewnych poprawek. Pan pułkownik Ryszel, jak wiem, dokonał cudu, opracowując nowe założenia w oparciu o możliwości rodzajów sił zbrojnych i sztabów. Podziwiam i gratuluję.

Lekko się skłonił, szczerze ujęty pracowitością młodego pułkownika.

– Kolejny dowód na nasze możliwości i zapał oficerów i żołnierzy – dodał pochwałę, po czym wrócił na stare tory. – Panowie znają to z opracowań we własnych gremiach. Ja omówię to ogólnie, a potem zostanie kilka dni na wspólne opracowanie szczegółów i wprężenie czynnika amerykańskiego. Otóż – znów stuknął metalowym kijkiem o mapę – operację rozpoczniemy od silnych uderzeń z powietrza. Sytuacja, o której nie mogę tu mówić, wymaga, byśmy rozpoczęli je piątego kwietnia. Neutralizacją pierwszych stacji radiolokacyjnych zajmie się eskadra „duchów” z Królewca. Kiedy wróg zostanie oślepiony, pierwsza fala maszyn Pierwszego Pułku, z Trzysta Trzecią Eskadrą na czele, rozpocznie wyrąbywanie korytarzy na odcinku od Przemyśla po Grodno. Szczegółową listę celów posiada pan generał Skalski. To w pierwszej kolejności stacje radiolokacyjne i baterie rakiet ziemia–powietrze, centra dowodzenia. Równolegle należy zneutralizować jak największą liczbę maszyn na lotniskach przyfrontowych. Te ulokowane są w dość znacznych odległościach od granicy, ale to tylko lepiej. Gdy zostaną obezwładnione, wsparcie z głębi kraju będzie trudniejsze. Ponadto liczymy na sprawny parasol ochronny naszych i alianckich myśliwców oraz powietrznych centrów ostrzegania...

Z każdym słowem Skalski przytakiwał, kiwając głową, ale oczy wyrażały raczej rosnącą trwogę.

– Wiem, że to zadanie trudne. – Walczuk był na tyle doświadczony, że potrafił odczytać wątpliwość z ludzkiego oblicza. – Wielka bitwa godna obrony Londynu, panie generale – uczynił uprzejmie analogię, choć wiedział, że różnica była ogromna. – To jak most powietrzny do Czechosłowacji w czterdziestym piątym.

Kiwnął na Kozikowskiego, który z pełnym uznaniem potwierdził, wracając wspomnieniem do swojej walki w okrążeniu, kiedy ważyły się losy powstania i tego, czy alianci uznają buntowników za swoich.

– Tym razem jest nawet gorzej, bo nie wiemy do końca, co się wydarzy. – Szef sztabu zaczął chodzić wzdłuż stołu. – Ale nasi lotnicy są doskonale wyszkoleni! – Podniósł palec ku sufitowi, rozpoczynając motywującą przemowę. – Potraficie zaskoczyć prędkością i precyzją. Amerykanie, Brytyjczycy i Izraelczycy bardzo was chwalą! Wiem, że dacie radę. Pan pozwoli, panie generale, że zdradzę kilka szczegółów? – zapytał retorycznie dowódcę lotnictwa. – Uderzenie pójdzie z trzech stron. Główne na odcinku centralnym. – Przyłożył ramię do mapy. – Pozostałe, z południa i z nad Pribałtyki, będą uderzeniami pozorowanymi albo nakierowanymi na najważniejsze instalacje. Wszystko przy wsparciu myśliwców i rakiet, które mają obezwładniać cele nam znane i wykryte przez nasze siły specjalne. Eskadry będą musiały dokonywać ciągłych nalotów, aż do skutku. Ciężka praca przed wami, oj, ciężka. – Walczuk gwizdnął. – Przelot na minimalnej wysokości. Wykrycie celu, nalot, jeśli trzeba powtórzenie przy użyciu broni pokładowej. Powrót, tankowanie, dozbrojenie i znów w powietrze...

– Jak Francuzi w Egipcie w pięćdziesiątym szóstym. – Generał Kozikowski w mig wyłapał podobieństwa do szybkiej wojny o Kanał Sueski.

– Dokładnie tak – generał Stanisław Skalski potwierdził z lekkim zakłopotaniem, chyba obawiając się posądzeń o czerpanie z już przeprowadzonych wojen, co mogło być ryzykowne – łatwiej było przygotować antidotum. – Moi chłopcy dadzą radę. – Uznał, że należy bronić własnego pomysłu. – Naszą zaletą jest zaskoczenie. Sowieci, o ile wiemy, nie podnoszą alarmu, przynajmniej oficjalnie nic na to nie wskazuje. Udają grzecznych. W Egipcie napięcie rosło tygodniami, a mimo to misja się powiodła. Tutaj, by zaskoczyć Sowieców, eskadry z zachodu Polski udadzą się na misję prosto ze swoich baz. Po wszystkim będą lądować w nowych

rejonach, które należy natychmiast wyznaczyć... Istotne będzie zabezpieczenie terytorium przed ewentualnym odwetem i nalotami z południa, od strony Rumunii. Tych rejonów nie nakazano atakować...

– Dobrze, dziękuję – Walczuk przerwał w uprzejmy sposób opisy lotniczych założeń. Mieli jeszcze wiele do omówienia. – Podczas wykonywania uderzeń powietrznych musimy przeprowadzić koncentrację jednostek drugorzutowych. Większość oddziałów pierwszorzutowych stacjonuje wzdłuż granicy, w niemal ciągłej gotowości, więc nie ma tu problemu. Jesteśmy gotowi. Chodzi o zebranie wszystkich pododdziałów i służb oraz ich zaopatrzenie. To już się dzieje. Bez rwetesu i fleszy, głównie nocami. Uruchomiono składy przy granicy. Sprzęt zwożony jest w kółko i w ciągu kilku dób osiągniemy osiemdziesiąt procent wymaganej siły. Główne siły nie mają daleko. Gdyby potrzeba było, rząd ogłosi powszechną mobilizację. Jednak na razie starczą nam te siły, którymi dysponujemy. Przed rozpoczęciem akcji powietrznych – spojrzał na dowódcę marynarki – zespoły bojowe osłonią trałowce, których zadaniem będzie zaminować podejścia do Leningradu. Finowie zapewne przyklasną takim akcjom, o Łotyszach i Estończykach nie wspomnę. – Sięgnął po dzbanek z wodą, nalał do szklanki i wypił spory łyk. – Teraz ład. – Chuchnął z ulgą. – Pierwsza Dywizja Spadochronowa w dwóch rzutach będzie miała za zadanie opanować mosty na bliskim zapleczu frontu, skrzyżowania i wzniesienia, blokując postępy odwodów i zaopatrzenia. Podobnie pułk komandosów. Pierwsza i Druga Dywizja Pancerna przyjmą na siebie główne zadanie przedarcia się przez pas obrony wroga, na osi Brześć – Łuck, i potem skręt na południe celem otoczenia sił bolszewickich na głównym kierunku. W sukurs dywizjom pancernym pójdą Pierwsza, Druga oraz Siódma Dywizja Zmechanizowana. Będzie to Korpus Pierwszy pod dowództwem pana generała Kozikowskiego. – Wskazał na weterana. – Przełamania bardziej na południe, gdzie nasilenie sił jest największe, dokonają główne jednostki korpusu generała Olega Wałaganina. – Zrobił pauzę. Wszyscy niby to przypadkiem zapatrzyli się w swoje notatki, spozierając spod oka na Rosjanina. Walczuk też czekał na jakiś protest, wybuch. Pierwsza reakcja, kiedy przedstawili wraz z Stępniańskim swój pomysł, była nader pomyślna, ale czas płynął i Rosjanin mógł przemyśleć kilka spraw.

Nic nie zaszło. Generał wyprężył się tylko dumnie i zaraz błysnął zębami

w uśmiechu.

– Bardzo dobrze – odparł pewnie, nawet chyba wzruszony.

Nie widział w tym wysyłania swoich ludzi na rzeź, na pierwszy ogień. To była szansa. Epokowe dzieło. Mieli raz na zawsze pokazać, że są bitnym wojskiem, a przede wszystkim nowym szczepem Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, którzy chcieli ruszyć i obalić system.

– Tak więc – Walczuk odetchnął z wyraźną ulgą – w pierwszym rzucie uderzą dwie białorusyjskie dywizje pancerne, cztery pozostałe dywizje strzeleckie oraz Pierwsza Brygada. Za nimi do obsady flank i do wyjścia na tyły wyruszą polskie i amerykańskie dywizje zmechanizowane. To ramię ma posuwać się równoległe do polskiego, skręcić na północ i zamknąć kocioł. Jak panowie widzą, Czwarta Dywizja Pancerna z rejonu północnej Polski i Litwy ma trzymać flankę i reagować na prawie pewny kontratak na polskorosyjski klin. Północna część, Korpus Trzeci, ma intensywnie pozorować przygotowania do wyprowadzenia uderzenia na Leningrad. Być może uda się ściągnąć gros sił sowieckich. Zatem to operacja kombinowana. Obronna w założeniu, ale wymagająca elastyczności.

Walczuk przerwał na chwilę, napił się wody.

– Podobne zadanie będzie miało zgrupowanie lwowskie z Dziesiątą Dywizją Pancerną oraz Czwartą, Piątą i Jedenastą Dywizją Zmechanizowaną. Formowana Dwudziesta Dywizja Pancerna pozostanie w rezerwie, podobnie jak dwie dywizje zmechanizowane i desantowe. Dodatkową sprawą, jaką opracowujemy w ramach planu „Ogień sprawiedliwości”, jest włączenie pewnego komponentu logistycznego, który w warunkach bolszewii może być bardzo istotny. Ale o tym poinformuję w późniejszych pracach. No dobrze, idźmy dalej.

Generał rozejrzał się po twarzach oficerów. Wyglądali na skupionych i zasłuchanych.

– Cele, panowie. Wojna musi mieć cel. Korzystając z zaczepnych zapędów Sowietów, uznajemy, że daje to nam asumpt do odebrania naszej własności. Celem uderzenia zostaje linia granicy ryskiej. Następstwa polityczne naszych działań pozostawiamy rządowi i panu prezydentowi. – Walczuk rzucił porozumiewawcze spojrzenie ku Stępniakowskiemu. Ten

udał, że nie słyszy.

– Spodziewamy się odwetowych działań bolszewików. Zagrożone będą Warszawa, Wilno, Lwów, ale też szereg innych miast, i to nie tylko polskich. Jak wspomniał pan generał Skalski, nie można wykluczyć ataków od strony Bałkanów, ale tu tamę stanowią siły powietrzne sojuszników. Natomiast nasze społeczeństwo jest dobrze przygotowane do alarmów, ale ważne jest, by jak najszybciej odepchnąć siły nieprzyjaciela od obecnej granicy. Wielkie nadzieje wiążemy z pomocą amerykańskiego lotnictwa strategicznego, które będzie razić odleglejsze cele, takie jak wyrzutnie rakiet. Podobnie jest z pomocą sąsiadów pod względem wzmacniania naszej obrony przeciwlotniczej.

Antoni Walczuk zamilkł. Popatrzył po twarzach oficerów. Jeśli chwilę temu akceptowali to wszystko, mieli zapał, to teraz, kiedy wszystkie skrawki układanki złączyły się w całość, miny zrobiły się zatroskane. Nerwowo stukali ołówkami w papier, przygryzali wargi, ale nikt nie miał zamiaru przyznawać się do tego, co czuje w tym momencie.

– Powtórzę, panowie – ton Walczuka się ocieplił – istnieje szansa, wielka szansa... – Znów odszukał wzrok szefa wywiadu. – Która da nam kilka godzin przewagi – powiedział wolno, cedząc wyraźnie każde słowo. – Nie spodziewają się nas, a jak widzicie, wiemy o nich wiele. Biorąc pod uwagę wsparcie Amerykanów...

Paweł Przeszło-Stępniakowski pierwszy raz tego dnia odczuł narastający niepokój. Zacisnął palce pod stołem, zmusił się, by nie zdradzić się żadnym gestem ani tikiem.

Wiedział, że to, czym pociesza niczym dobry tata Walczuk, zależy od niego. Od jego wizji, pomysłu i realizacji. Trzymał rękę na pulsie. Nawet gdyby piątego doszło do dalej idących zawirowań, to przecież wszystko i tak szłoby po jego myśli. Tylko wojna będzie dłuższa i gorętsza. Nagle poczuł się bardzo samotny.

Ludzie i tak mieli ginąć. Pytanie, które trzeba było sobie zadać, dotyczyło tego, czy lepiej, by teraz poległo kilka tysięcy, czy żeby za rok, za dekadę, zapłonął cały kontynent.

ROZDZIAŁ 5

Lubelszczyzna, Polska | 3 kwietnia 1964

Z wysokości las wydawał się wielką, naturalną puszczą, wrosłą w krajobraz setki lat temu. Wysokie drzewa przywodziły na myśl niezliczone bogactwo fauny i flory kryjące się w mroku pod konarami.

I tylko kiedy człowiek zbliżał się do tego ogromnego kompleksu, z każdym metrem wszystko stawało się mniej naturalne i podziw gdzieś ulatywał. To nie były gęste, na wpół dzikie ostępy mazurskich czy pruskich puszczy.

Czapa drzew imponowała, ale boki tego zielonego zakątka były niemal zbyt idealne. Ten wiekowy las, który przetrwał wojny i burze, został rozciągnięty przez człowieka o wiele dalej i stworzył doskonałe schronienie dla ludzkich przedsięwzięć.

Zielony jak las pod nim Huey, z wymalowaną na drzwiach ładunkowych kotwiczką wpisaną w sztylet, leciał pierwszy w niedużym konwoju dwóch maszyn. Za nim podążał transportowy, bardziej dostojny polski SW-10.

Maszyny obleciały bór od strony wijącej się nitki Wisły i skierowały się na Dęblin. Odbiły w bok wzdłuż niewidocznej z powietrza, zamaskowanej szosy i zniżając się, zbliżyły do niewielkiego betonowego placu.

Takich małych lądowisk okolica kryła sporo. Wymóg nowych czasów, kiedy zaopatrzenie z jednego z największych składów należało ładować na śmigłowce, gdy zachodziła taka potrzeba.

Dwie maszyny siadły sprawnie na ciasnym placyku. Pilot sarkał coś, że miejscowi powinni przyciąć gałęzie, zanim dojdzie do wypadku, ale zaraz się uspokoił. Jemu też nerwowy czas dawał się we znaki. A miało być tylko gorzej.

Bartek Karpacki wyskoczył z maszyny. Wirnik jeszcze pracował, wzbijając resztki kurzu i ograniczając widoczność.

Pod konarami iglastych drzew zdawało się chłodno i ponuro. A może był to tylko kontrast z bezbrzeżną wolnością, z jaką kojarzyły się Bartkowi loty śmigłowcem. Kiedy silnik przycichł, zza ściany zieleni doleciały odgłosy ciężarówek i jakichś innych aut. Ruch tutaj był duży. Nic dziwnego.

Wokoło aż się kotłowało od wojskowych konwojów i transportów. Szły bocznymi drogami, czasem nocami, podzielone na małe grupki, chyba żeby zmylić wroga. Ale tamten musiałby być ślepy, by przez swoich szpiegów nie dostrzec, że coś się szykuje.

Unoszący się w powietrzu zapach spalin i benzyny mieszał się z wonią napięcia i niepokoju.

– Panowie do mnie. – Pod ścianą drzew przy amerykańskiej ciężarówce stał pulchny podoficer, wyglądający na zmęczonego wizytacją.

Bartek spojrzął na idącego za nim Zenka. Chciał coś powiedzieć, szepnąć, że tamten wygląda jak prawdziwy, wypisz wymaluj, kwatermistrz. Okrążył na buzi, z lekko już wystającym brzuchem nad pasem.

Uznał jednak, że są za blisko i lepiej dać sobie spokój z uwagami.

– Porucznik Karpacki – rzucił tylko poważnie.

Pulchny stanął na baczność, bo do tej pory nie widział na maskujących mundurach żadnego stopnia. Uwierzył, opierając się na stanowczym tonie Karpackiego.

– To podporucznik Warten. – Bartek wskazał na kompana. – Macie, chorąży? – zapytał jakby od niechcienia. Nie tracił czasu.

– Oczywiście – zameldował służbowo podoficer i wskazał na ciężarówkę. – Kopecki jestem, panie poruczniku. Dwadzieścia sztuk, to znaczy kompletów, czeka. Panowie pozwolą... – Podeszedł do paki, otworzył klapę i wskoczył do środka. Zarzucił na dach plandekę, prezentując zawartość. – Wszyscy dziś biorą... i wczoraj... Coś chyba, cholera, się święci? – Pokręcił głową, nie lada przejęty.

– Coś się święci – wymamrotał wpatrzony w nieduże płaskie skrzynie Warten.

Wlazł na pakę i sprawnie otworzył jedno metalowe wieko.

– Tak... Nasze zabawki. – Kiwnął na Bartka.

Karpacki drgnął. To już naprawdę robiło się poważne.

– Dobrze są, cholernie dobre. – Chorąży złapał za pałąk nad głową i próbował popisać się wiedzą, jakby mówił do byle poborowych albo zamierzał to sprzedawać i chwalił towar.

– Wiemy, wiemy, panie chorąży – stęknął Karpacki bliski śmiechu. – Dobrze to, dobre... No, w porządku. – Klasnął w dłonie. – Zbieramy się. Może nawet się pomieścimy. – Machnął na techników ze śmigłowców.

– Pan porucznik... – podoficer pomógł zdjąć skrzynię i zaraz skądś wyciągnął niewielki brulionik – zechce pokwitować.

Wojna wojną, ale w papierach musiało się zgadzać.

Wschodnia Polska | 3 kwietnia 1964

– Dzień dobry – głos i mina stojącego w progu pułkownika Węglińskiego były niepewne. – Zapraszam – wskazał na wnętrze i zamknął drzwi. Obydwaj przeszli do salonu.

– Naprawdę ładnie tu sobie pan mieszka – w zdaniu generała Stępniańskiego pomieszały się podziw i lekka kpina. Rozglądał się mętłym wzrokiem po salonie letniego domku. Bielone ściany, skóra z dzika na drewnianej podłodze, kominek, kilka tradycyjnych wiejskich mebli jakoś mu nie pasowały do postaci Jana Węglińskiego. Zdziwiło go to gustowne, rustykalne wnętrze zawsze, kiedy tu przebywał.

– Ty tutaj? Jak to możliwe? – Węgliński siadł na fotelu, wskazując gościowi skórzaną kanapę.

Paweł nie miał siły ani zamiaru bawić się w konwenanse. Był przecież u kumpla. Padł jak długi, nakrył się połami rozpiętego prochowca, który nosił na zwyczajnym garniturze. Zakrył oczy ramieniem, gotów zostać w tej pozycji na długo. Chwilę słuchał kojącego trzaskania palących się polan.

– Mam swoje sposoby, żeby się wyrwać. – Przemógł z wysiłkiem dopadający go sen. Nie mogło być miejsca na słabość... – Ciekawie tu masz, ciekawie... Daleko od szosy, od ludzi. Las, głusza... – Głos miał niewyraźny

i cichy. – Po wszystkim chyba i ja się tu gdzieś pobuduję...

– Po wszystkim. – Na samo wspomnienie Węgliński cały się spiął. Pochylił się, podpierając łokciami o kolana, i nerwowo zaczął zacierać ręce. – Jak sprawy? – ledwo przeszło mu przez gardło.

Generał otworzył oczy, obrócił się na bok i podłożył rękę pod głowę.

– Maszyna ruszyła – obwieścił zupełnie zwyczajnie, jakby mało go to obchodziło. – Plany w opracowaniach. Wojsko się koncentruje...

– Koncentruje – powtórzył Jan. – Sowieci jak? Domyślą się...

Generał zmarszczył czoło, słysząc w głosie kolegi ślad paniki.

Wstał. Wbił wzrok w tego prawie dygoczącego człowieka w pulowerze, dżinsach i kapciach. Mignęło mu przed oczami wspomnienie załamane Jana w szpitalu gdzieś w Niemczech, dawno temu. Wymazał ten obraz, tę zapaść człowieka, który omal nie zniszczył sobie kariery.

– Masz wątpliwości? – fuknął, wyraźnie bojąc się odpowiedzi.

– Nie, skąd. – Węgliński kłamał, ale zachował spokój. – Jesteśmy na ostatniej prostej... wolę mieć pewność.

– Dajemy przeciek do prasy o szykowanym poligonie. – Stępniakowski uznał się za uspokojonego. – Jeden w tę czy tamtą... – Machnął ręką. – Mamy solidne podstawy. JFK nas zaszczycyca.

Na sam dźwięk tych trzech liter Jan jakby pobladł i opadł w fotel. Wcisnął głowę w ramiona i mimowolnie zacisnął szczękę.

– Sowieci nie robią żadnych ruchów. Siedzą cicho... Może się uda – zabrzmiało jak ponury, marny żart.

– Może? – Węgliński głośno przełknął ślinę.

– Spokojnie, spokojnie. – Paweł przetarł twarz i ziewnął. – Drocę się.

Gdzieś od zachodu doszedł tłumiony murami hurgot przelatujących śmigłowców. Generał wstał i nieśpiesznie podszedł do okna, szukając źródła dźwięku na szarzejącym niebie.

– Bolszewicy robią wszystko zgodnie z planem. Nasz pan turysta jest już

u nas. Mości sobie gniazdko – przeszedł do konkretów. – Kręci się, sprawdza. Dobry jest. Nikt go nie odwołuje, nie ostrzega. Wszystko jak założono. Albo, jak sądzę, coś jeszcze. Obserwacja melduje o kilku nowych ruchach, ale niczego im nie narzucam, nie podpowiadam. Nie chcę, żeby wyciągali wnioski. – Odwrócił się, oparł o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. – Bądź gotów, wszystko jak omówiliśmy. Za dzień wyjedziesz do Warszawy. Zadzwoń, gdzie ci powiem, i...

– Wiem, wiem, cholera. Znam to na pamięć – obruszył się Węgliński i poderwał z fotela. Podszedł do przeszklonej szafki i sięgnął po butelkę czystej. Nalał sobie, pokazał flaszkę Pawłowi. Generał nie pogardził.

– To dobrze, że wiesz. – Paweł uniósł kieliszek w toaście i prędko go opróżnił. Nieprzyjemnie ciepły płyn palił w gardło. – Boże, lodówkę sobie spraw. – Zrobił kwaśną minę.

– Tu się tak pije. – Janowi wyrwał się nerwowy krótki śmiech.

Alkohol rozszedł się po ciele, rozluźnił Węglińskiego. Ale tylko na moment.

– Wieści od „Igora”? – Pytanie zwarzyło wracający generałowi humor.

Zmienił się na twarzy, westchnął, nadymając policzki.

– Nic. Zero... W hotelu, w którym mieszkał...

– Wiem, czytałem. Wybuch gazu. Jasna cholera – syknął Węgliński i polał jeszcze raz. – A to nie jest dowód, że coś wywąchali? Że wiedzą i idziemy w pułapkę? – Zacisnął palce na szkle, aż zbieleły.

Stępniakowski odwrócił się do okna i chwilę milczał.

– Wiedziałbym – rzucił wreszcie. – Nie przejmuj się tym, nie myśl. Jest kilka dni, może coś się zdarzy i będzie można wszystko odwołać. – Wypił wódki, wzdrygnął się i obrócił. – Robimy swoje. Swoje, rozumiesz?

Jan kiwnął głową.

– Dobrze. – Generał zdjął płaszcz. – Prześpię się kilka godzin i wracam. Tam... – wskazał gdzieś za okno – w stolicy piekło.

Położył się na kanapie i momentalnie usnął.

Waszyngton, Stany Zjednoczone | 3 kwietnia 1964

Prezydent USA John Fitzgerald Kennedy złożył podpisy pod przedstawionymi mu dokumentami. Obejrzał je jeszcze pobieżnie i zaraz oddał eleganckiej młodej dziewczynie.

Posłał jej zwyczajowy uśmiech, szczerząc perłowe zęby jak amant filmowy, i w jego głowie zrodziło się kilka pomysłów co do tej pani.

Stażystka o kruczoczarnych prostych włosach, ubrana w skromną spódnicę i opinającą bluzkę ze sweterkiem, dygnęła. Speszyła się, oblewając lekkim rumieńcem. Słyszała o upodobaniach szefa, tych jego podchodach i aluzjach. Obawiała się ich, przecież nie adorował jej byle chłystek... I może dlatego zaczynało jej się to podobać.

Prezydent rzucił kilka komplementów, pozornie banalnych, ale zrobił to w taki sposób, że rumieńce dziewczyny zrobiły się jaskrawsze.

Dobrze rozwijającą się akcję przerwało pukanie do drzwi.

Do gabinetu wszedł McGeorge Bundy.

– Można? – zapytał uprzejmie, choć czuł się tu jak u siebie. Jako doradca do spraw bezpieczeństwa był ważniejszy od sekretarek i nawet największej sterty papierów do zatwierdzenia.

– Wchodź, zapraszam. – Kennedy przełknął tę żabę ze stoickim opanowaniem.

Rzucił dziewczynie spojrzenie sponiewieranego spaniela. Dygnęła, chyba też nieco zawiedziona, i ruszyła do wyjścia, zerkając kokieteryjnie.

– Coś ważnego, George? – Prezydent rozparł się w fotelu i skrzyżował dłonie na brzuchu, wracając do obowiązków. – Oby nie – odpowiedział sam sobie. – Długa podróż przed nami. Kręgosłup znowu mi nawala, chcę trochę odpocząć...

– Tak, rozumiem, panie prezydencie. – Doradca przetarł palcem brwi, rozpiął guzik marynarki i zasiadł na krześle przed prezydenckim biurkiem. – Moim zdaniem to istotna sprawa – zaczął niemrawo, bo właściwie nie był gotów na referowanie zagadnienia.

To było bardziej przeczucie, jakiś przebłysk. Miał doświadczenie, wiedział, że kiedy coś takiego się przytrafia, trzeba zgłębić problem.

– Polacy ruszyli kilka jednostek daleko od wschodniej granicy.

– Wiem, czytałem informacje Pentagonu. – Prezydent wzruszył ramionami. – Wiesz, że mają kłopoty, i jeszcze my się im zwalamy na głowę.

– Tak, oczywiście. – Bundy przygładził włosy. – Wschodnie dywizje, łącznie z naszymi jednostkami, są w ciągłej gotowości. Polacy będą się napinali, to oczywiste... Zwłaszcza jeśli na Kremlu będą nowe porządki, robi się nerwowo... Ale mnie niepokoi, że kilka dużych związków dostało rozkaz przemarszu bliżej stolicy. – To ostatnie zdanie zmusiło prezydenta do zastanowienia.

Na jego szczupłej twarzy zagościła powaga. Przynurzył się bliżej biurka.

– Sugerujesz coś? – spytał.

– Nie, nic. – Bundy uniósł dłonie w obronnym geście. – Interesujące to wszystko po prostu... Przypomina mi się Kuba, Izrael w pięćdziesiątym szóstym. Zaczynało się podobnie.

Gabinet Ovalny wypełnił się ciszą i aurą niepokoju.

Prezydent patrzył gdzieś w przestrzeń, układając sobie wszystko po kolei. Brał na siebie bardzo dużo, mógł nie wyłapać niuansów, choć nie zamierzał się rozgrzeszać.

Jednak z drugiej strony, nikt z jego doradców, rzeszy wspomagających go specjalistów, od armii poprzez FBI i CIA, nie podnosił alarmu. Aż... aż do teraz.

– Mamy się bać? – Usta poruszyły się nieomal niezauważalnie. – Uważasz, że jeden z naszych czołowych sojuszników mógłby poczynić niebezpieczne, nieroztropne kroki bez informowania nas?

Bundy nie odpowiedział, uznając, że ma czas jeszcze na deliberowanie. Zagadnienie wszak było tylko akademickie.

Prezydent obrócił fotel w stronę szerokiego okna i chyba zapominając na chwilę o swoim gościu, patrzył na zieleniące się drzewa, podparłszy głowę o dłoń.

Trwał tak w zawieszeniu dobrą minutę. Bundy czekał cierpliwie, nie naciskał. Chwila była ważka. Zagraniczna wizyta w trudnej dla państwa sojuszniczego chwili, a do tego rozkręcająca się kampania. I właśnie to ostatnie sprawiało, że należało być szczególnie ostrożnym. Jakiegokolwiek zawirowanie mogło poprawić i tak niezłe notowania, ale równie dobrze wszystko zniszczyć.

Wiceprezydent Johnson, na przykład, był zwolennikiem daleko posuniętej wstrzemięźliwości w sprawach zagranicznych, zawsze, a teraz szczególnie. Uznawał, że należy skupić się na prawach obywatelskich, i nie rozumiał, że wyborcy lubili wodzów, którzy pięknie się prezentowali na tle łopoczących flag podczas wielkich tyrad.

Johnson nie był sam. Wielu w administracji rozważało nowe rozwiązania, coś, co nazwano odprężeniem w napiętych stosunkach. Jeszcze nie wiedzieli, że na Kremlu lada chwila miała zajść zmiana, oficjalnie jakościowa i pokoleniowa. Dla nich byłby to doskonały prezent i argument, żeby zmniejszyć nacisk na Sowieców. Wszcząć negocjacje, doprowadzić do konsensusu i obniżyć wydatki na zbrojenia. Nawet kosztem sojuszników. Za tym po cichu szeptał i sam wiceprezydent, dostając w podarku rewelacje polskiego wywiadu. Przecież Sowiec był niegroźny, można go ugłaskać i cywilizować poprzez rozwój i konsumpcję. Dla Polaków, znających naturę wroga, było to nie do pomyślenia.

– Na razie zostawmy to – odezwał się prezydent. Siedział w tej swojej zamysłonej pozie, wpatrzony w rozlewającą się po ogrodzie wiosnę. – Chcę być informowany na bieżąco. Może to tylko złe przeczucia. – Wstał i zapiał guzik marynarki. – Trzeba będzie pilnować tego tematu.

Ruszył nieśpiesznie do drzwi. Bundy poderwał się z miejsca, podążając za szefem.

– Zapytamy u źródła, George. – Prezydent złapał za klamkę i obydwaj opuścili gabinet.

Poligon Jagodne, wschodnia Polska | 3 kwietnia 1964

W gasnącym świetle dnia, w ścianie siąpiącego deszczu, wszystko, cała

okolica, przyroda i ludzie, wydawało się mniejsze i niewyraźne. Biały pulsujący ognik przypominał coś na kształt robaczka świętojańskiego z napędem raketowym.

Gnał, kręcąc spiralne linie, aż upadł w obręb szarego kształtu, martwej stalowej skorupy. Krótki błysk, nieduży płomień i snop iskier.

Wiatr przyniósł huk, zaraz powtórzony echem.

Pocisk SS. 11 był francuską odpowiedzią na sowieckie morze czołgów, które niechybnie kiedyś znów miało zalać Europę. Pomni wielkich bitew Francuzi opracowali pocisk kierowany już w połowie lat pięćdziesiątych. Prace nad takim orężem prowadzono równolegle w kilku krajach, ale to ten znad Sekwany okazał się najlepszy i upowszechnił się w NATO.

Amerykanie używali pocisku w swoim uzbrojeniu pod oznaczeniami AGM-22, przystosowali go również do odpalania ze śmigłowców. Polska jako kraj frontowy sojuszu zakupiła ogromne ilości rakiet, kiedy armia przekonała się o ich zaletach: małej wadze, celności i największym zasięgu spośród konkurencyjnych konstrukcji.

Polski przemysł zakupił licencję i zaczął przebudowywać SS. 11 i późniejsze SS. 12. Skonstruowano dłuższą głowicę o zdolności większej penetracji oraz wersję z ładunkiem odłamkowo-burzącym. Obie wersje posiadały zwiększony nieco zasięg, a nazwano je PPK-1 PL, ale i tak w jednostkach funkcjonowało określenie „eska”.

– Dobrze jest. – Bartek poklepał Zenona po ramieniu ukrytym pod mokrą peleryną i uniósł kciuk. Jeszcze pół roku temu, kiedy dawano im te „zabawki” do zaznajomienia się i używania, mógłby powiedzieć, że to frajda. Wczoraj wieczorem, nocą, a nawet tego poranka sądził tak samo. Tyle tylko, że wszystko od nadmiaru się nudzi.

Zenon potarł oko zmęczone wpatrywaniem się w okular celownika.

– Dobra, jeszcze raz? – zapytał, mając nadzieję na zaprzeczenie.

– Tak. – Lip Goldman był nieugięty. Stał prosto, ściskając oburącz lornetkę, i jak zaczarowany patrzył gdzieś hen, gdzie migotały tłumione deszczem płomienie.

– Bartek. – Zenon klęknął i przeciągnął się, aż w plecach strzyknęło. Karpacki wiedział, co robić. Pobiegł do terenowej półciężarówki Dodge i wytargał kolejny blaszany kontener. Zauważył, że taszczenie tego złomu idzie mu coraz sprawniej.

Ustawił wyrzutnię, zdjął pokrywy z przodu i z tyłu i rozwinął kabel. Podłączył do drążka z celownikiem, szybko, sprawnie. Producent się postarał.

– Gotowe – zameldował i wrócił na miejsce, unosząc do oczu lornetkę. Robiło się ciemno, niewiele już mógł wypatrzeć. Cały ten nieduży poligon oddano na zgrupowanie Kedywu, więc teoretycznie można było tłuc po każdym zardzewiałym wraku, jaki stał na brunatnych łąkach.

– Cholera... Nie widzę nowego celu – zachnął się. – Trafiliśmy wszystko, co tu mają.

– Chwalisz się czy żalisz? – burknął Goldman. – Pamiętasz, w czym służysz? Skończymy, jak pozwolę. Cel – rzucił hardo – transporter opancerzony! Odległość trzy tysiące metrów, godzina dziesiąta.

– Boże – stęknął Karpacki, szukając niewielkiego punkcika, właściwie szarej plamki, daleko w jakimś zagłębieniu czy dolinie strumienia. Już palnęli w tę pogiętą blachę, starego niemieckiego Hanomaga. Nie było najlepiej ani najłatwiej.

– Cel widzę – rzucił meldunek Warten, jak na artylerzystę przystało.

– Deszcz... Zaczyna wiać mocniej – podpowiadał Bartek, ale kolega jakoś się nie przejmował.

Wcisnął przycisk i uzbroił pocisk.

– Gotów – kolejny meldunek.

– Strzelaj bez rozkazu. – Goldmana już chyba męczyły te regulaminowe procedury. W jego oddziale było więcej swobody, ale widać Warten lubował się w tej całej gadaninie.

Elektryczny impuls poszedł po kablu do skrytej w skrzynce rakiety. Szum, krótki trzask i z kontenera wyrwał się obły, długi przedmiot. Zapłonęły dwie flary, rozłożyły się lotki i pocisk sterowany pomknął do celu.

Warunki nie były ciekawe. Ładunek ciągnący przewód nie słuchał się za dobrze operatora. Gwałtowniejsze poddmuchy rzucały nim w prawo i Zenon musiał prędko korygować kurs, a do tego w zmęczonym oku niewielki cel zlewał się z całością obrazu. I tylko świetlik znacznika odcinał się od szarej plamy.

– Masz go, masz go z lewej. – Bartek prawie podskoczył, poddając się emocjom, jakby brali udział w jakimś egzaminie. Nie było to dalekie od prawdy, ale on tego jeszcze nie wiedział. – Z lewej, mówię.

– Mam, pilnuję – odburknął Zenek, nie tracąc zimnej krwi. Ruch drążka, pocisk zanurkował i zaraz w powietrze buchnął grad iskiei.

– Ładnie, bardzo ładnie – Goldman pochwalił zupełnie na poważnie.

– Dziękuję. – Zenek znów usiadł na ziemi i począł trzeć twarz. – To co? – Wyraźnie miał dość.

– Odpoczywajcie. Swoje zrobiliście. – Kapitan wykazał się wspaniałomyślnością. Trzymające go dotąd napięcie zdawało się lekko odpuszczać. – Kolejna para – rozkazał spokojnie, wskazując na niepełny pluton. – Po dwa pociski – zakomenderował.

– Dwa? – Bartek rzucił koledze zdziwione spojrzenie. Sami wystrzelali chyba z dziesięć. Stracił rachubę. Zastanawiali się, czy nie trzeba posłać helikoptera po nową dostawę. Bogu dzięki, sojusznicy dostarczali tych pocisków całe tysiące, choć ich koszt był ogromny. Mieli czym walczyć. Ale czemu tylko ta dwunastka?

Warten machnął dłonią. Wolał się przespać niż rozliczać dowódcę.

– Reszta też tak tłucze? – Bartka ciągle jednak coś trapiło.

– Reszta? – Goldman udał, że nie rozumie, o czym mowa.

– Kompania – uszczegółowił Karpacki.

– Nie – odparł krótko Goldman nagle zainteresowany czymś daleko na ciemniejszym polu. – Tylko wy macie takie fajne zadania. – Ironia lekko przestraszyła Bartka.

Poczłapał po nasiąkającej wodą łące do rozbitego w lasku namiotu. Przystanął przy wejściu i spojrzał przez ramię. Serce przyśpieszyło.

Wcześniej nie myślał o tym wszystkim, nie miał czasu ani potrzeby.

W głowie miał coraz odleglejsze wspomnienie Anny. Potem spadła nowina jego życia. Wojna. Konflikt tu, na ojczystej ziemi, nie w dalekiej Azji. Myślał o domu, o rodzicach. Nic nie wiedzieli, nie wolno mu było się kontaktować. Uznał, że to cholernie niesprawiedliwe.

Ale poza tymi emocjami było coś jeszcze. Coś specjalnego. Ten poligon, cały dla nich, kiedy wokół nad granicę ciągnęły uzupełnienia i zaopatrzenie. Nie było rozkazów ani przydziałów celów. Te miały przyjść dosłownie za pięć dwunasta.

Kapitan Goldman, albo i ktoś wyżej, szykował im najwyraźniej coś wybitnie ciekawego.

Warszawa, Polska | 4 kwietnia 1964

W sobotę rano wreszcie przestało padać. Stolica Polski ciągle jednak musiała godzić się na wiszącą nad nią kołdrę szarych, gęstych chmur.

Nie wróżyło to miłej oprawy do przyjęcia głowy amerykańskiego państwa, wydarzenia, którego wyczekiwanie czuć było w mieście, ale nie tylko.

Blondyn na każdej stacji benzynowej widział gazety z tytułami wieszczącymi przyjazd wielkiego sojusznika. Do tego te rozmowy prowincjonalnych mędrków, rozentuzjasmowanych w swych wywodach i wizjach, odreagowujących lata, pokolenia złego traktowania przez sojuszników.

Blondyn zaparkował auto na nowoczesnym parkingu piętrowym, którego połowa skryta była pod ziemią. Nie chciał stawać blisko hotelu. Wolał udać turystę, przyjeźdnego, który korzysta z kolei. Auto miało być ostatnią deską ratunku, kiedy wszystko przycichnie i dane mu będzie opuścić lokal, w którym miał przeczekać burzę.

Wyszedł z budynku na rogu Żurawiej i Marszałkowskiej. Postawił kołnierz ciemnej wełnianej kurtki. Nie wyróżniał się, nie chciał. Zlewał się z ludźmi, z otoczeniem miejskiej dżungli.

Miał dużo czasu, wszystko sobie poukładał. Był zmęczony podróżą, ale nie czuł wielkiego stresu, a tym bardziej strachu. Był profesjonalistą. Działał według ustalonego planu, który zawsze dopasowywał do okoliczności. Prócz tego pewna dziwaczna przypadłość, która trapiła jego dawnych przełożonych, sprawiała, że naprawdę był dobry i górował nad innymi w tym zawodzie.

Prawie nie odczuwał lęku. Podobno było to jakieś schorzenie, skrzywienie umysłowe. Nie zgłębiał zagadnienia. Skoro tak musiało być, uznał to za dar od losu, Boga, siły wyższej – jak zwał, tak zwał. Lubił te podchody, tę wielką grę. Podniecało go to i kazało jeździć po świecie. Dlatego nie potrafiłby założyć rodziny. Przynajmniej teraz.

Choć zastanawiał się, czy po tak ważnym zadaniu nie przyjdzie czas, by osiąść gdzieś daleko i cieszyć się pieniędzmi. Przynajmniej na trochę, bo długo w beczynności nie wytrzyma.

Nie mógł stać za długo w jednym miejscu. Mimo chłodnego poranka na ulicach było już wiele patroli policji i wojska. Tych się nie bał, chciał raczej sprawdzić, czy nie ma dobrze zamaskowanego ogona.

Ruszył w stronę dworca głównego. Niczym turysta rozejrzał się i uznał, że chyba jest czysto. Zna to miasto... Znał je kiedyś. Teraz uczył się go na nowo.

Marszałkowska, wąska ulica pełna kamienic. Poszerzono ją, kilka kamienic odbudowano albo kończono rekonstrukcję. Inne wolne miejsca, puste place po koszmarze wojny, wypełniono dużymi betonowymi plombami, nadając im nieco tylko starodawny charakter, choć bez szaleństwa i niemądrego wizjonerstwa.

Zdarzały się też obiekty na wskroś nowoczesne, tam gdzie zapewne bomby i dynamit dokonały nieodwracalnych spustoszeń. Na placu zwanym Śródmiejskim, kilkaset metrów przed placem Zbawiciela, był taki budynek. Szkło i beton.

Ale prawdziwe city wyrastało już za bryłą dworca, za placem Zwycięstwa, gdzie u zbiegu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich stworzono główny reprezentacyjny skwer, otoczony wzniesionymi na nowo kamienicami oraz rzędami sklepów i firm w nowoczesnych, niemal

kosmicznych budynkach.

Pierwsze smukłe konstrukcje biurowców wyrastały ponad dachy kilkupiętrowych budowli, wznosząc się ku niebu. Dawne getto zmieniono w nowoczesną, prawdziwie światową dzielnicę. Drapacze chmur, kwartały bloków mieszkalnych, centra rozrywki i parki.

Blondyn miał nawet ochotę pozwiedzać, pochodzić po starych kątach, poszukać śladów przeszłości, ale był w pracy. Minał plac Zwycięstwa i po kilkuset metrach zszedł z Marszałkowskiej w Świętokrzyską. Też była inna niż to, co nosił w pamięci.

Szersza jezdnia obstawiona była jak na Marszałkowskiej powojennymi budowlami, pomieszanymi z perełkami sprzed 1939. Daleko, na wprost od placu Powstańców, gdzie wznosiła się przedwojenna duma – dziś mniej imponująca – wieżowiec Prudentialu, stanął podobny wysokościowiec.

Blondyn wyobraził sobie, że to byłoby idealne miejsce. Wysokie, niemal przy trasie, a jednak na lekkim uboczu. Jego pomagierzy nie byli jednak wszechmocni.

Szedł dalej, mijając kilka dumnych publicznych gmachów i wysokich kamienic.

Przy jednym ze skrzyżowań stanęła ciężarówka, z której zaspani pracownicy magistrackiej firmy porządkowej poczęli taszczyć stalowe barierki. Z innego auta zaczęto rozwieszać po latarniach flagi polskie i amerykańskie.

Blondyn znów przystanął. Ruch był coraz większy, w śródmieściu ludzi przybywało. Podeszedł do drewnianego kiosku, kłaniając się sprzedawcy, miłemu staruszkowi. Powiódł wzrokiem po gazetach i kolorowych tygodnikach, z pierwszych stron krzyczały podobne tytuły, dość bojowe i entuzjastyczne.

– To dopiero nowina. – Starszy pan stuknął w papier leżący na wąskiej ladzie.

W pierwszej chwili blondyn chciał się oddalić, nie miał zamiaru zostać zapamiętanym, ale tłusty tytuł jakiegoś sobotniego dodatku przykuł wzrok. Wyciągnął z kieszeni nieco drobnych i podał sprzedawcy.

– Się dzieje, proszę pana, się dzieje. Ciekawe czasy, czyż nie? – Staruszek wyraźnie szukał kogoś do pogawędki.

Blondyn rozłożył gazetę i ruszył przed siebie, choć kioskarzowi nie bardzo to przeszkodziło i mówił dalej.

Turysta przystanął. Złożył gazetę i zastygł w bezruchu, jak zahipnotyzowany spojrzeniem ogromnych oczu. Znał je. Widział, uczył się o nich i nawet długo w nie patrzył. Tam gdzie ulica krzyżowała się z Krakowskim Przedmieściem, na frontonie wiekowej budowli, łopotała wielka płachta z wydrukowanym hasłem: Welcome to Warsaw, Mr. President pod wielką podobizną Johna Fitzgeralda Kennedy’ego.

– Są dwie grupy? – Przeszło-Stępniakowski przygryzł wargę. Meldunek w słuchawce telefonu nieco burzył jego wizję.

– Tak, panie generale. Są w centrum... Nasz „kolega” chyba nic nie wie... – Meldujący z drugiej strony szef wydziału kontrwywiadowczego był wyraźnie podekscytowany. – Mamy ściągać? – Zdawał się pewny odpowiedzi, którą miał usłyszeć.

Stępniakowski długo milczał, analizując wszystko raz za razem. „Telefon do Jana?” – myślał. „Nie, nie ma sensu, nie pomoże”.

Musiał sam podjąć decyzję. Dość miał komplikacji, dyskusji z pałacem albo którymś ze sztabowców. Byli na ostatniej prostej. „Może to znak? Podpowiedź?” – kołatało się po głowie.

– Zostawcie – rzucił twardo.

– Ale... – tamten chciał protestować.

– Na moją odpowiedzialność. Jeśli podejmą akcje agresywne, dopiero wtedy interweniować. Na razie pozwólcie im działać i dokumentujcie. Jeśli będzie potrzeba i możliwość, ewakuujcie cywilów. Macie do dyspozycji spore środki... Aha, majorze, do czasu odwołania rozkazu wszystko w tej sprawie jest absolutnie tajne.

– Tak jest, panie generale – padła zdziwiona odpowiedź.

– Powodzenia – rzucił Paweł i odłożył słuchawkę.

Poluzował kołnierzyk. Podniósł meldunek z tego poranka i dostarczoną mu prasę. Zabębnił palcami w blat biurka. Sprawa była ważna, ale generał wiedział o niej od dawna. Zdążył się przygotować.

Musiał przeprowadzić jeszcze jedną, o wiele trudniejszą, choć koncyliacyjną rozmowę. Przecież był górą. Znow udowodnił, co potrafi jego służba.

Wykręcił numer, czekał chwilę.

– Generał Paweł Przeszło-Stępniakowski – powiedział wolno i spokojnie. – Z panem prezydentem proszę. – Czekając, jeszcze raz powiódł oczami po nagłówku i tytułach raportów.

„„Igor«, miałeś rację”. Triumf mieszał się z obawą. Najważniejszy przekaz dnia mówił: „Zmiana kierownictwa Kremla. Nowym I Sekretarzem KPZR wybrano wczoraj Leonida Breżniewa”. I jeszcze zanim ktokolwiek odezwał się po drugiej stronie, Paweł zdążył zapytać samego siebie: „Na jak długo?”.

Poligon Jagodne, wschodnia Polska | 4 kwietnia 1964

Dwunastu ludzi w plamiastych maskujących mundurach rozsiadło się pod zadaszeniem namiotu, ściskając menażki z obiadem.

Jedli dziwnie wolno i bez apetytu, choć kuchnia stanęła na głowie, żeby im dogodzić. Im i reszcie Kedywu, którego pododdziały kryły się w podobnych zagajnikach.

Bartek Karpacki ani jego druh Zenek, jak i reszta chłopaków, nie rozmawiali. Milczeli, mieląc kęsy w ustach.

Jeśli ktoś jeszcze niedawno łudził się naiwnie, że to szkolenie, że zaraz wszystko wróci do normy, to grubo się mylił. Fasowano ostrą amunicję w ilościach zatrważających, do tego dochodziły wielogodzinne szkolenia z użycia nowoczesnej broni.

Podzielono ich bez słowa wyjaśnienia na odizolowane podgrupy, czyli tak jak zakładały regulaminy użycia tego rodzaju pododdziałów w warunkach nowej wojny.

Kompanie komandosów podporządkowano odpowiednim związkom taktycznym: dywizjom czy brygadam, na rzecz których miały działać, ale tutaj wszystkie grupy były niezależne, podlegające figurom znacznie wyższym, które mogły decydować o losach wojny. Przynajmniej porucznik Karpacki tak zapamiętał teoretyczne wprowadzenie do tematu, kiedy zaczynał zaznajamiać się z oddziałem.

Wszystkie znaki, jakie wyłapywał, mówiły wiele o tym, że naprawdę szykują ich do czegoś ciężkiego. Ale najważniejszym dowodem była przejęta, zacięta twarz kapitana Goldmana. Na jego twardym licu wyrysowały się oznaki tego, co mądrzejsi nazywali samotnością dowódcy.

Trapił się wyraźnie, i to bardzo. Dowodził czymś, co po raz pierwszy miało iść samodzielnie w bój. Wiedział więcej, ale nie wolno mu było mówić ludziom. Taka obowiązywała zasada. Ale czy wiedział wszystko? Na pewno bał się konfrontacji z potężnym wrogiem ze wschodu.

Ludzie szeptali, nie mogąc spać zeszłej nocy, czy grupuje się ich tu, żeby bronić kraju, czy pójdą na drugą stronę? Wszystko było groźne, strach mieszał się z podnieceniem, ale wizja takiej akcji była wielką rzeczą.

W spokój polowego obiadu wdarł się daleki warkot silnika. Łopaty niewielkiego SW-1, kanciastej maszyny produkowanej w latach pięćdziesiątych, miały powietrze. Śmigłowiec służący do lotów łącznikowych przeleciał nad laskiem, szukając miejsca, by przyziemić. Zrobił zgrabne koło i zaczął opadać.

Goldman musiał wiedzieć, że będą goście, bo zaraz pojawił się w polowym łąziku pięć-pięć, z tą swoją zafrasowaną miną.

Bartek obserwował, jak kapitan dojeżdża do śmigłowca, wysiada i odbiera jakiś pakunek. Śmieszny wiropłat wystartował zaraz i z nosem w dół pomknął gdzieś na południe.

Dudnienie śmigieł uleciało i teraz słychać było tylko lekki szum wiatru.

Goldman stał w tym samym miejscu, wczytany w jakieś papiery. Zdawało się, że nie rozumie, co mu przesłano, albo nie wierzy.

Chwilę trwało, zanim wsiadł do auta i powrócił do reszty. Teraz wyglądał na jeszcze bardziej przejętego niż przed kilkoma minutami.

Nie wysiadał. Stał na fotelu odkrytego wozu, nerwowo gryząc usta.

Zerknął raz jeszcze do kartki z szarej koperty i nabrał głęboko powietrza.

Chwila prawdy.

– Mamy rozkazy – mówił bez egzaltacji i popisu. – Startujemy o dwudziestej pierwszej trzydzieści. – Pomachał przesyłką. – Wielu zastanawia się, czemu akurat was oddzielono i przetrzymuje się tutaj. Odpowiadam. – Krótka pauza, żeby nie poddać się emocjom. – Wybrałem was do arcyważnego zadania. Podjąłem się sam poprowadzić tę grupę...

Ludzie popatrzyli po sobie niepewnie. Bartek Karpacki jakoś nie potrafił mieć satysfakcji z faktu, że wszystko przewidział.

– Dostaniemy odpowiednie i silne wsparcie. Dwie sekcje. Jedną dowodzę ja sam. Wyruszamy równoległe z resztą, ale lecimy najdalej... – Głos uwiązał mu w gardle.

Kapitan spojrzał na przejętych żołnierzy, każdemu głęboko w oczy, tak jak wtedy, na zbiórce w „Parku”.

– Na razie tyle o celu. Dowiecie się więcej tuż przed startem. Mogę tylko zdradzić, że do wykonania zadania głównego wyznaczam Zenona Wartena i Bartłomieja Karpackiego.

Słowa były jak obuch tłukący Bartka w potylicę. Mało się nie zachwiał, czując, jak krew odpływa z głowy. Gdyby miał określić, czego jest w nim więcej, strachu czy dumy, bezsprzecznie wybrałby to pierwsze. „Pierdołę” – tylko to słyszał w głowie. Każda nowa broń w tym kraju i w całym sojuszu była im znana, przećwiczona. To katowanie pordzewiałych celów było czemuś potrzebne. Ale oni? Czemu? Zenek był po szkole artylerii, znał się na dalekich strzałach, ale Bartek nie różnił się od reszty. Sprawny, wyćwiczony i tyle. „Może strzelec musi ufać obserwatorowi” – szukał wyjaśnienia. Chciał zapytać, ale sytuacja nie sprzyjała. Zresztą nie śmiał dociekać powodów takiego wyboru dowódcy. Pachniałoby tchórzostwem.

– Zespoły zapasowe – Goldman wyciągnął palec – Kaczmarczyk, Balejczuk i Pawłowski, Rolski. – Wybrał podporucznika, dwóch sierżantów sztabowych i chorążego. Też nie wyglądali na zachwyconych. – Teraz jeść, panowie. – Kapitan pokazał na menażki. – Ile się da, bo potem może być

krucho... Po obiedzie omówimy jeszcze raz ugrupowanie marszowe i lot. Potem spać. Potrzeba siły, dużo siły.

Królewiec, Polska | 4 kwietnia 1964, godzina 19.04

Za oknami zmierzch rozlał się na dobre. Snuł się po płycie lotniska, wdzierał między stalowe hangary i zmienił niebo w czarną płachtę, czasem tylko znaczoną strzępami chmur i bladymi jeszcze gwiazdami.

W murach biały blask świetlówek rozjaśniał ciche pomieszczenia parterowych budynków. Pułkownik Roland Grenitsch, siwy, wysoki oficer, który nieubłaganie zbliżał się do końca kariery aktywnego lotnika, szedł prędko korytarzem.

Budynek, który przydzielono eskadrze numer 230, oficjalnie jednostce meteorologicznej, zwanej przez załogi oraz wtajemniczonych polskich sojuszników „duchami”, był zupełnie nowy i przestronny. Był miejscem pracy i wypoczynku załóg ośmiu maszyn Douglas RB-66, dwusilnikowych, odrzutowych górnopłatów, niegdyś bombowców taktycznych. Maszyny miały rozmiary większe od myśliwców.

Samoloty były tu czymś specjalnym. Stanowiły prawdziwy cud współczesnej techniki militarnej ostatnich lat. Te niepozorne maszyny, służące w opinii wielu do badania pogody, miały o wiele ważniejsze zadanie. Dwieście Trzydziesta Eskadra należała do stosunkowo nowej kategorii maszyn, biorącej udział w czymś, co zwało się walką elektroniczną.

RB-66 miały ogłuszać i oślepić zarówno stacje radiolokacyjne czy wyrzutnie rakiet, jak i komunikację. Doświadczenia z podobnymi zabiegami, jakie prowadzono na gorąco w Azji czy na Bliskim Wschodzie, wykazywały, że mimo rozwoju środków obrony przeciwlotniczej dość prosto i sprawnie można im przeciwdziałać. Była to największa tajemnica wojsk sprzymierzonych, równa chyba rozmieszczeniu silosów pocisków międzykontynentalnych.

Polski rząd jako jeden z najbliższych sojuszników Waszyngtonu, kraj frontowy, wyraził chęć posiadania tego rodzaju maszyn i zamówił trzy sztuki tych niezwykle cennych samolotów.

Jednak za sprawą niepokojów na Kubie i w Meksyku wykonanie kontraktu opóźniło się. Stany Zjednoczone jako zadośćuczynienie przekazały pod dowództwo polskich sił powietrznych całą własną eskadrę RB-66.

Na miejsce bazowania wybrano dumne, acz mocno pokiereszowane stare miasto Królewiec, dawną stolicę dawnych Prus, niegdyś polskiego lenna, ale i jednej z przyczyn polskich rozbiorów. Miejsce to przypadło Rzeczypospolitej, kiedy polskie i amerykańskie jednostki zajęły miasto po krótkim boju z cofającymi się dywizjami sowieckimi.

Bolszewicy, którzy ścierali się z Polakami o Wilno, przewidywali – podobnie jak na Węgrzech – że dojdzie do odcięcia ich armii, i skrócili front.

Pułkownik Roland Grenitsch uznał ten przydział za ostatnią przygodę przed emeryturą – albo choć powrotem do Stanów – i coś na kształt zesłania. Jednak prędko przekonał się, że to misja niemalże bojowa, gdzie potrzebowano doświadczonego „pryka”, a nie dzieciaka z gorącą głową.

Częste wtargnięcia myśliwców sowieckich, pogonie i prowokacje były bliższe wojnie w Korei niż spokojnej służbie garnizonowej.

Polacy nie nadużywali swojej władzy, angażując samoloty pułkownika z umiarem, a nawet lekką niefrasobliwością, jakby obawiali się ujawnienia ich przeznaczenia. Teraz najwyraźniej miało się to zmienić.

Oficer wszedł do przestronnego pokoju pilotów, miejsca, które z pomieszczenia załóg alarmowych zmieniono w prawdziwy klub. Był bilard, automaty do gier i chłodziarki z coca-colą. Na stolikach leżały sterty gazet i książek, na ścianach wisiały plakaty z aktorkami.

Paru oficerów w lotniczych kurtkach, podobnych do tej którą dumnie nosił weteran z wojny światowej, poderwało się z foteli, ale Grenitsch pokazał, żeby siedzieli.

– Koniec lenistwa – oznajmił z tym swoim specyficznym poczuciem humoru. – Robota was znalazła.

Billy Mariguez, Latynos z Nowego Meksyku w stopniu kapitana, sapnął z niechęcią. Odłożył numer „Life’a” na stolik i wstał, szukając wzrokiem lotniczego ryszunka.

– Warszawa chce robótki... – Grenitsch przytknął drzwi. – Za pięć minut odprawa w operacyjnym. Polatacie sobie...

– Daleko? – zapytał Mariguez, ciekawy. Sądził, że po służbie odeśpi i będzie mógł popatrzeć na wizytę prezydenta w telewizji. Teraz plany nieco się komplikowały.

– Dowiedzie się zaraz. – Pułkownik złapał za klamkę. – Powiem tylko, że coś się szykuje. – Starał się ukryć niepokój. Był na tyle stary i obeznany z zawodem, że potrafił wywęszyć niebezpieczeństwo.

Polacy byli uprzejmi, bardzo opanowani, ale w ich rozkazie wyczuł coś niepokojącego. Do wizyty prezydenta było kilka godzin, a oni nakazali użycie samolotu eskadry na jednym konkretnym odcinku, z zapowiedzią rychłego ponowienia rozkazu dla prawdopodobnie całego oddziału. Zbyt wiele, jak na osłonę jednego Air Force One. Zresztą widział od kilku dni uzupełnianie zapasów i montaż stanowisk dla pocisków ziemia–powietrze. Tutejszy garnizon szykował się ostro i nie zapowiadało się to na krótką akcję.

Grenitsch miał nawet myśl, by skonsultować to wszystko z dowództwem sił powietrznych na Europę w Brukseli, ale uznał, że jest za wcześnie i niczego nowego się nie dowie. Zadanie miał wyraźne. Podlegał Warszawie i ona mogła dysponować czasowo jego ludźmi i sprzętem. Choć nie potrafił pozbyć się obaw.

I jeszcze zapowiedź dostarczenia „pakietu”. Co tam mogło być? Cele, obiekty, które rozpoznano? Tylko po co?

– No, zbierajcie się... – Klasnął w dłonie. – Za pięć minut... Potem w powietrze.

Kołchoz im. Woroszyłowa we wsi Swoboda, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 4
kwietnia 1964, godzina 20.36

Noc wdzierła się między budynki wojskowego kołchozu. Zapalono światła na kilku chlewach i siedzibie kierownictwa.

Wasilij Goryże bardzo lubił o tej porze spacerować po obiekcie. U siebie nie widział nigdy tylu działających lamp, kabli do nich i takiego marnotrawstwa prądu, żeby oświetlać w połowie pusty zakład.

Cała reszta też przyprawiała o zawroty głowy, ale i optymizm.

Chlewnie dla świń i krowie obory wyglądały na zupełnie nowe. Ba, były nowe i prawie nieużywane. Wasilij i dwie kompanie wojska mieli w ekspresowym tempie podciągnąć wygląd. Szpachlowali ściany wewnątrz i od frontu, malowali mury, krawężniki. A jeśli kapryśna pogoda niweczyła wysiłki, poprawiali aż do skutku.

Przyszła ponoć wiosna, choć od pól wiało jak sto diabłów, a tu wojsko sadziło dziesiątki kwiatków i rozkładało rolki jakoś podejrzanie sztywnej trawy. To teraz nie był kołchoz, a nieomal wczasowisko, do którego można by wyruszyć na odpoczynek z funduszu zakładowego.

W długich barakach było lepiej niż w kwaterach dla robotników. Doprowadzono tam wodę, ale na tyłu ludzi była tylko jedna łaźnia. Błoto często nie miało jak uchodzić do kanalizacji, czyli cienkiej rury prowadzącej do stawu.

Polityczni tłumaczyli, że to przejściowa trudność, że wszystko będzie dopracowane, a teraz ważny jest rozruch i produkcja. Bo niby szła nowa era: wielkich, nowoczesnych osiągnięć. Wasilij potakiwał, klaskał, ale pytań nie zadawał, bo i nie wierzył w odpowiedzi. Nie raz tak gadali. W armii i u niego w domu, jak węgla nie dowieźli, gdzieś zniknął cement albo jeszcze co cenniejszego. Zawsze to był wstęp do jakichś nowych czasów, co nie chciały przyjść.

Tu też się nie przejmował. Robił swoje. Przecież myć się nie musiał co drugi dzień. Wytrzymawał, bo i przywykł. Nie on miał tu zresztą pracować. Ich kompanię przywieźli z poligonu i zaraz po imprezie mieli odwozić.

Politrak mówił, że goście mają być znaczni i otworzyć to wszystko. Ranga taka, że ponoć głowa bolała. Mogło tak być, bo ludzi z KGB, co po cywilu udawali miejscowych, najechał cały tabun.

Z okazji wydarzenia rozdano aż po dwa komplety roboczych ubrań. Jedzenie się poprawiło, co Wasilija i kumpli cieszyło najbardziej. Tak samo jak wielki przydział papierosów, a nawet... cukierków.

Tylko kombinezon, który nosił od kilku dni, cuchnął tak niemiłosiernie, że w pokoju trudno już było wytrzymać. Zwłaszcza kiedy w jednej klitce śpi

sześciu ludzi.

Przeszedł obok pachnącej żywicą trybuny na placyku między kierownictwem a największą oborą. Wszystko gotowe, równiutkie, pod wymiar. Tylko hasło mieli jutro wieszać. Bo kolorowe sznury z chorągiewkami już zdobiły miejsce wiecu.

Wasilij sięgnął do nowej paczki papierosów, zapalił i zaciągnął się głęboko. Było pusto, czasem ktoś przemknął. Chyba czekista, co popijał w jakimś zakamarku, bo alkohol był surowo wzbroniony, żeby robota szła.

Sołdat doszedł do skraju, gdzie lśniła nowa siatka ogrodzenia. Wiało tam mocniej i smród tak nie dokuczał.

Widok był piękny, łagodne, płaskie pagórki kryły ciemne plamy lasów i zagajników. Jutro w zaroślach zaroi się od patroli ochrony. „A może my starczymy?” – pomyślał chłopak i ziewnął. Chciałby iść spać, ale transport się spóźniał. Podobno jechało do nich dziesięć ciężarówek z trzodą. Przecież te piękne budynki trzeba czymś zapełnić. Choćby dwa, ale zawsze.

Poligon Jagodne, wschodnia Polska | 4 kwietnia 1964, godzina 20.58

Opanować dygot całego ciała, rąk, kolan było wyczynem nie lada. Bartłomiej Karpacki zaciskał palce na lufie karabinku tak mocno, że bolały kości.

Wspomnienia podobnych chwil wracały z całą bolesną, nieprzyjemną mocą. Trąbka, ta okropna trąbka, sygnał czerwonych, dudniła pod czaszką niczym koszmar na jawie.

Porucznik nienawidził tego strachu, który łąpał za gardło i nie pozwalał się skupić. Wlewał się w trzewia. Przyprawiał o torsje i ból. Ten potworny brak pewności i setki zadawanych sobie pytań o to, co będzie i jak potoczy się przyszłość, próby pocieszania się i panowania nad tym. To miało minąć, Bartek wiedział, pamiętał. Ale póki nie ruszy, nie zacznie działać, musiał się poddać temu wszystkiemu.

Zerkał na resztę. Twarze mieli pocernione maskującymi farbami, nosili plamiaste mundury i oporządzenie z olbrzymią ilością dodatkowej amunicji, jakby mieli sami pokonać Sowieców. Broń, na głowach zielone wełniane

czapki, szaliki.

Siedzieli obok niego na skrzyniach, w oświetlonym lampami naftowymi namiocie, gdzieś w pilnie strzeżonym lesie. Docinali sobie, śmiali się, klęli, udając twardych, palili jak smoki, ale w oczach mieli wszyscy to samo. Obawę i niepewność.

W szparze między wejściem a ścianą w mroku widać było, jak załogi śmigłowców, tak jak i oddział zamaskowane, taszcza na pokłady to, co miało być głównym orężem tam... po drugiej stronie.

Poła płachty uniosła się w górę i do środka wszedł Lip Goldman. Posłał im krótki uśmiech. Wydawał się jakiś wyższy, silniejszy i bardzo spięty. Kurczowo ścisnął pod pachą zafoliowaną mapę w sporym powiększeniu i inne pomoce.

Ludzie raptownie umilkli, wpijając oczy w szefa. Żarty się kończyły.

– Spaliście dobrze? – Goldman rzucił niby to normalnie. Odpowiedział mu jakiś niezrozumiały szept zaciśniętych ze strachu ust.

Kapitan nie bawił się więcej w kurtuazję, nie miał czasu ani ochoty. Zawiesił spokojnie mapę na statywie.

– Podejdźcie, proszę – polecił i upewnił się, że wejście jest zasłonięte, a wartownik nie stoi zbyt blisko. – No dobrze. – Chrząknął i potarł dłonie. Pociły mu się jak reszcie. – Zadanie mamy proste... – zabrzmiało jak jeszcze jeden cierpki żart. – Naprawdę znacie to już. Długi spacer i wykonanie zadania. Prościzna. Jedyna niedogodność to fakt, że musimy pospacerować ponad dwieście kilometrów za linią wroga.

Świat się zatrzymał i zamarł. Bartek złapał się na tym, że na moment przestał oddychać.

– Lecimy do Brześcia. Nasze wiatraki się dotankowują, jako że działamy na granicy ich zasięgu. I tak biorą zapas. Potem otwiera nam się okienko. – Pokazał palcami coś na kształt cudzysłowu. – Niski, bardzo niski, szybki przelot bez świateł. Znacie naszych pilotów, dobrzy są, dowiozą nas gdzie trzeba. – Skinął głową w stronę polany. – Długa wycieczka, aż pod... Sarny.

Rozległ się cichy szept niedowierzania.

– I dalej – kontynuował niezrażony Goldman. – Mamy dwie sekcje. Moja, numer dwa, robi zasadniczą część. Numer jeden z porucznikiem Szymańskim będzie na miejscu postoju ptaków. Punkt „Wisła”. – Pokazał na mapie. Reszta naniosła to na swoje arkusze.

Kapitan mówił dalej.

– Dwójka ma przejść dwanaście kilometrów. Bunkrujemy się w ruinach wsi Huta Rosińska. Stamtąd znów spacer na miejsce akcji. Będziemy na wzgórkach w lesie. – Powiódł palcem po karcie. – Oto cel...

Sięgnął po czarno-białe zdjęcia i podał je ludziom. Bartek patrzył uważnie na rzut zrobiony najwyraźniej z bardzo wysoka. Z samolotu albo satelity, tak, na pewno z satelity. Rzędy budowli, jakiś kwadratowy budynek pośrodku, a tuż przed nim długa konstrukcja. Kilka pojazdów i ciemne punkciki, chyba ludzie.

– Będziemy w zasięgu do strzału „eskami”. Jeden pocisk, może dwa, i odskok. Po to było to szkolenie – wyjaśnił, choć rzecz była oczywista. – Zaraz po tym może zrobić się gorąco. Ale nie za sprawą Sowietów, a... naszych. Mają zacząć bombardować szanownych sąsiadów, przez co nasz odlot będzie nieco ryzykowny. Będziemy musieli odczekać do wieczora. – Znów pokazał na mapie niewiele mówiący punkt o kryptonimie „Wisła”. – Nasze ptaki mają tam warować w ukryciu, z sekcją pierwszą. Obydwie grupy mają łączność, przekazywaną przez samolot, który będzie latać po naszej stronie granicy. Ale kontakt z nim tylko na mój wyraźny rozkaz. – Podniósł palec, jakby grożąc. – Po akcji, jeśli nasi otrzymają potwierdzenie, okolica zostanie ostrzelana przez nasze pociski średniego zasięgu. Powinno to zrobić trochę zamieszania i dać nam nieco czasu.

Przerwał na chwilę, kontynuował słabszym głosem.

– Siły wroga. Jak wiecie dobrze ze szkoleń i raportów wywiadu, pas nadgraniczny to jeden wielki garnizon. Nie za wiele miasteczek i wsi. Ta część Ukrainy ucierpiała mocno w czasie wojen i buntów i do dziś się nie dźwignęła. Moskwa utworzyła tam pas wojskowy, ale z najnowszych informacji wynika, że nasze obawy i podejrzenia były zbyt pesymistyczne. Wojska jest sporo, ale mniej, niż można było przypuszczać. My mamy poruszać się tuż przy granicy dwóch okręgów, w tej mniej nasyconej strefie.

Z ostatniego meldunku wynika, że nic, powtarzam: nic nie wskazuje, żeby Sowieci wprowadzali jakieś nadzwyczajne środki. Nie ma alarmów, pogotowia, z wyjątkiem kilku punktów. Siedzą grzecznie w garnizonach z większością sprzętu. Obsadzone są najprawdopodobniej pozycje przy samej granicy, punkty obserwacyjne i nasłuchowe po ich stronie Bugu. Ale nam zrobiono prezent. – Lekko się zmieszał. – W okolicy ma ćwiczyć sowiecki korpus.

Ludzie popatrzyli po sobie z niewesołymi minami.

– W pobliżu celu rozmieszczono, zapewne w ramach planowanych manewrów, dwie brygady, pancerną i zmechanizowaną, ale to jest ściśle powiązane z naszym celem. W okolicy przewiduje się nasilenie patroli i punktów kontrolnych, to nie nowość. Do omijania takich rzeczy jesteśmy szkoleni – powiedział twardo Goldman.

Jego ludzie pokiwali głowami, choć bez specjalnego entuzjazmu.

– Reasumując. Lot. Przejście na pozycje wyjściowe. Miejsce działania. Strzał i odskok. W nocy powrót. Jutro będzie po wszystkim. – Goldman postarał się, żeby zabrzmiało to wiarygodnie. – No dobrze – westchnął z ulgą, jakby wreszcie wyrzucił z siebie wszystko, co mu ciążyło. – Pobierzecie dane marszruty, kody wywoławcze... Są pytania?

– Co jest celem? Jakaś fabryka? – Karpacki wyrwał się jako pierwszy. Wytrzymał spojrzenie kapitana.

– Kołchoz – padło zwięźle.

Cichy śmiech poszedł po namiocie.

– Słucham? – wtrącił zaskoczony Warten.

– O ile wiadomo, Amerykanie mają tylko kilka tak nowoczesnych satelitów, które pstrykają takie ciekawe fotki. – Bartek potrząsnął zdjęciem z lekkim lekceważeniem. – I mamy uwierzyć, że chodzi o kołchoz? Nie zdziwili się, kiedy proszono ich... I jeszcze to całe wojsko w okolicy?

Grupa zawiesiła na dowódcy pytające spojrzenia.

– Wierzcie mi, to naprawdę kołchoz. – Goldman wskazał znów na mapę. – Ale to, co będzie w nim... Jutro, dowiedzie się jutro – zabrzmiało

intrygująco. – Dobra. Brać, spisywać dane – uciął dyskusje – i szykować się, panowie. Na nas czas.

Nad Białymstokiem, Polska | 4 kwietnia 1964, godzina 21.58

Billy Mariguez wyrównał lot po zakończeniu ciasnego skrętu i zaczął głęboko oddychać. Zwrócił wzrok w lewo, na czarną plamę pod sobą.

– Widzą nas już, co? – ciche pytanie wybrzmiało w słuchawkach technika i reszty załogi. Niewielki RB-66 nie minął granicy, ale nieomal się o nią ocierał, i mimo że nie nabrał wysokości, było oczywiste, że sowieckie radary miały go jak na dłoni.

– Spokojnie, szefie. – Porucznik William Van Hedden, szef ekipy ulokowanej w ciemnym luku za pilotem i technikiem, zdawał się tryskać wigorem. Jak zawsze, kiedy dane było mu trochę nabroić. – Długo na nas nie popatrzą – oznajmił pewnie. – Trzymamy kurs i nie za szybko proszę.

– Jasne – potwierdził kapitan. Teraz był już tylko szoferem. Odprawa szczegółowa, start i przelot stanowiły tylko przyczynek do właściwego zadania.

Teraz ci z tyłu wraz ze swoją aparaturą byli najważniejsi. On miał tylko latać po określonej trasie. Robić okręgi od radiolatarni do radiolatarni, na odcinku Białystok i ku niewielkiemu lotnisku Marynin i z powrotem, póki ktoś nie rozkaże przestać.

– Dowództwo... – głos łącznościowca zaszumiał w interkomie.

– Na pozycji. Czekamy na rozkaz – odpowiedział Van Hedden. Spiał się cały. Podejrzewał, i słusznie, że to nie próba osłony dla prezydenckiego samolotu, ale coś poważniejszego.

Kryli coś ściśle tajnego, i to do tego stopnia, że nikt nie odważył się szepnąć słówka. Cokolwiek by się działo tam, kilkaset metrów poniżej, Van Hedden w powietrzu miał zamiar dać z siebie wszystko. Pomóc tamtym nieznanym sprzymierzeńcom, którzy pewnie modlili się, żeby nikt ich nie namierzył.

Zagłuszarki w jego władaniu, zasypujące stacje odbiorcze mrowiem

szybko zmieniających się częstotliwości, miały spory zasięg i mogły dokonać cudów. A jeśli na dodatek ukierunkowane były na konkretny odcinek, ich moc rosła jeszcze bardziej.

– Jest polecenie. Gramy – w słuchawkach znów odezwał się radiooperator.

– Gramy – sapnął, potwierdzając, Van Hedden.

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 4 kwietnia 1964, godzina 22.01

Kapitan, zasiadający przy ekranie radaru polowej stacji radiolokacyjnej oddalonej o trzydzieści kilometrów od granicy, nie spodziewał się kłopotów.

Sączył lurowatą kawę i patrzył w błyszczący kolisty ekran.

Ruch panował niewielki. Kilka maszyn więcej po polskiej stronie, ale to było zrozumiałe. Dostał okólnik o wizycie prezydenta USA i możliwych przedsięwzięciach celem osłony granicy w najbliższych dniach.

Żadnych prowokacji, tylko kilka punktów na zielonym szkle, grzecznie, w oddaleniu od wyznaczonego rejonu.

I nagle na ekranie wyświetliło się istne mrowie pulsujących sygnałów. Kapitan wzdrygnął się, sądząc, że to przywidzenie albo że przysnął na moment.

Jeden obrót anteny, drugi, ale obraz nie znikał. Były ich setki, dosłownie setki. Za granicą, ale i po tej stronie. Grdyka zafalowała oficerowi i chciał wołać resztę, żeby potwierdzili to, co widzi, ale tak niespodziewanie, jak się zaczęło, wszystko wróciło do normy.

Znów było tylko kilka obiektów. Jakaś anomalia? Na pewno błąd. Trzeba by było zameldować w raporcie... Choć strach uleciał.

Nie na długo. Ekran zaszedł czernią i jakby zgasł. Teraz nie było nic.

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 4 kwietnia 1964, godzina 22.23

Bartek Karpacki siedział w pierwszej maszynie. Mimo że loty Bellem były dlań największą frajdą, to teraz z przyjemnością zamieniłby się na

cokolwiek innego. Choćby na nocną wartę w środku zimy na otwartym polu.

Maszyna gnała, jakby pilot postradał zmysły, i wewnątrz wypełniał stłumiony huk silnika i łopat. Siedzieli w zupełnej ciemności, nawet przyrzędy załogi jakoś udało się przysłonić.

Nikt prócz kapitana i porucznika Szymańskiego, dowódcy śmigłowca, nie otwierał ust. Ci dwaj wymieniali uwagi, było też słycać, jak pilot informuje, że mijają granicę. Ludzie zmartwieli z przerażenia, oczekując na rychły błysk wystrzałów. Jednak minuty mijały, a oni pędzili. Maszyna obniżyła lot. Piloci wiedzieli, co robić, nie pchali się wprost na wschód. To byłoby podejrzane dla tych na ziemi. Choć marszruta biegła nad lasami i mokradłami, najdalej jak się dało od posterunków i garnizonów.

Najpierw na północ, z dziesięć kilometrów. Potem odbijali na północny wschód i dopiero dalej na południowy wschód. Wszystko zygzakiem, byle nie po prostej.

Dwa czarne cienie polskich śmigłowców pędziły, ile mocy w motorach, by wyrwać się z pasa strefy nadgranicznej, tak by zwolnić osłaniającego ich „ducha”. Zbyt długie obezwładnianie systemów groziło dekonspiracją i podniesieniem alarmu. Potem, kiedy będą daleko, ktokolwiek ich dostrzeże, pomyśli, że to swoi. Bo cóż to mogłoby być innego tak daleko w Związku Sowieckim? Przynajmniej tak zakładano.

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 4 kwietnia 1964, godzina 23.46

– Minuta – powiedział słaby głos.

– Minuta! – powtórzył mocniej Goldman i zdjął słuchawki. Przysunął się bliżej okna. Co chciał zobaczyć, nie wiadomo. W dole była jedynie ciemność. Żadnych wsi, świateł czy czegokolwiek, co mogłoby ich naprowadzić. Pilot musiał być dobry.

Obleciał strefę lądowania chyba dla pewności, że nic nie zagraża, nie ma wiatrołomów. Zwolnił i dziób prawie uniósł się ku górze. Mieli lądować inaczej niż zazwyczaj, pionowo. Na chwilę włączył się reflektor. Pomogło znacznie, ale groziło dekonspiracją.

Zrobiło się głośniejsze. Drugi pilot uchylił drzwi, szukając

niebezpieczeństw. Maszyna zniżała się płynnie, aż płozy dotknęły gruntu.

Światło zgasło. Strzelec pokładowy sprawnie odsunął drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

Wirnik dudnił ogłuszająco. Było przenikliwie zimno i nieprzyjemnie. Trawa, gałęzie tłukły po twarzy w tym małym huraganie, który spadł na polanę.

Bartek przycisnął KBS-62 ze składaną kolbą i złapał za stalową skrzynkę jednej z rakiet. Teraz ciążyła mu o wiele bardziej niż na poligonie. Prędko zajął pozycję, osłaniając maszynę przed ewentualną napaścią. Wycelował w ścianę lasu, słuchając, jak silnik nabiera obrotów.

Rzucił okiem na boki. Sylwetki chłopaków zalegały na wilgotnej trawie. Pasażerowie drugiego Bella prędko pozbywali się balastu, reszty pocisków, i wskakiwali do wnętrza.

Zrobiło się głośniejsze, wiatr się wzmógł i jeden po drugim śmigłowce wzniosły się w powietrze. Jeszcze minuta napięcia, dwie, trzy i ich odgłos zniknął.

Czekali z oczami wpatrzonymi w szczyrbinki, aż wszystko uspokoi się do końca. Nie było krzyków, odgłosów samochodów. Nic.

– Dobra – półszepc Goldmana poszedł po łące – zawijamy się. – Sięgnął po mapę i włączył latarkę z czerwoną przesłoną. Rozejrzał się po lesie. – Tam – wskazał.

Dwaj ludzie, Wojtek Pawłowski i Romek Balejczuk, podnieśli się i ruszyli pędem na szpicę. Znali swoje zadanie.

Zaczynali długi spacer głęboko za liniami wroga.

Warszawa, Polska | 5 kwietnia 1964, godzina 3.45

Blondyn stał oparty o ścianę i gapił się przez zamknięte okno. Nie mógł spać, jak zwykle przed samym zadaniem. Chciał zapalić, ale tu przy szybie nie było najroztropniej. Bał się, że ktoś, jakiś nocny patrol, zauważy ognik.

Punkt wybrano mu idealny, blisko trasy głównej. Niewysoka kamienica,

do celu niedaleko. Luksusów w wynajętym mieszkaniu nie było wiele. Proste, stare meble, trochę zastawy i materac na podłodze.

Za to przez okno w kuchni można było dostać się na metalową drabinkę, która wychodziła na dach, a potem górą przejść do następnego kwartału. Nie miało być łatwo, zwłaszcza kiedy na plecach siedzi cała policja Warszawy. Ale za tę cenę...

Zresztą zleceniodawca się spisał. Dostarczył opis okolicznych budynków, ulicy Krakowskie Przedmieście, Traugutta, Czackiego. Blondyn obszedł te okolice, rozejrzał się, udając zbłąkanego turystę. Uznał, że jeśli będzie szybki, nie spanikuje, ma sporą szansę.

Zawiesił wzrok na niedużym plecaku. Miał tam zapasowe ubranie, na wypadek gdyby ktoś zapamiętał jego garderobę, trochę gotówki i papiery na nazwisko Eugeniusz Bernicki. Inżynier ze Szczecina. To było najważniejsze. Pistolet chciał wynieść w kurtce, ale był gotów go wyrzucić. Nie chciał ryzykować. Resztę zostawi. Jak zazwyczaj.

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 5 kwietnia 1964, godzina 4.04

Ze wsi, która miała być kryjówką dla ośmiu Polaków, pozostała chyba tylko pamięć i nazwa na starych mapach.

Fundamenty kilku domostw ukrytych między lasami zarosły młodymi samosiejkami wierzb. Zaginał ślad po idącej dawniej przez środek osady drodze, teraz porośniętej trawą.

Kiedy skradali się do kryjówki, Bartkowi Karpackiemu trudno było nie zadawać sobie pytań, czemu ta osada wyparowała i jak dawno? Wiele się tu działo, wiele zła wsiąkało w te ziemie. Rok trzydziesty dziewiąty, czterdziesty, czterdziesty pierwszy. Rzezie lata czterdziestego trzeciego, front, a potem powojenny głód.

Czy zostały tu prochy mieszkańców? A może uciekli? Kim byli? Polacy, Ukraińcy, a może wszyscy po trochu?

Szli tu prędko, taszcząc na zmianę kontenery, radiostacje, choć ostrożnie. Przystawali, słuchali i patrzyli. Przeskakiwali polany i leśne przesieki. Wreszcie dotarli do wsi, zziązani, spoceni, ale cali.

Ośmiu polskich żołnierzy, pierwszych na tej ziemi od długich lat, przyszło ciemną nocą, bezszelestnie. Nie napotkali nikogo po drodze. Żadnych ludzi, żadnych patroli. Najwyraźniej hałas helikopterów też nikogo nie zaalarmował. Sowieci zgnuśniali, albo może raczej pilnowali pasa nad granicą, głównych szlaków i przepraw. Poza tym polskie komando zapuściło się bardzo daleko. Niebezpiecznie daleko.

Kryjówką całej ósemki była zapomniana krypta nieistniejącego kościoła, z którego ostało się tylko kilka kamieni i figura Chrystusa, rzucona na zarośniętą trawą posadzkę.

Goldman kazał sprawdzić okolicę. Był spokój. Rozstawili warty i czekali godzinę, nasłuchując ewentualnej pogoni. Nic.

Rozpoznanie na pozycję bojową też nic nie wykazało. Mieli wolną drogę. Pogoda wydawała się dobra, szło jak należy. Mogli odpocząć, poukładać myśli.

Bartkowi Karpackiemu długa przebieżka z obciążeniem wybiła z głowy paniczne strachy, ale teraz gryzło go coś innego. Ten cały podejrzany spokój i łatwość, z jaką wykonywali plan.

Nic nie mówił. Goldman znał swój fach i wyraźnie wiedział więcej niż reszta.

Ludzie siedzieli dookoła, jedli suche racje, uzupełniając energię spaloną wysiłkiem i stresem. Nie rozmawiali prawie w ogóle. Każdy czuł się jakoś nieswojo w tym ponurym miejscu, kiedyś skrawku polskiego państwa.

Zachrobotąło od wejścia. Ciężka kamienna płyta przesunęła się. Podenerwowani złapali za broń, celując w górę schodów.

– Burza – rzucił hasło Wojciech Pawłowski, chyba zły, że mogliby go zastrzelić w tym całym napięciu. Na warstwie ciemnej farby pokrywającej jego twarz połyskiwał pot.

Zszedł niżej, usiadł na schodku i oparł się o ceglana ścianę.

– Czysto, żywego ducha... – Złapał za manierkę i pociągnął spory łyk. – Ciemności mamy jeszcze dwie, dwie i pół godziny. Nie widać patroli, żadnej obstawy tego... kołchozu. – Przetarł usta rękawem, chyba też nie wierząc, że

to miejsce jest tylko tym. – Ale potem... potem może robić się tłoczno – powiedział ze znużeniem. – Lepiej mieć czas zatrzeć ślady...

– Dzięki – przerwał kapitan. Rzucił okiem na mapę i zaraz spakował ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Potarł czoło, otworzył pokrowiec na opatrunek i sięgnął po pigułkę. Łyknął bez popijania. Narkotyk, który wydano żołnierzom Kedywu, dodawał siły, odpędzał sen i wyostrzał zmysły.

– Też to zróbcie – rozkazał i poczekał, aż wypełnią polecenie. – Dobrze, panowie... – spoważniał, obdarowując każdego ze swoich ludzi głębokim spojrzeniem. – W imię boże. – Podniósł karabinek i skinął na Kaczmarczyka. – Zabieraj Romka z czujki i prowadźcie.

Warszawa, Polska | 5 kwietnia 1964, godzina 5.01

Dzwonek telefonu był daleki jak plusk kamienia w studni. Jan Węgliński myślał, że to ciągle sen, i dopiero kuksaniec od żony przywrócił go światu.

Ocknął się. Aparat nie dawał za wygraną. Podpułkownik przetarł twarz, odpędzając resztki snu. Znów miał z tyłu głowy problem, zadanie, jakie mu wyznaczono. Bał się jak diabli.

Z ciężkim sercem podniósł słuchawkę.

– Węgliński, słucham. – Milczał chwilę, zapamiętując, co mówi mu spokojny głos. – Rozumiem – potwierdził, odłożył słuchawkę i wstał.

Na wschód od Bugu | 5 kwietnia 1964, godzina 5.09

Świt był przenikliwie chłodny, przywodził na myśl jesienną aurę. Tylko noc była już krótsza. Na wschodzie jaśniało i z każdą minutą niebo traciło czarną barwę. Gdyby nie okoliczności, można by powiedzieć, że okolica jest urokliwa.

Leniwie płynące wody Bugu szemrały kojąco. Nadbrzeżne szuwary szumiały, muskane lekkim wietrzykiem, ptaki dokazywały ile sił.

Kolumna dziesięciu samochodów terenowych M-38 i trzech pocziwych transporterów M-5 toczyła się drogą prosto na most.

Borys Zarwiegin siedział jak zwykle w pierwszym aucie.

Miał na głowie hełm, jakby walka już się zaczęła. Na kolanach trzymał pistolet maszynowy MP-40, swój ulubiony oręż.

Nie odzywał się wiele. Myślał i patrzył. Wspominał ostatnie godziny, odprawy i rozkazy.

Jechał na samej nieomal szpicy Pierwszej Dywizji Pancерnej, białorusyjskiego korpusu, ale i całej formacji. Szli za rzekę, na pas przygraniczny, skąd mieli zaraz ruszać w kierunku własnej ziemi. Początkowe wzruszenie, podniecenie mieszało się z wielką, trudną do opanowania obawą. Polska, sojusze, wszystko to miało bronić świata przed bolszewią. Tymczasem gorączkowe rozkazy nakazywały coś zupełnie innego – wielki atak. Nadchodził.

Borys zastanawiał się, co będzie na wschodzie. Czy naprawdę jest ich tam tak niewiele? Jeśli nawet, to wystarczy, by zrobić jego ludziom prawdziwy egzamin. Wykrwawić, i to pierwszego dnia, bez szansy na przywyknięcie. Przecież uczono ich miesiącami, że mają odpierać atak, potem przeprowadzić kontruderzenie. Porucznik popatrzył wokoło. „Inni też główkują?” – zapytał sam siebie.

Każdy zagajnik, las, wąwóz nagle wypełniły ciasno dziesiątki pojazdów i setki ludzi. Cierpliwie czekające rozkazów pododdziały zajęły prawie wszystkie pozycje wyjściowe. Czołgi, transportery. Zjeżdżała się artyleria, gotowe, zamaskowane składy otwierały podwoje. Za rzeką straże przednie czuwały, gdyby Sowieci coś wyczuli.

Cała machina, która latami trwała, szkoląc się na ten właśnie moment, działała idealnie. Było kilka opóźnień, ale nie miały znaczenia.

Kolumna plutonu minęła ustawione w ciemnych zagajnikach pod grubymi siatkami maskowania czołgi Super Sherman i Super Pershing. Nie najnowsze, ale dzięki polskim modyfikacjom wciąż groźne maszyny z dwóch pułków, których oczami mieli być ludzie Borysa.

Dalej były składane mosty pontonowe, które miano przerzucić na sygnał tuż przed samym wyjściem na pozycje bojowe, tak by nie alarmować wroga.

Zarwiegin machnął na wartę przy wąskiej betonowej przeprawie. Byli

poinformowani, zrobili wolny przejazd.

Dżip wtoczył się na most i lekko przyśpieszył.

– Spokojnie, zdążysz – porucznik pohamował szofera, młodzika, syna uciekinierów zza „kordonu”. – Zdążysz – powtórzył sam do siebie, wpatrując się w jaśniejące wschodnie niebo.

**4 km na południowy wschód od kolchozu Swoboda, Ukraińska Socjalistyczna Republika
Sowiecka | 5 kwietnia 1964, godzina 5.29**

– Gotowe – zameldował Bartek Karpacki i otarł pot z czoła. Nie wiedział, czy poci się ze zmęczenia, czy bardziej z nawracającego stresu. Serce kołatało, jakby chciało wyrwać się na wolność. Dłonie drżały, cały wewnętrznie dygotał.

– Gotowe. – Warten też zakończył przygotowania.

Goldman wyszedł z cienia drzew i pochyłony, obszedł stanowiska. Dwa kontenery pocisków kierowanych zamaskowano świeżo ściętymi gałęziami. Trzeba było to zrobić, póki ciemno, póki noc. Potem ktoś mógł dostrzec ruch.

– W porządku. – Dowódca zdawał się zadowolony z oględzin. – Na pozycje i czekamy – rozkazał zwięźle. Wykonali bez słowa. Wskoczyli między pnie, w zarośla, gdzie do wykopanych stanowisk biegly przewody sterowania.

Goldman klęczał z lornetką przy oczach. Widział cel, na razie białoszary punkt na horyzoncie. Wybrano im idealne miejsce. Widoku nic nie przesłaniało, żadne drzewo czy wzgórze.

Tylko czekać na odpowiedni moment i strzelać. Ale potem... Odwrót, ucieczka w środku dnia... Rozkaz „odskoczyć i przeczekać” był nieaktualny. Kapitan nie mówił tego, ale widział.

Wróg nie obstawił jeszcze szczelnie okolicy. Przy takim celu było to jednak kwestią czasu.

Lip Goldman wrócił do reszty. Obszedł pozycje. Ludzi trudno było dostrzec.

– Czekamy – rozkazał półgłosem – Oczy i uszy otwarte... – Zerknął na

zegarek. Zapowiadał się cholernie długi, niebezpieczny, najtrudniejszy dzień w ich życiu. Kolejny w jego życiorysie.

Warszawa, Polska | 5 kwietnia 1964, godzina 6.09

Może i stolica wyrosła ze zgliszcz i gruzów w iście amerykańskim tempie i stylu, ale ciągle trafiały się, nawet w śródmieściu, takie kwiatki, zapomniane przez architektów i włodarzy dziury, półruiny, którymi nikt się nie przejmował.

Klatka schodowa wymagała pilnego remontu. Cuchnęła stęchlizną i moczem. Tynk odłaził razem z farbą. Drewniane, na wpół zgniłe schody skrzypiały niemiłosiernie przy każdym ruchu.

Podpułkownik Węgliński, ubrany w lekki krótki płaszcz narzucony na golf i sztruksowe spodnie, stanął przed drzwiami z numerem 4. Był na pierwszym piętrze tej obrzydliwej kamienicy i przynajmniej mógł być pewien, że jest tu niewielu mieszkańców.

Zaparkował daleko, bo służby porządkowe już pozagradzały główne arterie wzdłuż trasy przejazdu amerykańskiego prezydenta albo w jej pobliżu.

Jan zastukał. Usłyszał kroki po drugiej stronie i za moment szcęknął zamek.

– Ja od Izydora – powiedział znudzonym głosem, kiedy w szparze pojawiła się twarz.

– Zapraszamy. – Drzwi otworzyły się szerzej i włączono światło. Korytarzyk, podobnie jak reszta mieszkania, był równie nieprzyjemny co klatka. Śmierdziało i było zimno.

We wnętrzu stały resztki kredensu, zmatowiały stół i kilka krzeseł, wszystko pamiętające jeszcze wojnę.

W głównym pokoju, gdzie okna zaklejały pożółkłe gazety, siedziało czterech ludzi. Węgliński kojarzył jednego albo dwóch, najbardziej tego, który go wpuścił, młodego, niewysokiego, o wysportowanej sylwetce i kręconych włosach.

– Bardzo nam miło – odezwał się odzwierny z szerokim uśmiechem. –

Słyszeliśmy o panu pułkowniku – w głosie mężczyzny zabrzmiała prawdziwa fascynacja.

Jan popatrzył po reszcie. Stali z wybałuszonymi oczami, chyba mając go za jakiegoś gwiazdora firmy.

„Chociaż młodzież docenia” – pomyślał oficer, biorąc to za dobry początek tego parszywego dzionka.

– Siadajcie, proszę. – Wskazał na krzesła.

Zasiedli, ciągle nie spuszczać z niego wzroku. Nie wyglądali na młokosów bez doświadczenia. Przeszło-Stępniakowski zarzekał się, że osobiście dobrał najlepszych z referatu obserwacji i planowania dywersji, jak określano tych których szkolono, by stawali się niewidzialni, jeśli trzeba.

Ale pomimo szkolenia i zapewne wielu doświadczeń oczekiwali chyba od Jana jakiejś podpowiedzi, wyjaśnienia.

– Macie kawę? – zagał neutralnie Węgliński. – Nie zdążyłem...

– Oczywiście – zerwał się młody dowódca i potruchtał do kuchni.

Przyniósł termos i filiżankę.

– Pan wybaczy, nie przedstawiłem się – przypomniał sobie, nalewając Janowi kawę. – Porucznik Gradac, Walery Gradac – dodał.

– Miło, miło. – Jan upił łyk. – Co macie dla mnie? – przeszedł do rzeczy, kiedy kofeina zaczęła krążyć w żyłach.

– A tak, oczywiście. – Gradac, choć pozował na wyjadacza, lekko się zmieszał.

Podszedł do potłuczonego kredensu i sięgnął po teczkę.

– Proszę. – Wyciągnął pojedynczą kartkę i kilka fotografii.

– To on? – Jan zastygł w bezruchu z parującą filiżanką w powietrzu. Pierwszy raz widział przeciwnika. Jakoś inaczej go sobie wyobrażał. Wydawał się bystry, bardzo bystry i ostrożny. Zdjęcie zrobiono z ukrycia, gdzieś na ulicy, inne w aucie w trakcie jazdy. Na każdym z twarzy wyzierały wąskie, uważnie patrzące oczy myślącego człowieka.

Jan odstawił porcelanę i uniósł fotografię.

– Dobrze – wyszeptał, patrząc tak, jakby chciał zapamiętać tę twarz.

– Panie pułkowniku... – głos Gradaca był nieśmiały. – Bo my nic nie wiemy... Ci, co chodzili za nim wcześniej, też nie. Zdradzi pan nam tajemnicę? Ja wiem – położył rękę na sercu – nie wolno... ale choć trochę. To ktoś ważny, tak? Tamci go tak pilnują... – Oczy zapłonęły mu niemal dziecięcą ciekawością. Pozostali też nadstawili uszu.

„Gówniarze” – Węgliński o mało nie wypowiedział tego na głos. Powinni wiedzieć, że nie wolno zadawać takich pytań, nie na tym szczeblu. Ale oni nie byli głupi, widzieli, co się dzieje, musieli słyszeć w „bunkrze”, że idzie gorący czas. Bali się, a starszy pan z dawnych czasów miał być jak dobry wujek, co opowie, o co chodzi.

– Ważny – powiedział Jan z całą powagą. Więcej nie mogli i nie musieli wiedzieć. – Czekamy i potem w drogę. Znamy swoje zadania. Szybko, sprawnie i bez nerwowych ruchów, a będzie w porządku – kilka oklepanych frazesów ucięło dyskusję.

ROZDZIAŁ 6

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 5 kwietnia 1964, godzina 9.10

Maszyna dudniła od głośno pracujących silników, ale salonka dygnitarzy była dobrze wytłumiona.

W przestronnej i wygodnej kabinie, wyposażonej w meble z białej skóry, rozsiadła się ścisła delegacja. Marszałek Kuzniecowa, generał Darijew z adiutantem oraz sam nowy przywódca Kremla, Leonid Breżniew.

Prócz nich nowym Mi-8 podróżowała dodatkowo charakteryzatorka teatralna.

Uwijała się jak w ukropie, wytrzymując stęknienia i fuknięcia głównego aktora.

Reszta: kilku oficjeli, marszałkowie, dowódcy dwóch okręgów, którzy mieli składać hołd, oraz ich zastępcy, leciała nieco starszą maszyną.

– Czy to, do cholery, konieczne? – krzywił się rozparty w fotelu Breżniew, kiedy zgrabna trzydziestolatka w wyjściowym żakiecie mazała go pudrem po okrągłej twarzy.

– Konieczne. – Darijew z trudem pohamował wzbierającą wesołość. – Przecież nie boli, towarzyszu pierwszy sekretarzu – pozwolił sobie na przytyk, ale zmarszczone brwi marszałka były sygnałem, żeby nie przesadzał.

– Gówno... – stęknął pierwszy, ale kobieta nie dała się wystraszyć.

– Zrozumcie – stary marszałek próbował tłumaczyć – nowe czasy, nowe rozdanie, musicie być przygotowani...

– Wszystko będzie rejestrowane w kolorze – wtrącił lekko poirytowany Darijew. – Sprzęt najwyższej klasy. Niemiecki specjalista od reklamy, to idzie w świat. Musicie dobrze wypaść.

Breżniew mamrotał coś pod nosem, ale chyba ochłonał. Dali mu szansę, wybrali, musiał się godzić.

Maszyna weszła w zakręt w chwili, kiedy charakteryzatorka uznała, że więcej zrobić się nie da.

– Gotowe, towarzysze – oznajmiła niepewnie i zaczęła pakować swój sakwojaż.

Darijew pochylił się bliżej, kiwając z uznaniem.

– Wzorowo – pochwalił, jakby się na tym znał. Choć naprawdę sekretarzowi odjęto co najmniej z dziesięć lat. W kolorowej telewizji na Zachodzie miał wypaść dobrze. Tak żeby ludzie go polubili, jak tych swoich pięknoduchów z kolorowych okładek...

Tam daleko mieli wierzyć, że kolejny wódz na Kremlu to nowoczesny menadżer nowej epoki, który buduje państwo na współpracy i rozwoju. Nie różni się bardzo od reszty liderów świata i chce tylko handlu oraz... pokoju.

Warszawa, Polska | 5 kwietnia 1964, godzina 9.35

Prezydencki Air Force One wylądował punktualnie na płycie warszawskiego lotniska.

Nad pasem przemknęły trzy eskortujące go od granicy PZL P-15, duma polskiego przemysłu i sił powietrznych. Wyprodukowano dopiero kilkanaście egzemplarzy.

Samolot kołował nieśpiesznie pod przygotowaną trybunę honorową pełną gości, wreszcie przystanął idealnie na wysokości szerokiego czerwonego dywanu.

Drzwi otworzyły się, zaraz pojawiła się w nich sylwetka głównego pasażera. Za nim dostojnie schodziła pierwsza dama.

Prezydent Dobrowolski wraz ze swoją małżonką wyszedł na spotkanie. Nastąpiły wymagane przez protokół uściski dłoni, powitania i ukłony.

Po wysłuchaniu hymnów obu państw i przeglądzie kompanii honorowej obaj prezydenci wsiedli do limuzyny marki Lincoln i w asyście ochrony oraz policjantów na lśniących białym lakierem i chromami motocyklach Sokół S-400 ruszyli do Belwederu na zaplanowane śniadanie.

John Kennedy nie czekał, aż dotrą na miejsce. Uśmiechał się, machał do tłumów, zupełnie spontanicznie obstawiających ulicę na trasie, ale jego wątpliwości nie mogły czekać. Zaczął wypytywać prezydenta Dobrowolskiego. Ten jak najbardziej dyplomatycznie starał się zbywać temat, czekając na lepsze okoliczności, jednak gość nie ustępował.

Podenerwowany Polak trwał na wymyślonej z wojskowym zapleczem pozycji, choć z każdym kilometrem słabł w swoim uporze. Wreszcie uciał coraz wyraźniejsze pytania o powody tak dużych ruchów jednostek drugorzutowych.

– Sytuacja jest poważna. – Dobrowolski wypowiedział to prędko, na jednym wydechu.

Kennedy zamilkł, pochylił głowę, wpatrzył się błękitnymi oczami w Polaka. Wiwatujący tłum i widok odbudowanego miasta, o którym tyle czytał, przestały go obchodzić.

Ta „poważna sytuacja”, te dwa słowa nacechowane były niedającą się ukryć obawą.

– Pańska wizyta w naszym kraju – Dobrowolski spostrzegł, że odsłonił się za mocno, i próbował zatrzeć to wrażenie – nasze problemy... niepokoje sprzed kilku tygodni... informacje, jakie otrzymaliśmy... Musimy być gotowi. – Przełknął ślinę i pomachał do grupy uczniów z polskimi i amerykańskimi flagami.

Jeśli sądził, że uspokoił Johna Kennedy’ego, to bardzo się mylił. Efekt był zupełnie odwrotny.

Kołchoz Swoboda, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 5 kwietnia 1964, godzina 10.30

– Akcja! – naznaczony silnym akcentem głos fircyka w jasnym płaszczu, kapeluszu i z apaszką pod szyją poleciał w tłum wojska. Choć dziś Wasilij i jego kumple czuli się jak statyści. Ba, byli nimi, przecież brali udział w przedstawieniu, a dokładnie – w filmie.

Uważne oczy politruków i czekistów pilnowały gdzieś na tyłach tego tłumy, żeby wszystko szło zgodnie z rozkazami.

Fircyk w apaszcze, chyba jakiś Szwab, mocno się gorączkował, rozdzielając zadania swoim ludziom z kamerami i osobiście dobierając chłopaków na pierwszy plan. Mówił dużo, tłumaczeniem zajmował się jakiś kapitan.

Rozkaz był krótki: „Spontanicznie i wesoło. Bo nogi wam, kurwa, z dupy powyrywam” – kapitan zapewne tę frazę dodał od siebie.

Wasilij Goryże wyszczerzył zęby i wykrzyknął wesoło, machając dłonią ile sił. Fircyk umieścił go w zaszczytnym trzecim rzędzie, a że tłum napierał i każdy chciał być bliżej szanownego gościa, a przede wszystkim kamery, udało się podejść.

Wojsko odziano w jeszcze nowsze ubrania robocze, które przywieziono z rana. Mieli być chyba cywilami czy jakoś tak, bo poznikały wszelkie wojskowe pojazdy, stopnie i plakaty propagandowe. Wszystko poszło za mur, jakby kołchoz przeszedł przyspieszoną demilitaryzację.

– Uwaga! – poleciał rozkaz. Skryta za stróżówką orkiestra dostała polecenie i ryknęła wesoła melodia.

Zahuczało gdzieś daleko nad nimi, ale kapral nie słuchał. Serce waliło jak młot. Ważna chwila, najważniejsza chyba.

Przez odmalowaną bramę wjechały trzy ciemne, błyszczące Wołgi, za nimi niepozorny łazik. Miało to sprawiać wrażenie, że ochrony nie ma, choć wiadomo było, że w okolicy kręci się co najmniej kompania.

Wasilij wiedział, co robić, podobnie jak reszta. Gruchnęły wiwaty, brawa, tłum napał ku środkowemu autu.

Drzwi z trudem się otworzyły. Ktoś z łazika podbiegł, żeby pomóc. Też „cywil”. Jak kierownik odcinka albo majster, w nowiutkim zestawie: niebieska kurtka, spodnie i kraciasta koszula.

Z samochodu wyszedł postawny, wysoki mężczyzna. Nosił jasny garnitur, może za lekki, jak na pierwsze tygodnie wiosny, ale dzięki temu była odeń jakaś świeżość.

Wasilij nigdy go wcześniej nie widział, ale wiedzieli, kim jest. Powiedzieli im na szkoleniu politycznym, że to nowy pierwszy, bo gazety tu

nie docierały, a i czytać by czasu nie było. No i na sam początek towarzyszy przyjechał tutaj, do nich właśnie.

Kamery otoczyły grupkę wyselekcjonowanych mężczyzn i kobiet – aktorek, które podawały pierwszemu chleb, rzucały się na szyję. Szło dobrze, jak nakazano, jak ćwiczyli.

Pierwszy z uśmiechem ruszył w tłum, ściskając energicznie dłonie. Krzatali się tak kilka minut, aż fircyk dał polecenie – cięcie. Kamery przegrupowały się na nowe pozycje, radość nieco przygasła. Choć nie do końca – zobaczyć pierwszego i jeszcze uścisnąć mu dłoń... To było wydarzenie.

**4 km na południowy wschód od kolchozu Swoboda, Ukraińska Socjalistyczna Republika
Sowiecka | 5 kwietnia 1964, godzina 10.36**

Jeśli ktokolwiek miałby jeszcze złudzenia, że przed sobą mają zwykły kolchoz, to teraz przysłyby jak bański mydlane. Od strony budowli majaczących daleko za łąkami na niebieskim niebie przemknęły dwa helikoptery. Ominęły kolchoz i szerokim łukiem skręciły na południe, wprost na pozycję ludzi Goldmana.

Ci odruchowo przycisnęli głowy do ziemi, choć zamaskowani byli dobrze, a z tej wysokości zupełnie niewidoczni.

Tylko kapitan, z głową przy pniu, bacznie śledził lot dwóch Mi-4.

– Spokojnie, nie dostrzegą nas – mruczał, prawie nie otwierając ust. – Czekamy jak zaplanowane. – Opanowanie dowodzącego było w takich chwilach najistotniejsze.

Siedzieli w ósemkę w głębi sowieckiego terytorium, z maszynami wroga nad głowami, a tymczasem daleko przed nimi odbywała się uroczystość. I to nie było jaka.

Dwie przysadziste maszyny przemknęły nad lasem, by zrobić kolejny nawrót.

Bartek Karpacki sięgnął po lornetkę. Był w cieniu, nie martwił się, że zdradzi go jakiś świetlny refleks. Kiedy oddalił się łoskot silników, razem z

wiatrem doleciały strzępy muzyki.

– Co to za jubel? – zapytał, wyostrając obraz. Widział tylko mur, dachy chlewów, cienką żółtawą kreskę czegoś, co pamiętał z odprawy, co przywodziło na myśl podium albo scenę.

– Doniosły – burknął ironicznie Goldman w sposób wskazujący, że nie ma ochoty na pogaduszki.

– Strzelamy? – Karpackiemu buzująca coraz mocniej adrenalina nie pozwalała siedzieć cicho.

– Czekaj na rozkaz. – Kapitan ciągle obserwował przedpole, wypatrując patroli.

Modlił się, żeby żaden się nie pojawił, póki nie zaczną. I te przekłete śmigłowce. Nie prowadziły tylko obserwacji. Mi-4 były duże, transportowe. Musiały wozić wojsko i być gotowe na reakcję. Jeśli tak, szanse jego oddziału, żeby odskoczyć, mocno spadały.

– Wywiad mamy dobry – odezwał się niespodzianie do reszty. – Skończą szopkę i wystawią nam się pięknie. Cierpliwości.

Warszawa, Polska | 5 kwietnia 1964, godzina 10.46

Jan Węgliński stał na gwarnym, tłocznym Krakowskim Przedmieściu. Warszawiacy i setki przyjezdnych czekali na główną atrakcję dnia. Prezydent USA miał zjeść śniadanie z polskim przywódcą i następnie ruszyć na plac Zamkowy, gdzie miał przemówić do zgromadzonego tłumu.

Atmosfera była radosna i podniosła zarazem. Kolejny prezydent USA w powojennej historii Polski miał potwierdzić sojusznicze więzy i być może wypowiedzieć kilka słów pocieszenia po nieszczęściach wczesnej wiosny, potępiając tajemnicze siły, które tak naprawdę tajemnicze dla nikogo nie były.

Podpułkownik słuchał rozpolitykowanych kobiet i mężczyzn, paląc papierosa i nerwowo, skrycie spoglądając na zegarek.

Jeśli kiedyś miałby dostać zawału, to moment był idealny. Puls rósł, a jemu zdawało się, że przygniata go ciężar problemów całego kraju, nawet

świata. Duma sprzed kilku dni przeminęła i z wolna rodziła się w nim wściekłość, że dał się w to wrobić.

Paweł mógł wziąć kogokolwiek. Byli młodszy i sprawniejsi, ale jak na złość generał wybrał jego, starego weterana.

Blondyn rozsiadł się w fotelu i zaczął głęboko oddychać. Umiał panować nad stresem nawet w tej ostatniej chwili, przed samą godziną zero. Znalazł się w oku cyklonu. Obserwowano wszystko, wszystko było ważne i podejrzone.

Przygotował się perfekcyjnie. Broń czekała na łóżku, podstawa pod karabin stała na miejscu. Firanka była odsłonięta tylko nieznacznie, okno na podwórko uchylone, wystarczyło pchnąć. Na ramie łóżka wisiał spakowany plecak.

Drzwi do mieszkania zamknął na cztery spusty i udawał, że go nie ma, by sąsiedzi niczego nie podejrzewali. Policjant kontrolujący domy na trasie obszedł wszystko, ale chyba uwierzył, że nikogo nie ma. Teraz stał u wejścia do bramy jak dziesiątki jego kolegów na ulicach stolicy.

Blondyn zastawił drzwi jedyną większą komodą w tej klitce i musiał wierzyć, że to wystarczy.

Rwetes na ulicy rósł falą. Mężczyzna ostrożnie podszedł do okna. Sprawy zaczęły przyśpieszać. Rzucił okiem na zegarek. Tak, czas nadchodził. W tłum poszła zapewne wieść, że kolumna rusza.

**4 km na południowy wschód od kolchozu Swoboda, Ukraińska Socjalistyczna Republika
Sowiecka | 5 kwietnia 1964, godzina 11.06**

Dźwięki krążących ponad lasem maszyn robiły się irytujące i dopełniały uczucia rozdrażnienia. Piloci niczego się nie spodziewali albo raczej swoje zadania wykonywali mało starannie, traktując wyznaczony im patrol jako kolejne godziny do wylatania. Ich obloty były coraz dalsze, dłuższe i wyższe.

Bartka zżerały nerwy. Gryzł wargi tak mocno, że poczuł krew. Reszta ludzi zastygła w bezruchu z napięciem wyrysowanym na twarzach.

– Dobrze, panowie.

Goldman odczekał, aż dwójka podniebnych wartowników oddali się nieco. Bardzo by nie chciał, żeby wrócili, kiedy zaczną. Wystrzał kierowanego pocisku nie był salwą armaty, ale mógłby zwrócić uwagę załóg w powietrzu.

– Zająć pozycje – rozkazał Goldman spokojnie, jak na ćwiczeniach.

Bartek zrobił szybki znak krzyża, sapnął i opuścił leże.

Warten zrobił to samo. Był skupiony jak chyba nigdy. Dotarło do niego z całą mocą, że to on wykona główną część. Bartkowi przyszło tylko wyszukiwać cel oraz zagrożenia dla celowniczego i ostrzegać.

Karpacki podczołgał się do wyrzutni, zdjął pokrywy i cisnął je między drzewa. Szukał na niebie dudniących gdzieś maszyn, ale ku jego wielkiej uldze interesowały się czym innym.

– Cel: podium za murem – powiedział spokojnie Goldman, choć opanowanie kosztowało go coraz więcej. A i komenda brzmiała jak surrealistyczny dowcip.

– Cel: podium za murem – powtórzył Warten, przykładając oko do celownika.

– Wiatr boczny, zachodni. Średni – Bartek zaczął swoją litanię.

– Cel widzę – zameldował Zenek, choć w okularze dość mocnego celownika daleka scena, położona w lekkim obniżeniu, była jak wąska kreska. – Patyczek do lodów – wyszeptał dziwaczne skojarzenie.

– Co? – Bartek obrócił głowę, bojąc się, że coś jest nie tak.

– Nic, nic – uspokoił go Warten.

– Czekaj na rozkaz – polecił Goldman, jakby miał do czynienia z młokosami gotowymi spanikować.

Czekali.

Warszawa, Polska | 5 kwietnia 1964, godzina 11.19

Tłum wzdłuż drogi przejazdu kawalkady zgęstniał jeszcze bardziej. Ludzie z kamerami, aparatami i lornetkami tłoczyli się przy barierach, jakby

chcieli pierwsi dostrzec amerykańskiego gościa.

Flagi łopotały, dzieci piszczały, ktoś kłócił się o lepsze miejsce.

Jan wyrwał się z ludzkiej masy i podszedł do budynku. Przez chwilę miał wrażenie, że robi mu się słabo.

Kilka wdechów. Opanował się szybko. Wyszukał wzrokiem swoich kompanów. Nie odstąpili go daleko, tylko na neutralny dystans, żeby nie zbijać się w grupę.

„Zdolne cholery” – pochwalił w myśli. Gradac i jego przyboczny wyglądali jak studenci w tych swetrach i wytartych kurtkach.

Węgliński kiwnął nieznacznie głową i ruszyli prędko, ale spokojnie pod znany im, nieodległy adres.

Blondyn stał oddalony od szyby, z czarnym kocem zasłaniającym głowę i lunetę. Broń była doskonała. Lekkie, nowoczesne łożo ze sztucznego tworzywa, przy ciężkiej lufie, niczym w sztucerze dawało komfort strzelcowi. Mężczyzna oparł broń o sekretarzyk na wprost okna.

Załadował pięć naboí. Więcej nie potrzebował.

Człowiek przy bramie wyciągał szyję, szukając ponad głowami tłumu oznak nadciągających limuzyn. Wyglądał zwyczajnie, może lekko tylko odświeżnie. Szara marynarka z łatami, koszula, pulower. Typowy warszawiak, mieszkaniec śródmieścia ciekaw wielkiego wydarzenia.

Tak samo jak nadjeżdżająca kolumna interesowało go, co dzieje się na nieodległym placu Zamkowym. Tam też nie dało się wcisnąć szpilki i tylko przed zakrytym rusztowaniami frontonem zamku było miejsce, gdzie przemawiać mieli prezydenci.

Kolumna miała wjechać w Podwale, potem przemieszczać się Starym Miastem, gdzie kilka ulic zamknięto dla pieszych i aut, i Świętojańską wjechać na tyły odbudowywanego zabytku.

Tylko niewprawne lub niezainteresowane oko nie widziało nic szczególnego w zachowaniu mężczyzny w marynarce. On nie czekał na kolumnę jak zwykły śmiertelnik. Wmieszał się w tłum i udając ciekawskiego,

ubezpieczał wejście do kamienicy.

Miał godnych przeciwników. Zaszli go z dwóch stron. Niepozorni, zwykli, za jakiego i on chciał uchodzić. Przydusili do ściany. Chciał krzyknąć, ale wiedział, że większe zamieszanie nie wchodziło w grę. Łudził się, że da sobie radę, do czasu kiedy w boku poczuł bolesne pchnięcie lufy pistoletu.

– Prowadź – kazał ten za nim i wbił stal głębiej. Drugi wprawnym ruchem, bez zbędnej ostentacji sprawdził kieszenie, boki i z kabury pod pachą wyciągnął pistolet.

Dwójka ludzi się nie patyczkowała. Postępowali zdecydowanie, brutalnie, ale cicho. Bali się jak i on. Wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Wepchnęli go do bramy, podeszli do wejścia na schody.

– Które piętro?

Ten w marynarce nie odpowiedział.

– Które? – syknął ten z bronią i złapał za dłoń, wykręcając palce.

Do korytarza weszło jeszcze trzech i zawezwany, przejęty młody policjant.

Skwer Hoovera zapełnił się ludźmi do granic. Tłum falował w jakimś uroczystym, świątecznym uniesieniu. Gwar się podnosił, zlewając pojedyncze słowa w szumiący w uszach zgiełk.

Blondyna nie interesowało, co dzieje się na dole. Potrafił wyostrzyć zmysły, wyszukując w otoczeniu tylko to, co go interesowało. Oddychał przy tym głęboko, miarowo, z policzkiem przytulonym do kolby, jakby się z nią zrastał.

Czekał, patrząc w szary asfalt, słysząc, jak przez wzrastającą falę radości przebijają się nieśmiało syreny policyjnych aut.

Prezydent Kennedy jechał w środku kolumny witany przez rozradowany tłum. Tutaj w Europie, zwłaszcza tej jej części, amerykańskich przywódców witano szczególnie serdecznie. Przyszły tysiące ludzi, młodzi i starzy

machali, bili brawo. Sto razy lepiej niż na niejednej wyreżyserowanej konwencji.

Obawy i ostrzeżenia były poważne. Szefowie ochrony doradzali wstrzeźliwość i obostrzenia, ale jak on, człowiek tak witany, mógłby kryć się we wnętrzu auta?

Limuzyna, którą podróżował z prezydentem Ernestem Dobrowolskim, była zadaszona, choć JFK tego nie lubił. Wymusił jednak, by auto miało szyberdach. I to właśnie z niego skorzystał, objawiając się ludności Warszawy, tym samym zwiększając jeszcze aplauz. Ochrona zdawała się dostawać apopleksji. Pilnujący agenci w pozostałych autach poczerwienieli jak na rozkaz, wyciągając szyje w poszukiwaniu zagrożeń.

Ale prezydent się nie przejmował. Ten entuzjazm, te setki uśmiechów, tysiące machających dłoni, amerykańskich flag pobudzały, dawały siłę. Trudna rozmowa przy śniadaniu z polskim prezydentem i jego zapleczem niewiele wniosła.

Mieli tu problem, coś wiedzieli, ale trzymali język za zębami. Teraz rozterki ginęły w bawiącym się tłumie. Prezydent wiedział, że takie obrazki to wielki prezent dla jego sztabu. A przecież była jeszcze przemowa pod zamkiem, odbudowywanym symbolem tego miasta.

JFK wyuczył się jej idealnie. Była dobra, mocna, ale przede wszystkim wzniosła. O ideałach, o tym, co łączy dwa państwa, te dwa kontynenty. O wielkim kosmicznym wyzwaniu.

Był pewien, że zostanie przyjęta równie gorąco, jak on sam. A na poważne rozmowy z Polakami przyjdzie jeszcze czas.

**4 km na południowy wschód od kolchozu Swoboda, Ukraińska Socjalistyczna Republika
Sowiecka | 5 kwietnia 1964, godzina 11.23**

– Gotów? – zapytał Goldman, przekrzykując znów dudniące echo silników.

– Gotów. – Warten przeczekał, aż Mi-4 polecą precz.

W dużych szklach kapitana widać było, jak tłum pod podium gęstnieje.

Na scenie poruszały się punkciki postaci. Nagle rozmyte dźwięki marszy zamilkły.

W lesie też zrobiło się upiornie cicho. Goldman wciągał nosem powietrze, chyba niepewny, czy aby to mu się wszystko nie śni.

Miał coś powiedzieć, kiedy w trzech czwartych dystansu od celu ujrzał ruch. Kilku ludzi, chyba wojskowych, szło nieśpiesznie wzdłuż pola.

– Patrol – stęknął kapitan.

– Mam, widzę – oznajmił Karpacki.

– Czekamy? – Warten zdawał się zupełnie opanowany.

Lip Goldman zacisnął wargi. Wartownicy nie śpieszyli się zbytnio.

– Czekamy... – urwał, kiedy doleciały niesione wiatrem słowa z kołchozowego radiowęzła. Próbował coś zrozumieć. Potem zaraz rozległa się burza braw. Polski kapitan podniósł do oczu lornetkę.

Tak, ten, na którego czekali, był na miejscu.

– Kto to? – zapytał Karpacki z czystej ciekawości.

– Nasz cel.

Jeszcze rzut oka na żołdatów, tam na polu. Znikali z pola widzenia, wchodząc w lasy po lewej. Za to śmigłowce znów zaczynały balet, jakby piloci coś wyczuli. Przeszły ponad lasem, gdzieś bardziej na południe i dość wysoko.

– Bogu dzięki – szepnął Goldman, targany coraz większymi emocjami. – Dobra, czas już... – powiedział do siebie. – Ognia – rzucił zaraz, z trudem panując nad głosem.

W wyrzutni syknęło, uniósł się obłoczek kurzu. Flary sypnęły iskrami, ale ku uldze wszystkich w słońcu nie wyglądały zbyt jaskrawo. Szum silnika poszedł po okolicy i zaraz poniosło go dalej.

Warszawa, Polska | 5 kwietnia 1964, godzina 11.24

W szkle wizjera obraz był doskonały. Widać było kamienice, ludzi i to

miejsce. Arenę wielkiego wydarzenia, mającego dołączyć do dziesiątków historycznych epizodów, którymi naznaczone zostało to miasto. Ba, to miało przewyższyć wszystko i naznaczyć drugą połowę XX wieku.

Człowiek spozierający przez szkiełko odwrócił wzrok i zerknął na cyferblat. Chciał zapamiętać godzinę. Jego kolega spokojnie patrzył przez okno.

W tej sekundzie od korytarza doleciał hałas. Obydwaj popatrzyli po sobie. Pierwszy zostawił kamerę, złapał za wiszącą na krześle marynarkę, wymacał skrytą w niej broń. Wyszukanie kazało się bronić.

Drzwi puściły, ktoś był w środku. Rozległ się jeden strzał. Obłok tynku wypełnił korytarzyk. Jakiś podmuch, brzęk tłuczonej porcelany i kamerzysta osunął się na ziemię.

ROZDZIAŁ 7

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 5 kwietnia 1964

– Pierdolona autostrada – świszczący głos chorążego Pawłowskiego dobiegł spośród drzew. Cała grupa leżała, ciężko dysząc, spocona, z pulsującymi od wysiłku skrońmi.

– Nocą nic nie było – wycharczał Bartek Karpacki, czując, jak zapał uchodzi z kolejnymi kroplami potu. Widok nie był budujący. Cichy i pusty po zmroku szlak teraz co rusz pokonywały samochody, cywilne wywrotki z budowy, ale i zielone wojskowe ZIL-y. Jedna wąska, prosta jak struna droga stawała się przeszkodą równą szerokiej rzece.

– Pali im się koło dupy – rzucił sierżant Sikorowski, drużynowy radiowiec.

– Może – wymamrotał Goldman.

Choć przecież tutaj nie słyszeli żadnych nalotów, nawet grzmotu silników, ostrzału. Byli daleko, bardzo daleko.

– Nasi coś...? – Kapitan obrócił głowę.

– Nic, cisza wedle rozkazu. – Sikorowski poklepał radiostację w plecaku.
– Czekają na nas.

Lip Goldman sięgnął po lornetkę i zatopił oczy w szosie przed nimi. Jeśli chciał wypatrzeć rozwiązanie, to bardzo się zawiódł.

Mieli odskakiwać, jakkolwiek męczące i trudne by to było. Sam Goldman wolałby poczekać, aż zrobi się ciemno. Ale musieli ruszać jak najszybciej. Kapitan jeszcze rozważał, czy nie cofnąć się do ruin kościoła, ale uznał, że to bez sensu. Przebiegli spory kawał, byli osiem kilometrów od punktu „Wisła”. Cofanie się byłoby głupotą.

Drogą przetoczyły się trzy powolne ciężarówki.

– Panowie – rzucił cicho kapitan, sięgając do kieszeni. Wyciągnął

niewielkie pudełeczko z „cudownymi” pastylkami. – Noc będzie długa.

Łyknęli substytut odpoczynku i siły, choć woleliby się przespać, coś zjeść. Bartek schował twarz w dłoń, na sekundę, dwie, żeby oczy odpoczęły.

Do tej pory nie doświadczał obrazów, które widział tego dnia. Działała adrenalina, pęd nie pozwalał rozmyślać. Nieważne, teraz wracało. Jak zatrzymana klatka filmu. Błysk i rwane szczątki. Ci tam nie wyglądali na wojskowych, nie wszyscy.

Szybko przywołał twarz Anny. Poprawiło mu to nastrój, ale tylko na moment. Tęsknota zrobiła się teraz dokuczliwsza niż przerażające wspomnienie, i jeszcze ta niepewność.

– Idziemy tam... – głos kapitana wyrwał go z zamyślenia. Dłoń Goldmana wskazywała na skrawek kniei, prawie dotykający szosy, jakiś kilometr dalej. – Nie możemy zwalniać – instruował spokojnie dowódca. – Odczekamy, a potem pojedynczo...

Na wschód od granicy estońskiej | 5 kwietnia 1964

Słońce już zeszło niżej, rozświetlając rozproszone na zachodzie chmury ciepłą barwą. Trudny dzień zbliżał się ku końcowi, ale to nie był finał.

Tutaj, nad skrawkiem rosyjskiej ziemi, uderzenie polskiego lotnictwa trafiło na najgorszy opór, prawdziwą ścianę pocisków.

Najistotniejsze z wyznaczonych radarów udało się uciszyć, a potem zniszczyć, ale nagromadzenie wojska na niewielkim skrawku ziemi, pasie od granicy po Leningrad, sprawiło, że natężenie obrony było największe.

Na domiar złego, prócz obezwładnionych lotnisk, w pasie przygranicznym istniały bazy w pobliżu portu i dalej. A uderzać tam Polacy nie mieli rozkazów.

Już dwie godziny po pierwszych nalotach na niebie pokazały się wezwane alarmowo myśliwce MiG. Eskorta polskich grup bombowych poradziła sobie z łatwością z zaskoczonymi lotnikami. Ale z upływem czasu zaczynało pojawiać się ich coraz więcej. I coraz więcej trzeba było ślać w

powietrze polskich myśliwców, aby dopilnować, żeby plan ataków na cele naziemne – bardzo szczegółowy i rygorystyczny – został wykonany. Bo wszystko od tego zależało, od nokautu w pierwszej rundzie.

Kapitan Piotr Jakubowski dowodził Trzystą Osiemnastą Dywizjonem. Pod komendą miał dwanaście maszyn, zwinnych, bardzo szybkich francuskich Mirage III.

Od początku, od kilku godzin osłaniał naloty Skyhawków, Phantomów i F-105 na cele nad brzegami Bałtyku. Poderwano całość Dwudziestej Trzeciej Eskadry z Szyman, która była częścią Siódmego Pułku.

Latały, robiąc wielkie koła, najpierw nad własnym terytorium, a potem stopniowo coraz dalej, kiedy sowieckie radary ślepy.

Bali się jak diabli namierzenia przez stację w Leningradzie, ale najwyraźniej byli poza zasięgiem tamtejszych baterii rakiet.

Polowali więc na myśliwce. Pojawiały się rzadko. Podobno inne jednostki miały już kilka sukcesów. Tyle tylko, że Jakubowski jeszcze nie miał okazji wystrzelić. Nie trafiał w odpowiedni czas.

– Wanda, tu Koszalin – w radiu poznał spokojny głos oficera z powietrznego centrum ostrzegania. Poczciwy, smukły Constellation wisiał gdzieś daleko i wysoko, wyłapując skradające się MiG-i.

– Koszalin, masz coś? – Jakubowski rzucił w eter bez namysłu. Nie licowało to z powagą stopnia i funkcją dowódcy, ale miał to gdzieś. Reszta też chciała powojować, a nie tylko kręcić piruety, jak nazywali te patrole.

– Wanda... – głos oficera był pełny wyrozumiałości – północny wschód. Pięćdziesiąt od niebieskiego. Dwa tysiące – mówił spokojnie, czytając z ekranu radaru. – Sześć – to ostatnie wymówił z obawą.

– Przyjąłem, Koszalin. Dziękuję.

Kapitan zaraz zerknął na kompas. Powtórzył reszcie namiar. Mieli czas. Wróg nadlatywał od zatoki, próbował nowych sztuczek.

– Całość: kierunek północny wschód. Kurs siedemdziesiąt – wydał polecenie. – Niebiescy, pułap trzy tysiące. Czerwoni, zostańcie, robicie za przynętę. Zieloni, trzy tysiące na kierunek wschodni. – Wyobrażał sobie, jak

to wszystko będzie wyglądało, i dziękował Bogu za powietrzne centrum.

– Zrozumiałem, wykonuję – powtarzali kolejno dowódcy sekcji. Byli doskonale wyszkoleni. Musieli wiedzieć, że nie starczy zwierzyny dla wszystkich.

Jakubowski przesunął przepustnicę, podciągnął drążek i zwinny niczym rakieta Mirage wystrzelił w górę, za nim pozostałe trzy.

Minuta, dwie i w radiu się zagotowało.

– Widzę bandytów! – meldował podniecony dowódca Czerwonych. – Widzą nas... Strzelają. Poszła salwa rakiet.

Cztery Mirage w zielono-brązowych kamuflażach rozleciały się, czyniąc najprzeróżniejsze figury, umykając przed pociskami. Jeden myśliwiec poszedł wysoko. Prędko skrócił dystans, a sowiecka rakieta minęła go i wnet zgubiła cel.

Inni zmuszeni byli wikłać się w bardziej męczące pogonie. Piloci bluzgali, gadali nerwowo, robiąc wszystko, by nie dać się zestrzelić.

Sowieci złapali przynętę. Widząc, że cele uchodzą w gorączkowym podniebnym tańcu, puścili się w pogoń, gotowi dokończyć dzieła.

– Zieloni... – kapitan odczekał – są wasi.

Skryta za obłokami po lewej sekcja wypadła jak sępy na ofiarę. Jakubowski odczekał chwilę.

– Niebiescy... Atakować – zarządził swoim. Miał wygrać lepszy, choć walka nie była fair. Mieli wielką przewagę i polscy piloci musieli się natrudzić, by dorwać MiG-a przed konkurencją.

Ludzie prędko, jak umówieni przydzielili sobie cele.

– Wiej, szóstka idzie na ciebie – zaczęli ostrzegać kumpli z przynęty, albo raczej odganiać, żeby nie przeszkadzali.

Sowieccy lotnicy nie spostrzegli od razu nowych zagrożeń. Wielki błąd. Jeśli widzieli wroga na ekranach pokładowych radarów, to albo uznali, że mają czas, albo zapędzili się w walkę.

MiG-17 szedł ostro w górę, po skosie w lewo. Dowódca Zielonych

pędził, chcąc przeciąć jego oś lotu. Liczył się doskonały refleks, dosłownie mgnienie oka.

Poszła krótka seria dwóch trzydziestomilimetrowych działek. Białe smugi pocisków pojawiły się chwilę przed nadlatującym srebrnym płatowcem.

Zielony poderwał maszynę, przewalił się ciasno na lewo, przez chwilę myśląc, że chybił.

– Mam! – wrzasnął w maskę. Dwa, trzy błyski, i od MiG-a oderwało się skrzydło. Buchnął snop ognia i było po nim. Niezgrabny, płonący kształt spadał spiralą.

– Brawo. – Jakubowski był dumny, jakby to jemu przypadło. Też miał co robić. W roju myśliwców dostrzegł jednego, który wysforował się daleko.

Dopalacz. Kilka uników. Seria poszła za ogonem, ale chłopaki zdjęli mu problem z karku.

MiG pruł ile miał sił. Kapitan zaszedł go od tyłu, tak żeby Sowiet go nie zauważył. Jego „Francuz” górował nad powolniejszym MiG-iem.

Znów przepustnica, gaz. Zwiększył wysokość. Miał Ruska na widelcu. Widział, jak pilot obraca głowę. Widział, jak próbuje wejść w zakręt. MiG potrafił robić to ciasno, ale teraz był za blisko.

Celownik zgrał się z okiem. Działka plunęły płomieniem i gorące pociski porwały aluminiowy kadłub. MiG-17 dosłownie rozleciał się na skrawki.

Łódź, Polska | 5 kwietnia 1964

Wystąpienie prezydenta Ernesta Dobrowolskiego można było uznać za jedno z najlepszych w jego karierze.

Przejęty, poważny i dumny, lecz bez zbędnego patosu, oznajmiał zaskoczonemu narodowi, który huczał od plotek i strachów, że ten umęczony kraj po raz kolejny zmuszony jest wikłać się w wojnę.

Pozytywny nastrój wolnego dnia, który uświetniła wizyta prezydenta USA, prysnął jak bańka.

Polskie służby wykryły próby zamachów bombowych, a przy tej okazji

na jaw wyszły dowody wskazujące, że poprzednie zajścia inspirowane były ze wschodu. Czy w odkryciu nowych faktów pomogli Amerykanie? Być może, ale teraz już nie było to ważne.

Prezydent i rząd nie mieli zamiaru tolerować ataków na obywateli i aktów terroryzmu. Wydarzenia związane z wizytą Kennedy'ego okazały się przełomowe.

Zimny dreszcz przeszedł po karku Grzegorza Karpackiego. Zacisnął palce na oparciu fotela i zastygł w bezruchu, oczy zaszły mgłą wspomnień, wyświetlając dziesiątki obrazów.

Coś ścisnęło go w gardle. Jego syn... On musiał teraz oglądać to samo. Karpacki wiedział to, przecież Bartek był na linii. Ojcowski żal dopadł Grześka, ale Karpacki zwalczył słabość. Musiał być przecież silny.

Próbował to wszystko sobie poukładać. Bo jakim cudem Polska rzucała się na takiego kolosa? Jaki był cel, jakie siły i środki? Nikt nie wyjaśnił.

Żona siedziała obok z otwartymi szeroko ustami, w wielkim szoku, porażona strachem. Nie odzywał się, nie potrafił jej pocieszyć.

Prezydent podziękował za uwagę. Nadano hymn i zaraz na ekranie pojawił się niecodzienny obraz.

Wiekowi generałowie w swych mundurach, każdy z kolekcją orderów, siwi, ale dumni, z zaciętymi twarzami stali prosto, wpatrzeni błyszczącymi oczami w kamery.

Maczek, Sosnkowski, Sosabowski i jeszcze kilku. A na przedzie, jako wódz naczelny, stał on... Władysław Anders.

– Rodacy! – rzucił gromko z ekranu z taką energią, że rozterki Grzegorza pierzchły. – Ojczyzna w niebezpieczeństwie! – padło proste, ale mocne stwierdzenie. – Wróg winien jest śmierci naszych córek i synów i za to należy się zapłata... – Anders mówił groźnie, ale i z energią, która sprawiła, że Grzegorz nabrał otuchy.

Okolice Lublina, Polska | 5 kwietnia 1964

Kapitan Ferguson stał oparty o maskę swojego Forda Mutt, ubrany w

czołgowy kombinezon i krótką pancerną kurtkę. Palił kolejnego papierosa, patrząc na kolumnę ciężkich niskopodłogowych ciężarówek, które mijają go już dobry kwadrans.

Te powolne maszyny dźwigały na sobie czołgi. Bocznymi drogami kierowały się do miejsca koncentracji.

Ze względu na okoliczności i warunki w wieżach zasiadali żołnierze, ściskając przeciwlotnicze karabiny M2, choć specjalnie nie wierzyli w zagrożenie. Zamiast lustrować niebo, podziwiali widoki, wściekli chyba, że wyrzuca się ich w pole.

Zarówno Ferguson, jak i oni mieli zapamiętać ten dzień. Dzień, kiedy wszystko stanęło na głowie. Wszyscy w odprasowanych w kant uniformach czekali, by ujrzeć swojego prezydenta, przejść w ćwiczonej z takim mozołem defiladzie, a zamiast tego... alarm i rozkaz wymarszu.

Ćwiczyli to, ciągle byli w pogotowiu, ale to zakrawało na coś poważniejszego... Polacy rzucili na wschód stada samolotów. I jeszcze teraz, późnym popołudniem, co raz uszu dochodziły dalekie grzmoty myśliwców.

– Pierdolona wojna – stęknął Ferguson, wyzuty z resztek dobrego samopoczucia. Dywizja miała rozpocząć koncentrację i czekać na bezpośredni rozkaz Pentagonu, podobnie jak pozostałe amerykańskie jednostki.

Ostatnia ciężarówka z czołgiem batalionu dowodzenia przetoczyła się wąską drogą i już nadjeżdżały wozy z zaopatrzeniem.

Ferguson zdusił peta i wskoczył do auta.

– Jedziemy – rozkazał kierowcy. Mutt dołączył do kolumny.

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 5 kwietnia 1964

Zmierzch nadchodził albo tak się tylko wydawało kapitanowi Goldmanowi i jego ludziom. Może była to jedynie gra zmęczonych zmysłów.

Lasy były tutaj gęstsze i wyższe. Przywodziły na myśl stare baśnie i wiekowe, pradawne bory i aż dziw brał, że takie coś mogło przetrwać w krainie, którą wojny pustoszyły w okrutny sposób.

Wielkie iglaste drzewa i wiatrolomy grodziły dojście światła coraz niżej osuwającego się słońca. Dlatego było to najdoskonalsze miejsce do ukrycia dwóch maszyn. Polskie śmigłowce w Związku Sowieckim stały skryte w lesie, pod gęstymi okami siatek maskujących i gałęziami, wszystko pod osłoną grupy porucznika Szymańskiego, rozlokowanej w płytkich okopach i wypatrującej zagrożeń.

Ludzie kapitana Lipa Goldmana rozłożyli się na ściółce, łapiąc się za manierki z wodą i suche racje.

– Jak było? Słyszeliśmy meldunek. – Porucznik Szymański, dowodzący osłonową „jedyneką”, jego łącznościowiec i załogi śmigłowców otoczyli zmęczonych kolegów.

Chcieli wiedzieć jak najwięcej, rekompensując sobie godziny długiego, szarpiącego nerwy wyczekiwania.

– Wszystko dobrze... – Goldman otarł czoło zwiniętą czapką. – Chłopaki się spisali. U was jak? – zmienił temat. Nie czas było na pochwały i bohaterskie dykteryjki.

– Spokój. Raczej spokój. – Smukły młody oficer o jasnych włosach wciągnął nosem powietrze. Zdawał się zazdrościć. Wolałby powiedzieć „nuda”, ale się powstrzymał. – Czasem jakieś samoloty... Zupełne pustkowie. Droga daleko, dobrze nas ulokowali. Chłopaki obstawiają, ale to już pan wie...

– Jakież wieści? – zapytał kapitan. Reszta nadstawiła uszu.

– Naloty trwają. Tyle wiemy z nasłuchów... – wtrącił kapitan Rybarski, obcięty na zapałkę, najstarszy stopniem, czterdziestodwuletni pilot. – Ruscy jak na razie panikują, niezły mają burdel, chyba kłopoty z komunikacją. Jest szansa, że dobrali im się do skóry, a i jeszcze wasza robótka... – Uniósł kciuk i pokiwał głową z szacunkiem.

– Da Bóg – skwitował Goldman. – Coś jeszcze?

– Nic. – Rybarski sapnął. – Szkoda akumulatorów na słuchanie. Czekamy.

– Hasło do naszych nadane – włączył się Szymański. – Nawet nie

zapomnieli o nas. Polecili odwrót przy pierwszej okazji. Komandosi zaczynają rozrabiać tej nocy, powinno się dać przemknąć. Nikt nie zwróci uwagi... – Przerwał mu niedaleki grzmot odrzutowych dopalaczy.

Zamarli z wyciągniętymi w górę głowami.

– Nasi czy...? – jęknął Karpacki, czując się nagle jakoś nieswojo.

– Nasi, poruczniku, nasi – wyjaśnił Rybarski spokojnie, ze znanstwem. – Idą nisko... Tamci ciągle w szoku.

Polowy punkt dowodzenia 11 Korpusu Szybkiego | 5 kwietnia 1964

Nadbudówka samochodu łączności była ciasna i duszna. W wąskiej przestrzeni cisnęło się aż pięciu ludzi, grzała nagromadzona aparatura. Aleksiej Darijew wprosił się jako niezapowiedziany gość. Dowódca korpusu, pułkownik Włodzimierz Borlin, nie był uradowany tym wtargnięciem w swoje kompetencje, ale czekał. Tak jak i obsługa, która chciała wiedzieć, kto właściwie będzie komenderował.

Borlin z pozoru nie pasował do roli czołgisty: wysoki, szeroki w ramionach, o bystrym spojrzeniu czarnych jak węgle oczu.

Zrobiono go tu szefem, jako że jego brygada z moskiewskiego okręgu wojskowego była najlepsza. Katował ludzi i maszyny, łapiąc najlepsze oceny przy alarmach, na poligonach, strzelaninach. Był surowy, ale sprawiedliwy. Dochrapał się swojego stopnia w dość młodym wieku i nie powiedział ostatniego słowa.

Czyli tak samo jak ten tu... wizytator, obwieszony medalami drab w porwanym mundurze. Drażnił Borlina, ale też napełniał zazdrością.

Czołgista nie wojował, za młody był, a tymczasem ten cały Darijew zdążył powąchać prochu. Tak wyglądało z medali. Wparował między pododdziały jak udzielny książę i oznajmił, że obiera komendę. Zacięty wyraz twarzy, porwany mundur, opatrunki na dłoniach i czole sprawiały, że wyglądał jak oficer prosto z frontu. Oczy miał przepelnione czymś, co można by opisać jako szaleństwo, chęć mordy albo obie te rzeczy naraz.

Od połowy dnia eter oszalał mieszaniną panicznych meldunków, pytań i

trzasków, jak również wstrętnych wezwań do rzucenia broni, które dolatywały z wrogich ośrodków. Żadnych rozkazów nie otrzymywali ani nie mogli uzyskać, jakby cały moskiewski sztab, wszystkie najważniejsze figury ulotniły się na dache albo nic nie wiedziały.

I na ten cały bałagan wlaź on, Darijew, i nakazał słać informacje do stolicy, jakby uznał, że jemu akurat muszą udzielić instrukcji. Nabazgrał obsłudze radiostacji jakiś liścik i rozkazał wysłać. Musiało dużo ważyć, bo szyfrant zrobił oczy jak denka butelek i zaczął szukać tym przerażonym wzrokiem pomocy u dowódcy. Ten skinął przyzwalająco i poszło w świat.

– Jest. – Podporucznik obsługujący korpusową radiostację aż podskoczył w fotelu.

Darijew popatrzył na niego, wyrwany z milczącego, napiętego oczekiwania.

Borlin też się zdziwił. Jednak ten gbur miał swoje moce i ktoś go słuchał.

Podporucznik prędko deszyfrował otrzymany kod. Zapisał na karteluszkę i podał generałowi. Ten podniósł skrawek papieru blisko oczu, jakby nie chciał, żeby inni widzieli. I tylko szyfrant dziwnie zaczął się pocić. Depesza i odpowiedź były tak straszne, że aż nierealne.

Aleksiej Darijew nabrał głęboko powietrza w płuca i wstał, podkreślając powagę chwili.

– Towarzysze – zaczął spokojnie przemowę – mogę wam zdradzić, że dziś w ataku terrorystycznym poległ towarzysz pierwszy sekretarz...

To wystarczyło, by wstrząsnąć zebranymi jak uderzenie prądem, ale Darijew mówił dalej:

– ...minister obrony towarzysz Kuzniecowa... – Wyraźnie wzruszony zrobił krótką pauzę, a potem wymienił kilka innych nazwisk mniej ważnych oficerów.

Borlin i reszta słuchali z otwartymi ustami, chyba z początku sądząc, że to ponury żart, jakieś ćwiczenie. Ale tak nie było. Świat się walił.

– Wasi ludzie ruszyli w pogoń za tymi bandytami – ostatnie słowo Darijewa naznaczył szczery wstręt. – Poinformowałem sztab generalny.

Tylko wasza aparatura mogła w pobliżu...

– Rozumiem, oczywiście. – Pułkownik przełknął głośno, kiwając potulnie głową. – Jakie rozkazy? Co robić? – pytał zagubiony.

– Rozkazy? – prychnął ciężko Darijew i wlepił wzrok w kartkę. – Ten atak... Ten akt terroru to był sygnał, początek. – Spojrzał na pułkownika płonącymi gniewem oczami. – Oni to przygotowali... dali sygnał... – umilkł, zaciskając pięści i mieląc niezrozumiałe słowa w ustach. – Zaatakowano nas! Zaatakowano! – wykrzyknął w furii. Obrócił się, podszedł do drzwi i uchylił je, łykając świeższe powietrze.

Borlin i reszta popatrzyli po sobie.

– Może wody? – zapytał nieśmiało pułkownik.

– Nie, nie. – Darijew przetarł zmęczoną twarz, czując, jak rany zaczynają piec.

Miał mętlik w głowie, dopadała go niemoc.

– Mówcie, co wiadomo – wycharczał, nie odwracając się, zawstydzony słabością.

– O tym burdelu? – wykrztusił Borlin. – Niewiele. Okręg graniczny bombardują... Nikt nic nie wie. Mamy łączność tylko z sąsiednimi dywizjami, chyba ich nie dopadli. Czekają na polecenia, ale cisza... Na własną rękę zaczęli alarmy, gromadzą ludzi, ale stany niskie, sprzęt ukraiński milczy, ale to już wiem czemu. Kamandir ubity w tym zamachu. Do tego wzywają, żeby rzucić broń, bo to koniec. Wzywają Ukraińców, Białorusinów...

– Starczy – warknął Darijew. Liczył na lepsze wiadomości.

Gorszego momentu nie mogli wybrać na uderzenie. Mała przerwa w linii dowodzenia i wszystko się waliło. Wielkie idee należały do przeszłości, teraz trzeba było ratować co się da, ale najpierw rozeznac się w sytuacji.

Tylko w jaki sposób? Generał rozłożył dłoń, na której leżała pomięta kartka.

Wielki, z pozoru potężny kraj był głuchy i ślepy. Już tak się zdarzało w historii. Ale wtedy przywódcy nie zawadzili. Nawet jeśli od razu nie

zdzierzyli presji, po jakimś czasie wracali i dawali odpór.

Teraz było inaczej. Na samym szczycie wytworzyła się próżnia, sytuację pogorszył wolny dzień i kompletny brak przygotowania. Nawet stary Kuzniecowa dał się podejść, nie widział niebezpieczeństwa i do końca chciał odgrywać tego potulnego, by nikogo na Zachodzie nie rozdrażnić.

„Doigrałeś się” – Aleksiejowi przyszło do głowy niesympatyczne spostrzeżenie. Darijew uniósł głowę ponad wierzchołki lasu.

Czuł się cholernie samotny i opuszczony. Wiedział, że przestał się liczyć, a jego kariera się skończyła. Rozkaz, który przyszedł ze sztabu generalnego: „czekać poleceń”, był oględny i zabójczy zarazem. Nikt nie wiedział, co robić, nowe Biuro Polityczne nie zdołało jeszcze wytrzeźwieć po bankietach z okazji dorwania się do stołków.

„Wezmą się za łby...” – konstatacja była oczywista, Darijew wiedział to doskonale. Wyuczył się u boku mistrza. Bez silnej dłoni stabilizatora frakcje miały rzucić się sobie do gardeł. Zwłaszcza ci młodzi, bez szans do tej pory. A jeszcze kiedy wróg rzuca kalumnie o spiskach?

Biuro Polityczne, niezorientowane, będzie szukało winnych w wojsku, sztab generalny nie pozwoli sobie na to i zapewne „zaoferuje pomoc”, czyli przejmie władzę bez pardonu. Ale to nie czasy Kuzniecowa. Bez kota myszy harują, a tam każdy chciałby przewodzić. Skoro jednak zaczęła się wojna, chętnych pewno ubędzie.

Szansa. Darijew otworzył szeroko oczy i wyprężył się. Przyszło nagle olśnienie, wizja ratunku i gry, którą można było podjąć. „Jeśli to szansa... znak” – wystraszył się wewnętrznego głosu, bo jako dobry komunista w nic wyższego nie wierzył.

Obrócił się z tak niepokojącym wyrazem twarzy, że nawet Borlin drgnął.

– Nie pozwolimy zrobić tu kolejnego dwudziestego drugiego czerwca! – generał mówił głośno, cedząc wyraźnie każde słowo. – Nie będzie klęski – zabrzmiało gromko, ale naiwnie. – Rzucimy wyzwanie! Nadać do wszystkich jednostek ukraińskiego okręgu granicznego. Może usłyszą. Nowym dowódcą zostaje Aleksiej Darijew!

Operatorzy radia nie drgnęli, chyba nie rozumiejąc, co się do nich mówi.

– Wybaczcie, ale rozkazy... – Borlin chrząknął, nieśmiało stawiając weto.

– W dupie mam... – Spazm złości wykrzywił twarz Darijewa. – Biorę to na siebie. Jesteśmy bliżej, wiemy, co zaszło i co będzie. To wojna, inwazja, a my mamy bronić... Nadawać – ponaglił, trąc usta. – Nowym dowódcą granicznego i ukraińskiego okręgu zostaję ja. Podajcie swój kod wywoławczy i nakażcie meldować o sytuacji i stratach. Szybko, kto może... A wy – podszedł z wyciągniętym, drżącym palcem – idziecie jako forpoczta! Na zachód, natychmiast...

– Wołga Osiem – głos radiowca przerwał płomienny wywód – przyjąłem.

Podporucznik popatrzył na Darijewa, potem przeniósł wzrok na Borlina.

– Mają coś. Cztery kilometry od kołchozu Swoboda znaleźli dwie rakiety przeciwpancerne.

– No to ma pan ślad terrorystów – sapnął Borlin.

Darijew zasepił się i potarł nerwowo brodę.

– Pies ich trącał. – Machnął ręką. – Są daleko.

Zemsta przestała go naraz interesować. Teraz przecież otwierała się szansa zaistnienia, wyjścia z cienia martwego marszałka.

– Mamy ważniejsze sprawy. Towarzysze, rozkazuję ruszać na zachód!!!

Oddział II Sztabu Generalnego, Polska | 6 kwietnia 1964

Nocny las szumiał niezwykle kojąco. Tutaj pomiędzy smukłymi drzewami nie było problemów, czas zwalniał i dawało się odseparować od zła tego świata.

Paweł Przeszło-Stępniakowski przechadzał się, ćmiąc papierosa, wpatrzony w ciemne niebo. Kompleks kryjący jego „królestwo” był spory i nieomal dziki, dając namiastkę prawdziwego odludzia.

Od głównej ścieżki prowadzącej z „bunkra” doszły skrzypnięcia kroków. Generał przystanął i odwrócił się z ciężkim westchnieniem. Codziennosc doganiała.

– Co się dzieje? – rzucił w półmrok.

– Ty mi powiedz – cień zbliżającego się człowieka przemówił głosem Jana Węglińskiego. Paweł skrzywił usta z niejaką ulgą.

Błysk zapalniczki oświetlił twarz podpułkownika. Trwało to ułamek sekundy, ale Paweł z łatwością dostrzegł, że jego przyjaciel jest wykończony.

– Powinieneś odpocząć – powiedział z prawdziwą troską i lekkim zakłopotaniem. Sam go posłał w oko cyklonu.

– A ty nie? – Jan odparował z ironią i mocno się zaciągnął.

Stępniakowski nie miał zamiaru wdawać się w licytację, ale było prawdą, że z wolna docierał do kresu wytrzymałości fizycznej.

– Nie było czasu ci podziękować – zmienił raptownie temat. Zbliżył się i wyciągnął rękę. – Bardzo dziękuję, świetna robota. – Uścisnął prawicę kolegi, starając się brzmieć szczerze.

– Ku chwale Ojczyzny. – Jan udał, że staje na baczność, i puścił oko. Ironia zawsze towarzyszyła stresom i zmęczeniu. – Powiedz, na coś to się w ogóle przydało? Widziałem orędzie... Prezydent to kupił, generałowie też...

Paweł ścisnął zębami papierosowy filtr i wciągnął dym głęboko do płuc. Znow się odwrócił i ruszył w las, wyraźnie zmieniony. Codziennosc naprawdę go dopadła. Węgliński ruszył za nim.

– Pytasz, czy się zdało? – generał mówił cicho. – Dostaliśmy meldunek... Słyszałeś, skoro siedzisz w „fabryce”. „Dallas”, piękne haselko. Nasi wykonali zadanie, Breżniew prawdopodobnie nie żyje, to znaczy, że do końca Sowietów niczego nie wyniuchali. Grali szopkę, czyli nikt ich nie ostrzegł. Nieważne. Zadanie wykonane. Amerykanie w szoku... tak, byli w szoku. Pokazaliśmy, co potrafimy. Ale im minie.

– Co masz na myśli? – Węgliński przystanął, wyraźnie zaniepokojony. – Paweł! – krzyknął krótko, zaskoczony, że generał nie reaguje. – Wszystko miało być dopięte. Wciągnąłeś mnie, sztab... – Złapał Stępniakowskiego za ramię. Tamten był jak odrętwiały, jakby niczego nie czuł i nie słyszał.

– Wiesz, że dziś niektóre załogi wykonały po pięć, sześć lotów – obwieścił zupełnie bez związku. – Wielkie brawa dla nich. Godni następcy

Skalskiego. Dawid uderzył Goliata. Nie, nie obalił, jeszcze nie, ale ugodził boleśnie. – Niedopałek poleciał w ściółkę. – Poraziliśmy siedemdziesiąt procent celów w strefie nadgranicznej. Samoloty, rakiety... – Świsnął, naśladując nalot. – Trzydzieści procent celów w dalszych rejonach. Jesteś analitykiem, śledzisz raporty od grup rozpoznania i nasłuchu. Na pierwszej linii zamęt, ale do tego marazm. Brak reakcji. Nie ma komu wydawać rozkazów, i to na samej górze. Tam nie ma tradycji ryzykowania. Boją się o własne tyłki, Jasiu. Odcięliśmy im głowę i sparaliżowaliśmy, ale to nie potrwa długo. – Uniósł zatroskane spojrzenie na Węglińskiego. – Wiesz, że pułki raketowe pozbyły się dzisiaj prawie całych zapasów naszych Pershingów? Tak... wywalili wszystko. Stacje radarowe, dwadzieścia jeden cholernych baz i lotnisk. Bolszewicy postradali prawie wszystko, co lata nad granicą... ale źle oceniłem Jankesów.

Węgliński na te słowa tylko chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć.

– A tak, tak... Zakładałem, że Kennedy to fajny facet. Wiesz, kowboj... – przyznanie się do porażki maskował cynizmem – a on naprawdę jest synem przemytnika gorzały. Kiedyś pistolet w marynarce, a teraz dziadyga. Tchórzliwy dziadyga. Wystraszył się jak cholera. Nawet specjalnie nie przejął się, że my... że ty uratowałeś mu skórę. Ważniejsze chyba są wybory. Wojna... cholera, mają wszystko na tacy, a tymczasem... – Machnął zamasyście dłonią.

– Nie pomoga? – Jan oparł się o najbliższy pień, czując, że siły go opuszczają, i zwiesił głowę.

– Oficjalnie są w rozkroku. Wiem, że usiłują ostrzegać Kreml i jednocześnie strofować, ale tam nie ma teraz z kim rozmawiać. Pustka decyzyjna, idealny moment, ale Jankesi i nas chcą pouczyć. Działamy nie według ich planów. Po to zostawili tu Maxwella Taylora. Oficjalnie pomaga, ale tak naprawdę pilnuje nas i dba, żeby jego dywizje w nic się nie wikłały. Będzie chciał hamować nasze postępy, bądź pewien. Choć na zewnątrz wszystko jest cacy, obiecują pomóc sojusznikowi i „znaleźć rozwiązanie”. To wersja dla gazet...

– Jasna cholera... Paweł. – Jan się ocknął. Oczy miał nienaturalnie wielkie, przerażone jak mała kiedy. – Ile sami damy radę? Niedługo...

Będzie trzeba to kończyć, a wtedy Dobrowolski...

– Oczywiście. – Generał odpalił kolejnego papierosa. – Tyle tylko, że pan prezydent się obawia. Wie, że mamy na niego... coś. Waszyngton nawet o tym nie wie. Jego szef sekretariatu. – Cmoknął triumfalnie. – „Igor” wspominał, że mają kogoś, i mieli. Widziałeś, jak wszystkich prześwietlaliśmy, przyczepiliśmy ogony, a tymczasem nasz „Zefir” wpadł, szukając kontaktu przez martwą skrzynkę. Bronisław Lamentowczyk. Pieprzony gnój, szef sekretariatu. Wiele szło przez jego ręce, potem do Chrzanowskiego i dalej. Zwerbowali go prawdopodobnie w niewoli, bo trafił do łagru pod koniec czterdziestego czwartego, choć oficjalnie był na Rakowieckiej. Sukinsyny przewidywały. Dobrze, że ostatnie tygodnie wszystko szło wprost do prezydenta lub twarzą w twarz, bo inaczej... – Otarł wymownie czoło, jakby się pocił.

– Paweł, co mnie to obchodzi – wtrącił niegrzecznie Jan. – Brawo, macie go, ale ty myśl, co z będzie z krajem, co z wojną...

– Właśnie zamierzam – głos generała był wyjątkowo spokojny i profesjonalny. – Szukamy metody, by wyrwać jak najwięcej czasu. Nasz „Zefirek” działa dalej, ale pod naszą kontrolą. Jest skuteczny, uważny, ale boi się bólu. – Mrugnął porozumiewawczo. – Zdoła posłać jeszcze kilka depesz o tym, że to tylko naloty odwetowe, gra na ukazanie twardości władzy po niepokojach w Polsce. Zanim się połapią, że go odwróciliśmy, trochę pomoże. Zdołamy zniszczyć więcej i zejść dalej, póki nie zacznie się kontratak. Zresztą w pierwszej fazie, jak to u nich, nieskoordynowany i na hura. To jak w Normandii. Juan Pujol robił dla Angoli, czarował Niemców, że desant to teatr... a na brzeg schodziły już tysiące ludzi.

Przez chwilę milczał, wydmuchując kłęby dymu.

– Ale jeśli zajmiemy, co planowane, to długo opierać się nie będziemy mogli. Pomoc Jankesów jest najważniejsza. JFK się boi i chyba nie pojmuje powagi swojego położenia. Jeżeli uznał, że wiadomości o zamachu da się zablokować i nie będą miały wpływu, to bardzo się myli. Nie po to trzymaliśmy to w tajemnicy, by wszystko diabli wzięli.

– Co zamierzasz? – Węglińskiemu cała ta płomienna tyrada przywracała nieco wiary.

– Uciekać do przodu. – Stępniakowski zgasił o korę kolejnego papierosa i klasnął w dłonie. – Uciekać daleko do przodu... Dać wolnemu światu powód, by przestali się wahać, żeby wiedzieli, że to ten moment. Dać im nowy wschód, przebogaty, normalny i nastawiony na zysk, kraj koegzystujący z tymi, którzy pomogą. – Uniósł ręce, podkreślając wagę własnych słów. – Zmusić ich do wojowania. – Mimo mroku Węgliński widział w źrenicach generała błysk.

– To też masz opracowane, panie Machiavelli? – podziw Jana w sekundę przeszedł w rozbawienie.

– Tak – odpowiedź była mocna jak uderzenie dzwonu. Generał uspokoił się, podniósł wysoko głowę. – Nie wszystko da się przewidzieć, ale trzeba umieć improwizować, mój drogi. Otóż wkrótce gazety za oceanem, a potem na całym świecie doniosą o niewielkim przecieku. Wywiad polski ma informacje o śmierci Breżniewa. Trudno, nawet kosztem źródła, jeśli trzeba, ujawnimy, co się da. Pokażemy spisek, zamachy, plany. Dodatkowo, gdy sprawa zrobi się głośna, możemy zaprezentować kilka zdjęć satelitarnych. Te nowe zabawki to świetna sprawa. Amerykanie nie przewidzieli takich posunięć i zgodnie z umową ślą nam fotografie wyznaczonych rejonów. A na nich jest ten cholerny kołchoz i czarna dziura pośrodku, gdzie stał towarzysz pierwszy. Zaraz potem w świat pójdzie nowina, że bolszewicy przygotowali zamach w Warszawie. Tu nie będzie litości. Pokażemy film, który kręcili, zdjęcia z obserwacji i tych gagatków, których pojmano, kiedy dopadłeś Francuzika. To nasze asy w rękawie, skoro nic więcej ich nie rusza. To wszystko, ta cała twoja robota, było właśnie po to, żeby zdobyć ten atut. Dać powód do ataku. Ale oni nie mogą się zdecydować. Skoro tak, niech Waszyngton się teraz głowi. Ludzie zjedzą Kennedy’ego za to, że nic nie zdradził, chyba że sam uzna, że musi reagować na tę potwarz. A my wyjdziemy na bohaterów, którzy ocalili głowę sojuszniczego państwa i raźnie wymierzają sprawiedliwość. Wet za wet. O tak. Będą psioczyli, że to nieładnie, ale większość pochwali.

– Jeśli jest, jak mówisz – Węglińskiemu włączył się tryb analizowania – to jankesi nam nie zapomną...

– Być może. – Paweł przytaknął. – Amerykanie pewno sądzą, że się nie odważymy, że to nieprofesjonalne. Dlatego ich samoloty jeszcze nie latają na

wschód. Ale rację mają zwycięzcy, a teraz nie ma nic ważniejszego niż zwycięstwo, mój drogi.

– A ta nowa Rosja? Co to ma być? – Jana nie opuszczały wątpliwości – Nowy rząd? Car? – ściszył konfidencjonalnie głos.

Paweł Przeszło-Stępniakowski uśmiechnął się jakoś tak cwaniacko, pokręcił głową i przyłożył palec do ust.

Powiódł wzrokiem po czarnych, kryjących się w mroku wierzchołkach drzew. Zaszumiało i zaraz skądś z daleka przez szelest gałęzi doleciał stłumiony gang silników.

– Nie idą spać... – powiedział generał cicho, zapominając o pytaniu kolegi. – Niektórzy będą latali dalej i dalej. Nie odpuszczając, póki tamci się ociągają. Będą ofiary, będą straty, ale na razie... Tak trzeba. Dawid ma bić Goliata.

Polesie, Białoruska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6 kwietnia 1964

– Przyjąłem, Miotła Dwa. – Kiedy tylko sierżant sztabowy Leon Girt skończył mówić do słuchawki radiostacji, po drugiej stronie rzeki wyrosła pomarańczowa kula ognia.

Huk rozszedł się z falą uderzenia po rzece i na tle płomienia zamajaczyły setki czarnych pni.

– Szybciej, do cholery! – porucznik Woźniak, dowodzący tą eskapadą, siedzący tuż obok radiowca w dole za wałem ziemi, wydarł się na całe gardło.

Hałas zagłuszał wszystko. Spokojny las porastający brzegi Piny wypełniły wtórne wybuchy i długie serie karabinów maszynowych.

– Dali im, o dali... – szeptał do siebie zadowolony Leon. Głośna, potężna seria poszła pionowo w niebo.

Dowódca nie wytrzymał i zaśmiał się w głos.

– Skurwiele myślą, że to z powietrza... – W uniesieniu pacnął w mokrą ziemię.

– Nie myślą... – Od mostu doszedł odgłos prędkich kroków. Jego ludzie wracali. Zbiegli z asfaltowej szosy, na której stały dwie porzucone ciężarówki i terenowy GAZ.

Dudniło im w płucach, dygotali z zimna.

– G...gotowe – wycharczał pierwszy i zaczął kaszleć.

– Wszystkie? – Woźniak zdawał się nie dowierzać.

– Tak jest, na zicher – wykrztusił ostatkiem sił drugi biegacz i padł na wznak.

Minęła minuta, dwie, i po moście nadbiegło jeszcze dwóch. Uśmiechali się szeroko, szczerząc białe zęby w poczernionych twarzach.

– Bawią się – zachichotał komandos taszczący szturmowego RBS-62. Wyglądał jak szczeniak, który nabroił i teraz jest z tego dumny.

Ale tacy tu służyli. Profesjonalni, ale z zacięciem do burd, skłonni do ryzyka i nieczuli na niebezpieczeństwo, bardziej ciągle awanturnicy niż regularne wojsko.

– Dobra robota. Wszyscy! – Woźniak uniósł kciuk i skinął głową. Na więcej pochwał nie było czasu.

Przez hurgot dalekich strzałów i eksplozji zaalarmowanych Sowieców, którzy okładali ogniem zły brzeg rzeki, doleciał świst silników.

– Zbieramy się, zanim ich namierzą – polecił oficer i poderwał się pierwszy. Przystawił kolbę do ramienia i klepnął w głowę jednego z przemoczonych saperów.

– Cześć, panie kolego. – Łącznościowiec w przypiływie czarnego humoru poklepał hełm martwego Sowietę, wartownika, którego zdjęli na samym początku i ukryli za wałem.

Reszta spoczywała spokojnie z drugiej strony szosy, tuż obok swoich aut.

Polana była dość szeroka. Maszyna zniżała się ostrożnie, choć prędko. Wszystko przećwiczone dziesiątki razy. Jeszcze koła S-58 nie zdołały dotknąć ziemi, a grupa Woźniaka dwójkami, ubezpieczając lądowisko, ruszyła do śmigłowca. Wpakowali się szybko, bez marudzenia.

Silnik nabrał mocy, helikopter uniósł się ukośnie, od razu biorąc zakręt. I kiedy wyszedł ponad drzewa, od rzeki rozległ się wybuch. Łuna zmieniła noc w dzień i kilka języków ognia poszło w górę. Potem doszedł jęk giętego i rwanego metalu, chlust wody. Most przestał istnieć.

Nad Kijowem, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6 kwietnia 1964

Nikt nie mówił, że będzie łatwo i przyjemnie. Ta misja była jedną z najtrudniejszych w nowej wojnie. Od jej efektów miało zależeć, czy wypracowana teoria się sprawdzi.

W lwowskim Szóstym Pułku istniała eskadra zwana potocznie „Puchaczami”, bo jak mawiali, jedynie te zwierzęta widzą w nocy.

W całym lotnictwie istniały tylko dwie takie jednostki, dlatego tej nocy niektóre cele musiały atakować również eskadry „dienne”.

„Puchaczom” przypadło zadanie nieliche: daleki Kijów i jego bazy.

Jeszcze za dnia ewakuowano tu maszyny z lotnisk bombardowanych i ostrzeliwanych w Tarnopolu lub Równem oraz kilku polowych punktów. Później nad Lwów i sektory okładane polskim bombami startowały stąd zagony myśliwców.

Tak jak w przypadku wielkich ośrodków, garnizonów, jakimi były Leningrad albo Mińsk, istniało niebezpieczeństwo, że i Kijów będzie zdolny odegrać rolę przyczółka do poprowadzenia odwetu. Miasto było daleko od polskich granic, już prawie poza zasięgiem taktycznych maszyn. Do tego silnie bronione przez setki rakiet i ogromne ilości artylerii, którą dopiero pod wieczór postawiono w stan gotowości.

Przebić się przez tę zasłonę, korzystając z chwilowego zamieszania, mogły tylko bardzo szybkie, przygotowane do takich zadań maszyny.

F-105 spadły rojem, wylatując z bazy pod Lwowem, który o dziwo, do tej pory nie stał się celem podobnych, tyle że sowieckich misji.

Skonstruowane do przenikania obrony przeciwlotniczej i przenoszenia taktycznych ładunków atomowych, z dobrze przygotowanymi lotnikami za sterami, F-105 mogły sprostać zadaniu. W teorii, bo jeszcze nikt tego nie

próbował.

Polskie Thunderchiefy nie nosiły wiele uzbrojenia. Większość pylonów zajmowały zbiorniki z paliwem. Kijów był na skraju zasięgu, jeśli szło o lot w dwie strony, a do tego maszyny musiały iść szybko, nisko manewrując nad lasami i wzniesieniami. F-105 miał też brzydką przypadłość: pochłaniał morze paliwa, zwłaszcza kiedy pilot używał dopalacza.

W dzień naloty wybiły lukę, korytarz, gdzie nie działał żaden większy radar albo obsługi wołały się nie ujawniać. Dało to pewną strefę bezpieczeństwa i swobody.

Jednak mniej więcej w połowie drogi wszystko się zmieniało. Wyjście na większy pułap mogło się skończyć rychłym namierzeniem.

Ale „Puchacze” miały na to swoje sposoby. Cztery pierwsze maszyny eskadry Trzysta Siódmego Dywizjonu przenosiły skomplikowaną aparaturę, która potrafiła namierzyć źródło sygnału radarowego. Ponadto każda z maszyn uzbrojona została w dwa pociski Shrike o wielkim zasięgu. Niezwykle kosztowny oręż miał sam namierzać się na sygnał radaru i mknąć do celu. Technologia niemal kosmiczna, której, jak i przeprowadzanej taktyki, nikt jeszcze nie użył w boju.

Białe rakiety oderwały się od pylonów i pognały ku radarom, kiedy piloci wracali na niższy pułap, wychodząc z namierzającej ich wiązki. Jeśli Sowieci dysponowali stacjami radiolokacyjnymi wielkiego zasięgu, to tej nocy musiały milczeć. Do samego Kijowa „Puchacze” nie napotkały żadnych myśliwców.

Przeszły od południa. Jeden dywizjon wziął na siebie rolę strażnika i począł kołować ponad celem, wypatrując myśliwców.

Ryk silników rozszedł się ponad miastem, niósł się nad wodami Dniepru. Najpierw zapaliło się kilka reflektorów, szperaczy. Zaraz było ich więcej i stolicę Ukrainy obudził przeciągły jęk syren alarmowych. Teraz wysokość już nie miała znaczenia.

Trzysta Ósmy Dywizjon, drugi w kolejce, spadł na lotnisko jak jastrząb na zająca. Powitał go nieśmiały, nieskoordynowany ogień z ziemi. Maszyny dwójkami przeszły ponad portem lotniczym, wleciały nad wojskową część,

gdzie znajdowały się hangary, i rzuciły bomby.

Błyski widać było w centrum miasta. Kiedy ogniem zajęły się zbiorniki paliwa, noc zniknęła w gorejącej łunie. Ale ten blask ułatwił pracę obrońcom.

Drugi przelot i jeden z F-105 dostał w silnik. Jeszcze pilot próbował uciekać, ale musiał zwolnić i wystawił się na cel. Na niebie wykwitła jasna eksplozja.

Ale reszta nie próżnowała. Ludzie chcieli mieć to za sobą. Kolejny przelot. Bomby rwały betonowe schrony, dziurawiły pasy. Powrót. Na niebie pajęczyna serii. Kolejny myśliwiec został trafiony, z pozoru niegroźnie. Polak wybił w górę, z uporem klucząc, wijąc się jak ranione zwierzę, aż zniknął w mroku.

Przelecieli raz jeszcze, jak było przykazane. Urywane serie z działek szarpały bryły betonu na wieży kontrolnej i w terminalu. Na koniec dopadli samolotów na ziemi. Wszystkich, bo w tym kraju wszystko było wojskowe. Smukłe maszyny pasażerskie łamały się, opierały uwiędłymi skrzydłami o ziemię, siekane jedna po drugiej pociskami. Pożary, wybuchy, istne piekło.

Zmiana na pozycjach strażników i trzeci dywizjon zanurkował. Ogień z ziemi przycichł, ale tylko trochę. Dwa trafione myśliwce odleciały, przedwcześnie pozbywając się bomb. Serie pocisków w MiG-i, kołowe cysterny i wypatrzone w łunach anteny. Wreszcie odwrót. Inną trasą. Wściekłość po stracie kolegów. Obawa o tych, którzy musieli wlec się uszkodzonymi maszynami.

Formowali szyk i odlatywali na północny zachód. Wykonali zadanie. Za nimi, tam w dole, gorzało żywym płomieniem.

Białoruska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6 kwietnia 1964

Biegli wąską ścieżką, która wiodła po stromym, zalesionym wzniesieniu. Choraży Rubinstein wcisnął tłumik Browninga w policzek człowieka, któremu drugą dłonią zasłaniał usta.

– Odezwij się... ubiju. Poniał? – wycharczał przy samym uchu. Odpowiedział mu niezgrabny bulgot.

Obu im serca waliły jak kowalskie młoty. Sowieci z przerażenia, Polakowi... z tego samego powodu.

Do samego końca nie wiedział, czy im się uda. Najwyższe w lesie wzgórze obsadzone było przez dwie drużyny, otoczone wianuszkami pola minowego i okopami.

Udało się pojmać jednego zaraz przy płocie. Dwóch pozostałych z obchodu powalili cichymi strzałami.

Piątka polskich komandosów rozeszła się po wierzchołku cicho i ostrożnie. Wchodzili przez drzwi do bunkrów. Nikt ich nie powstrzymywał, zupełnie się nie spodziewał.

Schron na szczycie był betonowo-drewnianą konstrukcją wkopaną głęboko w ziemię. Żołnierz w salce łączności zrobił wielkie oczy i momentalnie podniósł dłonie. Potulnie odszedł od radiostacji, pozwolił ją wyłączyć.

W czymś na kształt sali wojskowej byli bardziej odważni. Dwóch nie spało, złapali za broń, ale na niewiele im się to zdało. Rozległy się strzały i po chwili leżeli w kałużach krwi.

Pozostali, wyrwani z prycz, nie próbowali bawić się w bohaterów. Jeden z Polaków pokazał, żeby stanęli pod ścianą. Wykonali posłusznie, dygocząc, chyba ze strachu, że nadszedł koniec.

Byli młodzi, bardzo młodzi. Ogoleni na łyso, wychudzeni i niscy. Ustępowali posturą tym pomazanym węglem wielkoludom o wściekłych, pobudzonych narkotykami oczach.

Jeden z napastników pozbierał broń, wyrzucił ją na przyzemę i zaczął odłączać magazynki.

Rubinstein zobaczył w ciemności, gdzieś na wysokości bunkra, trzy błyski czerwonej latarki.

„Koniec” – pomyślał z ulgą. „Szybko, pioruńsko szybko”. Był dumny z kolegów i całej akcji.

Puścił twarz jeńca i złapał go za ramię, wykręcił, aż tamten jęknął.

– Charaszo... pan – powiedział niespodziewanie więzień, zamiast

narzekać na ból. Też chyba mu ulżyło, że żyje. Ale chorąży nie zrozumiął. Myślał intensywnie, ślizgając się po wilgotnej ziemi, co dalej.

Wepchnął jeńca do bunkra, a sam poszedł na przeciwległe zbocze. Mieli to, mieli pozycję. Tam w dole wiła się prosta linia drogi, prowadzącej wśród mokradeł. Była ważna, strategiczna. Daleko, jak małe żagwie, pulsowały ostatnie pożary po nalotach. Lotniska albo magazyny którejs z okolicznych jednostek.

Wzgórze 200 zostało zajęte. Polacy mieli kilka godzin spokoju na uporządkowanie terenu i przygotowanie obrony. O świcie przyjdzie zmiana, ale wcześniej miały nadlecieć śmigłowce i dostarczyć to, co najważniejsze: dalmierz do naprowadzania artylerii i nalotów.

Punkt „Wisła”, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6 kwietnia 1964

Noc zadudniła niepokojąco głośnym hukiem silników. Ludzie Goldmana uwijali się dwa razy szybciej mimo potwornego zmęczenia.

Mieli powody. Byli sami, daleko za granicą, ich Belle robiły harmider, który zdawał się najgłośniejszym dźwiękiem na ziemi.

Lip Goldman obszedł lądowisko. Zabrali wszystko, każdy śmieć, by nie było śladu, ale wolał się upewnić.

Schylił głowę, wziął głęboki oddech, choć na ulgę jeszcze było za wcześnie.

Kapitan wskoczył na pokład pierwszej maszyny, strzelec zamknął za nim drzwi.

- Do domu – krzyknął Lip do pilotów, unosząc kciuk w górę.
- Robi się – kiwnął dowódca Hueya i szeroko się uśmiechnął.

Rotory rozpędziły się i kiedy zmieniły kąt, dwa polskie śmigłowce ruszyły wolno w przód i do góry. Żadnych świateł, widocznych oznaczeń. Pełne zaciemnienie.

Wzleciały ponad drzewa, choć nie za wysoko. Tak tylko, by nie zahaczyć o wierzchołki i nie wpaść w wiązki radarów. Przeleciały kilometr, dwa i dalej

prosto na zachód.

Pilot prowadzący chyba uznał, że teraz w warunkach wojny od radarów groźniejszy jest ogień z ziemi. W końcu ci na dole musieli się zrobić bardziej uważni i nerwowi. Zwiększył pułap, ale znów tylko odrobinę. Drugi helikopter dołączył zgodnie z zasadą latania w szyku.

Wyszli znad lasów. Niebo i ziemia zlewały się w jedną czarną plamę. Ciemna, zdawałoby się, bezludna pustynia. Stąd też nagły, przedziwny błysk, jaki wyrósł od lewej, był jasny jak słońce. Zbliżał się prędko i rósł.

– Uważaj! – wyrwało się Karpackiemu, który bezwiednie skulił głowę i tracił ramię dowódcy. Ten krzyknął w interkom.

Odruch pomógł uskoczyć z osi. Maszyna poszła nosem w dół gwałtownie, za szybko, aż wirnik stracił nośność. Nadlatujący przedmiot próbował odbić. Poderwał się jak ożywiony, ale było za późno. Trącił dach maszyny. Zazgrzytało i Bell poszybował spiralą ku ziemi. Ludzie chcieli krzyżeć, ale dziwnie głos nie potrafił wyjść z gardeł. Trzymali się mocno czego się dało. Drugi wstrząs. Kolejny w szyku śmigłowiec zawadził nosem o ogon poprzednika.

Ten drugi jeszcze potrafił wyhamować. Uderzenie nie było tak silne, ale jednak.

Dwa helikoptery uderzyły w step. Daleko w górze cichł grzmot uciekającego, uszkodzonego myśliwca, którego pilot chyba nie miał pojęcia, z czym się zderzył.

Stanowisko dowodzenia 11 Korpusu Szybkiego | 6 kwietnia 1964

Świt nowego dnia nadszedł przeciągłym hukiem budzącej się wojny. Gdy tylko promienie słońca wybiły się ponad pola i lasy, od zachodu nadleciały samoloty. Zapędzały się dalej i bardziej zuchwale, ale miało być im trudniej. U obrońców minął pierwszy szok. Nie mieli rozkazów, za to pełno nieudomówień, ale przynajmniej zaczęli strzelać do wszystkiego, co nadlatywało.

Do tej pory nienękany zbyt dotkliwie uderzeniami bomb i rakiet Korpus Szybki został wzięty na cel.

Chyba jedyna gotowa do akcji jednostka na zapleczu granicznego okręgu przeszła nocą w ciasnym szyku ponad stu pięćdziesięciu czołgów T-62, dziesiątków transporterów BTR-60 i mrowia pojazdów pomocniczych prawie czterdzieści kilometrów. Czołówki rozpoznawcze baczyły, by nie dostać się w zasadzkę grup dywersantów, o których meldunki dochodziły zewsząd, a których ślady działania wykrył pluton specnazu zaledwie cztery kilometry od nieszczęsnego kołchozu Swoboda.

Ale przemarsz wypadł spokojnie. Było pusto albo kryjący się w mroku nie spodziewali się tak wielkiej siły i wystraszyli się. Przecież większość jednostek trwała w swoich rejonach albo dopiero szykowała się do zadań.

Dopiero świt powstrzymał pochód Jedenastego Korpusu, zmuszając do szukania ukrycia w lasach, parowach i wsiach przed powracającym lotnictwem, z którym na niebie najwyraźniej nie było komu walczyć.

Echa krótkich serii ciężkich działek i armat szły przez lasy, dobiegając uszu zebranych w wozie sztabowym, opancerzonym Zile z wielką skrzynią na pace.

Auto parkowało między strzelistymi drzewami w cieniu grubych siatek maskujących.

Oficerowie słuchali, unosząc głowy i starając się wychwycić, skąd nadejdzie uderzenie. Kiedy kanonada milkła, oddychali z wyraźną ulgą. Udawało się kolejny raz. Szok i niedowierzanie ciągle mocno trzymały ich w swojej władzy.

Dowodzący czterema dywizjami pułkownicy i generałowie nigdy nie spodziewaliby się tak nagłej napaści i przy tym takiej furii. Przecież doktryny, które im wpajano, mówiły wyraźnie, to tamci się bronią, my mamy uderzyć.

Bali się teraz, bo rzeczywistość odbiegała od teorii. Jako starzy wojskowi znali słabości swojej armii, wiedzieli, jak trudno jest zgrywać pododdziały. I tylko poziom specjalnego okręgu nad granicą gwarantował jaki taki ład. Coś więcej wymagało wielkiej pracy przed każdym poligonem.

Alosza Darijew z trudem udawał, że nie widzi lęku u nowych podwładnych. Brzydził się tego. Było mu wstyd. W kilka godzin dumna

armia ugięła się i dała wystraszyć. Nikt tu nie wyglądał na gotowego się bronić. Przynajmniej nie bez rozkazów, wytycznych, bez dostatecznej przewagi.

Generał Darijew miał to zmienić, ogarnąć ten roztrzęsiony, niepewny bajzel.

– Towarzysze. – Przybysz z Moskwy postukał w blat wąskiego stołu. Zwrócili ku niemu głowy. – Przeszło, nie widzą nas. – Liche pocieszenie pozostało bez reakcji. Darijew chrząknął. – Jeszcze raz dziękuję za tak szybkie przybycie. Wielki wyczyn, biorąc pod uwagę... – Podniósł palec, mówiąc absolutnie szczerze.

Choć ten cały poraniony oficer z samej góry nie prezentował się zbyt dobrze w pożyczonym od pułkownika Borlina polowym kombinezonie, z kufajką narzuconą na grzbiet, zebrani poddawali się mu bez szemrania. Wierzyli mu, bo jako jedyny wydał rozkaz. Znaczący wiedział więcej i chciał działać. Rozkaz rzecz święta.

Z wielu dużych jednostek, jakie stacjonowały od granicy aż pod Kijów, dotarła tylko garstka oficerów. Taki stan rzeczy był spowodowany tym, że dowódcy zostali odcięci od informacji, kiedy bomby pogmatwały sprawy łączności. Większość dezorientowanych czekała, bojąc się o własne głowy, aż przyjdzie z samej góry.

– Z waszych raportów wynika... – Darijew kończył uprzejme wstępy – że wróg skupił się na naszym lotnictwie, obronie przeciwlotniczej, centrach dowodzenia i łączności. – Urwał, gryząc wargi, i spojrzał w kartki leżące na blaszanym stole. Ale to nie sprawozdania z ostatnich kilkunastu godzin przykuwały uwagę. Jedna depesza ciągle martwiła najbardziej.

Nakaz wstrzymania wszelkich operacji, jaki przysłało dziś przed świtem, podpisany przez sztab generalny.

Nie zamierzał się podporządkować. Każda godzina zwłoki mogła kosztować ten kraj bardzo wiele. Góra, kimkolwiek była, nie panowała nad sytuacją i miotała się, wydając bezsensowne zarządzenia.

– Towarzysze – zaczął jeszcze raz, tym razem mocniej i hardziej – naszym zadaniem jest stawić czoła imperialistycznej agresji i zadać cios. –

Uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Znacie nasze chwilowe niedociągnięcia – prawie przyznał, że popadli w bałagan, a to było coś nowego. – Wróg myśli podobnie, zaskoczył nas, ale wyprowadzimy go z błędu. To nasza szansa i powinność. Obronimy honor... – Chciał dodać coś o honorze całej armii, ale poprzestał. Wiedzieli, o co chodzi. Wszyscy jak jeden mąż woleli się tu wykazać, niż czekać beczynn timer na kolejne ciosy.

Generał skończył wstęp i podsunął się do wielkiej, zakrywającej ścianę mapy. Naznaczył kierunek dalszego marszu i działania, a wtedy od wschodu nad skrytą między drzewami polaną rozszedł się dudniący dźwięk. Dwóch generałów skrzywiło się, wlepiając wielkie z przestachu oczy w lampę pod sufitem. Myśleli, że to już koniec.

Zaraz do dźwięków silników doszedł łoskot tnących powietrze łopat i jakaś ciężka machina zatoczyła krąg nad okolicą. Wiatr uderzył o ZIL-a, zakołysał nim.

Dudnienie przeszło w świst i gang ucichł.

Ktoś zapukał, drzwi się otworzyły. Stał w nich wystraszony, niedospany chyba jeszcze, nowy przyboczny generała lejtnant Goryże, ściskając karabinek AK.

– Towarzyszu generale. Goście... – Wskazał za siebie.

Darijew podszedł do wyjścia. Powietrze było świeże, chłodne. Słońce wschodziło coraz wyżej, a na skraju polany, prawie w samym środku zgrupowania sztabu stał wielki Mi-8, wzbijając gęstą brunatną chmurę. Cały w kamuflażu, z pylonami wypełnionymi wyrzutniami rakiet. Śmigła jeszcze się obracały, kiedy z brzucha maszyny wyszli pasażerowie.

– Skurwysyny – syknął generał na tyle głośno, że Wasilij na niego popatrzył.

Lecieć taką maszyną w sam środek kryjącego się zgrupowania było przejawem wielkiej bezmyślności. Ale bardziej niż bomby przerażający byli ci... wizytatorzy.

Nosili eleganckie, świeżutkie polowe mundury, wysokie buty i polowe czapki, przy błyszczących pasach lśniły kabury... Większość miała szturmowe AK. Ochroniali tego na przedzie.

Niski, lekko zapuszczony, wyraźnie sztabowiec, w stopniu generała majora. Darijew próbował odszukać jego twarz w pamięci, ale jakoś nie wychodziło.

Gość podszedł bliżej i zatrzymał się. Goryże się wyprężył. Niski obrzucił go dziwnym spojrzeniem, ale długo nie zaprzętał sobie głowy. Zasalutował Darijewowi i wypalił prosto z mostu:

– Ja do was. – Po czym wpakował się na schodki, prawie tratując Aloszę.

– Towarzysze, pozwólcie... – Darijew zwrócił się do reszty z uprzejmym ukłonem i wskazał wyjście. Z trudem zamaskował wzbierający przestach.

Oficerowie posłusznie wyszli. Nie mieli pojęcia, co się wyrabia, podejrzewali nieśmiało, że ten cały Darijew ma jednak jakieś wejścia na górze, skoro przyjmuje gości o takiej randze. Alosza machnął nieznacznie dłonią, dając ukradkiem znak Goryżemu, żeby został i czekał. Bał się, wiedział, co nadchodzi, i chciał być przygotowany.

Gość fuknął coś, zdjął czapkę i uroczystym tonem zaczął:

– Słuchajcie rozkazu komitetu wojennego...

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6 kwietnia 1964

Dzień był jasny i ciepły, widoczność doskonała, powietrze przejrzyste. Toteż ludzie Goldmana dawali z siebie wszystko, świadomi, że sterta poskręcane gołoty na środku płaskiego pola będzie przyciągać Sowietów.

Szli ile sił, jeszcze nocą omijając wsie i większe mosty, poszukując lasu, gęstego zagajnika. Wyglądali jak banda poszarpanych uchodźców, w bandażach, opatrunkach, kulejący albo podparci kijami. Dowódca miał rękę na temblaku z szalika. Często robili przerwy. Ale mieli wiele szczęścia. Przynajmniej żyli, choć nie wiedzieli, jakim sposobem wyszli prawie cało z tej kraksy.

Poza tym wiele dobrego powiedzieć nie mogli. Było gorzej niż poprzedniego dnia. Znaleźli się sami w środku ogromnego kraju, gdzie za każdym krzakiem mógł czaić się sowiecki żołnierz.

Bartek Karpacki syczał przy każdym teraz kroku, dźwigając, kiedy

wypadła jego kolej, karabin maszynowy z rozbitej maszyny i własny karabinek. Zdawało mu się, że to cholerne żelastwo waży więcej z każdym metrem. Do tego dokuczał ból w żebrach, co najmniej solidnie obitych. Siniaków i bolących od uderzeń innych miejsc nie liczył. Z pozdieraną skórą na twarzy i rękach, oblepiony zaschniętą krwią, wyglądał, jakby nadawał się tylko do szpitala.

– Starczy – rzucił Goldman, wypatrując oczy, jakby mogły przejrzeć na wylot poplątane konary drzew. – Obstawcie teren i sprawdźcie, czy jesteśmy sami.

Szymański skinął na swoich. Byli w lepszej formie.

Załogi padały ze zmęczenia. Mimo szkoleń, treningu potłuczone i połamane kości plus tempo wysysały energię z żołnierzy Kedywu.

Dyszeli w przepoconych, podartych kombinezonach i kurtkach, łykając wodę z ocalonych manierek.

– Wołamy naszych – powiedział kapitan. Wszyscy obrócili spojrzenia na dwóch łącznościowców. Byli jak skarby, jak gwarancja na powrót do domów. Sikorowski z obandażowaną, pulsującą bólem głową skinął na kumpla z drugiej drużyny, na znak, że da radę.

Włączył radio, nałożył słuchawki i zaczął nadawać w nadziei, że gdzieś wysoko na zachodzie jest maszyna, która wyłapie jego sygnał.

Stanowisko dowodzenia 11 Korpusu Szybkiego | 6 kwietnia 1964

Generał Darijew zszedł po schodkach wozu sztabowego. Goryże kroczył za nim. Zamknął drzwi i stanął, tarasując przejście.

Zebrani daleko pod baldachimem siatek i konarów oficerowie oraz eskorta przybyłego gościa zamilkli i patrzyli, ciekawi nowin i wyjaśnień.

Alosza milczał długo, próbując opanować nerwowe tiki cisnące się na twarz. Nie był gotowy na takie sytuacje, na taki rodzaj improwizacji i ryzyka.

– Towarzysze. – Uznał wreszcie, że musi się odezwać, zanim zaczną coś podejrzewać. – Sztab generalny potwierdził moje przypuszczenia i zezwolił działać. – Podniósł ramiona w sztucznym geście i z obawą czekał.

Odpowiedziała mu cisza naznaczona obojętnością. Oficerowie czekali na polecenia, nieważne, od kogo przychodziły i co mówiły. Eskorta zaś nie wiedziała, po co każe się jej opuszczać Moskwę i lecieć taki kawał gdzieś na Ukrainę, gdzie podobno robiło się gorąco.

– Ruszamy na zachód – kolejne zdanie Darijewa nie było już tak pewne. Grał na czas. Potrzebował go, żeby się wykazać, ukrócić wstrętne kalumnie i nie dać się zmielić, jak za stalinowskich czasów, kiedy na front też przybywali „goście”.

„Był jeden, będą następni” – pomyślał trzeźwo.

– Musimy się śpieszyć... – oznajmił surowo i zrobił taką samą minę. – Wiem, że jest niebezpiecznie, ale nie wolno nam marudzić. Trzeba mieć oczy otwarte... Wzmocnić obronę przeciwlotniczą! Ogólny kierunek na granicę, na Kowel – improwizował, bliski paniki, że ktoś zacznie oponować, dopytywać.

Ku wielkiej uldze nikt nie powiedział słowa. Generałowie pokiwali głowami, chyba znów przekonani, że to wszystko ustalone. Wreszcie konkrety.

Ruszyli więc do swoich aut, gotowi wracać do jednostek i pośpieszać wojsko.

Darijew odetchnął i kciukiem otarł kroplę potu zbierającą się nad brwią.

– Wasilij – odwrócił się, robiąc poważną minę – jesteś ze mną? – Położył dłoń na ramieniu chłopaka i popatrzył mu głęboko w oczy. Sółdat wyraźnie się przejął i zaczął drzeć. Jak nigdy wcześniej, nawet po zamachu, czy co to właściwie było, tak się nie trząsał i nie bał. Broda mu drżała, w kolanach miał miękko. On, prosty chłop z kołchozu, brał udział w wielkich rzeczach.

Przeżył wybuch, śmierć ważnych figur, awans, i to z nadania generała z Moskwy. O takim skoku większość członków jego rodziny czy ziomków ze wsi mogłaby tylko śnić.

Ale zrobił też coś niepojętego – sprzeniewierzył się rozkazom, złamał żelazną zasadę. Z drugiej strony, zaryzykował i postawił na zwycięskiego konia. Był górą, zawsze mógł też powiedzieć, że mu kazano. Teraz należało robić swoje.

– Jestem, towarzyszu generale. – Wyprostował się.

– Dobrze. – Darijew uśmiechnął się z wyraźną ulgą i poklepał chłopaka po policzku. – Trzymaj się mnie, a daleko zajdziesz... – Mrugnął.

Generał wiedział, że młody jest jego. Będzie słuchał ze strachu, jak każdy współnik w zbrodni.

– Zajmij się tym... Weź ludzi ze swojej kompanii. – Wskazał na zamknięte drzwi sztabowozu. – Nie gadajcie nic... I żeby tamci nie widzieli.
– Skinął na kręcącą się przy śmigłowcu eskortę.

– Tak jest! – rzucił raźnie Wasilij.

– Towarzyszu generale! – Od lasu nadbiegał oficer łączności.

– Co jeszcze? – syknął Darijew.

Porucznik stanął na baczność zdyszany, wyraźnie przejęty.

– Pomyślałem, że to was zainteresuje... – Podał generałowi złożony meldunek.

Darijew przeczytał raz, potem drugi, jakby nie zrozumiał. Naraz pojaśniał na twarzy.

– Znaleźli to jakiś kwadrans temu – referował porucznik. – Ze dwadzieścia kilometrów na północny zachód od nas... Prawie na naszej osi marszu. Są meldunki, że w całym rejonie działają podobne grupy, ale ta? Tak blisko? Może planowali...

– Planowali – zasepił się generał, mamrocząc pod nosem. Myślał gorączkowo, układając strzępki przypuszczeń w jedną całość. – Nie mogą być daleko. – Oczy błysnęły, pojawił się uśmiech.

Porucznik skinął bez słowa głową. Wasilij tylko patrzył na obu, niewiele rozumiejąc.

– Wasilij! – Darijew wyprostował się, czując, jak wracają mu siły. – Jak skończysz, co kazałem, bierz tych pajaców. – Wskazał przybyszów przy śmigłowcu. – Specnaz, helikoptery, czołgi, co się da, i odnajdziesz tych Szwabów od telewizji, co się ostali. Zostali na tyłach. Potrzebni będą. Potem macie szukać, zanim ujdą... – Podał młodemu karteczkę. Znow zaczął się

interesować pogonią, nawet zły, że nie dokończył tego od razu. Miałby argument w dłoni. Mógłby się bronić. Ale los najwyraźniej sprzyjał.

Od północy doleciał daleki furkot działek przeciwlotniczych.

Nad Ukraińską Socjalistyczną Republiką Sowiecką | 6 kwietnia 1964

Zielono-bure pola, przetykane łątami lasów, ciągnęły się kilometrami. Czasem przecinały je asfaltowe i szutrowe trakty, szerokie rzeki i strumienie.

Wszędzie tam, gdzie z ziemi wyrastało wzgórze czy rozciągały się zielone bory, mógł czaić się wróg.

Natomiast miasteczka czy wioski wydawały się żyć normalnym trybem. Nieduże, trwały w bezruchu i tylko czasem opuszczali je ludzie zaniepokojeni wybuchami i pożarami na horyzoncie.

Wszystko było jak półsen, dziwne pomieszanie pokoju i wojny. Niby się rozpoczęło, ale bez wielkiego łąpięcia, tego, o czym słuchało się w opowieściach rodziców z trzydziestego dziewiątego.

– Za prosto – podporucznikowi Markowi Czerkieskiemu wyrwał się niewyraźny szept, kiedy młody adept lotnictwa kładł swojego Skyhawk na lewe skrzydło. Zainteresowała go niewielka wioska, którą mijał po drodze nad cel. Bał się co prawda zamaskowanych pozycji, jakiejś zasadzki, ale nic mu nie groziło.

Ludzie, nieduże punkciki między obejściami, wychodzili z lichych domostw z jasnej cegły i zadzierając głowy, patrzyli w niebo. Nie wiedzieli, na kogo patrzą: swoich czy obcych.

Jak poprzedniego dnia, cały dywizjon niewielkich smukłych myśliwców bombardujących pędził nisko, tuż nad drzewami, żeby nie dać się namierzyć. Podobno poprzedniego dnia obrona sowiecka doznała sporego uszczerbku, ale ciągle obawiano się mniejszych, mobilnych stacji i wyrzutni rakiet. Tu była sowiecka Ukraina, wielki garnizon.

O tym, jak duże było tu skupisko wojska, baz i punktów obrony, Czerkieski i jego kompani mogli się przekonać, gdy tylko minęli granicę. Oni i setki innych samolotów.

Karuzela. Tylko to przychodziło pilotowi na myśl, kiedy obserwował, co działo się na ziemi i powietrzu. Sowieci nie mogli zagrozić raketami, więc stawiali ścianę ołowiu.

Wszystkie działka, karabiny maszynowe wysyłały pod niebiosa roje pocisków z nadzieją, że w coś trafią. W odpowiedzi samoloty zaczynały taniec. W lewo, w prawo, wychodząc wyżej albo opadając gwałtownie. Musiały omijać większe skupiska ludzkie, gdzie obrona wedle przewidywań miała być jeszcze silniejsza.

Marek napocił się jak biegacz, nerwowo manewrując Skyhawkiem. Kilka razy coś trzasnęło, rykoszet czy odłamek, i serce zamierało, ale pędził dalej. Wszyscy pędzili. Podzieleni na trzy czwórki, zygzakując i modląc się, by jak zawsze Sowieci zaczęli strzelać za późno.

Pod sowieckim niebem roilo się od takich wypraw. Zaczynał się drugi akt. Jeszcze wczoraj w morderczym maratonie kazano atakować instalacje obrony przeciwlotniczej, a tymczasem dziś priorytety się zmieniły. Oczywiście radary były ciągle łakomym kąskiem, ale podobno trafiono ich wiele na dużym dystansie, a poza tym, w jakiś tajemniczy sposób, te, które przetrwały, nie zawsze funkcjonowały.

Ale tego dnia, drugiego dnia wojny o Kresy, jak mówiło się wśród ludzi, polskie samoloty miały brać na cel umocnienia, parki maszyn, magazyny i koszary, wszystkie napotkane ciężarówki ciągnące ku granicy, wyrzutnie rakiet i czołgi.

Lotnictwo miało korzystać z tej wypracowanej z wielkim trudem przewagi w powietrzu dopóty, dopóki sowieckie myśliwce nadlatujące z głębi kraju nie zaczną przeszkadzać.

Step uleciał jak nieważna myśl. Znów pod nosem Czerkieskiego wyrósł zieleniący się las.

Marek wiedział, co będzie. Nie mylił się. Druga doba wojny i już czuł się jak weteran.

Spomiędzy drzew, z przesiek i polan bluznął potok pocisków. Znów zaczął się taniec, skrzydło w skrzydło, wypatrywanie miejsc, gdzie się nie strzela.

– Mam cel – głos w słuchawkach przebijał się przez huk silnika i modlitwy przeplatane przekleństwami.

Dowódca wzniósł się wyżej. Reszta powtórzyła jak automaty.

Szli po prostej. Nadchodził krytyczny moment. Wróg znów wystrzelił salwę, ale chyba na oślep, gdzieś z boku, pionowo w górę.

– Atakuję – oznajmił szef. Pierwsza dwójka wyleciała nad wolną od drzew przestrzeń, na której wokół betonowego placu stały zamaskowane budynki.

Od skrzydeł pierwszych par jak na rozkaz odpadły smukłe zielone bomby.

Czas zaczął pędzić jak na przyspieszonym filmie. Marek nie słyszał wybuchu, chmura dymu i ogień były nieme. Tylko pod hełmem dudnił pracujący silnik.

Szybka reakcja i maszyna poderwała się wyżej, omijając rosnącą czarno-czerwoną kulę ognia. W tej samej sekundzie, kiedy przyszła kolej na cios Czerkieskiego. Prawie przegapił, ale zdołał się opanować.

Pozbył się ładunku. Skyhawk poszedł lekko w górę, odciążony gwałtownie. Za nim pędziły następne, rzucając swój ładunek.

Porucznik Czerkieski poderwał samolot ciasnym łukiem na lewo w tył. Nie czuł strachu, nie czuł nic. Spojrzał przez ramię. W dole kotłowało się od wtórnych eksplozji, tryskających gejzerów ognia i jakichś szczątków.

Znad celu uciekały zwinne, nieduże samoloty, kamuflażem zlewające się z ziemią.

– Dobra robota. – Te słowa na chwilę uspokoiły pilotów. Obierali kurs do domu, ale Sowieci nie zamierzali puszczać ich bez pożegnania.

Kiedy dywizjon wzniósł się wyżej, z okolicznych lasów wystrzeliły serie i jaśniejsze, prędkie błyski milczących dotychczas pocisków raketowych.

Baza lotnicza Bezmer, Ludowa Republika Bułgarii | 6 kwietnia 1964

Generał lotnictwa Paweł Kutachow, siwy i łysiejący już, rosły mężczyzna

o inteligentnym spojrzeniu, wpatrywał się w rozkaz, który otrzymał w zalakowanej kopercie.

Wracało wszystko, co ukrył głęboko w pamięci, co wbrew okolicznościom nazwał cudem. Pomimo strasznych rzeczy przetrwał.

Rok czterdziesty pierwszy. Makabra pierwszych dni, kiedy faszyci rozgromili na Ukrainie i Białorusi połowę stanów maszyn. Kolejne dni i tygodnie, kiedy uciekając w nieładzie, stracił setki kolegów i kiedy zdawało się, że to koniec, że po sowieckiej awiacji.

Raporty były dziś zdawkowe, mocno niepełne i bardzo spóźnione. Nie przedstawiały całościowego obrazu i kategorycznie zabraniano w nich informowania kogokolwiek prócz sztabu Czterdziestej Trzeciej Armii Lotniczej o zaistniałych zajściach.

I przez te czynniki właśnie stary weteran, pilot bombowców, które latały nad Berlin i Brukselę, wiedział, że zaczęła się powtórka.

– Czy mogę się odmeldować? – zapytał uprzejmie i niepewnie goniec, widząc zmieszanie na obliczu dowódcy.

Generał podniósł oczy znad biurka. Zupełnie zapomniał, że nie jest sam.

– Jesteście wolni – zezwolił. Odczekał, aż chłopak zamknie drzwi, i podszedł do przestronnego okna.

Widok miał doskonały, po sam kres pasów startowych. Widział wielkie hangary kryjące główne „gwiazdy” jego ugrupowania: imponujące, smukłe bombowce Tu-22.

Wielką nowość. Może niedopracowane, ciągle nie wolne od usterek, ale imponujące osiągamiami.

Miał ich dwanaście. Wielka siła, biorąc pod uwagę fakt, że gros tych maszyn bazowało w granicach sowieckiej ojczyzny, w okolicach Leningradu, pod Kijowem i w Moskwie.

Dreszcz strachu przeszedł po ciele weterana. Uświadomił sobie, po co ten rozkaz i ta cała tajemnica. Jeśli Moskwa sięga po „jego” maszyny, i to z tak ogromnym opóźnieniem, to mogło chodzić tylko o jedno. Lotnictwo przy granicy było w tarapatach! Jakich? Grdyka zafalowała, gdy przed oczami

stał obraz zrujnowanego lotniska pod Mińskiem, dawno, dawno temu.

Kutachow opanował emocje z wielkim trudem. Armia potrzebowała dowódcy. Twardego dowódcy. Moc zadań przed nim. Musiał sprawić, aby techniczni ekspresowo przywrócili do użytku dwie zepsute maszyny. Zgrupować potrzebne uzbrojenie i wydać sztabowi rozkaz bojowy. A potem czekać na sygnał z Moskwy, kiedy na Ukrainie zacznie się na dobre.

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6 kwietnia 1964

Pole wyglądało, jakby wypełniło je całe zgrupowanie pancerne szykujące się do szturm. Kilkanaście transporterów BTR-60, starsze BTR-152, czołgi i ciężarówki.

W górze krążyły śmigłowce Mi-4. Zapuszczały się daleko, rysując na nieboskłonie wielkie okręgi.

Biorąc pod uwagę okoliczności, całe to ugrupowanie wydawać by się mogło prezentem, zaproszeniem dla coraz to nowych zagonów wrogich samolotów.

Tyle tylko, że ta cała menażeria osłaniana była plutonem nowoczesnych pojazdów – czterolufowych zestawów przeciwlotniczych na gąsienicach Szyłka.

Mi-8, przejęty od gości na rozkaz Darijewa, przyziemił na stepie, jak zawsze unosząc burzę ziemi i skrawków traw.

Wasilij Goryże i jego nowa gwardia, przybyła z Moskwy dzieciarnia, która bała się pytać o swojego kamandira, wyszli z maszyny.

Dwaj idący na końcu ludzie, w poszarpanych ubraniach, z opatrunkami, byli równie przerażeni co obolali. Dzierżyli swoje kamery i mikrofon, ale już nie tak pewnie jak poprzedniego dnia w kołchozie. Mieli przecież robić film, a nie reportaż wojenny.

W opadającym z wolna kurzu zaraz obok leżały dwa potrzaskane wraki lekkich amerykańskich maszyn. Jedna padła na bok, tracąc wirnik i łamiąc ogon. Druga spadła pionowo, i chyba od wstrząsu nadłamała się belka tylnego wirnika, a płozy weszły końcami w ziemię.

Wasilij szukał dziur po przestrzelinach, krwi, ciał, ale niczego nie było.

– Posprzątali – odezwał się za jego ramieniem chrapliwy, przepalony głos. Znał go. Porucznik dowodzący plutonem specnazu stał w maskującej amebie, w furazerce na głowie i miał papierosa kącikiem ust.

– Chuje mieli sporo czasu. Nic nie ma. Sprawdziliśmy. Tu i w lesie. – Wskazał na drzewa na wschodzie. – Myślałem, że który skręcił kark i pochowali albo ukryli... Nic.

– Nic – sapnął Goryże niezadowolony. Do teraz miał nadzieję, że robota będzie prosta. Wykonać kilka ujęć, tak jak chciał generał, i wracać. Wszak jak mawiało się u niego w domu, kiedy ojciec i dziadek opowiadali, na wojnie lepiej trzymać się sztabu. A ogólnie to kuchni.

Stęsknione marzenie Wasilija powędrowało ku osłaniającym pole Szyłkom. Tam robota prosta. Słuchać poleceń i strzelać.

No, ale nie mógł za bardzo narzekać. On, prosty syn pracowników kołchozu, w dwa dni doszedł do oficerskich epoletów. Należało się trzymać zaszczytów, póki można było.

– Filmuj – powiedział po rosyjsku, robiąc groźną minę, jak na wielkiego oficera przystało, i pokazał Niemcom potrzaskany śmigłowiec. – Cały i z bliska. – Zrobił kilka niezgrabnych ruchów dłońmi dla wyjaśnienia. Ekipa wiedziała, o co chodzi. Nie potrzebowali zaproszenia.

Kamerzysta zaczął uważnie kadrować wraki, podchodząc z kilku stron, tak by nie daj Bóg nie zahaczyć o ten tłum wojska i masę sprzętu. Wiedział, o co chodzi.

Siepacze atakują kraj, a tu sami rolnicy, chłopci. Ci już biegli. Przywieziono ich ciężarówką – kilku przebranych żołdatów, jak przy wczorajszej szopce.

– Szukamy dalej. – Dowodzący specnazem sięgnął po mapę do raportówki. Wyglądał na twardego łobuza, ale jak każdy Sowiec wyczuwał władzę i znaczenie.

Goryżemu bardzo się to spodobało. Był kimś, w końcu kimś.

– Będą szli na zachód, bo gdzie by indziej – zwiadowca mówił ze

znawstwem, jakby szukanie zbiegów miał w małym palcu. – Lasów tu nie za wiele. – Stuknął w planszę, aż popiół z papierosa się posypał. – Dopiero za dziesięć, dwanaście kilometrów jest coś, gdzie mogą się kryć i unikać obserwacji. Mają przewagę czasu, ale zapewne wielu u nich rannych i kontuzjowanych. Spowalniają. Broń też zabrali, a to obciąża. Kazałem ślać ludzi śmigłowcami, żeby szukali albo blokowali. A nuż coś... I jeszcze sąsiednie garnizony może pomogą... Rozkaz generała mówi: uważać na dywersantów. Szanse mamy...

– Na zachód, mówicie. – Goryże, nie za bardzo kontent, podrapał się po zarastającym z wolna podbródku. Teraz wizja pościgu była jeszcze bardziej nieprzyjemna, ale rozkazy miał jasne. – Trzeba ruszać – sapnął niczym dający łaskawe pozwolenie wódz, ale specnazowiec tylko popatrzył spode łba z lekceważącą miną.

Ekipa skończyła filmowanie i cała kawalkada, osłaniana z powietrza, ruszyła na zachód. A daleko za nią Jedenasty Korpus i inne, coraz to nowsze oddziały granicznego okręgu, który budził się do walki.

Gdyby porównać tempo oddziału Lipa Goldmana do zwierzęcia, to mógł być to tylko żółw.

W dzień musieli być ostrożni. Szli, uważając na każdy krok, żeby robić jak najmniej hałasu. Było jasno i nic prócz wielkich pni i gęstych, choć jeszcze nagich zarośli ich nie kryło.

Ponad głowami, wysoko zadudnił silnik helikoptera. Nie widzieli go, jak i wszystkich ostatnio, helikopterów czy dalekich samolotów.

Porucznik Karpacki przypadł do rozłożystego świerka.

Szukał między płataniną gałęzi sylwetki ich prześladowcy, ale huk silnika zaczął cichnąć. Mi-4 poleciał dalej, znikając za ścianą lasu.

– Skurwiel – sapnął Bartek i otarł spocone czoło. Wstał, czując silniejsze niż ostatnio klucie w boku. W głowie się zakręciło, ale wytrzymał. Uniósł wyżej karabinek.

Przynajmniej nie musiał taszczyć chwilowo karabinu maszynowego i amunicji.

Jemu i Zenkowi przypadła rola przednich szperaczy w tej mozolnej, frustrującej ucieczce. Powinien być w kraju, odpoczywać, próbować pisać do dziewczyny, dzwonić do rodziców i siostry, którzy pewnie wariowali z niepokoju.

Karpacki wyszedł z ukrycia, chwilę wypatrywał oddziału, którego mundury zlewały się doskonale z otoczeniem. Uniósł dłoń, dając znak, że droga wolna, i pochylone sylwetki ruszyły w drogę.

Pokonanie kilkuset metrów znów zajęło mnóstwo czasu. Przystanki, nasłuchiwanie i wypatrywanie oczu na każdy podejrzany przedmiot i ruch znacząco opóźniały marsz.

Lekki wietrzyk przynosił niekiedy urwane odgłosy. Ciche, niewyraźne, metaliczne jęki albo echo silników odrzutowych.

Wojna trwała, pochłaniała okolicę, a o nich wydawała się zapominać. Choć w umyśle Bartka powstała niepokojąca myśl, że to jakiś żart losu albo pokuta. Za jakie grzechy mieli odpokutowywać, nie miał pojęcia i nie myślał.

Dalekie, nieznane dowództwo kazało im czekać albo jeśli sił starczy, to uciekać jak najdalej na zachód. Bliżej granicy. Odbierać ich w dzień byłoby niemądre, gdyż wszystko w pasie stu albo i więcej kilometrów gorzało wystrzałami.

Bartek starał się nie analizować. Miał co innego na głowie i nie mógł się rozpraszać. Tłumił lęk, wypatrując zagrożenia, choć zmęczone ciało działało tylko dzięki chemicznemu wspomagaczowi, dawno spaliwszy resztki adrenaliny.

Niespodziewanie stłumiony odgłos śmigłowca wzmógł się, rozchodząc od czoła. Maszyna leciała nisko, w poprzek linii marszu Polaków. Znów trzeba było się chować.

Nie było wzniesień, wszystko w tym lesie, jak i na polach, było niemal idealnie płaskie. Widok przesłaniała gęstwina konarów.

Szli na nos, ostrożnie bacząc, żeby w tym gąszczu nie wejść w sam środek zasadzki.

Jeszcze trzysta metrów, i daleko między krzywymi pniami pogiętych

wiatrem drzew przebijała się polana albo pole wrzynające się w ten ogromny leśny kompleks.

Bartek wiedział, że muszą się trzymać jak najdalej od skraju lasu i otwartych przestrzeni. Jeśli rzucili za nimi pogoń, to wróg będzie czekał właśnie tam.

Tylko po zmroku mieli szanse prześlizgnąć się przez okrażenie, ale to byłby dopiero początek. Potem należało wybrać i w miarę możliwości zabezpieczyć dogodne miejsce do lądowania śmigłowca. A to wszystko w czasie, kiedy tysiące sowieckich żołdatów szukało dywersantów albo wypatrywało wrogich samolotów.

Tym teraz Bartek też się nie przejmował. Miał poprowadzić ludzi jak najdalej.

Na jasnej połaci odległego pola coś się poruszyło. Karpackiemu zdawało się, że to majak, wykwit zmęczonej wyobraźni.

Zamknął oczy, zrobił kilka wdechów. Nie, to nie przywidzenie.

Ludzkie sylwetki były daleko, ledwo dostrzegalne. Szli wolno, wyraźnie dokładnie się pilnowali.

Puls przyśpieszył Bartkowi, w ustach zaschło. Jeszcze naiwnie miał nadzieję, że skreca, ominą Polaków. Ale widok robił się wyraźny. Niewielka grupa szła prosto na nich.

Dał znak ręką. Zaraz długimi susami doleciał do niego Goldman, jakimś cudem nie robiąc najmniejszego szelestu.

– Tam. – Bartek wskazał dłonią. Dowódca podniósł do oczu lornetkę.

– Kurwa – syknął. – Leż cicho i czekaj. Podpuszczaj blisko, może przejdą – kazał i wrócił do reszty.

Minuta, dwie, i grupa rozłożyła się, kryjąc za drzewami. Lotnicy odczołgali się dalej na tył. Nie szkolono ich w cichej walce, inicjatywę przejęli chłopaki z Kedywu.

Czekali w absolutnej ciszy i bezruchu, choć wydawało się, że serca łomocą tak głośno, że słycać każde uderzenie.

Bartek Karpacki modlił się cicho, tuląc do piersi długi czerniony nóż. Uczyli go na unitarce i na szkoleniu specjalnym, jak go używać, ale nigdy, przenigdy nie sądził, że przyjdzie mu to tak prędko.

Modlił się w duchu, ale nie o zwolnienie z tego obowiązku, a o to, by nie stchórzyć. Chwila zawahania oznaczała koniec.

Pierwsza dwójka Sowietów podeszła blisko, ale stanęła. Karpacki przeraził się, że coś zauważyli albo wyczuli.

Wyteżył słuch. Chciał wyłować każdy szmer, może i słowo. Ale tamci nic nie mówili. Najwidoczniej jak i on posługiwali się tylko rękoma.

Stali i słuchali. Kilka minut, a może kwadrans. Czas zwolnił i tylko serce galopowało.

Wreszcie nieśmiało ruszyli, najpierw dwóch, za nimi reszta. Bartek naliczył sześciu. Teraz wszystko sprowadzało się do tego lasu. Do tu i teraz. Śmierć Breźniewa w chmurze odłamków, cała ucieczka, wojna, nic nie było ważne.

Zwiadowcy minęli posterunek Bartka i Zenona. Wydawali się ostrożni, skupieni. Bartek zastygł jak głaz, wciskając bolący bok w drzewo, i błagał rozpaczliwie Boga, żeby tamci tylko się nie odwrócili.

Z prawej coś zaszumiało. Szli następni. O to chodziło, by wpuścić ich w zastawione sidła.

Jeszcze dwóch. Chwila napięcia i wsłuchiwania się w las. Nic. Chyba wszyscy.

Z głębi kniei doszedł jakiś furkot. Sowiecki patrol stanął.

Bartek wychylił się, skinął na Zenona. Poderwał się, zanim kolega zdołał dać znak. Na palcach, jak najdłuższymi skokami, byle dalej, byle bez szmeru. Minał kilka gałęzi, o ostatnią zawadził. Ten przed nim usłyszał.

Obrócił się. Ale Bartka gnała nowa dawka adrenaliny.

Nie zawahał się. Cios w przód. Sowiec odskoczył, podniósł lufę karabinka.

Karpacki przyspieszył. Cuda wszak się jednak zdarzają. Złapał za lufę,

pociągnął do siebie, znajdując w sobie nadludzkie siły. Prawe ramię poszło prawie idealnie prosto, przeciwnik nie zdążył zablokować. Dostał potężny, brutalny cios w okolice oka, nie zdołał nawet pisnąć. Trysnęła krew, ciało momentalnie poleciało na ziemię.

Bartek nie patrzył długo. Nie chciał zapamiętać. Przywarł do ziemi, kucając, żeby łatwiej mu było skoczyć na kolejnego przeciwnika, ale żadnego nie było.

Tylko Zenek uniósł rękę, prezentując ostrze. Załatwił swojego.

Karpacki wychylił się, reszta cicho krzątała się przy nieruchomych zwłokach. Udało się, wyeliminowali wszystkich.

Goldman popędzał gestami. Zbili się w grupę, oni i lotnicy. Wszyscy dyszeli, bardziej z podniecenia i przejęcia niż ze zmęczenia.

– Wiejemy – nakazał półszepem kapitan. – Jeśli się zorientują... – skinął na trupa bez oka – będzie gorąco. – Potrzęsnał zafoliowaną mapą. Nie była jego, musiał zabrać któremuś ze zwiadowców. – Wychodzi na to, że kilka kilometrów na północny zachód jest jakaś ruina. Pewnie znów stara wieś. Idziemy tam, bunkrujemy się i czekamy. Może ktoś zechce nam pomóc – dorzucił na koniec, sam specjalnie nie wierząc w to, co mówi.

ROZDZIAŁ 8

Waszyngton, Stany Zjednoczone | 6 kwietnia 1964

Wiosna zapominała o stolicy USA i niebo nad miastem zasłonił pancierz ołowianych chmur. Zapowiadano nie tylko deszcze, ale i najprawdziwsze śnieżyce.

Chmury gromadziły się też nad głową samego prezydenta.

Z planów i ustaleń jednej oficjalnej wersji niewiele pozostało po powrocie. Zebrani w ekspresowym tempie rząd i współpracownicy raźnie przystąpili do boju, zadając całe mnóstwo pytań.

JFK, ciągle pod wpływem silnych emocji, nie wytrzymał, oświadczając nieco enigmatycznie i niedokładnie, że zaistniało niebezpieczeństwo zamachu. Ponadto Polacy rozpoczęli działania przy pewnych dowodach, ale on nie popierał tej decyzji. Co było akurat prawdą.

Gabinet podzielił się na dwie grupy: zwolenników ostrej rozprawy z mocodawcami winnych terroru oraz tych, którzy woleli ostrożniejsze posunięcia. Tym drugim przewodził zawsze oględny i uważny Johnson.

Prezydent niejako połączył obydwie frakcje, prezentując wypracowany podczas podróży przy konsultacjach telefonicznych pomysł.

Nie robić za wiele, póki nie określą się władze Kremla i nie będzie można z nimi przedyskutować zagrożenia. To oznaczało nieangażowanie się w wojnę pod żadnym pozorem, jeśli powstrzymanie Polaków możliwe będzie przy naciskach politycznych i gospodarczych, jednocześnie przy minimalnej tylko pomocy w uzupełnianiu amunicji.

Jako że na Kremlu zabrakło głównych kierowników polityki sowieckiej, taki stan zawieszenia mógł trwać długo. Choć premier Kosygin przyjął amerykańską depeszę i zapewnienie o niezaognianiu sytuacji, nie miał zamiaru przejmować pałeczki lidera. Był za słaby albo zbyt się bał.

Za to Polacy nie omieszkali pochwalić się przejętą depeszą, która

wysłana została z Ukrainy do Moskwy. Szyfrowana była starszą tabelą, przyporządkowaną szczeblowi taktycznemu, toteż złamanie kodu nie nastręczyło kłopotów.

Pewien oficer nazwiskiem Darijew meldował o zamachu na pierwszego sekretarza i ministra obrony. Co na to Moskwa, nie ustalono, jako że na szczycie zabezpieczenia łączności były ściślejsze.

Polacy sądzili, że ten niezbity dowód zmotywuje JFK do działania, wykaże, że wróg został osłabiony i nie może decydować.

Kennedy znów się zawahał. McNamara i Bundy niespodziewanie parli do zaangażowania się albo przynajmniej zwiększenia pomocy sojusznikom. Ale szef postawił weto.

Zdawało się, że po powrocie zhardział, naprawdę oburzony, że ktoś wywołuje wojnę bez informowania go o planach, i to wiedząc, że na jego głowę planowany jest zamach.

Waszyngtońskie powietrze pachniało wyborami, dziesiątkami projektów, które rozpoczął, i zobowiązaniami, jakie powziął wobec popierających go środowisk.

Jeśli wojna, to w drugiej kadencji. I miał gdzieś opinie przeciwników, że tchórzy.

Wszystko układałoby się po myśli Kennedy'ego, gdyby te zagadnienia dyskutowano we wnętrzach rządowych budynków.

Ale to się rozlewało.

– Kiedy to puszczą? – Prezydent przetarł czoło, patrząc na kartkę, której treść psuła nawet smak porannej kawy.

– Jutro, najpóźniej za dwa dni. – Bundy mówił cicho, też skonsternowany.

Prezydent podparł głowę na dwóch palcach. Ważył wszystko, szukając przyszłych rozwiązań.

– Nie zablokujesz tego? – zapytał niepewnie.

– Raczej... – doradca do spraw bezpieczeństwa dał sobie spokój z

dyplomacją – nie – dokończył krótko.

– Boże dopomóż. – JFK skrzywił się. – Poszli ostro – westchnął zrezygnowany, czytając nagłówki. – Breżniew zabity. Zamach stanu w Związku Sowieckim? Przyczyny wojny w Europie. – Znow zasępił się na dłuższą chwilę.

– Panie prezydencie... Trzeba przygotować strategię. – Bundy wyraźnie się bał. – Prasa zacznie pytać, czemu nie reagowaliśmy. I tu dostanie się nie tylko CIA, ale i nam. Można zrzucić odpowiedzialność na Warszawę, ale to będzie brzydko wyglądało.

– To mnie nie martwi tak bardzo – zdanie prezydenta wybiło z rytmu zaskoczonego doradcę. – Ci mądrale, George, dają nam ostrzeżenie. Prztyczka w sam środek nosa.

– Nosa? – zmęczony, podenerwowany Bundy nie nadażał.

– Polacy idą na całość. Ujawniają to i zapewne ktoś zadenuncjuje, że rozwalenie pierwszego to walki frakcyjne. Jak to się mówi po wschodniemu... Pucz. Miałem rację, oni bez nas nie dadzą rady. Później ogłoszą dowody od tego ich szpiega, a jeśli na to nie zareagujemy...

– Powiedzą światu, że Ruscy chcieli... – McGeorge sapnął i pogładził łysiejącą głowę.

– Bingo. – JFK uniósł kubek w komicznym toaście.

– Co teraz? – zapytał Bundy jak bezradny uczeń proszący o radę nauczyciela.

JFK prychnął nerwowym śmiechem.

– Doradca pyta o zdanie. Dobre. – Obrócił się i spojrzał na ogród, na który zaczynały padać pierwsze płatki śniegu. – Może tak miało być? – powiedział cicho, ściskając kubek w dłoniach.

– Słucham? – McGeorge nadstawił ucha, marszcząc brwi.

– Nic, George, nic – głos prezydenta był stłumiony i niewesoły. – Muszę się zastanowić. Porządnie zastanowić.

Porucznik plutonu rozpoznania zlustrował las przed sobą przez szczyrbinkę i muszkę karabinka. Kiedy był prawie pewny, dał znak i jego grupa ruszyła dalej.

Potrafił nie zwracać uwagi na zbędne, rozpraszające normalnie hałasy, takie jak gwar silników na ziemi i w powietrzu.

Drużyna specnazu posuwała się na przedzie. Weszli w las, prawie piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono rozbite śmigłowce. Przecucie starego rozwiędzycyka nie zawodziło, choć nie miał w garści żadnego dowodu.

Prócz niepokojącej informacji, że kontakt z jedną z jego sekcji został przerwany.

Podświadomość szeptała przyczynę, acz rozum nie dowierzał, że grupa ze śmigłowców zaszła tak daleko. Mogli być twardzi, dobrze wyszkoleni, ale musieli mieć rannych, a na dodatek zabrali dużo sprzętu. Na ich korzyść przemawiała jedynie przewaga czasu. Tak czy inaczej, porucznik był bliski przyznania, że mu imponują. Wiedział, że musi być wyjątkowo czujny i mieć oczy dookoła głowy.

Miał rozkaz zabić wszystkich, co według niego było głupotą. Obława i śmierć dywersantów miały być jakimś propagandowym teatrykiem dla Moskwy. Nie dbał o to, nie znał się na takich zagrywkach. Wiedział tylko, że złapanie któregoś z tych skurwieli może pomóc, trzeba tylko wydusić kilka cennych informacji, zanim pośle się ich do piachu.

Przystanął. Dał znak ręką, żeby i reszta zrobiła tak samo. Gęsty, płaski las, a przed nim wzgórek. Kopa liści i gałęzi.

Sowiet ugiął kolana i ruszył wolno, jakby stąpał po cienkim lodzie. Broń miał ciągle przy ramieniu, oczy wypatrywały zasadzki.

Przykucnął. Z wyczuciem wysunął ramię i dotknął palcem dziwnego przedmiotu. Był miękki. Porucznik odgarnął nieco liści. Spod ściółki wyzierał kombinezon maskujący.

– Łączcie z resztą – warknął wściekły. Teraz dopiero spostrzegł, że przed nim jest jeszcze kilka takich kopczyków.

Nie mylił się. Stracił ludzi, ale odnalazł trop.

– Przyjąłem, bez odbioru – Tomasz Sikorowski skończył nadawanie i sapnął.

– I co? – pytanie Goldmana naznaczone było zniecierpliwieniem i wielką ciekawością, choć kapitan nie odważył się oderwać od oczu lornetki. Z poziomu starej, zarastającej lasem chatynki miał doskonały widok na opadającą w dół polanę. Byli na jedynym wzniesieniu w całej cholernej okolicy.

– Tłok. – Radiooperator wskazał wymownie palcem na niebo. – Piętnaście minut do pół godziny. Dyspozycyjne Centrum Taktyczne przydziela, co ma, na cele i wspieranie innych grup. I w ogóle chyba się zdziwili, że żyjemy.

– Dobrze. – Goldman prawie się uśmiechnął, choć nic śmiesznego w tym nie było.

– Coraz więcej ich. – Bartek Karpacki gryzł kciuk, oparty o kolbę karabinka w swojej wygrzebanej w ziemi wnęce.

Silniki śmigłowców nie cichły prawie w ogóle. To oddalały się, to przybliżały, w miarę jak obława na ziemi przeczesywała nowe tereny.

– Musieli ich znaleźć. – Kapitan podzielił się z resztą swoim spostrzeżeniem, ciągle lustrując opadające w dół zbocze i odnogę lasu. – Szybko leżą albo byli na łączu. Teraz wiedzą, co potrafimy, są ostrożniejsi. – Nie wiadomo było, czy mówi do oddziału, czy do siebie.

Goldman wreszcie odłożył lornetkę i popatrzył na ludzi. Spoglądali, oczekując jakiegokolwiek decyzji.

– Dupa blada – stęknął. – Nie wytrzymamy tu do zmroku. – Spojrzał na zegarek, niewesoły, że z planu niewiele pozostało. – Obszukają wszystko aż po granicę. Zbieramy się – rozkazał smętnym głosem. Przebieżka i jemu dawała się we znaki. – Szpica. – Skinął znów na Bartka i Zenka.

Karpacki posłał Wartenowi spojrzenie umęczonych oczu i dźwignął się z miejsca. Nie zdążył się jeszcze wygramolić spod wiekowej belki, kiedy kapitan warknął:

– Wracaj.

Bartek padł jak długi, kręcąc głową w poszukiwaniu niebezpieczeństwa. Nic nie rozumiał. W pobliżu było czysto.

– Tam. – Zenek pokazał dłonią w dół płaskiego pagórka.

Daleko na stepie zaroilo się od ciężarówek i transporterów opancerzonych. Bartkowi nawet przez myśl nie przeszło, by liczyć pojazdy czy mrowie ludzi, jacy zaczęli się z nich wysypywać.

– Jezusie – tylko stęknął.

– Odcinają nas – Lip Goldman obwieszczał wiadomą rzecz.

Sowieci rozwinęli się w tyralierę i ruszyli w las daleko przed nimi. Tam, gdzie jeszcze pół minuty wcześniej chciał uciekać.

– Szybko, lotnictwo. Cokolwiek. – Zacisnął zęby i złapał radiooperatora za ramię. Sytuacja go przerastała, więc tracił spokój.

Zaniepokojony Sikorowski złapał za słuchawkę, mapę i zamachał, by drugi łącznościowiec podał baterie. Miały się bardzo przydać.

**Nad granicznym okręgiem wojskowym, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6
kwietnia 1964**

Trzeci tego dnia wylot zakrawał już porucznikowi Czerkieskiemu na istne rodeo. Albo raczej loterię, w której ubywało szczęśliwych losów.

Nikt z jego dywizjonu nie został strącony, ale aż cztery maszyny poszły w odstawkę, poszarpane odłamkami i pociskami. I chyba cud sprawił, że nic się gorszego się nie stało.

Naziemni brali się do pracy, ale miało im to zająć sporo czasu, a to oznaczało, że każda uszczuplona jednostka musiała nadrabiać liczbą lotów braki w swoich szeregach. A podobno był to dopiero początek.

Straty rosły, ale uderzenie polskich samolotów i pocisków było mocne i bardzo dokładne. Ktoś gdzieś wysoko znalazł sposób, żeby wyznaczać cele, a przy tym trzymać sowieckie myśliwce raczej na dystans.

Teraz Czerkieski prowadził wraz ze swoim skrzydłowym sześć

Skyhawków do celu, którym tym razem miały być magazyny jakiejś jednostki artylerii.

Świat w dole, w całej rozciągłości kresowych widoków, znaczony był setkami czarnych słupów dymu.

– Zebra Osiem – zaszumiało w słuchawkach. – Złota Korona. – Na dźwięk tego pseudonimu młodego lotnika przeszedł dreszcz.

„Sama góra, kurwa mać. Jeszcze to potrzebne” – przeleciało przez głowę. Odzywał się tak zwany Decet, Dyspozycyjne Centrum Taktyczne, które rozdzielało cele i system „taksówkowy” do wspierania oddziałów naziemnych i grup specjalnych, działających teraz na tyłach sowieckich wojsk. Gdzieś tam na dole, pośród tych dymów.

– Złota Korona, tu Zebra Osiem. Odbiór.

– Zebra Osiem – spokojny, skupiony głos mówił, jakby potwierdzenie Czerkieskiego niewiele go obeszło. – Jesteś najdalej w tej chwili. Zmiana przydziału celów. Podaję kierunek...

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6 kwietnia 1964

– Są. – Zdyszany chorąży Rolski zrobił wielkie oczy, pokazując za siebie. – Daleko, ale idą w tę stronę, panie kapitanie – wyrzucał z siebie słowa na jednym wydechu.

Goldman miał w palcach garstkę ziemi, beznamiętnym z pozoru spojrzeniem obserwując młodnik samosiejek oddzielający pozostałości wsi od lasu.

– Będą szybciej – uznał ze znanstwem. Spojrzał na radiowca, który prawie przyrósł do słuchawki, co rusz wywołując centralę albo samolot łączności, pośredniczący w korespondencji.

– Panowie... – głos z trudem opuścił gardło dowódcy – przyjdzie się nam bić.

Spodziewał się protestów, jakiejś gwałtownej reakcji. Nic. Ci zalegający najbliżej patrzyli tylko i milczeli. Bali się, ale chyba zdążyli pogodzić się z losem już na początku, kiedy przyszło im uciekać piechotą.

Wasilij Goryże leciał śmigłowcem tak naprawdę pierwszy raz w życiu. Kiedyś tylko siedział we wnętrzu, gdy kilka takich wielkich machin wylądowało nieopodal stanowisk jego pułku na poligonie.

Mi-8 był ogromny, mocarny i choć potwornie głośny, robił wrażenie i zdawał się niezwykcieżony.

Młody porucznik sterczał przy oknie, tuż obok stanowiska strzelca, i wypatrywał oczy w szybko przelatujący widok nie tak odległej ziemi.

Daleko na horyzoncie, od zachodu, rosły cienkie czarne nitki. Wszyscy wiedzieli, co to oznacza, toteż zarówno załoga jak i desant rozglądali się we wszystkie strony, wypatrując największego za dnia zagrożenia, samolotów nieprzyjaciela.

– Dwadzieścia minut – w słuchawkach zabrzmiał głos podenerwowanego pilota. – Potem musimy tankować – oznajmił, choć dla Goryżego brzmiało to jak czcza wymówka.

Jemu tu się podobało, i to bardzo, a poza tym wiedział, że maszerujące oddziały, a zwłaszcza rodzimy korpus i oddziały pościgowe, mają osłonę jego ulubionych cudeniek. Szyłki mogły wykrywać dość nisko nawet lecące obiekty i ostrzeliwać je z wielką precyzją. Nie wolno było tylko oddalać się od nich zbyt i dać się zaskoczyć.

– Niech będzie – sapnął do mikrofonu u wielkich słuchawek.

Szukał w pamięci najbliższej jednostki zaopatrzenia, która mogłaby zatankować tego latającego potwora, ale zaraz stracił zainteresowanie szczegółami. Miał co innego do roboty.

Maszyna leciała za dwoma Mi-4, które co raz wysadzały albo podejmowały grupki zwiadowców, szukając śladów wroga na chybił trafił albo tam, gdzie specnaz się ich spodziewał.

Jedna taka grupa nie odpowiedziała, a potem okazało się, że tamci, kimkolwiek byli, załatwili ich. Sprawnie i po cichu, wyglądało więc na to, że są dobrzy.

Przewaga ludzi i sprzętu dodawała nieco otuchy, pod warunkiem że to wszystko spadnie na tamtych za jednym zamachem, bez rozdrabniania siły.

Wasilij Goryże dopiero teraz pojmował, że tam gdzieś, w lasach, pośród pól czają się ci sami, którzy wczoraj dokonali potwornej masakry i o mało nie ustrzelili jego samego.

W brzuchu coś ścisnęło i poczuł się nie najlepiej. Odwrócił głowę od okna, ścisnął karabinek. Tylko widok Niemców, wyglądających nieswojo, poprawił mu nieco samopoczucie.

Dotarło do niego, że właściwie jest bezpieczny. Lata ponad ziemią. Tamci, jakkolwiek niebezpieczni by byli, są w potrzasku. Specnaz, transportery, śmigłowce. Prędzej czy później dorwą ich i wykończą. On musi tylko przypilnować, żeby film z tej operacji był dobry.

Mi-8 wziął szeroki zakręt i poleciał na północny zachód, tam gdzie w dole, nad cyplem drzew odchodzącym od wielkiej zielonej plamy, krążyły inne helikoptery. A na ziemi kurzyło się od pojazdów.

Dźwięk silników sowieckich helikopterów dudnił pod czaszką wstrętym, drażniącym gangiem i przyprawiał o zawroty głowy.

Bartek Karpacki wciskał się w jamę, starając uspokoić zmysły. Patrzył na ścianę lasu, na młode gałązki drzewek, i czekał, kiedy tamci się znów pojawią.

Tamował potok rozważań, wspomnień i przypuszczeń. Nie chciał myśleć o Annie, rodzicach i jak liczna była obława. Z trudem skupił się na jednej bladej myśli... By przeżyć.

Kwadrans czy może pół godziny zdawało się dekadą nerwowego czekania, dosłownie dławiącego bicie serca.

Sikorowski siedział tuż obok Goldmana, prawie jak pisklę chronione przez starego koguta. On i jego zmiennik byli cieniutką nitką, która łączyła ich z szansą na zobaczenie domu.

Tak jak go wyszkolono, miał odciąć się od wszystkiego wokoło i robić swoje.

Radiooperator wsłuchiwał się w głosy w słuchawce, z rzadka i bardzo cicho prosząc o pośpiech, profesjonalnie, bez krzty strachu, i spokojnie podając namiary dla tych, którzy mieli nadlecieć.

– Są – stęknął jeden z techników, którzy obsadzili ich pokładowe niegdyś „maszynki”.

– Mam – potwierdził Goldman ukryty za ostatnią połówką ściany w osadzie, osłoniętą nagą, ciągle młodą brzoźką.

Karpacki przesunął wolno głowę, szukając tamtych. Długo mu nie zajęło. Nie byli tak dobrzy jak specnaz. Chyba pospolite wojsko, jakiś nieodległy garnizon.

Najpierw pojawił się jeden, ciemny, daleki cień pośród pni. Zaraz na nim kolejni nadchodzili ławą.

Furkot śmigłowca. Tym razem przeszedł niżej. Załoga coś przewidywała albo i wypatrzyła. Rozłożysty cień maszyny zalał okolicę. Karpacki przeraził się, że to połączona akcja i kiedy tamci od czoła podejną, to z brzuszyska helikoptera wyskoczy desant.

Sikorowski tylko zakrył ucho i zaczął głośniej nawoływać ratunku. Już nie udawał stoika.

Mi-8 zrobił koło, wlatując ponad las, i dudnienie przeniosło się dalej. W dwie sekundy później jęknęło wybuchem i echo poszło po okolicy, z trudem wrywając się spod metalicznego hałasu.

Sowieci w lesie nie usłyszeli. Widzieli tylko, że przed pierwszym człowiekiem wyrósł słup żółtawego dymu. Przypadli do ziemi, czekając na polecenia. Nie mieli pojęcia, czy to granat, czy może mina.

Polacy improwizowali. Ukryli na przedpolu kilka granatów i prymitywnych potykaczy, aby opóźnić pochód i pomieszać szyki.

Dalej były cholernie zabójcze miny Claymore od amerykańskich sojuszników. Wiele ich nie mieli, bo plan nie zakładał „obrony Częstochowy”.

Od lasu poszły urwane szczątki słów i zdań. Ktoś kogoś łąjał. Wiatr roznosił dym, który ściągał inne śmigłowce.

Karpackiemu w piersi zrobiło się ciężko. Myślał, że zemdleje. Wyszkolili go, sam się na to pisał, ale tego było za wiele. Organizm nie wytrzymał, a jeszcze o władnęło nim nieodparte skojarzenie. On to już przeżywał. Na

większym i bardziej stromym wzgórzu, ale sytuacja była podobna.

Wreszcie u tamtych coś się ruszyło. Dźwigali się, ale wolno i ospale, bez większej ochoty. Nic dziwnego.

Nowy dowodzący nabrał jednak wigoru, osłaniany przez trzy „ptaki” na niebie, i zaczął tak krzyczeć, że i u Polaków było słychać.

Podeszli przez polanę, między zarośla. Szli szeroko, prawie oskrzydłali.

– Teraz – rozkazał Goldman, jakby nic go nie ruszało.

Szymański podniósł w dwóch dłoniach płaskie detonatory i wcisnął jednocześnie.

Z dwóch stron bluznęła eksplozja, rozsiewając gryzący obłok i ciskając poziomo setki stalowych kulek wprost na prześladowców.

W wielkim zamieszaniu rozległy się wrzaski i jęki i nikt się nie przejmował już więcej konspiracją.

Dym nie zdążył opaść, gdy zza jego ściany wystrzeliły serie smugowych pocisków. Leciały, zdawało się, w każdą stronę. Chaotyczne, niemierzone, krzyżowały się jedna nad drugą, idąc wysoko ponad głowami obrońców.

Szara mgła przerzedziła się i w jej wyrwie zobaczyli sceny paniki. Ciemne postacie ganiały, strzelały bez ładu i składu albo szarpały jakieś nieruchome kształty, odciągając je w las.

– Panowie – Goldman był zadowolony z efektu, a przy tym jakoś upiornie uroczysty – ognia.

Dwa karabiny maszynowe zaczęły koncert, śląc miarowe długie serie. Zaraz dołączyła reszta.

Bartek spokojnie ciągnął za spust, wciskając kolbę w ramię najmocniej jak potrafił, żeby niwelować kopnięcia. Wolno i dokładnie dobierał cele. Nie śpieszył się, oszczędzał amunicję.

Po tamtej stronie rwetes sięgnął absolutnego szczytu. Naraz ludzi zrobiło się więcej, jakby ranni odzyskali siły. Sowietci uchodzili pojedynczo albo grupkami. Biegli lub czołgali się, wyciągając ręce, by ktoś im pomógł i ich nie zostawił.

Polskie kule wyrzucały w powietrze chmurki kurzu, łamały gałęzie. Nikt z Polaków nie używał pocisków smugowych. Takie było założenie, pomagało ukryć stanowiska.

Karpacki przymierzył. Dwa strzały. Nieporadny, wyprostowany jak na maraton żołdat padł jak długi ugodzony w plecy. Obok kolejny chyba oberwał w głowę.

– Wstrzymać ogień – polecił tubalnie Goldman i złapał za lornetkę w tej samej chwili, kiedy resztki poranionych znikwały między drzewami.

Kanonada ucichła. Tylko dym niemiłosiernie gryzł w oczy.

– Dobra jest. – To określenie jakoś nie podbudowało ani Bartka, ani innych. Odnieśli małe zwycięstwo, zyskali kilka minut, ale patrząc na to, co kryło się wokoło, to było niewiele.

Powietrze nabrzmiało hukiem, jakby załogi śmigłowców wyciskały ze swoich maszyn jeszcze więcej pary. Zaraz miało zacząć się na nowo, ale z zupełnie innej strony.

– Mają ich! – głos pilota Mi-8, który Wasilij usłyszał w słuchawkach, brzmiał wręcz wesoło. Maszyna zrobiła zwrot, skręcając w kierunku dymów, które zaczęły wychodzić ponad wzgórek przy północnej odnodze lasu.

Śmigłowce nadleciały, krążąc nad celem jak rój much nad padliną. Z góry wyglądało całkiem dobrze. Na skraju lasu leżeli ludzie, inni biegali. Wszędzie latały długie kreski świecących pocisków.

– Filmować – rozkazał głośno Goryże, aż Niemcy poderwali się na swoich miejscach.

Kamerzysta złapał za sprzęt i podkulając nogi na siedzisku, przystawił obiektyw do okna.

– Niżej – rzucił w podnieceniu Goryże. – Niżej i stabilnie.

Pilot wykonał rozkaz. Zwolnił, obniżył lot, jakby to była parada. A tam na ziemi grali w prawdziwym filmie.

– Wał do nich. – Wasilij w natchnieniu szturchnął strzelca pokładowego. Zaraz machnął na operatora, żeby i to sfilmował. Po czym sam, z

karabinkiem na widoku, wepchnął się w kadr, żeby i jego było widać. Trzeba dbać o karierę.

Rąbnęło parę razy i ruiny osady zasnuł dym. Goldman szukał zagrożenia, ale prócz ognia z powietrza niewiele widział. Od lasu był spokój, przegonili tamtych.

– Muszą tłuc z drugiej strony. – Przywarł do ściany dołka. – Moździerze albo granatniki.

Coś świsnęło okropnie i pośrodku polany rozerwał się pocisk.

Bartek zwinął się w kokon na dnie okopu, kryjąc głowę i zamek broni. Już zupełnie huczało jak tam na skale, gdzieś w Korei.

– Wściekli się! – ryknął nie wiedzieć czemu, bo i nikt nie słuchał. Tylko gdzieś z oddali, poprzez trzask pękających granatów, dochodziły strzępki błagalnych wołań radiooperatora.

Wybuchło blisko, aż tchu zabrakło i zrobiło się gorąco.

– Meldować się! – Goldman wycharczał, kaszląc od dymu.

Zgłaszali się, jedni szybciej, inni wolniej. Milczeli tylko Szymański, Rolski i dwóch lotników.

– Sprawdzić, co z nimi – rzucił w dym kapitan. Bartek nie wiedzieć czemu poderwał się z okopu. Odruch, troska? Wspomnienie dziurawionych komunistycznymi pociskami stanowisk na „Gwoździu”? Może raczej nie chciał czekać w bezruchu na granat z własnym imieniem.

Ziemia drżała. Cuchnęło prochem i gorącym metalem. Świat ograniczył się do kilku metrów pośród dymu i miarowego huków. I to uczucie, że tą ścianą nie ma nic, tylko otchłań i śmierć.

Bartek nieśmiało wstał. Koło ucha zaświszczało i zaraz znów leżał z nosem w ziemi. Wyczuł, bo nie słyszał, śmigłowiec ponad głową. Chyba strzelali. Za nim i po bokach dało się czuć podmuchy rozgrzanego pociskami powietrza.

Wlazł w kolejny okop. Widok był obrzydliwy.

– Trafili ich. Nie... Nie żyją – powiedział z trudem, patrząc na dwa

pokaleczone, nieruchome ciała technika i strzelca ze swojego śmigłowca.

– A reszta? Poruczniku Szymański! – Goldman zdzierał gardło gdzieś w zawierusze. Z pozycji Szymańskiego i Rolskiego nikt się nie odezwał.

Bartek odsunął ciała. Rękawice, mundur poplamiła mu ciągle ciepła krew. Zdmuchnął piasek z zamka i taśmy naboju ściągnął KPL FN, własnym ciałem kryjąc oręż przed brudem.

– Lecą! – dziki, nieomal radosny wrzask radiowca poszedł po ruinach. – Dym! Dawajcie dym na przedpole! – wrzeszczał, prawie tracąc głos.

Bartek skulił się bardziej i przywarł do ziemi tak, jakby chciał w nią wsiąknąć. Zmrużył oczy, patrząc na nieruchome zwłoki lotników.

„Szkoda, chłopaki”. Zrobiło mu się nieswojo. Nie doczekali pomocy.

Czerkieski leciał slalomem, robiąc dalekie zwody na boki, w górę i w dół. Wszystko, co było w jego mocy, żeby unikać niegasnącego ostrzału z ziemi. Ta cholerna kanonada narastała, im dalej dywizjon wcinał się ponad sowieckie terytorium. Jakby niewielkie przecieź, zwinne myśliwce miały moc nienaturalnie silnego magnesu, ściągającego na siebie całe żelastwo lecące z ziemi.

Porównał prędko widok za owiewką z tym, co na mapie i kompasie. Chyba się zgadzało, byli w pobliżu.

– Zebra Osiem... Wilhelm. Zachodź od twojej strony. – Człowiek, którego teraz słyszał w radiu, mówił coraz głośniej. Facet musiał być w opałach. Coś huczało w tle, a on mówił coraz prędeż. – Idą na nas z dwóch stron. Od wschodu i północnego zachodu. Oznaczamy pozycję... – Trzaski i pauza. – Zebra Osiem! Widzisz dym?!

Czerkieski poderwał samolot wyżej. Przechylił się na każdą ze stron. Ogień tutaj był lżejszy, ale musiał uważać.

Dalej po lewej w dole, przez płaski, nieruchomy, zdawało się, obłok dymu, przebijał się jakiś jaskrawy kolor.

– Jest, Wilhelm! Widzę! Czerwony dym!

– Potwierdzam. Czerwony dym – w głosie człowieka z ziemi zabrzmiała

ulga.

– Trzymajcie się. – Porucznik nie sądził, żeby wiele to pomogło, ale nie szkodziło. – Dowódca do całości. Czerwoni i ja idziemy na tych od zachodu. Niebiescy i Zieloni atakują las. Potem powtórka. Dwa, trzy przeloty. Nisko, szybko – wyrzucał z siebie komendy w tempie dorównującym szybkości jego maszyny.

Głęboki wdech. Skyhawk poszedł w dół i wtedy Czerkieski uznał, że zmęczenie odbiera mu zmysły. Ponad plamą lasu dostrzegł trzy ruchome punkciki krążące szeroko ponad drzewami.

– Dowódca do wszystkich! Jakies śmigła na kursie, uważajcie na gnojków. – Odruchowo odbezpieczył dwudziestomilimetrowe działka i przeszedł do lotu koszącego.

Przemknął jeszcze kilometr, dwa. Drobne sylwetki transporterów i kropeczki oznaczające ludzi zrobiły się większe i wyraźniejsze. I naraz, gdzieś od boku, z drugiej strony borów, wyrosły strumienie wielkich, żarzących się serii smugowych pocisków ukrytych Szylek, które w końcu miały cele.

Bartek Karpacki widział jedynie urywki całego teatru, który odgrywał się nad nim. Dym i świszczące odłamki zmuszały, by trzymać głowę nisko. Przez ten koszmar przebijały się tylko obrazy, jak pojedyncze ujęcia.

Długi tułów Mi-8 leciał wprost nad polską pozycją, plując uporczywie ogniem. Nagle śmigłowiec zachwiał się, błysnęło i wokoło chlusnęła płonąca benzyna. W piersi zaboląło. Bartek myślał, że to koniec, że go trafili. Miał jednak szczęście.

Otworzył ostrożnie jedno oko. Helikopter leciał ku ziemi, kręcąc się wokół własnej osi w jakimś szalonym tańcu, uporczywie próbując pozostać w powietrzu. Wleciał między drzewa, łamiąc kilka gałęzi. Odbił się albo pilot cudem poderwał maszynę, ale nie na długo. Poleciał jeszcze kilkaset metrów, padł znów w las i zniknął Bartkowi z oczu.

Czekał na wybuch, ale zamiast niego doleciał rozrastający się ponad wszystkim grzmot odrzutowych silników.

Były jak ulotne cienie, jak mgnienie oka. Karpacki miał wrażenie, że przeszły niewyobrażalnie nisko.

Najpierw dwa, potem kolejne. Ziemia jęknęła. Bartek podskoczył, kiedy bomby trafiły w las. Belki chałupy, liście, gałęzie wszystko opadło, zerwane podmuchem i w uszach zakłuło od rwącego bólu.

Kolejne myśliwce nadchodziły nad cel, wyraźnie przykładając się do swojej roboty. Nawet Szyłki przestały ich interesować. Mieli pomóc swoim na ziemi, a to musiało drogo kosztować. Drugi przelot, zrzut bomb na pole i brązowe gejzery wybuchów.

Z wysokości polskich pozycji wyglądało to jak rozpadające się mrowisko. Ludzie rozbiegli się, szukając ukrycia. Pojazdy raptownie zaczęły się cofać.

Jeszcze jeden atak, na las na zachodzie. Jaskrawe kule ognia wybijające ponad drzewa. Istne pandemonium, chaos, aż zdawało się, że koniec świata jest bliski.

Sikorowski, podniesiony na duchu, ściskając słuchawkę, na przemian dziękował za ratunek i wywoływał kolejne samoloty, ktokolwiek byłby w pobliżu.

Dwie pary Skyhawków pędziły znów na cele od wschodu, gdzie Polacy powstrzymali obławę.

Rzuciły serię bomb i oderwały się wysoko. Ale tym razem szczęście się skończyło. Długa seria upartej obsługi samobieżnego działka gonila ostatni samolot, by wreszcie nadgryźć ogon. Wydawało się, że pilot dał radę wyskoczyć z kuli ognia i chmury szczątków.

Lotnicy mieli dosyć. Na chwilę zapomnieli o komandosach i postanowili uporać się z największym zagrożeniem.

Polskie myśliwce rozleciały się jak szerszenie, już nie zwracając uwagi na ogień, który zresztą zaczął cichnąć. Szyłki uchodziły w ukrycie albo utrudniały celowanie. Wiele to nie pomagało, do uszu Karpackiego dolatywały najpierw małe, a potem o wiele większe, wtórne grzmoty.

Goldman wyskoczył z ukrycia, przykucnął na kolanie i z napięciem

wyrysowanym na osmolonej twarzy słuchał. Wyglądał jak stary Indianin z amerykańskich westernów nasłuchujący głosów przyrody.

– Dobra – ożywił się wreszcie. – Wiejemy – to ostatnie zabrzmiało Bartkowi bardzo głupio i pospolicie.

Lip wiedział, że ludzie nie rozumieją, prawdziwy stan rzeczy nie dociera do nich.

– Wiecznie nie będą nas osłaniać. Sowieci wrócą – wytłumaczył prosto, zwięźle kapitan. – Skopali im dupy. Są w rozsypce, ale to na razie. – Wskazał na kłęby dymu wyzierające z lasów wokoło, na płonące wraki transporterów, otoczone nieruchomymi plamami martwych ciał na polach. – Przebijamy się na zachód, chłopaki, a potem się zobaczy. – Wskazał na odnogę lasu, gdzie padł Mi-8, gdzie dym i płomień lizały drzewa.

Powietrze wypełnił miarowy stukot mierzonych strzałów z działek pokładowych. Potem usłyszeli świst i znów przeleciały Skyhawki. Już samodzielnie, niżej, wyżej, jak który pilot chciał. Polowali na zwierzynę. Zawzięcie, do końca.

– Leci tu jeszcze jeden dywizjon – zameldował Sikorowski wyraźnie z siebie zadowolony.

– Brawo. – Goldman uniósł kciuk. – Wytłumacz wszystkim, że spadamy. Niech podpalą trochę lasu – wskazał za siebie – żeby nam na kark nie wleźli... Potem niech przepędzą dalej tych na polu i żeby na nas mieli baczenie – mówił prędko. – Karpacki, zmieniasz Szymańskiego – rzucił komendę.

Droga do wolności, droga do życia, biegła w dół. Łagodne, rzadkie tutaj zbocze opadało i nieco łatwiej było uchodzić przed pogonią.

Polacy nie biegli. Oni pędzili jak obłąkani, z bronią gotową strzelać, gdyby tylko ktoś próbował ich powstrzymać. Potykali się, obtłukiwali i tak obolałe członki, jęczeli z bólu i dyszeli ciężko, ocierając pot z oczu, ale pędzili. Byle dalej.

Nalot wybił w sowieckich szeregach sporą wyrwę. Rozluźnił uścisk bolszewików, zanim tak naprawdę zdołał stężeć, do tego bomby burzące

przeorały krajobraz.

Pole za lasem, które mijali, zasnuwały zwłoki, płonące i porzucone pojazdy. Reszta Sowietów wycofała się daleko, szukając osłony przed lotnictwem, które czując krew, ruszyło w pogoń.

Las na olbrzymiej polaci zamienił się w coś, co przypominało obrazki z wielkiej wojny.

Kwartał boru był teraz zbiorowiskiem czarnych, zwęglonych kikutów drzew, dymiących lejów, zwałów porwanych gałęzi, resztek zestrzelonych śmigłowców albo BTR-ów.

W tym wszystkim wyróżniały się upiorne, milczące ciała w obrzydliwych pozach. Niektóre jeszcze się ruszały. Drgały. Do tego wokół płonęły większe i mniejsze ogniska pożarów i snuło się jeszcze więcej gryzącego dymu.

Bartek Karpacki zasłonił usta szalikiem, żeby choć trochę uchronić płuca przed duszącym wyziewem. Oczy łzawiły, więc ocierał je bez przerwy, rozglądając się, czy nikt się nie ociąga, nie pozostaje w tyle.

Szli wszyscy z tych, którzy ocaleli. Ostatnie minuty były chyba najcięższe, ale dawali z siebie wszystko. Nie istniała lepsza motywacja niż ratowanie własnego życia. Nawet jeśli kilku kumpli zostało tu na zawsze.

Pod niebem znów rozchodziły się grzmoty, to nadlatywały kolejne fale myśliwców. Chłopaki próbowali wypatrywać, skąd i dokąd lecą ich wybawcy.

– Stój – kazał przezornie Goldman między świszczącymi oddechami. – Minuta przerwy – wycharczał. – Zamelduj tamtym nasz kierunek – rozkazał Sikorowskiemu. – Nie chcę mieć niespodzianek.

Sikorowski skinął i zaczął wywoływać lotników.

– Bateria... – wydusił. – Muszę wymienić. – Zdjął prędko radiostację z pleców i rzucił na ziemię.

Bartek Karpacki usiadł, wydzielając ludziom sektory obrony, i sam nie opuszczał lufy. Ukłuło go w boku z taką mocą, że aż syknął. Przez to wszystko zapomniał, jak bardzo się potłukł. Teraz wracało, kiedy poziom adrenaliny opadał.

Zobaczył błysk. Gdzieś z ziemi, z leja, ale bez huku wystrzału. Odruch porucznika był bezwarunkowy i momentalny. Obrócił się, zapominając o bólu. Kolba do ramienia i strzał. Jeden, drugi.

Reszta przypadła do spalonej ziemi, rozglądając się za celami.

– Zasadzka?! – wyrwało się komuś bardziej pytanie niż stwierdzenie.

– Spokój! Spokój, do cholery! – grzmiał przerażony Goldman. Możliwe, że ktoś zniweczył doskonałą sytuację. Dał znać tamtym, gdzie są i dokąd idą.

Karpacki wyrwał z miejsca, nie myśląc, czy ktoś akurat nie bierze go na cel. Chciał być pewien, że dobrze widział. Ktoś strzelał albo zszargane nerwy powodowały halucynacje.

Podskoczył do leja, dysząc. Celował w coś. Ludzki kształt. Ręka, poszarpany tułów. Niżej w zmielonej, poczerniałej ziemi leżał jakiś prostokąt i roztrzaskana rurka o szerokim zakończeniu. Wokoło połyskiwało od odbijających się w szkiełkach płomieni i światła opadającego coraz niżej słońca.

– Kamera – szepnął najprawdziej w świecie zdziwiony. Padł na kolana, zanosząc się duszącym, histerycznym śmiechem. – To kamera. – Stuknął pięścią o udo. – Gnoje nas filmowali – zabrzmiał jak obłąkany i jak na takiego spojrzeli na niego koledzy.

Coś poruszyło się po drugiej stronie leja, pod stertą powalonych drzew, skrawków aluminium.

– Pamagi! – doszedł spod kopca przeciągły krzyk.

Karpacki ześlizgnął się w dół, gotów wypruć cały magazynek.

– Pan! – ktoś jęczał w bóleści. – Pan, pamagi!!! – wył nieborak.

– Tu jeden żyje! – zakrzyknął Bartek zupełnie kretyńsko, jak zwykły poborowy.

– To go dobij... – poszło od tyłu.

– Albo zostaw – dopowiedział Goldman. – Narobiłeś rabanu, to i usłyszał. Spierdalamy! – zarządził rozjuszony.

Porucznik posłusznie wykonał polecenie. Wykaraskał się z dołka i ominął

szeroko ciało, wijące się pod zawałem.

– Ja oficer! Pan, ja oficer – stękał tamten z uporem. – Stawka... Znajdziesz ty, szto eta?

Bartek starał się nie słuchać bełkotu.

– Wiem... – syk bólu przerwał zdanie Sowietą – dużo wiem. Stawka, pan! – Raniony znalazł w sobie tyle siły, że głos rozchodził się po pustkowiu.

Bartek przyśpieszał, uważnie lustrując inne mijane ciała.

– Nalot na Lwów, pan! Będziemy was bombardować! W Moskwie rewolucja... – Ranny wypalił jednym długim ciągiem, starając się za wszelką cenę przyciągnąć uwagę Polaka, i zaraz umilkł.

– Słyszeliście?! – Karpacki przystanął i odwrócił głowę.

– Zostaw – burknął Goldman. – Bredzi.

Porucznik Karpacki stał sekundę, dwie, wahał się. Ludzie go mijali, skorzy sądzić, że i jemu coś się poprzestawiało pod czaszką. Ale Bartka to nie obchodziło.

Coś kazało mu zawrócić. Wewnętrzny głos, przecucie albo raczej ciekawość. Po coś to wszystko było, całe to zamieszanie, niemal bitwa. Musiała się na coś zdać. Trzeba było spróbować.

Ruszył biegiem z powrotem, jakby siły wróciły.

– Wracaj... – wołali za nim. – Wracaj, wariacie!

Bartek odrzucił kawał nitowanej blachy, kilka gałęzi. Wszystko jedną ręką. Był ciekaw, ale nie zwariował. Odłożył karabinek i zaraz dobył pistoletu, gotów strzelać.

Ukazała się postać. Chudy człowiek, cały w sadzy, ze straszną, lśniąco krwawo raną na twarzy. Jedną rękę miał złamaną, kość wystawała spod skóry i ubrania. Dygotał z zimna albo strachu, wybałuszając nienaturalnie wielkie, białe oczy, kontrastujące z upiorną fizjonomią.

Wyciągnął drżącą, kościstą dłoń.

– Pan, pamagi! – zawył i w oczach błysnęła mu iskra nadziei.

– Jaki nalot?! – Karpacki zaczął ostro. Miał tak naprawdę gdzieś rany i użalanie się nad nieborakiem. – Jesteś naprawdę ze Stawki?! – Nastroszył się jak kogut przed atakiem, teraz dopiero się wahając. Chcąc pokazać, że nie cofnie się przed niczym, przytknął Sowietowi pistolet do brzucha.

– Stawka... – Wasilij Goryże łągał jak potrafił najlepiej. – Lejtnant... – wycharczał. – Pamagi. Ja wiem... Moskwa... kazała bombardować Lwów, Wilno, Lublin, jak trzeba. Nastraszyć... Opowiem. – Sił nie stało i Wasilij osunął się na połamane gałęzie.

– Czy ci rozum odjęło? – silna dłoń Goldmana schwyciła Bartka za ramię i ścisnęła kurczowo, odciągając w tył. Karpacki nawet nie spostrzegł, że dowódca podszedł za nim.

– Pan słyszy, co on mówi? – Wskazał lufą na nieszczęśnika. – Że jest z Moskwy... Kazali bombardować...

– Gównu kazali. – Lip prawie toczył pianę z ust. – Widzisz, że zaraz zdechnie. Majaczy albo zmyśla...

– Wy zabiliście Breżniewa? Czy chcieliście Darijewa? – wycharczał nagle Goryże, podnosząc się na łokcie. – Kazali was... szukać. Bałagan... Moskwa... bałagan... Boją się spisków, nie wierzyli... – Siły ulatywały z każdym słowem i Sowiet znów musiał odpocząć.

– Skąd wiesz? – Goldman zapytał, choć właściwie nie wiedział czemu. Przykląkł i nadstawił ucha.

Wasilij zamknął oczy.

– Wiem... Stawka... lejtnant – mamrotał. – Powiem... pomóżcie – zabrzmiało jak zupełnie trzeźwa, poważna oferta.

– Skurkowany... – Goldman zasępił się, drapiąc po brodzie.

Rozejrzał się wokoło, na spalony las, zasłane wrakami dalekie pola i na swoich ludzi, zmęczonych, utypanych. Musiał decydować. I nie lubił takich rozterek.

– Opatrz go, jak potrafisz! – rzucił ostro do Karpackiego, wściekły, że to wszystko przez porucznika. – Jak da radę, to przeniesiemy. – Wystawił palec i patrzył płonącymi ze wzburzenia oczami. – Ale na pewno twoja w tym

głowa, żeby powiedział, co wie. I módl się, żeby to było coś warte i żeby nie dobrali się nam znów do dupy!

Sztab 11 Korpusu Szybkiego, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 6 kwietnia 1964

Płomienie trzaskały groźnie, bijąc żarem i wypuszczając tłusty, gryzący dym.

Czarny tuman rozchodził się nisko wzdłuż drogi, pomiędzy drzewami, wszędzie, gdzie płonęły pojazdy trafione pociskami i gorącymi odłamkami. Znów kilkanaście maszyn brygady trzeba było skreślić z listy.

Przepadły ciężarówki, cysterny, kilka transporterów. Wokoło trupy, ranni wzywający pomocy i krzątająca już chyba przywykłych oficerów i żołnierzy. Ratowali swoich, odciągając od płomieni, opatrując rannych i coraz częściej klnąc i wygrażając, ale o dziwo nie przeciwko wrogom, a na własne lotnictwo, wszechwładne podobno i nowoczesne. Gdzie były teraz setki samolotów, które podczas świąt i parad cięły niebo ku chwale Związku Sowieckiego? Nikt nie wiedział. Od wczorajszego dnia nie pojawił się żaden myśliwiec.

Polacy panowali w przestworzach, choć było to naprawdę trudne do wyobrażenia. Ponosili straty, ginęli ich piloci, ale sparaliżowali ruch na drogach wkoło garnizonów i pozycji wyjściowych sowieckich dywizji, a co najmniej bardzo go utrudnili.

Największym jednak sukcesem było postawienie tamy przeciwko nadlatującym z głębi kraju eskadrom myśliwców, i to bez wyraźnej pomocy Amerykanów.

Aleksiej Darijew wygramolił się spod GAZ-a, otrzepując maskujący kombinezon. Opatrzona ręka bolała cholernie, całe ciało było potłuczone, pokryte sińcami.

Rozejrzał się dookoła, póki oczy nie zaczęły szczypać.

– W porządku? – pułkownik Borlin zadawał to pytanie po raz trzeci tego dnia. Jak po każdym nalocie. Bez większej ekscytacji i zaangażowania, jakby liczył, że generała trafił szlag. Jemu samemu ledwo udało się ująć z trafionej ciężarówki sztabowej, kiedy na cel wzięło ją kilka Phantomów. Kulał, w

osmalonym mundurze, z ramieniem na jakimś prowizorycznym temblaku.

– Jestem cały – odpowiedział Darijew, z trudem nad sobą panując. – Skurwysyny, co? – Popatrzył w szarzące już, wieczorne niebo.

– Cóż – tylko sapnął Borlin. – Przed samym nalotem znów była depesza... – zmienił temat, jakby otaczająca ich makabra nic nie znaczyła. – Pytali o...

Generał przełknął ślinę i wyprężył się.

– Czytać nie umięją – wycedził z politowaniem. – Powiedziane było: zabity w nalocie! – Zrobił krok, chcąc wsiąść do samochodu i dać sygnał do odjazdu, ale zorientował się, że kierowca dopiero gramoli się za kierownicę. – Zabity, rozumiecie. Nie żyje... Zresztą jego ludzie też. Chyba. – Broda drgnęła w bezsilnej złości i rozczarowaniu. – Nie ma wieści? – Darijew zadał naiwne pytanie.

– Nie ma. Wiecie przecież. – Borlina męczyły te podchody. – Zginęli w zestrzelonym śmigłowcu. Tamci musieli się wymknąć. I widzicie, w co te pościgi się zmieniły? – mówił z rosnącą furią. – Zwróciliśmy tylko uwagę, teraz nie odpuszczają!

Po chwili powiedział cicho:

– Rozumiem, co mam przekazywać Moskwie. Ale co będzie, jak zechcą sprawdzić? Jutro znów kogoś przyślą na wizytację. Po was. – Wskazał generała. – Każdy będzie... – zrobił długą pauzę, okraszoną uśmiechem wyższości – ginął w nalocie.

To ubodło Darijewa do żywego. Zrozumiał, że pułkownik wie, i nie spodobało mu się to.

– Wiecie, że kazali was aresztować – rzucił Borlin.

To było jak policzek. Darijew stał jak porażony, sparaliżowany. Przeszłość i przyszłość nie istniały, było tu i teraz. Ważyło się życie. Ciemna pustka zapanowała w umyśle, tak że ciężko było myśleć. Nic, zupełna próżnia i pokorne oczekiwanie na wyrok. Nie poszło, jak chciał. Znów. Nie miał winnych, dowodów, że tam w kołchozie to nie on, tylko terroryści. Choć dziś był już pewny, że nawet gdyby przyprowadził ich tuzin, setkę albo i

tysiąc, nie uwierzono by mu albo zignorowano. To w niego wycelowali i jego skreślili. Na wszelki wypadek. Żeby to, co dawne, przestało istnieć. Wydawało się, że to koniec.

– Nie martwcie się. – Pułkownik chyba rozumiał. – Zameldowałem, żeście w boju. Nie wiem gdzie.

Darijew nie zareagował. Szukał podstępu, drugiego dna. Teraz nikomu nie można było ufać, ale nie miał przecież innego wyjścia.

– I raczej nikt nie przyleci – ciągnął Borlin – nie w ten bałagan. – Objął gestem otoczenie. – Jak mówiłem, zwróciliśmy uwagę faszystów. Przyciągamy ich i nie odpuszczają. Straciliśmy przewagę zaskoczenia. Sami wiecie. Tutaj jak u innych. Młocą równo... – Umilkł wpatrzony w chłopaka z pociętymi odłamkami nogami, którego dwóch kolegów odnosiło na noszach gdzieś na tyły. – Jutro, najdalej za dwa dni uderzą. – Borlin powiedział to bardzo cicho i nad wyraz pewnie. – Nie mogą przeciągać, bo rezerwy u nas chyba jednak nadciągną. – Popatrzył na Darijewa, szukając poparcia tej tezy, ale generał wiedział, że to nie takie proste.

On znał to od zaplecza. Im dalej na wschód, tym dywizje stopniowo traciły na mocy. Ktokolwiek planował atak, znał się na swojej robocie albo miał dobre źródło. Ale o tym nie miał zamiaru mówić na głos.

– Niech uderzają. – Generał nastroszył się i spał. – Kara będzie okrutna i pójdą po rozum do głowy. Wierzcie mi. – Splótł ręce na plecach, wpatrując się w płomienie.

Borlin nie rozumiał, ale był zbyt zmęczony, by w tej chwili dociekać. Ten moskiewski naczelnik drażnił go coraz bardziej i zmuszał do zbędnego ryzyka. Jego polecenia ściągnęły im na kark hordy samolotów i doprowadziły do ogromnych strat. Całe kompanie, odpędzone nalotami od nieudanej obławy na grupy dywersantów, cofały się i rozpraszały, do tego wskazując pozycje innych pododdziałów.

– Czy będzie, jak mówicie, kara? Nie wiem. – Borlin wzruszył lekceważąco ramionami. – Ale obwieszczam wam – obrócił się, wypinając pierś i unosząc głowę dla podkreślenia powagi – że to ja dowodzę tym korpusem. Was nie ma. Nie zaryzykuję słuchania człowieka, którego Moskwa poszukuje. Rozumiecie? – Zmarszczył czoło, czekając na reakcję.

Darijewowi zrobiło się ciemno przed oczami. Oparł się o maskę GAZ-a i tylko niemo poruszał ustami. Chciał kląć, krzyczeć, ale głos ugrzązł gdzieś głęboko i za nic nie mógł przecisnąć się przez gardło. Drugi bolesny cios tego dnia. Potwierdzało się – stał się nikim, bezpańskim kundlem, który stracił wszystko, a hycel krążył w okolicy.

– Proponuję ukryć się na noc... – Borlin mówił jakby nigdy nic. Jakby oznajmił, co miał do oznajmienia, i zdanie Darijewa przestało go obchodzić. – Będziemy czekać, co się wydarzy. – Był to otwarty bunt, niesubordynacja wobec wyższego stopniem. Wojna burzyła wszelki porządek.

Darijew nabrał nosem powietrza i wyciągnął szyję. Wszystko zmieniało się w jakiś sen szaleńca, bezhołowie bez władzy i wyznaczonych kierunków. Moskwa była sparaliżowana i chyba świadoma braku rozwiązań. Otwarte starcie mogło oznaczać całkowitą klęskę, gdyż nie było pewności, czy arsenały na Syberii starczą, by unicestwić Amerykę. Na Zachodzie byli gotowi i kilka razy potężniejsi.

Pomysł z odwetowym nalotem jako pokazem siły? Nic innego nie pozostawało, choć czy to pomoże, było dyskusyjne. Cały ten chaos, brak woli walki i rozkazów jego, generała Darijewa skazywały na zapomnienie.

Bo kim był Aleksiej Darijew bez poparcia wielkich, bez przydziału i bez sukcesów? Nikim. Jednym z tysięcy oficerów, pionkiem w tłumie zagubionych, wystraszonych, którzy potulnie gotowi byli czekać na rzeź.

– Skurwiele – wyszeptał generał, wracając myślą do wybuchu z poprzedniego dnia. Ktokolwiek go przygotował, wywrócił mu życie do góry nogami.

Trzeba było się ratować. Coś zrobić... Przywlekło się ponure wyobrażenie losu jego rodziny. Miał nadzieję, że ukrył ich bezpiecznie, pchany dziwnym przeczuciem i potrzebą zabezpieczenia na wszystkich odcinkach.

W gardle ścisnęło. W tej chwili był sam w obliczu katastrofy.

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 7 kwietnia 1964

Ta noc nie była spokojna jak poprzednie na tej ziemi. Szum drzew i wiatru ponad stepem ustąpił miejsca groźnemu pomrukowi nabierającej siły

wojny.

Z każdej strony dolatywał łośkot rwanych pocisków, wtórnych eksplozji. Cele atakowano nawet mimo nocy, z wielkim uporem, tak by kolejny dzień był prostszy dla mających ruszać do boju dywizji.

Bartek Karpacki siedział na ziemi, oparty o drzewo na skraju lasu. Miał dość i nie krył tego. Żadna chemia, żaden narkotyk już nie potrafiły zmusić organizmu do większego wysiłku. Pozostali chyba czuli podobnie.

Byli tu, na wrogim terytorium, już ponad dwie doby. Dokonali rzeczy niemożliwych, uciekli pogoni, tracąc czterech ludzi i doznając ran.

Ale nawet osiągnięcia nie były w stanie poprawić nastrojów. Czuli w kościach dziesiątki kilometrów pod ciężarem stali swojej broni, z niegasnącą obawą, że zaraz znów zaczniesz się palba.

Taszczyli broń, ale i człowieka, być może największy pozytywny tego „spaceru”. Nieprzytomnego od morfiny i ran chudego oficera, którego opowieść, choć z pozoru niewiarygodna, musiała kogoś tam daleko w Warszawie mocno zainteresować.

Pierwsze rewelacje zakodowano, tak by nie puszczać zbyt wiele w eter. Po dłuższym czasie przyszedł jednoznaczny rozkaz: „ewakuować”.

Tak więc nosili Wasilija na zmianę, sapiąc i klnąc, opatrując jak potrafili ciężkie rany, bo facet zdawał się ważny.

– Lecą – oświadczył zmęczonym głosem radiooperator.

– Uważać! – rozkazał kapitan Goldman, wstając z karabinkiem przyciśniętym do brzucha, nieomal pewny, że coś pójdzie nie tak.

Minęło kilkadziesiąt sekund i od północy zawarczały wirniki helikopterów.

– Pięknie – Karpacki zdobył się na sarkazm, obserwując, jak nadciąga istna karawana.

Dowództwo widocznie naprawdę się przejęło. Nie nadlatywały dwa śmigłowce. Było ich cztery albo sześć. Dwa potężne, ale wolne H-58 w eskorcie młodszych, szybkich UH-1.

Te drugie wysadziły daleko ludzi, osłonę lądowiska, a potem wzbiły się do lotu nad lasem, wypatrując niebezpieczeństw.

Pośrodku tego kręgu siadały H-58. Dla Karpackiego i całego oddziału zaczynała się droga powrotna do domu.

Polesie, Białoruska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 7 kwietnia 1964

– Są na kursie, panie kapitanie. Idą pięknie, jak po sznureczku. – Białe zęby odcinały się szerokim łukiem uśmiechu na pocernionej twarzy sierżanta sztabowego Winiarskiego.

– Bardzo dobrze. – Dowodzący kompanią rozpoznawczą, zwaną z angielska „Pathfinderami”, porucznik Maciejko dyskretnie westchnął z ulgą. Jeden mały promyk nadziei w tym całym zamieszaniu.

Alarm kilka dni temu, opracowanie planów i w drogę, na lotnisko. Jego kompania, podzielona na plutony i drużyny, była sama, daleko za linią wroga, zbrojna w osobistą broń i właściwie nic więcej, prócz nowoczesnych przenośnych radiolatarni. Oficer czuł się jak łupinka na bezkresnym morzu.

Czas napięcia i samotnego trwania w zaroślach na skraju pól właśnie dobiegał końca. Oficer spojrzął w osłonięty ekran połączony z długą tyką anteny, rozstawionej na tle drzew. Sygnały nadajnika i odbiorników zgrywały się idealnie.

Pięć, dziesięć minut później do uszu polskich spadochroniarzy doszedł rosnący miarowo dźwięk. Metaliczny koncert jednej pary silników, zaraz też kolejnych. Wreszcie złało się to w jeden zwarty pomruk, unoszący się gdzieś wysoko.

– Latarnie – rozkazał spokojnie Maciejko, mówiąc do słuchawki radia.

Błysnęły silne, świecące na żółto latarnie i flary – znak rozpoznawczy dla pilotów i załóg, w tej ciemności wyraźny i widziany z wielu kilometrów.

Polskie samoloty C-119 nadlatywały od północnego zachodu czwórkami, fala za falą. Miały zrzucić cały pułk spadochronowy. Później nadciągały starsze, wolniejsze C-54, niosące w swoich ładowniach sprzęt i cięższe uzbrojenie dla pułku artylerii spadochronowej, i saperów.

W innych częściach sowieckiej Ukrainy podobne obrazki się powtarzały. Cała Pierwsza Dywizja Spadochronowa miała odciąć tyły trzech dywizji nadgranicznych i wąskie drogi zaopatrzenia, biegnące przez Polesie i północną część Wołynia.

Miała to być istotna część planu „Ogień sprawiedliwości”, a przy tym sprawa bardzo niebezpieczna. Zrzucić trzynaście tysięcy ludzi na tereny podmokłe stanowiło wielkie wyzwanie, i prawie pewne było, że Sowieci skorzystają z okazji i spróbują unicestwić wroga, mając przewagę znajomości terenu.

Ale do tej pory, jak meldowało rozpoznanie lotnicze i raporty grup dywersantów, w szeregach bolszewików panował bałagan. Tylko nieliczne pododdziały ruszyły do miejsc koncentracji, a żaden z rozpoznanych nie rozpoczął przygotowań do obrony statycznej. Sytuacja co najmniej dziwna, ale nie martwiąca polskich sztabowców. Zaskoczyli Sowieców, i to w tych pierwszych dniach wojny liczyło się najbardziej. Wielki kolos był ociążony, nie potrafił podejmować decyzji.

Samoloty mknęły ku wyznaczonym punktom. Nikt im nie przeszkadzał. Okolice i podejścia do stref wybrano idealnie, w wąskim przesmyku pomiędzy zgrupowaniami garnizonów i składów amunicyjnych. Zresztą podmokłe tereny okalające suche pola nie sprzyjały gromadzeniu czołgów.

Niebo jaśniało z wolna i na tym ciemnoszarym płótnie gasnącej nocy sylwetki maszyn zaczęły odcinać się od tła.

Maciejko liczył.

– Cztery, osiem, dwanaście...

Samoloty zakrywały nieboskłon dostojnym dywanem stali. I wtedy zaczęło się najlepsze. Od długich konturów zaczęły odrywać się mniejsze, bardziej liczne. Ludzie wyskakiwali chmarami, jeden za drugim, w rytm warkoczących silników odchodzących samolotów. Widowisko wspanialsze od innych.

Czasze spadochronów, najpierw niewidoczne, potem małe, rosły, kiedy desant rojem tańczących na wietrze ludzi opadał ku ziemi, goniony już przez następne grupy skoczków.

Pierwsi opadli na ugór i zaraz rzucili się gasić czasy spadochronów. Maciejko włączył przydzieloną mu czerwoną lampę, żeby wyznaczyć kierunek koncentracji dla sztabu pułku i batalionu dowodzenia. Potem inne pododdziały miały zbierać się w całość i czym prędzej, póki jeszcze ciemno, ruszać ku wyznaczonym celom.

Polska Pierwsza Dywizja Spadochronowa wkraczała do walki.

ROZDZIAŁ 9

Lotnisko w Brześciu, Polska | 7 kwietnia 1964

Śmigłowce dowlokły się chyba tylko cudem. Lot był niemiłosiernie powolny albo tak się tylko wydawało Bartkowi Karpackiemu. Otepienie i zmęczenie prawie obezwładniały, jednak nie mógł zasnąć, i nawet nie chciał. Wolał być gotów, gdyby jakaś bateria na ziemi wzięła ich na cel.

O to trudno nie było. Co rusz na czarnym niebie wykwitwały słupy mknących wysoko smugowych serii. Sowieci strzelali do celu albo w panice.

Polacy zaś kluczyli, wolno tnąc powietrze i modląc się chyba jak jeden mąż, by nic im się nie przytrafiło. H-58 były solidne, powinny wytrzymać wiele, ale ich ślamazarność w porównaniu z UH-1 była koszmarem.

Zespół minął granicę, kiedy daleko na wschodzie, nad horyzontem rysowała się cieniutka, blada kreska nadchodzącego wolno świtu.

– Polska, panowie – dwa słowa pilota pobudziły chłopaków i dały energię na głośne radosne wycie. Tym razem się udało.

Lotnisko, a właściwie lądowisko opodal dumnej, starej twierdzy Brześć – a obecnie wielkiego magazynu i siedziby służb radiolokacyjnych – było zaciemnione.

Pozornie nic się nie działo. Ale kiedy maszyny zaczęły schodzić niżej, Karpacki spostrzegł, jaki ruch tu panuje.

Teren wypełniały samochody, cysterny i mrowie lekkich, szkolnych DWL-26, niskich, smukłych jak rakiety, tyle że ze skrzydłami, samolotów odrzutowych.

Z braku rezerw przy takiej intensywności nalotów należało sięgnąć po wszystkie odwody. Również po maszyny szkolne silnego bądź co bądź lotnictwa, które kształciło masowo kadry na tym sprzęcie. Ktoś, przewidując takie sytuacje, zapewnił, by samoloty szkolne miały – choćby ograniczone – zdolności maszyn szturmowych i mogły wspierać większe płatowce w chwili

próby. Za kilka godzin miały się sprawdzić we wsparciu jednostek naziemnych.

Powietrzny konwój wylądował z gracją, jak na defiladzie, której nikt nie podziwiał. Wiózł ważnych ludzi, w zasadzie bohaterów, ale nie było fanfar, powitań i ogólnej radości. Ot, jeszcze jedna grupa maszyn wracająca „zza bufora” na resztkę paliwa.

Karpacki wyszedł na zasnutą obłokiem kurzu płytę lotniska. Jego mundur cuchnął potem i spalenizną, a całość pokrywała gruba warstwa sadzy. Odszedł kilka kroków i nabrał powietrza. Nie różniło się niczym od tego tam, bardziej na wschód, ale on uznał, że to jest jego, rodzime i najlepsze na świecie. Nie było go dwa dni, ale czuł, jakby minęły miesiące. Nogi zaczęły drżeć, strach ulatywał, robiąc miejsce całkowitemu wyczerpaniu.

Momentalnie, gdy tylko ludzie zaczęli wychodzić ze śmigłowców, w ich stronę ruszyły zaciemnione karetki i auto sztabowe.

Goldman wychodził ostatni. Był zmordowany, półprzytomny. Jemu też dopiero teraz odpuszczało.

Podszedł do łazika, z którego wysiadł jakiś oficer, choć Bartek nie widział dystynkcji. Niewiele go to obchodziło. Zrobił swoje. A nawet więcej.

Powiódł wzrokiem za noszami z nieprzytomnym Sowieciem, którego pojмали chyba cudem.

Sam chciał tylko spać. Bał się, że naloty to uniemożliwią, ale patrząc wokół, nie potrafił się nadziwić, że okolica wygląda na nietkniętą.

– Panowie – głos dowódcy wyrwał go z półprzytomnych rozmyślań.

Ruszył jak reszta ku Goldmanowi.

– Mamy rozkaz stawić się w „Parku”. Natychmiast – głos kapitana był markotny, a jednocześnie gniewny. Nie planował tego. – Zanim pozwolą wypocząć... – ostentacyjnie spojrzął za siebie na faceta obok łazika – mamy złożyć szczegółowy raport.

Bartek sapnął. Gdyby był bardziej przytomny, może i by się obruszył. Teraz jednak nie miał siły.

Porucznik Borys Zarwiegin wiedział, że to ta chwila, do której szykował się całe dorosłe życie. Dzień prawdy i wielkiej próby.

Serce dudniło w piersi, w ustach robiło się sucho i trudno było wysiedzieć w miejscu. Całe to czekanie w wilgotnym okopie, tuż przy samym „punkcie startu”, gdzie krył się pluton, ludzie, pojazdy z całym wyposażeniem, było morderczą.

Godziny wlokły się niczym dni albo i miesiące. Napięcie dobijało i ludzie robili się niespokojni, tak że porucznik obawiał się, że wypalą w tym czekaniu całą adrenalinę, a potem przyjdzie niepewność i strach.

Siedzieli cicho jak mysz pod miotłą, choć wróg musiał coś podejrzewać. Tamci zebrali baty, ale nie byli ani głupi, ani aż tak słabi.

Pozycje sowieckie zostały obłożone bombami, i to z taką intensywnością, że ktoś niedoświadczony mógłby mówić, że to koniec, nie będzie z kim wojować.

Zaskoczenie było kompletne. Najpierw lotniska, radary, później stanowiska polowe i garnizony. Wróg odgryzał się chaotycznym ogniem haubic, ale to wszystko, co mógł zrobić, bo nie zdołał rozwinąć sił do defensywy.

Jednak Borys wiedział, jak działa Sowiet. Bałagan przykrywał improwizacją, lepszą, gorszą, ale na pewno wspartą masami ludzi i czołgów. Samoloty nie mogły zabić czy zniszczyć wszystkich.

Krew miała się łać, to pewne. Jak w poprzednich wojnach, sowiecki reżim musiał niwelować straty terytorium i zaskoczenie falami atakujących oddziałów, by powstrzymać agresora i zyskać czas.

Plan tej wojny wprowadzał od strony alianckiej pewne novum. Polacy i oni nie chcieli totalnej anihilacji. Tu ważna była psychologia. Po to na pierwszą linię wypchnięto cały korpus białorusyjski, by dawać przykład. Wprowadzono element walki ze swoimi, z braćmi, którzy rozumieją, niosą wolność i... wielkie, przygotowane z góry zapasy żywności i wszelakich dóbr, których podobno mocno brakowało w Kraju Rad.

Ale samymi podarkami nie można było nic zdziałać. Najpierw należało okazać siłę i zdeterminowanie. Same naloty były dowodem, że sowiecka obrona to iluzja, przerdzewiała fasada. Borys wiedział, że tamci po drugiej stronie, zwykli żołdaci z poboru ściągnięci z najdalszych zakamarków, karmieni propagandą, zaczynają pojmować, że nie jest dobrze. I aż prawie nie chciało się do nich strzelać.

Ale sprawa była brutalna. Sukces wymaga ofiar, choć Zarwiegin liczył w duchu, że jakoś uda się je ograniczyć.

– Zaczynamy – westchnął, gasząc w okopie papierosa, i wyszedł na zewnątrz.

Jego dżip stał okopany i zamaskowany, cały objuczony torbami z amunicją, jedzeniem i tubami pocisków przeciwpancernych. Tych wydano dziesiątki tysięcy, tak by choć trochę zniwelować sowiecką przewagę pancerną.

Zwiadowcy bez rozkazu zaczęli odrzucać gałęzie i siatki maskujące. Załadowali swoją broń i zasiedli na miejscach. Nie mogli się doczekać.

Porucznik obszedł prędko pozycje. Nikt nic nie mówił w przejęciu. Wiedzieli, co należy robić.

Znali zadanie.

Kiedy usadowili się na swoich miejscach, wszystkie oczy skierowały się na wschód. Tam, gdzie leżało ich przeznaczenie.

Borys sięgnął po specjalne nakrycie głowy. On i paru jeszcze trzymali je na tę okazję. Woleli od hełmu. Zgodnie ze zwyczajem nałożył czarną, futrzaną kubankę. Kozackie oddziały zawsze w dawnych czasach szły jako zwiad.

Punkt piąta trzydzieści oba brzegi Bugu pojaśniały od pierwszej gromkiej salwy, jakby przetoczył się ogromny piorun, zwiastując koniec świata. Ziemia zdawała się drżeć, a drzewa poruszać od huraganowego ognia.

Trzask ponad głowami zwiastował dziesiątki pocisków i rakiet lecących ku celom. Nie było sił ani środków, żeby prowadzić przygotowania na całej długości przyszedłego frontu, toteż wybrano główne punkty, wykryte

stanowiska oporu, okopy, jeśli takie były, i skrzyżowania.

Od wschodu doszło echo rwących się pocisków. Za pół godziny ogień miał się przenieść dalej, na pozycje artylerii i garnizony, naprowadzany przez ciągle działające, ocalałe grupy dywersyjne. Później oczami wielkiej armii, która po raz enty ruszała na wschód, mieli być właśnie ludzie Borysa Zarwiegina.

Pozycja 23 Pułku Czołgów, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 7 kwietnia 1964

Major Witalij Rozegincew stał na płycie silnika swojego T-55 i cały dygotał. Wszystkie załogi denerwowały się jak i on.

Pułk, który musiał uchodzić przed wrogimi bombami, odpędzając samoloty, stał w lesie, osiem kilometrów od swoich stanowisk. Kluczyli lasami, bezdrożami, co rusz sprawdzając, czy nie śledzą ich dywersanci.

Ci już zresztą narobili kłopotów, niszcząc kilka mostków i minując drogi.

Gdyby nie rozkaz dowódcy, żeby dyslokować pododdziały, mogło być krucho. Góra utonęła w chaotycznych, bezsensownych dywagacjach o możliwych wypadkach, śląc co raz wykluczające się rozkazy. Jakby nikt nie wierzył, że to na poważnie, że to wojna. Jemu samemu przecież nie przychodziło to do głowy.

Nie było poleceń, nie było szczegółów i rozpoznania sił wroga. Ich własne patrole niewiele się wywiedziały. Tyle co wszyscy. Po drugiej stronie stały polsko-amerykańskie siły. I nie ćwiczyły na poligonach obrony jak zazwyczaj. Wykonały manewr zaczepny. Kto tego nie dopatrywał, musiał iść pod trybunał.

Teraz wszystko wybuchło. Wiatr niósł obrzydliwe jęki ostrzału, który z każdą salwą, każdym wybuchem zdawał się przybliżać.

Cuchnęło dymem, spalenizną.

Major wszedł do czołgu i schował się w wieży. Odetchnąwszy kilka razy głęboko, uruchomił radio.

– Trzymać się! – polecił niby to hardo. – Kiedy ruszą... Nie spodziewają się. Silnym kontratakem... – bredził, sam nie bardzo wiedząc co. Kontratak

był jedynym działaniem, jakie przychodziło mu do głowy, choć samotny pułk, nawet w sile prawie osiemdziesięciu sprawnych maszyn, ale bez odpowiedniego wsparcia piechoty i koordynacji innych oddziałów, niewiele mógł zdziałać.

Ale co było robić. Gnicie w bezruchu oznaczało drugą „Barbarosę”, albo i sąd polowy.

Nie było planu, nie było pomysłu, za to zaczynał się wielki lęk.

Oddział II Sztabu Generalnego, Polska | 7 kwietnia 1964

Jan Węgliński łapczywie łykał gorącą kawę. Odpędzał dopadający go sen, największego wroga w ostatnich dniach. Mógł iść w odstawkę, miał prawo, ale wołał przydać się do czegoś. Wojna weszła w nową fazę, nie można było rejterować.

– Więc rodzinka w komplecie. – Generał Przeszło-Stępniakowski pogładził się po brodzie, mrużąc pod nosem.

Przejrzał kilka kartek ciepłych jeszcze stenogramów i odłożył je na blat.

Zawiesił oczy na wielkiej szybie. Widok za nią bardzo go koił. Nie lubił godzić się z myślą, że być może już niedługo będzie trzeba schodzić do podziemi, gdzie były wojenne pomieszczenia operacyjne.

– Facet nie ma lekko – wytrącił go z rozmyślań Jan. Krew w nim buzowała, chciał poleceń i rozwiązań. – Widać nie lubią tego towarzysza. Z jednej strony my, z drugiej swoi...

– Tak – generał wypowiedział tylko jedno słowo, jakby niewiele do niego trafiło. Oparł się o zagłówek, złożył dłonie na brzuchu i trwał dalej w milczeniu.

Węgliński zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę, rozumiejąc, że stary kumpel ma zbyt wiele na głowie, a wyniki wstępnych przesłuchań dostarczonego jeńca, choć ciekawe, dają jeszcze więcej do myślenia.

– Tu nie chodzi o to, że go nie lubią. – Paweł zaczął wreszcie reagować.

Patrzył na drzewa za oknem. Mówił cicho, dokładnie układając zdania.

– Choć może naprawdę podpadł wielu. Nikt nie lubi takich mądrali. Jednak tu jest coś więcej. Nasze dzieło, mój drogi. – Spojrzał na Węglińskiego, przekrzywiając głowę. Uśmiechnął się. – Towarzysze dopiero co się dowiedzieli, jakiego bagna narobił poprzedni wódz. A im przyszło się w tym taplać, kiedy nic nieprzygotowane. Nasi znajomi, niedoszli zabójcy, ich kanały łączności... Złapaliśmy kilku, ale zapewne inni zostali. Poprosili o pomoc i kiedy „nowe” na Kremlu zobaczyło, co się wyprawia, wpadli w panikę. Oni tam myślą, że jeśli usadzą Darijewa albo go zlikwidują i odetną się od spisków poprzedników, to im darujemy. To Ameryka daruje i każe nam przestać. Co to, to nie. – Pokiwał palcem, poszerzając uśmiech na twarzy.

– Co proponujesz? – zapytał Jan.

– Skoro wiemy, gdzie kryje się towarzysz generał z całą swoją wiedzą, grzechem byłoby tego nie wykorzystać. Nasi sojusznicy są jakoś niezdecydowani. Przeciaki być może nie wystarczą. Trzeba zdobyć atut. Wyobrażasz to sobie, gdybyśmy takiego ober-Sowietę wyrwali zza frontu i pokazali światu? Amerykanie nie mieliby odwrotu, ich własne społeczeństwo poczuje krew. Oczywiście Sowietci będą zaprzeczali, bredzili o mistyfikacji. Albo odetną się... Ale – machnął ręką – kto ich posłucha. Dla dziewięćdziesięciu procent ludzi ci tam na Kremlu to jedna banda. Poza tym... towarzysz wiele wie. Jak to wygląda po drugiej stronie. Jakie nastroje w armii, siła, ilość. Kto dowodzi w Moskwie. Cenny kasek...

– Chcesz go porwać? – zapytał retorycznie Węgliński. – Ubiliśmy Breżniewa, Kuzniecowa... Nie wystarczy? – Naraz zrobił się dziwnie asekurancki.

– Trzeba łapać okazję, mój drogi. Skoro los nam taką daje. Nie sądziłem, że jeden z braci będzie na miejscu. Skoro był, przeżył i do tego chciał dawać odpór, ale jego kumple chcą zrobić mu coś nieładnego, to... pomożemy może chłopu?

– A co... – Węgliński podszedł bliżej i pochylił się przejęty, ścisząc głos – z innymi kwestiami? Nie pokomplikuje nam to gry?

– O to się nie martw. – Oczy generała błysnęły ognikiem pewności. – Mam argument. Ważny argument. Nic tak nie zbliża ludzi jak... łączenie

rodzin.

Waszyngton, Stany Zjednoczone | 7 kwietnia 1964

Prezydent USA odłożył słuchawkę specjalnego telefonu, którego spora obudowa mieściła kilka rzędów przycisków.

Krótką chwilę gładził bakelit, porządkując w myśli ostatnią rozmowę.

Z każdą sekundą skupienie wyrysowane na twarzy ustępowało miejsca wzbierającemu poczuciu zadowolenia, a może i satysfakcji.

– Słyszeli panowie? – JFK podniósł wzrok, obdarzając spojrzeniem wszystkich zebranych przy długim, lśniącym stole. Wolał się upewnić, że mu się nie wydawało.

– Strach. – McGeorge Bundy nie miał problemów z rozumieniem dyplomatycznych przekazów premiera Kosygina. – Boją się.

Wśród sztabu współpracowników rozległy się potwierdzające pomruki.

– Użyjemy stosownych środków do wywarcia presji na stronę polską – Kennedy powtórzył cicho najważniejsze zdanie usłyszane od sowieckiego premiera, jedynej osoby w sowieckim państwie, która kontaktowała się z Białym Domem. – Polacy mieli chyba rację? – zapytał prowokacyjnie, z uśmiechem. – Sowieci są zbyt słabi i zagubieni, by przygotowywać uderzenie na pełną skalę. Napadnięto ich, zaskoczono. Nie mogą wyprowadzić ciosu. Ale może się mylę?

Kennedy niepewnie skinął głową w stronę generała Brothwella, zastępcy przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

– Jeśli to, co przekazał polski wywiad, jest prawdą... – wywołany do odpowiedzi siwy weteran wojny w Europie mówił spokojnie – a wszystko wskazuje, że tak jest, to nie zaryzykują uderzenia atomowego. To działa w jedną stronę, przy zaskoczeniu. Teraz muszą trzymać gardę, a wiedzą, że nasz arsenał nie dość, że większy, to jest w stanie pogotowia. Jeden rozkaz i... – wydobył z siebie głos imitujący chyba raketę.

– Właśnie – przerwał ten komediowy popis prezydent, już bardziej optymistycznie nastawiony. – Stąd ta nerwowość, kiedy oznajmiłem, że

nowe fakty burzą nasze stanowisko i wymuszają pewne posunięcia. – Prezydent był wyraźnie dumny z tej idealnie zawołanej groźby włączenia się do wojny po stronie sojusznika.

Jeżeli miał wątpliwości, po tej konwersacji wyzbył się ich zupełnie.

Moskwa była w głębokiej defensywie. Ktokolwiek tam kierował Kosyginem, bał się jednego: wkroczenia USA. Mieli raczej nadzieję, że Amerykanie poskromią alianta. Było ewidentne, że mglista deklaracja zaskoczyła sowieckiego premiera. Nie tego się spodziewał.

Musiało istnieć jakieś źródło, ktoś, kto trzymał bolszewików w przekonaniu, że to wybryk, polskie nieposłuszeństwo, które Waszyngton zaraz ukróci, a naloty na pas graniczny to zemsta za błędy poprzedników.

– Są dobrzy – myśl wyrwała się Kennedy’emu na wyobrażenie toczonych gdzieś w Polsce gier.

Imponowało mu to, ale i przerażało. Odwrotu jednak nie było. Musiał działać, zanim niewidzialna ręka przekaże gdzie trzeba dowody na zamach. To negatywnie wpłynęłoby na jego wizerunek.

– Co na polu konwencjonalnym? – rzucił do zebranych. – Polacy mogą dać radę?

– Mogą i muszą – do głosu doszedł sekretarz obrony Robert McNamara. – Według doniesień i raportów ich wywiadu oraz sprawozdania generała Taylora siły są wyrównane, a po ostatnich dobach uderzeń powietrznych straty sowieckie duże. Ich system obrony przeciwlotniczej okazał się niewydolny i nieodporny na przeciwdziałanie. Sowietów w strefach granicznych zostali oślepieni, na tyle długo i skutecznie, że pozbawiono ich możliwości reakcji. Zaskoczenie zupełne, a potem gaszenie stacji radarowych, jednej po drugiej. Co prawda najgorzej idzie Polakom na północy, gdzie zagęszczenie radiolokacji i lotnisk jest największe, ale w pasie centralnym granicy włamali się na kilkaset kilometrów, panując na niebie i odpierając kilkanaście wypraw powietrznych. Zresztą działania sowieckie są chaotyczne i nieprzemyślane. Według najnowszego doniesienia generała Taylora granica została przekroczona przy minimalnym oporze, który zdaje się tężeć dopiero w głębi...

– Bardzo to ciekawe i dobre wieści, Bob – prezydent przerwał nudzący go już, zwłaszcza bladym świtem, wywód – ale czy zakładamy, że Polacy wytrzymają, póki nie włączymy się do gry, czy tamci mimo wszystko posiadają taką przewagę, że... – Pstryknął palcami.

Wszystkie oczy spoczęły na marsowej twarzy McNamary w oczekiwaniu na odpowiedź. Szef Departamentu Obrony miał największą, całościową wiedzę.

– Jeśli zachowane zostanie panowanie w powietrzu i dostawy amunicji – powiedział ostrożnie, chyba nie do końca pewien – jeśli sojusznicy osłonią zaplecze frontu, to istnieje szansa powodzenia. – Była to odpowiedź godna dyplomaty, ale nie na to liczył John Kennedy.

Wyprostował się, złapał w palce ołówek i zaczął obracać. Nic nie irytowało go bardziej niż dopadające za pięć dwunasta wątpliwości, poparte wynurzeniami współpracowników, którzy woleli zabezpieczyć się na wypadek błędu w analizie.

– Wychodzi na to, że trzeba przycisnąć mocno i solidnie. Bez wahania i przeciągania. Ostra reakcja. Oderwiemy kawał terytorium, a potem co? Przystopujemy? Historia uczy, że tego kraju nie da się podbić, nie da się utrzymać.

– Nikt nie mówi o podboju. To nawet nie będzie dobrze wyglądać – wtrącił Bundy, poprawiając okulary. – Wojsko w Warszawie określiło zakres operacji. Ziemie pokoju ryskiego...

– Pokoju ryskiego – powtórzył prezydent. Utkwił spojrzenie w doradcy, na chwilę się zamyślił. – Zgoda – oświadczył dobitnie. – Później, jeśli nic nie zajdzie, stop. Proszę o raporty z monitorowania przestrzeni powietrznej Sowieców. Nie chcę niespodzianek. Prócz tego należy jakoś wyjaśnić, że to tak naprawdę agresja ze strony Moskwy, ale nie wojna totalna. – Upewnił się, że wszyscy rozumieją, o co chodzi w tej rozgrywce.

Wstał, dając sygnał, że spotkanie zostało zakończone.

– No dobrze. Dziękuję panom. Spotykamy się wieczorem, po wystąpieniu. Teraz... teraz muszę się do niego przygotować.

Dzień zapowiadał się znów słoneczny, pracowity i niespokojny. Kompania Pierwszego Batalionu Sto Trzydziestego Piątego Pułku Strzeleckiego Gwardii ustawiła się ścisłym szykiem na placu apelowym między budynkami garnizonu.

Wojsko składało się głównie z młodych chłopaków z poboru. Podział na „dziadki” i „koty” nie był jednak ważny w obliczu najprawdziwszej wojny, jaka zdawała się niespodziewanie wlewać w szare życie tej młodzieży.

Zaczynało się od nalotów, napadów podobno amerykańskich samolotów, które zapuszczały się pod miasto, ponosząc przy tym – jak mówiły biuletyny – prawie stu procentowe straty. Wielu z przerażeniem obserwowało dalekie podniebne zmagania, wiedząc, że jeśli wróg tracił samoloty, to i obrońcy brali cięgi.

Młodzi ze wszystkich zakątków sowieckiego imperium stali posłusznie, zatopieni w rozmyślaniach i wątpliwościach. Mieli ruszać, choć nie wiedzieli, gdzie i przeciw komu. Dzisiaj, dzień po pierwszym alarmie i kilku zdawkowych opowieściach oficerów politycznych, wreszcie coś miało się wyjaśnić. Ktoś miał wytłumaczyć, co się dookoła wyprawia.

Zawieszono wysoko na rogach budynków głośniki zaskrzypiały. Ktoś kaszlnął, rozległ się smutny, niepewny głos.

– Uwaga towarzysze! Wróg faszystowski wyciągnął ręce po naszą ziemię. Po ziemię Kraju Rad, kraju robotników i chłopów – głos oficera politycznego pułku drżał, był słaby i zmęczony. Stek banałów wydawał się spisany z jakiejś starej, zakurzonej broszury pamiętającej czas wojny ojczyźnianej, z dodatkiem twórczości politruka. – Znów stajemy w obronie wielkiej ojczyzny. Musimy chronić miliony wolnych, szczęśliwych ludzi przed zakusami podłego imperializmu. – To ostatnie niemal spowodowało wahnięcie równych szeregów. – Wróg nie wie, jak walczy żołnierz sowiecki, gdy musi bronić swego domu. Gdy trzeba chronić fabryki, kołchozy, wszystkie zdobycze narodów sowieckich. Zadamy wrogowi śmiertelne ciosy. Postawimy tamę i zwyciężymy! Do zwycięstwa, towarzysze! – zakończono pogadankę i puszczono hymn.

Takty połączone ze skrzypieniem i trzaskami z głośników nie pomagały

młodym w myśleniu. Stali na baczność z bronią na piersiach, bali się. Pamiętali z opowieści rodziców, jak to kiedyś było. Jak wiele to wszystko kosztowało i jak krwawe toczyło się wojny. O prawdziwych powodach tej jatki nikt poza domownikami wielu z nich nie wspominał. A i to, co niektórzy wiedzieli, było najbardziej skrywaną tajemnicą tego kraju. Rok czterdziesty pierwszy i obrona roku czterdziestego szóstego. Zresztą przecież szkolono ich do wyzwania, do wielkiego szturmu, tam gdzie ludzie mieli jeszcze gorzej.

Tymczasem tu, teraz, karmiono ich górą banałów. Żadnych konkretów. Kto napadł? Czemu i gdzie? Czy w domu wiedzą? Polityczni niewiele osiągnęli. Nie uspokoili młodych ani kadry. Strach. Znow zapanował wielki strach.

Białoruska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 7 kwietnia 1964

Wiszące w zenicie słońce co rusz przysłaniały kłęby dymu, tworząc wielką chmurę widoczną z wielu kilometrów. Droga biegnąca w dolinie zmieniła się w gorejący tygiel palących się wozów.

Sowieci rzucili na posterunek trzymany od kilkunastu godzin przez ludzi chorążego Rubinsteina, co tylko mieli w pobliżu. Transportery opancerzone, auta pancerne i dwie kompanie liniowej piechoty. Teraz wszystko dopalało się tam w dole, otoczone wieńcem martwych ciał.

Powietrze zahuczało od nadciągającej salwy.

– Kryć się! – zawołał dowódca, ale ludzie już wiedzieli, co robić. Zanurkowali odruchowo w wydrążone ziemianki i resztki zdobytych bunkrów. Tego bali się najbardziej, moździerzy i haubic.

Skoro bolszewicy nie mogli odblokować szosy, ważnej nitki biegnącej przez gęsty bór, to po raz kolejny próbowali zdmuchnąć Polaków z wierzchołka.

Pociski spadały rojami, po kilka naraz, wybuchając z plaśnięciem i chmurą kurzu, rąbiąc odłamkami po resztkach drzew i stropach budowli.

Ocalali jeńcy i zgromadzeni wokół nich ranni drżeli i wyli ze strachu, ale ich głosy tonęły w dudnieniu eksplozji.

Jasny płomień wyrósł na południowym zboczu. Potem buchnął snop iskier i zajęczał metal. Ostatnia wyrzutnia rakiet taktycznych Sergeant rozleciała się w drobny mak.

Rubinstein wychylił głowę ze swojego dołka, ale nie mógł nic zrobić. Zresztą dawno pozbyli się pocisków, strzelając do wyznaczonych celów: składów paliwa i amunicji.

Skowytanie pocisków znów poszło po wzgórzu. Zdawało się, że góra pęka. Dym zasnuł wszystko, gryzł oczy, wdzierał się w gardło, ale kiedy wybrzmiało echo, wszystko się skończyło.

Na chwilę zapanowała absolutna cisza i zaraz zaczęły się wołania o sanitariusza i krzyki rannych.

Chorąży, poprawiwszy hełm, wyszedł z ukrycia. Jak za każdym poprzednim razem, nie poznawał swojej reduty. W głębi serca zaczynał wątpić, czy da radę.

Na zachód od Kowla, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 7 kwietnia 1964

Terkot broni maszynowej rozchodził się z każdej strony, czasem tylko przerwany krótkim jękiem eksplozji. Potem rozlegało się echo i znów trzask długich serii.

Auto porucznika Maciejki gnało przez las w stronę odgłosów walki na czele kolumny wozów.

Niepewność i zaskoczenie po desancie Polaków trwały długo. Próbowano przeciwdziałać gwałtownymi, niekoordynowanymi atakami różnych oddziałów, na których teren spadli napastnicy.

Pierwszy Pułk Spadochronowy zajął i miał za zadanie utrzymać skrzyżowanie na granicy lasów i pól, tuż u południowego skrawka poleskich błot. Stanowiły one najkrótszą drogę przerzutu posiłków dla stojącej na zachód Piątej Dywizji Pancерnej Gwardii.

Cała polska dywizja odcięła drogi łączące tę i kilka innych sowieckich jednostek od reszty oddziałów granicznego okręgu wojskowego, wywołując niemałe zamieszanie i konsternację.

Przed oczami oficera wyrosły postrzelane, liche domy jakiejś wsi czy kołchozu. Stały po obu stronach zwykłej, dziurawej drogi, która w tych warunkach i w tym kraju stanowiła prawdziwą autostradę.

Maciejko i jego ludzie zostali przesunięci do odwodu. Mieli pełnić rolę straży pożarnej, która dopadała najbardziej zagrożonych odcinków, dowożąc amunicję i tak cenne pociski przeciwpancerne.

Łazik pięć-pięć zahamował z piskiem i prześlizgnął się jeszcze kilka metrów. Stanęli pod ścianą od podwórza, żeby wróg łatwo nie wymacał.

Zaraz pojawił się dowodzący tym odcinkiem, niski facet o poczernionej twarzy, w hełmie spadochronowym, zakrytym na brytyjski wzór strzępami juty, i długiej maskującej kurtce.

– Idą! – wykrzyknął bez żadnego powitania i wyciągnął ramię. – Próbuja oskrzydlać główną pozycję... – nie dokończył, bo przez terkot broni maszynowej przedostał się pisk łożysk czołgów. Porucznik Maciejko poczuł, jak pot oblewa mu plecy.

– Do boju – rozkazał i zeskoczył z auta. Wyszedł za róg, podniósł lornetkę. – Są – rzucił do swoich. Wyciągniętą dłonią wskazał kierunek i auto z zamontowanym działem bezodrzutowym staranowało wiekowy pochyłony płot dzielący je od podwórza.

Z pozostałych dwóch samochodów jego chłopaki zaczęły wyciągać kontenery wyrzutni.

– Macie coś grubszego? – Maciejko pytał drugiego oficera, nie odwracając wzroku od przedpoła.

– Niewiele, poszło z rana... Dużo ich było. – Niski otarł usta.

– Dużo... – stęknął potwierdzająco Maciejko.

Za wsią ciągnął się pusty, równy jak stół step, tylko gdzieś dalej wila się cienka nitka lasów. Wszystko to przecinała szara linia szosy, wzdłuż której wróg próbował szczęścia.

Teraz czerniły się tu wraki kilkunastu tanków i wozów opancerzonych. Wszędzie widniały leje, walały się rozrzucone skrawki żelaza. Trudno było dojść, czy to efekt działań spadochroniarzy, czy wzywanego co rusz

lotnictwa.

Ale to nie był koniec. Szły na nich dwie grupy czołgów. Tumany wzbijanego kurzu znaczyły pozycje. Tanki rozwinęły się w klin. Jedna grupa szła na przedzie, druga, jak się zdawało, miała osłaniać albo obchodzić bokiem.

– T-55 – zawyrokował Maciejko i zupełnie stracił humor.

– Weszliśmy na marszrutę całego pułku – tej wiadomości od niskiego oficera Maciejko nie chciał wcale słyszeć.

– Cały pułk... – zdanie ugrzęzło mu w gardle.

– Gotów – rzucił któryś z chłopaków. Maciejko popatrzył na swoich. Jedno działo, zapas kierowanych pocisków. Powinno wystarczyć. Na razie.

– Wzywaj latawce – kazał niskiemu. – Długo tak nie pociągniemy.

Palba ognia maszynowego przycichła, kiedy resztki zalegających na przedpolu piechurów zaczęły pierzchać pod osłonę tanków.

Rozległ się grzmot, potem drugi. Z sowieckich wozów buchnęło dymem. Przeniosło ze świstem i pociski rozerwały się gdzieś w tyle, w drzewach.

Maciejko zawahał się na chwilę, zastanawiając się, czy wróg ich wypatrzył, ale nie było czasu na analizy.

– Panowie, przygrzejcie im – bardziej grzecznie poprosił, niż rozkazał. – Strzelać bez komendy – dopowiedział.

Trzask, syk i pierwsza „eska” wyrwała się ze skrzynki, za nią poszły kolejne wystrzały. Pozycja zamarła w ciszy, czekając na efekty.

Ogniki rakiet gnały ku wrogim stanowiskom, robiąc się coraz mniejsze i mniejsze. Zrównały się z celami, odcinając się od oliwkowej farby. Błysk, snop iskier, potem sekunda, dwie przerwy i na jednym z czołgów wyrósł płomień. Grzmot poszedł po polu i z każdego otworu pojazdu wystrzelił ogień, który natychmiast przeszedł w gwałtowny pożar. Nikt nie uciekał. Nie miał szans.

Pozostałe czołgi próbowały umykać, oszukać los, ale nie miały szans. Obsługi pocisków były dobrze szkolone. Znow salwa. Poszło po

zabudowaniach, wśród dymu rozleciały się na wszystkie strony odłamki cegieł.

Ktoś cicho stękał, ranny albo oszołomiony. Ale ludzie Maciejki nie rezygnowali. Błyski i zaraz kolejny T-55 utonął w ogniu. W niebo pofrunęła oderwana eksplozją amunicji wieża.

Reszta jeszcze odszczekiwała, dudniąc pociskiem za pociskiem, siejąc na oślep z kaemów.

Polskie działo na łąziku nie pozostało bierne, ale jego pocisk był igraszką w porównaniu z kierowanymi „eskami”. Poszedł wystrzał – trzask, nieco kurzu i łupnięty tank tylko się zachwiał.

Sowieckie pociski zaczęły spadać coraz bliżej, wzbijając w powietrze gruz i odłamki.

– Odbój, chłopaki – wrzasnął rażno Maciejko. Nie marudzili. Wiele im nie trzeba było. Sowietów się wstrzelili, choć dalej iść już nie mieli zamiaru.

Grupa wpakowała się na pojazdy i zaraz ruszyli, wrywając skrawki ziemi spod opon, szukając kolejnego miejsca i zostawiając za sobą płonące zabudowania.

Przejechali może sto metrów, kiedy ponad lasem, od zachodu przyszedł kojący odgłos ciężko pracujących silników odrzutowych. Małe, zwinne DWL-26 ruszały na łowy, prując po stalowych kolosach seriami podwieszonych pod skrzydłami rakiet.

Iwaskino, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 7 kwietnia 1964

Nie minął jeszcze pierwszy dzień zmagania, a oni wszyscy czuli się jak po miesiącu morderczej kampanii. Bezustanna walka, gonitwa za wrogiem i szukanie przejść w liniach, słabych punktów. Tak żeby czołgi białoruskich dywizji jak najprędzej pognały do dawnej granicy, pozostawiając w okrażeniu większe skupiska oporu, idąc z pomocą działającym gdzieś na wschodzie grupom specjalnym. Wiele z nich milczało, kryjąc się przed obławami, albo zwyczajnie przestały istnieć.

Nieustający zgiełk, szum niekończących się ostrzałów, nalotów, huk

pracujących silników – to wszystko mieszało się w jeden harmider, nie pozwalało odpocząć zmysłom i wymuszało stałą uwagę. Zarazem potwornie męczyło i wysysało całą skumulowaną przed walką energię.

Nie było przerwy, antraktu, chwili na odsapnięcie. Bez przerwy coś się działo. Jak tu, w niedużym szarym miasteczku pełnym niskich, nie do końca odbudowanych domów i krzywych brukowanych uliczek.

Podniszczone budynki, które musiały ucierpieć w ostatniej wojnie albo i podczas tłumienia buntów, znów cierpiały od bitwy. Na wschodnim krańcu kilka z nich płonęło, tam gdzie niedawno sowieckie katusze położyły ogień zaporowy.

Ludzi wymiotło albo skryli się gdzieś, nie chcąc ryzykować. Ryneček dawnego polskiego miasteczka zapełniły pojazdy Pierwszego Batalionu Brygady.

Co rusz w niebo wzbijał się huk strzałów z czołgowych armat. Prochowy dym mieszał się z tym z płonących domów. Super Shermany M51 oddawały strzał i kryły się za ruinami, unikając namierzenia.

Dwa plutony tych podrasowanych czołgów z drugiej wojny trzymały na dystans sowieckie wozy, które już dwa razy próbowały podchodzić do miasta. Trzy Shermany paliły się jeszcze pośród wzgórków gruzów i porozrzucanego wyposażenia.

Ludzie Borysa Zarwiegina łapali chwilę i spali w swoich autach, jak kto mógł. Na siedzeniach, kierownicach, czasem na rozciągniętej na ziemi pałatce. Wiele przeszli. To był ich debiut, do tego nie bezkrwawy. Stracili trzech ludzi, dwóch było rannych, ale morale ciągle panowało wysokie.

Ale ich dowódca nie potrafił usnąć. Jedna rzecz powodowała irytację, która podnosiła tętno: wysoki na jakieś cztery metry cokół i figura wodza rewolucji.

Lenin stał dumnie pośrodku tego zabiedzonego miasteczka, lśniący i wypucowany, wskazując ramieniem na zachód.

Był jak przybysz z innej planety. Dumny i dostojny. Zupełnie nowy i zadbany, odcinał się od ponurego otoczenia popękanych murów i odchodzącej farby.

Porucznik stał na drabinie, balansując, by nie zlecieć na chodnik, a jednocześnie przywiązywał wokół nóg wodza ładunki trotylu.

– Gotowe! – krzyknął w dół do kapitana Kunijewa, który podtrzymywał drabinę, i kilku innych gapiów.

Wcisnął w ładunek zapalnik nastawiony na piętnaście sekund.

– Uwaga! – Słyszając ten okrzyk, ludzie popędzili jak szaleni kryć się za auta.

Porucznik zeskoczył, wielkimi susami dopadł dżipa i schował głowę w dłoniach.

– Starczy? – Kunijew widocznie nie wierzył w saperskie umiejętności porucznika. – Solidny skurwiel...

Rąbnęło, aż szyby poleciały i w uszach zakłuło boleśnie. Zatrzęsło rynkiem. Śpiący powyskakiwali z aut i transporterów, szukając ukrycia, zaskoczeni, nie wiedząc, czy świat aby się nie kończy.

Plac wypełniła wysoka, brązowa chmura dymu i opadające metalowe odłamki cokołu. Ludzie klęli, unosząc broń, sądząc, że to uderzyła bolszewicka artyleria.

Borys zaniósł się gromkim śmiechem, widząc to całe zamieszanie, ale jego ludzie nie byli rozbawieni. Wreszcie pojęli, o co chodzi, i obrzucili obu oficerów morderczymi spojrzzeniami.

– No i starczyło. – Zarwiegin wychylił się i zakrzyknął z zadowolenia. Wódz leżał pogięty, choć w jednym kawałku, nieco na boku, opierając się łysą głową o bruk.

Ładunek urwał mu stopy i nadgryzł cokół.

Zły humor minął wojsku, które na ten widok zaczęło naraz wiwatować, gwizdać i klaskać. Chłopaki rzucili się do pomnika robić zdjęcia, jeśli który miał aparat, albo triumfalnie rozsiaść się jak wielcy zdobywcy.

Borysowi zrobiło się lepiej, raźniej. Kunijew, dumny, poklepał go po plecach i wyciągnął paczkę papierosów. Zarwiegin wziął jednego, włożył do ust, ale zanim zdążył zapalić, wybałuszył oczy.

W rozwiewającym się wolno dymie dojrzał podchodzące ostrożnie sylwetki ludzi. Skąd się wzięli? Gdzie kryli?

Przystawali. Patrzyli na zdobywców, na pojazdy, ale najbardziej na Lenina. Chyba nie dowierzali. Pozbawiono ich nietykalnego symbolu, ale może dzięki temu przestali się bać?

Kapitan Kunijew cisnął papierosem na ziemię, uznając, że trzeba wkroczyć. Poprawił pas, hełm i ruszył dziarsko ku tłumowi, rozkładając szeroko dłonie, by wiedzieli, że ma dobre zamiary.

– Nie bójcie się, ludzie! – wykrzyknął. – Jesteście wolni! Wolni! Sowieckie rządy się kończą! Na zawsze! – wołał. Odwrócił się do wojska. – Sierzancie... Zapasy – rozkazał. Na to byli przygotowani.

Hasłami nikt się nie najadł. Ci tu słuchali ich całymi dniami, całymi latami.

Im potrzeba było dowodów, że idzie nowe, że mają szansę na poprawę losu.

Kilku żołnierzy przytaszczyło zielone skrzynie. Rozstawili je pośrodku, tuż obok obalonego Lenina, i otworzyli. Borysowi nie umknęła symbolika tej sceny.

W środku znajdowały się prawdziwe frykasy. Konserwy, suchary, a nawet czekolada, rzecz tu prawie nieznana.

– Bierzcie... to dla was! – Kunijew zachęcił z ukłonem, ale mało kto się ruszył. Bali się. Że zatrute, że to podstęp. Patrzyli jeden na drugiego.

Borys podszedł do skrzyni, sięgnął po zamkniętą w puszcze czekoladę. Ostentacyjnie otworzył i zjadł kawałek.

Miejscowi zdawali się nabierać pewności. Wreszcie ktoś młodszy ostrożnie wyminął kapitana i sięgnął do tego rogu obfitości. Ukłonił się i odbiegł. Potem przyszedł kolejny i kolejny, i lawina ruszyła.

Pas natarcia 2 Pułku Pancernego, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 7 kwietnia 1964

Starszy sierżant Klemens Wnuk miał obawy, czy jego maszyna wytrzyma

kolejne trafienie. Miał co prawda wielkie szczęście walczyć na spręcie, którego autentycznie zazdrościli nawet sojusznicy, ale nic nie było niezniszczalne.

TP-42, zwany półoficjalnie „Maczkiem”, ku czci wielkiego czołgisty, był wozem na wskroś nowoczesnym. Niska sylwetka, pochyła ściana długiej wieży wyposażonej w zamykany mokry magazyn amunicji, a przede wszystkim studwudziestomilimetrowe działo i dwa karabiny maszynowe.

Samodzielne zawieszenie podwozia zostało osłonięte stalowymi fartuchami z dodatkowymi płytami pancernymi. To wszystko, wzbogacone o dalmierze, celowniki i reflektor podczerwieni, robiło z tej maszyny najdoskonalsze narzędzie walki. Niestety, było ich w całej armii tylko około setki.

Cóż z wielkich walorów, skoro opodal pozycji szwadronu czerniły się dwa dymiące wraki tych wozów. Pechowcy oberwali sowieckimi PPK od którejś z ukrytych w zasadzce grup przeciwpancernych. Ale to była historia. Ważne było, co miało wydarzyć się zaraz.

– Są maleństwa... Idą pod górę. – Wysunięty na drugą stronę pagórka zwiadowca widział lepiej. – Zmywamy się. Za dużo ich. – Kontakt się urwał.

Dwa Walker Bulldogi Dziesiątego Pułku Strzelców Konnych cofały się, wystrzeliwując granaty dymne.

Wzgórza od wschodu pokrywały płonące wraki czołgów T-54 i T-55, które tylko dzięki zmasowaniu natarcia dotarły tak daleko. Pozostałe szły do ataku, mimo że dowódcy widzieli rezultaty poprzednich szturmów. Wchodzili na pola między lasami, byle dalej, byle zepchnąć Polaków, bez względu na koszt, ostrzał i naloty.

Wnuk miał rozkazy. Cała dywizja miała, jasne i wyraźne. Poruszać się osiami, wzdłuż dróg lub w rozwinięciu, korzystając z osłony rzadkich wzgórz lub lasów. Na ogólny kierunek rzeki Łuck, przebijać się poprzez punkty oporu celem połączenia z Biało-Rosjanami.

Pierwsze godziny działań przebiegały jak założono. Otaczano pozycje obronne, czasem puste albo niegotowe do walki garnizony ukryte po lasach. Potok jeńców, zazwyczaj zdeorientowanych młokosów, których dowódcy

pozostawili samym sobie, popłynął na tyły. Ci, którzy postanowili walczyć, niepozabawieni woli hasłami ulotek i niekończących się radiowych wezwań, byli pozostawiani jednostkom piechoty i artylerii.

Samoloty miały torować drogę pododdziałom uderzeniowym. Byle dalej, byle szybciej dotrzeć do starej granicy. Póki trwało zamieszanie.

Ale im dalej w sowiecki kraj, tym bardziej taktyka bolszewików ewoluowała. Jak ostrzegano na odprawach, czerpiąc z doświadczeń wcześniejszych wojen, Sowieci ruszyli do serii kontruderzeń. Szybkich, bezładnych, wszędzie podobnie. Kosztowne to było, ale poniekąd skuteczne.

Drugi Pułk stawał już drugi raz, zmuszony bronić się przed falami czołgów i piechoty.

- Do przodu – usłyszał Wnuk w hełmofonie.
- Naprzód – kazał kierowcy. – Ostrożnie, kilka metrów.

Dwa plutony podtoczyły się na krawędź przeoranego stałą płaskowyzu. Mieli kilka minut, zanim ujawnią pozycje. Sierżant Wnuk przykleił się do peryskopu.

– Są – głos mu zadrżał. Między wrakami, wśród dymów nadciągała kolejna grupa tanków. Podoficer nie liczył, ile ich jest. Wybierał te, które podchodziły najbliżej. Zacisnął pięści. Puls przyśpieszał.

- Godzina pierwsza, T-55 – podrzucił celownicemu pierwszą ofiarę.
- Widzę – skwitował tamten.
- Strzelać bez rozkazu – głos oficera pozwolił zacząć polowanie.
- Wał, kiedy uważasz – powiedział Wnuk. Nie trzeba było długo czekać.

Czołgi huknęły prawie jednocześnie, głośną salwą. Na przedpolu wyrosły pióropusze dymów i gejzery ziemi. Szybkie i sprawne przeładowanie. Gazy zaszczypały w gardle. Drugi strzał, daleki błysk. Studwudziestomilimetrowe działo miało potężny zasięg. Któryś T rozniósł się w strzępy rozerwany eksplozją własnej amunicji.

Inne zatrzymywały się gwałtownie, ugodzone pociskami. Włazy odskakiwały, załogi uciekały, z wnętrza pojazdów buchały płomienie.

– Starczy! – wykrzyknął oficer. – Wycofać się.

– W tył – rzucił Wnuk. Kierowca nie miał zamiaru marudzić. Wiedział, czym to grozi.

TP-42 zaczęły odchodzić na przeciwległe zbocze, kiedy w powietrzu zafurgotały nadlatujące pociski. Zakołysało wozami, odłamki zabębniły o pancerze. Ile to trwało? Nikt nie liczył. Zdawało się, że wieczność. Już wiedzieli, że w boju czas się dłuży.

W rzeczywistości poleciało kilkanaście granatów i starczyło. Sowieci oszczędzali albo nie chcieli wskazywać swoich pozycji lotnikom.

– Zaraz będą, uważać na flanki – dowódca kompanii pouczał, ale każdy wiedział, co może się stać. Byli wyszkoleni, służyli w najlepszej polskiej jednostce ciężkiej. A ostatnie kilkanaście godzin starczyło za najlepszą lekcję.

Ogień przewędrował dalej, potem na bok, na ślepo albo dla ubezpieczenia się przed kryjącą się po dołkach piechotą. Przez dym przebił się długi cień wyzierającej ponad zbocze lufy. Nadchodzili. Jeden, drugi, na wprost.

Czołg Wnuka strzelił pierwszy. Iskry rozleciały się po pancerzu Sowietów. Byli za blisko. Ładowniczy wrzucił w zamek kolejny pocisk, odruchowo, jak automat.

Sowieci wynurzyli się z czarnej mgły. Salwa.

Dwa polskie TP zniknęły w dymie. Jeden z wozów stracił działo i zaczął pierzchać, nie wiedząc czemu ostrzeliwując się z karabinów maszynowych.

Drugi stanowił dowód, że pancerz „Maczka” był naprawdę doskonałym wynalazkiem. Uszedł z życiem. Mógł się odgryzać.

Polacy nie pozostawali dłużni. Wet za wet. Walka toczyła się na najbliższym dystansie, jak w bokserkim pojedynku. Zdawało się, że przeciwnicy wyjdą z czołgów i zaczną prać się po twarzach.

Kolejny T-55 zniknął w żółtym płomieniu. Trafił go czołgowy pocisk albo pancerzownica piechurów. W ścianie kurzu i dymu, za którą skryło się słońce, jeszcze jeden „Polak” oberwał. Tym razem boleśnie. Urwana gąsienica i koła unieruchomiły go na dobre. Ale trwał i walczył.

Krążące wozy wymieszały się, płasząc w koło, polegając na szybkości swoich załóg. Byłe strzelić jako pierwszy, najlepiej w tył, w silnik. Bolszewicy nie odpuszczali, choć pięć czy sześć z ich wozów już płonęło.

Niewielki płaskowyż ogarnęła furia śmiertelnego zmagania. Zapasy gigantów, gdzie wszyscy dawali z siebie wszystko.

Piechota uwijała się, tłukąc po tankach, po uciekających czołgistach. Ginęli pod gąsienicami, cofali się, oddając pola tylko stalowym potworom. Powietrze wypełniło się smrodem kordytu, wdzierającym się każdą szczeliną do wnętrz pojazdów.

I naraz koniec. Zaczęło cichnąć. Obie strony dosięgły zenitu i umęczone, nie dawały rady. Szczyt zastawiały mniej lub bardziej uszkodzone czołgi, sowieckich było więcej. Prawdziwy grobowiec złomu, który chwilę wcześniej miał zadawać śmierć.

Wnuk potarł oczy. Pod czaszką szumiało. Nie czuł ulgi. Wóz był uszkodzony, długo nie mógł walczyć.

Spojrzał w peryskop i zrobiło mu się słabo. Za szczytem nadchodziły kolejne, nowe siły.

– Ładuj – polecił grobowym głosem.

– Patrz. – Ładowniczy szturchnął go łokciem w nogę i wybałuszył oczy, tak że na brudnej od prochu twarzy błysnęły białka.

Kilka sowieckich T przystawało, unosząc lufy ku górze. Dawali jakiś znak.

Włazy odskakiwały, z wnętrza pierwszego wozu wysunął się kij zakończony kawałkiem białej szmaty. Potem kolejne „chorągwie”, choć uparta, rozwścieczona stratami piechota nie odpuszczała, prując serie ponad wieżami.

Ktoś odważny wyskoczył na błotnik, ale zaraz zwałił się w zmieloną ziemię.

Kolejni zabici nie zniechęcali reszty czołgistów. Wychodziło ich pełno, wszystkie załogi. Chyba kompania.

Sierżant Wnuk sięgnął po pistolet, otworzył właz. Powietrze nie było

wiele lepsze od tego we wnętrzu. Wnuk wyszedł na pancierz i ukrył się za wieżą. Nic nie rozumiał. Sowieci machali szmatami, chustkami. Chudzi, brudni, wystraszeni i chyba... zrezygnowani.

Któryś z nich wyrwał się w przód. Ostentacyjnie odpiął kaburę i odrzucił pistolet, zaraz wyjmując kawałek papieru. Podał Polakowi z niewyraźnym uśmiechem ulgi.

Wnuk niewiele rozumiał. Tekst był po rosyjsku. Zdołał tylko wydukać z propagandowego materiału, że czas sowieckiej władzy się kończy. Że nadchodzi nowe.

Północny odcinek okręgu granicznego, ZSRS | 8 kwietnia 1964

Żółtoczerwone smugi z sykiem cięły powietrze, rozjaśniając ciemności. Od pola nadlatywały ich całe roje, tkając na ciemnej ścianie lasów misterną płatanię. Od płonącej wioski też leciały, tyle że zielone i bardzo rzadkie.

Terkot karabinów zmienił się w jeden ciągły stukot.

Kilka okaleczonych plutonów ze Sto Trzydziestego Piątego Pułku Strzeleckiego Gwardii rozproszyło się po zabudowaniach, odgryzając się nadciągającej piechocie.

Ale to nie ona martwiła sowieckich żołdatów. Ich martwiły tanki. Kilka pojawiło się na lizjerze lasów, kręcąc wieżami i bijąc w każdy podejrzany kąt.

Pociski niosło szybko, z trzaskiem, i zaraz pośród ruin wyrastała głośna eksplozja.

Sowieckie czołgi czekały dalej, między domostwami, w czymś na kształt zasadzki, ale wojsko podejrzewało, że pilnują sztabu. Albo raczej tego, co z niego zostało. Kilku oficerów, którzy naraz, jak na rozkaz, stawili się tam „dysputować”, zostawiając żołnierzy na pastwę faszystów.

Sześć T-55 było ostatnim ciężkim orężem w tej miejscinie. Akurat tyle, żeby osłonić odwrót oficerów, politycznych albo i żołdatów, którzy nie byli stąd, z Rosji i jakoś tracili zapał pod bombami. Przecież mieli iść na służbę zasadniczą. W kilka lat odbębnić smutny obowiązek, przetrwać i wracać do

Kazachstanu, Uzbekistanu, na Ukrainę czy Kaukaz. Jak miało im zależeć, skoro nawet kadra nie radziła sobie z tym bałaganem, tracąc głowy, kiedy pierwsze rakiety rozerwały kilka ciężarówek w drodze na linię.

Obie strony podtrzymywały słabą wymianę ognia, jakby niezdecydowane, co właściwie robić. Strzelać do siebie w tych półciemnościach czy cofać się i przygotować na powtórkę zaraz o świcie.

Z każdą minutą zdawało się, że wybrano to drugie rozwiązanie. Honorowo, tak żeby nikt nie wyszedł na przegranego. Ogień po prostu słabł stopniowo. Najpierw przestały strzelać czołgowe armaty i same wozy zaczęły cofać się w ukrycie, osłaniając się wzajemnie. Potem błyski smugowych pocisków zelżały i Sowieci przestali bić. Przerwa jednak nie trwała długo.

Niecałe pięć minut później gruchnęło od południa. Salwa rozjaśniła nieboskłon. Wielu młokosów, tych twardszych i odpornych na trudy walki, naiwnie podchwyciło plotkę, że to ich artyleria daje popalić. Jakby przestała się martwić o wykrycie z powietrza.

Ta chwila ciszy, pauza po ataku od czoła starczyła, żeby faszyci obeszli pozycję. Dwie kompanie czołgów i batalion piechoty spadły na Sowieców pod osłoną moździerzy i lekkich haubic.

Ostrzał był gęsty, chmura dymu i odłamków zasnuła okolicę.

Zaskoczenie szybko opanowano. Nawet prędko przerzucono na zagrożony odcinek pięć cennych czołgów i drużynę przeciwpancerną.

T-55 miały zwały gruzów, płonące belki z domostw, jeden za drugim pędząc pod ostrzałem i tłukącymi o pancerze odłamkami. Piechota miała mniej szczęścia.

Wielu padło rannych i wołało pomocy, kiedy koledzy kryli się po piwnicach i w ruinach. Tylko ci w transporterach mogli prędko dopaść nowej pozycji.

Sowieckie czołgi weszły do walki z marszu. Strzelały w błyski, daleko. Coś zapłonęło gwałtownie, jasno. Być może ustrzelili M-48 albo inny transporter.

Sowieckie wozy, zresztą tak jak i większość polskich, nie miały zdolności

widzenia nocą.

Bitwa sięgnęła zenitu i zaraz miała się zakończyć. Rozwiązanie przyszło z najmniej oczekiwanej strony. Kiedy bój rozpalał się żywym ogniem, od południowych przedmieść miasteczka, tam gdzie już zrobiło się spokojnie, z domów, nor w gruzie zaczęli wyzierać ludzie.

Nie wojskowi. Zwykli cywile. Brudni, często ranni, w obszarpanych ubraniach.

Wystawiali głowy i nasłuchiwali, czy aby na pewno wojna wybrała sobie nowy zakątek do demolowania.

Najpierw szli mężczyźni. Ci, których nie objęła mobilizacja albo którzy udali, że o niej nie pamiętają. Zresztą jak miałoby trafić do swoich jednostek, i to tak szybko po ogłoszeniu wojny? Wszystkie mosty, drogi były pod ostrzałem. Państwo, gmina, wszystko naraz przestało funkcjonować.

Potem wychodziły kobiety, dzieci, starsi. Wielu płakało, pomstowało i biegło przerażonych widokiem zrujnowanych domów. Uciekali ile sił w nogach, wielkim tłumem. Wprost na linie, tam gdzie okopane grupki wojska z niepokojem wsłuchiwały się w strzelaninę, która spadła na ich kompanów. Wielu głowiło się, czy wytrzymają, czy trzeba będzie się cofać? Jeśli tak, to gdzie? Pod jakim rozkazem i czy strzelać do nich nie będą, jak ponoć w poprzedniej wojnie.

Uderzenia z tej strony nikt się nie spodziewał.

Z mgły pożarów za plecami żołnierzy wyszło najpierw kilku mężczyzn. Za nimi kobiety. Ktoś wyskoczył z okopu, machał bronią, krzyczał i groził, nakazując, by tłum uciekał. Nie słuchali. Grupa naparła na zaskoczonych, przerażonych jak mieszkańcy żołdatów, którzy zaczęli zaraz błagać, zerkając nerwowo za siebie, czy wróg jeszcze nie bierze ich na cel.

Ktoś posłał długą serię w niebo. Potem jeszcze inny zaczął strzelać. Poszedł pisk, niektórzy padli na ziemię, ale potok ludzi nie ustawał.

Posypały się przekleństwa na wojskowych. Ludzie wygrażali im, życząc rychłego końca. Wściekali się, mieli dość. Wojna trwała krótko, ale była teraz tylko dopełnieniem całej biedy, szarej beznadziei, w której wegetowali latami.

System miał ich za nic, potrzebował do pracy albo do wojowania. Strach i bieda były powszechne, były codziennością. Ale jakimś sposobem powstała wyrwa w tym wszystkim. Ludzie zaczęli rozumieć, że wszystko wokoło trzeszczy. Uznali, że trzeba uciekać, zanim zawali się z hukiem i pogrzebie wszystkich. Jak kiedyś, jak nie raz bywało.

Potok cywilów przewalił się przez ukryte pod załomami ścian stanowiska piechoty, karabinów maszynowych i wdarł na mokre łąki pokryte lejami i wrakami pojazdów.

Kilku młodych chłopaków, z zaledwie półrocznym doświadczeniem w dźwiganiu broni, stało na skraju reduty, patrząc za uchodzącymi w ciemność mieszkańcami. Nie wierzyli, że to się dzieje naprawdę. Ludzie sowieccy nie uciekali ot tak. Mieli trwać przecież, bronić się do ostatka jak w jakim Sewastopolu czy Stalingradzie. Mówiono im tak przy każdej okazji, a teraz... Wywróciło się do góry nogami. Nic nie było tak, jak uczono, jak miało być.

Żołnierze popatrzyli po sobie, zbierając odwagę. Wreszcie starszy zrobił ruch. Osiągnięcie godne najdzielniejszych w tym kraju. Cisnął broń i skinął głową. Zrzucił stalowy hełm i jak wystrzelony z procy popędził za ostatnią grupą, która już zniknęła w mroku.

Jego kompan stał oszołomiony, drżąc i szybko łykając resztki śliny w wyschniętym gardle. Ludzie znikali w mroku i naraz od zachodu pojaśniało od strzałów. Na polu wyrosły snopy iskier. Huk pomieszał się z wrzaskiem i piskami.

Pociski poszły na boki, potem w dal, rwąc się na skraju ruin, i nagle zrobiło się cicho. Tylko z oddali dolatywały nieustające jęki. Ale nikt nie zdecydował się wrócić. Uciekali na zachód, nieważne, czy tamci do nich strzelali umyślnie, czy nie. Woleli to niż własne miasteczko, własne wojsko.

Młody żołdat obejrzał się za siebie. Kumple wyglądali z okopów. Myśleli, intensywnie myśleli. Wszystko, co wiedzieli, przestało się liczyć.

Młody odłożył swojego AK na ziemię i też ruszył w mrok. Za nim kolejni. Ku nowemu. Nieznanemu. Nikt ich nie pilnował, nie zatrzymywał, a przecież ulotki, które rzucano im na przemian z pociskami, kazały wierzyć, że nadchodzi nowy porządek.

Panujące w podziemiu obszernego bunkra skupienie mieszało się z niejaką podniosłością. Ta brała się z wielkich nadziei i dość pozytywnych wieści napływających trzecią dobę ze wschodu. Zebrani nieliczni oficerowie patrzyli na generała Walczuka, który przeglądał jeszcze gorące raporty, jakie dostarczano nieomal wprost ze związków taktycznych tu, do centrum zarządzania wielkiej operacji, zwanej już kontynuacją.

Do podziemnej, ascetycznej sali wprowadzono tylko wybranych. Przebywali tu prócz Walczuka generał Kozikowski, szef lotnictwa Skalski, szef wywiadu Stępniakowski oraz dowódca Drugiego Korpusu, który szykował się do uderzenia pomocniczego z kierunku lwowskiego, generał Strzała-Korzeniowski.

– Proszę dalej – Walczuk odezwał się uprzejmie, bez emocji. Za stary był i zbyt doświadczony, by promieniować nadzieją na zwycięstwo w meczu, kiedy strzelono dopiero pierwszego gola.

Generał Kozikowski, dowodzący głównym kierunkiem uderzenia, schwycił wskaźnik i znów przyłożył do wielkiej, rozciągniętej na ścianie mapy, pokrytej chorągiewkami oznaczającymi postępujące dywizje.

– Jak wspominałem, parasol ochronny naszego lotnictwa pozwala nam na elastyczność w prowadzeniu działań. Pierwszego dnia czołowe oddziały przebyły dwadzieścia kilometrów. Oddziały białorusyjskie uczyniły nawet większy postęp. Wróg okrzepł w wielu punktach, ale nie do końca. Z zeznań jeńców wynika, że chaos na tyłach trwa, a głównym rozwiązaniem jest kontratakowanie, co przy nie do końca rozwiniętych oddziałach wychodzi tragicznie. Sowieci nie byli w ogóle gotowi, ale ilość sprzętu rzucanego do boju na wąskich odcinkach... – zawiesił głos wyraźnie poruszony tym, co ma powiedzieć – powoduje straty. Czasem dotkliwie, ale nasza przewaga w powietrzu pozwala wykrwawiać nieprzyjaciela. Podobnie z liniami zaopatrzenia. Dostawy przy takiej intensywności walk muszą być spore, a to doskonały cel dla bombowców. Podsumowując. Mieścimy się w harmonogramie. Nawet nieco przyśpieszamy. Liczba jeńców jest o wiele większa, niż przewidywaliśmy na pierwszy dzień. Załogi pana generała

Skalskiego – ukłon wobec weterana podniebnych walk – wywołały prawdziwy szok u bolszewickiej tłuszczy. Nie, nie wszędzie. Okręg leningradzki to wyjątek. Ale na wielu odcinkach brak osłony myśliwskiej i raketowej załamał morale. Późniejsze punktowe naloty tylko pogłębiły ten stan. Jak wszyscy wiemy, pozbawienie armii najwyższego dowództwa to cios śmiertelny, ale tylko w połączeniu z porażeniem lotnisk i radarów dało piorunujący efekt.

– Ludność – wtrącił Walczuk. – Jaka jest reakcja ludności?

– Teren nadgraniczny – wskaźnik przesunął się wzdłuż kreski na mapie – jest słabo zamieszkały, podobnie jak i nieco dalsze terytoria, ale można uznać, że reakcja jest z początku obojętna. Później przeradza się w optymistyczną. Mamy meldunki o witaniu naszych wojsk, ale to wyjątkowe przypadki. Rosjanie z korpusu mają w tym względzie lepsze osiągnięcia z wiadomych przyczyn. My opieramy się na zdobywaniu zaufania, na rozdawaniu żywności. Poniekąd daje to efekty, czas pokaże, jak będzie dalej. My nie Niemcy, nie palimy stodoł i nie wieszamy, więc miejscowi powinni to docenić – zakończył z czarnym humorem.

Znów w sali zrobiło się dziwnie cicho. Generał Walczuk podparł głowę o dłoń i zawiesił spojrzenie na mapie.

– Bardzo dziękuję. To naprawdę... Naprawdę dobre wieści. – Wreszcie czuł niejaką ulgę. Niezupełną, ale jednak. – Im szybciej przesuniemy sowieckie siły od naszych granic, tym bardziej utrudnimy im działania odwetowe, ostrzały rakiet taktycznych i tym podobne. Nie stanowi to zagrożenia dla naszych miast... Ich najnowsze pociski, R-11? – upewnił się. – Tak, R-11, mają zasięg jedynie dwustu kilometrów, jak widzę... – Stuknął w papiery. – Istnieje jednak inne zagrożenie.

Na twarzy generała Walczuka pojawiło się zafrasowanie. Wydał usta i odsunął się od stołu, prostując w krześle.

– Panie generale. – Skinął na Przeszło-Stępniakowskiego. – Proszę.

Szef „Dwójki” wyglądał na bardzo zmęczonego, ale raczej zadowolonego. Cerę miał bladą, oczy podkrążone z niewyspania. Generał wciągnął głęboko powietrze nosem i wyprostował się niczym struna.

– Dzięki wielkiej ofiarności grup dalekiego zwiadu jednostki Kedyw udało się pozyskać niepokojące nowiny o planowanym uderzeniu odwetowym z użyciem lotnictwa. Ogólny zarys problemu został panom przedstawiony jeszcze wczoraj. Pojmany zeznał, że Sowieci gotowi byli dokonać nalotów na kilka polskich miast, w przypadku jeśli odważymy się wtargnąć na ich terytorium. Jeśli to jeszcze nie nastąpiło, oznacza, że Sowieci albo boją się reakcji USA, albo ich łańcuch decyzyjny jest zupełnie niewydolny. Osobiście uważam, że należy być gotowym na silny nalot samolotów dalekiego zasięgu, przenoszących pociski raketowe. Nie, nie obawiam się użycia atomu. W tej sytuacji byłoby to samobójstwo dla Moskwy. Świat wie, że rozpoczęli kampanię terroru, do tego mają wizerunek niestabilnego państwa, pogrążonego w walkach frakcyjnych. Może nie wszyscy w to wierzą, ale lista przewin jest mocna i oburza ludzi. Pytanie brzmi, czy angażując wszystkie siły na wschodzie, będziemy mogli obronić swoje terytorium. A jeśli tak, to czy osłabienie sił powietrznych nie spowolni naszych postępów? Wiemy, że jeden z kierunków uderzenia ma wyjść z Bułgarii, ale na pewno Sowieci zaangażują wszystkie dostępne środki. Bombowce Tu-22 są rozlokowane zarówno pod Moskwą, jak i przede wszystkim na północnych rubieżach, gdzie nasze lotnictwo, co oczywiste, nie sięga. Sowieci mogą przerzucić je dowolnie, choć ich liczba nie jest porażająca.

– Za pozwoleniem pana generała – generał Skalski wszedł w słowo, ale Stępniakowski nie zamierzał oponować. – Finowie przekazali już dziś około południa odczyty swoich radarów. Sowieci próbowali ich zmylić, ale ewidentne jest, że na odcinku Moskwa–Murmańsk–Leningrad trwa przerzucanie nowych sił. Może to oznaczać demonstrację albo przygotowania do nalotów na instalacje w Norwegii, ale jak słusznie pan generał zauważył, iść na udry ze wszystkimi nie mogą. Tak więc można założyć, że kolejna wyprawa zaczepna znad Leningradu będzie wymierzona nie w nasze oddziały frontowe, ale w któreś z polskich miast. W takiej sytuacji zmuszony jestem postawić do dyskusji kwestię naszej obrony. Wiedzą panowie, że do ataku użyto gros sił i jedynie jedna trzecia sił prowadzi działania osłonowe ponad krajami bałtyckimi, Wilnem i Lwowem, i dalej w strefę bez zagrożenia radiolokacji. Więc i tak te skromne siły są podzielone. Pomoc sojuszników we wznoszeniu pasów obrony raketowej jest cenna, ale dotyczy w głównej

mierze pocisków średniego zasięgu. Sowiecki arsenał pozwala na użycie maszyn lecących o wiele wyżej i atakujących z wielką przewagą odległości. Plan nasz zakładał większą pomoc aliantów...

Obrócił głowę w stronę Stępniańskiego. Ten wytrzymał i z wielkim wysiłkiem zapanował nad mimiką.

– Tymczasem nie ma konkretnego wsparcia.

– Generał Maxwell Taylor – wtrącił szef sztabu – z uporem maniaka zapewnia o dostawach materiałów wojennych, parasolu atomowym i każe nam być cierpliwymi. Fakt, założenia były inne – nieśmiały, zawoalowany przytyk w kierunku szefa wywiadu.

Przed takimi oskarżeniami, o brak pomyślnej analizy i niedopatrzenie tak ważnego czynnika, nawet Walczuk nie mógł bronić kompana.

Przecież wojna miała być serią silnych uderzeń, które w krótkim czasie miały wspomóc siły amerykańskie. Na to postawili wszyscy. Sztab, szefowie wydziałów i tuzy, weterani dawnych wojen. Otarli się o złamanie prawa, konstytucji. Ale to nie było tak istotne.

O wiele gorsza była wizja uderzenia na polskie miasta, tysiące ofiar przy minimalnym przeciwdziałaniu wobec Sowieców nad własnym terytorium. Czyli sytuacja odwrotna do tego, co działo się w ZSRS.

Wojsko Polskie nie mogło sobie pozwolić na złamanie morale silnym uderzeniem z nieba, na ugodzenie własnej ziemi, kiedy tłumy wiwatowały, odprowadzając żołnierzy do punktów koncentracji, przekonane o rychłym nadejściu Amerykanów.

To już było. 3 września 1939 roku. Potem zwód i katastrofa. A i teraz wydawało się aż nazbyt realne. Powodzenie na froncie, zyski terytorialne mogły zostać zniweczone wielkimi bombardowaniami. To wstrząsnęłoby opinią świata i wymusiło zawieszenie broni na jakichkolwiek zasadach. I to byłaby klęska. Najgorsza ze wszystkich. Zmarnowana szansa i bezsensowny koszt, za którym przyszłyby surowe rozliczenia i Bóg jeden wie co jeszcze.

Paweł Przeszło-Stępniański powtarzał sobie w głowie krótką formułę, którą zaczął opracowywać kilka dni temu. Był przewidujący, zaradny, wołał przygotować się i na niepowodzenie.

Gotów był wstać, przyznać się do błędu i oddać do dyspozycji generała Walczuka. Jeśli mieliby oskarżać, to tylko jego. On to zaczął, samowolnie, na własną rękę.

Chciał wrócić do starych czasów, dawnych niedokończonych spraw, choć podobno dwa razy do tej samej rzeki wejść nie można. To prawda – nie udało się ani wtedy, ani teraz.

Generał poprawił kołnierz polowego munduru, gotów się podnieść z miejsca, kiedy zadzwonił stojący obok Walczuka telefon.

– Słucham – szef sztabu rzucił prędko do słuchawki, zły, że się mu przeszkadza. – Rozumiem. – Zastygł z wyrysowanym na obliczu zdziwieniem. Słuchał dłuższą chwilę, a potem zaraz przeszedł na angielski. Wymienił z kimś kilka uprzejmości, wyraził radość i twarz pojaśniała mu blaskiem najprawdziwszego zadowolenia.

Odłożył słuchawkę i klasnął w dłonie. Oczy spoczęły na Stępniańskim, dając jakiś porozumiewawczy sygnał w stylu „będzie dobrze”.

– Panowie... – powiedział uroczyście – prezydent już wie, rząd także. Generał Taylor poinformował również i mnie. Przed chwilą do Warszawy przyszło polecenie...

– Mają zgodę? – Stępniański nie potrafił się opanować. Oczy prawie wyszły mu z orbit.

Walczuk zaśmiał się, wybacząc impertynencję.

– Tak! Mamy przedstawić plan współdziałania. Prezydent USA ma wygłosić orędzie w tej sprawie. Panowie! Żyjemy!!!

Wschodnia Polska | 8 kwietnia 1964

Noc była ciemna, boczne drogi z pozoru opustoszałe. Kolumna czołgów M-60 wlokła się w zupełnym zaciemnieniu ku wschodowi, nad rzekę Bug. Tam gdzie z rzadka połyskiwały łuny bomb.

Amerykańska Czwarta Dywizja Pancerna miała włączyć się do tego, po co została wysłana do tego dalekiego kraju. Szła na wojnę, choć kapitan

Ferguson nie wierzył. Nie docierało to do niego. Szkolił swoich ludzi, dbał o sprzęt, ale do końca, do ostatniej chwili, nawet kiedy przyszedł szyfrogram, chciał myśleć, że to niemożliwe. Że on i tysiące Amerykanów pełnią tu tylko służbę garnizonową i sama ich obecność odstrasza wrogów, stabilizuje sytuację.

Nie rozumiał, co właściwie się dzieje. Czemu nie rzucono ich do boju od razu, a zwlekano, powodując plotki i stres.

Przekazane kilka godzin temu orędzie prezydenta mówiło o zaplanowanym i przeprowadzonym zamachu na jego głowę, a to było powodem wystarczającym, by dobrać się do skóry Sowiecom. Pytanie dotyczyło czegoś innego. Skoro wiedziano o próbie zabójstwa, czemu reakcja następowała tak późno?

Gdzieś po niebie, za czarną osłoną grzmiały silniki kolejnych samolotów, mknących ku celom na wschodzie. Ferguson nie miał pojęcia, czy były polskie, czy amerykańskie. Przerazało go to, tak po ludzku i zwyczajnie. Wiedział ze szkoleń o ilościach nagromadzonego przez Sowieców sprzętu i nawet raporty z frontu o niespodziewanych postępach Polaków jakoś nie poprawiały mu nastroju. Tamci mieli przecież bomby, rakiety, broń jądrową. Cała ta awantura była niebezpieczną zabawą, która mogła podpalić świat. Ale wyżej byli mądrzejsi od niego.

– Jasna cholera... Patrzcie – w słuchawkach hełmofonu odezwał się zaskoczony głos dowódcy prowadzącego wozu.

– Skąd oni...

– Szabla Trzy – włączył się Ferguson, niezadowolony z pogaduszek w eterze – co się dzieje?

– Szabla Jeden. Zaraz pan zobaczy. – Przez szum doleciał odgłos krzyków i oklasków.

Czołgi wtoczyły się w granice jakiejś wioseczki, niedużego przysiółka, który o tej porze powinien smacznie spać. Ale nic z tych rzeczy.

Wioskę rozświetlały latarnie, ręczne latarki trzymane w dłoniach dziesiątków ludzi, którzy wyszli na drogę, machając, bijąc brawo i wznosząc kilka amerykańskich flag.

Ferguson poczuł się nieswojo, widząc te ucieszone twarze, młodych i starych, którzy pozdrawiali go, krzyżąc thank you – choć on jeszcze niczego nie zrobił. Dopiero ruszał na wojnę. Jeszcze jej nie wygrał.

Warszawa, Polska | 8 kwietnia 1964

Przerażająca wizja pomieszała się z równie strasznym wspomnieniem. Ranna Anna na bruku ulicy, a wokół szalejące pożary, ciemne oczodoły kamienic, których ściany zaczęły pękać i osuwać się z łoskotem na ziemię.

Pandemonium lęku, krzyków i paniki dochodziło uszu, wypełniało czaszkę i nie pozwalało myśleć. Jakby zaraz głowa miała pęknąć z bólu, cierpienia i niemocy.

Nie dało się wytrzymać.

Bartek Karpacki wyrwał się biegiem w ciemniejącą, rosnącą ciżbę ludzi i zaczął młócić ramionami, szukając drogi ucieczki. Otworzył oczy, poderwał się na łóżku z głośnym krzykiem i dopiero uspokoił.

Dyszał na posłaniu, spocony, w ciemnym pokoju. Zenek spał na swoim łóżku jak zabity. Wszyscy, którzy przetrwali misję i kilka godzin przesłuchań, padli wycieńczeni i zdawało się, że będą tak spać całymi dniami.

Bartek nie potrafił. Zszargane nerwy, wspomnienia opanowały zmysły, nie pozwalając zapomnieć, wypocząć.

W gardle zaschło. Bartek wstał. Naraz owładnęła nim niedająca się odegnąć myśl, że musi porozmawiać z domem. Z rodziną i Anną, jeśli w ogóle o nim pamięta. Ostrzec albo przynajmniej zapytać, czy są bezpieczni.

Widział to z bliska. Wojnę w całej krasie i mocy, która zdawała się wychodzić poza ramy dalekich frontów. Wyszedł z pokoju i, mimo że dopiero świtało, ruszył szukać telefonu.

Morze Czarne | 8 kwietnia 1964

Rozkaz przyszedł poprzedniego wieczora. Pół nocy dokonywano ostatnich przeglądów w maszynach i uzbrajano potężne, smukłe Tu-22.

Odprawa była nerwowa, choć wszyscy wiedzieli, jaki jest cel. Inny niż to, do czego szkolono Czterdziestą Trzecią Armię Lotniczą.

Wszystkie jej siły miały nakierować się na cele w Polsce. By uniknąć wykrycia, najcięższe maszyny, o najdalszym zasięgu miały obrać kurs na wschód, odbić na północ ponad Morzem Czarnym i osiągając wybrzeże sowieckiej Ukrainy, znów zmienić kurs. Wszystko po to, aby uniknąć starć z czeskimi czy węgierskimi lotnikami i wspierającymi ich dywizjonami amerykańskimi.

Myśliwce, którymi dysponowała Czterdziesta Trzecia Armia, nie mogły zapewnić osłony na całej trasie przelotu. Baki nie miały wystarczającej pojemności. To czyniło wyprawę jeszcze bardziej niebezpieczną i wszyscy, od dowódcy po sam dół, wiedzieli o tym doskonale.

Eskorta trzydziestu MiG-ów 21, nowoczesnych, prędkich i zwrotnych myśliwców, szczytowego osiągnięcia sowieckiego przemysłu, mogła towarzyszyć bombowcom zaledwie kilkadziesiąt kilometrów ponad wody morza. Zasięg MiG-ów 17 i 19, których około półtorej setki rozmieszczono na Bałkanach, był jeszcze mniejszy.

Dopiero podczas zbliżania się do terytoriów sowieckich istniała możliwość przejścia wyprawy przez garnizony lotnicze wokół Mariupola, Odessy, Sewastopola i innych baz.

Choć ryzyko i tam było ogromne. Polacy odparli aż dwanaście wypraw w rejon frontowy, ponosząc straty, które jednak były niczym wobec masakry czerwonej awiacji. Ale o tym dowódca armii nie wiedział.

Moskwa, i ktokolwiek w niej rządził, stawiała tamę informacjom, zapewne bojąc się paniki, a co za tym szło utraty wiary w możliwości czerwonej armii. Od tego był już krok do buntu, zmiany frontów.

Jak w pamiętnym czerwcu, w czasie wielkiej klęski, której przyczyną nie była przewaga hitlerowców ani nawet zaskoczenie, choć to miało wpływ. Najgorsze było nastawienie mas ludzi i wojska, którzy widząc, jak w kilka dni łamie się opiewana potęga, uznali się za wyzwolonych i początkowo poparli agresorów, albo przynajmniej nie zamierzali bronić Stalina.

Armada srebrnych Tu-22 wchodziła na kurs samotnego lotu ku

wybrzeżom ZSRS. W ich komorach bombowych spoczywały przeciwokrętowe pociski o zasięgu stu kilometrów, które z braku innego oręża przeznaczono do atakowania miasta Lwowa. Nikt nie próbował takiej sztuki, ale nie było wyjścia.

Samolotów strategicznych, wbrew temu, co sęczyła całemu światu propaganda, wcale nie było wiele. Były zbyt cenne, by próbować klasycznego nalotu. I tak przecież strefa stu kilometrów od Lwowa należała do polskiego lotnictwa. A od kilku godzin również amerykańskiego, ale o tym też nikt w Czterdziestej Trzeciej Armii nie został poinformowany.

Jako ekwiwalent osłony myśliwskiej, bardzo zresztą niewspółmierny, wyprawie przydzielono dwa z sześciu samolotów wczesnego ostrzegania, które posiadało tak naprawdę zapóźnione lotnictwo sowieckie.

Ily-18 operowały z wciąż bezpiecznej bazy w Sewastopolu, próbując ostrzegać przed ewentualnym zagrożeniem, choć nikomu nie przychodziło do głowy, by Polacy albo ich sojusznicy mogli zapędzić się tak daleko, ponad Rumunię, a potem dalej ku morzu.

Ich lotnictwo było znaczne, ale nie wszechwładne, a ich dowódcy nie byli szaleni.

Zresztą całość była wielką tajemnicą.

Analizy były słuszne. Polacy nie byli wszechwładni, dowódcy nawet nie zakładali tak dalekich zagonów. Uderzenia na Kijów i Leningrad były jednostkowymi i bardzo kosztownymi wypadkami.

Ale Rzeczpospolita miała sojusznika. Wielkiego i bogatego, który utrzymywał swoje bazy nie tylko na jej terytorium.

Dwunaste Skrzydło Lotnicze, składające się z ośmiu eskadr myśliwskich i dwóch eskadr bombowców B-52, stacjonowało w Turcji jako osłona granicy między Azją i Europą.

Nie była to wielka siła, jednak wystarczająca do przechwytywania nalotów bombowych, zanim te zbliżą się do celu. Po to też powstała i po to była szkolona.

Samo tylko Dwunaste Skrzydło dysponowało czterema maszynami

wczesnego ostrzegania. Amerykanie widzieli i wiedzieli więcej.

Kiedy krążący na północy Il-18 wykrył niewyraźny sygnał dochodzący z południa, było jasne, że coś jest nie tak. Obydwie sowieckie maszyny rozpoznawcze pognały ku wykrytym celom, a operatorzy radarów z przerażeniem odkrywali, jak wielkie znaleźli zagrożenie. I to z bardzo niewłaściwego kierunku.

Alarmowa informacja poszła do formacji Tu-22 i dołączających właśnie do nich Tu-16 z Krymu, ale to niewiele mogło pomóc.

Wielkie, potężnie uzbrojone samoloty były tak naprawdę bezbronne. Przerażeni piloci zaczęli obniżać gwałtownie pułap, łamiąc szyk, aby utrudnić namierzanie pociskom Sparrow i mniejszym Sidewinder.

Ktoś wydał rozkaz odboju, co było złamaniem rozkazów dowódcy armii i Moskwy, ale innej drogi nie było. Tylko uciekać, jak najbliżej brzegów sojuszniczej Bułgarii, pod osłonę wywoływanych gorączkowo myśliwców.

Te po zakończonym locie były w większości tankowane i nie mogły pojawić się nad obszarem w kilka minut.

Los bombowców był przypieczętowany. Amerykanie wiedzieli, czaili się, przygotowali pułapkę.

Biała smuga przecięła niebo. Pędzący pocisk obrał na cel ostatniego w szyku Tu-16, kiedy ten wykonywał szeroki, niezgrabny manewr.

Ładunek wybuchł tuż obok silnika. Płomień rozlał się w długą jaskrawą wstęgę, ale pożar nie trwał długo. Maszyna zaczęła opadać łukiem ku błękitnym wodom morza. Katapulty wystrzeliły, unosząc załogę i wtedy wielka kula ognia rozerwała płatowiec i jego ładunek.

Ale tego już nikt nie śledził. Zaraz były kolejne rakiety. Smugi krzyżowały się na nieboskłonie, kreśląc drogi ku zniszczeniu.

Błyski wybuchów wykwitwały jeden po drugim, zmieniając się w czarne, wolno rozwiewające obłoki dymów.

Sowieccy piloci uchodzili nisko, ponad fale, uciekając spod wiązek radarów, ale nie każdy miał szczęście.

Osmalone szczątki leciały w dół, ciągnąc jaskrawe ogniki płonącego

aluminium. Kawałki blach opadały na wodę, by zaraz utonąć w odmętach.

W górze trwała pogoń, walka o życie i wielkie polowanie. W głowach pilotów rodziły się straszne pytania.

Czy dadzą radę wrócić do domów? I co poszło nie tak?!

11 Korpus Szybki, Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 8 kwietnia 1964

Kolejny dzień wojny dobiegał końca. Słońce wolno i dostojnie schodziło w stronę horyzontu, popędzane tysiącami spojrzeń sowieckich oficerów i żołnierzy, którym noc przynosiła nieco ulgi po godzinach strachu.

Samolotów było coraz więcej, podobnie jak chaosu w decyzjach i planach na ziemi. Za to zaopatrzenie niknęło i trzeba było je sobie wrywać z magazynów i innych jednostek. Nic nie działało jak należy i nawet pojawienie się trzech kluczy szturmowych Ilów-18 jakoś specjalnie nie poprawiło nastrojów. Zwłaszcza że kilka bombowców nie mogło zmienić sytuacji.

Znów huk spadających i rozrywających się bomb, dymy pożarów i dziwne spojrzenia poborowych, którzy w kilka dni stracili resztki zaufania do dowódców i całego systemu.

Pchano ich na zachód, co rusz każąc szukać ukrycia. Głodnych, umęczonych, świadomych braku wsparcia i pomnych plotek, że nawet nie udało się zlikwidować jakiegoś oddziału dywersantów.

To, co udzielało się żołnierskim dołom, nieobce było sztabom brygad, pułków i całego korpusu. Marazm, zastój i resztki obowiązku skrywane za osłoną politycznego wyszkolenia, ideologii, która parowała niczym woda z czajnika.

Podobnie było we wszystkich dywizjach, którymi próbował zarządzać generał Aleksiej Darijew. W tej chwili był nikim, zupełnym anonimem bez przydziału i żadnej mocy. Sam o sobie myślał bardziej jak o więźniu niż oficerze.

Trzymał się sztabu Borlina, który przestał się nim interesować i, co najważniejsze, bać się go i poważać. Tolerował Darijewa, trzymał w

jednostce, ale próżno było doszukiwać się w tym dobrej woli. Nie w tym systemie, nie w tych warunkach.

Pułkownik Borlin miotał się, próbował robić swoje, oszczędzać siły, a jednocześnie nie podpaść juncie z Moskwy. Darijew nie był mu potrzebny. Miał go u siebie jedynie ze względu na stopień i jako zabezpieczenie na przyszłość. Oczywiście nigdy tego nie powiedział, ale Aleksiej czuł, widział to w spojrzeniu pułkownika.

Może dawnego doradcę Kuzniecowa spisano na straty, może nie był już ważny wobec klęsk, jakie spadały na kraj, ale kto wie? Być może lata panowania szarej eminencji wzbudziły u wielu wyższych oficerów chęć zemsty albo i obawę, że dawne wróci.

Darijew siedział więc cicho i spokojnie. Jak zbity, zapomniany pies, któremu zabrano pana, przesiadywał w kącie sztabowej ciężarówki i myślał dużo o tym wszystkim.

– To dobre. – Borlin złapał podany przez łącznościowca świstek papieru i pogładził się po głowie. Stał tak, wczytując się w treść na kartce. – Patrzcie. – Obrócił się do starszego stopniem, łaskawie dzieląc się nowiną. – Biorą z was przykład – w zdaniu pomieszało się zdziwienie i nuta lekceważenia.

Aleksiej schwycił depezę i przeczytał prędko.

Nakazuje się wszystkim jednostkom okręgu granicznego oraz jednostkom przyległym przejście do kontruderzenia na kierunkach: główny – Brześć; pomocnicze – Lwów, Wilno. W uderzeniu wykorzystać wszelkie dostępne siły.

Silne wsparcie lotnicze zapewnione. Czas operacji: godzina 6.00, 9 kwietnia.

– Co sądzicie? – zafrapowany Borlin zapytał jak równy równego. Usiadł na stalowym taborecie i sięgnął po papierosa. Milczeli chwilę, wsłuchani w ostatnie grzmoty wieczornych nalotów.

Darijew podrapał się po podbródku, zastanawiając się, czy to pytanie na poważnie, czy jakaś forma testu, sprawdzianu. Miał być przydatny czy okazać się balastem? Musiał uważać. Schować butę i moc dawnych, nieważnych teraz funkcji.

– Ciekawe – zaczął ostrożnie. – Nadali...

– Nadali przy najprostszym kodzie – dopowiedział Borlin. – Co się dzieje... – przerwał mu huk niesiony echem.

Spojrzeni na ścianę wozu, zza której wojna dopominała się uwagi.

– Chcecie mojej opinii? – zapytał Darijew otwarcie.

Pułkownik prawie niedostrzegalnie skinął głową.

– To strach. Wiecie dobrze.

Słyszając to obrazoburcze stwierdzenie, wszyscy w wozie spojrzeli na niego przerażonymi oczami. Nikt nie ważył się mówić takich rzeczy na głos.

– Wielkie plany były, ale musiały pójść źle – niezrażony Darijew mówił ze znanstwem człowieka, który dobrze czuł się w tym całym bałaganie. – Lub w ogóle nie wypaliły. Wiecie, że nasze orły miały uderzać na Polskę... Jakoś cisza o tym? Żadnych informacji. Propagandowo choć by dali. Wniosek? Nie ma się czym chwalić. Za to mamy nad głowami – uniósł palec ku sufitowi – amerykańskie samoloty. Coraz lepiej, coraz lepiej.

Przygryzł wargę i wlepił wzrok w brudną podłogę.

Znów zapanowała prawie kompletna cisza. Słysząc było tylko szum krzątających się radiowców i strzały przeciwlotniczych działek gdzieś w okolicy.

– Więc co dalej? – Borlin podzielał to zdanie, ale czekał potwierdzenia, wsparcia w tej żałosnej sytuacji.

– Co? – prychnął z ironią Darijew. – Poświęcają nas – wypalił nie gorzej niż rwąca się bomba. – Czytacie i słuchacie doniesień z linii. Złapali nas z opuszczonymi spodniami. Cztery ich dywizje usiłują otoczyć Piątą Gwardyjską i kilka pomniejszych jednostek. Lotnictwo nie funkcjonuje, teren nie sprzyja dłuższej obronie. Trzeba uderzać, żeby powstrzymać, a jak się uda, wypchnąć faszystów. Pytanie, czy się uda... Czy wojsko da...

– Dość – huknął pułkownik, tłukąc pięścią w udo. Darijew zamilkł. Zapędzać się w gorliwości też nie było mądre. Choć naprawdę czuł lekką satysfakcję. To, co on proponował, Moskwa realizowała. Choć bardzo spóźniona.

– Może coś w tym jest. – Borlin próbował zapanować nad strachem. – Powstrzymamy nieprzyjaciela, nadejdą posiłki... – bardziej zaklinał rzeczywistość, niż wierzył.

– Powstrzymamy. Posiłki przyjdą. – Darijew walczył, by się nie uśmiechać. Tu już wszystko było skończone. Zmieniało się. Bo jeśli nawet uda się zatrzymać pochód Polaków, to co z tego? Wdarli się głęboko, zasiali niepewność i strach. Centrala odcinała zapewne informacje o wojnie, ale kiedy plotka rozleje się po kraju... Władza straci na znaczeniu.

Wracały obrazy z czterdziestego szóstego. Wsie, które palił, buntownicy, których rozstrzeliwał i wieszał. Potem te potoki ludzi, które próbowały uciekać z biedy i głodu.

Chciał, żeby brat był obok, żeby doradził. Tamten był starszy, może w czymś by pomógł.

– Rodzinę macie? – generał przechodził do akcji zaczepnej.

Trafił w czuły punkt. Borlin wyraźnie się zmieszał, wyciągnął głowę, niezgrabnymi ruchami maskując nagłe wzruszenie.

– Ja mam – wybawił go ze wstydlivej sytuacji generał. – Wysłałem daleko...

Przejęta wspomnieniem dzieci i żony twarz Borlina zmieniła się, pojawiła się na niej podejrzliwość i zaskoczenie. Chciał coś powiedzieć, zapytać, czy aby Moskwa nie miała słuszności, twierdząc, że ktoś naszykował całe to zamieszanie. Albo przynajmniej wiedział wcześniej. Darijew znów był szybszy.

– Spokojnie. – Uśmiechnął się kwaśno. – Na wczasy, w bardziej spokojne miejsce. Miałem być zajęty, realizować wielkie plany, i tak nie miałbym czasu...

– Rozumiem. – Borlin pokiwał głową, choć do końca nie uwierzył.

– Przewietrzymy się? – Darijew skinął w stronę drzwi, dając wyraźny znak, że zbyt wielu tu słuha. Borlin nie miał zamiaru opuszczać sztabu, ale generał go zaintrygował.

Chłodnawe powietrze cuchnęło spalenizną i prochem. Słońce zniknęło za

drzewami, a niebo od zachodu zachodziło rzadkimi, kłębiastymi chmurami.

– Deszcz idzie – zawyrokował ze znawstwem Darijew.

– Tak, prognozy są marne... Może ich przytrzyma przy ziemi. – Pułkownik wskazał na niebo, paplając o niczym i rozglądając się, czy nikt nie słucha.

Polanka zdawała się pusta. Kilka aut, transporterów pod siatkami maskującymi i żywego ducha, jakby ludzie poukrywali się w ziemiankach.

Borlin skinął, dając znak, że można, że bezpiecznie.

– Powiedźcie, ale szczerze. – Aleksiej skończył z okrągłym gadaniem. – Co o tym sądzicie? O tym całym kontrataku?

Borlin wahał się, ważąc to, co miał zaraz powiedzieć. Mierzył starszego stopniem wzrokiem, znów owładnięty podejrzeniem, że coś z tym oficerem jest nie tak.

– Nie wiem, naprawdę. – Schował twarz w dłoniach. Nie był na tyle odważny, żeby zdradzać, co myśli. Wielu tak miało.

– To ja powiem od siebie. Wplątali nas w wielkie gówno. Poświęcą nas, a potem będą paktować albo już to robią. – Twarz Darijewa poczerwieniała, oczy płonęły coraz bardziej z każdym słowem. – Skończyło się. Przegraliśmy nasze pięć minut i zrobią z nas mięso armatnie. Z nas, sowieckich oficerów, jak ci tu... – Dłoń powiodła po zamaskowanych pozycjach wokoło. – Ja na to się nie godzę. Nie, pułkowniku. Nie dam się załatwić i złożyć do jakiegoś masowego grobu. Myślę, dużo ostatnio myślę. Można się ratować, jeszcze mamy szansę...

– A potem? – wtrącił szorstko Borlin. – Potem co?

Darijew umilkł. Poglądził się po szyi, zmrużonymi oczami lustrując kompana. Teraz i on miał wątpliwości. Wahał się.

– Są sposoby. Mam jeszcze przyjaciół. Albo tych, co się nas boją. Mamy stopnie, ordery. Możemy być kimś – mówił ostrożnie, ogólnie, patrząc dzielnie prosto w oczy Borlina. – Macie szansę przeżyć. Potem kto wie... znaleźć rodzinę. Ułożyć wszystko. Tylko pomóżcie. – Złapał oficera za ramię i potrząsnął.

Borlin stał nieruchomo, z pozoru niewzruszony. Jeszcze wczoraj kazałby aresztować generała albo sam by go zastrzelił. Ale dziś? Lawina wątpliwości ruszyła. Wolno, po kamyczku, by rozpędzić się gradem retorycznych pytań. Dokąd to zmierza? Jakie ma szanse?

Dostał korpus. Nowoczesny, silny. Dbał, szkolił do walki, a teraz tracił to wszystko pod bombami albo z braku paliwa. Z trudem ewakuował rannych, dostawał zaopatrzenie.

– Nie pozwolą. Dopadną nas i nasze rodziny. – Usiadł na pniu, kręcąc zamasyście głową, odpędzając wątpliwości.

– Nie będziemy pytać. – Darijew złapał pułkownika za poły maskującego kombinezonu. – Trzeba walczyć o swoje, rozumiesz! – Przysunął bliżej głowę i dodał ciszej: – Musimy się ratować.

Borlin wyrwał się resztką sił jak oparzony. Chciał oponować, nawet uniósł dłoń, ale słowa utkwily w gardle. Przecież generał miał rację.

– Co z ludźmi? – wystękał chyba tylko dla zasady, bo było mu już wszystko jedno.

– Dorośli są. W tym kraju żyją, to sobie poradzą. W partyzantkę nie pójdą raczej... Nie przepadną, wiercie – syknął Aleksiej z czymś, co zabrzmiało jak obrzydzenie. Wieści z frontu mówiły wyraźnie. Bez silnej postawy ideologicznej, bez przykładu oficerów wojsko stawało się niepewne i zaczynało się wahać.

– Co wy mi proponujecie? Co to ma być? – sarknął Borlin, znowu chowając twarz w dłonie. Targała nim rozdzierająca wątpliwość, jak za każdym razem, kiedy w ułamku sekundy trzeba zmieniać życie.

Za drzewami zaniósł się od hałasu tłukących w niebo, zamaskowanych zenitówek. Nie było widać, do kogo strzelają. Znowu strach wdarł się w szeregi.

Od północy nadleciały samoloty. Niewidoczne, skryte za wierzchołkami drzew, słycać było tylko ten ryk i szum silników odrzutowych.

Palba przyspieszyła, w oddali pojaśniało. Coś uderzyło, eksplozja rozeszła się jękiem i ziemią zatrzęsło. Z drzew posypały się gałęzie i igliwie.

Nad polaną przemknęło coś, ciągnąc ogon płomieni – spadający samolot albo rakieta. Ani Darijew, ani Borlin nie mieli czasu się przyglądać. Polecieli nosami w ściółkę, kiedy ta rzecz upadła nieopodal, zmieniając się w wielką kulę czerwonego ognia.

Borlin klęczał, podparty na rękach. Dygotał, nagle pobladły. Celowali w jego sztab? Czy był to przypadek?

Wokół ludzie zaczęli krzyczeć, wzywać pomocy, strzelać na oślep w niebo. Samoloty poszły dalej, ale wciąż było je słychać.

– Co planujecie? – zapytał pułkownik drżącym głosem, zapatrzony w gorejący las. Szok najwyraźniej skłonił go do zmiany nastawienia.

– Zbierzesz pluton – Darijew instruował, jakby nic się nie działo, z tą swoją dawną pewnością ważniaka w głosie. – Tyłu, ilu znajdziesz... Potem – uśmiechnął się – po prostu wykonasz rozkaz Moskwy.

ROZDZIAŁ 10

1 Pułk Spadochronowy, ZSRS | 9 kwietnia 1964

Niemieły, drażniący łoskot wdzierał się do błotnistej ziemianki każdą szczeliną.

– Panie poruczniku – głos wystraszzonego kaprała dobiegł uszu Maciejki, kiedy właśnie miał zamiar wynurzyć się z ukrycia. Dzień wstawał szary, nieprawdopodobnie zimny. Budząca się wiosna tego dnia się nie stawiała, więc zima wcisnęła się na jej miejsce.

Ulewa przeszła przed świtem w śnieg, który teraz topniał, zmieniając okolicę w miękkie grzęzawisko. Słońce zakryły grube chmury i nie było szansy, żeby grunt prędko wysechł i żeby nadchodzące czołgi mogły działać.

Teraz jednak porucznika nie interesowała pogoda, ale to, co dostrzegł na niebie. Obrazek niczym ze starych zdjęć albo raczej obrazów sławiących wielkie zmagania.

Huk na niebie dochodził od dziesiątków niewielkich punkcików. Sowieckie lotnictwo.

Jednak gdzieś istniało i ruszało do boju.

– Kurwa ich mać – wycharczał porucznik, zadzierając wysoko zabandażowaną głowę.

Rana z poprzedniego dnia też była niczym wobec tego widoku.

– Mamy co na nich? – zapytał głośno, choć znał odpowiedź. Nie byli jednostką ciężką, nie mieli wyrzutni, działek. Jedyne kilkanaście ciężkich karabinów maszynowych, a i do nich należało oszczędzać amunicję.

– Może przejdą? – pytanie kaprała, który mało nie skręcił karku, wodząc wzrokiem za przemykającymi samolotami, było nad wyraz naiwne.

– Gdzie nasi? – dorzucił ktoś z innego dołka skrytego między kikutami drzew. Brzmiało jak wyrzut zupełnie nie na miejscu. Przecież Polacy latali

przez ostatnie dni, jak często tylko mogli.

– Pogoda... – burknął Maciejko. – Pogoda ich trzymała, poza tym zmęczeni, a ci widać w desperacji...

– Lecą! – wrzasnął ktoś i dziesiątki par oczu zaczęły szukać zagrożenia. To nie był objaw paniki i zszarganych ostrzałami nerwów.

Od armady oderwał się człon dziesięciu, może więcej srebrnych maszyn i wolno, dostojnie, jakby ostrzegawczo zaczął obniżać lot.

– Kryć się! – krzyknął Maciejko. Nie czekał długo na reakcję. Ludzie popędzili do swoich jam, okopów, już pewni, co się wydarzy.

Za wielkim polem lejów i połamanych pni, wdzierających się w płamę starego boru, zaterkotały karabiny maszynowe kilku odważnych.

Samoloty schodziły falami. Było widać dwusilnikowe Iły i mniejsze, szturmowe Suchoje. Nadlatywały na różnych wysokościach, spokojnie ustawiając się do ataku.

– Gdzie jesteście? – zawył ktoś z okopu, machając gorączkowo łopatką i wywalając grudy błota.

Pierwsze bombowce zeszły na pułap do ataku. Przyśpieszyły z rykiem dopalaczy, idąc lotem koszącym. Wszystko trwało ułamki sekund.

Przeleciały ponad stepem, poderwały się tuż przed linią lasu, zrzucając ładunek ze swoich brzuchów.

Ziemia się zagotowała, powietrze momentalnie nagrzało. Huk mieszał się ze świstem i szumem silników. Nadchodziły kolejne i kolejne. Rzucały bomby bez składu i sprecyzowanego planu, zdawało się, że byle szybciej. Potem uciekać, zanim nad zadymiony skrawek lasu przylecą polskie myśliwce albo wcześniej skończy się paliwo.

Dźwięk samolotów zniknął gdzieś wysoko. Leciały z daleka, miały ograniczony zasięg, musiały uciekać. Ale dla poturbowanych kompanii to nie był koniec. Od wschodu ogniem bluznęły haubice, choć ich ostrzał teraz wydał się zupełnie słaby.

Kolejny już pocisk przeleciał ponad uchylonym włazem TP-42. Ale sierżant Wnuk nie słyszał takich szczegółów. Od samego ranka wojna zbudziła się jednym wielkim łoskotem salw i wybuchów.

Ruszyli, jak było w planie. Resztki kompanii, połatanе wozy, byle szybciej ku okrążonym spadochroniarzom, ku dalekim, dawnym rubieżom Rzeczypospolitej. Ale tego dnia miało być inaczej.

Napotkali opór, silny kontratak. Nie kilka fal czołgów, jak ostatnio. Ci tam, ukryci w lasach, próbowali manewrować. Obchodzili flanki, osłaniani ogniem zaporowym, i prali, póki amunicji starczyło.

A sprzęt mieli dobry, dalekosiężne armaty. Wnuk próbował przyglądać się ustrzelonym wozom. Były dłuższe od T-55, lepiej uzbrojone, choć grubość pancerza ustępowała polskim wozom. Gorzej było z amerykańskimi M-60, te udawało się Sowiecom łatwo podpalić, jeśli warunki sprzyjały.

Pułk wyszedł forsownym marszem poprzez podmokłe po nocnych deszczach lasy, osłonięty dragonami na transporterach M-113, na flankę kontratakującej grupy.

Zwiad strzelców konnych po boju spotkaniowym zameldował, że jakiś batalion czołgów i drugie tyle piechoty grupuje się do uderzenia i wyjścia na tyły polskiego pułku, korzystając z pogody, która uziemiła samoloty.

A wszystko to przy wtórze niesłabnących salw, przenoszonych ostrzałów, całych baterii, które odżyły, nie bojąc się rychłego wykrycia.

Wnuk i wszyscy inni wiedzieli, że łatwo już było. I nawet wieść o dołączeniu się Amerykanów do tego cyrku dziś niewiele znaczyła.

– Skąd się wzięli? – szeptał do siebie czołgista z nie lada podziwem. Sowieci musieli ściągnąć nowe tanki nocą, w karkołomnym przemarszu, i do tego omijając strefy zajęte przez spadochroniarzy.

Godne podziwu, to prawda. Ale każdy wojskowy wiedział, że taka operacja dobra jest na raz, przy zaskoczeniu. Kluczem do ciągłości kontrnatarcia było utrzymanie zaopatrzenia. I to nie pozwalało Wnukowi i jego załodze jeszcze się załamać.

Sowieci wypalali morze benzyny, wystrzelili pociski z zajadłością godną wygranej wojny, a na tyłach mosty, skrzyżowania trzymali ciągle polscy spadochroniarze. Drogi i przeprawy były zniszczone lub zatarasowane wrakami.

Dwa szwadrony rozwinęły się błyskawicznie zaraz po wyjściu za lizjerę lasu.

Mieli ich jak na patelni. Ustawione w cieniu drzew T-62 grzały motory. Nie, nie dali się zupełnie zaskoczyć. Słyszeli napastników, zwiad działał. Dwa błyski. Sowieckie pociski poszybowały ku polskim wozom i zaraz dwa czołgi spłynęły płomieniami.

Reszta nie czekała. Dobrze dobierali cele. Celna salwa w pół sekundy wywołała zamieszanie w sowieckiej formacji. Płomienie buchały z silników, wrywały się z włazów wież z sykiem, wieszcząc rychłą eksplozję. Znow bój na bliski dystans.

Pociski RPG przecinały powietrze. Czasem ugodziły, rwąc gaśnicę, albo z trzaskiem tylko odbijały się od pancerzy.

Trwało pandemonium. Polska piechota, osłaniana ogniem karabinów na transporterach, ruszyła na skraj lasu, szykując pozycje do ostrzału sowieckich czołgów i strzelców. Polskie Carle Gustavy i „eski” brały na cel te pierwsze, a lekkie moździerze – drugich.

Wnuk rzucał w eter krótkie komendy, modląc się, żeby kierowca nie skrewił i nie przystawał na zbyt długo. Pluton odcinał bolszewikom drogę natarcia od zachodu, czyniąc z siebie cienkie ramię kleszczy, które otaczało grupę.

Sowieckie czołgi były jak szerszenie w podpalonym gnieździe. Miotły się, szukając wyjścia, próbowały kąsać, i to ze śmiertelnym skutkiem. W tym tyglu miały się grupki piechurów, zdane na siebie, zagubione i nic nieznaczące. Ci bliżej, znow poborowi o szarych wychudzonych twarzach, w panice, bojąc się kul z każdej ze stron albo końca pod własnymi gaśnicami, rzucali broń i pędzili przez błota między polskie M-60 i TP-42.

Czołgiem Wnuka zatrzęsło. W uszy wlał się bolesny szczebiot metalicznego wybuchu.

– Dostaliśmy! – zawołał przerażony ładowniczy. Złapał właz, gotów uciekać, ale zatrzymała go dłoń celowniczego. Choć i on trwał na miejscu resztką woli.

Patrzyli na dowódcę, który pobladły wyszukiwał zagrożenia. Ale wóz się toczył. Przed nim tkwiły dwa tonące w dymie tanki wroga.

Coś tknęło Wnuka. Uniósł głowę i wtedy nad polem krwawej bitwy dostrzegł trzy srebrne kontury, smukłe, długie. Pędziły, przechylając się z boku na bok, błyskając salwami wystrzeliwanych spod skrzydeł rakiet.

Białe smugi spadały w las, w przesieki, wyrzucając fontanny błota i iskier. Drzewa padały jak zapalki. Gdzieś błysnął ogień trafionego czołgu albo transportera. Tamci tłukli, zdawało się, na oślep.

Potem uchodzili wysoko, robiąc na szarym niebie wielkie łuki, i wracali na wschód. Myśleli, że są bezpieczni, że wykonali zadanie. Byli w błędzie.

Przez dym pożarów było można dostrzec cieniutkie nitki, odrywające się od ziemi gdzieś za stepem, za borami. Jedna, druga. Potem dziesięć. Polskie lotnictwo zaspąło, przegrywało z nieobliczalną aurą, ale można było się bronić.

Niewielkie, ale zabójcze i bardzo nowoczesne wyrzutnie pocisków Hawk reagowały bezbłędnie. Ich radary namierzały cele, kiedy sowieckie maszyny zniżały pułap. Nie było pudła ani omyłek. Przecież na chmurnym niebie nie znajdował się nikt prócz czerwonego lotnictwa.

Bitwa na ziemi łagodniała, jakby obie strony robiły niepisaną przerwę na podziwianie podniebnych zmagania. Tam wysoko pojawiały się kropki eksplozji, by zaraz zmienić się w czarne obłoki dymów. Potem sznur ognia sunął ku stepom, znacząc miejsca strąceń bolszewickich maszyn.

Dudniący zgiełk rwącej się między T-62 salwy wyrwał Wnuka z obserwacji. Nie wiedział, co się wyrabia. Cały pułk trwał w walce, pomoc Dwudziestego Czwartego dopiero nadciągała.

– Do wszystkich! – krzyczał dowódca w słuchawkach. – Od zachodu nacierają Amerykanie! Uważać! – zabrzmiało wesoło i z ulgą.

Przez otwarte pole, pokryte pamiątkami wczorajszych zmagania, pełną

prędkością nadciągały niewyraźne, odległe kształty czołgów M-60.

Młóciły sowieckie pozycje z zajądłością typową dla nowicjuszy, strzał za strzałem. Formacja kroczyła osłonięta prochowym oparem, który nie zdążył opaść. Czołgi na moment tylko przystawały, kryjąc się za wrakami dla osłony. Huk, dym i wybuch po sowieckiej stronie.

Bolszewicy próbowali się odgryzać, nawet szarżować. Jeden z M-60 zapłonął jak żagiew. U Amerykanów zapał zmałał, ale nie wystraszyli się. Pierwsza strata, musieli przywyknąć. Po chwili znowu nabrali rozpędu.

Wnukowi serce przyśpieszyło, bo zaczynał wierzyć, że jest szansa, by przeżył ten dzień. Nawet kolejna fala nadlatujących szturmowców nie zmartwiła go tak bardzo.

Suchoje brały na cel nowych w tej zabawie. Ale teraz z alianckich pozycji znacznie wcześniej wyrwały się białe nitki dymów, ciągniętych przez rakiety.

Nad Zatoką Fińską | 8 kwietnia 1964

Było ich mrowie, do wyboru, do koloru. Nadciągali w trzech grupach, na różnych, lecz niskich pułapach, próbując oszukać radary i samoloty wczesnego ostrzegania. Ktokolwiek zaplanował tę akcję, liczył na zaskoczenie spotęgowane fatalną aurą, porą i zmęczeniem załóg, które w dwa dni nadrabiały liczbą lotów różnice w ilości sprzętu.

Bolszewicy wiedzieli, że samoloty wczesnego ostrzegania dyżurują całą dobę, teraz wsparte dodatkowo radarami okrętów na Bałtyku i w Estonii lub Łotwie, ale coś zmusiło ich, by zmazać klęskę wyprawy bombowej nad Morzem Czarnym oraz ataku z rejonu Leningradu.

Siedemnaście strąconych maszyn i drugie tyle myśliwców osłony, choć kilka pocisków udało się wstrzelić w rejon Tallinna i Wilna. Tego dnia zmienili taktykę.

Pułkownik Wacław Baranowski zwalczył zmęczenie ogarniające całe ciało, kiedy dzwonek alarmu wyrwał go z kamiennego snu.

Walczył bez ustanku, tracąc połowę maszyn i jedną czwartą ludzi. Cudem technicy przywrócili do służby kilka trafionych z ziemi samolotów, tak że

siła jednostki została jako tako podtrzymana. Nie było przebaczenia. Znowu trzeba było ruszać w powietrze, na polowanie.

Radar wskazywał, że to, co przypało Trzystu Trzeciej Eskadrze, liczyło dobre czterdzieści maszyn. Wielka siła obchodziła północny skrawek wybrzeża Bałtyku, szykując się ewidentnie do uderzenia z flanki i odciągnięcia myśliwców od polowania na maszyny szturmowe, lecące ku lewemu skrzydłu polskiej ofensywy.

Gdyby w taki sposób witali „gości” pierwszego dnia, wszystko by się skomplikowało i całą tę wojnę szlag by trafił. Ale dziś Polacy wiedzieli więcej. Dali się podejść, ale reagowali sprawnie, a przede wszystkim mieli wsparcie.

Polskie myśliwce weszły na pięć tysięcy metrów, idąc kursem na północ od wybrzeża Prus Książęcych, a potem skręcając na północny wschód, biorąc na siebie rolę przynęty. Inne pułki zmagaly się z nalotami na południe od Wilna, po Brześć i Lwów. Zgrupowanie pędziło w wąskiej przestrzeni między dwiema masami chmur, idąc na wskazania radarów.

Amerykańskie Phantomy miały czekać jeszcze wyżej, nieco z tyłu, i krążyć bardziej na południe, nad krajami bałtyckimi, aż formacje sowieckie się załamią.

Była w tym idea. Paradoksalnie mimo ułamka siły, jaką w porównaniu z US Air Force dysponowała Polska, jej piloci uchodzili teraz na weteranów, którzy zaznali taktyki bolszewików. Ta wojna to było coś znacznie więcej niż krótkie starcia gdzieś w Azji nad strefami buforowymi.

Eskadry polskich P-15, Phantomów i licznych Mirage'ów ustawiały się stopniami, rozciągnięte kilometrami, jak drapieźniki wyczekujące swoich ofiar.

Dowodzący zgrupowaniem Baranowski zakazał do ostatniej chwili odbezpieczać pocisków, choć był świadom, że sowieckie latające stacje namierzyły taką armadę.

Kosztowne naloty na okolice Leningradu wyłączyły wiele radarów, ale w tym rejonie możliwości bolszewików były znacznie lepsze.

Baranowski jeszcze liczył, że widok tyłu punktów na ekranach wymusi

na Sowieciach jakiś unik, zmianę kursu w stronę Tallinna i Wilna, by można było atakować od boku, przynajmniej część zgrupowania. Nic z tego. Lecieli niezmiennie, uparcie, jak rozkaz widać nakazywał.

– Zaczynamy zabawę – poszedł w eter krótki komunikat.

P-15 pułkownika zwiększył ciąg i jego formacja pognała jako pierwsza na spotkanie MiG-ów.

– Można, panowie – rozkazał nad wyraz uprzejmie Baranowski i włączył systemy uzbrojenia. Buczący sygnał w kabinie zaczął przyśpieszać, dając sygnały, że radar pocisków Sparrow jest bliski wychwycenia celu.

Dźwięk zmienił się w nieprzyjemny elektroniczny jęk, kiedy jakiś MiG został oznaczony wiązką radaru.

Pułkownik wcisnął guzik na drążku. Spod skrzydeł oderwał się smukły przedmiot. Trzask, i rakietą pognała w szarość nieba, ciągnąc sznur dymu. Znów buczenie. Kolejny cel. Jeszcze jeden strzał, i kolejny. I następny.

Z polskiej eskadry wystrzeliła istna pajęczyna dymów, zakończonych pociskami.

Długa chwila niepokoju zakończyła się suchym komunikatem z krążącego daleko centrum ostrzegania:

– Mamy ich. Rozluźniają szyki.

Radar P-15 potwierdzał informacje. Ubyło kilka kropek na ekranie, inne rozniosło po obrazie.

Polskie myśliwce spadły teraz jak sępy, szybko zmniejszając odległość. Wyszły z chmur. Potem przyszła kolej na pociski o mniejszym zasięgu. Czasem zawodzące, jak pokazały ostatnie doby, ale równie zabójcze. Seria Sidewinderów pomknęła ku srebrnym kadłubom MiG-ów 19.

Było je już widać, jasne, dalekie punkciki na szarym tle, szukające ratunku w zawitych manewrach, zwrotach i przyśpieszeniu.

Smugi pocisków krzyżowały się z czarnymi wiązkami spalin i smug kondensacyjnych, rysując dziwny bohomas. Co rusz zakwitwały jasne kulki płomieni z trafionych maszyn.

Bolszewicy też próbowali odpowiadać ogniem. Ich pociski Atoll przecinały osie Polaków, zanim złamali szyki. Sowiecka taktyka w związku z przewagą techniczną zachodnich maszyn ograniczała się w poprzednich dniach do partyzanckich uderzeń: szybki dolot, seria rakiet lub działek i odwrót.

Teraz co poniektórzy podejmowali bój. Musieli być z dalszych, ulokowanych na wschodzie garnizonów. Nowi, nieświadomi tego, co tu się wyprawia, chcący wypełnić rozkazy. Na niebie naraz zrobiło się ciasno. Samoloty dobierały się w trójki, czwórki i pary.

Radio zawrzało od krzyków podniecenia, przekleństw i ostrzeżeń przed nieprzyjacielem. Rozległo się dudnienie serii działek, których pociski z blaskiem cięły nieboskłon.

Baranowski, nim się spostrzegł, robił już ciasne zakręty, próbując zgubić dwóch natrętów, którzy siedli mu na ogonie, a jednocześnie nie chciał odpuścić srebrnej dziewiętnastki. Jego maszyna była lepsza, miała większy zapas paliwa, toteż zajadłość czerwonych pilotów graniczyła z szaleńczą brawurą.

Musiał przerwać pogoń, kiedy długa seria wielkich jak piłki do tenisa pocisków poszła ponad kokpitem. Polak uciekł ostro w dół, wchodząc w spiralę, i zaraz odbił w górę, w lewo, tak ciasno, że na sekundę go zamroczyło. Kiedy przyszedł do siebie, dostrzegł wyrastającą kulę ognia. Ktoś trafił jednego z Mirage'ów. Baranowski z trudem uskoczył odłamkom i oberwanemu skrzydłu z biało-czerwoną szachownicą.

Prześladowców nie było. Odpuścili. Znow malejące zapasy paliwa dawały im się we znaki. Połowa srebrnych myśliwców mknęła na wschód, uznając, że to wystarczy. Ale nie wszyscy.

P-15 oberwał Atollem w sam środek konstrukcji i zwałił się w dół w ciemne chmury.

Baranowski dostrzegł MiG-a 21. Pędził w jego stronę, prując serię za serią, jak szalony kamikaze, z zapalczywością godną fanatyka albo młodego gniewnego, który chce się wykazać. Baranowski opadł w dół, jednocześnie podbijając nos ku górze. Zgrał celownik i kiedy był pewny, pociągnął za spust. Trzy sekundy, potem kolejne. Pociski przeszły ponad Sowieciem. MiG

zrobił unik, ale stary pułkownik potrafił to przewidzieć. Walczył w końcu z młokosem.

Na aluminiowym poszyciu zaświeciły jasne punkty. MiG pomknął ku Polakowi i minął go tak blisko, że kiedy Baranowski uciekał bokiem, przechylając maszynę, poczuł podmuch i przez mgnienie oka widział biały hełm pilota. Polskim samolotem zatrzęsło.

Obracając maszynę, pułkownik zadarł głowę, aż w karku zabołało. Przez chwilę myślał, że się nie udało. Mylił się.

MiG leciał ku ziemi łagodnym lobem, wypuszczając coraz gęstszy dym.

Baranowski spojrział na wskaźnik poziomu paliwa i odetchnął z ulgą. Mógł jeszcze poprobować, dopisać do zysków kilku czerwonych. Choć tych ubywało szybko.

Polacy zwarli na powrót szyki. Wolno, ostrożnie, lustrując niebo.

Pociski raketowe dawno się skończyły, ale samoloty miały jeszcze amunicję do działek. Chcieli dokończyć, dać nauczkę, żeby takie zabawy nigdy się nie powtarzały.

Jednak ktoś większy i o wiele więcej mogący postanowił kończyć zabijanie.

Z szarych wysokich chmur chlusnęło deszczem. Gęste, wielkie krople uderzyły w samoloty. Nie dało się już nic zrobić. Obie drużyny odchodziły z boiska.

Ale to biało-czerwone szachownice znów były górą.

„Park”, Warszawa, Polska | 9 kwietnia 1964

Syreny alarmowe zabrzmiały już kilka razy w tym miejscu, ale dopiero tego ranka ich wycie było dłuższe i jakby bardziej przejmujące. Jakby znak, że gdzieś, coś się przedarło nad stolicę.

Żołnierze Kedywu popędzili do wybudowanych pod ich kwaterami schronów. Tylko Bartka Karpackiego głupia ciekawość wiodła ku drzwiom na plac przed koszarowcem.

Wyskoczył na powietrze. Było zimne, ciągle pachniało wilgocią. Pustka, pełna pustka. Żadnych ludzi, tylko kilka terenowych aut zaparkowanych pod budynkiem sztabu.

Na niebie zaszumiało. Podniósł wzrok, ale niczego nie potrafił dostrzec. Zaraz usłyszał trzask, głośny, doniosły gdzieś z poziomu ziemi, od północy. Dźwięk przeistoczył się w tąpnięcie i wybuch. Wiatr przyniósł nieśpiesznie smród dymu.

Bartka zmroziło, w boku, w miejscu opatrunku ukłuło boleśniej. Zaszumiały silniki samolotów odrzutowych. Były wysoko, gdzieś w chmurach. Kierunku, ilości ani nawet przynależności nie sposób było określić.

Bartkowi serce podeszło do gardła. Zrobiło mu się gorąco, choć dzień był zimny, a zaraz potem zaczął dygotać, owładnięty strachem. Wszystko wracało. Te historie z Korei i te świeże stamtąd, zza kordonu.

Teraz to wszystko zaczynało się tu, na jego ziemi. Wojna ciągnęła się za nim albo raczej przywarła i nie chciała odpuścić. Wlokła się uparcie, budząc koszmary i straszne wizje.

Karpacki, utykając lekko, ruszył ku sztabowi. Nie wiedział czemu. Powinien być w schronie i czekać na koniec alarmu. Ale wewnętrzny głos, obawa o tych, co w domu, szeptała uparcie, że musi coś zrobić. Być przydatnym.

Bał się. Ciało bolało, ciągle nie wypoczął jak należy, ale po coś go, do cholery, wyszkolono. Wpojony obowiązek skutecznie walczył z lękiem, podświadomie szepcząc, że każda minuta tutaj to zmarnowana szansa. Resztki zdrowego rozsądku mówiły, że on jeden wiele nie może, nie obroni swoich. Choć nie było to prawdą. Kilka osób, nawet jedna była ważna. Udowodnili to przecież. Odcięli głowę sowieckiemu państwu. Teraz tam ludzie ginęli, a on był tu, w „Parku”, daleko na tyłach.

Porucznik wparował do pustej recepcji akurat, kiedy oficerowie wychodzili z podziemnego schronu.

Było ich kilku. W polowych mundurach, uśmiechnięci, rzucali żarty, chyba zawiedzeni nawet, że nic w nich nie wałnęło.

Nie znał ich. Byli tu majorzy, pułkownik i jeden człowiek w polowym uniformie, którego Bartek kiedyś już miał okazję poznać. Wtedy nosił się po cywilnemu i kazał nazywać „Tantal”. „Sztab Generalny, Oddział II?” – pytania krążyły po głowie.

Kapitan Goldman szedł na samym końcu. Bardziej opanowany, blady i stonowany. Też jeszcze nie wrócił do pełnej sprawności.

– Panie generale. – Karpacki zameldował się najstarszemu stopniem, choć ten nie posiadał dystynkcji. – Proszę o pozwolenie zwrócenia się do kapitana...

Paweł Przeszło-Stępniakowski stanął jak wryty, otaksował pokrytego sińcami młokosa i popatrzył na Lipa. Chłopak odgadł jego stopień. Obrzucił go uważnym spojrzeniem i wyłowił tę twarz z mroków zapomnienia. Kiedyś w Wiedniu...

– To... – Palec oficera wycelował w Bartka.

– Członek mojej grupy – Goldman oznajmił z niejaką dumą, choć nie bardzo rozumiejąc, co tu robi Karpacki.

– Proszę, mówcie. – Generał skłonił się z szacunkiem, obracając ku schodom, choć wcale nie chciało mu się słuchać. Zbyt wiele miał na głowie.

– Chciałbym prosić o przydział – wypalił porucznik. – Oni nas tu... – Kiwnął głową w stronę sufitu na znak, że chodzi mu o samoloty. – Może się nadam. – Wyprostował się nie bez trudu, chcąc udowodnić, że jego kontuzje to już przeszłość.

Stępniakowski uśmiechnął się krótko, zaraz poważniejąc w obliczu takiego poświęcenia.

Goldman chciał coś powiedzieć, zbyć porucznika, ale generał go ubiegł.

– Chcesz się przydać? – Spojrzał chłopakowi w oczy. – Dobrze – powiedział poważnie. – Ale wiedz, że z panem kapitanem wykonaliście wielką, wielką rzecz. Teraz musicie nabrać siły...

– Kiedy ja... – wtrącił piskliwie Karpacki, ale gest generała zmusił go do milczenia.

Stępniakowski zrobił krok. Patrzył uważnie na porucznika, który z

wysiłkiem znosił ten ogląd, czując, jak okolice żeber promieniują coraz większym bólem. Wytrzymał jednak i ujrzał na obliczu Tantara coś na kształt podziwu i niewypowiedzianej pochwały.

– Skoro tak. – Paweł spoważniał i zobojętniał. Tylko westchnął, jakby nigdy nic maskując dobrotliwość, której wobec podwładnych nie mogło być za wiele. – Panie kapitanie – odwrócił się do Goldmana – skoro pan porucznik chce przydziału, cóż, nie można ograniczać zdolnych ludzi. Potrzeba nam pistoletów – powiedział z lekkim sarkazmem. – Dostaniecie przydział – znów mówił do Bartka. – Dostaniecie ważny przydział. Ale jeszcze nie teraz. Musicie wypocząć, podleczyć się. Wtedy, poruczniku, wtedy...

Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka | 10 kwietnia 1964

Niebo szarzało. Nadchodził kolejny dzień. Ale zamiast piania koguta to strzał z armaty przerwał chwilę spokoju w tym opustoszałym miasteczku.

Cała miejscina skryła się za ścianą dymów, trzaskających płomieni.

Dwa polskie czołgi, ze szwadronu 10 Pułku Strzelców Konnych, wdarły się w sam środek tego gruzowiska, zastawionego porozbijanymi autami.

Miały osłaniać grupę piechoty, nieco ponad pluton przeczesujący szlak, trasę dla wielkiej siły, która szła gdzieś z tyłu, posuwając się ostrożnie w obawie kontrataków.

Piętrowy dom na końcu wąskiej ulicy pękł po trafieniu. Załoga M-41 poprawiła i z okna na piętrze zrobiła się wielka ciemna dziura. Nie trafiali na silny opór. Artyleria, moździerze robiły swoje, ale zawsze gdzieś wysoko mógł kryć się jakiś zapaleniak z tym cholernym RPG.

Ostrzał dosłownie przemielił okolicę. Wyrwał kawałki bruku, asfaltu, robiąc wielkie leje pośród ruin i na ulicach. Teraz wypełniały się wodą, stając się bajorami. Pośród tych stawów stały pomiażdżone, strzaskane czołgi, spalone ciężarówki otoczone beczkami, resztkami oporządzenia i tym, co najgorsze, ciałami.

Nie sposób było dojść, czy to miejscowi, czy może żołdaci, którzy zrzucili już mundury. Polskie nawały nie wybierały celów. Nie było to

roztropne, ale rozkaz mówił wyraźnie: na wschód, jak najszybciej, zanim wróg znów rzuci ściągane pośpiesznie siły i uniemożliwi odebranie tego, co się Polsce należy, a co istotniejsze, wykrwawi oddziały i zablokuje możliwość współdziałania w natarciu na Leningrad.

Wielkie plany. Przy nich ta zdruzgotana miłośniczka była niczym, kupką nieistotnych gruzów, więc los spadł na nią okrutny.

Czołgi wtoczyły się na plac. Piechota sprawnie rozpiechła się wokoło, sprawdzając ruiny i ocalałe domy, szukając wroga albo ludności.

Dowódca pierwszego wozu, jak miał w rozkazie, wyszedł z wieży, wydobyl raketnicę i wypalił w niebo zieloną raketę.

Słaby blask, rozpraszany dalekimi prześwitami słonecznego dnia, zawisł ponad domami. Flara opadała wolno, nieśpiesznie. Minuta, dwie, pięć napiętego wyczekiwania.

– Cholera. Idą! – znerwicowany głos jakiegoś ubrudzonego, umęczonego dragona doszedł od czoła. Czołgi zerwały się jak narowiste, wystraszone rumaki, szukając dogodniejszej pozycji do ostrzału. Kruszyły ściany i tak już zdewastowanych budynków, wtaczały się w podwórza, podczas gdy ich dowódcy wypatrywali celów.

Radio zawrzało chaotycznymi meldunkami, słanymi na gorąco, żeby nie zamarudzić i być gotowym. Sowieckie natarcia uczyły wielu, jak się zachować. Silne, mocne, krwawe.

Dziwne to wszystko było. Pierwsze dni zapowiadały łatwy marsz. Potem stagnacja, mordercze zmagania, nawet naloty i znów odpuścili. To mogło znaczyć jedno: nie ma reguły, trzeba być czujnym.

Piechota rozwinęła się do walki, taszcząc amunicję, ile kto mógł. Przed nimi znalazła się kolejna ludzka fala. Szkoda, musieli ją pokonać, a przecież byli już tak blisko. Kilometr, dwa? Ale Sowieci nie mieli zamiaru odpuścić.

Było jak za dawnych czasach, za Chmielnickich i Turczyna, kiedy na te stopy szło się ratować oblężone twierdze. Historia dawna, dumna, ale teraz niewielu miało siłę rozpamiętywać.

Polacy wciskali się w kopane szybko dołki, za umocnienia ze stert

gruzów i belek. Czekali na nadchodzącą walkę, już nawet nie wając szans na przeżycie.

Dowódca wozu, skryty za skrawkiem ściany maskującej czołg, przycisnął do oczu lornetkę.

W porannej mgle, daleko, rosła grupa ludzi. Nie kryli się. Szli szeroką ławą, wprost od lasu. Proste, za proste. Salwa, dwie powinny pomóc.

Chciał podać namiary, kiedy od tamtej strony wyfrunęła czerwona flara, jedna, potem druga. Czołgista zamarł. Nie tak miało być. Skąd znali sygnał? Podsluchiwali, wpadka?

Znów przyłożył mocniej lornetkę do oczu, szukając wyjaśnienia.

– Wstrzymać ogień – rzucił ostrożnie w eter i komenda poleciała powtórzona po linii.

Przed ciżbę ludzi wyrwał się jakiś pojazd, z daleka niewyraźny, ale kształt nad nim tłumaczył wiele. Na łaziku powiewała wielka biało-czerwona flaga.

– Boże... – sapnął z niedowierzaniem czołgista. – Nasi! Nasi! – wykrzyknął na całe gardło z ulgą.

Rzeczywistość docierała do niego z całą piorunującą mocą.

– Plennych prowadzą – powiedział najpierw cicho, sam do siebie, oszołomiony. – Jeńcy! – wykrzyknął naraz, kiedy świadomość tego, co widzi, ogarnęła zmęczony umysł.

Jeszcze nie zdołali się przebić, utworzyć silnego korytarza odpornego na zapędy czołgów. Ale to już nie było ważne. Sowietci odpuszczali. Nie mieli widać zamiaru bić się do upadłego.

Nie było jeszcze widać końca, ale jak powiedział Churchill, było widać koniec początku.

Południowa Polska | 10 kwietnia 1964

Ostre krawędzie górskich szczytów, ciągle pobielone ostatnim śniegiem, stanowiły przepiękny widok. Strome, surowe ściany, schodząc w dół,

zmieniały się w łagodniejsze pagórki i zalesione stoki, i daleko dookoła nie było widać nic prócz pięknej przyrody. Żadnych domów, chat i przysiółków.

Tylko ta jedna, skromna z pozoru drewniana budowla o wysokiej podmurówce, tkwiła tu jak wyspa cywilizacji.

Generał Paweł Przeszło-Stępniakowski wysiadł przed frontonem ze zdezelowanej półciężarówki, która doskonale maskowała wszelkich gości, przewożąc ich szutrowo-błotnistą drogą wprost z ukrytego w lasach lądowiska w dolinie.

Generał wolałby stać tak i podziwiać, wolny od trosk i zmęczenia, ale nie było na to czasu. Zabrał się za rzecz wielką, prawdziwe dzieło swojego życia, i nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek.

Tu przynajmniej wyglądał jak miejscowy góral. Proste porcięta, gruby sweter i zwykły kapelusz. Był zawodowcem, dbał o kamuflaż, choć był na swoim terenie.

W przedsionku powitała go załoga. Też ucharakteryzowani na miejscowych, tyle tylko, że z długą automatyczną bronią. Chaty pilnowało trzech ludzi. Dwóch było na „spacerze”, obchodząc stanowiska, dwóch odpoczywało.

Generał przywitał się prędko ze wszystkimi, ale nie mówił wiele. W tym obiekcie zawsze ograniczał się do kurtuazji.

Stępniakowski dał znak i otworzono mu drzwi, z pozoru zwykłe, drewniane, prowadzące do piwnicy, a w rzeczywistości grube, ciężkie, zamykane na specjalistyczny skobel.

Wewnątrz było inaczej, nowocześniej. Jasne światło, bielone betonowe ściany i głębokie schody. Paweł odebrał klucz i zszedł. Wiedział, gdzie iść. Takich obiektów miał pod swoją pieczęcią kilkanaście. Niektóre sam kazał budować albo przerabiać.

Dotarł do kolejnych drzwi, wejścia do jednego z kilku ulokowanych pod poziomem ziemi pomieszczeń. Uprzejmie zapukał i dopiero włożył klucz do zamka.

Wszedł.

Pokój był właściwie prawie kompletnie urządzone mieszkanie ze wszelkimi wygodami. Stały w nim kanapa, łóżko, szafki i stoliki. Telewizor, aneks kuchenny i łazieneczka, a nawet obrazy na ścianach, dokładnie odwzorowano z bloku na jednym z nowoczesnych warszawskich osiedli.

– Jak leci? – zagadnął Stępniakowski, widząc, jak gospodarz podrywa się z leżanki, na której coś czytał. Nosił białą koszulę z podwiniętymi rękawami, luźne spodnie. Pobladał od długiego przesiadywania pod ziemią, ale poza tym wyglądał dobrze. Wojskowi lekarze dbali, by nic mu nie było.

– Dziękuję... Jak widzisz. – Mężczyzna machnął ramionami w ironicznym geście. Nie miał wiele do powiedzenia. Był więźniem, opływającym w luksusy, ale jednak więźniem.

Paweł uśmiechnął się i siadł w fotelu przy zawalonym gazetami i niedopałkami stoliku kawowym, jakby był u siebie. Właściwie tak było.

– Postępy robicie, co? – Więzień nie chciał pogawędek o niczym, wolał wbić szpilę i udawać niepokornego. Wrócił na swoje miejsce i wcisnął dłonie w kieszenie, patrząc kwaśno na gościa.

– Robimy – powiedział dumnie Paweł. – Wiele się zmienia. Dzięki tobie, mój drogi...

– Pierdolenie. – Więzień nie zdzierzył. Broda zaczęła mu się trząść, szukał spokoju, lustrując raz sufit, raz dywan, ale nie pomogło. Skrył twarz w dłoniach. Nie mógł poskromić emocji prawie przy każdym takim spotkaniu.

– No już, już, spokojnie, stary.

Stępniakowski nie umiał udawać troski, więc wyszło zupełnie nienaturalnie. Po prostu nie lubił takich sytuacji.

– Mam czym cię pocieszyć – oznajmił teatralnie, ale tamten nie reagował.
– Twoja rodzina.

Więzień aż drgnął i wybałuszył oczy.

– Gdzie? Kiedy? – Spoważniał, w głosie słychać było napięcie oczekiwania.

– Już niedługo. – Paweł rozpromienił się, widząc, że wieści przynoszą ulgę. – Udało się ich zabrać z Moskwy. Choć nie bez przygód, ale są już w

Finlandii od kilku dni. Czekają na transport.

Więzień przetarł twarz, jakby ścierał boleść i niepewność, nabrał powietrza i zaczął się głośno śmiać.

– Też się cieszę – wtrącił generał i zaraz wstał. Przeszedł się po mieszkanku, zbierając myśli i siły.

Stanął za kanapą i pochylił się nad uchem mężczyzny, przerywając wybuch radości.

– A nasza sprawa jak? Myślałeś?

Z więźnia uszło powietrze. Chwila szczęścia była króciutka i ulotna. Nie siedział tu dla przyjemności, a dlatego, że ktoś go tu przywłókł i trzymał w jakimś celu.

– Myślałem – burknął. – Zaczęliście awanturę, a ja miałbym... To nie temu miało służyć, nie temu... – Zerwał się, łapiąc ze stołu paczkę papierosów.

Zapalił szybko, drżącymi rękoma, i teraz sam zaczął krążyć po pokoju. Wykrzykiwał stek pretensji, ale Paweł nie reagował. Znał ten stan i ten typ charakteru. Wyrzuty umiał na pamięć.

Człowiek był sam, i to w obliczu końca świata i systemu, który znał. Więzień czuł się oszukany, to oczywiste. Był niepewny i osamotniony, musiał z siebie wszystko zrzucić. Jak za każdym razem, kiedy generał podsuwał propozycję. Jednak teraz, po usłyszeniu dobrej nowiny, opór był lżejszy. Fasadowy, dla zasady i spokoju sumienia.

Stępniakowski odczekał kilka chwil w ciszy i dopiero zaczął od nowa, spokojnie.

– Poruszyłeś kamyk, który rozpoczął lawinę. Tak należało.

Te okrągłe banały nie działały na więźnia. Paweł zasiadł na kanapie i założył nogę na nogę.

– Świat się zmienia. Już nic nie jest takie, jak było. I to zmieniło się w zaledwie kilka dni. Zapomnij, myśl przyszłością.

Więzień tylko prychnął.

– A tak, tak – generał się nie zrażał. – Wasza Piąta Gwardyjska została prawie otoczona. Jeden jedyny nowoczesny korpus jest pod bombami i rozczłonkowany. Nasze czołowe jednostki zmechanizowane już łączą się ze spadochroniarzami. Jutro, pojutrze ruszymy na Równe, na Pińsk. Słyszysz, co mówię? Jak to brzmi? – Napuszył się, szczerze zadowolony z wieści. – Tymczasem fala dezercji po tamtej stronie zadziwiła nawet nas. Prawda, czerwoni kontratakują, ale z opłakanym efektem. Stracili pierwszą, tak zasadniczą dobę. Miałeś rację, kolos na glinianych nogach. Próbowaliście nalotów... Pewnie wiesz z pudełka. – Wskazał na telewizor. – Wiesz też, co mówili? Wiem, uznajesz, że to propaganda, nauczyli cię jej. Ale, mój drogi, to prawda. Trzydzieści osiem ciężkich bombowców. Ponad półtorej setki mniejszych maszyn. Nie można tego zliczyć. I nie wiadomo jak wiele maszyn na ziemi. Do tego składy paliw, centra dowodzenia i łączności. Obdarliśmy granice z możliwości obronnych. Jednym szybkim, acz kosztownym uderzeniem.

– To dopiero początek, uwikłacie się w walki... Z Moskwy nadejdzie uderzenie i wtedy... – Więzień stawiał się dla zasady, choć doskonale rozumiał, że wszystko, co słyszał, było bardzo realne.

– Wtedy – przerwał mu generał – będę się głowił. Do tej pory wszystkie kontrataki zostały powstrzymane. Ci tam niczego się nie uczą. Nie można słać fala za falą ludzi na rzeź. To nie te czasy. Ustrzelicie kilka naszych wozów, zabijecie ludzi, ale wasi mają dość. Nie chcą wojować o pustych żołądkach. Po co? W obronie czego? – Machnął ramionami w lekceważącym geście. – Władzy, która przez pierwsze dni nie wiedziała, co zrobić, spanikowana szukała winnych i wycinała przeciwników? Mówiłem ci. Mamy to z dobrego źródła. Bardzo dobrego.

Mrugnął, nabrał powietrza i kontynuował:

– Ludzie nie są głupi. Moskwa milczy, a tymczasem nasze ulotki lecą z nieba. Z samolotów, którym nikt nie przeszkadza. Widać, co się dzieje. Jeśli ktoś ruszy do walki, to długo w niej nie wytrwa. Mamy obrany cel, mamy pomysły i dobry czas. Nie poszliśmy na wschód latem, ale wczesną wiosną. Dar niebios. – Uniósł głowę ku górze. – Byle dalej od zimy! Sowiecki byt się sypie, mój stary. Idziemy na północ, na Len... tfu!, na Sankt Petersburg. Zaraz mi powiesz – prychnął cynicznie – że nie damy rady podbić, okupować

i takie tam... Racja. Ale my nie planujemy takich szaleństw. Sami to zrobicie, twoi własni ludzie. Jak to mówicie, narody sowieckie. Będzie nowa mapa. Imperium pękło i za tydzień, dwa, miesiąc, zacznie się sypać. Popłynie wiele krwi, jeśli ktoś się nie opamięta, ale wszystko się zmieni.

– To po co ja? – Więzień zaciągnął się papierosem, mrużąc podejrzliwie oczy. Szukał jakiejś oznaki fałszu, podstępny na twarzy gościa, ale Stępniakowski potrafił grać. – Tak wspaniale idzie? Macie ten swój korpus białych... Tam chętnych od metra.

Paweł zachichotał szczerze rozbawiony.

– Neofici. Cały korpus neofitów albo zupełnie nowych Rosjan. Tak, istnieje coś takiego. Europejski sznyt, demokratyczne podejście. Wychowaliśmy, wyhodowaliśmy mięczaków. Nie nadają się na Sowiety, choć nie wyprowadzamy ich z błędu. Bolesne, ale prawdziwe. Mamy zastępy wielkich ideowców o morale krzyżowców, niosących ogień sprawiedliwości. A tu trzeba skurwieli.

Więzień popatrzył spode łba, gotów w pierwszej chwili protestować, ale zaraz ochłonął. Paweł miał rację.

– Opowiedz jeszcze raz, jak chcesz to sprzedać?

Stępniakowski machnął ręką.

– Sprawa techniczna. – Wstał. – Rząd tymczasowy, namiestników dawno naszykowaliśmy, choć nikt nie planował, że wejdą na swój teren w taki sposób. Prędzej spodziewaliśmy się buntu, jakiejś erupcji niezadowolenia. Wasza armia jednak była na tyle silna, by takie ruchy dusić. I tylko dzięki tobie udało się to zmienić. Tak, dzięki tobie – kadził bezwstydnie. – Zmieniłeś wszystko i musisz nam pomóc. Dokończyć. Podtrzymuję propozycję objęcia funkcji nadzorcy, nazwijmy to: szefa służby informacyjnej. Oględna nazwa, ogólna, i dobrze. Po co straszyć ludność niemiłymi słowami. Bezpieczeństwo mamy zapewnić, nie kłuć w uszy podłymi konotacjami. Ci tamci wszyscy oficjele to mędrkowie po zachodnich szkołach, wyuczeni tu na opowieściach zbiegów po rewolucji albo wykuci od nowa, bez starodawnych garbów. Ale przez to robią się słabi, ostrożni i podatni na prowokacje. Mamy swoich specjalistów do spraw służb, ale potrzeba starego wygi, specjalisty, który weźmie ich za kark, nakieruje i

pozwole oczyścić ten jeden wielki syf. Potrzebuję kogoś, kto zna to wszystko od podszewki. To wielka sprawa, miliony oficerów i agentów w każdej dziedzinie. Zresztą co ja ci będę...

Podszedł do ściany, zamilkł, żeby więzień mógł wszystko przemyśleć.

– Chcesz mieć swoje uszy i oczy w tym całym noworosyjskim czymś. Tak? Ty im nie ufasz, boisz się, że Rosja, Ukraina, cokolwiek tu powstanie, będzie wam podskakiwać. – Więzień pojaśniał na twarzy.

– Skoro tak to nazywasz. – Stępniakowski nie chciał udawać, odgrywać czegoś. Wszelki fałsz mógł tylko zrazić. – Tak, chcę mieć, chcemy mieć nadzór nad tym, co się będzie działo na wschodzie, kiedy czerwone zaczną się kruszyć. Nowe porządki, nowe władze będą słabe i podatne na dywersję. Nie wiem, czy KPZR będzie w stanie poradzić sobie z odbiciem utraconych terenów. Raczej nie, ale w jej miejsce przyjdą inni, bardziej sprytni, zorientowani i zaczną drażnić, ciągnąć do siebie, a tego nie zamierzam tolerować. Wschód ma przestać straszyć świat. Chcemy tam normalności, w miarę szybko, bez tej azjatyckiej zależności i traktowania ludzi jak poddanych, których pcha się odbierać wszystko co wokoło. Ciągły podbój, rabunek, bez umiejętności radzenia sobie z tym, co masz. O to idzie, o tę zmianę. Wychowanie nowych narodów. I znów cię proszę, abys pomógł. – Cisza. Kompletna.

Więzień zdusił papierosa w popielniczce. Przyglądał siwiejące włosy i wpatrzony w dywan usiadł na kanapie.

– Mocne. Wysoko grasz – mówił cicho, chyba naprawdę pod wrażeniem tyrady polskiego generała. – Załóżmy – zdobył się na odwagę i prowokację – że się zgadzam. Teoretycznie. Jak mnie w to masz zamiar wkręcić? Sowiecki oficer w tyglu białych, w wyzwolonym kraju?

Paweł uśmiechnął się, tym razem bardzo szeroko, z błyskiem wyższości w oczach, jakby wyczekiwał tego pytania.

– Wiele się od was uczy my – zabrzmiało bardziej podejrzanie niż enigmatycznie. – „Trust” – uściślił zaraz generał, widząc zakłopotanie na twarzy więźnia. – Operacja „Trust”. Wy wmówiliście całemu światu, że biali mają swoje siatki w Moskwie i szykują się do przewrotu. Odwrócimy to. – Znów błysk w oku. – Ty będziesz naszym Trustem. Naszym kretem, który

latami czekał na okazję. Zresztą to prawda. Nie bój się, nie opowiem wszystkiego i od razu. Liczy się aura, niedomówienie. To działa znacznie bardziej.

Paweł podszedł do człowieka w koszuli i poklepał go po ramieniu.

– Przemysł to jeszcze. Nie musisz się śpieszyć. Od nas dostałeś już, co chciałeś. Leży spokojnie na koncie i rośnie. A teraz wiedz, że proponuję ci nowe życie, nowy rozdział po właściwej stronie i kolejne wpłaty po wszystkim. Emerytura. Bardzo solidna emerytura i kto wie, może... – Urwał w najciekawszym momencie. – No – klasnął – ale na razie trzeba jeszcze powalczyć. Trzymaj się. – Jakby nigdy nic ruszył ku drzwiom. Wiedział, że zrobił, co było można. Zasiał ziarno niepokoju i teraz kiełkowało. Widział to w oczach więźnia. Jurij Darijew był prawie przekonany.

Południowa Ukraina | 11 kwietnia 1964

– Startuj – komenda oficera była jednoznaczna. Stał wściekły, wbijając lufę pistoletu w tył głowy przerażonego pilota kapitana awiacji.

– Nie pozwolą – ten jeszcze próbował się bronić, ale tylko dla zasady. Gdyby reszta załogi kiedyś zeznawała, miałby alibi. Nie poddał maszyny.

– Startuj, kurwa – warknął Borlin, strzykając śliną, i docisnął broń.

Pilot jeszcze rzucił drugiemu porozumiewawcze spojrzenie i skapitulował. Uruchomił procedurę. Zapuścił silniki. I kiedy tylko łopaty An-12 zaczęły się obracać, radio ożyło od połajanek, krzyków i pytań.

– Mówiłem. – Lotnik ściągnął słuchawki i gwałtownym gestem podał porywaczowi. Pułkownik tylko przystawił ucho i zaraz cisnął zestawem na pulpit.

– Damy radę – powiedział przez zaciśnięte zęby, zagapiony w daleką wieżę kontroli.

– Są! Są, cholera! – z ładowni doszedł krzyk generała. Borlin wyrwał jak na rozkaz.

Przez otwarte wrota widać było, jak po rozgrzanej od słońca płycie pędzą GAZ-y pełne wojska. „Porwany” pluton, albo raczej ci, którzy ciągle przy

nich trwali, gapili się na wyższych oficerów, tracąc chyba resztki i tak wątpliwej lojalności.

– Czego się gapisz! – wrzasnął Borlin i złapał za poły kombinezonu technika, który obsługiwał rampę. – Zamykaj! – Potrząsnął jak lalką.

Choraży wykonał polecenie pod przymusem, acz tak wolno i niechętnie, że tamci zdołali skrócić dystans.

Gdy tylko dostrzegli, że wrota się zamykają, z aut błysnęły ognie strzałów. Kilka pocisków uderzyło w kadłub samolotu.

– Walcie, walcie po nich, bo nie odlecimy!!! – w głosie Darijewa pojawiła się panika. Sam złapał za swój karabinek, rozłożył kolbę i podskoczył na skraj ładowni. Huk wystrzałów zabrzmiał ogłuszająco, ale zachęcił resztę. Paru żołdatów poszło w ślady generała i zaraz z brzucha Antonowa poszła gwałtowna palba.

Smugowe pociski wybiły chmurę kurzu i odłamków betonu. Pogoń rozproszyła się w gwałtownych manewrach, ktoś wypadł z auta. Inne wozy popędziły za resztę zaparkowanych samolotów, szukając kryjówek. Rozkaz rozkazem, ale nikt nie miał zamiaru dać się zabić w strzelaninie o byle co.

Ci w samolocie przerwali, kiedy tylko rampa zaczęła się podnosić. Antonow zaczął kołować, i to szybko. Załoga musiała się wystraszyć nie na żarty.

– Siadać – sapanął Darijew, zabezpieczając broń. Posłuchali. Rozsiedli się na parcianych ławeczkach, zapinając pasy.

– Co... co teraz? – wycharczał Borlin, nachylając głowę. Wolał nie dyskutować na głos o problemach i wątpliwościach przy ludziach, którzy ciągle wierzyli, że to ma jakiś sens. Jeśliby tak nie było, wyrzuciliby ich prosto do morza.

Zresztą samemu pułkownikowi taka myśl coraz częściej świtała gdzieś z tyłu głowy. Daleko zaszli, ale jeszcze była szansa na odwrót. Tak przynajmniej uważał.

– Spokojnie. – Alosza wziął głęboki wdech.

Maszyna nabrała pełnej prędkości, dźwignęła się z ziemi i zaczęła

wznosić nieomal pionowo.

– Widzisz... Udało się. – Nieśmiały uśmiech pojawił się na zarośniętej twarzy.

– Udało? – wycedził Borlin. – Co dalej? Życ jak będziesz? Jak długo... Oni nas wreszcie...

– Nikt nas nie będzie szukał – głos Aloszy był zadziwiająco pewny. – Przynajmniej przez jakiś czas, wierz mi. Mają setkę innych problemów. A życie... Ułoży się. Myślałem dużo. Mam pewien koncept, nie przejmuj się. – Oczy błysnęły cwaniacko. – Zaczynamy od nowa. Czyste konto, towarzyszu pułkowniku. A skoro tak... Wielkie możliwości przed nami.

Pułkownik siedział otępiały i bał się.

Sztab 11 Korpusu Szybkiego | 12 kwietnia 1964

Ostatnie samoloty odlatywały w ciemną noc, odprowadzane rzadkimi seriami zenitówek i karabinów maszynowych oraz znacznie częstszymi hukami wykwitających ponad drzewa jaskrawych eksplozji.

Uderzenie przyszło nagle, było celne i gwałtowne, ale ludzie sztabowej kolumny przywykli. Ubywało ich systematycznie. Sołdatów nie trzymało poczucie obowiązku, miłość do sowieckiej ojczyzny, ale strach. Strach przed konsekwencjami dezercji albo poddania się. Był chaos, w głębi kraju niewiele wiedzieli, i to mogło maskować liczne ucieczki. Tysiące tak robiło, kiedy bez przerwy bomby leciały na głowę, a potężna z pozoru armia rozsypywała się. Zresztą przykład szedł z góry.

Byli jeszcze oficerowie, na ogół wyrwani z zapadłych wsi, wdzięczni za awanse i stanowiska, ale i ich szeregi topniały. Ci, którzy zostali, tracili nadzieję. Jeszcze siłą woli czekali pomocy, wielkiego uderzenia, które zmiecie wrogów i pozwoli odzyskać inicjatywę zmaltretowanemu, zagubionemu wojsku.

Ale nic nie nadchodziło. Jeden masywny nalot nawet kilku setek samolotów niewiele zmienił. To był pokaz i to wszystko. Straty były monstrualne. Całą okolicę przyozdobiły srebrne wraki strąconych samolotów, trafionych przez pociski z ziemi i powietrza. Potem tamci wrócili, jeszcze

silniejsi i bardziej zajadli, jak tego wieczora.

Łuna pożarów rozeszła się po niebie. Co rusz lasem wstrząsały wtórne eksplozje zbiorników z paliwem, skrzyń z amunicją. Drzewa tliły się jak wielkie, gorące żagwie, po których rozpełzał się ogień, chłonąc wielkie partie lasów.

Wojsko jakoś tak zwyczajnie, bez większego przejęcia ruszyło gasić płomienie, ratować rannych i chować zabitych. Normalna rzecz. Przywykali po kilku dobach, nawet już nie licząc na odpór, pomoc.

Znów nocą miało ubyc ludzi po kompaniach, ale i po sztabach. Woleli iść w las, głodować, wykorzystać sposobność, niż czekać na kolejny nalot albo dać się pchać do bezrozumnych natarć. Jeśli ktoś z nich sądził, że zgiełku i zamieszania starczyło na jedną noc, to był w ogromnym błędzie.

Na pierwszą serię wystrzeloną gdzieś daleko nikt nie zwrócił uwagi. Hałasy i wybuchy zlewały się w jedno. Można było przypuszczać, że to rozrywająca się gdzieś amunicja. Po kilku sekundach jednak poszły kolejne strzały, krótsze, dłuższe. Ktoś zaczął strzelać na poważnie. Ludzie najpierw zamarli, wsłuchani w narastający rwetes. Zaraz pojawili się pierwsi spanikowani, czasem i ranni. Krzyczeli, uciekali, mając dość. Tego wszystkiego było zbyt wiele, jak na jedną noc.

Jasna seria poszła po ziemi, rwąc kawałki ziemi i trawy. Ludzie zebrani wokół płonących aut jak na rozkaz wystartowali, zbijając się w kłębiącą masę. Jedni zgodnie z odruchem szukali ukrycia, by się bronić, ostrzeliwać. Inni po prostu ratowali skórę.

Strzelanina przybierała na sile. Na tle płonących ZIŁ-ów i KrAZ-ów krzyżowały się zielone i czerwone linie pocisków smugowych. Napastnicy szybko przycisnęli do ziemi garstkę Sowietów. Ogień zelżał, trzeba było oszczędzać amunicję. Za to w sukurs przyszły lekkie moździerze, ostrzeliwując okolicę.

Stuknięcia wybuchów rozchodziły się po lesie, szarpiąc nerwy poukrywanych ludzi, którzy nie wiedzieli, gdzie padnie następny pocisk i ilu jest tamtych.

Tamtych była garstka, rozproszonych, ukrytych w mroku i dobrze

uzbrojonych. Przebijali się kilometrami z ulokowanej na skraju bagien bazy wypadowej. Sami rozpoznali teren zeszłej nocy, wezwali nalot, który miał osłonić ich i pozostałych.

Sześć zespołów amerykańskiej Piątej Grupy Sił Specjalnych miało zagrać uverture. Swoją część, pierwszą większą akcję na jeszcze sowieckiej ziemi. Właściwe zadanie należało do tych, którzy walczyli tu już prawie tydzień, wytrwale, krwawo i z powodzeniem.

Polaków było szesnastu. Trzy zespoły. Mieszana grupa, Kedywu i pułku komandosów, osłaniana przez Amerykanów na podejściu i odwrocie.

Szybko, cicho rozpiezchli się po gorejącym lesie.

Ktoś stanął na drodze zdziwiony. Próbował walczyć albo unosić ręce ku górze, zginął od cichej, krótkiej serii wytłumionego pistoletu.

Nie było przystanków. Cienie pędziły do celu, jak wyznaczono, jak zdradziło tajemnicze źródło wywiadu.

Kilka samochodów sztabowych, radiostacje, wozy terenowe stały obozem głębiej w lesie, prawie nietknięte.

Razem z dudnieniem strzelaniny doszła też i panika. Załoga sztabu uwijała się jak w ukropie, choć wydawało się, że bardziej po prostu wieją, niż szykują uporządkowany odwrót.

Nikt nie bawił się w ściąganie siatek maskujących, zwijanie namiotów. Ludzie całą gromadą rzucili się do samochodów, tylko składając anteny.

Zdjęcie nieuważnego wartownika było igraszką. Nawet nie jęknął.

Dwie grupy zasadziły się na skraju polany. Nikt ich nie widział, nie niepokoił. Wtopili się w mrok.

Na dany znak zaraz i tu wyrosła druzgocąca palba. Pociski wyciszonych automatów poszły po ludziach, przyciskając ich do ziemi. Padali bez życia albo pełzli, szukając ukrycia.

Sześciu wskoczyło w ten tygiel, kiedy tylko ostrzał się urwał. Rozbiegli się między pojazdami. Szarpali za klamki, wpadali do środka. Kilka strzałów do tych, którzy jeszcze nie mieli dość i się stawiali. Przynajmniej próbowali.

Polak złapał jakiegoś człowieka, chyba oficera, który napatoczył się w wielkiej budzie ciężarówce sztabowej. Pociągnął za włosy, podźwignął, aż Sowiec syknął. Nosił stopień starszego lejtnanta.

Tłumik broni wcisnął się w spocony policzek. Wielkie, wybałuszone z przerażenia oczy wpatrywały się w poczernioną twarz oprawcy.

– Generał Darijew! – warknął cień. – Gdzie Darijew?

Lejtnant zamarł, usiłując przełknąć ślinę. Spojrzenie złagodniało, kiedy chyba dotarło do niego pytanie i to, że tu nie idzie o niego. Nawet w nerwowym odruchu prawie się uśmiechnął.

– Spóźniliście się, panowie – wystękał.

Polak szarpnął mocniej, sądząc, że to jakieś żarty.

– Nie ma go tu... – Spazm bólu przeszył Sowietę, kiedy zimna lufa spadła na potylicę. – Naprawdę! Wyjechali... wczoraj. Mówili, że Moskwa wezwała... Uciekli – lejtnant zdobył się na szczerłość. – On i dowódca korpusu! Naprawdę!

Polak trzymał ofiarę, wpatrując się weń, usiłując sprawdzić, czy to blaga, czy prawda.

Za ścianą strzelanina znów przybrała na sile. Jankesom kończyły się naboje, pomysły albo jedno i drugie, i Sowietci odzyskiwali teren.

Polak puścił oficera, zrobił krok w tył i uniósł broń. Cel był jasny. Pochwycić niejakiego Darijewa i zlikwidować sztab.

Psków, Rosja | 1 maja 1964

W wielkiej polityce, w wielkich czynach ważne i potrzebne są wielkie daty. Symboliczne punkty, które znaczą w kalendarzu te właśnie czyny. Biją blaskiem chwały dla kolejnych pokoleń, wbijają w dumę, a także zmuszają do refleksji i szacunku.

Momenty przełomowe są doniosłe i ważne same z siebie, albo też należy im nieco pomóc. Zwłaszcza kiedy idzie o wielkie przemiany, przebudowę całych narodów, państw lub, co najtrudniejsze, starej, wpojonej brutalną

przemocą świadomości.

Nie miało to być proste ani przyjemne, ale przy szczerym wysiłku mogło się udać. Trzeba było zrobić ten pierwszy krok. Zacząć zmieniać wariacki, z pozoru idealistyczny ustrój, a w rzeczywistości krwawą satrapię pełną hipokryzji i lęku.

Dzień wstał prawdziwie wiosenny, kończąc długi okres ulew, które nękały tę część Europy i spowalniały marsz zwycięskich kolumn. Istny sygnał od niebios, że idzie lepsze, nowe.

Moment wkroczenia na rosyjskie ziemie miał być kresem zaplanowanych, uzgodnionych daleko na zachodzie bojów, w które najpotężniejsze państwo świata zostało poniekąd wmanewrowane. Zgodnie z ustaleniami podjęło walkę, relatywnie szybką, krótką i co najważniejsze, mało kosztowną, zwłaszcza że prym wiedli europejscy sojusznicy i wschodnie oddziały alianckie.

Ale Ameryka była daleko, a tu sprawy z każdym dniem nabierały tak niesamowitego przyśpieszenia, że wszelkie umowy dezaktualizowały się samoistnie. Potężne służby specjalne wielkiego mocarstwa mogły tylko informować administrację, ta – protestować i nakłaniać, ale już było po wszystkim. Zaszło to, co podejrzewał JFK i jego doradcy. Co jednakowoż, jak sądził, da się zahamować i okiełznać.

Tu był Wschód, dziki Wschód i nic nie było proste. Można było patrzeć, jak wszystko się wali, i trzymać dystans albo dołączyć i mieć wpływ.

Wielki sojusznik wybrał to drugie rozwiązanie. Innego wyjścia nie miał.

Daleki łoskot nadawał dramatyczną, nieco podniosłą oprawę całej sytuacji. I nawet jeśli były to tylko przeloty samolotów odpędzające kryjących się nieprzyjaciół i pojedyncze salwy artylerii, to i tak robiło wrażenie.

Przełomowe, wiekopomne wydarzenie miało się rozegrać za murami twierdzy, symbolu dawnego księstwa nowogrodzkiego, które przez lata cieszyło się wolnościami i przywilejami niemal demokratycznymi, opierając się wszechwładzy ord i carów, póki nie spacyfikował go Iwan Groźny.

Tu w Pskowie odgrywał się teatr, nawiązujący do dawnych czasów, kiedy

rosyjskie księstwa, wyzwolone spod mocy azjatyckich ciemiężycieli, w długim procesie przeszły pod surowy zarząd carów. I tak zostało do tego dnia. Ta data miała wieścić nowy porządek. Początek końca starych czasów. Powrót do przedwiekowej tradycji „republiki nowogrodzkiej”, choć nie dosłownie i nie w tamtych granicach. Bo przecież szło o symbolikę. Impuls.

Generał Paweł Przeszło-Stępniakowski stał daleko, skryty za płachtą namiotu wzniesionej tu bazy wojskowej. Czuł dumę i niepokój jak wielu ojców, kiedy na świat przychodzi dziecko. Jego zamysł dopiero się realizował. Potrzebował cierpliwości, czasu, ale był wielki i dalekosiężny.

Pozycja i stanowisko generała nie pozwalały mu objawić się światu. To mogło zniweczyć wszystko. Teraz zaczynała się rola tamtych.

Pod murami twierdzy roilo się od dziennikarzy z przeróżnych redakcji i stacji telewizyjnych. Te ostatnie miały mieć pierwszeństwo. Nic nie działało na ludzi tak jak obraz, zwłaszcza odpowiednio oprawiony i skomentowany.

Stacje CBS, NBC, brytyjska BBC, stacje francuskie, włoskie i oczywiście polskie, dziesiątki dziennikarzy prasowych i radiowych, korespondenci wojenni zaznaczający swą odrębność od całej reszty polowym ubiorem i wypracowanym, zblazowanym stylem bycia, godnym niedających się zaskoczyć weteranów.

Dalej stały równe zastępy zaparkowanych pojazdów: transporterów półgąsienicowych, czołgów, dżipów białorusyjskich dywizji i Pierwszej Brygady, która w ciężkich bojach wykuwała swoją legendę prometejskiej jednostki idącej wyzwalać własne ziemie. Jej żołnierze byli zmęczeni, ale nieopisanie dumni i wzruszeni. Szczerze, prawdziwie wierzyli, że zmieniają świat.

Na przedzie stał porucznik Borys Zarwiegin. Rosły, choć teraz wychudły oficer kompanii zwiadowczej, któremu powierzono zaszczyt prezentacji oddziału i poprowadzenia gości na pierwszy przegląd wojska na tej ziemi. Była też i grupa cywilów, sprawdzonych, wyselekcjonowanych, spośród szczerze łaknących przemian mieszkańców miasta i okolic.

Goście specjalni przybyli samolotem do Wilna, by później w silnie bronionym konwoju przejechać na linię przyfrontową. Tam gdzie dwa dni wcześniej, po oczyszczeniu pasa kresowego aż do linii granicy ryskiej,

doszły wojska sojusznicze.

Miesięczna prawie kampania walk i manewrów, przerywana załamaniem pogody i ciągle upartymi – choć coraz słabszymi – kontrnatarciami, skończyła się.

Runda pierwsza, mimo że bolesna, została wygrana. Prezydent Dobrowolski, rząd, Sztab Generalny, a przede wszystkim społeczeństwo nie posiadali się z radości i zachwytu. Sukces na miarę zdobycia Smoleńska albo wyprawy wiedeńskiej. Tak.

Ale tylko wąska grupa autorów tego przełomu z Przeszło-Stępniańskim na czele wiedziała, że to nie koniec. Że sukces trzeba zagwarantować i utrzymać na lata, żeby nie pojawił się zaraz kolejny gensek, który zaplanuje odbicie tego, co sowiecki reżim utracił.

Mapa tego regionu musiała się zmienić. Niepokoje w Kijowie na spóźnione wieści z frontów przerodziły się w bunt, nieco tylko inspirowany działaniem Oddziału II, który robił co mógł, by społeczeństwo ukraińskie dowiadywało się, że nadchodzą wielkie zmiany. Podobnie na mniej zorientowanej w swoim dziedzictwie Białorusi, w Rosji i wielu innych republikach.

Antoni Walczuk, Paweł Stępniański, a nawet prezydent byli bardzo zadowoleni z tego szatkowania ogromnych terytoriów. Waszyngton wprost przeciwnie, ale machina ruszyła i Biały Dom mógł polegać tylko na sojuszniku, który przez lata od poprzedniego wielkiego starcia stawiał tamę sowieckiej potędze.

Tej, która obecnie upadała pod ciosami, co by nie mówić, napastników, ich bomb i pocisków, ale również coraz głębszych wewnętrznych podziałów, które uwidoczniły się, kiedy zabrakło parasola centralnego nadzoru i terroru.

Jak przypuszczał Oddział II, a co potwierdziły doniesienia o niepokojach w oddziałach sowieckich słanych na front, wśród jeńców, którzy tłumnie pchali się w alianckie ręce, podziały nie miały jedynie podłoża etnicznego i narodowego.

Sowiecka natura wykształciła, pomimo wielkich i utopijnych idei, najprawdziwszą kasty panującą. Jako że czerpano z nizin upodlonych

społeczności, władzę obejmowali ludzie próżni i chciwi, którym drogę na same szczyty blokowali ci wyżej. Kiedy ich nadzór osłabł, w wielu okręgach czy republikach zaczęła się regularna wojna o władzę, wpływy, tworzenie własnych armii i zapominanie o zewnętrznym zagrożeniu.

Nowi wodzowie. Dawniej aparatczycy oddani ideom Lenina, teraz obrastali w piórka wielkich demokratów, od dawna popierających idee walk narodowowyzwoleńczych.

Moskwa, w której junta okrzepła po szoku napaści, zamiast wojować z zagrożeniem zewnętrznym, musiała uwikłać się w boje z buntownikami. Na dodatek pojawiło się zagrożenie ze strony wkraczających w syberyjskie granice Chin.

Nowe role przybierane przez lokalnych władców były może dobre dla Amerykanów, nierzadko naiwnych jak dzieci. Paweł Przeszło-Stępniakowski nie dawał się nabierać. Sam podział Kraju Rad, tak istotny z geopolitycznego punktu widzenia, był bez znaczenia, jeśli władzę pozostawi się znieawidzonym kacykom. Takim, których kiedyś mógł osiągnąć bunt dołów, a to groziło powrotem do rzeczy równie upiornej, odnowy szowinizmów, rzeczy dość popularnej wśród biednych, umęczonych narodów na gwałt szukających nowej tożsamości.

Polacy byli gotowi. Mieli swoich ludzi, przygotowanych, pełnych wielkich idei, którzy mieli iść na wschód i przemeblowywać ten bałagan. Z własną siłą zbrojną, zrębami administracji, na nowych warunkach.

Ale miejsce pośród starych komunistów, choćby i nawróconych, prawie że świętych, którzy przypomnieli sobie, gdzie kiedyś stały cerkwie, teraz zarośnięte hałdy gruzów, trzeba było sobie wywalczyć.

Już w Ukrainie, w republikach dalej na wschód pojawiały się wieści, że idzie faszyzm, że nie potrzeba nikogo innego. Że generałowie i marszałkowie potrafią rządzić się sami, już bez Moskwy i białych gwardii. Tak naprawdę robiąc z siebie lokalnych książąt, z dworami i poddanymi. Tym ostatnim było wszystko jedno, bo nawykli do takich losów.

I to do walki z tym zagrożeniem, z nową postczerwoną oligarchią, potrzebni byli ludzie tacy jak Jurij Darijew. Mieli trzymać w ryzach odradzające się rządy i bezwzględnie zwalczać opozycję dawnych

czynowników. Sprawnie, brutalnie i sprawiedliwie, żeby doły widziały, że naprawdę się zmienia. I najważniejsze: żeby konflikty spalające wschód, które były nieomal pewne i na rękę Europie, nie parzyły zbytnio Polski i sąsiadów.

Konflikt był na rękę Warszawie, choć nikt nie mówił tego na głos. Jednak tarcia musiały być pod kontrolą, nie przekraczać ram. Tak jak ta wojna. Szybka, krwawa, ale bolszewicy nie użyli ostatecznej broni, doskonale pojmując, że oznaczałoby to koniec ich świata.

Podjazdy lokalnych watażków zużywały zasoby nagromadzone latami przez Kreml i nie pozwalały wykorzystać ich do większych, ogólnoświatowych awantur. Ich arsenały, zwłaszcza te atomowe, należało przejąć i okiełznać, dzieląc wielki kraj na mniejsze byty, które nie potrafiłyby już nikomu zagrozić. Wielka praca dopiero się zaczynała.

Tłum reporterów otoczył wysiadających z autobusów oficjeli nowego porządku. Trzymani pod kloszem, z dala od zapędów GRU i KGB, na tę właśnie chwilę. Starzy weterani, sędziwi staruszkowie pamiętający czasy Denikina, ale i młodszy, dużo młodszy. Z nowego pokolenia, urodzonych na Zachodzie albo i w Sojuszu, ale wyuczonych, ociosanych. Wszyscy przejęci. Na widok murów twierdzy niejednemu łza pociekła po policzku. Inni nawet padali na kolana, całując ziemię, żegnając się na prawosławną modłę.

Ich przywódca, książę Warglin, wielki sześćdziesięciolatek, honorowy przewodniczący tworu nazwanego Radą Odrodzenia, skupiającą przedstawicieli emigracji różnych republik, zaczął improwizowane przemówienie do zebranych polityków i nie mniej poruszonego wojska. Mówił płomiennie, wymachując rękoma, cedząc słowa i dobierając intonację. Chwila naprawdę podniosła. Historyczna.

Jurij Darijew patrzył z ukrycia, schowany za brezentem, bez specjalnego poruszenia. Skupiony, wpatrywał się w tłum VIP-ów.

– Wiesz, po co tu jesteś? – zapytał cicho Przeszło-Stępniakowski.

– Wiem – odparł Darijew od razu, nie kryjąc nawet satysfakcji. – Ładnie mówią. – Ironia była aż zbyt oczywista. – Zajmę się nimi. Wszystkimi. – Spojrzał na Polaka z jakimś podstępny błyskiem.

Paweł poklepał go po plecach i podał prawicę.

– Powodzenia – padło jedno proste słowo.

Wystarczyło. Nie miał zamiaru tracić czasu na kolejne czeze przemowy. Darijew go rozumiał.

– A ty... – Paweł wyciągnął palec w stronę Bartłomieja Karpackiego i jego kompanów. – Wy – poprawił się, udając, jak lubił najbardziej, surowego dowódcę. – Pilnujcie go dobrze. – Dla złagodzenia przekazu puścił oko i zaraz odsłonił kotarę.

Cała czwórka wyglądała dość przeciętnie, jak na okoliczności. Cywilne ubiory, ale nic ekstrawaganckiego, dostojnego. Odzienie, jak przystało na grupę urzędników daleko w terenie. Wyróżniały się tylko długie jesionki czterech ochroniarzy, podleczonej weteranów Kedywu, które kryły dłuższą broń.

Bartek chciał przydziału, to go dostał. Niewiele rozumiał na początku, nie o to chodziło. Dopiero po kilku dniach przyznał, że zapowiada się trudniej niż na froncie. Tam należało się kryć, walczyć, a tu bronić, zostając na widoku, i starać się być niezauważonym pośród sojuszników. Ilu było wilkami w owczej skórze?

Zespół ochrony liczył kilkunastu ludzi, ale tylko mała grupka miała stanowić ostatnią linię. On, Zenek i jeszcze dwóch chłopaków ochraniaли niejakiego Wasilija Padarinskiego, człowieka zasłużonego, jak im opisano, wybitnego specjalistę od służb specjalnych, który oddał wielkie zasługi dla sprawy wyzwolenia swojego kraju.

Pięknie brzmiało. Musiało być prawdą, bo Bartłomiej Karpacki był przekonany, że widział już gdzieś tego człowieka, znał jego posturę, ruchy i ten wzrok, teraz spokojny, pewny. Kilka miesięcy temu w samolocie z Wiednia spod kominiarki patrzyła para przejętych, zmęczonych oczu. Ale były te same.

To wszystko, ten cały bałagan wydawał się omówiony i zaplanowany wysoko, dawno temu, ale Bartek milczał. Wolał nie popisywać się swoimi opiniami. Przed nikim.

Nabrał głęboko powietrza, spiął się cały i dziarsko podążył pierwszy,

własnym ciałem ochraniając tajemniczego Rosjanina.

Podeszli przez pole namiotów, wśród zapatrzonych w zamieszanie wojskowych, minęli ich i bez przyciągania zbędnej uwagi przeszli w stronę murów, zająć miejsce i czekać, aż cała rada wejdzie do wnętrza. Tam Darijew miał oznajmić swoje przybycie, skromnie, cicho – tak jak miał pracować.

– A tak serio. – Milczący do tej chwili, siedzący na łożku podpułkownik Węgliński dźwignął się z posłania. – Podoła towarzysz? – Podeszedł bliżej, ale nie wydawał się specjalnie zainteresowany odpowiedzią.

– Musi. – Paweł wzruszył ramionami. – Stary nie jest, a poza tym lubi to, co robi... Może nawet wierzy. Teraz – nam. Inaczej by się nie zgłosił, nie zbierałby kwitów, i to tyle lat. Może nie wiedział, co robi, kiedy zaczął. Wyszło inaczej, niż założył, ale tak bywa. Jeden człowiek może zmienić świat, ale nie zdaje sobie sprawy. Nie przewidział skutków. Zresztą nikt nie był ich pewny miesiąc, dwa temu. Prawda? – Obrócił głowę.

Jan tylko kwaśno się uśmiechnął.

Wtedy się bał. Teraz też, ale to już nie było to samo. Nie musiał przecież sam polować na zabójców amerykańskiego prezydenta. Spakować się, wyprowadzać z domu, kryjąc plan wojny przed władzą zwierzchnią, czując na plecach oddech sędziów, którzy mieliby go sądzić za zdradę.

Teraz wespół z generałem tylko obserwował. Z daleka, z ukrycia, z pozoru jak ktoś niewiele znaczący. Ale tylko z pozoru.

– Co z drugim? – zapytał. – Z bratem? Przecież zniknął...

– Zniknął. – Paweł potwierdził, ale bez cienia zawodu. – Ale przeżył. To ważne... dla niego. – Kiwnął głową w stronę tłumu. – W końcu brat. Przez to między innymi wziął tę... fuchę. – Sapnął i zasłonił wejście.

Powlókł się do jednego z łożek i położył, opierając głowę na rękach.

– Nam już niepotrzebny... – mówił cicho wpatrzony w sufit. Siły go opuszczały, nadchodził spokój i sen. – Może go znajdziemy. On go znajdzie. Ale teraz ma inne problemy. Dzieli i rządzi. – Zaśmiał się cicho i krótko.

– Właśnie. – Jana nasza dawno skrywana wątpliwość. – Skąd go

wytrzasnąłeś? Nigdy właściwie nie mówiłeś. – Podeszedł bliżej, marszcząc zaciekawiony czoło.

Paweł milczał chwilę, ciągle z wbitymi w sufit oczami, pełnymi zamglonych, nie zawsze przyjemnych wspomnień.

– Stare dzieje – powiedział beznamiętnie. – Był kimś. Przynajmniej się zapowiadał. Inny od tej czekistowskiej tłuszczy, ale... – Nerwowy grymas skrzywił twarz. – Miałem chyba rację, choć pacjent się wystraszył. Przedawniony błąd, Jasiu, błąd. Ale w rezultacie... wychodzi na moje – wyszeptał ledwo słyszalnie i zasnął.

EPILOG

Mimo że nadszedł już wieczór, powietrze było gorące i parne. Nie pomagały otwarte na oścież okna i wyjście na taras wzniesionego z kamienia domu. Zaczynało się lato i upały miały dopiero nadejść, ale dwóm mężczyznom zasiadającym przy suto zastawionym stole to nie przeszkadzało.

Za oknami mieli cudowny widok. Strzeliste drzewa i błękitne wody morza kołysały nerwy i sprawiały, że można było zapomnieć o całym świecie, obserwując ten cud natury, jakby się było na wczasach.

Ubrany w przewiewny podkoszulek i przykrótkie wytarte spodnie, dawny, a może i obecny generał sięgnął po flaszkę i połał do staków.

– No, Władimir – trącił kompana szkłem – za pabiedu. – Uśmiechnął się gorzko i sapnął jakoś tak melancholijnie.

Pułkownik ocknął się z rozmyślań. Dźwignął coraz cięższą głowę, wspartą dotąd o dłoń. Alkohol wyostrzał wspomnienia ostatnich miesięcy, a zarazem łagodził je i kołował strach, poprawiając przy tym samopoczucie.

– Za przyszłość.

Generał – chyba ciągle generał – uniósł szklanicę z powagą godną wielkich poetów, prawiących doniosłe banały. Ochłonął i znów zaczął wierzyć, że lepsze dopiero się dla nich zaczyna.

Wypili. Władimir Borlin chrząknął i obrócił głowę w stronę morza. To w tym wszystkim było najpiękniejsze. Choćby dla tego widoku warto było ryzykować.

Darijew rzeczywiście dobrze to obmyślił, a może to było tylko szczęście. Albo stres tak pobudzał jego szare komórki?

Uszli spod topora. Aloszy naprawdę nie lubili tam, wysoko w Moskwie. Wystarczyło na pierwszej dokładniejszej kontroli pokazać szyfrogram z centrali z rozkazem doprowadzenia i wcisnąć bajkę, że nieduży konwój pędzi na najbliższe lotnisko, a każdy żołdat czy czekista robił wolną drogę. Dopiero w Kijowie, bo tam lotnictwo wroga za często jeszcze się nie zapuszczało,

zaczęły się schody. Ktoś wydał rozkaz zakazujący lotów do Moskwy. Kraj się dzielił, każdy ważniejszy generał i marszałek chciał być kimś jeszcze, nowym przywódcą, jak niedawno i sam Alosza.

Wsiedli na pokład transportowej maszyny lecącej do Odessy. Tam dopiero użycie broni przez „eskortę więźnia” zmusiło załogę, by lecieć dalej. Na Kaukaz, gdzie też zaczynało wrzeć i dalsza droga była niebezpieczna. Zwłaszcza że trzeba było rekwirować auta, ba, pieniądze i złoto z kilku lokalnych banków. Lokalne władze nie protestowały, bo same miały pełno kłopotów albo po prostu też kradły, szykując się na nowy czas. Niespokojny, ale i pełen szans.

Wylądowali tu, nad Morzem Kaspijskim, w pięknych okolicznościach przyrody. Zabezpieczeni finansowo na czas jakiś, jednak ciągle byli uciekinierami w niepewnym i burzliwym czasie.

– Nie frasuj się! – Alosza wstał i poklepał po ramieniu towarzysza niedoli. Łatwo mu było mówić. Miał tu swoich, rodzinę. Lepiej było żyć.

– Mówiłem, że nowe życie się zacznie. I co? Udało się. Pieniądzy starczyło, urządziłeś się, a teraz trzeba brać się do prawdziwej roboty. – Nieco się chwiejąc, podszedł do okna. Nabrał powietrza i wyszczerzył zęby. On naprawdę zdawał się zapominać o przeszłości.

– Tu, Władimir, jest koniec świata. A ten się zawalił, zmienił. Widzisz, słyszysz. Wszystko się przemieszało. W takich chwilach wszelkie ograniczenia przestają być ważne. Bo z chaosu, panie pułkowniku, rodzi się szansa i my ją wykorzystamy. Ja, ty. Teraz dopiero będzie nam dobrze, i to bez żadnych sztabów, marszałków.

Nakręcał się, jaśniejąc na twarzy, jak gdyby wizja dodawała mu energii, skrzydeł.

– Stare znajomości, Władimir, to teraz skarby. Cała środkowa Azja, mój przyjacielu, jest u naszych stóp. Fabryka pracowała tu intensywnie latami i mało kto wie, jak odgrzebać te kontakty, a ja... – napuszył się dumnie – ja byłem tu pierwszy.

Wrócił do stołu i polał sobie jeszcze, potem uniósł szklankę i zawołał:

– Za przyszłość, stary. Za lepszą przyszłość!